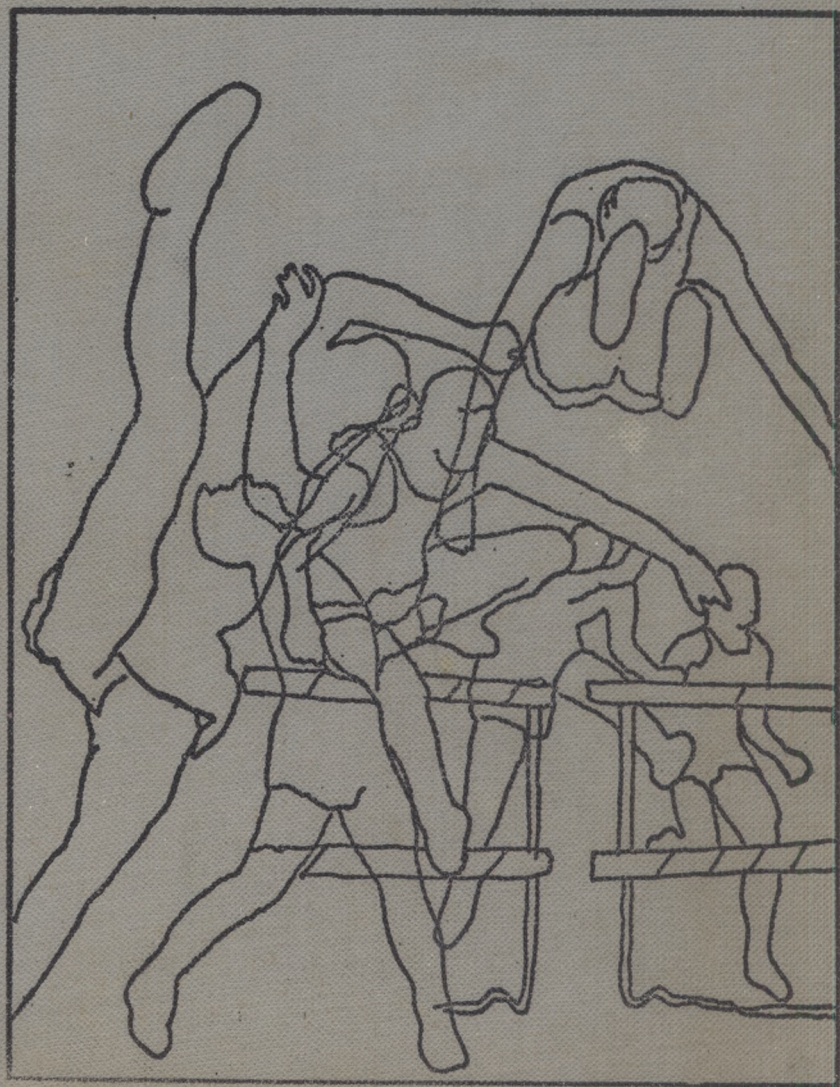


Wadym Šobkó  
**STADION**





STADION

**Титул оририналу україньського**

**СТАДИОН**

Wadym Sobko

# STADION



Tłumaczył  
**STANISŁAW EDWARD BURY**

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Obwolūtę, okładkę  
i kartę tytułową  
projektował  
JERZY KOSTKA

Redaktor  
ANNA ŁAZUKA

Redaktor techniczny  
ZBIGNIEW MAREK

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie  
Lublin 1978

**WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1978**

Wydanie I. Nakład 20 000+270 egz. Ark. wyd. 21.  
Ark. druk. 28,5. Papier druk. sat. kl III, 70 g,  
82 × 104 cm. Oddano do skłádania 20 lipca 1977 r.  
Druk ukończono w lipcu 1978 r. Cena zł 40.—

Druk: Rzeszowskie Zakłády Graficzne, Rzeszów,  
ul. Marchlewskiego 19. Zam. 2341/77. C-5-44

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

W końcu sierpnia 1951 roku na niedużym stadionie we wschodnim sektorze Berlina w dzielnicy Lichtenberg odbywały się międzynarodowe zawody lekkoatletyczne. Przy wejściu na stadion powiewały na masztach flagi trzech państw: czerwona — Związku Radzieckiego, czerwono-biało-zielona Węgierskiej Republiki Ludowej i czarno-czerwono-złota Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Niskie trybuny wypełniały się widzami.

Zawody zorganizowano w ramach miesiąca przyjaźni radziecko-węgiersko-niemieckiej. Chociaż były to spotkania towarzyskie, wywołały jednak wśród kibiców duże zainteresowanie, wiedziano bowiem, że w zawodach tych weźmie udział kilku wybitnych sportowców radzieckich. Spośród zawodników, których wyniki i możliwości komentowano z ożywieniem na trybunach, najczęściej wymieniano nazwisko Olgi Wołoszyny, mistrzyni świata w rzucie dyskiem. Wiedziano, że jest ona aktorką w jednym ze znanych teatrów moskiewskich, że ma już trzydzieści siedem lat — wiek dla sportsmenki niemal krytyczny, i że mistrzynią świata została jeszcze przed piętnastu laty. Mówiono też, że ponoć w Moskwie pojawiła się dyskobolka, która może zmierzyć

się z Wołoszyną, niedościgłą od wielu lat dla najlepszych sportsmenek Europy i Ameryki. Zapewniano, że dziewczyna ta przyjechała do Berlina i ma wziąć udział w zawodach, co oczywiście stanowiło dla kibiców dodatkową atrakcję.

W pierwszym rzędzie centralnej trybuny, blisko niskiej, drewnianej, jasnoszarej bariery, siedziało dwoje ludzi — czterdziestoletni mężczyzna o przyjemnej, uśmiechniętej twarzy oraz młoda dziewczyna. Erwin Meier był Niemcem, nikt jednak nie wiedział, gdzie była jego prawdziwa ojczyzna. Znajomi Erwina orientowali się tylko, że włada on biegle kilku językami, w tym także rosyjskim, i że czuje się w wielu krajach jak u siebie w domu. Kiedyś zajmował się sportem, potem został lekarzem, tytułując go więc teraz doktorem Meierem. Dobrze znano jego wysportowaną sylwetkę, ujmujący uśmiech, starannie zaczesane, rzednące już, jasne włosy z równym przedziałkiem. I wszędzie był mile widziany.

Jego towarzyszka nie odznaczała się niczym szczególnym. Jedno tylko można powiedzieć o niej z całą pewnością: była Niemką. Właśnie takie twarze o zaokrąglonym podbródku i krótkim, lekko zadartym nosie widywało się często na obrazach starych niemieckich mistrzów. Jej błękitna, starannie wyprasowana, ale uboga sukienka, ozdobiona plastikową Myszka Miki, ostro kontrastowała z drogim garniturem Erwina Meiera i dużym diamentem w szpilce krawata. Odnosiło się wrażenie, jakby dziewczyna znalazła się przypadkowo obok swego eleganckiego sąsiada.

Z wszystkich obecnych na stadionie chyba tylko jednego Meiera zupełnie nie interesowała Wołoszyna i jej zapowiadany pojedynek z nową, młodą przeciwniczką. Kiedy w czasie prezentacji zawodników kolumna sportowców radzieckich przechodziła obok trybuny, Meier

wychylił się do przodu i wpijając się wzrokiem w jakąś twarz powiedział:

— Patrz, Eryko.

— Gdzie? — spytała niezadowolonym tonem.

— Na tę dziewczynę w dziewiątym rzędzie z prawej strony.

Dopiero kiedy pięć dziewcząt po wystrzale startera oderwało się od ziemi z linii startu i ruszyło do przodu, Eryka zrozumiała, dlaczego Meier tak natarczywie nalegał, by przyjrzała się tej sprinterce. Na czele piątki biegła dziewczyna w czerwonej koszulce z trzynastym numerem, nad którym złociło się godło Związku Radzieckiego.

Ale Eryka Stahlberg nie na numer i nie na godło patrzyła. Uważnym, oceniającym, zazdrosnym spojrzeniem śledziła każdy ruch Niny Sokił. Dostrzegła wszystko: i długi, pewny krok, i nienaganną pracę rąki i tułów lekko pochylony do przodu; głowę zarzucała w biegu nieco do tyłu, co było chyba jedyną skazą jej stylu. Wspaniałe kasztanowe włosy rozwiane przez wiatr jakby ścigały dziewczynę, a jej podłużna twarz o cienkim nosie i wysokim czole promieniała natchnieniem.

Dla Eryki od pierwszej chwili było oczywiste, że Nina Sokił przybiegnie pierwsza, w tym biegu nie miała godnej siebie przeciwniczki. Pragnęła, by rezultat był niezbyt wysoki i żeby zwycięstwo Niny wynikało z braku silnych konkurentek. Jednak nadzieja jej wnet się rozviała, kiedy spiker podał czas: dwie dziesiąte sekundy dzieliły ją od rekordu światowego.

— Rozumiesz teraz? — w głosie Meiera było ni to pytanie, ni to pochwała. — Widziałas? — pochylił się ku dziewczynie i promień słoneczny uderzył o jego diament i rozsypał się na drobne, wesołe promyczki.

— Wszystko widziałam i rozumiałam — głos Eryki brzmiał oschle, przebijało jednak z niego rozdrażnie-



nie. — Czy możemy już stąd pójść, czy muszę coś jeszcze zobaczyć?

— Chciałbym popatrzeć jeszcze na rzuty dyskiem — odrzekł Meier z wyrozumiałym uśmiechem. — Ale jeśli Nina Sokił wywarła na tobie tak przygnębiające wrażenie, to chodźmy.

— Nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia — burknęła ze złością Eryka. — Widziałam już mocniejsze. Też chętnie obejrzę rzuty dyskiem.

Dziewczyna nie mówiła oczywiście prawdy. Nie miała zupełnie ochoty zostać, wprost przeciwnie, chciała jak najszybciej opuścić stadion. Obawiała się jednak, że Meier mógłby wytłumaczyć to sobie po swojemu.

Na szmaragdowej murawie stadionu długie, białe smugi już wyznaczały sektor dla rzutów dyskiem. Smugi te bieżyły do małego koła, wysypanego jasnożółtym piaskiem. Obok przy stoliku siedział sędzia wywołując nazwiska zawodniczek. Defiladowym krokiem przeszło dziesięć rośliwych, silnych, barczystych sportsmenek. Obszerne kostiumy treningowe czyniły je jeszcze bardziej masywnymi, a nawet niezgrabnymi. Jako pierwsza szła Olga Wołoszyna, Meier mógł więc dobrze przyjrzeć się jej, kiedy dyskobolki defilowały przed trybuną.

„Silna kobieta” — pomyślał, patrząc na jej energiczną twarz, dumnie osadzoną głowę, na ciężkie fale bujnych, czarnych włosów.

— A jednak ona jest bardziej aktorką niż sportsmenką — powiedział Meier, śledząc płynny chód Wołoszyny.

Do Eryki pochłoniętej własnymi myślami dotarł tylko dźwięk głosu, spytała więc:

— Pan coś mówił?

Ale Meier nie odpowiedział, śledząc spojrzeniem młodą dziewczynę, która szła za mistrzynią świata.

— Więc to tak! — rzekł i Eryka znowu nie zrozumiała, do kogo skierowane były te słowa.

A Meier ciągle jeszcze patrzył na dziewczynę. Był pod wrażeniem nie tyle jej postaci i urody, co malującego się na twarzy wyrazu koncentracji i woli zwycięstwa. Znał się na sporcie i potrafił wiele wyczytać z twarzy zawodników. Wiedział też, że właśnie przemożna chęć zwycięstwa często pomaga słabszym pokonywać silniejszych.

— Jeśli trafnie oceniam sytuację, to pani Wołoszyna już niedługo przestanie być mistrzynią świata.

— Kogo ma pan na myśli?

— Tę drugą.

— Jak się nazywa?

— Nie wiem.

— A chwali się pan przede mną, że wie o sporcie wszystko.

— No tak, ale to ktoś nowy. Wnet się dowiemy — odpowiedział Meier z łagodnym uśmiechem, nie rozumiejąc ciągle rozdrażnienia swej towarzyszki.

Tymczasem zawodniczki pozdejnowały dresy, można więc było odczytać numery na ich koszulkach. Na trybunach zaszeleściły kartki programów.

— „Numer trzydziesty trzeci. Olga Korszunowa. Związek Radziecki” — odczytał głośno Meier. — Wyobraź sobie — zwrócił się do Eryki — przez moment zdawało mi się, że to młoda, pełna sił puma idzie za starą, ale jeszcze bardzo silną panterą. Bardzo jestem ciekaw, jak zakończy się ich pojedynek.

— To są przecież ludzie, a nie zwierzęta — rzekła Eryka.

— Nie, nie — zaprzeczył Meier, bardzo zadowolony ze swego porównania. — Ty nie wszystko tu rozumiesz, wierz mi, że wiem lepiej.

— Możliwe — wzruszyła ramionami Eryka, nie mając wcale ochoty do sprzeczeki.

Wołoszyna weszła do koła i wzięła do ręki dysk. Przez chwilę jakby ważyła go na dłoni, potem na moment zastygła, nieco przechylona na bok, i nagle dokonała obrotu i mocną ręką uniosła dysk wysoko w górę.

Stadion zamarł. Już sam ten ruch sprawił widzom rozkosz. A przecież na zielonym polu płonęła odległym ognikiem czerwona chorągiewka, oznaczająca światowy rekord Wołoszyny, ustanowiony tej wiosny. I wszystkich intrygowało teraz jedno: czy dysk przeleci za tę chorągiewkę i czy padnie nowy rekord świata, czy też wszystko zostanie po staremu.

Krażek zaśnił w słońcu i uderzył o ziemię niedaleko chorągiewki. Do rekordu zabrakło kilku centymetrów. Sportowcy dobrze wiedzą, jak trudno uzyskać te kilka centymetrów czy też dziesiąte części sekundy.

Na trybunach zabrzmiały oklaski. Wołoszyna uśmiechając się wyszła z koła. Dziewczyna z trzydziestym trzecim numerem wzięła dysk.

— Czy możemy już iść? — spytała Eryka, nie oczekując już niczego ciekawego.

— Nie — odparł zdecydowanym głosem Meier. — Ta Korszunowa interesuje mnie o wiele bardziej niż mistrzyni świata, i jeśli można prorokować, to niewykluczone, że dziś padnie światowy rekord.

Eryka znowu wzruszyła obojętnie ramionami. W tej chwili pragnęła tylko jednego: wyjść jak najszybciej ze stadionu.

Tymczasem Korszunowa rzuciła dyskiem. Zrobiła to niemal tak samo umiejętnie i dokładnie jak Wołoszyna, jednak upadł on nieco bliżej. Meier z satysfakcją pokiwał głową, Eryka nie mogła jednak zrozumieć przyczyny tego zadowolenia.

— Boże, mój, Eryko! — rzekł. — Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, co będzie z tej dziewczyny za dwa lata. Kiedy ktoś nauczy ją, rzecz jasna, rzucać dyskiem — dodał. — Nikt wówczas nawet nie wspomni obecnej mistrzyni.

Meier dostrzegł wszystkie błędy i braki techniczne Korszunowej, widział, że zbyt nisko przysiada przed rzutem, za wysoko unosi rękę przy obrocie, był jednak pewny, że ta dziewczyna to prawdziwy skarb, to przyszła mistrzyni świata.

— Oni mają wielu dobrych sportowców, nawet więcej niż my, nie wiem jednak, czy mają równie dobrych trenerów.

Spojrzał na boisko i umilkł. Teraz rzucała dyskiem Węgierka Krosi, przykuwając do siebie uwagę widzów. Ale Meier patrzył gdzie indziej. W pewnej odległości od koła stały Wołoszyna i Korszunowa. Nie można było słyszeć ich rozmowy, ale z ruchów ręki Wołoszyny Meier zrozumiał, że mistrzyni świata wskazywała Korszunowej na popełnione błędy. Tę krótką mimiczną scenkę zrozumiał nie tylko Meier, o czym świadczyło nasilenie gwaru na trybunach i aprobujące oklaski.

Spiker znów wywołał Wołoszynę; nie rozumiejąc przyczyny ożywienia kibiców ponownie wzięła dysk, spojrzała na małą czerwoną chorągiewkę, którą już kilkakrotnie przesuwiała coraz dalej, i weszła do koła.

Stadion wybuchnął oklaskami. Nie patrząc nawet, gdzie upadł dysk, Wołoszyna wiedziała: padł nowy rekord. W ostatnim okresie coraz częściej myślała o swoich trzydziestu siedmiu latach i teraz ucieszyła się stwierdziwszy, że ciągle jest jeszcze w pełni sił. Uśmiechnęła się na myśl, jak ucieszy się jej syn Tola, gdy dowie się z gazet o nowym rekordzie. On taki dumny jest ze swojej matki, ten przyszły marynarz! I za każdym razem, kiedy ustanawiała nowy rekord,

myślała przede wszystkim o synu, i zawsze w takiej chwili tak bardzo pragnęła, i to natychmiast, ujrzeć jego kochaną, jeszcze całkiem dziecięcą twarz, i usłyszeć jego młody, nieustawiony jeszcze bas.

— No a teraz możemy już jechać? — Eryka zwróciła się do Meiera.

— Wybacz — podniósł się ze swego miejsca — za kilka minut wrócę. Zaczekaj tu na mnie.

Nic nie wyjaśniając wstał i poszedł w stronę szatni. Eryka nie odpowiedziała ani słowa, odprowadzając go szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

— Przepraszam, czy można tu usiąść? — usłyszała naraz nieznany głos.

— To miejsce zajęte — odpowiedziała, przenosząc wzrok na nieznanego.

Stał przed nią chłopak w brązowym dresie. Jego czarne oczy patrzyły na Erykę wesoło i pytająco. Był chyba niedawno pod prysznicem, bo mokre, dokładnie zaczesane włosy miały świeży połysk. Po akcencie Eryka bezbłędnie rozpoznała w nim Węgra.

— Może jednak pani pozwoli mi tu trochę posiedzieć — nalegał chłopak. — Kiedy wróci pani znajomy, to oczywiście natychmiast ustąpię miejsca.

— Czy pan zawsze tak chętnie ustępuje miejsca? — spytała Eryka, sama nie rozumiejąc swego rozdrażnienia. — Proszę — zgodziła się nieoczekiwanie.

— Dziękuję — odparł chłopiec siadając. — Stąd wspaniale widać. Pani pozwoli, że się przedstawię. Panią oczywiście znam, a ja nazywam się Tibor Szabo. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się tu pani zobaczyć.

— Dlaczego? Trzeba poznawać potencjalnych przeciwników — odparła Eryka, powtarzając dokładnie maksymę Meiera.

— Ach tak! Bardzo słusznie — chłopak zaśmiał się wesoło.

Bardzo podobał się Eryce, a jednocześnie czymś ją drażnił.

— Proszę mi powiedzieć, ale zupełnie szczerze — kontynuował rozmowę — czy pani bardzo lubi sport?

— Tak — to jedno słowo zabrzmiało szczerością. Tibor chciał znowu o coś zapytać, ale Eryka uprzedziła go. — Proszę patrzeć, rozpoczyna się bieg na półtora tysiąca.

Tibor zrozumiał, że dziewczyna chciała zmienić temat rozmowy, więc o nic już nie pytał. Pociągała go jak żadna dotąd, zdecydował się jednak odejść ze względu na jej dziwne zachowanie.

— Pan dokąd? — zawołała Eryka widząc, że Tibor wstał. — Dopierośmy się poznali i już pan ucieka?

— Nie chciałem się spotkać z pani znajomym.

— Może się pan go nie obawiać.

Tymczasem Erwin Meier podchodził do zebranej po drugiej stronie trybuny grupy sportowców. Nazwisko Wołoszyny było na ustach wszystkich. Mistrzyni świata stała radosna, podniecona, nie spiesząc się do szatni. W pobliżu stała Olga Korszunowa.

— Pani pozwoli, że się przedstawię — podszedł do niej Erwin Meier. — Jestem dziennikarzem niemieckim, chciałbym zadać pani kilka pytań.

— Proszę — powiedziała Olga, patrząc na Meiera; miała zwyczaj wpatrywać się podczas rozmowy w twarz swego rozmówcy.

— Co pani robi poza sportem?

— Uczę się w instytucie w Moskwie.

— Dawno?

— Jestem już na trzecim roku.

— Otrzymuje pani stypendium?

— Tak.

— Ile?

— Trzysta pięćdziesiąt rubli \*.

— To niewiele.

— Mnie wystarczy.

Olga odpowiadała lakonicznie, niemal ostro. Jakoś nie podobał się jej ten przystojny, sympatyczny i uprzejmy mężczyzna, chociaż sama nie wiedziała dlaczego.

— Jeszcze jedno pytanie — uśmiechnął się słodko Meier. — Kiedy pani spodziewa się ustanowić rekord świata?

— Tego jeszcze nie wiem.

— Ale myśli pani o tym.

— Tak.

— Jestem pani niezmiernie wdzięczny za rozmowę — zakończył Meier bardzo zadowolony, żegnając Korszunową.

Dziewczynę dręczyło pytanie, czego chciał od niej ten człowiek. Odprowadziła go uważnym spojrzeniem swych dużych, szaroniebieskich oczu, po czym zwróciła się w stronę Wołoszyny. Obok niej stała Sofija Kartasz, trener drużyny radzieckiej, ściskając mocno rękę mistrzyni.

— Do naszej Olgi podchodzą już dziennikarze — powiedziała do Wołoszyny. — O, ci zawsze zwęszą pismo nosem.

Olga Borysowna drgnęła, aluzja była zbyt czytelna.

— Tylko że pisma jeszcze nie ma — odcięła.

Rozmowa urwała się. Podeszły do nich Ilona Szabo i Nina Sokił.

— O, zaprzyjaźniłyście się już! — zawołała wesoło Kartasz.

— Tak, szybkośmy się dogadały — odpowiedziała

---

\* równowartość trzydziestu pięciu rubli po reformie walutowej

węgierska zawodniczka łamanym rosyjskim, po czym zwróciła się do swej nowej przyjaciółki: — Patrz, Nino!

Obok nich przechodziła Eryka Stahlberg z Erwinem Meierem.

— Wiesz, kto to jest?

— Nie.

— Eryka Stahlberg. Mistrzyni Zachodnich Niemiec. Jeśli masz na świecie jakieś groźne przeciwniczki, to właśnie ją.

Nina spojrzała uważnie na Erykę. Oczy ich spotkały się. Eryka odwróciła głowę i poszła dalej, lekko dotykając ręką łokcia Meiera.

— Więc to ona... — rzekła Nina. — No cóż, cieszę się, że ją zobaczyłam.

Powiedziała to chłodno i spokojnie, chyba pierwszy raz w życiu takim tonem.

Wołoszyna wyczuła ten ton i zaśmiała się.

— Dzień dobry, Nino!

— Proszę wybaczyć, Olgo Borysowno, zapomniałam pogratulować pani rekordu.

Objęły się. Podszedł Tibor Szabo, brat Ilony. Patrzył w kierunku bramy, w której znikwały właśnie niebieska sukienka Eryki i szerokie plecy Meiera.

— Poznajcie się, to mój brat Tibor — powiedziała szybko Ilona. — Tibor, gdzie się tak zagapił?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nad miastem płynęło gorące słońce, zamglone lekkimi obłokami. Minęło już zenit i chyliło się ku zachodowi, upał trwał jednak nadal. Stepy Donbasu oddychały suchym, nieznośnym żarem jak z pieców martenowskich. Wiatr dokonywał nalotów na miasto, wzno-



sił kurzawę na asfaltowanych ulicach, mierzwił dym nad kominami fabryk i znowu zniknął w stepie. Były to ostatnie dni lata. Kończył się sierpień. Wnet zawita do Donbasu jesień, wiatr będzie przynosił ze stepów kłujące śnieżynki i nagał ciężkie szare chmury.

Jaryna Honta bardzo kochała swoje miasto. Lubiała je zawsze: i w takie gorące, wietrzne dni, i w czas mglisty i dżdżysty, najbardziej jednak wiosną, kiedy z dalekiego Morza Azowskiego wieje ciepły, wilgotny wiatr, a na klonach i kasztanach ulicy Artema lśnią młode pączki. Spędziła tu całe swoje dotychczasowe życie.

Niedaleko ulicy Artema stoi jej szkoła. Ileż to niezapomnianych dni przeżyła w tym niepokąznym dwupiętrowym budynku z kolumnami przy wejściu! Świadcami ilu wzruszeń były te korytarze, takie bliskie i znajome! Jakaż to była radość, gdy wreszcie dyrektor ogłosił, że Jaryna Honta kończy szkołę ze złotym medalem! Kiedyś bardzo bała się dyrektora Todorowa, który budził postrach wśród hałaśliwych i rozbieganych dziewcząt. I nagle okazało się, że Todorow nie tylko nie jest taki groźny, lecz wprost przeciwnie: jest dobrym i miłym człowiekiem, przypominającym jej ojca. W ogóle wszystko zmieniło się w momencie, kiedy trzeba było po raz ostatni przestąpić progi szkoły. I ścisła się serce na wspomnienie swojej klasy, koleżanek, nauczycieli.

Jaryna postąpiła chwilę na ganku szkoły, potem zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi i weszła. Uderzył ją zapach świeżego wapna i farby olejnej. Szkoła przygotowywała się już do nowego roku szkolnego, klasy były odświeżone, parkiet korytarza lśnił jak ślizgawka, na ścianach wisiały nowe portrety i mapy.

— Przyszłaś się pożegnać? — usłyszała nagle cichy głos starej dozorczyńni Semenowny.

— Tak, pożegnać się... — odpowiedziała wzruszona dziewczyna.

— Pochodź sobie, pochodź... Dziś już było kilka takich jak ty — i babcia wymieniła wszystkie dziewczęta, jakie dziś odwiedziły szkołę.

Jaryna weszła do swojej klasy. Oto jej ławka. Oto tablica, stara już, ale na nowo pomalowana. Za kilka dni stanie przed nią jakaś inna dziewczyna, a za rok tak samo żegnać się ona będzie ze szkołą. Jarynę ogarnął niewypowiedziany smutek. Żeby się nie rozpłakać, dziewczyna spojrzała po raz ostatni na klasę, ucałowała na pożegnanie Semenowną w zmarszczony, suchy policzek i wyszła.

A więc żegnaj, szkoło!

I znowu wolno przesuwają się przed oczami kwartał za kwartałem, ulica za ulicą.

Jaryna była coraz bliżej hałdy koło starej kopalni. U podnóża wysokiej, czarnorudej góry kruszcu wydobytego z głębin ziemi mieścił się stadion. Hałda wyglądała jak jeszcze jedna trybuna, o wiele wyższa i większa od trybun i zabudowań stadionu, i jej zbocza często oblepione były widzami. Niektórzy wyrąbali sobie w hałdzie wygodne, własne „łoże”. Na myśl o tym Jaryna uśmiechnęła się smutno: nieprędko znów zobaczy swój stadion. I chociaż nie zdobyła na nim sławy, żał jednak rozstawać się z nim.

Weszła do szatni, mieszczącej się w centralnej trybunie, i natknęła się na wielu przyjaciół i znajomych. Dziś właśnie odbywały się zawody lekkoatletyczne, związane z początkiem nowego roku szkolnego, w których brali też udział wczorajsi uczniowie.

Jaryna szybko przebrała się i wyszła na stadion, w szatni bowiem było bardzo duszno z powodu panującego upału. Razem z nią wyszły jeszcze trzy dziewczyny, z którymi biegała w sztafecie na czterysta metrów.

Trener szkolnej drużyny śledził uważnie przebieg kolejnych konkurencji. Zrobił wszystko, co należało, i teraz niczym już nie może pomóc swym wychowankom. Jutro przeanalizuje błędy każdego sportowca, dziś jednak oni sami odpowiadają za siebie i za swą drużynę.

Uwagę jego zaprzętała przede wszystkim Jaryna. Ustawiono ją w sztafecie na czterysta metrów jako ostatnią. On sam wyznaczył jej to miejsce, chociaż nie oczekiwał rewelacyjnego wyniku. Niskiego wzrostu, ale bardzo zgrabna, jakby wyrzeźbiona, Jaryna w czasie biegu jak gdyby nie dotykała ziemi. Znakomita koordynacja ruchów oraz pełna harmonia napiętych mięśni pozwalały sądzić, że dziewczyna nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa w sporcie.

Patrzył właśnie, jak Jaryna przemierza czwarty odcinek sztafety, biegnąc szybko, z pasją i wolą zwycięstwa. Chyba zbyt pochopnie zakwalifikował ją do średnich sportswomenek. Nagle uświadomił sobie, że jutro już jej tu nie będzie.

A Jarynka, podniecona zwycięstwem, zegnała się już z przyjaciółkami. Dwie z nich dopiero przeszły do dziesiątej klasy, trzecia, podobnie jak Jaryna, jechała do Kijowa.

Ostatnie słowa pożegnania, ostatnie uściski i pocałunki. Koniec! Została zapisana do końca jeszcze jedna stronica niezapomnianej księgi młodości. Pozostanie za nią i szkoła, i stadion z jego zawodami, zwycięstwami i porażkami.

Jaryna pożegnała się ze starym wychowawcą i weszła na szczyt trybuny, skąd dobrze było widać prawie całe miasto, kiedyś szare, nieprzyjazne i nagie, a obecnie przyozdobione bujnymi koronami młodych drzew. Znała tu każdy komin fabryczny, każdą hałdę, każdy budynek, mogła poznać po kolorze dymu, co

dzieje się w wielkim piecu hutniczym lub w martenie, potrafiła rozróżnić syreny fabryk z całej okolicy. Żegnaj, miasto rodzinne! Za pięć lat Jaryna powróci tu już jako dziennikarka...

Słońce chyliło się ku horyzontowi, cienie wydłużyły się, dym nad fabrykami pociemniał, powiewy wiatru były już chłodniejsze.

Hontowie mieszkali na przedmieściu, w małym domu, zarośniętym dzikim winem, w pobliżu kopalni, w której pracował ojciec Jaryny, Mykoła Iwanowicz Honta. Gdy Jaryna weszła do domu, okazało się, że stół był zastawiony talerzykami i tacami z jedzeniem, a między nimi stały flaszki. To ojciec przygotował dla niej uroczyste przyjęcie. W pokoju zebrała się prawie cała rodzina.

Mykoła Iwanowicz, pięćdziesięcioletni mężczyzna o siwych wąsach, łysy jak kolano, krępy, o energicznym wyrazie twarzy siedział pośród gości i czekał na córkę, żeby rozpocząć ucztę. W kopalni pracował jako rębacz — kiedyś kilofem, potem młotem pneumatycznym, a teraz kierował kombajnem węglowym. Dla podkreślenia uroczystego charakteru wieczoru przywdział paradny czarny mundur górniczy, wyszywany złotem, przypiął wszystkie swoje ordery i odznaki i chociaż było gorąco, nie pozwolił sobie na rozpięcie ani jednego guzika.

Wśród gości, przeważnie starszych już kobiet i mężczyzn, siedział dwudziestodwuletni chłopiec Stepan Krotow, wytapiacz miejscowej huty, na którego Jaryna nie zwracała żadnej uwagi. Na jego szczerej, otwartej twarzy malował się z trudem ukrywany smutek.

Zapadła już noc, nad hałdami zaświeciły gwiazdy, nad hutą stała luna. Ten właśnie obraz rodzinnego miasta lubiła Jaryna najbardziej. Kiedy będzie miała

szczęście zobaczyć znowu tę łunę? I chociaż to wielki honor studiować w stołecznym uniwersytecie, to jednak serce się ściska, kiedy się pomyśli o rozstaniu z bliskimi ludźmi i miejscami.

Goście porozchodzili się, życząc przyszłej dziennikarce sukcesów w życiu i w nauce. Krotow wyszedł z jadalni i usiadł w kącie werandy.

— Zaczekaj, pomogę mamie sprzątnąć i przyjdę do ciebie — Jarynka po raz pierwszy w ciągu całego wieczoru zwróciła na niego uwagę.

Stepan Krotow długo na nią czekał. Przez werandę przeszedł stary Honta, powstał przy parkanie, słuchając, jak już o kilka ulic dalej śpiewają na cały głos jego goście, potem zerwał dużą czerwoną georginię, wrócił do jadalni, włożył kwiat do szklanki z wodą i zaniósł do pokoju Jarynki, po czym usiadł przy stole, słuchając rozmowy córki i żony, wreszcie poszedł do sypialni. Trzeba się wypać. Jutro na pierwszą zmianę.

Jarynka zjawiała się dopiero wówczas, kiedy w małym domku pogasły światła. Wzięła Stepana za rękę i szepnęła:

— Chodźmy.

Weszli do małego sadu i usiedli na ławeczce pod starym wiązem. Chłopak mocnym ramieniem jak skrzydłem objął maleńką Jarynkę i przez dłuższy czas siedzieli tak w milczeniu.

— Słuchaj, Jarynko — przemówił wreszcie Stepan. — Pojedziesz jutro do Kijowa, gdzie poznasz wielu ciekawych ludzi, ciekawszych ode mnie. Niczego nie żądam od ciebie, chcę tylko, żebyś wiedziała: nigdy i nikt nie będzie cię kochał z takim oddaniem jak ja. Tylko to chciałem ci powiedzieć.

Znów zapadło milczenie.

— I co mi jeszcze powiesz? — spytała nagle z rozdrażnieniem Jarynka, tłumiąc szloch. — Jak możesz tak

mówić... Przecież cię kocham. Będę często pisała do ciebie. Często...

Nad donieckim miastem szybko mijała noc jasna i gwiazdzista, tylko gdzieś tam zamglona dymem wielkich zakładów przemysłowych i rozświetlana od czasu do czasu czerwonoszkarłatnymi łunami z roztopionego metalu.

Już wkrótce świt. O oznaczonej godzinie rozlegną się dwa uderzenia miedzianego dzwonu i wolno ruszy długi, zielony pociąg. Stary Honta wytrze łzę, patrząc na błądą, wzruszoną twarzyczkę córki w ramie okna wagonu, Stepan Krotow zagryzie wargi aż do krwi, a Serafima Pawłowna będzie płakać rzewnie.

Pociąg powiezie Jarynę Hontę do dalekiego, ale już bliskiego sercu miasta, do wymarzonego uniwersytetu, do przyszłego szczęścia.

### ROZDZIAŁ TRZECI

Masywne metalowe drzwi kontrolnej „przejściówki” więzienia w Spandau zamknęły się z melodyjnym, ale bardzo nieprzyjemnym zgrzytem. Dla tych, których przywożono do więzienia, zgrzyt ten nie zapowiadał nic dobrego, natomiast dla Bertę Loch był on zwiastunem wolności.

Zeszła po kamiennych schodach na ulicę. Potężne mury więzienia wznosiły się nad nią jak zwisające urwiska skalne. Były one tak grube, że straż więzienna dokonywała obchodów kontrolnych po wykutych na zewnątrz murów ścieżkach. W gmachu tym siedzieli więźniowie szczególnej wagi — odbywali tu karę fa- szyści skazani przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze. Co prawda Amerykanie i Anglicy zadbali o to, by więźniom żyło się nie najgorzej,

jednak Berta Loch nie korzystała z tych przywilejów i przeżyła w murach więzienia niejedną przykrą chwilę.

Trudno jej teraz było uwierzyć, że ją wypuszczono, że skończyły się długie lata więzienia i znikła ostatecznie groźba śmierci. Ciągłe jej się zdawało, że za chwilę otworzą się wysokie drzwi, zawołają ją i znów wrzucą do celi, może nawet do tej najstraszniejszej. Przyspieszyła kroku, niemal biegła.

Początkowo szła bez celu, aby tylko odejść jak najdalej od więzienia.

I chyba nikt tak bardzo nie zdziwił się, usłyszawszy o tym nieoczekiwanym zwolnieniu, jak sama Berta Loch. Była przekonana, że brama więzienna zamknęła się za nią na zawsze, i oto nagle — wolność, dokumenty w kieszeni, ciepłe sierpniowe słońce nad głową i uprzejme, niemal serdeczne życzenia sukcesów, wyrażone przez amerykańskiego dowódcę warty więziennej.

— Dziennikarze już się dowiedzieli o pani zwolnieniu — powiedział na pożegnanie. — Koło bramy kręcili się fotoreporterzy, ale spławiłem ich informując, że wyjdzie pani dopiero za tydzień, może więc pani teraz iść spokojnie.

Berta skręciła w małą uliczkę. Oddalała się wprawdzie od domu, ale wciąż jeszcze sprawdzała tę swoją wolność: jeśli zechce, to skręci, wolno, czy nie wolno? Okazało się, że wolno. A więc jest naprawdę wolna.

Ludzie nie zwracali na nią uwagi. Idzie sobie zwyczajna kobieta gdzieś pod czterdziestkę w wytartej, mocno podniszczonej odzieży, spieszy dokądś — ale co to kogo obchodzi? Niech sobie idzie.

Początkowo Berta unikała przechodniów. Ciągłe wydawało się jej, że wystarczy, by pierwszy lepszy spojrzal jej w twarz, a ją rozpozna i podniesie alarm. Berta nie wyobrażała sobie, co mogłoby być później, bar-

dzo jednak bała się przyszłości. Więc chociaż po pewnym czasie przyspieszyła kroku, nie odważyła się jednak unieść głowy.

Była niedziela, ludzi na ulicach sporo, mimo to nikt nie zwracał na nią uwagi. Skręciła w Kastanienstrasse, małą, cichą uliczkę. Tu za wysokimi ogrodzeniami, z prześwitem lub bez, stały zaciszne domy solidnych mieszczan niemieckich średnio zamożnych, kupców i handlowców, którzy nie dorobili się jeszcze willi nad morzem lub w górach, musieli więc zadowolić się tą zieloną dzielnicą Berlina.

Berta miała już zawrócić i pójść do swego mieszkania na Kaiserdamm, gdy usłyszała nagle swoje nazwisko wymówione cicho, ale wyraźnie.

Stanęła jak wryta. No tak! Więc zwolnienie było podstępna fikcją, przez cały czas ktoś ją śledził! W pierwszym odruchu chciała uciekać, ale zaraz pomyślała, że to i tak jej nie uratuje: jeśli potrafili ją tak szybko odnaleźć, to potrafią też dogonić.

Obejrzała się i zobaczyła szczupłego mężczyznę. Wielkie okulary z grubymi, kombinowanymi szklami zakrywały krótkowzroczne, ale bystre i mądre oczy. Mężczyzna był bez kapelusza; bardzo rzadkie włosy nie mogły zakryć łysiny.

— Cieszę się, że panią widzę, Berto — powiedział spokojnie. — Dawno panią wypuścili?

— Pan doktor Schitke! — zawołała Berta czując, że momentalnie opuścił ją lęk. — Mój Boże, jak się strasznie cieszę! A więc pan też jest już na wolności?

— Nie byłem wcale w więzieniu — uśmiechnął się lekarz, ukazując duże, żółte, jakby końskie zęby. — Lekarzy nie sądzą...

— A mnie wypuścili przed godziną! Idę właśnie do domu.



— I właśnie ja pierwszy panią spotkałem? To znamienne! No, ale myślę, że nie powinniśmy razem stać zbyt długo na ulicy. Mieszkam w tym domu — wskazał na posiadłość z wysokim, szczelnym ogrodzeniem. — Oto mój numer telefonu. Proszę zadzwonić do mnie, kiedy minie pierwsza radość spotkania z rodziną. Gratuluję! I do widzenia.

Podszedł szybko do ogrodzenia, nacisnął guzik, otworzyła się ciężka żelazna furka i zaraz zamknęła z charakterystycznym zgrzytem, przypominającym więzienie w Spandau.

Stała przez chwilę oszołomiona. A więc i doktor Schitke jest na wolności. To cudownie! Nie ma się już czego bać.

Kastanienstrasse, mała i cicha uliczka, obsadzona starymi, wysokimi kasztanami wydała jej się teraz szczególnie sympatyczna.

Berta ruszyła do domu. Szła nie wiedząc, czy zachował się ten budynek, w którym mieszkała przed wojną, gdzie zmarli rodzice i gdzie pozostała jej siostra z małżonką Eryką. Była to zwykła kamienica na Kaiserdamm, wysoka, szara, podobna do tysięcy berlińskich domów. I omal nie zapłakała z radości, kiedy zobaczyła, że dom ocalał. Być może siostra żyje.

Wbiegła szybko na trzecie piętro. Mój Boże, tu przez cały ten długi czas nic się nie zmieniło! Zadzwoniła do drzwi, nacisnąwszy pożąłkły guzik, do którego wyciągała rękę jeszcze w dzieciństwie, i po chwili ujrzała przed sobą siostrę. Tak, to była niewątpliwie ona, postarzała, zmarniała, ale mimo wszystko ona, Marta! A siostra uchyliła drzwi i w pierwszej chwili zaskoczona cofnęła się do wnętrza. Na twarzy malował się strach.

— Nie poznajesz mnie, Marto — rzekła Berta.

— Nie, poznaję, wejdz, proszę cię — odparła Marta

i dopiero po chwili objęła ją, pytając: — Wypuścili cię, czy uciekłaś?

— Wypuścili, Marto, zwolnili raz na zawsze! — Berta pobiegła szybko do swego małego pokoiku i stanęła zdumiona: w nim też nic się nie zmieniło.

— Opowiedz, jak to się stało, że jesteś na wolności — prosiła Marta, ale siostra nie słuchała jej.

— Poczekaj, pozwól mi się umyć i doprowadzić do ładu — powiedziała, wyjmując jakże jej teraz bliską, starą odzież. — Nie wiem, czy to wszystko jeszcze się nadaje, trzeba będzie chyba to i owo przerobić...

Znikła w łazience, a kiedy wyszła wykąpana, w swoim starym szlafroku, poczuła zapach dobrego tytoniu i zobaczyła w pokoju jakąś dziewczynę i bardzo przystojnego, sympatycznego, niemłodego już mężczyznę, siedzącego wraz z Martą przy stole.

Berta zatrzymała się, jakby nie chciała przeszkadzać w rozmowie.

— Patrz, oto nasza Eryka! — zwróciła się do niej Marta.

Berta spojrzała na dziewczynę i dopiero wówczas uświadomiła sobie, że nie widziała jej tyle lat.

— Dzień dobry, Eryko! — zawołała. — Jesteś już zupełnie dorosła. Nigdy bym cię nie poznała!

— Dzień dobry, ciciu Berto — powiedziała Eryka, nie zdradzając najmniejszej ochoty do czulszego przywitania.

— Ona jest mistrzynią Niemiec Zachodnich w biegu na sto metrów — pochwaliła się Marta, patrząc z dumą na córkę.

— Gratuluję, gratuluję — powiedziała powściągliwie Berta, urażona chłodem Eryki, i zwróciła się do mężczyzny.

— A to pan Erwin Meier, najbliższy przyjaciel naszej rodziny — przedstawiła siostra. — To właśnie on

nauczył Erykę biegać i dzięki niemu osiągnęła rekordowe wyniki.

— Bardzo się cieszę, że mogę poznać osobiście znakomitą komendantkę z Ravensbrück — rzekł Meier, ukazując w uprzejmym uśmiechu białe zęby.

Berta drgnęła. Eryka zacisnęła wargi. Meier zauważył to zmieszanie i roześmiał się wesoło.

— Sądzę, że ten tytuł może teraz stać się dla pani najlepszą rekomendacją — powiedział. — Wiele czytałem o pani w prasie i zawsze pragnąłem poznać panią osobiście. Co prawda, był czas, kiedy już zwątpiłem, że do tego dojdzie, ale później wszystko znów zaczęło zmieniać się na lepsze. Czy nie mam racji?

— O, tak! — zawołała Berta.

— Chętnie posłuchałbym o pani życiu, oczywiście z pani ust — kontynuował Meier. — Mam nadzieję, że pani Marta nie ma nic przeciw temu?

— Oczywiście! — zapewniła Marta. — Nie mogę niczego odmówić panu Meierowi. On przecież tak wiele dla nas zrobił! Ale może przedtem coś zjesz, Berto?

— Dziękuję, nie jestem głodna — odpowiedziała Berta, siadając na kanapie.

Eryka podeszła do okna.

— Cóż by tu panu opowiedzieć? — zawahała się Berta, jakby nie wiedziała, od czego zacząć. — Na początku muszę stwierdzić, że rzeczywiście wykonywałam tylko sumiennie rozkazy komendanta obozu i Führera i w sądzie mogłam jedynie milczeć. Kiedy przynieśli i pokazali abażury i torebki z wyprawionej skóry...

— Z jakiej skóry? — spytała Eryka.

— Z jakiej? No z tej, tatuowanej. Wiesz, często proszą ludzie, przeważnie marynarze, tatuują na swej skórze piękne wzory. No więc to z tej ich skóry. Kiedy sądowi pokazano to wszystko, czułam, jak pętla zaciska mi się

na szyi. Nie było sensu ani tłumaczyć się, ani zaprzeczać...

— To bardzo interesujące — zachęcał Meier.

— No cóż, skazali mnie oczywiście na karę śmierci. Tylko że ja byłam przewidująca. Otóż zerknął na mnie pewien Amerykanin ze straży więziennej, nie, nie zwykły żołnierz, lecz oficer, no więc jeszcze przed rozprawą zaszłam w ciążę. Zgodnie z prawem w takich wypadkach wykonanie wyroku wstrzymuje się.

— Dowcipnie wykombinowane — pochwalił Meier.

— O, pomyślałam wówczas, mam przed sobą jeszcze sporo miesięcy, a w tym czasie wiele może się zmienić. I nie omyliłam się. Już po trzech miesiącach generał Clay zamienił mi szubienicę na dożywotnie więzienie, a później mój wyrok zmniejszył się do dziesięciu lat. A teraz, jak widzicie, jestem już na wolności. To cała moja historia... Nie wątpię oczywiście, że jestem teraz komuś potrzebna.

— Bezsprzecznie — zapewnił Meier.

— No a gdzie on? — doleciało nagle od okna.

— Jaki „on”?

— No ten... twój syn czy córka, to twoje dziecko?

— A, dziecko — powtórzyła obojętnie Berta. — Mimo wszystko narodziło się. Syn, nawet dość ładny, ale chorowity. Bardzo mi przeszkadzał... Gdyby pozostał przy życiu, byłoby mi ciężko. Ale nasz miłosierny Bóg lituje się nad nami.

Opowiadając, Berta od czasu do czasu zerknęła na Erykę, chcąc zorientować się, jak ona to odbiera; może nie ma sensu tak otwarcie mówić przy niej o wszystkim? Nie obawiała się natomiast Erwina Meiera, w którym od razu wyczuła współnika.

W pokoju zapanowało na pewien czas milczenie. Każdy starał się jakoś określić swoje stanowisko wobec tego, co usłyszał od Berty. Eryka była tym do

głębi wstrząśnięta. Wychowana jednak w duchu żelaznej niemieckiej dyscypliny, nie odważyła się zaprotestować. Marty wprawdzie też nie zachwyciły te wynurzenia, cieszyła się jednak z powrotu siostry. Dla Meiera natomiast opowiadanie Berty nie stanowiło nic nowego, bo o jej przygodach w więzieniu wiele pisało się w amerykańskich gazetach, których ani Marta, ani Eryka nie czytały. Teraz Meier zastanawiał się na tym, jak i gdzie można by wykorzystać swoją nową znajomą. Chyba w Berlinie znajdzie się dla niej sporo roboty. Trzeba tylko dowiedzieć się dokładnie, kto był inicjatorem jej zwolnienia.

— A moje wyjście z więzienia nikogo tu chyba nie zaskoczyło — przemówiła znów Berta. — Pierwszym człowiekiem, którego spotkałam, był doktor Schitke. Słynny doktor Schitke! Wie pan przecież. I kiedy mi mówią, że jestem wielką grzesznicą, to on powinien już dawno smażyć się w piekle. On sam swoimi doświadczeniami wyprawił na tamten świat dziesięć razy więcej sług bożych niż my wszyscy w obozie razem wzięci.

— Czy ciotka rzeczywiście zabiła tylu ludzi? — znów doleciał od okna drżący głos.

— Zapamiętaj to dobrze, Eryko — głos Berty zadźwięczał mocno i ostro — że ja nigdy nikogo nie zabiłam. Wykonywałam tylko rozkazy mego dowództwa. A jeśli w wyniku tego ktoś tam nawet umierał, to nie z mojej winy. Na moim miejscu postępowałabyś tak samo.

— Nigdy!

— Bzdura — zawyrokował spokojnie Meier zorientowawszy się, że rozmowa przybiera zbyt gwałtowny charakter. — Nie warto sprzeczać się i kłócić o sprawy dawno zapomniane.

— Pan rzeczywiście tak sądzi? — spytała Berta.

— Jestem tego pewien.

— A ja niezupełnie. Jeśli wypuścili mnie z więzienia, to znaczy, że jestem komuś potrzebna.

Meier roześmiał się.

— Miałem na myśli winę i karę.

— No, jeśli chodzi tylko o to, to mogę być zupełnie spokojna.

Berta wstała, przeszła się po pokoju; poły szlafroka rozchyliły się, ukazując zgrabne nogi. Twarz Berty o ostrym nosie, cienkich wargach i małych, podkreślonych kredką oczach, miała w tym momencie wyraz okrucieństwa. Meier uśmiechając się ciągle zrozumiał teraz, dlaczego komendantka z Ravensbrück stała się taka sławna. To bardzo korzystna znajomość! Nikt lepiej od niego nie potrafi znaleźć dla Berty Loch odpowiedniej roboty. Zmienił nieoczekiwanie temat rozmowy.

— Znajomy pani, doktor Schitke, mieszka na Kastanienstrasse?

— Tak — Berta zdziwiła się i przestraszyła jednocześnie; ten Erwin Meier jest świetnie zorientowany w sprawach, które tak czy inaczej jej dotyczą.

— Mam się z nim pojutrze widzieć — mówił dalej Meier. — Jeśli pani chce, to możemy pójść na to spotkanie razem.

— Nie, dziękuję, wolałabym porozmawiać z nim w cztery oczy.

— Chce pani tête-à-tête powspominać swe dawne sukcesy?

— Tak, to również — odrzekła zupełnie niespieszona. — Ale prócz tego mamy odbyć poważną rozmowę i pan by nam przeszkadzał.

— To ma dotyczyć pani przyszłej pracy?

— Być może.

— O to, jeśli pani pozwoli, już ja sam się zatrosz-

czę — odparł Meier wstając. — Proszę się tym nie martwić, praca będzie dobra i będzie pani odpowiadać.

— Pan już chce odejść? — spytała Marta.

— Tak, na mnie już czas. Eryko, jutro o dziesiątej na stadionie. Dobranoc paniom!

Gdy Marta wyszła, by odprowadzić gościa, w pokoju zaległa cisza. Ani Berta, ani Eryka nie miały ochoty rozmawiać. Komendantka wyczuła tajoną niechęć swej siostrzenicy, bogate doświadczenia obozowe zaostrzyły jej wrażliwość na buntownicze nastroje.

Eryka była porażona tym, co usłyszała. Kiedyś czytała w gazetach o swej ciotce, uważała jednak wszystkie te okropności za zwykłe kłamstwa. Teraz jednak okazało się, że te dziennikarskie rewelacje są śmiechu warte w porównaniu z prawdą. Oto siedzi przed nią ta niepokązna rudawa blondynka z ostrym nosem i jakby zapadniętym czołem, jej małe dłonie z krótkimi palcami spoczywają bezwładnie na czerwonym kwiecistym szlafroku... A właśnie te ręce trzymały pejcz i pistolet, wycinały kawałki tatuowanej skóry, zabijały ludzi...

Eryka drgnęła. Patrzyła teraz na Bertę z nie ukrywanym lękiem. Ciotka dostrzegła to.

— Boisz się mnie? — spytała łagodnie i jakby ze smutkiem.

— Tak.

— Nie bój się. To już dawno minęło. Wykonywałam tylko rozkazy. Być może wykonywałam je bardziej gorliwie od innych, ale czyż tu można znaleźć jakąś miarę?

Znów zaległo dłuższe milczenie, które przerwała Marta swoim powrotem. Wypytywała o coś siostrę, tamta coś tam odpowiadała, ale do Eryki niewiele z tego docierało. Odczuła nagle duszność i potworny lęk.

Pokój wydał się jej przerażający, sufit jakby się obniżył.

— Pójdę się przejść, mamó, wrócę wcześniej.

— Masz już narzeczonego? Jesteś zaręczona, Eryko? — zaciekawiła się Berta.

— Nie. Chyba jeszcze na to za wcześnie — odpowiedziała Eryka.

— W naszej rodzinie panienki wcześniej zaczynały — zaśmiała się Berta.

Ale Eryka nie słyszała już tego. Wyszła szybko na schody, zbiegła w dół, zatrzymała się na chodniku. Nie wiedziała, dokąd iść. Po prostu bała się dłużej przebywać z ciotką, nie mogła oddychać tym samym powietrzem.

Na Kaiserdamm przechodniów było niewiele. Spieżyli jacyś zatroskani i poważni, nie zwracając na nią uwagi. Dziewczyna weszła do budki telefonicznej, nakreśliła numer.

— To pan, Tiborze? Tak, Eryka. Chciałam spotkać się z panem i pożegnać się. Gdzie? Dobrze, przy Friedrichstrasse na peronie esbanu.

Odłożyła słuchawkę. Miała jeszcze w uszach zdziwiony, ale jednocześnie radosny głos Tibora. Uśmiechnęła się. Na sercu stało się nieco lżej.

#### ROZDZIAŁ CZWARTY

Nina Sokił poznała się z Iloną Szabo na początku zawodów berlińskich, kiedy radzieckich i węgierskich sportowców umieszczono razem w dużym i kiedyś luksusowym hotelu „Adlon”, niedaleko Bramy Brandenburskiej. Dawniej był to chyba największy hotel w Berlinie, ale podczas wojny poważnie uszkodziła go amerykańska bomba. Nie dało się od razu odbudować



całego gmachu, sportowcy dostali jednak we władanie jedno piętro w odbudowanej części, długi korytarz wypełnił się więc wesołym gwarem i śmiechem.

Po kilku godzinach mówili już sobie po imieniu, wiedzieli, kto uprawia jaką dyscyplinę sportu, kto uczy się, a kto pracuje.

Nina szczerze była zachwycona oryginalną urodą Węgierki: klasyczne rysy twarzy, czarne włosy, delikatna, matoworóżowa cera, pełne czerwone usta i duże, wyraziste, ciemnoniebieskie oczy o niespotykanym kolorycie, przypominające wieczorne niebo nad górami, kiedy zaszło już słońce i mają wnet zapłonąć pierwsze gwiazdy. Gdy Nina ją ujrzała pierwszy raz, aż stanęła z wrażenia. Ilona zaśmiała się wesoło. To był właśnie początek ich przyjaźni.

W korytarzu hotelu „Adlon” urządzono coś w rodzaju niedużego holu. Stała tam kanapa, kilka krzeseł i stolik, a na nim wazon z cienkiej porcelany pełen kwiatów. Po kolacji dziewczęta spotkały się w tym holu i próbowały rozmawiać. Nina umiała trochę po niemiecku, Ilona знаła nieco niemiecki i rosyjski, więc początkowo więcej było śmiechu niż rozmowy. Stopniowo jednak, jak to bywa w takich sytuacjach, przypominały sobie coraz więcej słów. Pierwszy wieczór zbiegł im więc na pokonywaniu trudności językowych, ale następnego porozumiewały się już zupełnie nieźle.

Okazało się, że łączy je wiele rzeczy. Obydwie dopiero co zaczęły studia: Nina na wydziale dziennikarskim Uniwersytetu Kijowskiego, a Ilona w Akademii Medycznej w Budapeszcie. Obie pasjonowały się sportem. I jednej, i drugiej podobały się wiersze Petöfiego i Lermontowa, a razily formalistyczne łamigłówki współczesnego malarstwa. Jeden z takich właśnie obrazów wisiał w holu hotelu „Adlon”: z dużego pnia wy-

rastała ludzka noga z okiem na palcu. Żadna z dziewcząt nie mogła odgadnąć sensu tego obrazu.

W końcu rozmowa przeszła na sprawy osobiste, intymne, stając się jeszcze bardziej interesującą.

— Masz chłopaka? — spytała Ilona.

— Nie — odparła stanowczo Nina. — A ty?

— Też nie — Ilona zaczerwieniła się. Jej zmieszanie widoczne było nawet przy słabym świetle.

Nina uśmiechnęła się.

— Naprawdę nie mam — usiłowała ją przekonać Ilona.

— Przecież ja nic nie mówię.

— Tak, ale myślisz sobie pewnie Bóg wie co — Ilona miała bardzo zakłopotany wyraz twarzy, więc Nina roześmiała się głośno. — Nie masz się czego śmiać — zawołała ze złością.

Kiedy się złościła, pełne jej wargi zabawnie napinały się, a niebieskie oczy ciemniały stając się prawie czarne. Była to pierwsza i jedyna sprzeczka między przyjaciółkami. I szybko by o niej chyba zapomniano, gdyby nieoczekiwanie nie zjawił się w holu z patefonem Sandor Kerekes, barczysty brunet, student uniwersytetu budapeszteńskiego, biegacz na długie dystanse. Na jego widok Ilona zarumieniła się jeszcze bardziej.

— Po co tu się nosić z tą swoją muzyką? — napadła na Kerekesa.

Chłopak stał, nie wiedząc, czym zawinił, przecież w holu co wieczór tańczyło się przy patefonie. Patrzył przez chwilę na Ninę, po czym z poczuciem winy zamrugał oczami i też mocno się zaczerwienił. Nina odgadła wszystko i zaśmiała się wesoło.

— Całkiem brzydki śmiech! — nie wiedząc, jak oddać słowo „niedorzeczny” krzyknęła Ilona i wybiegła z holu.

Sandor zmieszany patrzył jeszcze przez chwilę na

Ninę, po czym postawił patefon na stoliku i tak energicznie zakręcił korbką, jakby zapuszczał silnik samochodowy. Nastawił płytę, przez chwilę słuchał muzyki, po czym podszedł do Niny i uklonił się.

Dziewczyna chętnie wstała bez ociągania się. Nie zdążyli jednak zrobić kilku pas, kiedy wróciła Ilona. Usiedli koło niej. Rozmowa potoczyła się gładko, tylko Ilona od czasu do czasu spoglądała błagalnie na przyjaciółkę.

Muzyka ściągnęła do holu sportowców z innych pokoi. Śmiali się, próbując w tańcu rozmawiać ze sobą i pomagając sobie minami i gestem, gdzie zabrakło słów.

Po jakimś czasie wszedł do holu jeszcze jeden chłopak. Jego szczupła twarz o cienkich ustach, wysokim czole i zadziwiająco jasnych oczach miała wyraz czujnego napięcia.

Tibor Szabo od razu podszedł do gościa.

— Poznajcie się — powiedział. — To nasz niemiecki przyjaciel, Richard Baum.

Jego twarz znali wszyscy. Pamiętali, w jak znakomitym czasie przebiegł sto metrów, dzieląc się pierwszym miejscem z Suchanowem.

— Pozwólcie do nas, towarzyszu Baum — zaprosiła Nina.

Richard, przywitawszy się, usiadł ostrożnie między nią a Iloną. Przysiadło się do nich jeszcze kilku sportowców. Przez jakiś czas wszyscy milczeli, jakby zastanawiając się, od czego rozpocząć rozmowę.

— Jak wam się podobało w Berlinie? — przerwał wreszcie ciszę Baum.

— No cóż, miasto bardzo zrujnowane — odpowiedziała za wszystkich Nina.

Richard skinął głową i przesunął dłonią po twarzy, jakby sprawdzał, czy jest dobrze ogolona.

— Co prawda, to prawda — powiedział. — U nas nazywają miasto parkiem kultury i wypoczynku imienia angloamerykańskiego lotnictwa. Ale już niedługo tak będzie. Możecie być pewni: zrobimy je bajecznie pięknym. Potrzebne są do tego tylko czas i pokój.

— Słusznie — rzekła Ilona. — Teraz wygląda straszliwie, same ruiny.

— No, nie wszędzie — zaoponował miękko Baum. — Proszę popatrzeć na niektóre ulice. Były zupełnie zrujnowane, a spójrzcie, jak wyglądają obecnie.

— Widzieliśmy — włączył się do rozmowy Tibor. — Ta, przy której stoi hotel, jest wspaniała. A pan interesuje się chyba nie tylko sportem, ale i budownictwem?

— Tak — twarz Bauma nieoczekiwanie rozjaśniła się uśmiechem. — Jestem architektem. Wiecie, byłem niedawno w Moskwie, widziałem nowy uniwersytet, i może pierwszy raz w życiu pomyślałem, jak zaszczytny jest mój zawód. Wszyscy piszą o Berlinie, że szary, monotony, ponury. I mają rację. Dotąd rzeczywiście tak było, ale w przyszłości to się zmieni. Bardzo kocham Berlin, to moje rodzinne miasto. Musi powstać z ruin jak feniks z popiołów. Nasz Berlin stanie się miastem pięknym, pełnym światła i przestrzeni, gdzie dobrze będą się czuli zarówno goście, jak i gospodarze.

Na twarzy Niny pojawił się wyraz zdziwienia.

— Pani jest, zdaje się, pierwszy raz w NRD i zaskoczyły panią moje słowa? — spytał, uśmiechając się.

Nina w milczeniu skinęła głową.

— Proszę się nie dziwić — kontynuował Baum. — Gdy przyjedzie tu pani po raz drugi, a przyjedzie pani, jak sądzę, na przyszłe lato, to przygotujemy wam wszystkim, no i sobie oczywiście, wspaniały prezent.

— Co takiego?

— Zbudujemy stadion — Richard Baum wstał podniecony i przeszedł się po holu. — Zbudujemy niedaleko stąd wspaniały stadion, taki, którym Berlin mógłby pysznić się nawet za sto lat. Podobno latem przyszłego roku odbędą się międzynarodowe zawody lekkoatletyczne studentów. I właśnie u nas, w demokratycznym sektorze Berlina...

Wiadomość ta zrobiła duże wrażenie. Wprawdzie sportowcy już coś niecoś słyszeli na ten temat, ale nikt nie wiedział jeszcze nic konkretnego. Sandor Ke-rekes zatrzymał nawet patefon.

Richard Baum dalej mówił z przejęciem o swoich planach.

— Zastanawiamy się teraz nad tym, jaki ma być ten stadion, żeby zasłużył na miano stadionu pokoju. Mam już jego wizję, która sprawia mi wiele radości.

Rozmowę przerwała stateczna pani z recepcji, która sznurując usta oznajmiła oficjalnym tonem:

— Pan Tibor Szabo proszony do telefonu.

Tibor wybiegł. Aż zająknął się z radości, gdy poznał głos Eryki.

— Tak, oczywiście, będę przy Friedrichstrasse za piętnaście minut. Tak strasznie się cieszę, że panią słyszę, Eryko...

Gdzieś na drugim końcu przewodu odłożono słuchawkę. Nikomu nic nie mówiąc Tibor opuścił hotel.

Przeszedł w samą porę: za chwilę wjechał pociąg, lśniąc lakierem i światłami. Eryka wyszła na asfaltowy peron i rozejrzała się. W drodze karciła się za lekko-myślność, nie mogła jednak teraz być sama. Tak bardzo chciała zobaczyć tego przystojnego, wesołego chłopca! Dał jej swój telefon jeszcze tam, na stadionie, przed powrotem Meiera. Wszystko to działo się tak szybko;

zanim zdążyła się opanować, wrócił Meier i trzeba było pożegnać się z nowym znajomym.

— Chciałam przed wyjazdem zobaczyć się z panem — rzekła, jakby się usprawiedliwiając.

— To był świetny pomysł! — odparł gorąco Tibor.

Wziął dziewczynę pod rękę i wyszli z peronu. Erykę opadł nagle jakiś lęk. A może nie trzeba było tu przyjeżdżać?

— Dokąd pójdziemy? — spytał Tibor, ogarnięty jakimś radosnym podnieceniem.

— Nie wiem, dokąd pan chce — odpowiedziała dziewczyna.

— Variétés?

— Za późno, chyba dawno już się zaczęło.

— Cyrk?

— Też za późno.

— Wie pani co? Pójdziemy do nas. Jestem tu z siostrą, jest nas cała paczka, tańczą, śpiewają! Pójdziemy?

— A gdzie to?

— Hotel „Adlon”.

— Nie, do hotelu nie pójdę.

— Ależ, Eryko, jestem tam z siostrą, no i nie do mnie zapraszam, tylko do nas. Możemy tam i porozmawiać, i potańczyć... Chodźmy!

Głos jego brzmiał błagalnie, niemal rozpaczliwie, odmowa sprawiłaby mu przykrość, a poza tym Eryka chciała przyjrzeć się towarzyszom Tibora. Zgodziła się.

Kiedy Tibor otworzył przed nią drzwi do holu, Ilona chwyciła Ninę za rękę.

— Patrz!

— Kto to? Gdzie ja ją widziałam?

— Na stadionie. To Eryka Stahlberg.

— Poznajcie się — prezentował Tibor. — To moja dobra znajoma Eryka Stahlberg.

— Nina Sokił.

— Oklaskiwałam panią na stadionie, pani wspaniale biega. Nie wiem, czy widziałam coś doskonalszego.

— Dziękuję.

— Moja siostra Ilona — rzekł Tibor.

— A z panem Baumem to się znamy — dziewczyna uśmiechnęła się do młodego architekta.

— Nie spodziewałem się, że się tu spotkamy. Bardzo się cieszę, że panią widzę — powiedział Baum. — A cieszyłbym się jeszcze bardziej, gdybym zobaczył panią na stadionie, ale nie na trybunie, lecz na boisku.

— To zależy nie tylko ode mnie.

— Szkoda. A może jeszcze wszystko zmieni się u pani?

— Mało jest na to nadziei.

Sportowcy przycichli, zaciekawieni zjawieniem się nieoczekiwanego gościa. Ale nie na długo. Po chwili znowu zaczęły się tańce, rozległy się śmiechy. Na Erykę nie zwracano już więcej uwagi, więc dziewczyna nie czuła się tak skrępowana i rozmawiała wesoło z siedzącymi obok sportowcami.

— Nie żałuje pani, że tu przyszła? — spytał Tibor.

— Nie. Zatańczymy?

Tibor delikatnie objął ją i dopiero teraz Eryka zorientowała się, jaki on jest wysoki i jak dobrze się z nim tańczy.

Taniec się skończył. Tibor nie zdążył wrócić z Eryką na miejsce, kiedy znowu rozległa się muzyka. Jeden ze sportowców z ukłonem zastąpił Eryce drogę. Dziewczyna uśmiechnęła się do Tibora i poszła tańczyć z nieznajomym. Potem znów z kimś innym. Wreszcie podeszła do niego, usiedli w pluszowych fotelach w mało oświetlonym kącie holu.

— Jaka piękna jest pańska siostra!

— Podobno.

— A ta Nina Sokił wspaniale biega — w jej głosie można było wyczuć nutę zazdrości.

— Tak. Ale można oczekiwać od niej znacznie więcej.

Spojrzenie Eryki błędziło po holu, po ludziach, niekiedy zatrzymywało się na Tiborze. Początkowo sądziła, że odnosi się tu do niej obojętnie, może nawet wrogo, ale już pierwsze chwile rozwiały jej obawy. Już dawno nie przebywała w towarzystwie ludzi, którzy wzajemnie rozumieją się lub chociaż starają się zrozumieć. Przypatrywała się sportowcom radzieckim i rozmyślała, czy rzeczywiście są tacy, jakimi przedstawiają ich na Zachodzie? Student, robotnik, urzędnik, aktorka. O co tu właściwie chodzi? Dlaczego ona nie może zмагаć się z nimi? Dlaczego ma do tego prawo Richard Baum? Dlaczego Niemcy i Berlin zostały rozdarte na kawałki?

Pytanie takie zadała sobie chyba po raz pierwszy w życiu. Kto na nie odpowie? Może Tibor?

— Chciałam pana, Tiborze... — ale Węgier nie dowiedział się, co Eryka chciała, bo jej spojrzenie padło na jego lewą rękę. — Swastyka? Co to znaczy? — spytała zdumiona.

— To pamiątka z Ravensbrück. Na szczęście ona nie zdążyła mnie wykończyć, w przeciwnym razie nigdy byśmy się nie spotkali.

— Kto „ona”?

— Proszę czytać.

Tibor uniósł rękę. Na opalonej skórze widniały słowa: „Berta Loch”.

Eryka zeszywniała z przerażenia. A co będzie, jeśli ktoś wie?... Nie, nie, to niemożliwe! Co Tibor pomyśli o niej, kiedy dowie się, kim jest dla niej Berta Loch?

— Muszę już wracać do domu.

— Co pani jest? — zaniepokoił się Tibor.



— Nic. Przez kilka chwil zdawało mi się, że i ja też mogę być szczęśliwa. Jestem panu bardzo wdzięczna za cudowny wieczór.

— Mogę panią odprowadzić? — spytał Tibor, który dostrzegł gwałtowną zmianę w nastroju Eryki, nie umiał jednak tego wytłumaczyć.

— Tak, będę bardzo rada — głos dziewczyny brzmiał smutno.

Wyszli żegnani przyjaznymi uśmiechami.

— Bardzo mi jej żal, tej Eryki Stahlberg — rzekła Nina — chociaż sama nie wiem dlaczego.

— Mnie też — powiedziała Ilona.

Idąc ulicą Friedrichstrasse, wsparta mocno na ramieniu Tibora, Eryka myślała, że nie miała chyba jeszcze w życiu tak pięknego, a jednocześnie tak okropnego wieczoru.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Pisarz André Chartin — mistrz Chartin, jak nazywali go przyjaciele i wielbiciele — przyjechał do Berlina na premierę swojej nowej sztuki. Zaproszenie otrzymał od samego dowódcy amerykańskich wojsk okupacyjnych w Berlinie, co w kołach oficjalnych stanowiło niewątpliwą aprobatę twórczości literackiej pisarza.

Odprowadzał go syn, porucznik armii francuskiej.

Kiedy wyszli z lotniska Tempelhof, powitał ich uśmiechnięty zdawkowo dyrektor Nebel-Theater, który odwiózł ich do starego hotelu „Ritz”, przypominającego z zewnątrz średniowieczny zamek w angielskim sektorze Berlina przy Kurfürstendamm. Otrzymali luksusowe, nowocześnie urządzone pokoje, co wraz z przecuciem dużego, a może nawet niezwykłego sukcesu

sztuki wprawiło mistrza Chartina w wyśmienity nastrój.

Jeszcze na lotnisku dowiedział się od dyrektora teatru, że premiera odbędzie się następnego dnia, z czego się bardzo ucieszył. Rozumiał też powody życzliwego zainteresowania generała Claya: napisał przecież utwór o wyraźnych akcentach antyradzieckich, z którego między innymi wynikało, że w minionej wojnie Związek Radziecki uratowało uruchomienie przez zachodnich sojuszników drugiego frontu. Chartin szczerze wierzył w siłę armii amerykańskiej i pisał swą sztukę z pełnym przekonaniem.

Berlin znał jeszcze sprzed wojny. Przez kilka miesięcy studiował tu filozofię na uniwersytecie przy ul. Unter den Linden, która znalazła się teraz we wschodnim sektorze Berlina. Ciekawe, czy można będzie tam pojechać i obejrzeć uniwersytet? Może z niego nawet śladu nie zostało?

Już w drodze z Tempelhofu do hotelu pisarz przekonał się, że nie na wiele zda się przedwojenna znajomość Berlina. Nie można było nawet rozpoznać ulic. Nigdy nie widział jeszcze tak strasznie zbombardowanego miasta. Na pół zburzony Gedächtniskirche na końcu Kurfürstendamm wrzynał się w niebo jak olbrzymi kieł. Nawet teraz, już tyle lat po wojnie, były w Berlinie ulice zupełnie zawałone starą, zleżałą cegłą i tynkiem. Ruiny porastała zielona trawa, a mimo to zdawało się, że ciągle jeszcze zalatują trupim odorem i pogorzeliiskiem. Przedstawiały obraz zupełnego zapuszczenia.

Dopiero kiedy samochód wjechał na Kurfürstendamm, Chartin odetchnął z ulgą. Ta ulica była odbudowana, przypominając stary Berlin. Często spotykało się szyldy i napisy w języku angielskim. „Ciekawe miasto, muszę po nim pojeździć” — pomyślał pisarz.

Jego syn Charles był tą podróżą zachwycony. Ruiny nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Dużą satysfakcją natomiast sprawiały mu dowody sławy ojca, kiedy oglądał niebieskie afisze Nebel-Theater lub słyszał jego nazwisko, wymawiane wszędzie — na lotnisku, w hotelu, na ulicy — z szacunkiem i uznaniem.

Ledwie przyjechali z lotniska, urządzili się w hotelu i zjedli obiad — słodką zupę i mięso na słodko, zaczęło zmierzchać. Stary Chartin wyszedł na ulicę, kupił kilka gazet, wrócił do hotelu i usiadł przy oknie, spoglądając na szeroką asfaltową wstęgę Kurfürstendamm, przedzieloną w środku długimi, zielonymi, ogrodzonymi klombami. Potem zabrał się do czytania prasy. To będzie chyba interesujące porównać, co piszą o tych samych wydarzeniach dzienniki wschodniego i zachodniego Berlina.

— Oto co znaczą różne punkty widzenia, Charles — zawołał Chartin, a jego pełna twarz aż poczerwieniała z zadowolenia. — Patrz, gdzieś tam we wschodnim sektorze odbywają się zawody lekkoatletyczne z udziałem Rosjan i Węgrów. „Nachtexpress” stwierdza, że jest to wielkie wydarzenie sportowe, a „Tagesspiel” pisze, że nie ma co oglądać.

— Pojedziemy tam?

— Interesuje cię to? Widzę, że przyjąłeś punkt widzenia „Nachtexpress” i wszystkich wschodnich gazet — stwierdził uroczyście Chartin i roześmiał się. — Ale nie przejmuj się: w tych tendencyjnych informacjach może zgubić się nawet człowiek o wiele bardziej doświadczony od ciebie... Możemy jednak tam pójść, miałbym ochotę przypomnieć sobie młode lata i odetchnąć powietrzem stadionu.

Wstał, przeszedł się po pokoju, wypiął pierś, zgiął rękę w łokciu — przez rękaw koszuli przebijały napięte mięśnie. Kiedyś uprawiał sport, był zapaśnikiem.

Nieraz staczał zwycięskie walki z zawodowcami, broniąc skutecznie barw swego klubu. Z przyjemnością wspominał te czasy. Organizm zahartowany sportem pozwalał oczekiwać jeszcze długich lat życia.

Zadzwoił telefon. Chartin podniósł słuchawkę. Adjuvant amerykańskiego generała pytał, czy ma honor rozmawiać z wielce szanownym panem André Chartin, po czym natychmiast połączył pisarza ze swoim szefem. W słuchawce rozległ się tubalny, pewny siebie, władczy głos generała Stanleya. Mówił wesoło, szybko, w pełnym przekonaniu, że rozmowa z nim może być dla rozmówcy tylko przyjemnością. Generał przeproszał Chartina, że nie mógł spotkać się z nim dzisiaj, ale zobaczą się na pewno jutro po premierze. A jeśli mistrz dysponuje czasem, to prosi go, by rozejrzał się po wschodnim sektorze Berlina, może to bowiem dostarczyć materiału do ich przyszej rozmowy. Zgoda? No to wspaniale! A więc do zobaczenia po teatrze.

Chartin położył słuchawkę ostrożnie jak brzytwę. Ten Stanley uzurpuje sobie wobec niego prawa bezceremonialnego gospodarza. Nie dał mu przecież żadnego powodu do podobnego traktowania. Im dłużej analizował tę rozmowę, tym jego nastrój coraz bardziej się pogarszał. Odnosił wrażenie, że Amerykanie, dysponując jego sztuką i godząc się na jej wystawienie, uważają, że mają prawo dysponowania również jej autorem. Tego tylko brakowało! Czy im już nie wystarczy, że w Paryżu wykupili wszystko co najdroższe: najpiękniejsze kobiety, najbardziej luksusowe hotele, najcenniejsze obrazy? Chętnie zagarnęliby i Luwr, i katedrę Notre Dame, gdyby tylko można je było wywieźć. Był tak rozdrażniony, że nie mógł sobie znaleźć miejsca.

W tym czasie Charles czytał gazety.

— Patrz, ojcze, oni jednak zdołali coś niecoś zrobić w tym Berlinie. Nie wiem, jak tam we wschodnim, ale

sektor zachodni coraz bardziej zaczyna upodabniać się do Ameryki. To jednak świetni faceci!

— Żeby tylko ci twoi świetni faceci całego świata nie zrobili drugiej Ameryki, bo za bardzo sobie...

— Nie rozumiem cię — przerwał Charles, patrząc zaskoczony na ojca. — Wydawało mi się, że żyłeś zawsze w zgodzie z Amerykanami.

— Oni bardzo podobają mi się w Ameryce, trochę mniej w Berlinie, jeszcze mniej w Paryżu, ale zupełnie mi nie odpowiada, kiedy chcą mi wleźć z butami do duszy.

— Miałeś nieprzyjemną rozmowę z generałem?

— Przeciwnie. Bardzo przyjemną.

— Więc dlaczego się złościysz?

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Chartin prychnął gniewnie, rozsiadł się wygodnie w fotelu i zajął się czytaniem gazet. Po paru minutach odłożył je i znowu zaczął patrzeć przez otwarte okno. Nad Berlinem zapadł już wieczór. Kurfürstendamm migła neonami reklam, które nadawały jej nieco tajemniczy wygląd. Ulicami przechodziły grupy amerykańskich i angielskich żołnierzy. W półmroku rozmawiali głośno, jakby chcieli tym podkreślić, kto tu jest prawdziwym gospodarzem. Ta hałaśliwość szczególnie drażniła Chartina.

Spał tej nocy źle. Rano przy goleniu długo wpatrywał się w workowate obrzęki pod oczami. Człowiek w jego wieku nie powinien już wybierać się w takie dalekie podróże.

Nadeszła wreszcie premiera w dużym, ale zacisznym Nebel-Theater. „Nebel” to po niemiecku „mgła”, odpowiednio więc do nazwy fotele obito srebrzystobłękitnym aksamitem i taka też była kurtyna. Chartin zdążył już być za kulisami, pogrążając się w tej nerwowej atmosferze, jaka towarzyszy zawsze każdej premierze.

Aktorzy patrzyli na niego jak na Boga. Przeżywał to już nieraz...

Charles siedział w dyrektorskiej łoży obok ojca, lustrując uważnie i krytycznie publiczność; z niezadowoleniem stwierdził, że w Berlinie jest mało ładnych kobiet. Chartin nie zwracał uwagi na komentarze syna, zajęty również obserwowaniem publiczności. Teatr powoli wypełniał się, za kilkanaście minut rozpoczynało się przedstawienie.

— Drogi mistrzu — rzekł dyrektor wchodząc do łoży. — Przynoszę panu dobrą wiadomość: wszystkie bilety na dzisiejszy wieczór zostały rozchwyte, a koniki sprzedają je pod teatrem po podwójnej cenie. Tylko pańska sztuka i pańska obecność mogły wywołać tak olbrzymie zainteresowanie.

Chartin zbył to milczeniem. Rozmowa o biletach i konikach wydawała mu się w takiej chwili czymś bardzo niewłaściwym.

— Mam dla pana, mistrzu, jeszcze jedną nowinę — powiedział dyrektor, zacierając z zadowoleniem wilgotne dłonie, i nachylił się do ucha pisarza. — Radziecka Komisja Kontrolna poprosiła o dwa bilety. To pierwszy wypadek w naszej praktyce. Teraz widzi pan sam, jaką niezwykłą sensacją stała się w Berlinie pańska sztuka.

Usłyszawszy to Chartin drgnął.

— Gdzie oni będą siedzieć?

— W trzecim rzędzie przy samym przejściu.

Chartin spojrział na trzeci rząd. Po lewej stronie były jeszcze dwa puste miejsca.

— O publiczność może pan być zupełnie spokojny — mówił dalej dyrektor, dostrzegłszy zaniepokojenie autora. — Postaraliśmy się o to, żeby na premierze była doborowa publiczność i jak najmniej widzów niepożądanych. Ale Rosjanom nie mogliśmy odmówić biletów.

Dyrektor usiłował jakoś złagodzić wrażenie, wywo-

lane informacją o premierowej widowni, ale Chartin zrozumiał go bardzo dobrze: publiczność była odpowiednio dobrana. Miał takie uczucie, jakby uczestniczył w jakiejś podejrzanym machinacji. Po co ta tajemniczość i ostrożność? Jeśli sztuka ma antyradzieckie ostrze, to przecież są na świecie utwory znacznie ostrzejsze. Nie wytrzymał i powiedział to dyrektorowi.

— Pan nie zna Berlina — rzekł tamten tonem łagodnej i uspokajającej perswazji. — To teraz przedziwne miasto, po którym można wszystkiego się spodziewać. Bagdad z jego cudami oraz baśniami z tysiąca i jednej nocy to w porównaniu z Berlinem zero. Mam nadzieję, że podjęte przez nas środki ostrożności okażą się zbyt skuteczne, ale nadmiar czujności nie zaszkodzi.

Dyrektor wyszedł z łoża, raz jeszcze obdarowując Chartina jednym ze swoich najbardziej uprzejmych uśmiechów.

— Słyszałeś? — spytał Chartin syna.

— Tak, słyszałem i nie rozumiem twego oburzenia. Sukces sam nie przychodzi, trzeba go organizować, a każdy środek jest tu dobry.

Chartin spojrział na syna ze zdziwieniem. Po raz pierwszy w życiu słyszał z jego ust tak kategorię sądy. Przypuszczalnie przejawiał się tu już wpływ armii. Powinien poświęcać wychowaniu syna więcej uwagi.

W wejściu błysnęły szerokie złote naramienniki. Na widownię weszli radzieccy oficerowie. Chartin patrzył teraz tylko na nich. Major i lejtnant, obydwaj w galowych mundurach, z orderami i medalami na piersiach, zmierzali powoli do swoich miejsc. Pisarz uważnie wpatrywał się w sympatyczną, uśmiechniętą twarz starszego już wiekiem majora o siwiejących włosach i inteligentnych, szarych oczach. Major wiedział, że nic go tu nie może zaskoczyć, był więc spokojny. Jego

towarzysz, bardzo młody jeszcze lejtnant, wydawał się być lekko zaniepokojony. Przez cały czas przyglądał się widzom na parterze, potem zlustrował wzrokiem łoże, odszukał Chartina i powiedział coś do majora. Ten spojrzał na pisarza. Ich oczy spotkały się, Chartin pierwszy spuścił wzrok.

Po widowni przebiegł szmer jak powiew wiatru, pojawienie się w teatrze radzieckich oficerów wywołało niemałą sensację. Wszyscy wiedzieli, przeciw komu skierowane jest ostrze sztuki, oczekiwano więc jakiegoś skandalu.

Przedstawienie rozpoczęło się w absolutnej ciszy. Chartin od razu zrozumiał, dlaczego dyrektor zatroszczył się o skład widowni. Wszystko w sztuce pozostawało bez zmian, reżyser ani nie dodał, ani nie usunął jednego słowa, wyeksponował jednak te wszystkie akcenty, które podkreślały tendencyjną antyradzieckość dzieła. Chartin nie poznawał swego utworu, mimo że wszystko było zgodne z jego tekstem.

Publiczność przyjmowała przedstawienie z pełnym aplauzem. Przerywano je ciągle oklaskami, wywoływano aktorów po każdym akcie.

Chartin siedział w łoży i starał się nie patrzeć na radzieckich oficerów. Czuł się dość podle i nie mógł zrozumieć dlaczego. Przecież to był prawdziwy sukces!

Spektakl zakończył się przy burzliwej owacji całej widowni. Kiedy opadła kurtyna, dyrektor wbiegł do łoży i pociągnął autora na scenę. Nie pozostawało mu nic innego, jak się kłaniać. Wyszedł na środek sceny otoczony aktorami i spojrzał przede wszystkim na gości w trzecim rzędzie. I znawu spotkał się ze spojrzeniem majora, tylko teraz oficer patrzył wesoło, niemal kpiąco. Chartin zachnął się. „A co, nie podobało się?” — pomyślał, wytrzymując wzrok majora. — Słuchaj, z jakim aplauzem mnie przyjmują. Ale oficerowie radziec-



cy nie mieli ochoty słuchać, wstali ze swoich miejsc. Oklaski urwały się. Zapanowała zupełna cisza. Wszyscy oczekiwali jakichś wydarzeń. Co się teraz stanie?

Jednak nic sensacyjnego się nie wydarzyło. Major i lejtnant spokojnie poszli do wyjścia. Na złotych naramiennikach, które poruszały się płynnie w takt kroków, błyszcząły pięcioramienne gwiazdy. Chartin nie wiedział: zejść już ze sceny, czy jeszcze stać?

I nagle w sali zabrzmiał potężny bas:

— A kto wszedł pierwszy do Berlina? Kto uratował sojuszników pod Ardenami?

Chartin czuł, jak krew uderza mu do głowy, w oczach pociemniało. Przeraził się, chciał coś powiedzieć, nie mógł jednak wymówić słowa i tylko chwycił ustami powietrze...

Dyrektor spojrział na niego z niepokojem, pisarz zdołał się jednak opanować, ciemne koła przed oczami znikły. W teatrze panowała zupełna cisza, tak że sły-chać było energiczne kroki wychodzących oficerów radzieckich.

Pierwsi opamiętali się aktorzy. Zaczęli znowu bić Chartinowi brawo, a sala natychmiast to podchwyciła. Kurtyna opadała i unosiła się, pisarz wychodził i kłaniał się w grzmocie oklasków, miał jednak takie uczucie, jakby stało się jakieś nieszczęście.

Następnego dnia obudził się później niż zwykle. Po przedstawieniu wypadło zaprosić na kolację dyrektora, reżysera i kilku aktorów z Nebel-Theater. Wypili sporo, więc odczuwał tępy ból głowy, dawała też znać o sobie wątroba. Był w fatalnym nastroju. Zwykle pijaństwo nigdy nie powodowało tak fatalnego samopoczucia. Co złego stało się właściwie wczorajszego wieczoru?

Niedługo musiał sobie przypominać. Przed oczyma zamajaczyły mu złote naramienniki oficerów radziec-

kich, a w uszach zabrzmiał krzyk z galerii, po którym zapanowała cisza, rozbijana odgłosem równych kroków na parkiecie. Ależ to dureń, ten dyrektor, nie potrafił odpowiednio zorganizować publiczności premierowej! Pisarz zdążył już zapomnieć, jak wczoraj oburzał się na „organizowanie publiczności”.

Rozejrzał się po zalanym słońcem pokoju. Charles siedział obłożony gazetami. Pachniało kurzem, wodą kolońską i świeżą farbą gazetową.

— Nawet nie wyobrażasz sobie, co piszą w gazetach!  
— zawołał syn, kiedy tylko zauważył, że ojciec otworzył oczy.

— Coś szczególnego? — spytał ze złością Chartin, rozcierając ścierpnięty kark, który bolał go po każdej libacji.

— Nie wiem, być może jest w Berlinie człowiek znakomitszy od ciebie, ale jeszcze go nie zauważyłem — wygłosił uroczyście syn.

Chartin puścił mimo uszu te słowa. Wyobrażał sobie jednak, co piszą o nim w gazetach. Wstał, poszedł do łazienki i długo tam prychał i sapał przy goleniu. Potem napuścił pełną wannę lodowatej wody.

Po kąpieli ból w karku zelżał.

— Zamówiłeś już śniadanie? — spytał syna, gdy wszedł do pokoju.

— Tak.

— Podaj gazety.

Charles wręczył mu z uśmiechem spory plik. Chartin przebiegał oczyma recenzję za recenzją. Rzeczywiście, bardzo go tam wychwalali. Chyba nigdy jeszcze nie oceniono go tak wysoko, porównując z Szekspirem i Shawem. I wszędzie podkreślano jedno: armia anglo-amerykańska jest najsilniejsza w świecie, czego dowiódł w swej sztuce genialny pisarz Henri Chartin.

— A gdzie dzienniki wschodniego Berlina?

Charles spojrział na ojca ze zdziwieniem.

— Po co ci one?

— Idź i kup. Nigdy nie należy wysłuchiwać tylko jednej ze stron.

— Zdaje mi się, ojcze, żeś zupełnie niedwuznacznie opowiedział się, którą stronę wybierasz, i powinno ci być obojętne, co myślą i piszą o tobie wrogowie.

— Niczego nie wybrałem. Idź zaraz i kup te gazety.

Charles wzruszył ramionami i wyszedł. Czekał na niego Chartin chodził po pokoju i od czasu do czasu spoglądał w lustro na swój czerwony, gruby i tak wrażliwy kark. Trzeba dbać więcej o zdrowie, które ostatnio zaczyna się psuć. W głębi duszy wiedział, że tak nie jest, tego rana jednak wszystko widział w ciemnych barwach.

Wreszcie wrócił z gazetami Charles.

— No? — spytał Chartin niecierpliwie.

— Nie mogę nic znaleźć.

— Co takiego? — pisarz wyrwał mu z rąk dzienniki i zaczął przeglądać. Istotnie, nie było żadnej recenzji. Za to zwrócił jego uwagę materiał, jaki przeoczył lub nie potrafił właściwie ocenić Charles. Był to suchy, kronikarski artykuł, który krok za krokiem, dzień za dniem, fakt za faktem odtwarzał tempo posuwania się wojsk radzieckich w Europie. Obok zamieszczono podobne zestawienie dotyczące wojsk sojusznicznych — od lądowania w Normandii aż do końca wojny. Chartin nie znalazł tam żadnej nieścisłości i to go najbardziej rozeźliło, bo w bardzo sprytny sposób zniweczono cały jego twórczy wysiłek. I zrobiono to z pełnym obiektywizmem, miażdżąc pisarza samymi faktami. Niech będą przeklęte!

Syn śledził ojca z niepokojem.

— Nie zauważyłem tam niczego przykrego.

— Bo jesteś dureń! — wybuchnął ojciec. — Masz, czytaj!

Charles przeczytał wskazany artykuł i twarz pociemniała mu z gniewu.

— Rozumiesz?! — zawołał ojciec.

— Kłamstwo! To wszystko nieprawda! — krzyknął syn. — Prawda jest tam, w twojej sztuce, w przedstawieniu Nebel-Theater! Prawda jest w tych gazetach, które najpierw czytałeś. Biliśmy i będziemy ich bić! Oto jaka musi być prawda.

— Kogo „ich”?

— Oczywiście Rosjan. A jeśli nawet było inaczej, to tym gorzej dla prawdy. A poza tym nie powinieneś się tym przejmować: czym jest ta notatka wobec tamtych dużych entuzjastycznych recenzji?

Kelner przyniósł śniadanie — trzy żółte oka jajecznicy, amerykański dżem i kawę. Rozmowa urwała się.

— Jaki mamy dziś program? — spytał Charles po wyjściu kelnera.

— Stanley prosił, żebym obejrzał wschodni sektor. Poza tym postanowiliśmy przecież pójść na zawody sportowe.

— Nie spodziewam się po nich niczego ciekawego — odparł syn. — I kawa w tym mieście podła!

Chartin raz jeszcze pomyślał, że w ostatnich czasach nie zawsze orientuje się, jakimi drogami wędrują myśli syna. Skarcił się znowu za to, że za mało zajmuje się jego wychowaniem i zaczął szykować się do wyjścia.

— Może poprosić Stanleya, żeby dał nam ochronę? — spytał Charles.

— Bzdura!

— Jak uważasz.

Pisarz naciągnął na siwe, szorstkie, sterczące włosy mały gaskoński beret, przerzucił przez ramię aparat fotograficzny, włożył do ust długą fajkę angielską.

— Jestem gotów — powiedział.

— Ja też.

Naraz cicho otworzyły się drzwi. W progu stanął adiutant generała Stanleya. Generał prosił, by Chartin zaszczycił go swoją wizytą. Powiedziane to było takim władczym tonem, że pisarz omal nie wybuchnął i nie posłał adiutanta do stu diabłów, powstrzymał się jednak.

— Zaczekaj tu na mnie — zwrócił się do syna. — Być może pojedziemy jeszcze dziś do domu. Obrzydł mi już ten Berlin!

W odpowiedzi Charles wzruszył tylko ramionami. Ojciec rzadko bywał taki nerwowy.

W pół godziny później Chartin znalazł się w rezydencji generała Arwida Stanleya, położonej na zielonym, malowniczym przedmieściu Berlina, Zellendorf. Pisarz denerwował się tym spotkaniem. Cokolwiek by się powiedziało, to jednak od Stanleya zależał los wielu ludzi w Europie. Chartin spodziewał się zobaczyć okazale prezentującego się dygnitarza wojskowego, a powitał go pięćdziesięcioletni, chudy jak żerdź, łysy mężczyzna o wesołym usposobieniu, w lekkim szarym garniturze i koszuli bez krawata. Całym swym wyglądem generał usiłował podkreślić nieoficjalny i przyjazny charakter tego spotkania, co Chartin wyczuł od pierwszego słowa.

Generał Stanley niewiele miał okazji do rozmów z pisarzami i nie bardzo wiedział, jak z nimi postępować, był więc teraz trochę zdenerwowany. Cokolwiek by o nich sądzić, to jednak właśnie pisarze przekazują potomnym opisy zwycięstw wielkich wodzów, a Stanley uważał, że ma wszelkie podstawy, by się do nich zaliczać. No więc trzeba chyba wprawdzie stworzyć serdeczny, bezpośredni nastrój, a potem namówić Chartina, by napisał coś pożytecznego dla armii amerykań-

skiej. Byłby to sukces, gdyby mu się udało, bo w obecnych czasach nazwisko takiego pisarza jest na wagę przynajmniej kilku dywizji.

Powierzchnowość Chartina nie zrobiła na generale dobrego wrażenia: mięsisty nos, sterczące włosy, na których odcisnął się krążek od ciasnego beretu, spojrzenie czujne i podejrzliwe, jakby spodziewał się jakiejś przykrości.

Oczywiście szkoda, że od razu musieli przystąpić do rzeczowej rozmowy, ale może to i lepiej. Wszyscy ci Francuzi, nawet najznakomitsi, nie potrafią zrozumieć wielkich zadań, stojących przed dowództwem amerykańskim w Europie. Nic na to nie można poradzić, im zawsze brakowało poczucia odpowiedzialności przed historią, a tym bardziej odpowiedzialności na skalę amerykańską. I nawet trochę dziwne, jak oni potrafili kiedyś zrobić w Paryżu taką wspaniałą rewolucję! Trzeba będzie kiedyś w wolnej chwili nad tym pomyśleć.

Generała Stanleya poczucie odpowiedzialności przed historią ostatnio wręcz rozpierało. Byłoby jednak — rzecz jasna — dziwne, gdyby nie zjawilo się u człowieka z takimi pełnomocnictwami. Może na przykład z Niemcami zrobić, co tylko zechce. Co prawda sprawy są teraz bardziej skomplikowane niż w pierwszych latach bezpośrednio po wojnie. Niemcy jednak podporządkowują się wszystkim rozkazom. Ale nie wolno przy tym zapominać, że to wielki naród, którego potencjalnej siły nie można nie doceniać. Dlatego też wszystkie jego zarządzenia muszą być dobrze przemyślane, żeby w przyszłości jakiś nowy Chartin, pisząc biografię generała, mógł z pełnym pokryciem umieścić nazwisko Arwida Stanleya nie tylko wśród znakomych dowódców, ale też i wybitnych dyplomatów. No więc trzeba być uprzejmym i przyjaznym również dla tego obecnego Chartina. Powiadają, że praca pisarza

zależy od natchnienia. Bardzo możliwe, chociaż trudno sobie wyobrazić, co to właściwie jest to natchnienie. Należy założyć, że pewien wpływ na tę kategorię psychologiczną mają pieniądze. Generał słyszał już nieraz, że za pieniądze, co prawda duże pieniądze, udawało się kupować natchnienie nawet najznakomitszych artystów. Nie wiadomo, jak ustosunkowują się do tego pisarze, a zwłaszcza ten naburmuszony Chartin, dlatego oczywiście nie będzie mówiło się na razie o pieniądzach, chociaż tę ostatnią metodę Stanley uważał za najskuteczniejszą. No cóż, można przez jakiś czas głądzić o byle czym.

Trzeba rozpocząć oczywiście od dobrego alkoholu.

— Cieszę się bardzo z poznania pana, panie Chartin — rzekł wesoło generał, biorąc ostrożnie i z szacunkiem gościa pod rękę i wprowadzając go do pokoju. — Proszę spocząć. Sądzę, że jest odpowiednia pora na drinka, który na pewno nie zaszkodzi rozmowie dżentelmenów.

Usiedli na werandzie. Antyczne witraże w oknach i drzwiach powodowały niezwykłą grę światła. Generał postawił na stoliku kilka butelek, talerzyki z cykatą, cukrem, cynamonem i jeszcze jakimiś przyprawami, wielką kryształową wazę z kawałkami lodu oraz połyskujący shaker do koktajli.

— Jaki pan lubi najbardziej? — spytał Stanley takim tonem, jakby to miało być w ich rozmowie najważniejsze.

— Jeśli pan pozwoli, to dla mnie czysty koniak, mam starszowiecki żołądek, który przed południem nie toleruje tych modnych mieszanek.

— Mój gust! — zaśmiał się wesoło generał i napelił kieliszki złotym płynem. — Za wspaniałą sukces pańskiej sztuki! — wznosił toast.

Chartin miał wrażenie, jakby Stanley kpił. Spojrzał

na niego uważnie, szybko się jednak uspokoił i wypił.

— Ten wielki sukces trzeba koniecznie umocnić — powiedział generał.

— Co pan ma na myśli?

— Myślę, że... — Amerykanin milczał przez chwilę, po czym podniósł swój kieliszek. — Pańskie zdrowie! — wypił. — Myślę, że należałoby napisać jeszcze jedną sztukę... Wystawimy ją nie tylko w Europie, ale nawet w Ameryce.

— O czym? — spytał lakonicznie Chartin, patrząc na witraż, na którym pyzaty święty mrugał na niego niebiesko-czerwonym okiem.

Generał czuł, że cała tak pomyślnie rozpoczęta rozmowa bierze w łeb. Chyba za wcześnie wyskoczył z tą przekłętą sztuką, trzeba było jeszcze trochę porozmawiać o sprawach artystycznych, o zniszczonym Berlinie i innych głupstwach. Okazuje się jednak, że trudniej prowadzić takie dyplomatyczne rozmowy, niż wjować z Niemcami.

Musi tak sformułować swoje żądania wobec Chartina, żeby były zawoalowane, a jednocześnie zrozumiałe.

— Widzi pan, drogi mistrzu — rzekł po dłuższej chwili, uśmiechając się kurtuazyjnie — rzecz w tym, że ostatnia wojna i nasze zwycięstwo spowodowały, ważkie, ale mówiąc między nami nieoczekiwane następstwa. Nasz wolny świat nieco się skurczył. Odpadły od niego kraje wschodniej Europy, jednym słowem wiele się zmieniło, a sens tych przeobrażeń pan wnikliwie ukazał w swej sztuce. Bardzo trafnie wskazał pan też na korzenie zła, jego praprzyczynę i jego siedlisko. I dlatego też chcielibyśmy, żeby pan dalej rozwijał ten temat, uwzględniając wszelkie zmiany, jakie zaszły w ostatnich latach na świecie.

Stanley starał się mówić aluzyjnie, mając nadzieję,



że Chartin sam zrozumie, czego od niego żąda amerykańskie dowództwo, jakiej sztuki oczekuje. Pisarz pojmował to bardzo dobrze, nie zamierzał jednak ułatwiać generałowi jego misji.

Stanley milczał chwilę, dając rozmówcy czas na odpowiedź, ale widząc, że Chartin nie kwapi się z nią, ciągnął tonem już trochę niezadowolonym.

— Pan wie, oczywiście, że polityka Związku Radzieckiego doprowadziła do tego, iż w wielu krajach ustanowiono niesprawiedliwy ład, że prawowitym właścicielom odebrano ich własność, że zniszczono bezcenne wartości kulturalne...

— Mówiąc po prostu oni zabierają ziemię właścicielom ziemskim, a fabryki przemysłowcom — rzekł nieoczekiwanie Chartin. — Całkowicie zgadzam się z panem: to ład niesprawiedliwy. Świat nie może istnieć w oparciu o przemoc...

— Bardzo słusznie — ucieszył się Stanley. — Ale najstraszniejsze jest to, że Rosjanie pragną poszerzyć swe wpływy i na inne kraje; i tam gdzie nie udaje im się to przez propagandę, a robimy wszystko, żeby im w tym przeszkadzać, chcą przeprowadzić swe zamysły siłą.

— A więc wojna? — spytał Chartin. — Czy sądzi pan, że Rosjanie pragną wojny? Czy nie za wcześnie? Przecież nie zdążyli jeszcze dźwignąć się po ostatniej wojnie.

— O, to pan ich nie zna i nie może pan sobie nawet wyobrazić ich apetytów, ich niewiarygodnej zachłanności. Opierając się na materiałach, jakich nie mogę oczywiście przed panem ujawnić, bo to tajemnica wojskowa, mam wszelkie podstawy twierdzić, że Rosja przygotowuje się do wojny, do zawojowania całego świata. I gdyby pan pomyślał o sztuce właśnie na ten temat, to byłaby ona nie tylko kontynuacją tej linii,

którą z takim sukcesem zainicjował wczorajszym przedstawieniem, ale też niezwykle silną bronią w walce o zdemaskowanie i zniweczenie planów Rosjan. Stałby się pan prawdziwym bojownikiem o wolny, demokratyczny świat...

Między brwiami Chartina pojawiła się ledwie widoczna pionowa zmarszczka. Szumne słowa zawsze nastrojały go nieufnie. Ten Stanley, to niegłupi i chytry facet, chciałby wykorzystać jego nazwisko. No cóż, nie można już dłużej znieść tego, by gospodarz kręcił się, jak pies wokół własnego ogona. Trzeba postawić kropkę nad „i”.

— Jednym słowem — powiedział nieco brutalnym tonem — chce pan, żebym napisał sztukę o tym, iż Rosjanie chcą wojny, przygotowują się do niej, zamierzając zawojować cały świat. Czy dobrze zrozumiałem?

Stanley nie oczekiwał aż takiego sukcesu. To przecież nie on, tylko sam Chartin niedwuznacznie wyraził te jego myśli, które z takim trudem przychodziło mu wypowiadać. A jeśli tak, to teraz można już rozmawiać otwarcie. Generał westchnął z ulgą. Sprawa najważniejsza jest już chyba załatwiona.

— Pan genialnie sformułował moją myśl — zawołał, nalewając koniak. — Sam nie potrafiłbym ująć tego tak zwięźle i trafnie.

Ale radość generała była przedwczesna. Chartin niczego jeszcze nie postanowił, pragnął tylko się przekonać, jakie są rzeczywiste poglądy gospodarza. Uważał, że w tym, co mówił Stanley, jest dużo prawdy. Rosjanie istotnie dość bezceremonialnie obchodzą się z prywatną własnością, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. I w ogóle to jakiś dziwny i niezrozumiały kraj. Tej oceny nie łagodził nawet fakt, że przekładają i wydają wiele jego książek. Choć jednocześnie

fascynował go ten dziwny i niezrozumiały kraj. Tak naprawdę mógłby napisać sztukę o walce z przemocą, i to zupełnie niezłą sztukę, ale trudno jej ostrza kierować przeciw Rosji, bo przecież nigdy nie był w tym kraju, nie zna psychiki tego narodu.

Wypił koniak, czując wewnątrz przyjemny, gorący strumień i powiedział:

— Nie wiem, czy potrafię napisać taką sztukę. Brak mi odpowiednich materiałów. — Artykuły gazetowe są bez wartości. A zaczynać od początku studia nad krajem, którego nigdy nie widziałem, to zbyt trudna sprawa, mego życia nie starczyłoby na to.

— Czyżby pan sam nie widział, że Rosja stwarza groźbę nowej wojny w Europie, a może nawet nie tylko w Europie?

— Nie, osobiście tego nie dostrzegam — odpowiedział Chartin. — A bez rzetelnych materiałów nie mogę stwierdzić, czy to prawda, czy też wymysł propagandy. Jestem jak bretoński wieśniak, który nie uwierzy, jeśli nie dotknie rękami. Sam zresztą pochodzę stamtąd...

Stanley roześmiał się.

— Cudowny kraj. Byłem tam podczas wojny. Właśnie tam, w Bretanii, wysadzaliśmy desant. Mieszkają tam wspaniali ludzie, prawdziwi patrioci...

Chartin zrozumiał ten komplement właściwie, nic jednak nie powiedział.

Stanley patrzył na niego wesoło i jakoś triumfująco. Chyba można już trochę zrezygnować z dyplomatycznych niedomówień, bo inaczej ta rozmowa będzie ciągnąć się w nieskończoność. Z tym Chartinem zresztą można rozmawiać dużo prostszym językiem.

— Materiały? Dostarczymy je panu — powiedział generał. — Z tajnymi raportami naszego wywiadu łącznie. I jestem przekonany, że wtedy pan sam zro-

zumie konieczność napisania takiej sztuki... Oczywiście znajdzie pan tam fachowe dane, ale wystarczy je właściwie odczytać. Sądzę zresztą, że do nowej sztuki trzeba będzie panu nie więcej materiałów niż do poprzedniej...

Chartina mocno to ubodło.

— Jak to mam rozumieć?

— A tak, że moim zdaniem miał pan przecież niewiele materiałów dla stworzenia swej pierwszej sztuki, a mimo to uporał się pan znakomicie ze swoim zadaniem.

Czoło Chartina pokryło się potem. Generał odważył się na aluzję, jakoby w dramacie niewiele było prawdy. Diabli by go wzięli! I co ma odpowiedzieć? Że tam jest tylko prawda? A wówczas generał weźmie tę przekłętą gazetę, podsunie mu zestawienie i tylko się uśmiechnie.

— Kto raz powiedział „a”, musi powiedzieć „b” — ciągnął dalej Stanley. — Nam, politykom, europejskim i w ogóle światowym, było potrzebne dzieło artystyczne o naszych zwycięstwach w Europie; i pan je nam dał, wykazując tym samym wysoki stopień zrozumienia procesów międzynarodowych. Teraz będzie panu o wiele łatwiej, bo pomożemy panu.

— Nie mam do takiej sztuki materiałów — powtórzył z uporem Chartin.

— W naszych czasach muza musi służyć wojsku — zaśmiał się generał. — Pan stworzył sztukę o znikomym udziale Rosjan w rozgromieniu Hitlera, i bardzo dobrze. Teraz potrzebujemy sztuki o tym, że Rosjanie prą do wojny, i pan nam ją da. Przecież pan jest starym żołnierzem, panie Chartin. Czyżby chciał pan teraz zdezerterować?

— Nie mam ani podstaw, ani materiałów, ani wewnętrznego przekonania do napisania takiego dramatu.

— A jak było z poprzednim? Miał pan przekonanie?

— Oczywiście.

— A co się teraz zmieniło? Pokochał pan nagle komunistów?

— Nie, nie cierpię ich.

— Więc o co chodzi? — zdziwił się szczerze Stanley.

Chartin uświadomił sobie, że generał ma wszelkie podstawy do tego, by się dziwić. Istotnie, jego rozumowanie jest zagmatwane, pełne sprzeczności i niekonsekwencji. Chwytając się ostatniej deski ratunku Chartin powiedział:

— W tamtej sztuce pisałem prawdę.

— Jest pan tego pewny? A może zacznie pan jeszcze mówić o sumieniu? To teraz modne, z przyjemnością pana posłucham. Ale potem uzgodnimy dokładne terminy i honorarium.

— Nie mogę teraz rozmawiać ani o uczciwości, ani o terminach, ani o honorariach, ale obiecuję pomyśleć nad sztuką.

— W porządku — zgodził się Stanley. — Decyzja przyjdzie szybciej, niż się pan spodziewa. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Dzisiejsza pańska sława wyda się panu niczym w porównaniu z tym, co pana czeka.

Chartin milczał, patrząc na tego świętego z witraża, który mrugał do niego porozumiewawczo jak na współnika. Poczul nieokreślony lęk i odrazę. Istotnie: kto rzekł „a”, musi powiedzieć „b”.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Taksówka zatrzymała się koło wysokiego domu przy ulicy Gorkiego. Olga Wołoszyna wysiadła, spojrzała na szeroką znajomą ulicę i uśmiechnęła się radośnie. Ponad

wszystko lubiła te chwile powrotów, kiedy każdy dobrze znany szczegół wydaje się jakiś niezwykły, kiedy nawet kamień przemawia do nas jak do przyjaciela.

Wsiewołod Dmitrowicz Barkow, nazywany Siewoczka, wyszedł z samochodu, ciągnąc za sobą dwie walizki.

— Da pan radę? — spytała Olga.

— Śmieszne pytanie, ja dla pani mogę przenieść Mont Blanc na Elbrus.

Siewoczka miał już ponad czterdziestkę, wyglądał jednak młodziej. Był on jakimś dalekim krewnym Wołoszyny, tak dalekim, że gdyby ktoś chciał określić stopień tego pokrewieństwa, to nie znalazłby dla niego nazwy. To właśnie powinowactwo dawało mu prawo bywania u aktorki i zjawiania się z nią na stadionie, zresztą najczęściej widywali się w teatrze, gdzie Siewoczka był dekoratorem. Gdy Wołoszyna miała go dość, nakazywała, aby zniknął jej z oczu na tydzień lub dwa. Siewoczka stosował się posłusznie do tego żądania, a potem wszystko zaczynało się od nowa.

Powoli, nie spiesząc się, by nic nie utracić z radosnego podniecenia, jakie jej zawsze towarzyszyło, gdy wracała do rodzinnego gniazda, Wołoszyna otworzyła drzwi do windy. Siewoczka wciągnął walizki i nacisnął guzik siódmego piętra.

— Co słyhać w Moskwie, Siewoczka? — spytała Wołoszyna.

— O, nowin jest mnóstwo! Po pierwsze Gramowicz rozszedł się z Pietrową i chyba zamierza ożenić się z Popową. A Pietrowa podobno wychodzi za mąż za Suchancewa, a...

— A jakichś ciekawszych wieści nie ma?

Wołoszyna nie mogła ścierpieć, kiedy Siewoczka rozpowiadał plotki.

— Niestety nie — westchnął Barkow. — Choć jest jedna, nie wiem tylko, czy panią zainteresuje. Otóż w teatrze postanowili wystawić sztukę „Lubow Jarowaja” i powierzyć pani główną rolę...

— I pan mi dopiero teraz to mówi?! — wybuchnęła Wołoszyna.

Winda zatrzymała się. Wołoszyna weszła do przedpokoju, za nią Siewoczka wniósł walizki i zaraz spytał rzeczowo:

— Przywiozła pani prezent?

— Oczywiście.

— Brzytwę?

— Tak.

— Cudownie! Proszę uważać mnie za swego niewolnika, swego sługę, po prostu za swoją rzecz.

Barkow jako dekorator wykonywał scenografię według szkiców plastyków. Uważano go w kołach teatralnych za dobrego fachowca. Wyróżniał się spośród zwykłych zjadaczy chleba tym, że kolekcjonował brzytwy. Marzył, by zebrać ich 365, na każdy dzień w roku. Trudno oczywiście było zrozumieć, po co mu potrzebna codziennie inna brzytwa.

Wołoszyna wyjęła z walizki mały pakunczek, który Siewoczka chwycił jak kuglarz w locie, szybko rozwinął, pocałował lśniące ostrze i włożył brzytwę z powrotem do futerału.

— Marzenie! — zawołał z emfazą, schylając łysiejącą już głowę, po czym ucałował dłoń Wołoszyny, obiecał wpaść wieczorem i zniknął.

Wołoszyna weszła do swego pokoju i dopiero teraz odczuła, jak bardzo się za nim stęskniła. Usiadła w głębokim fotelu, spojrzała na ściany, na toaletkę z wysokim, owalnym lustrem w połączanej ramie, na ciemnowiśniowe, lśniące drzwi szafy i uśmiechnęła się. Dopiero teraz jest naprawdę w domu.

Ze ścian patrzyły na nią, jak dobre znajome, portrety kobiet. Jakże bliskie jej i drogie! Katarzyna i hotelarka, lady Makbet i Masza Prozorowa były dla niej więcej niż przyjaciółkami, przelała na nie część swej duszy, swojego życia. No a teraz — Lubow Jarowaja...

A obok tych fotografii — wierni świadkowie jej sławy sportowej: trójkątne proporce, oszklone dyplomy honorowe, skrzące kryształowe wazony i figurki dyskoboli z brązu. Wiele z tego uzbierało się u mistrzyni świata w ciągu piętnastu lat. Kiedyś próbowała przypiąć do bluzki wszystkie otrzymane medale. Długo śmiała się przed lustrem: duże i małe, złote, srebrne i brązowe utworzyły prawdziwy pancerz. Teraz przechowuje je w oszklonej szafie bibliotecznej.

Szczególnie jednak lubiła szkatułkę, w której przechowywała drogie jej pamiątki: zwykłe metalowe znaczki, produkowane z okazji rozmaitych międzynarodowych zawodów sportowych na całym świecie, подарowane jej przez przyjaciół z różnych krajów. I właśnie po tę szkatułkę przede wszystkim sięgała jej ręka. Oto malutki, czerwony jak kropla krwi, bardzo prosty znaczek klubu sportowego fabryki samochodów Renault w Paryżu. Klub ten gościł delegację sportowców radzieckich, a spotkanie było tak wzruszające, że Wołoszyna jeszcze do dziś je wspomina z sentymentem. Ktoś poinformował z trybuny, że Wołoszyna jest aktorką. Wówczas cała olbrzymia sala, wypełniona robotnikami, zaczęła domagać się, by Olga zaśpiewała. Początkowo aktorka poczuła się bardzo zażenowana, ale widząc, że również jej koledzy biją brawo, odważyła się i podeszła do mikrofonu. „Cztoż ty chodisz wsiu nocz odinoko, cztoż ty diewuszkam spat' nie dajosz? — śpiewała Olga w pełnej skupienia i aprobaty ciszy prostą rosyjską piosenkę. Wiele jeszcze pieśni wykonała tego



wieczoru. Na pożegnanie przewodniczący rady robotniczego klubu podarował jej ten znaczek.

A oto mały, zielony proporczyk, podobny do młodego liścia lipy. Nie ma na nim żadnego napisu, jest jednak zrobiony z takim artyzmem, że trudno byłoby go pomylić z innym. Podczas zawodów w Budapeszcie podeszła do Olgi jakaś młoda Hinduska w sari, szybko przypięła jej ten proporczyk i jeszcze szybciej znikła. Towarzysze wyjaśnili jej później, że jest to cenny emblemat na pól tajnej kobiecej organizacji sportowej.

Podczas tych samych zawodów sportowcy węgierscy podarowali jej swój skromny znaczek: dwa splecione koła jako symbol przyjaźni węgiersko-radzieckiej, przyjaźni zrodzonej w bojach o Budapeszt i umocnionej w latach pokojowej współpracy. Patrząc na ten znaczek Wołoszyna zawsze przypominała sobie Dunaj, Wyspę Małgorzaty i Ilonę Szabo z jej niewiarygodnie niebieskimi oczami.

W szkatułce leżało jeszcze mnóstwo znaczków i emblematów, i z każdym z nich związane było wspomnienie o jakimś człowieku lub wydarzeniu. I zawsze, biorąc do ręki tę złotocynobrową szkatułkę, Olga myślała, jak wielu przyjaciół mają na całym świecie ludzie radzieccy. Te małe podarunki były jakby symbolem tej przyjaźni. A ilu jest takich przyjaciół zupełnie nieznanym.

Wołoszyna przebrała się i przeszła do drugiego pokoju, w którym wisiał na ścianie duży portret Piotra Wołoszyna, majora czołgisty. Mąż Olgi zginął pod koniec wojny niedaleko Berlina, gdy prowadził do ataku swój pułk. Na portrecie był w galowym mundurze, przy orderach i z medalami. Niżej wisiała fotografia młodego chłopca w marynarskim mundurze. To jej syn, Anatolij. Niemal kopia ojca. Najskrytszym marzeniem Tola było dowodzenie okrętem wojennym — krążownikiem, a może nawet liniowcem. To on sam

wymógł na matce, żeby go oddała do Szkoły Nachimowskiej\*.

Olga usiadła przy stole. Nie miała ochoty na jedzenie, żeby jednak stara niania, Nastia, nie poczuła się dotknięta, zjadła smaczny pierożek i piła herbatę, myśląc o dzisiejszym uroczystym powitaniu na lotnisku. Jak ją witali!

A więc Lubow Jarowaja... Jaka też ona była...

Ale co to się jej przydarzyło w Berlinie? A może podczas tego powitania na lotnisku? Coś jątrzy, ćmi... Ach tak, ta Olga Korszunowa, rozmowa z Sofiją Kartasz, możliwość porażki w przyszłych zawodach lekkoatletycznych.

Czują pismo nosem... Wołoszyna powtórzyła półgłosem słowa Sofiji Kartasz i zamyśliła się.

Bardzo dobrze pamięta dzień, kiedy po raz pierwszy została czempionką. Było to podczas zawodów w Charkowie. Ówczesna mistrzyni, Maria Krasowa, osiągnęła czterdzieści trzy metry. Padł wtedy rekord Związku Radzieckiego. Boże, co się działo wówczas wokół Krasowej! Tłumy fotoreporterów, dziennikarzy, przyjaciół gratulowały jej nowego rekordu.

I chyba nikt prócz sędziów nie zwrócił uwagi na Wołoszynę, jak stanęła w kole przymierzając się, jakby ważyła dysk w dłoni, a potem lekko, w jakimś tylko jej wiadomym rytmie posłała go w przestrzeń. Jeszcze sędziowie nie ogłosili oficjalnych wyników, a już rekord Krasowej należał do historii. Fotoreporterzy, którzy jeszcze przed chwilą tłoczyli się wokół Krasowej, teraz obstąpili Wołoszynę, pragnąc jak najszybciej sfotografować nową mistrzynię. Olga Borysowna stała na zielonej murawie, przepełniona radością zwycięstwa.

---

\* znana radziecka Szkoła Morska im. Pawła Nachimowa, admirała rosyjskiego (1802—1855), który wspaniał się rozbiciem floty tureckiej w wojnie krymskiej (przyp. tłum.)

Spojrzała wówczas mimo woli w bok i zobaczyła Krasową. Była czempionka wkładała obok ławki ćwiczebny dres. Twarz miała spokojną, ale z jej zbyt dokładnych, jakby automatycznych ruchów Wołoszyna zrozumiała, jak Krasowej ciężko. A po chwili Krasowa podeszła do niej gratulując rekordu; fotoreporterzy mieli znów pełne ręce roboty.

I oto wkrótce, zdaje się, również i w jej życiu nastanie chwila, jaką wcześniej czy później przeżywa każdy sportowiec.

W głębi serca Wołoszyna żywiła dla Korszunowej uczucia nieprzyjemne. Obie były w klubie sportowym Centralnego Domu Armii Radzieckiej i zawsze pracowały razem, dzieląc się doświadczeniami. A teraz... Wołoszyna jakoś nie ma na to ochoty. Przecież sama sobie szkodzi. Myśli te przeraziły Olgę, ale jak się od nich uwolnić?

Wybawił ją telefon. Dzwonili z teatru z gratulacjami i wiadomością, że rozpoczynają się próby nowej sztuki. Rozmawiała chyba z pół godziny, bo wciąż zmieniali się przy aparacie koledzy, każdy chciał złożyć jej gratulacje.

Kiedy wreszcie położyła słuchawkę, rozległ się w przedpokoju dzwonek. Wszedł podpułkownik czołgista Iwan Piotrowicz Gromow. Od razu całe mieszkanie wypełnił jego wesoły, tubalny głos.

— Gratuluję jeszcze jednego rekordu, Olgo! — podszedł do niej z dużym bukietem ciemnoczerwonych róż.

— Dziękuję — Wołoszyna ucieszyła się i wizytą, i kwiatami.

— No i jak ci się udała podróż, droga czempionko — Gromow usiadł przed nią.

— Podróż miałam dobrą, ale nie wiem, jak będzie dalej. Przygotowujemy nową sztukę, powierzono mi główną rolę i strasznie się boję.

— Naprawdę? — Gromow uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— I jak jeszcze — odpowiedziała wesoło Olga. — Żebyś wiedział, że się boję.

Gromow znów się uśmiechnął. Od lat łączyły go z Olgą przyjacielskie, ale bardzo skomplikowane stosunki. Zaczęło się to już dawno, jeszcze gdzieś w trzydziestym czwartym roku w Charkowie na przedmieściu robotniczym, gdzie w trójkę — Olga, jej najbliższy przyjaciel Piotr Wołoszyn oraz on, Iwan Gromow, spędzali wszystkie wieczory. Stadion „Metalowiec” z jego wysoką, betonową trybuną stanowił wówczas centrum rozrywek całej młodzieży fabrycznej. Tam właśnie wysoka i wyjątkowo niezgrabna dziewczyna, Olga Hnatenko, stawiała pierwsze sportowe kroki. Z czasem znikła jej niezgrabność, zastąpiły ją harmonia i siła, przyszły pierwsze wysokie wyniki na zawodach, a potem — tytuł mistrzyni ZSRR. Wszystko to było tak dawno...

Iwan Piotrowicz dobrze pamięta wieczór, kiedy wreszcie odważył się wyznać dziewczynie swą miłość. Od razu jednak pożałował tego, w oczach Olgi wyczytał żal, nie chciała bowiem sprawiać bólu przyjacielowi. Siedzieli na trybunie stadionu oświetlonego zachodzącym słońcem. W dole Wołoszyn trenował start do stumetrówki. Gromow, nie patrząc na Olgę, powoli, jakając się, powiedział jej o swoim uczuciu. Olga ujęła go delikatnie za rękę, jakby chciała ją przytulić.

— Przebacz mi, Iwanie, ale się spóźniłeś.

— Dlaczego?

— Już dawno wzięliśmy z Piotrem ślub, spodziewam się dziecka.

Był to potężny cios. Przyjaciel ożenił się i nie powiedział mu ani słowa. Czy można po czymś takim wierzyć w przyjaźń? Iwan Gromow znalazł jednak w so-

bie dość siły, by opanować się, nawet się uśmiechnąć i złożyć Oldze życzenia.

Przez jakiś czas Iwan stronił od szczęśliwego przyjaciela, ale do szpitala po Olgę z synem pojechali już razem. Wkrótce obu powołano do szkoły czołgistów, Olga zaś wyjechała do Moskwy na studia teatralne. Żyło się cudownie. Potem wybuchła wojna i już nigdy nie spotkali się we troje. Gromow powrócił z Berlina do Moskwy, a Wołoszyna pochowali koło miasta Lukatzkreuz na dawnej granicy polsko-niemieckiej.

Z Olgą spotkał się Iwan zaraz po wojnie. Gdy ją zobaczył, zrozumiał, że uczucia w nim nie wygasły. Któregoś dnia poprosił ją o rękę.

— Wybacz — rzekła Olga — bardzo cię lubię, jesteś moim prawdziwym przyjacielem, ale twoją żoną nie będę. I w ogóle nigdy już nie wyjdę za mąż.

Powiedziała to całkiem zwyczajnie.

— Rozumiem — już po raz drugi w życiu pogodził się z porażką. — Więc co dalej?

— Pozostaje tylko przyjaźń — cicho odrzekła Olga.

— Tak, tylko przyjaźń — uśmiechnął się smutno.

I tak zostało. Gromow często przychodził do Olgi, jednak nigdy więcej nie wspomniał ani słowem o swych uczuciach, które z biegiem czasu przeistoczyły się w czystą przyjaźń.

— No, opowiadaj — rzekł zaciągając się głęboko papierosem. — Tylko krótko, bo mam mało czasu.

Olga uśmiechnęła się i zaczęła opowiadać po kolei o wszystkim — od początku zawodów aż po zamykający je mityng. Gdy mówiła o dysku, Gromow zapytał:

— A jak rzuciła Olga Korszunowa?

Pytanie to nie podobało się Wołoszynie, co nie uszło uwagi Iwana.

— Olga? O metr i cztery centymetry bliżej.

— Nie taka duża różnica — rzekł w zamyśleniu Gromow.

— Nieduża, ale wyciąganie z tego wniosków uważam za przedwczesne.

Słowa te niesłychanie zdziwiły Gromowa.

— Co z tobą, Olgo?

— Nic. I nie wyobrażaj sobie, że coś z tego zrozumiałeś. Mylisz się!

— W czym się mylę?

— Nie to chciałam powiedzieć. Korszunowa osiągnęła świetny wynik, bardzo bliski mego rekordu.

— I dlatego się złościysz?

— Nie, nie złośćczę się, to coś innego, ale nie potrafiłbyś tego zrozumieć.

Wiedziała, że Gromow czytał w jej myślach i to właśnie ją rozdrażniło. Jeśli zechce prawić jej jakieś morały, to go zwyczajnie wyprosi.

Ale Gromow i to przewidział. Zgasił papierosa i uśmiechnął się.

— Możliwe, że nie potrafiłbym zrozumieć. Która to godzina? O, na mnie już czas. No, jeszcze raz gratulacje i życzenia nowych rekordów, a przede wszystkim mocnych nerwów. Te w sporcie są najważniejsze, jeszcze akademik Pawłow to mówił. No to zmykam. Jak ci będę potrzebny, to zadzwoń, w najbliższym czasie chyba nigdzie nie wyjadę.

Pożegnali się. Olga wróciła do pokoju bardzo z siebie niezadowolona. Ale na analizowanie tej nieprzyjemnej rozmowy nie miała czasu. Znowu rozległ się dzwonek. Przyszedł Fiodor Iwanowicz Karcew, trener i wychowawca całego pokolenia radzieckich sportowców.

W latach dwudziestych sam był wybitnym zawodnikiem i nieraz jego nazwisko pojawiało się w gazetach obok słowa rekord. Ale w tym roku, kiedy Olga wy-

szła po raz pierwszy na zielone boisko charkowskiego „Metalowca”, Karcew właśnie zrezygnował z udziału w mistrzostwach Związku Radzieckiego i tytuł mistrzowski w rzucie dyskiem przeszedł na innego, młodszego dyskobola. Fiodor Iwanowicz miał wówczas trzydzieści cztery lata. Trzeba było wybrać nową drogę w życiu. Nie wahał się ani sekundy. Na naukę nigdy nie jest za późno, nawet w trzydziestym czwartym roku życia. Karcew wstąpił do instytutu wychowania fizycznego, usiadł obok osiemnastoletnich chłopców, którzy nieomal modlili się do znanego sportowca, i zaczął uczyć się zawzięcie, z uporem, tak jak tylko on to potrafił. Miał za sobą olbrzymie doświadczenie jak rezerwową dywizję wojska. Sport nie miał dla niego żadnych tajemnic.

Ukończył instytut na dwa lata przed wojną, w rok później obronił pracę kandydacką, potem był na wojnie, a po powrocie znowu zabrał się do nauki. Bardzo szybko zaczęto go tytułować profesorem Karcewem. Ale tytuły i stopnie naukowe nie zmieniły go. W głębi serca pozostał tym samym młodym sportowcem, zdyscyplinowanym i pracowitym. Tylko z upływem lat nauczył się lepiej rozumieć ludzi, przyczyny ich porażek i zwycięstw.

Po wojnie został trenerem Olgi Wołoszyny, która wiedziała, że wszystkie rekordy zawdzięcza jemu, profesorowi Karcewowi. Często o nim mawiała: „To jest ojciec moich rekordów”. Słyszac to Karcew czerwienił się zmieszany i przeciągał dłonią po ostrzyżonej, siwej głowie; kiedy odrastały na niej krótkie włosy, wyglądała jakby oszroniona.

Już nieco otyły, przy swoich pięćdziesięciu pięciu latach zadziwiał ciągle jeszcze lekkością i sprężystością chodu i jakąś niezwykłą harmonią ruchów. Znamionuje to ludzi silnych, umiejących władać każdym, nawet

najmniejszym mięśniem. Takie właśnie cechy Karcew starał się wyrobić u swoich uczniów i wychowanków. Wołoszyna była wśród nich najbardziej utalentowana. Miała dla Karcewa wiele szacunku, a jednocześnie gdzieś w głębi serca bała się go. Nie rozumiała, skąd to się bierze, ale czuła się bardzo źle, kiedy spojrzenie trenera spod krzaczastych, siwych brwi, stawało się chłodne i surowe. W takich chwilach chciałoby się zapasać pod ziemię. Czyż to nie dziwne, że ona, niemal czterdziestoletnia już kobieta, wybitna aktorka, boi się spojrzenia starego, z wyglądu dobrego mężczyzny?

Karcew znał Olgę znacznie lepiej niż ona sama siebie. Pracując ze sportowcami interesował się nimi tak jak własnymi dziećmi. Wiedział o swoich wychowankach wszystko — znał najdrobniejsze szczegóły z ich życia, orientował się w ich najbardziej utajonych możliwościach. Sportowcy cenili jego prawość i bezpośredniość, jego zdecydowanie i nieustępliwość wobec wszelkich zaniedbań w pracy.

— No, gratuluję, Olgo Borysowno — powiedział Karcew uśmiechając się łagodnie i wyciągając ręce tak, jakby chciał ją objąć.

— Szkoda, że pana tam nie było, Fiodorze Iwanowiczu!

— To nic, pojedę innym razem. A Maksymow?

— Był.

— No to w porządku. Mieliście się kogo poradzić. A dlaczego Korszunowa tak odstała od pani? Byłem przekonany, że podejdzie bliżej.

Znowu ta Korszunowa! Wołoszyna opanowując się odpowiedziała:

— Denerwowała się. Próbowałam ją uspokoić, ale ona ma jeszcze za mało doświadczenia, by brać udział w takich zawodach.



— Oczywiście. No to co, jutro jak zwykle na stadionie? Korszunowa przychodzi o drugiej. A pani?

— Nie wiem, czy będę miała czas wtedy kiedy ona — odpowiedziała powściągliwie. — U nas rozpoczynają się próby nowej sztuki.

Karcew pochylił swą siwą, ostrzyżoną na jeża głowę i długo w milczeniu patrzył na lśniący parkiet.

— A więc i na panią to przyszło, Olgo Borysowno — rzekł wreszcie ze smutkiem i rozczarowaniem. — A myślałem, że ominie panią to uczucie.

— O czym pan mówi?

— Nie wie pani? No cóż, w porządku, będziecie trenowały oddzielnie. Tylko już teraz mogę pani powiedzieć: to nic nie pomoże.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Erwin Meier zadzwonił do furtki przy cienistej, spokojnej Kastanienstrasse punktualnie o umówionej godzinie. Czuł, jak przyglądają mu się wnikliwie czyjeś oczy. Po chwili zabrzączał automatyczny zamek. Meier pchnął furtkę i rozglądając się z ciekawością na wszystkie strony wszedł do siedziby doktora Schitke.

Z zewnątrz niczym nie różniła się od innych domów. Setki i tysiące takich stoją na zielonych przedmieściach Berlina. Niskie budynki, zasłonięte przed spojrzzeniami postronnych wysokimi płotami i drzewami, mogą ukryć każdą tajemnicę. Dom Schitkego też ogrodzony był szczelnym, wysokim płotem i gęstymi drzewami, w niczym jednak nie przypominał cichej, podmiejskiej willi. Wszystkie wolne miejsca między drzewami oraz wzdłuż murów były zastawione wielkimi klatkami i wolierami, w których siedziały różne zwierzęta. Erwin Meier miał wrażenie, jakby znalazł się w ogrodzie zoologicznym.

Od furtki do budynku prowadziła wykładana cegłą dróżka, też obstawiona z obu stron klatkami. Znajdowały się w nich psy, przeważnie łańcuchowe kundle. W innych Meier zauważył leniwe, gładkie koty, płomiennie rude lisy o czarnych oczkach i noskach, tchórz wyszczerzył swe drobne zęby i zasyczał; cały miot świnek morskich tłoczył się w rogu klatki; kilka królików spojrzało na niego melancholijnie.

Trzeba było mieć odpowiednie fundusze i znaczny personel, żeby hodować taką dużą ilość zwierząt. Schitke najwidoczniej otrzymywał od kogoś pieniądze i specjalne zadania.

Na spotkanie gościa spieszył już właściciel tego szczególnego zoo. Cała powierzchowność doktora — wysokie czoło, mocno przerzedzone włosy, grube kombinowane szkła w okularach, chód, ruchy, sygnet na lewej ręce — zdawały się mówić: „Jestem uczonym i odkryte są przede mną prawdy znane tylko niewielu ludziom na naszej grzesznej ziemi”.

Schitke przywitał się ze Meierem bardzo uprzejmie, wziął go pod rękę i nie spiesząc się poprowadził do mieszczącego się na pierwszym piętrze zacisznego gabinetu, osłoniętego przed promieniami sierpniowego słońca ciężkimi, pluszowymi portierami. Laboratoria znajdowały się w piwnicy i na drugim piętrze, w gabinecie były jedynie książki.

Schitke poprosił gościa, by usiadł, sam rozsiadł się w fotelu skrzypiącym świeżą skórą. zaproponował gościowi manilskie cygaro i kieliszek likieru. Meier jednak podziękował. Chciał jak najprędzej przejść do sprawy, która go tu sprowadziła. Taka niecierpliwość byłaby jednak nie na miejscu, dlatego Meier zagaił inaczej:

— A wie pan, doktorze, niedawno spotkałem pewną pańską znajomą.

Brwi doktora ściągnęły się pytająco nad okularami.

— Bertę Loch.

— Aa... Berti Loch — duże usta doktora rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. — Tak, też ją widziałem, spotkałem ją zupełnie przypadkowo właśnie w dniu, kiedy wypuszczono ją na wolność. To bardzo energiczna i obrotna kobieta. Nie uznaje żadnych przeszkód. Zawsze robi to, co postanowiła. Przyjemnie mieć z nią do czynienia, oczywiście po jej stronie, a nie przeciw niej.

— Tak — zgodził się Meier. — Chyba będę musiał pomyśleć o jakiejś robocie dla niej.

— Dla Berty Loch? — Schitke zakrztusił się śmiechem podobnym do gdakania kury. — Proszę mnie nie rozśmieszać, panie Meier. To raczej pańska praca mogłaby zależeć od Berty. Skoro ją wypuścili ze Spandau, to widocznie jest komuś potrzebna. No, ale to nie temat do rozmowy. Chcę pana zaznajomić z niektórymi moimi osiągnięciami.

Schitke przyglądał włosy, zaczesane na łysinę, odczekał chwilę, jakby się zastanawiał, od czego zacząć.

— Na początek kilka przesłanek teoretycznych. Pan jako trener i sportowiec wie oczywiście wiele o dopingu. Są one surowo zabronione przez prawo, no ale dla nas obu nie ma to żadnego znaczenia. Co to jest w ogóle doping? To trucizna wprowadzona do organizmu w dawce nie zagrażającej jego życiu. Organizm mobilizuje wówczas wszystkie siły, by przeciwstawić się truciznie, system nerwowy jest niezwykle pobudzony i właśnie tę maksymalną mobilizację sił wykorzystuje pan do ustanowienia rekordów.

Meier pomyślał, że takie wyjaśnienie działania dopingu ma niewiele wspólnego z nauką, milczał jednak.

— Ale nawet najsilniejsze dopingi — ciągnął dalej

Schitke — nie dają takiej eksplozji siły, jaka byłaby panu potrzebna. Czyż nie tak?

Meier skinął twierdząco głową.

— Otóż chcę panu zademonstrować działanie mojego własnego preparatu. Jak się pan za chwilę przekonana, daje on nadzwyczajny efekt.

— Jego skład?

— Rozmawiajmy otwarcie: jest to coś w rodzaju trupiego jadu. W Ravensbrück sprawdzałem go na ludziach, ale preparat był wówczas jeszcze bardzo niedoskonały.

— Wszyscy zmarli?

— Tak, ale to nie ma znaczenia, materiału do doświadczeń miałem tam sporo. Od tego czasu zrobiłem wielki krok naprzód. Zaraz panu coś zademonstruję.

— Te zwierzęta w wolierach służą tylko do doświadczeń nad dopingiem?

Schitke uśmiechnął się.

— W moim laboratorium prowadzone są prace dotyczące różnych problemów. Proszę.

Podeszli do klatki, w której siedział zwyczajny, rudy, chudy pies.

— Właśnie ten egzemplarz przeznaczyłem do doświadczenia — w rękach doktor trzymał połyskujące, metalowe pudełko, w jakim sterylizuje się zwykle strzykawki. — Niech pan patrzy:

Wydobył z kieszeni jakieś zawiniątko, wyjął z niego kawałek krwawego mięsa i zaczepił je na haku umieszczonym dość wysoko wewnątrz woliera. Pies poczuł mięso, jego nozdrza rozděły się. Skoczył w górę, ale nie mógł dostać, haczyk był za wysoko.

— Proszę zwrócić uwagę, ile kresk mu brakuje — powiedział Schitke, pokazując na czarne i białe kreski na pionowej listwie klatki.

— Cztery.

— Doskonale. A teraz proszę patrzeć dalej

Schitke wsunął rękę między pręty, chwycił psa za jedną nogę, przymocował ją do klatki. Pies zaskowyczał. Schitke nie zwracając na to uwagi wyjął strzykawkę, rozbił ampułkę i wstrzyknął psu ciemnooleistą ciecz w nogę, po czym uwolnił ją od kleszczy.

Pies skoczył na środek klatki i stał przez moment nieruchomo. Poczuł znowu zapach mięsa, spojrzął na haczyk, naprężył się i znów podskoczył do góry. Teraz dostałby mięso, nawet gdyby wisiało o cztery kreski wyżej.

— To wszystko — doktor Schitke ukłonił się z teatralnym gestem jak kuglarz, który zademonstrował efektowny numer.

— Wspaniale! — Meier uprzejmie zaklaskał kilka razy w dłonie. — Czy doping ten można zastosować również w sporcie?

— Bezsprzecznie, w przeciwnym razie nie trudziłbym pana. Sportowiec, który dostanie ten środek, skoczy minimum o dziesięć procent wyżej i pobiegnie pięć, sześć procent szybciej.

— A co będzie z nim później?

— Nic. Nieznaczną reakcją i to wszystko.

— Już pan to sprawdził?

— Oczywiście, bardzo dokładnie.

— To świetnie — Meier pochylił głowę, jakby chcąc ukryć przed gospodarzem jakąś utajoną myśl. — Wie pan, doktorze, bardzo lubię zwierzęta. Czy mógłbym obejrzeć pańskie klatki?

— Bardzo proszę — Schitke uśmiechnął się z zadowoleniem. — Ale nie sądzę, żeby pan zobaczył tu coś szczególnie interesującego. Być może z czasem, kiedy moje laboratorium zostanie rozbudowane, znajdzie się coś ciekawszego do pokazania, teraz jednak nie ma

nic nadzwyczajnego, chociaż są dość przyjemne egzemplarze.

— Właśnie chętnie obejrzałbym te najzwyklejsze, sympatyczne egzemplarze. Można?

— Proszę bardzo.

Szli powoli ceglana dróżką. Zza siatek patrzyły na nich śmieszne i miłe zwierzęta swymi rozumnymi, nieufnymi oczami. Olbrzymie psy, nie wiadomo dla jakich doświadczeń tu przywiezione, witały doktora Schitke jak dobrego znajomego. Pachniało opadłymi gnijącymi liśćmi i gnojem.

Meier chodził od klatki do klatki, przyglądając się zwierzętom. Rzeczywiście je lubił, w domu miał olbrzymiego psa, nowofundlanda wielkiego jak cielę oraz czerwono-fioletową papugę arę; cała trójka była bardzo z sobą zaprzyjaźniona. Meier uważał, że tacy przyjaciele są lepsi od ludzi chociażby dlatego, że nie potrafią powtarzać tego, co słyszeli i mówić o tym, co widzieli.

Zatrzymali się koło klatki, w której leżał wielki, senny, czarny jak węgiel kot. Gdyby miał w domu takiego! Potrafiłby zaprzyjaźnić z sobą całą trójkę, psa, papugę i kota. To by była wesoła kompania, tak jak w tej bajce o muzykantach z Bremy!

Doktor Schitke kroczył uprzejmie za Meierem, nie rozumiejąc sensu tego spaceru. Czyżby jego gość został sentymentalnym członkiem towarzystwa przyjaciół zwierząt? Nie, na to on nie wygląda. Więc po co marnuje cenny czas?

A Meier jakby nie dostrzegając zniecierpliwienia gospodarza przechodził od woliery do woliery, przyglądając się ich lokatorom uważnie i jakby w rozmazaniu, próbował nawet porozmawiać z kłującym, ostronosym jeżem, który zignorował go, odwracając się do natręta okrągłym, najeżonym igłami zadkiem, i znieruchomiał w tej pozycji.

Niewątpliwie ten Meier miał w tym jakiś cel. Schitke postanowił czekać cierpliwie i o nic go nie rozpytywać.

Doktor nie mylił się. Jego gość starał się to swoje rozkoszowanie się widokiem zwierząt przedłużyć jak najbardziej, chciał bowiem stwierdzić, co stanie się z psem w ciągu piętnastu minut po zastrzyku. Kiedy wreszcie skończyli obchód, Meier podszedł zdecydowanym krokiem do wspomnianej klatki. Spojrzał i aż zagwizdał. Rudy pies leżał na boku z wywalonym ozo-rem i wyglądał tak, jakby zdychał. Oczy wpadły mu w głąb, z pyska ciekła żółtawa piana, oddech był szybki i nierówny.

Zrobiło to na Meierze przykre wrażenie.

— Nic osobliwego — wyjaśnił Schitke. — Nieco zwiększona dla wyrazistości doświadczenia dawka wywołała silniejszą niż zwykle reakcję, to wszystko.

— Czy zdechnie?

— Nie, to już zostało sprawdzone. Sądzę, że powinniśmy teraz przejść do gabinetu i omówić finansowe warunki, na jakich pan nabędzie prawo korzystania z mego wynalazku.

— Nie będę z niego korzystał — odpowiedział Meier, nie mogąc oderwać oczu od nieszczęsnego psa.

— Pan na pewno będzie korzystał, tylko kiedy przyjdzie pan do mnie po raz drugi, to ten doping będzie kosztować pięć razy więcej — odparł spokojnie Schitke.

— Nigdy z niego nie skorzystam! — zawołał z oburzeniem Meier.

— Skorzysta pan, skorzysta — nadal spokojnie przekonywał Schitke. — Wtedy, kiedy będzie panu potrzebny rekord. Wówczas przypomni pan sobie o mnie, ale jak już mówiłem, doping będzie wtedy pięciokrotnie droższy.

— To już słyszałem, doktorze. Mam nadzieję, że jednak obejdę się bez pańskiego dopingu. Życzę wszystkiego najlepszego. Cieszę się bardzo, że pana poznałem, doktorze Schitke. Nasze spotkanie było dla mnie bardzo interesujące i niezwykle pouczające.

— Dla mnie też — ukłonił się doktor, ukazując w uśmiechu żółte zęby.

Żelazna furтка zamknęła się. Erwin Meier wyszedł na zacienioną, zaciszną Kastanienstrasse i wytarł chustką spotniałe czoło.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Sława przysłała do Niny na peronie kijowskiego dworca. Otoczył ją tłum przyjaciółek, znajomych i nieznanym sportowców. Bukiety czerwonych, różowych i żółtych georginii musiała trzymać oburącz jak snopy.

Ojciec Niny, Petro Pawłowicz Sokił, starszy już, krępy mężczyzna z siwymi czumackimi wąsami, stał z boku patrząc, jak córka usiłuje wydostać się z objęć przyjaciół i przywitać się z nim. Wreszcie podbiegła i rozpromieniona pocałowała go w policzek.

— Jedziemy.

Przeszli przez tłum sportowców, wsiedli do taksówki, którą jeździł ojciec Niny, i po kilku minutach zatrzymali się obok wysokiego domu przy ulicy Artema.

W długim korytarzu wspólnego mieszkania zebrali się wszyscy sąsiedzi, by powitać Ninę. Dzieci stojące pod ścianami nie spuszczały z niej zachwyconych oczu. Przecież tak jeszcze niedawno bawiła się z nimi, biegała do szkoły jak one i podobnie jak one bała się dwój, a teraz jest studentką i bije rekordy na zawodach międzynarodowych. Więc pragną chociaż dotknąć jej rąk i jakoś zwrócić na siebie jej uwagę.



Gdy weszła do swego mieszkania, od razu wpadła w objęcia ciotki Stepanidy Pawłowny, która zastępowała Ninie matkę, zmarłą przy jej urodzeniu. Usiedli do obiadu. Ojciec wznosił toast za sukcesy córki, a jego siostra schyliwszy głowę cichutko pochlipywała z radości. Nigdy dotąd dziewczyna nie odczuła tak bardzo tego, co to jest sława.

— Zuch z ciebie, zuch — powiedział na zakończenie obiadu ojciec.

Ciotka zaczęła zbierać ze stołu nakrycia. Stary Sokił spojrział na nią swymi surowymi oczyma, potargał wąsy i powiedział:

— Postaw to z powrotem. Nino, uprzątnij stół.

W ich rodzinie obowiązywał od dawna podział obowiązków. Ciotka Stepanida gotowała i podawała do stołu, a Nina zbierała i zmywała naczynia.

— Coś ty?! — próbowała sprzeciwić się Stepanida Pawłowna. — Chcesz, żeby w taki dzień zmywała?

— Tak — Sokił znów pociągnął za wąsy i zwrócił się do córki. — Na twoim miejscu już dawno byłbym w kuchni.

— Ojcie! — Ninie istotnie wydawało się wręcz upokarzające iść teraz do kuchni z brudnymi talerzami, zwłaszcza po tych zachwyconych spojrzeniach sąsiadów.

— Słuchaj no, nadziejo radzieckiego sportu — powiedział ojciec, odgadując myśli córki. — Słuchaj uważnie i zapamiętaj na całe życie. Osiągnęłaś dopiero pierwsze sukcesy i już nie chce ci się zmywać naczyń. A co będzie później? Po następnym sukcesie może nawet nie będziesz już chciała patrzeć na swoich kolegów? Żeś niby czempionka, a oni zwykli studenci, co?

— Nigdy tak nie będzie, ojcie! Nigdy! Dlaczego tak mówisz? — w głosie Niny brzmiała nuta żalu.

— No to i dobrze, że nigdy tak nie będzie. A teraz

idź do kuchni zmyć naczynia, a jak zmyjesz, to nam wszystko opowiesz, jak tam było.

Nina szybko poszła do kuchni. Myjąc naczynia złościła się na ojca, że tak bez powodu napadł na nią. Ale nie o to chodziło. Zdawało się jej, że sąsiedzi patrzą na nią i myślą: „Taka znakomita sportsmenka, a stoi w kuchni w starym fartuszkach jak służąca”.

Sąsiedzi istotnie patrzyli na nią, próbowali zagadywać. Wszyscy przywykli do tego, że Nina zmywa naczynia i nie widzieli w tym nic niezwykłego czy poniżającego, dziwili się tylko, dlaczego dziewczyna odpowiada na ich pytania tak krótko i niechętnie.

Kiedy wróciła do pokoju i schowała do kredensu talerze, stary Sokił kończył czytać gazetę.

— Słuchaj, Nino — rzekł. — Widzę, że tobie bardzo podobało się być nadzieją sportu radzieckiego. To rzeczywiście chyba przyjemne uczucie, ale muszę ci powiedzieć, że nie napisałbym tak, gdybym był dziennikarzem. A u nas to już tak jest, że jak zaczną człowieka chwalić, to mu nawet zipnąć nie pozwolą, i tak wszystko zaleją patoką, że pozostaje tylko jedno: zadzierać nosa.

— Jesteś dzisiaj w dziwnym nastroju — odparła Nina. — Nie zdążyłam jeszcze spojrzeć na gazety, a ty mi już prawisz morały.

— Masz rację. No, chodź no tu, córko, i opowiadaj.

Tego wieczoru Nina spacerowała z przyjaciółkami po Chreszczatyku i Wołodymyrskiej Górze. Duży pamiątkowy złoty medal, przywieziony z Berlina, zwracał powszechną uwagę. Dziewczyna usłyszała kilka razy swoje nazwisko, wymówione z podziwem i zaciekawieniem.

Następnego dnia rano poszła po raz pierwszy do uniwersytetu. Idąc przez kijowskie ulice czuła się już pełnoprawną studentką wydziału dziennikarskiego i

czempionką; zdawało się, że jej ostry nosek sam się zadzierał. Na uniwersytecie wszyscy też patrzyli na złoty medal i rozpytywali o berlińskie spotkania. Nina chodziła nie czując ziemi pod stopami — tak lekko, tak dobrze było jej wśród tej gwarnej młodzieży.

Wykłady rozpoczęły się jak zwykle. W wielkim audytorium z ustawionymi w półkole ławkami, zupełnie niepodobnymi do szkolnych, zjawił się chudy, siwy profesor Bułakow i zaczął się wykład ze wstępu do językoznawstwa ogólnego. Słuchając go Nina przypatrywała się swym nowym kolegom. Było ich wielu, trudno na razie wyróżnić kogoś spośród tej masy. Obok niej siedziała dziewczyna z rumianą buzią i długimi, ciasno zaplecionymi warkoczami. Zapisywała skwapliwie słowa profesora, całkowicie pochłonięta jego wykładem. Poznały się podczas przerwy. Dziewczyna nazywała się Jaryna Honta, pochodziła z Donbasu, a tu mieszka w akademiku przy ulicy Bohaterów Rewolucji.

— A ja panią znam — czerwieniąc się, powiedziała nieco zmieszana, czym raz jeszcze potwierdziła popularność Niny.

Po językoznawstwie była literatura rosyjska, a później język angielski. Nina poczuła się rozczarowana. Cóż to za wydział dziennikarski, skoro tu nawet nie wspomina się o gazecie?

Ostatnią lekcją były ćwiczenia z kultury fizycznej. Dziewczyna skrzywiła się lekceważąco. To nie dla niej, trzeba jakoś zwolnić się z tego przedmiotu. Z tym twardym postanowieniem weszła wraz z innymi do sali gimnastycznej, gdzie ujrzała swego trenera, Mykołę Dmytrowicza Maksymowa.

Spotkania z nowymi studentami zawsze go podniecały. Był przekonany, że właśnie wśród nich, młodzieży z całej Ukrainy, uda mu się znaleźć prawdziwy talent sportowy, dziewczynę albo chłopca o wybitnych

zdolnościach. Wyławianie talentów sportowych uważał za główny cel swego życia. Zafascynowany za młodu sportem, któremu się całkowicie poświęcił, sam niestety nie zdobył żadnych rekordów. Tym usilniej szukał młodych, którzy ziszczą jego marzenia. Po ukończeniu jeszcze przed wojną instytutu wychowania fizycznego nie przyjął proponowanej aspirantury, lecz poszedł wykładać na uniwersytet, wierząc, że właśnie tam znajdzie przyszłych rekordzistów.

Znał uzdolnioną młodzież nie tylko Kijowa, ale większości dużych miast ukraińskich, starał się bowiem śledzić pilnie wszystkie młodzieżowe zawody. Właśnie podczas takich zawodów szkolnych odkrył Ninę Sokił. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała wcale na dziewczynę o wrodzonym talencie sportowym, ale Maksymow dostrzegł w niej to, czego nikt inny nie potrafił zauważyć — i nie pomylił się.

Dziś znów spotkał się ze studentami, którzy dopiero co przekroczyli próg uniwersytetu. W tej anonimowej masie uwagę jego zwróciła niska dziewczyna, sprawiająca wrażenie lalki zrobionej z jakiegoś miękkiego, delikatnego materiału. Mykoła Dmytrowicz spotkał się z nią spojrzeniem i lekko się uśmiechnął. No, zobaczymy, jak wypadnie na stadionie.

Dziewczyna przeszła od ściany do drzwi i Maksymowowi wydawało się, że już gdzieś kiedyś widział takie płynne ruchy. Śledził ją z napięciem. Jakiś szósty zmysł, wyrobiony w ciągu długich lat doświadczeń, podpowiadał mu: patrz uważnie, to talent. Więc przyglądał się jej nadal wnikliwie i znowu uśmiechnął się: czy to możliwe, żeby taka drobna i krucha dziewczynka była tym sportowym talentem, którego szukał? Czy on nie fantazjuje w ciągłej pogoni za talentami? A jednak ciągle zatrzymywał wzrok na różowej buzi.

Z nie mniejszą uwagą studenci obserwowali Mykołę

Dmytrowicza. Maksymow stał przy szwedzkiej ścianie, przenosząc kolejno spojrzenie z jednej twarzy na drugą. Jego bujne, ciemne włosy znaczyła już gdzieś siwizna. Kiedy się uśmiechał, wokół uważnych i ciepłych oczu zbiegały się drobne zmarszczki. Ręką opierał się o drążek. Z całej jego postaci biła siła i spokój. Starannie ogolony i ubrany z wyszukaną elegancją wyglądał raczej na artystę niż na wykładowcę kultury fizycznej.

Nina Sokił chciała pokazać tym wszystkim nowicjuszom, że już dawno i blisko zna się z Maksymowem, niech nie myślą, że tu, na uniwersytecie, nie ma dobrych sportowców. Podeszła szybko do Mykoły Dmytrowicza i hałaśliwie przywitała się, podając mu rękę.

— Dzień dobry, Nino — rzekł Maksymow. — Jutro trening według starego rozkładu.

Stojący obok studenci nabożnie słuchali jego słów.

— Mykoło Dmytrowiczu — powiedziała Nina — sądzę, że te zajęcia nie dla mnie, proszę mnie z nich zwolnić.

Maksymow spojrział na nią surowo, oczy mu pociemniały.

— O tym nawet nie myśl — Nina jeszcze go takim nie widziała. — Mimo że jesteś mistrzynią, obowiązuje cię dyscyplina studencka. Proszę o tym pamiętać. No cóż, poznajmy się, przyjaciele — już innym tonem zwrócił się do otaczających go studentów. — Kto z was w szkole uprawiał sport?

Niemal połowa studentów podniosła rękę. Nina stała nieruchomo, będąc przekonana, że to pytanie jej nie dotyczy. Zdziwiła się, gdy zobaczyła, że jej nowa znajoma, Jaryna Honta, też trzyma rękę w górze. Czyżby i ona coś trenowała?

— Sporo was — powiedział wesoło Maksymow. — A więc powiększy się kadra sportowców naszego fakul-

tetu. A czym pani się zajmowała — zapytał dziewczynę, która już wcześniej zwróciła jego uwagę.

— Biegałam.

— Na jaki dystans?

— Sto metrów.

Nina spojrzała na Jarynkę z nie ukrywanym zaciekawieniem i zdziwieniem.

— Pamięta pani wyniki? — spytał Maksymow.

— Mam drugą klasę — odpowiedziała zmieszana, czując na sobie niedowierzające spojrzenia kolegów.

— Doskonale — Maksymow zapisał coś w skórzanym notesie. — A pan jaki sport uprawiał? — zwrócił się do kolejnego studenta.

Kiedy porozmawiał już ze wszystkimi, na zakończenie polecił, aby na następne zajęcia przynieśli stroje gimnastyczne.

Nina wyszła z sali równie podniecona jak przed zajęciami. Na filarze w westybulu wisiał duży afisz: „Finał zawodów w koszykówce Uniwersytet—Politechnika”.

„Trzeba pójść” — pomyślała. Ujrzała siebie na trybunie ze złotym medalem na piersi i rozkoszując się tym obrazem przymknęła w rozmarzeniu oczy.

Z uniwersytetu wyszła na placyk otoczony wysokimi czerwonymi kolumnami. Spojrzała na ulicę Wołodymyrską, na park, na pomnik Szewczenki oświetlony łagodnym blaskiem słońca. Jak tu pięknie! Jak dobrze, że jest już studentką i że przez pięć lat dzień w dzień będzie tu przychodzić i uczyć się, póki nie stanie się prawdziwą dziennikarką...

— Dzień dobry, Nino!

Obejrzała się i zobaczyła Sofiję Dmytrowną Kartasz. Czekwała z uprzejmym uśmiechem na dole, aż Nina zejdzie. Przywitały się.

— Byłaś już dziś na wykładach?

— Tak. Nawet na wychowaniu fizycznym.

— Maksymow?

— Tak. Zmusza mnie do ćwiczeń razem ze wszystkimi.

— O, on to potrafi. W ogóle nie zwraca uwagi na wyniki. Szkoda, że nie prowadzę waszego roku.

Nina milczała.

— No to do widzenia. Treningi według starego rozkładu?

— Tak.

— Więc będziemy się spotykać na stadionie.

Nina była z siebie niezadowolona. Po co mówiła o tym Sofiji Kartasz? Wyszło tak, jakby się skarżyła na Maksymowa.

Ojciec dziś pracował przez całą dobę, więc Nina jadła obiad z ciotką. Po obiedzie bez słowa zebrała i zmyła naczynia, chociaż ciotka próbowała ją wyręczyć. Do niedawna Nina chętnie pomagała w pracach domowych, teraz jednak budziły w niej wstręt. Pamiętając jednak rozmowę z ojcem nie chciała nic zmieniać. Potem ubrała się w nową niebieską sukienkę, przypięła swój złoty medal i wybiegła z domu. Ledwie uszła kilka kroków, zмирzając do przystanku trolejbusowego, kiedy usłyszała z tyłu głośny klakson. To Petro Pawłowicz Sokił zatrzymał się przy chodniku. Odwoził pasażera na Łukianówkę i wracał teraz do centrum.

— Dokąd cię podwieźć? — spytał, patrząc z miłością na córkę.

— Na politechnikę, tam są dziś zawody. Nasi grają z politechniką w koszykówkę.

Usłyszawszy słowo „nasi” Sokił uśmiechnął się.

— To co, idziesz kibicować uniwersytetowi?

— Oczywiście! — Ninę zdziwiło to pytanie. — A komu miałabym kibicować?

— No to dobrze. A teraz opowiadaj, jak tam na uniwersytecie?

Rozmawiając wjechali na bulwar Brzeskolitewski i wkrótce zatrzymali się przy wielkim starym parku, którego potężne drzewa niemal zupełnie zasłaniały odbudowany gmach politechniki.

Nina pocałowała ojca w policzek i wyskoczyła z taksówki.

Weszła do wspaniałego, starego parku. Gałęzie olbrzymich wiązów, dębów i buków splatały się gdzieś tam w górze, tworząc nieprzeniknioną zasłonę dla promieni słonecznych, w dole panował więc przyjemny chłód. Śpiewały ptaki, Nina usiłowała dojrzeć chociaż jednego, nie udało się jej jednak, liście drzew, znaczone już tu i ówdzie szkarłatem, były zbyt gęste. Zaczynała się pora, w której Kijów był szczególnie piękny — pora złotej, cudownej jesieni. Można błąkać się ulicami w niemym zachwycie nad urodą miasta. I bywa jeszcze Kijów taki piękny w maju, kiedy kwitną kasztany; ich masywne korony na ulicy Lenina, na Wołodymyrskiej, na skwerach i w parkach pokryte są delikatnymi, blad różowymi świeczkami kwiatów. Jest to ta jedyna w swoim rodzaju pora kwitnienia kasztanów, kiedy wiosna nabrzmiewa sokami w każdej gałęzce, w każdym kwiecie, w każdym liściu.

Urzeka też Kijów swą urodą we wrześniu, kiedy zaczynają więdnąć liście. Palczaste liście kasztanów nie od razu żółkną. Najpierw pojawia się na nich wąziutka żółta obwódka, każdy liść otoczony jest ciemnożółtą lamówką, która poszerza się coraz bardziej, aż wreszcie obejmuje cały liść. Natomiast lipy i klony żółkną tu od razu, płoną przez kilka dni, a potem raptownie opadają obnażając nagie gałęzie.

Boiska do koszykówki znajdowały się w pobliżu wejścia do parku. Trybuny stopniowo zapełniały się



kibicami, wśród których Nina poznała kilku studentów ze swego roku. Obok niej na ławce usiadł dobrze ubrany chłopak ze znaczkiem towarzystwa sportowego „Nauka” w klapie marynarki. Chyba sporo czasu stracił na fryzurę, bo przedziałek zrobiony był z geometryczną precyzją. Zapytał Ninę o medal. Dziewczyna chętnie mu odpowiedziała. Okazało się, że Rostysław Kosenko zna ją od dawna. Studiuje na wydziale mechanicznym i oczywiście kibicuje drużynie politechniki.

— Będzie grał Rusanow — powiedział z dumą. — Ma pani szczęście, zobaczy pani coś niezwykłego.

— A kto to taki?

— Rusanow to najlepszy koszykarz Kijowa i mój przyjaciel.

Nina mimo woli uśmiechnęła się.

Drużyny wyszły na boisko.

— Niech pani patrzy: dziewiąty numer to właśnie Wołodia Rusanow.

Z ciekawością spojrzała na boisko. Zawodnik z dziewiątką był postawnym, wysokim chłopcem o otwartej, delikatnej twarzy. Gdy drużyny witały się i losowały, po której stronie boiska będą grać, Nina przyglądała się Rusanowowi. Podobał się jej, nie ma co ukrywać, gdy jednak uprzytomniła sobie, że to on właśnie stanowi główne zagrożenie dla drużyny uniwersyteckiej, znalazła dość powodów, by wbudzić w sobie niechęć do tego sympatycznego chłopca.

Nie ma gry bardziej napiętej od koszykówki. Piłka błyskawicznie przelatuje z rąk do rąk, na moment zatrzymuje się, jakby przyklepiała się do dłoni graczy, wzlataje w górę, toczy po ziemi, zbliżając się coraz bardziej do kosza, przypominającego więcierz na ryby. Najmniejszy błąd obrońcy — i piłka już wyleciała skądś w górę, stuknęła o tablicę, uderzyła o obręcz,

przez moment zawahała się i wpadła do sznurowej siatki, która zachybotwała.

Nina z miejsca oceniła, co przedstawia sobą Rusanow na boisku. W sporcie, w grze zespołowej, charakter człowieka ujawnia się jak nigdzie. Dobrze widziała, jak mądrze, nie spiesząc się i zawsze zatrzymując się we właściwym miejscu, gra ten Rusanow. Wiódł drużynę do ataku, podprowadzał swoich chłopców do ostatniego, decydującego uderzenia, pozostając potem sam w rezerwie, gotów w każdym momencie włączyć się do walki. Pod koniec meczu sędziowie dokładnie podliczą, ile kto wrzucił piłek do kosza, było to jednak dla Rusanowa jakby obojętne. Grał na tyle dobrze, że nie przywiązywał już do tego wagi. Nina zrozumiała, że Rusanow to istotnie wspaniały sportowiec, ale drużynie uniwersyteckiej wcale nie jest lżej z tego powodu. Początkowo politechnika prowadziła różnicą pięciu punktów, potem dziesięciu i wreszcie przewaga wzrosła do piętnastu...

Nina aż palce wyłamywała w stawach ze zdenerwowania. A tu jeszcze ten Rostysław po każdym голу dobija ją.

— A co, nie mówiłem?...

Politechnika wygrała różnicą szesnastu punktów. Ostatnią piłkę wrzucił Rusanow do kosza prawie z połowy boiska. To już nie sport, to natchniona sztuka.

— Widziała pani?

Nina zagryzła wargi i nie odpowiedziała. Nienawidziła z całej duszy tego Rostysława, a wraz z nim — a raczej przede wszystkim — Rusanowa. Chciała wstać i wyjść, ale Rostysław ją powstrzymał.

— Pani dokąd? Zaraz będą grać dziewczęta, macie szansę...

Została. Piłka znowu wleciała w górę. Dziewczęta

z uniwersytetu były wyraźnie silniejsze, ale to Niny nie uspokoiło.

— Posuń się, Sławko — rozległ się obok wesoły głos.

Nina obejrzała się. Rusanow. Wziął już prysznic, na co wskazywały gładko przyczesane, mokre włosy. Radośnie uśmiechnięty sprawiał bardzo sympatyczne wrażenie. Nina usiłowała tego nie dostrzegać.

— Poznajcie się — powiedział Kosenko, zwracając się do przyjaciela i wskazując oczyma na Ninę. — To koleżanka Sokił. Studiuje na uniwersytecie i zachwyca się twoją grą. Czy tak?

— Prosiłabym nie mówić w moim imieniu — zareagowała ostro Nina. — A mecz wygrał nie pan Rusanow, lecz drużyna.

— Słusznie — rzekł Rusanow, przyglądając się uważnie dziewczynie.

— Kiedy drużyna politechniki to właśnie Rusanow — nie ustępował Kosenko.

— Jesteś w błędzie i to nie od dziś, Rostysławie.

— Będziemy bić wasz uniwersytet, dopóki słońce świeci nad ziemią — odparował Kosenko, nie zwracając uwagi na słowa przyjaciela.

— Czy pan też tak sądzi?

— Jestem pewny — zaśmiał się Rusanow. — Rostysław mówi szczerą prawdę. Przy pani sportowym doświadczeniu i mistrzowskich medalach powinna to pani sama zrozumieć.

Chciała coś odpowiedzieć, nie potrafiła jednak znaleźć sensownych słów, więc tylko spojrzała ze złością na rozbawionych przyjaciół, wstała i wyszła, nie czekając na koniec zawodów.

— Niezły początek — rzekł Rostysław i przeciągnął językiem po wilgotnych wargach. — Trzeba się z nią bliżej zaznajomić.

Rusanow spojrział uważnie na przyjaciela.

— Idę o zakład — brawurował Kosenko — że ona przede mną nie ucieknie. Nie takie już w życiu zaliczyliśmy.

— Słuchaj no, Rostysławie — mówił powoli Rusanow, dobierając słów. — Nie bądź taki pewny siebie i taki... bezczelny.

— Nie wiesz czasem... — odciął się Kosenko. — Ja do niego jak do przyjaciela, a on...

Rusanow milczał patrząc w tę stronę, dokąd poszła Nina, ale wśród wysokich dębów parku politechniki nie było nikogo.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Erwin Meier czekał niecierpliwie na przyjęcie przez Stanleya. Niezwykła i niepokojąca była sama forma wezwania. Przyszedł do niego potężny, rumiany drab „em-pi” — żandarm amerykańskiej policji wojskowej — niemal rzucił mu w twarz pisemny nakaz stawienia się u generała jutro o jedenastej i odszedł, manifestując całą postacią i postawą lekceważenie i pogardę dla Niemców.

Wezwanie to mocno go zaintrygowało. Cieszył się, a jednocześnie bał się tego spotkania. Można było wszystkiego się spodziewać. Zgodnie ze starym przyzwyczajeniem, jako że zawsze oczekiwał najgorszego, Meier zaczął przypominać sobie swoje grzechy, ale wnet pogubił się w nich i zrezygnował z tego beznadziejnego rachunku sumienia. Kto wie, co teraz jest grzechem, a co cnotą. Ot, chociażby doktor Schitke, który przeprowadzał doświadczenia na więźniach. Jak to ocenić? Z punktu widzenia hitlerowców to niesłychanie ważna praca naukowa, zaś zdaniem ludzi radzieckich za takie doświadczenia trzeba wieszać. I bądź tu mądry, gdzie dobro a gdzie zło. No, a jeśli się przyj-

rzeń własnym grzechom? Zebrało się ich dostatecznie dużo, żeby Erwina Meiera wpakować do więzienia na całe życie. To z radzieckiego punktu widzenia. A z amerykańskiego?

Zaplątawszy się ostatecznie w swoich rozważaniach, Meier na kilka minut przed jedenastą zjawił się w adiutanturze generała Stanleya. Kazano mu poczekać. Meier usiadł i zaczął rozglądać się po obszernym pokoju, w którym nie było nic prócz stołu i kilku fotelików. Nagle otworzyły się drzwi i szybkim, energicznym krokiem weszła Berta Loch. Zameldowała się adiutantowi.

— A, komendantka z Ravensbrück — spojrzał na nią z ciekawością. — Tak, generał panią wezwał. Proszę zaczekać, wejdzie pani po panu Meierze.

W niczym teraz nie przypominała wystraszonej, wynędzniałej kobiety, która wyszła niedawno z więzienia w Spandau. Modna fryzura, podczernione rzęsy i brwi czyniły jej twarz niemal pociągającą.

Spojrzała na Meiera, poznała go i przywitała się.

— Pana też wezwali?

— Tak.

— Po co?

— Nie wiem.

— Też nie wiem. Tu wszystkiego można oczekiwać...

Komendantkę męczyły te same myśli co Meiera. Tylko że bała się jeszcze bardziej od niego. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Potem ktoś wyszedł od generała.

Meier ruszył do gabinetu, stąpając ostrożnie po lśniącem parkiecie i czując drżenie w kolanach. Przy biurku siedział Stanley w generalskim mundurze. Story na oknach były spuszczone, generał nie lubił słońca, w gabinecie panował więc półmrok.

Meier postąpił kilka kroków i zatrzymał się przed

Stanleyem. Amerykanin przez chwilę przyglądał mu się bezceremonialnie i uważnie jak koniowi na jarmarku.

— Niech pan siada, panie Meier — zaprosił go wreszcie. — Rozmowa nasza będzie krótka, ale ważna. O, tutaj — generał wziął do ręki grubą teczkę — znajdują się wiarygodne dokumenty dotyczące pańskiego życia. Żeby pan nie miał co do tego wątpliwości, proszę je przejrzeć.

Meier chwycił skwapliwie teczkę. Tak, zawierała istotnie jego dokładny życiorys. Nawet takie fakty, o których on sam dawno zapomniał, trafiły tu w postaci dokumentów czy wycinków z gazet. Wspomniał swe niedawne rozważania na temat dwóch punktów widzenia i zrozumiał, że teraz życie jego zależy od tego, jaki punkt widzenia przyjmie generał.

— Przejrzał pan? — spytał Stanley z uśmiechem.

— Tak.

— Zgadza się?

— Tak.

— To mnie cieszy. Otóż gdyby się oddało tę teczkę do sądu, to szubienica wcale nie jest wykluczona — generał uśmiechnął się wesoło, bardzo z siebie zadowolony. — Ale tę szubienicę my odłożymy. Wprost przeciwnie. Chcę panu dać pracę.

Serce Meiera gwałtownie zabiło. Oto wymarzona chwila, na którą czekał od dawna!

— Kiedyś, jak to wynika z dokumentów, był pan jednym z kierowników ruchu sportowego Trzeciej Rzeszy. Teraz musi pan znowu wziąć się za tę sprawę.

Meier spojrział na generała wyczekująco.

— Ci idioci zwlekają z organizacją armii zachodnioniemieckiej — powiedział generał. — Ale koniec końców muszą ją wreszcie zatwierdzić. No więc chcę, by w tym momencie były przygotowane dla niej kadry.

Finansowe możliwości są nieograniczone. Niech pan zorganizuje towarzystwo sportowe. Przyjmować tylko mężczyzn w wieku poborowym. Dyscyplina wojskowa. Latem — obozy sportowe. Wykłady z makietami broni. Struktura wojskowa: pluton, kompania, batalion. Im więcej będzie batalionów, tym więcej pieniędzy pan zarobi, system premiowania. Wszystko jasne?

— Tak — Meier drżał z radosnego podniecenia. — Znam dobrze tę robotę, na pewno nie zawiodę pańskich nadziei. Kto będzie moim bezpośrednim zwierzchnikiem?

— Pułkownik Kelley. Wszystkie szczegóły proszę uzgodnić z nim. Mam nadzieję, że nie pomyliliśmy się w wyborze. Może już pan odejść, panie Meier — nie podając ręki zakończył rozmowę Stanley.

Meier zerwał się z miejsca, po wojskowemu stuknął obcasami, dokonał przepisowego w tył zwrot przez lewe ramię i skierował się ku drzwiom.

— Chwileczkę — zatrzymał go generał, kiedy Meier chwycił już za klamkę. — Jest tu pewien Amerykanin, Shilling. Potrzebna mu jakaś pańska dziewczyna, nie pamiętam już która. Niech mu ją pan sprzeda po godziwej cenie. Zadzwoń do pana. To wszystko.

— Słucham — odpowiedział oszołomiony zupełnie Meier i wyszedł z gabinetu.

Generał zapisał coś w notesie i nacisnął guzik. W drzwiach ukazała się Berta Loch. Bez słowa podbiegła do Stanleya i padła przed nim na kolana.

— Wybawco mój! — zawołała histerycznie. — Wiem, że panu i tylko panu zawdzięczam życie! Może mi pan rozkazywać, żądać ode mnie wszystkiego, jestem pańska na wieki duszą i ciałem.

Amerykanin skrzywił się. Zimny i surowy, nie znoził hysterii i teatralnych gestów.

— Pierwsze moje żądanie: proszę wstać! To ma być

rzeczowa rozmowa, a nie uroczyste nabożeństwo za zbawienie pani duszy. Tę duszę znam dobrze sam, tak jak pani ciało znają dobrze żołnierze amerykańscy ze straży więzienia w Spandau. Nie interesuje mnie teraz ani jedno, ani drugie.

Początek rozmowy nie zapowiadał dla Berty nic dobrego. Usiadła, czując w całym ciele nerwowe drżenie.

— No cóż, Berto — mówił dalej generał. — Wie pani, że mogę jeszcze raz panią skazać i powiesić. Rosjanie zrobiliby to bardzo chętnie. Zdaje więc sobie pani sprawę, że nie ma na ziemi miejsca, w którym pani mogłaby czuć się bezpiecznie. A więc można polegać na pani w zupełności.

— Bezsprzecznie, panie generale.

— Wiem o tym. Hitlerowi służyła pani dlatego, że tak nakazywało pani hitlerowskie sumienie. Nam będzie pani służyć dlatego, że nakazywać to pani będzie strach. Czy zna pani doktora Schitke?

— Z obozu Ravensbrück?

— Tak.

— Spotkałam się już raz z nim... przypadkowo...

— Dobrze. Otóż prowadzi on bardzo interesujące doświadczenia z zakresu trucizn i bakterii. Dla pani to nie nowina. Robiliście już coś takiego w waszym obozie.

— Zgadza się, panie generale...

— Ja nie pytam, ja wiem. Schitke to wybitny uczonec, ale tylko uczonec. I w tym sęk. Jego pracom laboratoryjnym brakuje rozmachu, a nam być może trzeba będzie dużo takiej broni toksyczno-bakteriologicznej. Otóż z mego polecenia obejmuje pani kierownictwo tego laboratorium z zadaniem zorganizowania na większą skalę produkcji trucizn i bakterii. Wypróbowaliśmy już tę broń w Korei. Nie widzę powodów, dla których byśmy nie mieli wykorzystać doświadczeń i wynalazków



pana Schitke. Wszystkie sprawy finansowe i organizacyjne omówi pani z majorem Gordonem.

— Zgadzam się, panie generale.

— Nie pytam pani o zgodę. Jest pani moją rzeczą, nawet mniej niż rzeczą. Proszę to sobie zapamiętać. Może pani już odejść.

— Czy wolno mi będzie czasami niepokoić pana?

— Tylko w wyjątkowych wypadkach. To wszystko.

Berta wyszła od generała z uczuciem radości i jednocześnie nienawiści. Poniżające były nie tyle słowa generała, ile jego ton. No cóż, jest istotnie jego niewolnicą, rzeczą. Nie ma dla niej bezpiecznego miejsca na świecie. Ale ona dowiedzie jeszcze generałowi, że nie darmo była komendantką obozu Ravensbrück.

Potrząsnęła głową, jakby chciała poprawić fryzurę, i energicznym krokiem przeszła obok adiutanta. Wysokie szpilki niemal wbijały się w błyszczący parkiet. No więc w porządku, jest jeszcze komuś potrzebna, to znaczy, że będzie żyć.

Tymczasem Artur Shilling zdążył już odnaleźć Erwina Meiera. Spotkali się wieczorem w małej kawiarence nad brzegiem malowniczego jeziora Bahnsee w zachodnim sektorze Berlina. Shilling zamówił koniak. Przez kilka minut milczeli, spoglądając to na siebie, to na białe jachty, płynące z napiętymi żaglami po zwierciadlanej tafli jeziora. Siedzieli w nich mężczyźni i kobiety w białych czapkach z emblematami amerykańskiego jachtklubu; jezioro okupowali Amerykanie. Niemcy nie mieli tu prawa wstępu.

Trudno było określić wiek Artura Shillinga. Można mu było dać zarówno lat czterdzieści, jak i pięćdziesiąt. Nie wyglądał na sportowca. Korpulentny, łysy, z wydatnym brzuchem. Z pełnych policzków wyzierał mały okrągły nosek, a nad nim widniały okrągłe szkła okularów. Oddychał ciężko, z trudem, co mu nie prze-

szkadzało pić koniak w dużych ilościach. Miał na sobie krótką zamszową kurtkę i golfowe spodnie.

Siedzieli naprzeciwko siebie, pijąc małymi łykami koniak, i wcale nie spieszyli się do rozpoczęcia rozmowy. Lekki jacht przemknął blisko tarasu, na którym stały stoliki. Jego trójkątny żagiel przypominał skrzydło. Nad brzegiem krążyły małe muszki. Przeleciała bardzo nisko jaskółka, nieomal dotykając spokojnej, nie mąconej wiatrem tafli wody. Nad Bahnsee było cicho.

— Ładnie tu — powiedział wreszcie Shilling, patrząc na wielkie słońce zachodzące nad dalekimi, ciemniejszymi już lasami.

— Tak, ładnie — potwierdził wstrzemięźliwie Meier.

Obu ogarnął liryczny nastrój, który przychodzi, kiedy myśli się o pięknie przyrody, o utraconej młodości, o dawnych, zapomnianych przyjaciółach. Przez jakiś czas jeszcze milczeli, po czym wynurzając się nagle z tego smętnego nastroju, Shilling zapytał:

— Ile pan chce, panie Meier, za Erykę Stahlberg?

Erwin Meier z trudem się opanował. Oto o kim mówił generał. Nie, on Eryki nie sprzeda! Zbyt drogo go kosztowała, a poza tym przecież to prawdziwy skarb.

— Nie mam zamiaru rozstawać się z nią — odpowiedział dość ostro.

— Czyżby generał Stanley nie rozmawiał z panem? — spytał łagodnie Shilling.

— Tak, rozmawiał.

— Pańskie nowe stanowisko uzależnione jest od naszej rozmowy. Czy pan tego nie rozumie?

Meier milczał. Rozumiał to bardzo dobrze. Szukał teraz gwałtownie jakiegoś wyjścia, ale nic nie mógł wymyślić. Czy rzeczywiście będzie musiał oddać Ery-

kę, którą wychowywał i trenował prawie przez pięć lat?

— Ile pan chce za nią, Meier?

— Nie chciałbym...

— Ta sprawa jest przesądzona — powiedział nadal łagodnym i spokojnym głosem Shilling — i nie my o tym zadecydowaliśmy. W Stanach Zjednoczonych brak nam teraz właśnie takiej sprinterki. Możliwe, że po jakimś czasie będę mógł ją panu odsprzedać. Proszę podać cenę.

— W dolarach czy w markach?

— Nareszcie rzeczowe słowa! Waluta nie gra roli. Może być w dolarach.

— Piętnaście tysięcy.

— Nie, Meier, to za dużo. Aż tyle dochodu ta pańska Eryka nie przyniesie.

— Ona przyniesie panu setki tysięcy.

— Nie sądzę. Nie dam panu więcej niż dziesięć tysięcy.

Kiedy tak siedzieli targując się, mogło się wydawać, że to dwaj przyjaciele rozmawiają przy koniaku o nieważnych głupstwach. Tak jakby handel sportsmenką był czymś oczywistym i zwyczajnym.

— Dobrze, fifty-fifty — powiedział Meier.

— Okey — skinął głową Shilling i z tą chwilą Eryka Stahlberg została sprzedana za dwanaście tysięcy dolarów amerykańskiemu menażerowi.

— Czy może pan pokazać mi jeszcze dziś swoją kobyłkę?

— Tak — zgodził się Meier.

W głębi serca szkoda mu było Eryki, bał się rozmowy w tym małym mieszkaniu na Kaiserdamm, ale nie mógł już teraz niczego zmienić.

Nad jeziorem powiał lekki, przedwieczorny wiatr. Żagle napięły się i jachty ruszyły, oddalając się od

brzegu. Zapadał cudowny wieczór. Wszystko wokół było piękne, barwne, jędrne, zielone brzegi Bahnsee oddychały spokojem.

Meier wstał.

— Chciałbym, żeby mi pan trochę pomógł. Pierwsza rozmowa z Eryką może być bardzo trudna...

— Ona jest pańską kochanką?

— Nie, ale bardzo kocha swą matkę, Berlin...

— Jak ja nie lubię tych sentymentów — skrzywił się Shilling.

— Nic na to nie poradzimy, od tego zależy nastrój sportowców, a od nastroju ich wyniki.

— Ma pan słuszość — burknął Amerykanin. — No cóż, pomogę panu, chociaż jestem przekonany, że to niepotrzebne. Ona na pewno będzie oszołomiona tą radosną nowiną i zapomni raz na zawsze o tych niemieckich sentymentalnych bzdurach.

— Nie wiem...

Wsiedli do taksówki. Przez całą drogę milczeli. Meier przygotowywał się do czekającej go rozmowy, a Shilling nie miał po prostu o czym z nim mówić.

Gdy dojechali do domu, w którym mieszkała Eryka, już się ściemniało. Na słabo oświetlonej klatce schodowej Meier potknął się i zaklął. Był wściekły na Erykę. To przez nią te przykre chwile. Bardzo nie lubił nieprzyjemnych przeżyć, uważając, że powodują przedwczesne starzenie się.

Marta i Eryka Stahlberg były w domu. Zmartwiła Meiera nieobecność Berty, miał bowiem nadzieję, że w jej obecności jakoś łatwiej pójdzie rozmowa.

— Panie pozwolą — z przesadną lekkością prezentował Meier — to mister Artur Shilling. Przyjechał z Ameryki i chce cię porwać, Eryko, do Nowego Jorku.

Starał się mówić swobodnie, w żartobliwym tonie, obserwując jednocześnie, jakie wrażenie na dziewczynie sprawi ta informacja. Może uśmiechnie się, ucieszy i wtedy wszystko stanie się proste.

Ale Eryki nie olśniła ta perspektywa.

— Mnie dobrze w Berlinie — odpowiedziała ostro, oburzona taksującym spojrzeniem Shillinga.

Było jej smutno i ciężko. Wczoraj wyjechał Tibor Szabo. Ich miłość wybuchła nagle jasnym, gorącym płomieniem... I nie wiadomo, kiedy znowu się zobaczą i jak potoczy się dalej ich życie. Niczego sobie nie przyrzekali, zbyt wiele granic i przeszkód stało między nimi. Jednak Eryka czuła, że nie przeżyje już takiej drugiej miłości. Jediną szansą na spotkanie były międzynarodowe zawody lekkoatletyczne studentów, które miały się odbyć w przyszłym roku właśnie tu, we wschodnim Berlinie. Tibor na pewno przyjedzie, a do tego czasu może coś zmieni się w tym przeklętym, tak podle zorganizowanym świecie. Była to mała gwiazdka nadziei na ciemnym, zasnutym chmurami niebie Eryki.

Wizyta Shillinga nie zrobiła na niej żadnego wrażenia, dopiero wzmianka o Nowym Jorku zaniepokoiła ją: Meier nigdy nie żartował dla samego żartu.

— Tak, tak, Eryko, mister Shilling chce cię zabrać na jakiś czas do Ameryki i niestety muszę się na to zgodzić.

— Co to ma znaczyć? — spytała gniewnie Marta Stahlberg.

— To znaczy, że wszystkie prawa i obowiązki wynikające z naszej umowy, na podstawie której wypłacałem pani przez pięć lat pieniądze, przechodzą teraz na pana Shillinga, a moja rola w życiu Eryki skończyła się. Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść...

Marta bezsilnie opadła na fotel. Zgodnie z umową,

którą podpisała przed kilku laty, Eryka nie miała prawa ani pracować, ani występować bez zezwolenia Erwina Meiera, nie wolno jej było zrobić żadnego kroku bez zgody trenera. A teraz on przelewa swoje prawa na Shillinga i Eryka musi pogodzić się z tym, bo jest własnością Meiera, który może zrobić z nią, co zechce. Niech będzie przeklęta ta chwila, kiedy Meier zobaczył po raz pierwszy jej córkę na stadionie!

— Za ile pan mnie sprzedał? — spytała Eryka ostrym tonem.

— Co ty, Eryko! — oburzył się Meier. — Mister Shilling to mój przyjaciel, więc jest to tylko przyjacielska przysługa.

— Pan kłamie — krzyknęła Eryka. — Pan nigdy za darmo nic nie robi.

Artur Shilling skinął głową.

— Niepotrzebnie się pani gniewa na pana Meiera, Eryko. On otwiera przed panią drogę do szczęścia, do Ameryki. Tam czeka panią sława, pieniądze...

— No, na moich rekordach to pan się wzbogaci, panie Shilling! — przerwała Eryka.

— Być może. Jeśli będą sukcesy, to oczywiście i ja, i pani — odparł Shilling tak samo miękko i spokojnie. — Musi jednak pani wiedzieć, że czeka panią życie, jakiego nie można w ogóle porównać z życiem w tym waszym śmierdzącym NRF.

Eryka spłonęła.

— To moja ojczyzna! — wybuchnęła. — Być może śmierdząca, rozdarta na części, zniesławiona, ale mimo to ją kocham. Tu się urodziłam, tu chcę żyć i umrzeć.

— Przez jakiś czas będzie jednak pani musiała zamieszkać w Ameryce. A potem oczywiście może pani wrócić do domu.

Eryka skapitulowała. Wiedziała, że umowa wiąże jej ręce. Nic na to nie poradzi. Żadne prośby i błagania

tu nie pomogą. Pozostaje do wyboru: więzienie albo Ameryka.

I nagle rozjaśniła ciemność jak błyskawica myśl: uciec! Uciec do wschodniego sektora. Tam nikt nie będzie jej sprzedawał czy zmuszał do wyjazdu.

Meier jakby odczytał jej myśli.

— Chcę cię uprzedzić, Eryko: żeby ci nie przyszło do głowy uciekać. Mówię to dla twego dobra. Erykę Stahlberg powitano by tam chętnie, nie wiem natomiast, jak ustosunkowano by się do siostrzenicy komendantki obozu Ravensbrück. A poza tym.. umowę podpisała twoja matka, pani Marta Stahlberg, więc wobec prawa ona jest odpowiedzialna za dotrzymanie jej warunków.

Przed oczami Eryki popłynęły litery wypalone na ręce Tibora. Zachwiały się ściany i sufit. Dziewczyna padła na kanapę twarzą do starej pluszowej poduszki i głośno, histerycznie zapłakała.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ulicą Gorkiego mknął motocykl. To Olga Korszunowa spieszyła na pierwszy po berlińskich zawodach trening wyznaczony przez Karcewa. Minęła już most obok Dworca Białoruskiego, zostawiła za sobą bryłę nowego Hotelu Radzieckiego, jeszcze po lewej stronie ozdobny budynek przy ulicy Biegowej — i już z prawa wysuwa się półkole zachodniej trybuny moskiewskiego stadionu „Dynamo”.

Zaparkowała motocykl i pospieszyła do szatni. Do treningu pozostało dziesięć minut. Dla Wołoszyny, Korszunowej i dwóch innych sportsmenek, które podobnie jak ona studiowały, był to czas na trening naj-

wygodniejszy. Dziewczęta szybko przebrały się i czekały na Wołoszynę. Olga Borysowa przychodziła zwykle wcześniej, więc teraz niepokoiły się o nią.

Wreszcie weszły na stadion zalany pogodnym wrześniowym słońcem. Na boisku piłki nożnej trawa już pociemniała i miejscami zeschła, jakby padł na nią cień. Od czasu do czasu zamigotał w słońcu suchy liść niesiony lekkim wiatrem. Wkrótce już popłyną w powietrzu długie, jedwabiste pasemka babiego lata.

Fiodor Iwanowicz Karcew w ćwiczebnym flanelowym dresie czekał już na swoje uczennice. Twarz miał zamyśloną i poważną. Był już stary, ale mówiły o tym tylko zmarszczki na szyi oraz wyblakłe, dziwnie przezroczyste oczy. Poruszał się jeszcze lekko i pewnie jak młody sportowiec, pełen sił i energii. Wydawało się, że czas nigdy nie zegnije jego mocnych ramion. Wraz z wiekiem przyszła spokojna, rozważna mądrość, pozwalająca rozumieć ludzi i ich postępowanie. Karcew wiedział, dlaczego sportowiec silniejszy przegrywa niekiedy ze słabszym, nauczył się cenić i rozumieć siłę uczucia określonego jako „sportowa wściekłość”, wiedział z wieloletniego doświadczenia, że o zwycięstwie w sporcie decydują nie mięśnie, lecz nerwy.

Gdy zobaczył wychodzące z szatni dziewczęta, lekko zeskoczył z bariery, podszedł do nich, przywitał się, przyjrzał się uważnie każdej, dostrzegł wesołe błyski w oczach Olgi.

— Znowu coś nabroiłaś?

— Nie, nic szczególnego. Poszalałam trochę na motocyklu.

— No, dobra. Zaczynamy.

— A Olga Borysowa?

— Olgi dziś nie będzie. Idziemy.

Urwał tę rozmowę, bo nie chciał, żeby dziewczęta



rozpytywały o przyczyny nieobecności Wołoszyny, nie potrafiłby im bowiem odpowiedzieć.

Trening rozpoczął się jak zwykle lekkim wolnym biegiem po żuźlowej bieżni, który poprzedzał właściwy wytężony trening. Potem Karcew zatrzymał się, dziewczęta stanęły półkolem i zaczęła się gimnastyka.

Po gimnastyce i biegu przyszła kolej na dysk: dokładne, niemal jubilerskie szlifowanie techniki rzutów. Pozornie to takie proste: krążek z metalu i drzewa ważący zaledwie kilogram, więc nic łatwiejszego, jak rzucić go tak, że nie zobaczy się nawet, gdzie upadł. Ale spróbujcie to zrobić!

Kiedy ogląda się sportowca z prawdziwego zdarzenia, to wydaje się, że jego ruchy nie wymagają żadnego wysiłku, dysk jak gdyby sam wypada z ręki, piłka koszykówki sama trafia do kosza, a czarna bieżnia sama niesie biegacza. I niewielu ludzi wie, jakim ciężkim, wręcz tytanicznym wysiłkiem osiąga się tę lekkość, swobodę, dokładność.

Trener uważnie przyglądał się rzutom Olgi Korszunowej. Dostrzegał w nich błędy, zastanawiał się, jak je usunąć, a jednocześnie śledził z zachwytem powolny ruch dziewczyny oraz moment, kiedy dysk wylatywał z jej ręki i błysnąwszy w słońcu, padał daleko na pozółkłą trawę.

„Tak — myślał Karcew — jeszcze rok, może dwa i rekord Olgi Borysowny przestanie być rekordem. Ale zwycięstwo to nie przyjdzie Oldze Korszunowej łatwo. Do rekordu brakuje jednego metra. Pierwsze pięćdziesiąt centymetrów łatwiej osiągnąć niż następne, a najtrudniej przeskoczyć ostatni centymetr. Dla tego jednego centymetra przyjdzie, być może, pracować cały rok”.

Dziewczęta odłożyły dyski. Jeszcze ostatnie ćwicze-

nia, powolny bieg i trening skończony. Dwie godziny minęły jak jedna chwila.

Olga Korszunowa od razu weszła do szatni, zrzuciła kostium i po chwili stała już pod prysznicem. Na jej rozkwitłe, prężne ciało lały się silne strumienie wody, pieściły jej skórę, rozbijały się na tysiące lśniących kropelek.

Wyszła z szatni taka świeża i silna, jakby wcale nie było całodziennej nauki i męczącego treningu. Koło bramy spotkała Karcewa.

— Pani do domu?

— Tak. A dlaczego nie przyszła dziś Olga Wołoszyna?

Karcew spochmurniał. Teraz się nie wykpi, musi coś powiedzieć.

— Nie będzie już więcej trenowała z wami. W teatrze przygotowują nową sztukę i jej wolny czas nie pokrywa się z waszym.

— To dziwne, bo przedtem też miała próby nowych sztuk, a trenowałyśmy razem.

— A teraz nie może — powiedział ze złością Karcew i żeby zakończyć rozmowę o Wołoszynie, zapytał: — Czy pani pamięta, jaki czas miała Ilona Szabo na osiemdziesiąt metrów przez płotki?

— Jedenaście i cztery — odpowiedziała dziewczyna z roztargnieniem. — A może ona nie chce pracować właśnie ze mną?

— A dlaczego miałyby nie chcieć?

— Rzeczywiście — uśmiechnęła się Olga. — Dlaczego miałyby nie chcieć? Zadaję jakieś niedorzeczne pytania. Przepraszam.

Zjechali do metra. Już tyle razy Olga jeździła moskiewskim metrem, ale mimo to wciąż na nowo podziwiała polerowane marmury, porfiry i granity i ciągle zachwycała się wspaniałą robotą budowniczych.

Kiedy zbliżali się do placu Swierdłowa, Karcew powiedział:

— Tak już jest w życiu, że nawet bardzo mądrzy ludzie robią głupstwa.

— Kogo pan ma na myśli?

Ale trener nie zdążył odpowiedzieć, bo wagon zatrzymał się. Fiodor Iwanowicz wysiadł tu, a Olga jechała dalej do „Czerwonych Wrót”, więc trener pomachał jej tylko na pożegnanie.

Wkrótce wysiadła również Olga.

Spojrzała na zegarek i przyspieszyła kroku. Musi zdążyć na uczelnię, zanim zamkną stołówkę. Zje obiad, a potem zabierze się do roboty. Trzeci rok nauki wydawał się jej najtrudniejszy.

Weszła do jadalni i odetchnęła z ulgą: nie spóźniła się. Przebiegła wzrokiem jadłospis, większą uwagę zwracając na ceny niż na nazwy potraw. Do stypendium daleko, nie ma się co namyślać: zupa i kotlet z makaronem. Bez kompotu można się obejść.

— Jest list do ciebie, Olgo — zawołała jedna ze studentek, podając jej niebieską kopertę zaadresowaną wielkimi, niezgrabnymi literami.

Pisał brat Lonia, który studiował w kijowskiej Szkole Wojskowej im. Suworowa. Olga bardzo Lonię kochała. Z rodziny nie miała oprócz niego nikogo: ojciec, major artylerii, zginął na wojnie, matka umarła podczas ewakuacji w Taszkencie. Przyjaciele ojca umieścili Leonida w suworowskiej uczelni, a Oldze pomogli ukończyć dziesięciolatkę i wstąpić do instytutu.

Jedząc obiad, Olga jednocześnie czytała list. Lonia gratulował jej tytułu mistrzyni sportu, donosił, że u nich zaczęła się już nauka, i prosił, żeby nie popyłała mu pieniędzy, bo w uczelni otrzymuje wszystko, co trzeba. Przeczytawszy ostatnie zdanie, Olga zamyśliła się. Posyłała bratu ze swego stypendium pięćdzie-

siąt rubli. Jak to mało... Mój Boże, żeby już jak najszybciej ukończyć instytut i zarabiać jak wszyscy ludzie!

Po obiedzie poszła do czytelni. Miała szczęście, był wolny stolik. A więc do dziewiątej posiedzi nad konspoktem z ekonomii politycznej, a potem...

Dziewczyna uśmiechnęła się. O dziewiątej ma złożyć pierwszą wizytę matce Sawy Pochitonowa.

W tym czasie Sawa Pochitonow chodził po domu zdenerwowany. Należałoby przygotować się jakoś do odwiedzin narzeczonej, nie wiedział jednak jak.

— Mamo — powiedział niepewnym głosem, podchodząc do siwej kobiety, która siedziała w fotelu i wyszywała. — Wiesz, dziś ma ktoś do mnie przyjść.

— No cóż, będzie mi bardzo miło — odpowiedziała obojętnie Neonila Grigoriewna. — W kredensie jest trochę koniaku, mam nadzieję, że wystarczy.

— Kiedy rzecz w tym, że...

Neonila zrobiła jeszcze kilka ściągów, wpięła igłę w materiał i ze zdziwieniem spojrzała na syna.

— O co chodzi?

— Chodzi o to, że...

— Że co?

— Widzisz, chodzi o to...

— Czy ty już nic nie potrafisz powiedzieć poza tym „chodzi o to”?! — rozgniewała się matka. — Nasz język ma ponad czterdzieści tysięcy słów...

Sawa jakby nie słyszał matki. W ogóle mówienie przychodziło mu z trudem, a tu każą mu jeszcze wysilać się.

— Chodzi o to, że przyjdzie moja narzeczone — wyrzucił wreszcie z siebie rozpaczliwie.

Neonila Grigoriewna pozostała pozornie spokojna. Już dawno pogodziła się z myślą, że kiedyś musi nadejść taka chwila, i przygotowywała się do obrony. Nie

wiedząc jeszcze, o kogo chodzi, była z góry przekonana, że dziewczyna ta nie jest warta jej syna. I w ogóle nie ma takiej na świecie. Chcąc zyskać na czasie udała, że nie rozumie, o co chodzi:

— Co takiego?

— Zaprosiłem do nas swoją narzeczoną.

Wypowiedział te słowa już głosem pewnym, z przekonaniem, i matka zrozumiała, że walka będzie o wiele cięższa, niż oczekiwała. Wiedziała, że wcześniej czy później musi ją przegrać, syn się ożeni, chciała jednak jak najdalej odsunąć tę chwilę, a przede wszystkim wybrać Sawie żonę według własnego gustu. No i masz ci! Po prostu dziś o dziewiątej wieczorem przyjdzie jakaś tam dziewczyna... Zapominając więc o całej wcześniej obmyślanej taktyce, Neonila Grigoriewna wybuchnęła:

— Spodziewałam się tego! Przeczuwałam, że tym się skończy!... Nie poradzisz się, przyprowadzisz do naszego domu jakąś...

— Mamo! — próbował jej przerwać Sawa, ale nie zamierzała wysłuchiwać żadnych argumentów.

— ...przyprowadzisz i powiesz: Patrzcie wszyscy, oto moja żona!

— Ona nie jest jeszcze moją żoną, tylko narzeczoną, a to duża różnica.

— Oczywiście, ale czy w naszych czasach ktoś może określić tę różnicę? I zapewne ta twoja narzeczona spodziewa się dziecka? W którym jest miesiącu?

Neonila Grigoriewna sama nie wierzyła w to, co mówi, ale zapytała na wszelki wypadek, żeby przekonać się, jak syn na to zareaguje.

— Uspokój się, mamo — rzekł możliwie obojętnym i trochę kpiącym tonem. — Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł mieć z nią dziecko. Ale do tego, niestety, jeszcze bardzo daleko...

— Bogu dzięki — ucieszyła się Neonila Grigoriewna. — A kto to?

— Studentka naszego instytutu. Olga Korszunowa. Znana w całym świecie sportsmenka.

— Futbolistka? — uśmiechnęła się Neonila Grigoriewna, która doskonale wiedziała, że kobiety nie grają w piłkę nożną. Sawa nie wyczuł jednak kpiny.

— Ona rzuca dyskiem. Zajmuje drugie miejsce po Wołoszynej w Związku Radzieckim, a tym samym na świecie.

— Dyskobolka? — nie zmieniając tonu spytała matka. — To mogę ją sobie wyobrazić: potężna jak szafa, twarz jak u woźnicy.

Sawa zrozumiał nagle, że matka prowadzi z nim grę, i powściągliwie odparł: — Zobaczysz.

— Czy to rzeczywiście twoja narzeczona? Naprawdę ją kochasz? — nalegała Neonila Grigoriewna, którą zaczął już drażnić spokój syna.

— Tak, to moja narzeczona, i bardzo cię proszę, bądź dla niej miła... Ja chcę, rozumiesz, muszę się z nią ożenić.

— Jak to? Przecież mówiłeś, że wy jeszcze...

— O czym ty mówisz, mamó? Co masz na myśli? Za dwa lata ona zostanie mistrzynią świata, rozumiesz? I o tym właśnie warto pamiętać... no i oczywiście kocham ją, a to najważniejsze...

— Daj spokój, Sawo, z tą miłością. To młodzieńcze fantazje typowe dla dwudziestoletniego chłopca... Rozczarujesz się po dwóch tygodniach. Ale dobrze, zrobię wszystko tak, jak chcesz. Nic mi nie wiadomo, kto będzie za dwa lata mistrzynią świata, nie znam się zupełnie na sporcie, ale jestem matką i to wystarczy. Boże, żebyś ty wiedział, jak ja cierpię...

Na dźwięk dzwonka w przedpokoju Sawa drgnął i spojrzął z niepokojem na matkę.

— To ona. Mamo, błagam cię, bądź dla niej dobra. Nie masz pojęcia, jaką to ma dla mnie wagę.

— Nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze.

Sawa wybiegł otworzyć drzwi. Neonila Grigoriewna zlustrowała wzrokiem pokój. Tyle tu wspaniałych obrazów i rzadkich rzeźb. Wiele z nich mogłoby znaleźć się w muzeum. Dzieła sztuki kolekcjonowano tu w sposób przemyślany i z miłością. I oto przyjdzie jakaś tam dziewczyna na gotowe i będzie się tu rządzić, a co najbardziej bolesne — nie doceni tych skarbów sztuki, wysiłku i smaku ludzi, którzy zbierali te dzieła utalentowanych, niemal genialnych artystów...

Drzwi skrzypnęły. Dziewczyna zatrzymała się w progu, jakby nie mając odwagi wejść do środka.

Istotnie, jej Sawa ma zbyt dobry gust, by przyprowadzić do domu jakiegoś cudaka. Dziewczyna była bardzo ładna, nie da się zaprzeczyć. I te niedawne porównania do szafy i woźnicy nie miały sensu. A jednak Olga Korszunowa nie wzbudziła sympatii Neonily Grigoriewny. Wprost przeciwnie — uroda dziewczyny wzmogła tylko jej niechęć. Wstała, czujna i napięta, jakby zaraz miała przystąpić do ciężkiego i nierównego boju.

— Proszę bliżej — powiedziała nawet uprzejmnie. — Niech pani siada, bardzo się cieszę, że mogę panią poznać.

Jednocześnie lustrowała dziewczynę zazdrosnym spojrzeniem. Dostrzegła wszystko: i stare, znoszone pantofle, i skromną sukienkę. Nie, nie o takiej synowej marzyła.

— Poznajcie się. Oleńko, to moja mama — wyłonił się zza dziewczyny Sawa.

— Bardzo mi miło — powiedziała Olga jak dobrze wyuczoną lekcję, wyciągając rękę i starając się nie za

mocno uściskać pulchną dłoń gospodyni. — Nazywam się Olga, Olga Korszunowa.

— Miło mi panią poznać. Neonila Grigoriewna. Mam nieszczęście być matką tego szalawicy. Cieszę się, że panią widzę.

Po prezentacji nastąpiła cisza, to kłopotliwe milczenie, kiedy nikt nie wie, jak zacząć rozmowę. Olga miała oczy spuszczone. Sawa przenosił spojrzenie z niej na matkę i nie potrafił rozładować tego zażenowania. A matka patrzyła triumfalnie na syna, jakby chciała powiedzieć: „No i sam widzisz, jaka ona głupia, zapomniała języka w gębie”.

— No, czemu taka cisza? — przemówił wreszcie Sawa pozornie swobodnie. — Siadaj, Olgo.

— Pani jest matką Sawy? — spytała Olga, żeby tylko coś powiedzieć.

— Tak — w głosie Neonily Grigoriewny zabrzmiał ton protekcyjnej wyższości. — Mówiłam już pani o tym. — Spojrzała na syna, który wyglądał teraz tak żałośnie, że zlitowała się nad nim i podtrzymała rozmowę. — A pani ma matkę?

— Nie, moja matka umarła podczas wojny — Oldze zrobiło się trochę lżej, zmieszanie jakby zniknęło.

— A ojciec? — wielkodusznie wypytywała dalej Neonila Grigoriewna.

— Zginął na wojnie.

— A kto panią wychowywał?

— Ciotka Oksana.

— Tu, w Moskwie?

— Nie, w Donbasie.

— Ach tak — powiedziała Neonila Grigoriewna, jakby już wszystko zrozumiała i podsumowała. — To znaczy, że pani nie zawsze mieszkała w Moskwie?

— Zgadza się — zmieszanie Olgi ustępowało jakiejś złośliwej wesołości. — Ma pani jeszcze jakieś pytania?



— Nie, wiem już wszystko.

— Ja też. Proszę wybaczyć, ale na mnie już czas. Wpadłam tylko na chwilkę, żeby panią poznać.

— Coś ty, Olgo! — zaprotestował Sawa.

— A może przeszkadzam? — spytała obrażonym tonem matka.

— Ależ nie, mamu, wprost przeciwnie — Sawa zdawał już sobie sprawę, że ta tak oczekiwana wizyta, po której sobie wiele obiecywał, przebiega w sposób niepożądany, i przestraszył się. — Olga znajdzie chyba jeszcze trochę czasu.

Matka spojrzała na zarumienioną urodziwą twarz dziewczyny. Ona musi wiedzieć, dokąd trafiła, musi nabrać szacunku dla całej rodziny Pochitonowych, dla ich sposobu życia, dla ich zamożności. Kiedy już tu przyszła, to niech wie, z kim ma do czynienia.

— Myślę, moja droga Olgo — rzekła Neonila Grigoriewna z akcentowanym poczuciem własnej godności — że zainteresuje panią być może, iż w tej jadalni znajduje się cenna kolekcja antykwarycznych eksponatów oraz obrazów wybitnych artystów wartości sześćdziesięciu ośmiu tysięcy sześciuset pięciu rubli.

Spojrzała z góry na Olgę, chcąc sprawdzić, że podana kwota sprawiła na dziewczynie odpowiednie wrażenie, nic jednak nie dostrzegła na jej twarzy, więc ciągnęła dalej:

— Mój mąż, jak być może pani wiadomo, był wybitnym lekarzem. Przyjeżdżali do niego na konsultacje nawet z Francji, co dostatecznie świadczyło o jego popularności. Wszystko, co pani tu widzi, sam zbierał przez całe życie, a przed swą nagłą śmiercią zapisał to mnie. Oczywiście po mnie odziedziczy to mój jedyny syn. Wyobraża pani to sobie?

— Wyobrażam — odpowiedziała Olga czując, jak złośliwość w niej wzrasta.

Neoniła Grigoriewna majestatycznie podniosła się, podeszła do ściany i wyciągnęła rękę do bardzo pięknego, jesiennego pejzażu.

— Oto na przykład ten obraz pędzla znanego artysty Lewitana. Chyba pani słyszała o nim? Dzieło to kosztowało dwanaście tysięcy rubli, było zawsze chlubą kolekcji mego niezapomnianego Piotra Iljicza. Wyobraża pani sobie?

— Wyobrażam — powtórzyła Olga.

— A ten obraz — odstępując trochę na bok mówiła dalej gospodyni — mistrza Budryckiego z pierwszego okresu jego twórczości. Jeszcze żadnemu znawcy sztuki nie udało się odgadnąć, co ten obraz przedstawia, nie obniża to jednak jego wartości i mój nieboszczyk mąż chętnie dał za niego pięć tysięcy rubli.

— Dwanaście i pięć to siedemnaście — dodała wesoło Olga.

— Proszę? — nie zorientowała się Neonila Grigoriewna.

— Mówię, że dwanaście i pięć to siedemnaście.

— Ach tak... Racja. A ten stołowy garnitur z czerwonego drzewa nabyliśmy za piętnaście tysięcy. To niezwykle rzadka rzecz.

— Siedemnaście plus piętnaście to będzie trzydzieści dwa — podliczyła rzeczowo dziewczyna.

— A oto szkic Kustodijewa za dwa tysiące.

— Trzydzieści cztery.

— A ta Wenus z brązu trzy tysiące.

— To już trzydzieści siedem.

Rozmowa rozśmieszała Sawę, a jednocześnie obrażała go. Widział, że Olga w żywe oczy kpi z Neonili Grigoriewny, mając zresztą do tego wszelkie podstawy. Ale przecież chodziło o jego matkę i dlatego było mu wstyd i gniew na Olgę wzrastał. Zdecydował się przerwać tę głupią rozmowę.

— Przestań, Olgo! — rzekł błagalnie.

— Dlaczego? Muszę przecież zdawać sobie sprawę z tego, gdzie się znajduję i co tu ile kosztuje. Bardzo panią proszę mówić dalej, Neonilo Grigoriewno.

Sawa machnął ręką z rozpaczliwą rezygnacją i odwrócił się do obrazu Budryckiego, niewiarygodnej mazaniny, w której splątały się jakieś ręce, promienie słoneczne, oczy i drzewa.

Neonila Grigoriewna spojrzała uważnie na Olgę.

— Zdaje się, że pani nie jest taka lekkomyślna jak mój niepraktyczny życiowo syn. To dobrze. Nawet bardzo dobrze. A ten obraz podarował mężowi pewien pacjent. Wart cztery tysiące.

— Czterdzieści jeden. Proszę dalej.

— A ten dwa.

— Czterdzieści trzy.

— No a ten dwa tysiące trzysta.

— Czterdzieści pięć trzysta. Dalej.

— Olga, przestań — krzyknął Sawa, nie panując już nad sobą; przeklinał w duchu tę chwilę, w której przyszło mu do głowy zaprosić Olgę do siebie.

— Nie przeszkadzaj nam, Sawo — zareagowała niezadowolonym głosem matka. — A ten tysiąc pięćset.

— Czterdzieści sześć osiemset. Jedziemy dalej.

— Dalej? — Neonila Grigoriewna rozejrzała się wokół, jakby szukając jeszcze gdzieś ukrytych bogactw. — Och, byłabym zapomniała o najstarszym obrazie naszej kolekcji: kosztuje osiem tysięcy dwieście.

— To razem pięćdziesiąt pięć tysięcy. A gdzie jeszcze trzynaście tysięcy sześćset pięć rubli? — spytała Olga tonem sędziego śledczego, z trudem wstrzymując się od śmiechu.

— Jakie trzynaście tysięcy? — stropiła się gospodyni.

— Przecież powiedziała mi pani, że w tym pokoju znajdują się dzieła sztuki wartości sześćdziesięciu

ośmiu tysięcy sześciuset pięciu rubli, a pokazała pani za pięćdziesiąt pięć. Gdzie reszta? Dlaczego wprowadziła mnie pani w błąd? To bardzo nieładnie z pani strony. Gdzie trzynaście tysięcy?

— Trzynaście tysięcy? — powtórzyła speszona gospodyni.

Straciła zupełnie głowę. Nie ton i nie pytania dziewczyny tak ją zmieszały. Poważnie zastanawiała się, gdzie reszta cennych rzeczy. Czyżby błąd w rachunkach? To niemożliwe, wszelka pomyłka wykluczona.

— Rzeczywiście, gdzie one się podziały? — spytała sama siebie, rozglądając się po pokoju, jakby chciała znaleźć ukrytego tu złodzieja brakujących skarbów. — Przepraszam panią, zaraz sprawdzę, mam wszystko zapisane. Chwileczkę...

Wyszła szybko z jadalni. Olga stała pod obrazem Budryckiego, ale zupełnie odeszła jej ochota do śmiechu. Teraz żałowała, że pozwoliła sobie na niesmaczny żart. Musiało to wyglądać bardzo głupio i nieprzyzwoicie... No i Sawa będzie miał teraz pełne prawo gniewać się na nią. Niechby tam cieszyła się ta stara dama swoimi obrazami, co to ją obchodzi.

Spojrzała nieśmiało na Sawę, nie mając odwagi się odezwać. Wyczytała w jego oczach wstyd, gniew i zmieszanie.

— Wiesz, Olgo, że nie spodziewałem się czegoś takiego po tobie... Tak znęcać się nad moją matką... No tak, jest sknera, głupia, staromodna, siedzi na swoich skarbach jak kwoka na gnieździe, ale to nie powód, by z niej tak kpić...

Sawa miał oczywiście rację, Olga czuła to dobrze, nie zamierzała jednak kapitulować. Podeszła do skórzanego fotela w rogu pokoju i usiadła.

— Może masz rację, ale chyba zauważyłeś, że nie ja rozpoczęłam tę rozmowę...

— Tak, to prawda... Przepraszam cię, Olgo, ale to fotel ojca i... nikomu nie wolno na nim siadać.

Olga wstała, podeszła do okna, usiadła na parapecie.

— Podziękuj Bogu, że mama nie wyczuła twoich kpin — powiedział Sawa i nieoczekiwanie roześmiał się.

— Co ci się stało? — spytała Olga ze zdziwieniem.

— Jesteś genialna, absolutnie genialna — wycierając łzy mówił śmiejąc się Sawa. — Jestem teraz pewny, że podobałaś się mojej matce.

— No cóż, nie wysilałam się specjalnie.

— To prawda — śmiał się ciągle jeszcze Sawa. — Ale obawiam się, że jak mama zobaczy cię na parapecie, to dostanie zawału.

Olga czuła, że znowu wzbiera w niej gniew.

— Więc gdzie wolno usiąść? — spytała zeskakując z parapetu.

— Obok mnie na tapczanie.

Cały ten przeładowany obrazami pokój wydawał jej się teraz straszny. Nie ma tu czym oddychać. Jak Sawa może mieszkać w pokoju, gdzie stoją fotele, na których nie wolno usiąść, gdzie wszystko jest zinwentaryzowane i skatalogowane jak w biurze lub w muzeum? Nie, w tym tkwi jakiś błąd, ona tu czegoś chyba nie rozumiała.

Sawa objął ją delikatnie ramieniem. Tak, to chyba dobry chłopak, być może, ona go nawet lubi, ale nie zamieszka w takim pokoju za nic w świecie...

— Olgo, nie widziałaś jeszcze całego mieszkania. Będziemy mieli wspaniały pokój z oknami na zachód, pamiętasz, Dasza z Teleginem u Tołstoja też mieli taki pokój...

Chciał objąć ją mocniej i przygarnąć, ale Olga odsunęła go.

— Nigdy nie zamieszkamy w twoim pokoju z oknami na zachód — powiedziała twardo i jakby ze smutkiem.

— A gdzie?

— Nie wiem, być może nawet w akademiku, ale na pewno nie tu, gdzie na każdym krześle jest cena jak w komisie.

— Przepraszam, rozumiem, że chcesz być samodzielna, ale wybacź, to, co mówisz, jest dziwne i niezbyt mądre.

— Możliwe, ale inaczej nie umiem. W tym pokoju nawet ty stałaś się jakiś inny...

Wstała z tapczanu, podeszła do pianina, wzięła z niego maleńką figurkę porcelanową: bawarska pasterka uśmiechała się do dziewczyny swymi namalowanymi ustami.

— Jaki się stałem? — Sawa spojrział z lękiem na figurkę.

— Nie wiem jaki, ale inny niż na stadionie, w kinie, w parku, w instytucie, wszędzie.

— Wiesz, Olgo — starał się mówić jak najłagodniej — że ta figurka jest rzeczywiście bardzo cenna i gdybyś ją stłukła...

Oldze zabrakło tchu. Sawa był dla niej w tym momencie jednym z eksponatów tego muzeum. Trzymając się więc bardzo cieniutkiej nitki nadziei, w obawie by się nie zerwała, grzebiąc ten cały pokój z jego antykwarycznymi skarbami, dziewczyna powiedziała:

— Słuchaj, Sawo, jeśli zależy ci na tym, żebyśmy tu zamieszkali razem, to pozwól, że zrobię zaraz porządek.

— Ojej, Olgo! Przecież tylko o tym marzę! Rób, co chcesz i jak chcesz!

— Więc zgoda.

— Ależ oczywiście.

— Żebyś potem nie narzekał.

Podbiegła do obrazu Budryckiego, zdjęła go i zawiesiła do góry nogami, po czym chwyciła za ramię następny.

— Olgo, nie waż się... — krzyknął przestraszony Sawa.

— Przecież się zgodziłeś na wszystko, więc o co chodzi?! — Porwała znowu tę nieszczęsną porcelanową pasterkę. — Do diabła z nią! — rzuciła figurkę o podłogę z taką siłą, że rozprysnęła się na drobniutkie kawałeczki.

Sawa skoczył do Olgi, wykręcił jej ręce i rzucił ją na tapczan. Zachciało mu się wizyty narzeczonej...

— Ty... czy ty wiesz, ile to kosztuje?! — zawołał ochryplym głosem. — To nie twoje, dlatego nie potrafisz ocenić...

— Puść! — próbowała się wyrwać. — To jeszcze nie wszystko...

— Co nie wszystko? Nie wszystko jeszcze potłukłeś? Nie waż się więcej niczego dotykać!

— W porządku. A teraz puść mnie! — powiedziała Olga, wyswabadzając ręce. — Możesz być spokojny, niczego tu już więcej nie tknę.

Patrzyła na skorupy rozbitej pasterki i było jej wstyd za ten niepohamowany wybuch. Jakoś głupio to wszystko wyszło... Kiedy wreszcie nauczy się panować nad sobą? Znalazła sobie sposób walki z drobnomieszczanstwem...

— Jak tak można, Olgo... — ubolewał Sawa, zbierając skorupy. — Jak tak można?... Przecież to ma dużą wartość...

Olgę znowu wściekła ta „wartość”, nie zdążyła jednak odpowiedzieć, bo do pokoju weszła Neonila Grigoriewna. Twarz jej tchnęła spokojem i zadowoleniem.

— Wie pani — zaczęła śpiewnie — miała pani rację. Nie rozumiem, jak mogłam o tym zapomnieć. Dwa

miesiące temu wyniosłam stąd do gabinetu trzy obrazy, właśnie na trzynaście tysięcy. Teraz wszystko się wyjaśniło. Tak się cieszę... Było mi bardzo miło poznać panią... Wie pani, moja droga, początkowo jakoś zdawało mi się, że nie ma pani właściwego stosunku do życia i nie potrafi docenić rzeczy najważniejszych... Ale cieszę się, że jest inaczej... Co tam zbierasz, Sawo?

— Obawiam się, że będzie się pani musiała rozczarować do mnie — powiedziała Olga skruszonym głosem. — Stłukłam figurkę.

— Drobiazg — rzekła wielkodusznie Neonila Grigoriewna — to tanie, Drezno. A poza tym to na szczęście, jeśli przy pierwszym spotkaniu stłucze się porcelana... Bardzo cieszę się, żeśmy się poznały...

— Zaprawdę niezbadane są drogi boskie — westchnął Sawa.

— Nie rozumiem twojej uwagi — zareagowała ostro matka. — Zdaje się, że mógłbyś nauczyć się od swojej przyjaciółki, jak należy mądrze żyć.

— Bardzo możliwe — Sawa stłumił śmiech.

— Proszę wybaczyć, Neonilo Grigoriewno, ale na mnie już czas — Olga wstała z kanapy. — Zrobiło się późno, a muszę jeszcze przygotować się z angielskiego.

— A nie napije się pani z nami herbaty? Szkoda.

— Bardzo dziękuję, może następnym razem.

— Bardzo załuję. Proszę odwiedzać nasz skromny dom, będzie pani zawsze mile widziana.

— Dziękuję.

Olga uściśnęła rękę gospodyni. Sawa odprowadził ją do przedpokoju.

— Jesteś genialna! — szepnął z zachwytem. — Żeby w taki sposób zawojować moją matkę! Trudno wprost uwierzyć. Och, Olgo, kiedy wreszcie będziemy razem?

— Nie wiem... Miej cierpliwość, Sawo. Boję się, choć sama nie rozumiem dlaczego...



— To dziwne — w głosie chłopca wyczuwało się rozdrażnienie. — Czyżbyś mi nie wierzyła? Ależ ja proponuję ci małżeństwo.

Olga ściągnęła brwi.

— Nie wiem. Dobranoc, Sawo.

Szybko pocałowała go, wysliznęła się z jego ramion, gdy chciał ją mocniej przytulić, i wyszła.

— Odprowadzę cię! — zawołał za nią.

— Nie, nie trzeba — doleciało już ze schodów.

Zamknął drzwi, wrócił do jadalni i spojrzał na matkę siedzącą przy stole.

— Jesteś szczęściarzem — oświadczyła. — Nigdy nie przypuszczałam, że znajdziesz taką przystojną i mądrą dziewczynę.

— Tak, tak, oczywiście — rzekł z roztargnieniem Sawa. — Słuchaj, czy ten obraz Budryckiego nie wisi do góry nogami?

Matka spojrzała na syna jak na pomyłonego.

— Ten obraz powiesił tak twój ojciec, a on wiedział najlepiej, gdzie głowa, a gdzie nogi.

— W porządku — zgodził się Sawa, spozierając z chytrym uśmieszkiem na odwróconego przez Olę Budryckiego. — W tym współczesnym malarstwie nawet sam diabeł się nie połapie...

— Tobie wszystko wydaje się zbyt skomplikowane, ale Olga od razu poznała się na wartości tego obrazu.

— Tak, to prawda — potwierdził z zadowoleniem Sawa, myśląc, że drogi, jakimi chadza sympatia, są bardziej skomplikowane niż chiński alfabet. Olga przyzwyczai się i do obrazów, i do porcelanowych figurek. Wszystko to kaprysy, które szybko miną. Najważniejsze, że spodobała się mamie.

Spojrzał raz jeszcze na obraz Budryckiego i uśmiechnął się kpiąco.

— A wiś sobie do góry nogami...

Jaryna siedziała na łóżku i patrzyła w okno. Stąd, z piątego piętra olbrzymiego gmachu domu studenckiego stojącego przy ulicy Bohaterów Rewolucji, dobrze widać i Wołodymyrską Górkę, i Proletariacki Ogród, i dalekie Zadnieprze spowite przedwieczorną mgłą, i szarostalową, krętą smugę Dniepru.

W pokoju, gdzie mieszkała Jaryna, stało osiem wąskich, starannie zaścielonych łóżek — tak blisko siebie, że z trudnością przeciskały się między nimi. Na środku stał duży stół, pod ścianą — szafa oraz dwie etażerki z książkami. Na ścianie — portret Lenina oraz reprodukcja obrazu Grigoriewa „Przyjęcie do komsomołu”. Nad stołem wisiała duża lampa z papierowym, kolorowym abażurem.

Takie było nowe mieszkanie Jaryny. Dziewczęta szybko zaprzyjaźniły się z sobą. Wszystkie z pierwszego roku, wszystkie stawiające niepewnie pierwsze samodzielne kroki w życiu łaknęły wiedzy, przyjaźni, tego, co dawał uniwersytet. Tak jakoś wyszło, że Jarynę koleżanki uznały za „starszą” pokoju.

Tego wieczora została w pokoju sama. Czytała, dopóki się nie ściemniło, potem odłożyła książkę i patrzyła przez okno, wspominając dom rodzinny i szkołę. Przed oczyma zjawiała się twarz Stiopy Krotowa, do którego zdążyła już napisać list, mimo nerwowego rwetesu pierwszych uniwersyteckich dni. Powinien wkrótce odpisać. Stiopa! Kochany mój, drogi, kiedy znowu się zobaczymy? Chyba dopiero w czasie ferii zimowych. Och, jak daleko jeszcze do tych ferii...

Ktoś zapukał do drzwi. Jaryna wyrwana z marzeń, zerwała się z łóżka.

W progu stanął Mykoła Dmytrowicz Maksymow.

Gdy Maksymow wrócił z pracy, zastał w domu tylko syna Jurka. Żony jeszcze nie było, babka poszła do sklepu, więc chłopiec mógł korzystać z pełnej wolności. Wykorzystał ten czas, jak przystało na 10-letniego syna trenera: na skoki wzwyż przez krzesła. Wykonywał to bezbłędnie. Kładł jedno krzesło siedzeniem na drugie, brał rozbieg od szafy, opierał się rękami o oparcie i z podskoku pokonywał przeszkodę. Kiedy matka ujrzała pierwszy raz te jego ćwiczenia, oniemiała z przerażenia, a potem dała mu parę klapsów i zabroniła raz na zawsze tych wyczynów.

— Kiedy dorośniesz i ojciec ci pozwoli — oświadczyła synowi — to będziesz mógł chodzić nawet na głowie, ale póki jesteś mały, musisz zapomnieć o tych karkołomnych ćwiczeniach.

Ojciec wówczas tylko uśmiechnął się, nie mając odwagi stanąć w obronie syna. Zresztą i jemu wydała się zbyt ryzykowna ta zabawa. No więc Jurko skakał tylko wtedy, kiedy był w domu sam.

Ale tego dnia jakoś mu się nie poszczęściło. Czy był za bardzo przejęty, czy przestraszył go widok ojca, który wszedł do pokoju bardzo cicho, w każdym razie po rozbiegu ręce zamiast na oparcie trafiły na nogi krzesła i cała piramida z hałasem runęła wraz z Jurką wprost do stóp zdziwionego Mykoły Dmytrowicza.

— Ach, ty smyku! — krzyknął Maksymow. — Przecież mama zabroniła ci skakać przez krzesła! Wstawaj szybko, zanim babka przyjdzie.

Jurko momentalnie poderwał się, trzymając dłoń przy krwawiącym nosie.

— No tak — rzekł surowo ojciec — jak będziesz tak dalej skakać, to nie tylko rozbijesz sobie znowu nos, ale bez głowy zostaniesz.

— Tylko nie mów mamie...

— O tym jeszcze pomyślimy. A teraz kładź się na

wznak i nie ruszaj się — położył syna na otomanie. — Zaraz przyniosę wodę, trzeba zmyć krew.

— Nie mów nic mamie — błagał znowu Jurko — ona bardzo się zdenerwuje.

— A o czym ty myślałeś, kiedyś skakał? — Maksymow wycierał mokrym ręcznikiem nos syna.

I w tej właśnie chwili weszła matka. Trzeba się mieć na baczności.

Przeraziła się na widok syna z rozbitym nosem, chciała wezwać pogotowie, żeby zrobić synowi zastrzyk. Babcia weszła w momencie największego nasilenia awantury. Również i jej oberwało się za to, że zostawia samego takiego nieposłusznego chłopca, po którym można wszystkiego się spodziewać. Jednym słowem wszystkim się dostało, nawet Maksymowowi za bezduszny i oschły stosunek do własnego dziecka.

— Pobłażaj mu, to ci wnet na głowę wlezie.

— No to rzuć pracę i prowadź go za rękę przez cały dzień.

— Ach tak, wszyscy jesteście bez serca, wszyscy przeciwko mnie! — matka przestała już zupełnie panować nad sobą i skoczyła do syna, by na nim wyładować swą złość, ale ojciec go obronił.

— Chcecie wpędzić mnie do grobu! — lamentowała babcia. — Sami wychowujcie sobie swego syna, Mykoło Dmytrowiczu. Mam już tego dość, rozumiano?

— Zrozumiano — odpowiedział Maksymow. — Jeszcze nieraz wrócimy do tej sprawy. A teraz dawajcie obiad, bo jestem strasznie głodny.

No i w ten sposób zakończyła się awantura w rodzinie Maksymowych. W pół godziny potem nos Jurki zaczął puchnąć i mama kazała mu iść z ojcem do przychodni, żeby zrobili mu zastrzyk.. Jurko spojrział błagalnie na ojca, który spode łba zerknął na syna, i chyba prozumieli się.

— Dobrze — powiedział Maksymow — zjemy obiad i pójdę z tym urwipołciem do lekarza.

— Ja też pójdę — powiedziała mama, która bardzo nieufnie przyjęła nagłą gorliwość męża i syna.

— Proszę bardzo — powiedział Maksymow — przejdziemy się razem do stadionu.

— Dlaczego akurat tam? — spytała matka podejrzliwie.

— Bo do przychodni daleko i nie wiadomo, czy teraz kogoś tam zastaniemy, a na stadionie lekarz zaraz zrobi mu zastrzyk z surowicy.

— No dobrze — zgodziła się mama.

Ale po obiedzie poszli na stadion bez matki. Lekarz Michaił Samojłowicz orzekł, że zastrzyk jest niepotrzebny i zapisał Jurce jakieś pigułki.

— Nos bardzo boli? — spytał Maksymow milczącego syna, gdy opuszczali stadion.

— Teraz boli — przyznał się chłopiec.

— Poboli i przestanie. Chodźmy, odprowadzę cię do domu, a potem muszę jeszcze wpaść do akademika.

Wizyta Maksymowa speszyła Jarynę.

— Dobry wieczór — powiedział trener. — Czemu pani siedzi tak po ciemku? Nie przyzwyczaiła się jeszcze pani do Kijowa? Nie znalazła jeszcze przyjaciółek?

— Tak jakoś wyszło, że zostałam sama. Pan do mnie?

— Tak. Jeśli się nie mylę, ma pani na imię Jaryna. Wolno mi tak panią nazywać?

— Proszę bardzo.

— Wpadłem po to, żeby namówić panią do przyjścia jutro o trzeciej na stadion. Trenuje kilka grup lek-

koatletycznych, a jedną ja prowadzę. Nie zaszkodzi, jeśli pani z nami popracuje...

— Mogę się postarać o zaświadczenie, że mam drugą klasę — powiedziała Jaryna jakby obrażonym tonem podejrzewając, że Maksymow jej nie wierzy.

— Nie o to chodzi — roześmiał się trener. — Chciałem porozmawiać z panią o czymś innym. Proszę mi powiedzieć, czy nie marzyła pani kiedyś o rekordach?

Jarynie aż dech zaparło.

— Ja? Nigdy — powiedziała zmieszana.

— No, ale przecież rekord szkoły należał do pani.

— Szko-o-ły...

— Jaki numer pantofli pani nosi?

— Trzydziesty szósty — Jaryna nosiła trzydziesty piąty, ale z nie znanych powodów bała się przyznać i dodała sobie jeden numer.

— Czy ma pani kolce?

— Nie, nie przypuszczałam, że...

— Nie szkodzi. Dostanie pani. A kostium?

— Tak, tylko... — Jaryna zaczerwieniła się.

— Co tylko?

— To już może niech będzie trzydziesty piąty numer, lepiej siedzi na nodze...

Maksymow uśmiechnął się.

— Dobrze, no więc jesteśmy umówieni: jutro o trzeciej na stadionie.

Pożegnał się i wyszedł. Jarynka była tą rozmową oszołomiona. Nigdy nie myślała o rekordach, biegła, jak biegają wszystkie dziewczęta, a tu masz! Chcą zrobić z niej mistrza sportu. A może lepiej nie iść? Coś się nie uda i tylko wstyd. Jak ona będzie wtedy wyglądać przed Maksymowem, przed kolegami... A jeśli jednak rzeczywiście uda się jej osiągnąć rekord? Przecież Maksymow to wybitny trener, powiadają, że nigdy się nie myli.

W końcu zdecydowała się: pójdzie jutro na stadion! Swoją decyzję przypieczętowała uderzeniem piąstki w stół. Potem otworzyła walizkę, by zobaczyć, w jakim stanie jest jej kostium. Koleżanki zastały ją na przyszywaniu guzików. Jedne wracały z kina, inne z uniwersyteckiej uczelni, dwie ze spaceru po parku, gdzie spotkały samego Hnata Jurę\*. Szedł z jakąś dobrze znaną kobietą, dziewczęta nie mogły jednak przypomnieć sobie, skąd ją znają.

Zabrały się do przyrządzania kolacji, nastawiły wodę na herbatę. Wieczerały wesoło, hucznie, jakby na talerzach była nie zwykła kiełbasa, lecz jakieś szczególne frykasy. Były to dni, kiedy nie myśli się jeszcze o zaliczeniu przedmiotów i żyje się wesoło i bez troski.

Żadnej nie chciało się spać. Zgasiły światło i długo siedziały podziwiając przez okno nocny Kijów. Przez jakiś czas paplały o wszystkim po trochu, wnet jednak ucichły, zapatrzone w swoje myśli i marzenia. Wzeszedł księżyc, srebrząc bladym światłem drzewa. Dniepr, domy.

— Użwij!\*\* — zawołała nagle jedna z dziewcząt.

— Co Użwij? — spytały wyrwane z zadumy przyjaciółki.

— To była Użwij! Szła z Hnatem Jurą. Jak mogłyśmy jej nie poznać!

Dziewczęta roześmiały się. Porozmawiały jeszcze trochę, zaśpiewały cichutko jakąś pieśń i dopiero o północy położyły się spać.

---

\* Hnat Jura, wybitny ukraiński aktor, reżyser i działacz teatralny, założyciel i wieloletni dyrektor kijowskiego Teatru Dramatycznego im. I. Franki (przyp. tłum.)

\*\* Natalia Użwij, najwybitniejsza aktorka dramatyczna starszego pokolenia, związana niemal bez przerwy z kijowskim Teatrem im. I. Franki od początku jego istnienia, znana też z filmu i telewizji (przyp. tłum.)

Następnego dnia podczas wykładów Jaryna cały czas myślała o stadionie, więc notatki nie były tak dokładne jak zwykle. Patrzyła na profesora, a widziała bieżnię żużlową, więc wszystko, co usłyszała, ulatywało z pamięci. Niedobrze! Rozzłościła się na siebie. Udało się jej nie myśleć do końca wykładów ani o Maksymowie, ani o stadionie.

Zaraz po wykładach chciała podejść do Niny Sokił i pojechać z nią na stadion, ale rozmyśliła się. To niedaleko stąd, pójdzie sama, bo Nina mogłaby pomyśleć, że Jaryna narzuca jej swoje towarzystwo. No więc książki do teczki, woreczek z kostiumem pod pachę (trzeba będzie kupić jakąś walizeczkę, jak dostanie stypendium) — i na stadion. Wyszła szybko z uniwersytetu, jakby w obawie, że może ją ktoś zatrzymać, i przeszła na ukos przez park, w centrum którego stał na wysokim piedestale Szewczenko. Pod jej nogi upadł z wysokiego drzewa kasztan. Podbiła go mimo woli szpicem bucika; potoczył się brunatny, lśniący jak polakierowany. Dziewczyna pochyliła się, podniosła kasztan i zacisnęła go w dłoni, odczuwając przyjemny chłód i gładkość w dotyku.

Oto już plac Tołstoja. Jeszcze tylko dwa kwartały, potem w lewo i zaraz za teatrem komedii muzycznej stadion.

Przed wejściem zatrzymała się. Iść czy nie iść. Skarciła się za brak stanowczości, rzuciła na asfalt rozgrzany w dłoni kasztan i odważnie ruszyła do kolumnady.

Maksymow był pierwszym człowiekiem, którego spotkała na stadionie. Pomyślała, że to chyba nie przypadek. Pokazał jej wejście do szatni, nie musi się spieszyć, dziewczęta dopiero zaczynają się schodzić.

— Kolce są dla pani przygotowane.

Jaryna uśmiechnęła się z wdzięcznością. W szatni



było już kilka dziewcząt, przywitała się z nimi, ale nie rozmawiała. Ostatnia przyszła Nina Sokił.

— I ty tutaj? — zdziwiła się.

— A dlaczego nie miałaby tu być? — doszło z głębi szatni.

— Racja — zaśmiała się Nina.

Jaryna przyglądała się bacznie dziewczętom, niektóre znała z gazet jako czołowe sportsmenki i mistrzynie. Boże mój, dokąd cię przyniosło, Jaryno Honta!

Zdażyła już zauważyć, że prym wśród dziewcząt wiodła Nina. Słuchały uważnie, co mówi, śledziły pilnie każdy jej ruch; zawody berlińskie przyniosły dziewczynie sławę i autorytet.

„Maksymow z miejsca zorientuje się, że jestem niezdera i przepędzi mnie...”

Mykoła Dmytrowicz ustawiał zawodniczki według wzrostu i teraz ze zdziwieniem spostrzegł, że Jaryna stoi nie na końcu, lecz pośrodku. „Dlaczego ona wydaje się taka miniaturowa?” — pomyślał, lustrując ustawione w szeregu dziewczęta.

Prowadził normalny trening i jakby zapomniał o Jarynie. Dopiero pod koniec powiedział spokojnie, jakby od niechcenia:

— Ano, Honta, pobiegnij z Niną sto metrów.

No więc nadeszła ta chwila! Serce Jaryny zabiło mocniej. Nina dostrzegła jej podniecenie, uśmiechnęła się.

— Nie denerwuj się — powiedziała cicho takim tonem, że Jarynę to wzruszyło.

Przygotowały się do startu. Jedna z koleżanek miała dać komendę. Mykoła Dmytrowicz, trzymając w rękę stoper, przeszedł na linię mety.

Obie zajęły już pozycje startowe. Przed nimi sto metrów żuźlowego toru. Ostatnie słowo komendy dotarło do Jaryny jakby przez ścianę gęstej mgły. Rzuci-

ła się do przodu i pobiegła tak, jak nigdy jeszcze do-  
tąd. Była tylko jedną napiętą myślą: zwyciężyć. Za-  
danie to oczywiście przerastało jej siły i możliwości  
techniczne. Nina należała do zbyt rutynowanych sprin-  
terek, by przegrać taki bieg. Początkowo sądziła, że  
może potraktować go nieco ulgowo, od razu jednak  
przekonała się, że byłoby to zbyt ryzykowne. Co praw-  
da zyskała nieco na starcie, ale wnet Jaryna zrówna-  
ła się z nią, i Nina musiała wyteńczyć wszystkie siły, by  
przybiec do mety pierwsza. „Ta Jaryna mówiła  
jednak prawdę, ma niewątpliwie drugą klasę”.

Mykoła Dmytrowicz bardzo uważnie śledził Jarynę.  
Dostrzegł wszystko: i niewypracowany start, i niewła-  
ściwą pracę rąk, i nieprawidłową postawę w czasie  
biegu. Ale zauważył też cudowną koordynację ruchów  
oraz ich ekonomię, co widoczne było w prawidłowym  
wykorzystaniu każdego mięśnia. Szósty zmysł nie za-  
wiódł Mykoły Maksymowicza.

Nie spodziewał się zwycięstwa Jaryny. Czas w tym  
biegu nie miał dla niego specjalnego znaczenia. Kie-  
dy jednak spojrział na wskazówkę stopera, pobłażliwy  
uśmiech zniknął z jego twarzy, nie można jednak było  
z niej wyczytać czy jest przyjemnie zdziwiony, czy  
też rozczarowany.

— Ile? — spytała Nina, podbiegając do niego.

Maksymow pokazał w milczeniu stoper.

— Dwanaście i sześć! — gwizdnęła z podziwu. —  
Prawie pierwsza klasa.

— Tak — skinął głową trener.

Odnalazł oczyma na zielonym stadionie czerwoną  
jak stepowy tulipan koszulkę Jaryny i skinieniem we-  
zwał ją do siebie.

— Proszę zostać po zajęciach, chciałbym z panią  
pomówić.

Znowu zrobił zbiórkę w jednym szeregu i wrócił do normalnego treningu. Tylko teraz nikt już nie uśmiechał się, kiedy patrzył na Jarynę Hontę.

Po treningu dziewczęta przebrały się i wyszły. pozostała tylko Jaryna.

— Proszę usiąść — Maksymow wskazał jej miejsce obok siebie.

Byli na stadionie sami. Jaryna zdawała sobie sprawę z wagi rozmowy, napięta więc była jak struna.

— Proszę słuchać mnie uważnie, Jaryno — powiedział powoli Maksymow takim tonem, jakby zwierzał się jej z wielkiej tajemnicy. — Dziś przekonałem się, że moje pierwsze wrażenie nie omyliło mnie. Ma pani wszelkie dane, żeby zostać czempionką... może nawet mistrzynią świata, bo i to jest dla pani możliwe.

Jaryna chciała coś powiedzieć, ale zabrakło jej odwagi, więc dalej łowiła pilnie każde słowo trenera.

— Tak, to jest możliwe... — powtórzył Maksymow. — Ale gdy pani zdecyduje się na to, stanie przed panią góra pracy, a wysokości tej góry nie potrafi pani sobie nawet wyobrazić. To praca i praca, po trzy, cztery razy tygodniowo, to surowy reżim odżywiania, wypoczynku, sposobu życia, to olbrzymie napięcie woli. Nie każdy może to wszystko wytrzymać. Wierzę w panią. I wydaje mi się, że pani to wytrzyma. Proszę to poważnie przemyśleć i dać mi odpowiedź, czy zgadza się pani całkowicie zawierzyć mojemu doświadczeniu, bo bez takiego zaufania nasza praca byłaby niemożliwa. Proszę to przemyśleć, ja nie będę ponaglał.

— Mykoło Dmytrowiczu — niemal wyszeptła Jaryna. — Właściwie nie wiem, co panu odpowiedzieć... Nie, wiem! Zgadzam się.

W tym samym czasie daleko od Kijowa, w Berlinie, szła powoli w zamyśleniu Eryka Stahlberg. Przystanąła na chwilę i wzrok jej pobiegł wzdłuż szarej, monotonnej, ale przecież drogiej jej sercu ulicy Kaiserdamm. Była właśnie ta przyjemna pora roku, kiedy dni są już wprawdzie coraz krótsze, lato nie chce jednak ustąpić pod naciskiem chłodnych jesiennych wiatrów i słońce jest jeszcze jasne i ciepłe. W takie dni na wąskich berlińskich uliczkach leżą cienie, gwarny tłum lekko ubrany też utwierdza w przekonaniu, że lato jeszcze trwa, łagodne wieczory są przedziwnie długie, jakby nie chciały czy też bały się zanurzyć w czarną gwiazdzistą noc.

Jutro Eryka już nie zobaczy wieczornego Berlina, nie będzie mogła spacerować po ciepłym asfalcie Kaiserdamm, nie pojedzie na Stadion Olimpijski, nie pójdzie do małego kina, sąsiadującego z ich domem, które określała pogardliwie „pchlim pudłem...” Wiele by dała, żeby jutro zobaczyć to „pudło”.

W ten ostatni wieczór wyszła z domu bez jakiegoś określonego celu. Po prostu chciała pożegnać się z miejscami, gdzie przeżyła tyle pięknych dni, z którymi wiąże ją tyle pięknych wspomnień. Nie chciała widzieć się teraz ze swymi przyjaciółkami, przyjdą jutro na lotnisko. Wypije się ostatnią pożegnalną lampkę perlistego wina, noszącego szumną nazwę niemieckiego szampana, chociaż nie ma z szampanem nic wspólnego, i ciężki samolot uniesie Erykę do Paryża, skąd amerykańskim samolotem polecą przez Atlantyk do nie znanego i obcego Nowego Jorku. Na lotnisku powita ją mister Artur Shilling i zaczną się nowe, zupełnie odmienne od dotychczasowego i chyba niezbyt szczęśliwe życie.

Nikt z jej rodziny ani znajomych nie mógł zrozumieć, dlaczego Eryka tak bardzo nie chce jechać do

Ameryki. Przecież na pewno stanie się głośną sportsmenką, a stąd już tylko krok do kariery filmowej w Hollywood... A wówczas będzie miała szansę wyjść za milionera, mieć własny dwunastocylindrowy samochód i biały jacht na Morzu Karaibskim, jeździć do modnych kurortów i w ogóle zakosztować prawdziwego życia... To nie to, co tu, w podbitym Berlinie, gdzie każdy żołnierz amerykański wydaje się księciem z bajki.

Wszystkie te miłe dziewczęta, przyjaciółki młodości Eryki, paplały wesoło, jednak w głębi duszy każda wiedziała, że nie będzie ani milionerów, ani dwunastocylindrowych samochodów, ani białych jachtów, że życie jest o wiele surowsze i trudniejsze niż w marzeniach i że w Ameryce żyje się nie lepiej niż w Bonn, Paryżu czy zachodnim Berlinie. Każda z nich jednak pieściła w sercu nadzieję na szczęśliwy przypadek, o jakich tak wiele było w amerykańskich filmach i małych kieszonkowych książeczkach o kolorowych, pociągających okładkach.

Koleżanki beztriosko szczebiotały, a Eryka z trudem opanowywała się, by nie krzyknąć z rozpacz. Jakże naiwne i śmieszne wydawały się jej te mrzonki: „Odam wszystko na świecie — samochody, jachty, sławę, Hollywood — za mój rodzinny Berlin, za posępny Kaiserdamm, za głęboki, podobny do lisiej nory szyb metra, które może tak szybko przerzucić tam, do wschodniego sektora, do stadionu, na którym kiedyś, wcześniej czy później, zjawi się Tibor Szabo”.

Ten wyjazd przecinał ostatnią nitkę nadziei łączącą ją z Tiborem. On przyjedzie do Berlina, będzie jej szukał, a ona za bezkresnym Atlantykiem nie usłyszy jego głosu, już nigdy w życiu nie zobaczy ukochanego. Albo spotkają się po latach, kiedy skończy się jej kontrakt i wróci do domu. Będzie miała wówczas trzy-

dziesięć lat — aż strach pomyśleć: trzydzieści lat! I nikt, nawet najlepsza wróżka nie może przewidzieć, co przez ten czas zdarzy się z nią i z Tiborem. Więc nie ma co się okłamywać: to okres nadziei na szczęście, chyba że zdarzy się cud.

A jednak ciężko jest nie wierzyć, wyzbyć się wszelkich nadziei, bo życie byłoby niemożliwe. Przecież zdarza się na świecie tak wiele niespodzianek. Co prawda przeważnie przykrych, ale trafiają się przecież wyjątki. Może Tiborowi uda się przyjechać do Ameryki? A może ona sama przyjedzie do Europy na jakieś międzynarodowe zawody? Wszystko to przecież może się zdarzyć i nie wolno wpadać w rozpacz, rozklejać się, trzeba się trzymać mocno, chociaż tak trudno rozumieć po co.

W takim nastroju Eryka Stahlberg wyszła z domu. Ciotka Berta spytała ją podejrzliwie, dokąd się wybiera. Eryka nie odpowiedziała. Znienawidziła swoją ciotkę, trudno było jej oddychać tym samym powietrzem co Berta Loch. Ciągle się obawiała, że ta zła i podła kobieta może zakraść się w nocy i udusić swymi cienkimi, wymanikiurowanymi palcami. Napis wytatuowany na ręce Tibora zjawiał się zawsze, kiedy patrzyła na dłonie ciotki.

Teraz nie wiedziała, dokąd iść, z kim się żegnać. Szła więc bez celu ulicą Kaiserdamm, minęła małe kino, szkołę, w której się uczyła, i dotarła do Stadionu Olimpijskiego. Oto widać już wysoki antenowy maszt radiowy, stojący koło stadionu. Trudno byłoby policzyć, ile razy tędy przechodziła.

Weszła na stadion, spojrzała na boisko, na tor. Tam właśnie stała przed swym pierwszym startem. Erwin Meier coś mówił, dawał ostatnie rady, ale to już nie docierało do niej. Całą siłą woli chciała wygrać, i wy-

grała. Może byłoby lepiej, gdyby nigdy nie wstępowała na tę drogę sportowej sławy?

Stadion był pusty, wieczorne treningi jeszcze się nie zaczęły. Dziewczyna przypomniła sobie, jak ryczą i krzyczą te puste teraz trybuny w momencie startu finałowego biegu na sto metrów... Wspaniałe chwile, cudownie biegnie się w tej wrzawie i oklaskach. Aplauz kibiców podrywa zawodnika, wynosi go na grzbiet wysokiej fali i pcha go do zwycięstwa. Tak, przeżyła tu cudowne momenty. Były również porażki, ale teraz nie myślała o nich. A więc żegnaj, Stadionie Olimpijski, nieprędko znów się spotkamy.

Dziewczyna wyszła z powrotem na ludną ulicę i stanęła, namyślając się przez chwilę, dokąd iść, chociaż w głębi serca dobrze wiedziała, dokąd chciałaby pójść.

W końcu ma pełne prawo spędzić ten swój ostatni berliński wieczór tak, jak jej się podoba, nawet pójść do wschodniego sektora, nikt nie może jej tego zabronić. Nie wahając się dłużej Eryka pobiegła do najbliższej stacji metro, na której widniała duża czarna litera „V”. Wsiadła dopiero w dzielnicy Lichtenberg. Nogi same poniosły ją na mały stadion, na którym poznała Tibora. W porównaniu z betonowymi konstrukcjami Stadionu Olimpijskiego te trybuny wyglądały bardzo mizernie.

Dziewczyna podeszła do niskiej bariery oddzielającej boisko od trybun i usiadła na tej samej ławce.

— Pan zawsze tak łatwo ustępuje miejsca innemu? — spytała wówczas, kiedy chłopak chciał przeprosić i odejść. I od tego właśnie się zaczęło, i skończy się dopiero razem z życiem.

Eryka cicho westchnęła, spojrzała na boisko. Trenowały dwie grupy lekkoatletów. W głębi ćwiczone skok o tyczce, zaś na czarnym żuźlowym torze krótkodystansowcy trenowali ostatni zryw na finiszu. Eryka

dostrzegła jakąś znajomą twarz. Kto to? Ach tak, to przecież Richard Baum. Świetny chłopak i wspaniały sprinter. Po raz ostatni widziała się z nim w hotelu „Adlon”. Był z nią wtedy Tibor Szabo... Czy to możliwe, że przeżyła kiedyś taki wspaniały, niezapomniany wieczór? Nigdy już nie zdarzy się nic podobnego. Przeczuwała to już wówczas, kiedy zegnała się z Tiborem.

— Można usiąść koło pani? — Dziewczyna drgnęła, tak samo spytał wtedy Tibor. Odwróciła się i ujrzała przed sobą Richarda Bauma. Uśmiechał się, wyraźnie zadowolony ze spotkania.

— Dobry wieczór — powitała go. — Proszę usiąść, miejsca jest dość.

— Spotkanie zupełnie nieoczekiwane, ale tym bardziej miłe — powiedział Baum siadając obok Eryki. — Mówiąc szczerze, nigdy nie spodziewałem się pani tu zastać. Bardzo się cieszę.

Eryka wyczuła w jego słowach szczerą radość, ale też jakby milczące pytanie. Można było na nie, rzecz jasna, nie odpowiedzieć, każdy ma prawo wejść na stadion, Eryka jednak wyjaśniła:

— Żegnam się z Berlinem, jutro lecę do Ameryki.

— Wyszła pani za mąż za milionera?

— Jeszcze nie — uśmiechnęła się wesoło — ale nie tracę nadziei.

— Życzę wiele szczęścia i powodzenia.

Rozmowa jakoś się nie kleiła. Baum nie mógł odgadnąć, dlaczego Eryka Stahlberg, znana w całej Europie sportsmenka, znalazła się w ostatni wieczór przed odlotem do Ameryki właśnie tu, na cichym stadionie lichtenberskim, samotna i zamyślona. Niezręcznie było pytać o to, a nie bardzo wiedział, o czym z nią rozmawiać. A jednak przyszła tu nie bez powodu. Może bę-



dzie jej mógł w czymś pomóc, ale i o to chyba nie wypada pytać. Nie wypada? Dlaczego?

— Chciała się pani z kimś tu zobaczyć?

— Nie.

— A czy mógłbym w czymś pomóc?

— Dziękuję, nie. Po prostu przyszedłam pożegnać się z tym stadionem. Kiedyś przeżyłam na nim jedną z najszcześniejszych chwil w moim życiu... Najszcześniejszą...

— Nie przypominam sobie, żeby pani kiedyś tu biegała.

— Szczęście można znaleźć nie tylko na bieżni, niekiedy również na trybunach.

Baum uśmiechnął się, istotnie, to się zdarza.

— Przykro mi, Eryko, że porzuca pani Niemcy.

— Mnie jeszcze bardziej, ale nie ma na to rady, kontrakt podpisany, pieniądze zapłacone.

— To znaczy, że sprzedano panią do Ameryki?

— Sprzedano? Chyba tak. Mój kontrakt przejął menażer amerykański. Gdy umowa się skończy, wrócę do kraju.

— Kiedy?

— Za dziesięć lat.

— Za dziesięć lat? — zachnął się Baum. — Czy już nic się nie da zrobić, żeby nie jechać?

— Nie, nic.

Eryka przypomniała sobie tatuaż na ręce Tibora i cicho westchnęła.

— Nawet jeśli zwróciłoby się pieniądze?

— Tak.

— Szkoda... wielka szkoda. No cóż, jeśli rzeczywiście tak jest... A czy wyobraża pani sobie, jakby było cudownie, gdyby pani przeniosła się w ogóle do nas, do NRD?

Nie mógł wiedzieć, jak bolesną strunę potrafił. Prze-

cież na tym stadionie nieraz jeszcze będzie występował Tibor.

— W Ameryce — odpowiedziała jednak powściągliwie — na pewno stworzą mi lepsze niż tu warunki.

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, a jednak u nas lepiej — przekonywał Baum. — A poza tym nie wygląda pani na szczęśliwą sportsmenkę, przed którą otwierają się wrota Ameryki.

— Tak, to prawda. Bardzo kocham Berlin.

— I zapewne dziś u pani w domu huczny wieczór pożegnalny, a pani wymknęła się tylko na chwilę, prawda?

— Nie, nie urządziłam żadnego przyjęcia. Przyjaciółki przyjdą jutro rano pożegnać się ze mną.

— A co by pani powiedziała, gdybym tak skrzyknął kilku kolegów? Zajęcia już się zakończyły, jesteśmy wolni, rozruszalibyśmy trochę panią, bo aż się serce kraje, jak na panią patrzę. Pójdziemy gdzieś do lokalu potańczyć, spędzi pani ten ostatni wieczór jak należy, po berlińsku, żeby pani miała chociaż co wspominać. Proszę tu na mnie poczekać, wrócę za dziesięć minut.

Wstał i nie czekając na odpowiedź poszedł do szatni. Eryka siedziała nieporuszona z mrokiem w sercu. W pierwszym odruchu chciała odejść nie czekając na powrót Bauma, jednak rozmyśliła się. Już lepiej spędzić wieczór z nimi, niż patrzeć na tę gadzinę Bertę.

Nad stadionem zapadał zmierzch. Trybuny opustoszały. Eryka poczuła się zupełnie zagubiona w tej pustce. Ale oto powrócił Baum.

— Eryko, moi przyjaciele bardzo się cieszą, czekają na panią.

— Chodźmy — odpowiedziała zadowolona, że decyduje za nią ten energiczny, życzliwy jej mężczyzna.

Przed wyjściem z szatni stało trzech chłopców

i dziewczyna. Byli jakby trochę speszeni, ale uczucie to minęło po pierwszych słowach.

— Chcę dziś na pożegnanie dobrze wypić — rzekła.

Teraz już wcale nie wydawało jej się dziwne, że znalazła się w tym niemal zupełnie obcym towarzystwie. Od Richarda Bauma i jego przyjaciół promieniowało jakieś ludzkie ciepło, dobrze więc będzie się z nimi czuła.

— No, chyba żadnego pijaństwa nie będzie, ale mam nadzieję, że wieczór spędzimy przyjemnie — zastrzegł się łagodnie Richard, biorąc Erykę pod rękę.

Mimo tego zastrzeżenia wypili sporo i wyszli hałaśliwie z lokalu gdzieś około pierwszej.

— To był cudowny wieczór! — powiedziała Eryka. — Prawdę mówią, że spotkania przypadkowe są najszcześniejsze.

— Racja! — zawołał jeden z chłopców.

— Życzymy pani sukcesów i szczęścia w Ameryce — dodała dziewczyna.

Nagle Eryka zachwiała się, jakby zrobiło się jej słabo. Przez kilka godzin spędzonych w restauracji nie myślała o jutrzejszym wyjeździe, teraz świadomość ta na nowo ją poraziła, znów ogarnął ją mrok.

— Dziękuję wam za ten wieczór — powiedziała cicho. — Chyba z nikim w Berlinie nie mogłabym go spędzić przyjemniej. Zapamiętam go na całe życie. Richardzie, czy mógłby mnie pan odprowadzić do metra?

— Oczywiście — przystał chętnie Baum.

Nad Berlinem wisiała ciepła, bezksiężycowa noc. Pachniało opadłym liściem i deszczem.

— Panie Richard, a czy mogę jeszcze o coś pana poprosić?

— Ależ oczywiście.

— Strasznie nie chce mi się rozstawać z panem. Mam

ochotę wrócić do domu piechotą. Będzie to prawdziwe pożegnanie z Berlinem.

Richard Baum nie wahał się ani chwili. Wiedział wprawdzie, że od Lichtenbergu do Kaiserdamm jest piętnaście kilometrów, ale to go nie mogło odstraszyć. Zresztą Eryka powiedziała to tak drżącym ze wzruszenia głosem, że nie można jej było niczego teraz odmówić.

— Bardzo chętnie — odparł biorąc dziewczynę mocniej pod rękę.

Szli ciągle na zachód przez Alexanderplatz i Königstrasse, mostem przez kanał i Szprewę, mijając pałace z czasów cesarstwa oraz stare kościoły, potem przez Unter den Linden, obok opery i uniwersytetu, przeszli przez Bramę Brandenburską, minęli ruiny Reichstagu majaczące w ciemności, a dalej przez szerokie i wąskie ulice, przez Kurfürstendamm i plątaninę małych zaułków, wreszcie dotarli do Kaiserdamm. Berlin przesuwiał się przed ich oczyma powoli chmurny i smutny, jakby wiedział, że na długo żegna się z Eryką Stahlberg. Szli, nie zwracając uwagi na przechodniów oraz wołanie kierowców taksówek, jak gdyby byli sami w tym wielkim mieście. Trudno było nawet marzyć o piękniejszym pożegnaniu rodzinnego miasta.

W pobliżu swego domu Eryka zatrzymała się.

— I jeszcze ostatnia już moja prośba: jeśli spotka pan przypadkowo Tibora Szabo...

— Znam go dobrze.

— Więc kiedy pan zobaczy się z nim, to proszę mu powiedzieć, że bardzo mi go brakowało w ten cudowny wieczór. A panu jestem bardzo, bardzo wdzięczna. Nigdy pana nie zapomnę...

Szybko pocałowała Richarda na pożegnanie i znikła w bramie. Baum uśmiechnął się. Teraz wszystko jasne. Dobra i miła dziewczyna. Jak jej ciężko porzucać

Berlin! Ma bardzo mało szans spotkać się z Tiborem Szabo...

Spojrzał w górę. Gdzieś tam wysoko w kilku oknach świeciło się, widocznie czekali na Erykę. Uprzytomnił sobie, że znalazł się daleko w zachodnim Berlinie bez zachodnich pieniędzy, czeka go więc długa piesza droga powrotna aż do Bramy Brandenburskiej. Nie szkodzi, warto było zrobić długi spacer.

Niebo zaczęło się przejaśniać i w tym srebrzystoróżowym świetle Berlin wydał mu się baśniowo piękny. Budynki wydawały się jakby wyższe i smuklejsze, zmieniając się w przebijających się pierwszych promieniach niewidocznego jeszcze słońca. Baum pomyślał, jak będzie można kiedyś przebudować to olbrzymie miasto. Gdy Eryka powróci z Ameryki, nie pozna znajomych ulic. A jedną z pierwszych budowli nowego, słonecznego Berlina będzie stadion.

Tak rozmyślając doszedł do Brandenburskiej Bramy, przekroczył powoli linię dzielącą oba światy i wszedł do taksówki.

Eryka ostrożnie otworzyła drzwi i od razu natknęła się na rozszerzone, niemal obłądne ze strachu oczy Berty Loch. Dziewczyna miała wrażenie, jakby ciotka chciała rzucić się na nią i wczepić się palcami w jej gardło. Eryka cofnęła się instynktownie i zasłoniła twarz rękami.

— Jesteś!... — krzyknęła z wyraźną ulgą Berta. — Myślałam, że już nie wrócisz, że coś ci się stało...

Do pokoju wszedł Meier, a za nim zaniepokojona matka.

— No, mówiłem, że nie ma się czego obawiać — gromkim głosem zawołał Meier. — Nasza Eryka nie potrafi oszukiwać.

„Oni się bali, żebym nie uciekła do wschodniego sektora” — pomyślała Eryka, ciągle nie odrywając oczu

od konwulsyjnie zagiętych palców Berty Loch, budzących w niej strach.

— Nie musieliście się bać ani denerwować — powiedziała ostro, patrząc z odrazą na swą rodzinę. — Kontrakt jest kontraktem.

Wyszła do swego pokoju, zamykając drzwi.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

No więc to jest Ameryka. Sprawia istotnie duże wrażenie. Kiedy podpływa się do Nowego Jorku, to wydaje się, jakby olbrzymie wieżowce na wyspie Manhattan wyrastały prosto z wody. Lądu jeszcze nie widać, trzeba płynąć do niego dobrych kilka godzin, a wysokie drapacze chmur rysują się wyraziście i natrętnie na horyzoncie, jakby krzyczały na cały świat: „Patrzcie, jakie jesteśmy wysokie i potężne! Gdzie jeszcze na świecie możecie zobaczyć coś takiego?!” To wrażenie bogactwa i potęgi kraju, który zbudował takiego kolosa, trwa nadal, kiedy wjeżdża się do miasta i ogląda się jego ulice, reklamy, witryny sklepowe. Tylko u nas — krzyczą reklamy. U nas najlepiej, u nas najwięcej, u nas najtaniej. Nigdzie nie znajdziecie tego, co u nas!

Słyszy się to i widzi tysiące, dziesiątki tysięcy razy, ściga nas wszędzie natrętnie, uparcie, aż uwierzymy w to. Nie ma przed reklamą schronienia, wszędzie się wciska, wszędzie nas dopada w różnych wariantach. I jak tu nie uwierzyć? Reklama ma rzeczywiście pokrycie w towarach. Wszystko można kupić, trzeba tylko mieć pieniądze: od najmodniejszego obuwia do wielopiętrowego wieżowca, trzeba tylko płacić, płacić, płacić... Wszystko tu się kupuje i sprzedaje.

Kupili więc też Amerykanie ją, Erykę Stahlberg,

raz jeszcze sprawdzając nieodpartą siłę ich przeklętych pieniędzy. I nic tu nie można poradzić, nie można protestować, nie można krzyczeć — wszystko jest w porządku, zgodnie z prawem, kontrakt został podpisany i upełnomocniony lakową, notarialną pieczęcią. Nie chce się żyć, kiedy myśli się o nim.

Eryka wyszła na balkon, spojrzała w dół. Tam, cztery piętra niżej, płynęła szeroka, ludna, pełna mknących samochodów, zgiełkliwa, wielkomiejska ulica. Bez początku, bez końca, wszystko tonie w dali, w niebieskoszarym dymie spalin, które gryzącą chmurą okrywają całe miasto; na odległych skrzyżowaniach błyskają czerwone i zielone światła sygnalizatorów.

Od czasu przyjazdu do Nowego Jorku Erykę trawiło ciągle tylko jedno pragnienie: jak najczęściej się kąpać. Miasto ją przygniatało, zatruwało swymi wyziewami, męczyło spiekotą, oblepiało kleistym potem. Nigdy jeszcze nie miała poczucia takiego obrzydzenia, kąpała się więc często, łudząc się, że uda jej się to zmyć. Stawała pod prysznicem, ale woda była ciepła i nie odświeżała. Więc napuszczała zimnej wody do głębokiej marmurowej wanny i zanurzała się w niej. Przynosiło to chwilową ulgę, ale potem wszystko zaczynało się od początku.

Shilling dotrzymywał swoich zobowiązań: ulokował Erykę w obszernym apartamencie drogiego hotelu na Broadwayu, karmił wybornie, krawcowa w trzy dni po wzięciu miary zarzuciła ją stosem odzieży. Jednak Eryka bez chwili namysłu zamieniłaby to wszystko na swój skromny rodzinny pokój na Kaiserdamm, taniutką sukienkę i zupę. Męczyła ją tu ustawicznie chandra. Nie wyobrażała sobie, jak można tu żyć przez dłuższy czas.

Dziś ma przyjechać po nią Shilling i zawieźć na stadion. Nowy menażer boi się, by dziewczyna nie

straciła formy i nie zawiodła na zawodach. Włożone w nią pieniądze muszą jak najszybciej się zwrócić. I oto przez dziesięć lat nie będzie mogła zrobić bez jego zgody żadnego kroku. Ale co jej pozostaje? Rzucić się z czwartego piętra? Pożegnać się na zawsze z matką, z Berlinem, z Tiborem?

Tibor!... Po jego wyjeździe przysły do Berlina dwa listy podpisane „Twój Tibor”... Mój Boże, jak mało nadziei na zobaczenie go! A może minie ta miłość, która spadła na nią nieoczekiwanie jak grom, jak nieszcześnie?

I znowu wsącza się do pokoju ten przeklęty, trujący swąd spalin benzynowych, przenika w płuca, i nic nie można na to poradzić. Ulica ryczy tysiącami silników samochodowych, które nie milkną ani na chwilę, i trzeba mieć bardzo mocną głowę, żeby nie pękła od tego ryku.

Shilling wszedł do pokoju wesół, podniecony. Tu, w Ameryce, był jeszcze rozmowniejszy, ale mówił jakoś nerwowo, głosem jakby podwyższonym. Widocznie w NRF pod skrzydłami generała Stanleya czuł się pewniej niż tu, wśród silnej konkurencji. Tym razem towarzyszył mu milczący, niedbale ubrany dryblas z aparatem fotograficznym.

— Witam panią, Eryko! — zawołał od progu. — Nasze sprawy układają się bardzo dobrze i wkrótce stanie się pani znakomitością światowego sportu. To mówię pani ja, Artur Shilling, a Artur Shilling nigdy nie rzuca słów na wiatr. Mister Porter może to poświadczyć.

Mister Porter skłonił się, z jego nosa — a nie z ust — wydobył się jakiś nieokreślony dźwięk.

— Mister Porter zrobi pani zdjęcia potrzebne dla prasy, proszę się przebrać. A potem na stadionie będą jeszcze ujęcia w kostiumie gimnastycznym.



Eryka wyszła posłusznie przebrać się do zdjęć. Jak by ona cieszyła się tymi modnymi strojami w Berlinie! A tutaj po co jej one?

Gdy wróciła, Porter zaczął ją obskakiwać ze wszystkich stron i pstrykać bez przerwy, robiąc w krótkim czasie ponad trzydzieści zdjęć. Zanim dziewczyna zdążyła się ustawić, było już po wszystkim. Porter znów coś mruknął pod nosem.

— Świetnie! — powiedział Shilling. — Porter nie lubi tracić czasu. Możemy jechać.

Jechali wolno, zatrzymując się przy każdym sygnalizatorze, długą, brudną, jakby nie sprzątaną ulicą. Eryce przypomniały się utrzymywane w pedantycznej czystości małe niemieckie miasta, westchnęła. W porównaniu z Nowym Jorkiem nawet zrujnowany Berlin wydawał się czysty i schludny. I chociaż na ulicy było jeszcze bardziej parno, Eryka była zadowolona, że wreszcie zaczyna się praca, którą zawsze wykonywała dokładnie i sumiennie.

Za miastem lżej było oddychać. Jechali dość długo. Wreszcie zatrzymali się na niedużym, zacisznym stadionie, noszącym nazwę „Czarny Smok”. Trybuna była tak zbudowana, że mieściły się w niej szatnie, kabiny do masażu, łazienki i natryski. Shillinga powitała wręcz czolołbitnie jakaś kobieta o trudnym do określenia wieku. Zgrabne nogi przykro kontrastowały z postarzałą twarzą i zgarbionymi plecami.

— Poznajcie się, Eryko, to pani masażystka, Lora Mikelaw — rzekł Shilling. — A to pani Eryka Stahlberg.

Lora chwyciła dłoń Eryki obu rękami i mocno ją uścisnęła.

— Mam nadzieję, że dokonamy wspólnie z panią wielkich rzeczy. Wiele o pani słyszałam...

— Dość gadania — przerwał Shilling. — Eryko, ma-

saż i do roboty. Nie traćmy czasu. Proszę zapamiętać: czas to pieniądz.

Mówił ostrym, rozkazującym tonem, zmuszającym do posłuchu.

Poszła za Lorą do małego, jasnego pokoju, gdzie stała szeroka ławka przykryta prześcieradłem. Eryka już dawno zetknęła się z masażem sportowym, zastępującym często rozgrzewkę. Przez dwadzieścia minut Lora rozdzielała każdy jej mięsień na drobne włókna. Ale kiedy po masażu Eryka już w szortach i ładnej koszulce z jakimś dziwnym kolorowym emblematem wybiegła na stadion, odczuła w całym ciele prężność i siłę, a mięśnie nóg były jak mocne sprężyny.

— Niezła kobyłka — mruknął z zadowoleniem Shilling patrząc na Erykę.

Porter wydał ten sam nieartykułowany dźwięk. Szukał teraz miejsca, z którego najlepiej będzie fotografować.

Rozpoczął się trening. Dopiero teraz Eryka zrozumiała, że w Ameryce słusznie uważano Shillinga za jednego z najlepszych trenerów. Od razu wychwycił wszystkie mankamenty w technice jej biegu, ale nie tylko je zauważył, lecz pokazał, jak ich się wyzbyc. Jego wskazówki były celowe i trafne. Ta metoda pracy podobała się Eryce, nie przekonała jej jednak do Ameryki.

Gdy ona biegała, skakała i gimnastykowała się, Porter również nie tracił czasu. Zrobił znowu bardzo dużo zdjęć, po czym zniknął bez pożegnania, na co Shilling nie zwrócił zresztą uwagi.

Po dwóch godzinach treningu był znowu lekki masaż i prysznic — i na tym zakończyły się zajęcia. W hotelu, mimo dwóch pryszniców na stadionie, dziewczyna chciała przede wszystkim wykąpać się, gdy tylko weszła do dusznego, nasyconego spalinami pokoju.

— Wkrótce przeniesie się pani na stadion — powiedział Shilling. — Mam tam coś w rodzaju pensjonatu dla takich sportowców jak pani, którzy nie mają tu rodziny. Ale jeszcze przez jakiś czas, zanim nie zrobimy pani publicity, trzeba będzie tu pomieszkać.

Tę publicity — jak nazywają w Ameryce reklamę — zaczął robić ktoś niewidoczny, ale potężny już następnego dnia. Najpierw w gazetach pojawiły się fotografie Eryki z krótkimi podpisami, wychwalającymi jej osiągnięcia sportowe. Później jej zdjęcia zaczęły się ukazywać w wielkich publikacjach, zapowiadających zawody na Yankee-Stadionie, na których spodziewano się nowych światowych rekordów. Wokół Eryki wybuchła niesłychana wrzawa. Jeszcze nikt nie widział, jak biega, a już tysiące ludzi o niej mówiło i myślało, sprzeczało się, robiło zakłady. Pochłaniało to wiele pieniędzy, ale Shilling ich nie żałował, wiedząc dobrze, że zwróci się szybko.

I chociaż Eryka, nudząc się w swoim pokoju hotelowym, wyjeżdżała tylko na treningi, stała się sławna w całej Ameryce. Dziewczyna nie mogła zrozumieć, skąd wziął się ten rozgłos. Schlebiało to jej próżności, nadal jednak czuła się nieszczęśliwa i samotna.

Nadszedł wreszcie dzień wielkich zawodów, o których gazety pisały już od dłuższego czasu z podejrzaną hałaśliwością. Shilling przywiózł dziewczynę na Yankee-Stadion na godzinę przed rozpoczęciem rozgrywek. Pierwszy raz Eryka widziała go zdenerwowanego. Było to jednak zrozumiałe, bo przecież od tego, jakie wrażenie robi jego „kobyłka” na publiczności, zależał los pieniędzy wyłożonych na reklamę, na hotel, na treningi no i na nią samą.

W szatni Eryka zobaczyła po raz pierwszy swoje trzy przeciwniczki. Staraly się nie patrzeć na siebie. Gdy spróbowała nawiązać rozmowę z wysoką brunetką,

Amerykanką, ta zmierzyła ją takim spojrzeniem, że Eryce odechciało się rozmowy. Zawodniczki otrzymały numery, Eryka już od tygodnia wiedziała, że startuje z czwórką.

Tymczasem wrzawa na trybunach wzmagala się przechodząc w ryk. Na Amerykankach nie robiło to żadnego wrażenia, ale Erykę przerażało.

W szatni zjawił się Shilling, spojrzął na dziewczynę, zaprowadził ją do oddzielnego pokoju i zaczął dawać jej ostatnie wskazówki. Potem wyjął jakiś pakiecik, a z niego maleńką, przezroczystą, jakby żelatynową kapsułkę.

— Masz, Eryko, włóż to pod język. Kiedy padnie komenda do startu, rozgryź i połknij. Pomoże ci to zdobyć pierwsze miejsce.

— A może obejdzie się bez dopingu?

— Nie — Shilling zaprzeczył ruchem głowy. — Dziś musimy wygrać bez żadnego ryzyka. Potem będziesz biegać bez dopingu, dziś nie.

Eryka posłusznie włożyła do ust kapsułkę. Przypomniało jej to dzieciństwo, kiedy ssała smaczne, przezroczyste, jakby szklane cukierki.

— Dziś rozegra się wielka rzecz — ciągnął dalej Shilling. — Trudno zorientować się, ile na ciebie postawili, ale na pewno bardzo dużo. Dlatego nie wolno mi ryzykować.

Shilling przeszedł się po pokoju, nerwowo zacierając ręce. Jego nastrój zaczął udzielać się dziewczynie. Zrozumiał to i wyszedł.

Tymczasem na olbrzymim, wypełnionym po brzegi stadionie odbywał się masowy hazard. Tu kupowano bilety i stawiano na sprinterki tak samo, jak na wyścigach konnych na konie, ryzykowano wysokie sumy i każdemu zdawało się, że tylko on zna przyszłą zwyciężczynię.

Gdy wszystkie cztery sportswomenki wyszły, by zaprezentować się publiczności, nad stadionem wzniósł się tak ogłuszający, przeraźliwy gwizd, że Eryce aż w uszach zadzwoniło. Dziesiątki, a może setki tysięcy oczu wpijały się w nią, w jej nogi, w jej ciało, w jej fryzurę, w jej twarz, natrętnie i bezceremonialnie, starając się z wyglądu i postawy sprinterki zorientować się, czy nie przypadną postawione na nią pieniądze.

O zawodniczkach mówiło się tu tak jak o koniach, biorąc pod uwagę wszystko: wiek, doświadczenie, dotychczasowe wyniki. Eryka miała wrażenie, jak gdyby szła naga wśród tego rozwrzeszczanego, agresywnego tłumu. Próbowwała ciągle językiem, czy kapsułka jest na miejscu i strasznie się bała, by nie rozgryźć jej przed czasem.

Wreszcie skończyła się ta koszmarna dla niej prezentacja. Sprinterki zatrzymały się przy linii startowej, sprawdziły swoje bloki startowe. W olbrzymim napięciu oczekiwania na wystrzał startera Eryka rozgryzła kapsułkę. Poczowała w ustach słodkawego smaku.

Stadion zamarł. Z tyłu rozległa się zapowiedź startu. Mała kropla rozlała się gorącą falą po całym ciele, serce się rozszalało, mięśnie pęczniały.

I równocześnie z wystrzałem, odczuwając niezwykłą siłę i pewność, dziewczyna rzuciła się do przodu, do taśmy mety napiętej jak biała, dobrze widoczna struna. U góry trybuny, na wysokości mety, wisiał jej olbrzymi portret z napisem: „Eryka zwycięży”. Dziewczyna widziała go, biegła więc jakby na spotkanie samej siebie. Musiała zwyciężyć, od tego zależała jej sława.

I zwyciężyła. „Czarny smok” o ułamek sekundy wcześniej uderzył o białą taśmę, zerwał ją i uniósł za sobą jak choinkowy łańcuch.

Stadion wybuchnął rykiem, gwizdami, okrzykami radości i rozpacz, zachwytu i wściekłości. Obliczano już wygrane i przegrane pieniądze, kibice przeklinali niedołężność sprinterek, które spóźniły się o dziesiątą część sekundy, lub wychwalali Erykę, nazywając ją nową sportową gwiazdą Ameryki.

A „gwiazda” weszła do swej szatni, gdzie czekała na nią Lora Mikelaw, i ciężko opadła na ławkę. Przed oczami latały czarne i czerwone koła, po nogach przebiegały drgania, dziewczynie wydawało się, że głowa jej wchłonęła już na zawsze piekielną wrzawę i świst stadionu.

Masażystka patrzyła na nią ze współczuciem. Jej wprawne i delikatne ręce rozebrały Erykę, ułożyły na leżance, lekko i sprawnie przebiegały po całym ciele, ale dziewczyna nie odczuła żadnej ulgi. Minęło już spowodowane dopingiem napięcie i nastąpiła reakcja przypominająca w objawach febrę.

— Proszę to wypić, to panią uspokoi — powiedziała Lora, kapnąwszy do szklanki z wodą jakąś ciec, ale dziewczyna odsunęła ze strachem jej rękę.

Wszedł Shilling, spojrział na zmęczoną, pośiniałą twarz Eryki i stwierdził zbyt silne działanie dopingu.

— No, Eryko — powiedział z zadowoleniem — nie zawiodłaś moich oczekiwań. Wprawdzie nie ustanowiłaś nowego rekordu, ale nie ma to żadnego znaczenia wobec faktu, że zarobiliśmy duże pieniądze — i protekcyjnie poklepał ją po ramieniu.

Świat wirował jej przed oczami, zadowoloną, pełną twarz Shillinga przesłaniała mgła. W tym momencie nienawidziła sportu z całej duszy.

Ale reklama działała sprawnie, sława dziewczyny wzrastała z dnia na dzień, echa jej dotarły też do Budapesztu.

— Mam dla ciebie ciekawą wiadomość — rzekł

Sandor Kerekes, wchodząc z gazetą w rękę do pokoju Tibora Szabo. — Piszą tu coś niecoś o naszych wspólnych znajomych.

— Nie interesuje mnie to — odparł Tibor, nie odrywając oczu od książki. — I w ogóle mogę ci powiedzieć, że Ilona przyjdzie najwcześniej za pół godziny, a wasze naiwne maskowanie się zabiera mi codziennie sporo cennego czasu. Możesz usiąść, ale nie przeszkadzaj mi. Jak chcesz, to weź sobie coś do czytania.

I Tibor powrócił do lektury.

Sandor zmieszał się. Zamierzał już wyjść z pokoju, ale się rozmyślił. Łatwo to zrobić, ale gdzie czekać na Ilonę? Pchać się w oczy jej ojcu? To już lepiej znosić docinki Tibora. Jeszcze okaże się, kto tu się bardziej zmiesza, jeszcze zobaczymy...

— No więc jeśli chcesz...

— Już ci powiedziałem: siedź cicho albo się wynoś! — zawołał z udaną złością Tibor. — W średniowieczu zakochani w wolnym czasie grali na gitarze i śpiewali serenady. Szkoda, że niektórzy współcześni nie kontynuują tej tradycji.

— Masz rację — odpowiedział pogodnie Sandor. — A czy nie zdarzyło ci się myśleć o miłości?

— Nie — odparł Tibor. — Nie zdarzyło się i nie zdarzy. Jestem uodporniony na takie głupstwa.

— To pięknie — jeszcze pogodniej powiedział Sandor.

Właśnie ten łaskawy ton zaniepokoił Tibora, widocznie przyjaciel przyniósł istotnie coś interesującego.

— Co to za gazeta? — spytał spokojnie.

— Dla ciebie nie ma tam nic ciekawego, bo jesteś przecież uodporniony.

— Ja tak po prostu spytałem.

— Potrafiłbym cię zmusić do tego, żebyś mnie przeprosił, ale sprawa jest zbyt przykra, by z niej żarto-

wać — rzekł poważnie już Sandor, siadając na kanapie obok przyjaciela. — A najgorsze, że to gazeta zazwyczaj dobrze poinformowana.

I znowu nie tyle słowa co ich ton zaniepokoił Tibora. Dostrzegł w ręku Sandora jakąś niemiecką gazetę. Wiadomość, o której wspomniał kolega, mogła dotyczyć tylko Eryki Stahlberg.

— Daj no tę gazetę.

— Proszę, czytaj, o tu.

Było to dobrze znane wszystkim sportowcom w Europie „Sport-Echo”, zaprzyjaźnione z wszystkimi sportowcami niezależnie od ich poglądów politycznych i narodowości. Może właśnie dlatego informacje w tym skromnym raczej czasopiśmie budziły zaufanie. Tibor chwycił gazetę tak łapczywie, jakby od tego, co tam wyczyta, zależało jego życie.

Wpił się oczyma w drobną nonparelową informację na ostatniej stronie.

W kilku krótkich wierszach sucho informowano, że znana sportsmenka zachodniemiecka, Eryka Stahlberg, wyjechała do Stanów Zjednoczonych, gdzie przez pięć lat będzie studiować. I to wszystko. Jednak Tiborowi Szabo wiadomość ta powiedziała więcej niż duży artykuł. Teraz już miał pewność: Erykę Stahlberg sprzedano do Ameryki. Nigdy już jej nie zobaczy, nie usłyszy cichego, smutnego głosu, nie dotknie swymi ustami jej chłodnych warg. Oszaleć można od takiej myśli!

— To na pewno kłamstwo — zaprotestował, sam nie wierząc we własne słowa. — Za czyje pieniądze mogła pojechać na te studia? To z pewnością jakaś dziennikarska kaczka.

— Bardzo możliwe — przytaknął Sandor. — Oni różne rzeczy drukują, gdy tylko choć trochę wyglądają



na prawdziwe, a tu na pierwszy rzut oka wszystko w porządku...

Patrzył na zmienioną cierpieniem twarz Tibora i pożałował, że przyniósł mu tę wiadomość. Lepiej było przemilczeć. Co by to jednak dało? Wcześniej czy później i tak by się dowiedział prawdy.

— Tak, tak — zgodził się skwapliwie Tibor. — Masz rację, oni drukują wszystko, co ma pozory prawdy, a właściwie to im obojętne czy Eryka pojechała do tej Ameryki, czy też mieszka dotąd spokojnie na swojej Kaiserdamm.

Znów spojrzął na notatkę i zrozumiał, że cała ta rozmowa nie ma sensu. Erykę sprzedali, z wyrachowaniem i zimną krwią sprzedali ją i nic się już na to nie poradzi. Ukrył twarz w dłoniach.

Siedzieli obok siebie milcząc. W pewnej chwili usłyszeli pukanie do drzwi.

— Proszę — Tibor podniósł głowę.

Jego twarz w ciągu tych kilkunastu minut bardzo się zmieniła. Oczy świeciły gorączkowo, wargi wykrzywił ledwie widoczny, bolesny grymas; widać było, że wiele go kosztował ten pozorny, zewnętrzny spokój.

W progu stanęła Ilona. W tym momencie Sandor zapomniał o notatce w gazecie, o ciosie, jaki spotkał przyjaciela, w ogóle o całym świecie. Ilona rozświetliła słonecznie cały pokój. Te promienie spływały z jej niebieskich oczu, z bujnych włosów, z uśmiechu, z każdego ruchu dziewczyny.

— Co jesteście tacy smętni? — zawołała wesoło. — Co się z wami dzieje?

Kerekes chciał schować gazetę.

— Co tam chowasz? Daj no tę gazetę.

— Kiedy tam nie ma nic ciekawego.

— I dlatego chowasz ją przede mną? Daj mi ją,

widzę że to gazeta sportowa, więc nie może tam być nic przykrego.

— Bardzo słusznie — odpowiedział Tibor. — Masz jak zwykle rację.

W głosie brata brzmiała rozpacz.

— Co tu się właściwie dzieje? Pokaż no tę gazetę!

Oczy jej zapłonęły gniewem i Sandor posłusznie wykonał rozkaz.

Przeczytała notatkę. Zrobiło jej się strasznie żal brata. To tak, jakby ktoś kazał wyjechać Sandorowi na całe życie z Budapesztu... To niemożliwe! Nawet strach o tym pomyśleć.

— No cóż — powiedział Sandor wstając. — Masz teraz tylko jedno wyjście: zostać takim znakomitym sportowcem, żeby bez ciebie nie mogły odbyć się żadne międzynarodowe zawody sportowe... Rozumiesz?

— Po co mi to?

— Żeby mieć możliwość spotkania się z nią. Czy sądzisz, że ten Shilling będzie ją tak długo trzymał w Ameryce? Bzdura. W tej notatce podano, że zapisała się do college'u. Jeśli więc zrobił z niej studentkę, to jasne, że chce, by wywalczyła Amerykanom zwycięstwo na międzynarodowych zawodach studenckich... Rozumiesz teraz?

— Rozumiem — płomyk nadziei pojawił się w oczach Tibora. — Tak, teraz wszystko rozumiem! A gdy ją choć jeszcze raz zobaczę, to zostanie ze mną. Bądź pewny.

Ilona podeszła do brata i ujęła go delikatnie za rękę.

— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Pojedziesz na zawody studenckie i na pewno się spotkacie, tylko nie wolno tak się przejmować, bo aż strach patrzeć na ciebie.

— Dobrze, postaram się... — powiedział bez uśmie-

chu Tibor. — Idźcie się przejść, chcę zostać sam...  
Idźcie...

Ilona spojrzała na Sandora.

— Pójdziemy?

— Oczywiście.

— Wróć wcześniej — rzekła bratu na pożegnanie.

Tibor słyszał, jak rozmawiali przez chwilę z rodzicami. Potem zadudniły na schodach szybkie kroki i po chwili ucichły. Szczęśliwi! Wezmą się za ręce i będą się wałęsać ulicami jesiennego Budapesztu, będą myśleć tylko o sobie, o swojej miłości, i nawet nie wspomną Eryki. A niech tam sobie spacerują, niech cieszą się swoim szczęściem. Nie ma zamiaru im przeszkadzać. Przed nim stoi teraz tylko jedna droga do szczęścia, do spotkania z Eryką, i on pokona wszelkie przeszkody. Musi zostać takim sportowcem, uzyskać takie wyniki, żeby nikt nie mógł sobie wyobrazić zawodów studenckich bez Tibora Szabo. A więc od jutra zacznie trenować i pracować tak długo, aż skoczy wzwyż przynajmniej dwa metry. To już byłby wynik wysokiej klasy międzynarodowej, niemożliwy do przemilczenia. I on osiągnie tę wysokość, spotka się z Eryką i zabierze ją do siebie na zawsze...

Podszedł do okna, otworzył je, oparł się piersią o parapet i patrzył na wieczorny Budapeszt. Jesienią zmierzchało wcześniej, ale lampy nie paliły się jeszcze; stąd, z szóstego piętra, dobrze było widać tam w dole sznury samochodów oraz srebrny, jakby wykuty ze stali łuk Dunaju.

Do pokoju weszła matka, prosząc na kolację. Podziękował, ale nie ruszył się z miejsca. Minęła jedna godzina, druga, a on ciągle spoglądał w zamyśleniu w dół. Miasto rozjarzyło się światłami, potem ulice zaczęły stopniowo pustoszeć i cichnąć, nad Budapesztem za-

padała noc, od Dunaju ciągnął chłód. Wszedł wyszczerbiony księżyc i zastygł nieruchomo jak teatralny rekwizyt, oświetlając miasto bladym światłem.

Tibor tkwił ciągle bez ruchu przy oknie, błędząc daleko myślami. Teraz w Ameryce jest już rano i Eryka na jakimś stadionie wychodzi na trening. Co się z nią dzieje? Może już zapomniała o nim?

Od czasu do czasu przeszła jeszcze jakaś zapóźniona para i znikła w drzwiach domów. Cisza. W pewnym momencie Tibor dostrzegł Ilonę i Sandora, gdy dochodzili do bramy. Dolatywały do niego ich głosy. O czym rozmawiają? O swojej miłości? O przyszłym wspólnym życiu? Oczywiście zapomnieli pewnie o nim, ale to dobrze. Bo najgorsze, kiedy ludzie zaczynają się nad nami litować i współczuć nam...

Na schodach rozległy się kroki Ilony. Idzie pewnie szczęśliwa, radosna... Jest już chyba bardzo późno. Ile czasu upłynęło mu przy tym oknie? Nie wiadomo. No cóż, nie można tu przecież nocować, trzeba rozebrać się i położyć.

Zapalił nocną lampkę, spojrzął na fotografię Eryki, wyciętą z jakiegoś ilustrowanego pisma, i westchnął... Jeszcze ją zobaczy, musi się z nią spotkać, żeby tam nie wiadomo co. Napisze zaraz do niej list. Jakoś list dojdzie, musi dojść. I ona też będzie wtedy czekać na to ich spotkanie.

W nerwowym pośpiechu zabrał się do pisania listu. Nie wolno jej robić żadnych wyrzutów, wierzył, że pojechała, bo inaczej nie mogła postąpić. Pisał jakieś zwykłe słowa, ale każde z nich krzyczało: „Kocham! Kocham i muszę cię zobaczyć! Nie mogę żyć bez ciebie! Zrobię wszystko, co możliwe i niemożliwe, żeby pojechać na zawody studenckie, więc się spotkamy, na pewno się spotkamy...”

Późny jesienny poranek zastał Tibora przy stole. Spał z głową na podłożonych rękach. Chyba śniła mu się Eryka, bo uśmiechał się przez sen.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Młodzi kandydaci na dziennikarzy po raz pierwszy samodzielnie próbują swoich sił. Każdy wybrał dla siebie jakiś temat, a kierownik grupy, dziennikarz Kaszczuk, pomógł każdemu przygotować plan pracy i objaśnił, jak zbierać materiały do reportaży.

Temat Niny Sokił mógł zafascynować najbardziej nawet doświadczonego dziennikarza. Jej pierwszy reportaż miał tytuł „Nowy Chreszczatyk”. Wiele można było napisać o głównej ulicy stolicy Radzieckiej Ukrainy, zniszczonej przez hitlerowców i dźwiganej teraz z ruin.

Nina postanowiła bardzo sumiennie przygotować się do reportażu i poznać jak najwięcej realiów. Na początku poszła na wystawę projektów zabudowy Chreszczatyka. Długo stała przed olbrzymią makietą przyszłej ulicy. Gipsowe budyneczki wyglądały jak dziecinne zabawki. Nina żałowała, że w dzieciństwie nie oglądała takich makiet. Następnie poszła na Chreszczatyk (na miejsce akcji — jak mówił Kaszczuk), by zebrać materiał. Nie bardzo jeszcze wiedziała, jak to robić, śmiało jednak ruszyła na swą pierwszą dziennikarską ekspedycję.

W tym czasie centralna ulica Kijowa przypominała olbrzymią fabrykę i tylko szeroka wstęga asfaltowa i ożywiony ruch ciężarówek korygował to wrażenie. Po obu jej stronach potężne dźwigi podnosiły w górę i opuszczały na wysokie piętra stosy desek, pojemniki z cegłą, żelazne belki i gotowe ramy do okien. Zarysy

architektonicznej zabudowy ulicy były coraz wyraźniejsze.

Nina postanowiła prześledzić cały cykl roboty, od początku do końca. Tu właśnie przygotowują się do zmontowania dźwigu, a więc robota stąd właśnie się zaczyna. Dziewczyna podeszła śmiało do drewnianej budki, pokazała strażnikowi swą studencką legitymację i delegację (Kaszczuk zaopatrzył swoich studentów w niezbędne dokumenty) i zaraz znalazła się na dużym placu, ogrodzonym wysokim, szczelnym parkanem. Na pierwszy rzut oka nic tu ciekawego się nie działo. Kilku robotników montowało dźwig. Nieduża koparka, prychając jak żywa istota, kopała wykop pod fundament przyszłego budynku. Robotników prawie nie było widać.

— Pani kogoś szuka? — usłyszała za sobą młody i jak jej się wydawało, znajomy głos.

Obejrzała się. Za nią stał Wołodymyr Rusanow w roboczym kombinezonie z wiertarką w rękę.

Pracował tu przy montażu dźwigów. Ich rok z wydziału mechanicznego rozpoczął praktykę robotniczą i kilku studentów, którzy mieli specjalizować się w konstrukcji dźwigów, trafiło do przedsiębiorstwa „Chreszczatykbud”. Montowało się tu wiele konstrukcji żelaznych i dźwigów.

Policzki Niny poróżwiały, Rusanow zmieszał się. Stali tak przez chwilę w zakłopotaniu i to właśnie zakłopotanie wywołało w nich wzajemną złość.

— Kogo pani szuka? — spytał wreszcie Rusanow.

— Brygadzisty — odpowiedziała czupurnie Nina. — Chcę się dowiedzieć, co się robi na tym placu.

— Po co to pani?

— Będę pisać reportaż o odbudowie Chreszczatyka.

— Ach, więc pani jest dziennikarką... — głos Rusanowa zabrzmiał kpiąco.

Nina rozgniewała się jeszcze bardziej. Wszystko, cokolwiek by teraz Rusanow zrobił czy powiedział, było w jej przekonaniu skierowane przeciw niej.

— Nie, nie jestem jeszcze dziennikarką, na razie jestem studentką.

— Aha, to znaczy praktykantką — ironizował Rusanow, zapominając o swojej funkcji na tej budowie.

— A pan to chyba tu główny inżynier? — spytała złośliwie.

Rusanow zaczerwienił się. Oboje byli bliscy kłótni.

— Jednym słowem, o co pani chodzi? Bo ja nie mam czasu na pogawędkę.

— Ja też nie mam czasu na rozmowę z panem — odcięła się Nina. — Poszukam kogoś bardziej kompetentnego.

Szybko znalazła brygadzystę, pokazała mu swoje dokumenty. Ten długo i szczegółowo zaczął objaśniać, jak pracuje jego brygada przy montowaniu dźwigu i jak działa ta stojąca obok skomplikowana i mądra koparka. Opisał ją bardzo dokładnie, wymieniając po kolei nazwy wszystkich detali.

— Widzicie, jakie dostaliśmy wspaniałe maszyny — mówił brygadzysta. — Żeby ludziom było lżej. Maszyny dali, a gdzie są części zapasowe? Nie ma części zapasowych! Czasem przez jakiś drobiazg są parogodzinne przestoje. Niech pani lepiej o tym napisze. A koparki rzeczywiście pierwsza klasa. Technika!

— Tak, technika — powtórzyła Nina.

Zapisała już niemal cały notes. Materiału starczy chyba nie na jeden, lecz na kilka reportaży. Podziękowała brygadziście, uścisnęła mu dłoń i poszła do wyjścia.

Rusanow stał przy warsztacie z kleszczami i wiertarką, borując otwór w grubej, żelaznej belce. Gdy Nina przechodziła obok niego, wyłączył wiertarkę.

— Koleżanko Sokił, chcę pani o czymś przypomnieć.

Nina zatrzymała się, spojrzała na niego chłodno, całą swoją postawą dając mu do zrozumienia, że do jego słów nie przywiązuje żadnej wagi.

— Słucham.

— Jak będzie pani pisać ten reportaż, to proszę nie zapomnieć, że na budowie prócz maszyn pracują jeszcze ludzie.

Nina ściągnęła brwi. Do czego ta aluzja? O co mu chodzi?

— W każdym razie o panu, kolego Rusanow, pisać nie mam zamiaru — odpowiedziała i opuściła plac budowy.

Na ulicy panował ożywiony ruch. Spojrzała na Chreszczatyk, na wysokie dźwigi podobne do żurawi, i pomyślała, że wie już o nich wszystko. Po powrocie do domu przeczytała notatki: materiału więcej niż trzeba, reportaż powinien być bardzo ciekawy.

Ale mimo wszystko nie była z siebie zadowolona. Myślą uparcie wracała do rozmowy z Rusanowem. To jakoś głupio wyszło. Trudno jednak się poniżyć przed tym pyszałkiem. Jeszcze by tego brakowało!

W tym dniu jakoś nic jej nie wychodziło. Są takie pechowe dni. Pojechała na trening i miała zatarg z Maksymowem. Wymyślił jakieś dziwaczne ćwiczenia, zmuszając dziewczęta do czołgania się po ziemi. Ona nie dopuści do tego, żeby wystawiać się na pośmiewisko. Trener może to robić z takimi jak Jaryna: dla niej pełzanie to tak jak ssanie cukierka. A dla Niny takie ćwiczenia są zbędne.

— Nie chcę robić tych ćwiczeń, Mykoło Dmytrowiczu — powiedziała, podnosząc się z trawy. — To nie dla mnie. Nie są mi potrzebne.

Maksymow zatrzymał na niej zdziwione spojrzenie, starając się zrozumieć jej nastrój.



— Nie, one są ci potrzebne i będziesz je wykonywać — rzekł spokojnie, stanowczym tonem.

— Nie, nie będę!

— Co z tobą, Nino? — spytał po chwili.

Dziewczyna zagryzła wargi i włączyła się do ćwiczeń.

Sofija Kartasz, która stała przy barierze śledząc grupę Maksymowa, słyszała całą tę rozmowę.

„Nina bardzo się zmieniła, gdy została czempionką i znaną sportsmenką — pomyślała. — A Maksymow nie zmienił się i traktuje ją po staremu, wymagając tak jak przedtem. Tymczasem do Niny trzeba teraz odnosić się inaczej”.

Gdy trening się skończył i dziewczęta, już wykąpane i przebrane, wychodziły z szatni, Kartasz niby niechcący zagadnęła:

— No co, Nino, trudno ci teraz pracować z Maksymowem?

Nina ucieszyła się. Nareszcie ktoś ją rozumie.

— Trudno, Sofijo Dmytrowno! Nie wiem, czego on chce ode mnie. Jakieś wariackie ćwiczenia...

— Tak, trochę dziwne... A nie popracowałabyś ze mną?

Nina spojrzała na nią ze zdziwieniem. Nie myślała nigdy o tym. Czy mogłaby zdradzić Maksymowa? Przecież to on ją odkrył i wychował, to jemu zawdzięcza wszystkie swoje sukcesy...

— Nie, Sofijo Dmytrowno, to niemożliwe.

— No cóż, jak nie, to nie — odrzekła Kartasz spokojnie, jakby nie przywiązywała do tej rozmowy żadnego znaczenia. — Nie wydaje mi się jednak, by trener, który sam nie był nigdy mistrzem, mógł cię jeszcze czegoś nauczyć.

Rozmowa ta zapadła jednak Ninie głęboko w duszę i nieraz wracała do niej myślą.

A Sofija Kartasz, pożegnawszy się z dziewczętami, podeszła do Maksymowa.

— Mykoło Dmytrowiczu — powiedziała — zdaje mi się, że znalazł pan znakomite ćwiczenie. Sama szukałam już dawno czegoś takiego.

Maksymow uśmiechnął się z zakłopotaniem. Zawsze stanowczy, niekiedy nawet ostry, mieszał się jak dziewczyna, kiedy ktoś go chwalił.

— Tak, tylko trzeba je bardzo dokładnie wykonywać — powiedział. — Są dla biegaczy niezmiernie korzystne, jestem pewny, że dadzą dobre wyniki.

— Zaraz spróbuję — Kartasz położyła się na murawie i zaczęła się czołgać. — Czy tak?

— Świetnie — rzekł z uznaniem Maksymow.

— Cudowne ćwiczenie — pochwaliła raz jeszcze Kartasz, wstając i otrzepując się z trawy. — Trzeba będzie i mnie stosować je jak najczęściej.

Nina w domu zastała list. „Nie potrafię zapomnieć o naszym spotkaniu na zawodach koszykówki — pisał Rostysław Kosenko. — Pragnąłbym poznać panią bliżej. Będę oczekiwał pani w sobotę koło akademii na rogu Wołodymyrskiej i Lenina. Bardzo proszę przyjść”.

Nina początkowo zdziwiła się. Nigdy dotąd nie otrzymywała takich listów. Kto to jest ten Kosenko? Ach tak, to przyjaciel Rusanowa! Świetnie. Pójdzie na to spotkanie. Rusanow na pewno dowie się o tym. Niech się przekona, że nie wywarł na niej żadnego wrażenia.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Po pierwszej wizycie Olgi w jego domu Sawa Pochitonow przez jakiś czas nie miał odwagi zapraszać dziewczyny do siebie. Jest bardzo nierówna, nigdy nie wiadomo, co jej strzeli do głowy. Lepiej więc spotykać się z nią na neutralnym gruncie, a kiedy już wezmą ślub, to może i stosunki z matką się polepszą. Tylko kiedy to nastąpi? Zdawałoby się, że jest w nim zakochana, spotykają się codziennie, a jednak Olga ciągle zwleka, jakby się czegoś bała lub nie ufała mu, co w końcu jest upokarzające. No cóż, przez jakiś czas trzeba będzie jeszcze poczekać, a potem... To „potem” Sawa wyobrażał sobie bardzo mgliście. No bo przecież takiej dziewczyny jak Olga Korszunowa nie zaprowadzi się siłą do urzędu stanu cywilnego. Trudno, chyba długo przyjdzie mu odstawiać zakochanego narzeczonego, nie ma na to rady, ale to mu się opłaci. Wcześniej czy później Olga zostanie mistrzynią świata, warto więc pocierpieć...

Wracające często wspomnienie jej pierwszej wizyty u nich nie było przyjemne. Oczywiście, wszystko to było bardzo śmieszne, ale jednocześnie obraźliwe. To przecież nie z jego matki kpiła Nina, lecz z niego. I jak to się stało, że zapomniał wówczas języka w gębie, żeby przywołać do porządku tę zbyt pewną siebie dziewczynę. Ale te spóźnione rozważania niczego nie zmieniają, cóż z tego że się jest dowcipnym na schodach, gdy już nikt nas nie słucha. Ważne jest teraz tylko to, że zaraz zza rogu wyjdzie Olga, na pewno ucieszy się, jak zwykle, gdy go zobaczy, przyspieszy kroku... Od tamtego pamiętnego dnia codziennie spotykali się o dziewiątej koło apteki na Ziemiym Wale.

Tego wieczoru Olga jak zawsze zjawiała się punktu-

alnie. Powitali się radosnym uśmiechem — tak radosnym, że nawet ktoś mało sprzegawczy musiałby pomyśleć: „Ci dwoje się kochają”. Sawa pewnym ruchem wziął dziewczynę pod rękę i zajął w oczy.

— Do „Metropolu”?

— Dokąd chcesz — oczy Olgi promieniały szczęściem.

Jakie to były radosne chwile! Żeby tak można iść przez całe życie, opierając się na ramieniu ukochanego.

Wesoły nastrój dziewczyny udzielił się też Sawie, przyspieszyli kroku, nie wiadomo kiedy znaleźli się na przystanku trolejbusowym. Po kilku minutach ciężki, niezgrabny trolejbus zatrzymał się przy placu Swierdłowa, zajaśniały przed nimi światła kina „Metropol”.

Szedł stary przedwojenny film „Muzykalna historia”. Olga bardzo chciała go zobaczyć. Już kilka razy się na niego wybierała, ale ciągle coś stawało na przeszkodzie. Tym razem udało się, bilety kupił Sawa. Najpierw, jak zwykle, była kronika filmowa, poświęcona tym razem zawodom berlińskim. Olga ujrzała od razu wielu znajomych: Wołoszynę — jej wspaniałe zryw i rekordowy lot dysku, Ilonę Szabo finiszującą w biegu przez płotki, Ninę Sokił w momencie przecinania taśmy na mecie. Gdzieś w tłumie sportowców dostrzegła również siebie.

— Widziałaś, jak Waśka głupio wystartował? Będę mu jutro musiał wytłumaczyć, jaki popełnia błąd — Sawa komentował oglądaną kronikę głośno, by słyszano, że łączą go zażyłe stosunki z wybitnymi zawodnikami.

Oldze nie podobał się ten ton, ale w tym momencie Sawa tak pieścotliwie głaskał jej rękę, że skłon-

na byłaby wybaczyć chłopcu znacznie większe grzechy.

Zresztą Sawa istotnie znał, i to bardzo blisko, wszystkich czempionów. Studiował w tym instytucie co Olga, tylko o rok wyżej. Biegał nieźle stumetrówkę, trzeba by było bezsprzecznie zaliczyć go do pięciu najlepszych sprinterów Moskwy. Chłubił się swoimi osiągnięciami, nigdy jednak nie można było przewidzieć, jak aktualnie przebiegnie swoje sto metrów, co Olę niepokoiło. Kiedy, powiedzmy, stawała w kole Olga Korszunowa, to już z góry było wiadomo, że dysk poleci pięćdziesiąt metrów. Gdy startował natomiast Pochitonow, to nikt nie wiedział, czy uzyska czas dziesięć i pięć dziesiątych sekundy czy też jedenaście i pięć. Wszystko zależało u niego od nastroju.

Kronika się skończyła. Olga mocniej przytuliła się do Sawy i zamarła. Nieco dziwnie układała się im ta miłość. Już zdawało się, że sprawa jest jasna: kochając się, Sawa wiele razy proponował, by poszli do urzędu stanu cywilnego. Jednak Olga bała się zrobić ten ostatni, decydujący krok, chociaż sama nie wiedziała dlaczego, pod różnymi pretekstami odkładała więc ślub. Przede wszystkim chciała, żeby Sawa ukończył instytut i usamodzielniał się. Do takiej ostrożności skłaniały ją doświadczenia własnego skomplikowanego i trudnego życia. Gdyby żyła matka, poradziłaby się jej, bo o takich sprawach można mówić tylko z matką. Olga musi więc o wszystkim decydować sama, a to tak trudno, kiedy ma się dwadzieścia jeden lat...

Film skończył się, zapaliły się światła, a Olga ciągle jeszcze przeżywała wzruszającą historię kierowcy, który został śpiewakiem operowym.

Wyszła z kina, wspierając się na ramieniu Sawy, i chociaż tyle już razy widziała o tej porze centrum

Moskwy, była zachwycona wieczorną urodą ulic. Doszli do małego skweru, o ścieżkach posypanych przywiezionym skądś jasnoczerwonym piaskiem. Po prawej stronie jarzyły się światła Teatru Wielkiego, przed nim wystrzelała w niebo olbrzymia prostokątna bryła hotelu „Moskwa”, a z lewej na tle granatowego październikowego nieba płonęły rubinowe gwiazdy Kremla. Wiał świeży jesienny wiatr.

Szli w milczeniu. Nawet gadatliwy zawsze Sawa poddał się urokowi moskiewskiej nocy.

— Dobry wieczór — usłyszeli nagle znajomy głos.

Obejrzeni się jak na komendę. Mijał ich Fiodor Iwanowicz Karcew w towarzystwie niskiego mężczyzny o sympatycznej powierzchowności.

Byliśmy w kinie — powiedziała Olga, jakby usprawiedliwiając się przed Karcewem ze swej zbyt późnej obecności w mieście.

— No i bardzo dobrze — zaśmiał się Fiodor Iwanowicz. — Poznajcie się, Wsiewołod Barkow, artysta.

— Nazywajcie mnie po prostu Siewoczka — rzekł Barkow.

Olga dopiero teraz przypomniała sobie, gdzie go widziała. Oczywiście, przecież Wołoszyna przychodziła z nim na stadion, a Siewoczka nabożnie nosił za nią wszędzie walizczkę. Taka usłużność śmieszyła wszystkich, ale on nie zwracał na to uwagi. Najważniejsze, że wolno mu było ukazywać się publicznie w towarzystwie Wołoszyny, a więc cząstka jej sławy, jak mu się wydawało, spływała również na niego.

Olga domyślała się powodów tej jego adoracji i uśmiechnęła się.

— Dlaczego pani się uśmiecha? — spytał podejrzliwie Barkow.

— Chyba nie mam powodów do płaczu.

— Tak, to prawda — głos Barkowa brzmiał nadal uprzejmie, chociaż patrzył na Olgę nieufnie. — No cóż, proszę państwa, może pójdziemy gdzieś razem na kolację?

Ani Olga, ani Sawa nie mieli w zasadzie nic przeciw temu, był tylko jeden problem: kto będzie płacił? Oldze Barkow wydawał się niesympatyczny, nie miała więc ochoty przyjąć jego zaproszenia.

— Masz pieniądze? — spytała szeptem Sawę.

— Co tam za szepty? — zagadnął Barkow. — Jeśli chodzi o tak zwane zasoby materialne, to proszę się nie kłopotać: za pewną chałturę dostałem dziś parę ładnych rubli.

— Ja, niestety, nie mogę pójść — powiedziała Olga. — Mam dziś jeszcze sporo pracy, a jutro muszę wcześniej wstać.

Siewoczka spojrział na dziewczynę niemal z wściekłością.

— Czemu tak ostro? — spytał, ciągle jeszcze usiłując być uprzejmym. — Fiodora Iwanowicza spotkałem przypadkowo przed kilku dniami u Wołoszyny, a dziś też zetknął nas szczęśliwy traf, więc jakże nie zjeść razem kolacji, kiedy to wyraźnie palec boży.

Karcew zbył to milczeniem.

— Proszę bardzo, ale beze mnie — powiedziała spokojnie Olga.

Sawa wiedział, że kiedy Olga mówi takim tonem, to nie ma żadnej nadziei na zmianę jej decyzji.

— Prawdę mówiąc, ja też nie bardzo mam ochotę — rzekł Karcew.

— Masz ci los! Tak dobrze zapowiadał się wieczór i nagle wszystko wzięło w łeb? I co teraz będzie?

— Nic szczególnego — rzekła Olga. — Pójdziemy do domu. Odprowadzisz mnie? — zwróciła się do Sawy.

— Oczywiście — w głosie chłopca wyczuła niezadowolnienie.

— A pan, Fiodorze Iwanowiczu? Wraca pan do domu?

— Tak.

— To może pojedziemy razem?

Karcew mieszkał w tym samym budynku instytutu co Olga.

— Chętnie — odpowiedział.

Siewoczka poczuł się tym wszystkim dotknięty. Zdawało mu się, że Olga chce umyślnie pozbawić go miłego towarzystwa i sama pozbyć się go, więc żeby się zemścić, zaproponował:

— No cóż, i tak nie mam co ze sobą zrobić, kolację diabli wzięli, więc odwozę państwa.

Zatrzymał taksówkę. Dziewczyna chciała w pierwszej chwili odmówić. Ten nowy znajomy wydawał jej się niesympatyczny, chociaż nie wiedziała dlaczego. Wsiadła do samochodu dopiero wówczas, kiedy Fiodor Iwanowicz, otwierając drzwiczki samochodu, z zapraszającym gestem powiedział:

— Proszę.

W zaproszeniu tym odczuła jakby niezależność od Siewoczki.

Przez całą drogę milczeli. Kiedy samochód zatrzymał się koło bramy instytutu, Siewoczka zwrócił się do Sawy.

— Pan też tutaj mieszka?

— Nie, muszę wracać do centrum.

— To zaczekam na pana.

Karcew zapłacił kierowcy, ale Siewoczka nie zwolnił taksówki.

— Ja też muszę wrócić do śródmieścia.

Pożegnali się bardzo uprzejmie, wysiedli, Siewoczka został w wozie. Karcew od razu skręcił



w bramę w prawo, zaś Olga i Sawa zatrzymali się przy głównym wejściu.

— Daj mi słowo, że nigdzie z nim nie pójdziesz — wyszeptała gorąco Olga, wpatrując się w twarz Sawy swymi dużymi, szarymi oczami, w których jak w kryształach odbijały się migotliwe promienie światła latarni.

Sawa uśmiechnął się. Schlebiała jego próżności miłość Olgi, kochał ją zresztą po swojemu, wolałby jednak, by ta miłość nie była taka poważna, bezgraniczna, by w łączącym ich uczuciu było więcej bez troski.

— Nie jesteśmy jeszcze małżeństwem, a mówisz do mnie jak stara, gderliwa i zazdrosna żona — powiedział żartobliwym tonem.

Ale Oldze ten ton się nie podobał.

— Daj słowo — powtórzyła surowo.

— Daję słowo honoru — zaśmiał się Sawa — tylko nie rozumiem, dlaczego to dla ciebie takie ważne.

— Bo on mi się bardzo nie podoba.

— Nie można przecież z góry potępiać wszystkich tych, którzy nam się nie podobają. Och, jaka ty jesteś, Olgo!

— Jestem, jaka jestem. Idź już, czekają na ciebie.

W słabym świetle latarni dostrzegł, że twarz jej zbladła. Nachylił się do jej ust, pocałował mocno.

— Uspokój się, on mi się też nie podoba. Dobranoc.

Siewoczka powitał Sawę jak najlepszego przyjaciela.

— Szybko się pan pożegnał ze swoją przyjaciółką — powiedział wesoło. — Obawiałem się, że trzeba będzie dłużej czekać.

Wsiedli do taksówki.

— No więc dokąd jedziemy? — spytał Siewoczka.

— Ja do domu, na Wielką Bronną.

— Nonsens! Wybierzemy się na kolację.

— Dziękuję, ale nie — Sawa chciał twardo dotrzymać obietnicy.

— Odnoszę wrażenie, jakby pan dał słowo swojej dziewczynie, że nigdzie ze mną nie pójdzie. Proszę się przyznać: przyrzekł jej to pan?

Ale Sawie jakoś wstyd było przyznać się do tego. Olga zaczęła go teraz drażnić z tym jej brakiem tolerancji. Znalazł się przez nią w idiotycznej sytuacji.

— Nic jej nie przyrzekałem — burknął.

— To znaczy, że jedziemy na kolację?

— Jedziemy.

— No, nareszcie męska decyzja — powiedział Siewoczka, podając kierowcy nazwę restauracji.

Przez całą drogę Sawa myślał o Oldze ze złością, jak gdyby ona była winna, że złamał słowo.

W „Aragwi” zajęli mały stolik. Siewoczka zamówił wódkę i zakąski. Sawa próbował protestować: nie powinien pić, wkrótce zawody.

— Z panem to jak z dziewczyną — zareplikował Siewoczka. — Ciągłe trzeba pana namawiać.

Ale po pierwszym kieliszku nie było to już potrzebne. Kiedy się dobrze uraczyli, Siewoczka spojrział na zegarek.

— Chwileczkę, muszę zatelefonować.

Po chwili wrócił...

— Czy pan zna Wołoszynę?

— Oczywiście — odpowiedział pewnie Sawa.

— No to zaraz do niej pojedziemy. Zaprosiła nas.

— Do niej? Świetnie! — dla Sawy nie istniało w tej chwili na świecie nic niemożliwego.

Nie zastanawiał się zupełnie, po co mają jechać do Wołoszyny. Znał ją, jednak nigdy nie był u niej w domu. Ale teraz to nie miało żadnego znaczenia. Jak jechać, to jechać!

Siewoczek istotnie zadzwonił do Wołoszyny pytając, czy może wpaść. Chciał nie tyle zobaczyć Olę, co przyjść do niej z Sawą. Był pewien, że jutro lub pojutrze dowie się o tym Olga Korszunowa. Niech się wścieka ta pewna siebie i harda pannica! Jakaś tam sobie studentka w staromodnych pantoflach ośmiela się odrzucać jego zaproszenie!

Siewoczek skinął na kelnera i zapłacił rachunek. Wyszli z restauracji w doskonałych nastrojach.

Olę nawet ucieszył jego telefon. Miała ostatnio ciężki okres. Bawił przez kilka dni w Moskwie na zlocie przodowników nauki starszych klas uczelni nachimowskiej i suworowskiej jej syn. Ale przyszedł admirał Tola Wołoszyn był na razie prostym kadetem, dlatego przyjechał nie „strzałą”, lecz zwykłym pociągiem pasażerskim, który przybywa do Moskwy w dzień. Olga musiała zwolnić się z próby w teatrze, reżyser zgodził się zresztą bez żalu. Jakoś nie wychodziła jej ta Lubow Jarowaja, może trzeba będzie zmienić obsadę, chociaż szkoda byłoby, bo warunki Wołoszyny bardzo odpowiadają tej postaci. Reżyser nie mógł pojąć, dlaczego aktorka nie potrafiła odnaleźć żadnych rysów przygotowywanej postaci ani kreujących ją ruchów czy intonacji. No cóż, pożyjemy, popatrzymy, poczekamy...

Gdy reżyser zastanawiał się nad tym, Wołoszyna popędziła na dworzec. Obojętne jej teraz były wszystkie kłopoty teatralne, pochłaniała ją tylko jedna myśl: przyjeżdża Tola.

Nad Moskwą wisiało chłodne, jesienne, chmurne niebo, miasto poszarzało i posmutniało, Wołoszyna nie zwracała jednak na to uwagi. Wysiadła z metra przy Dworcu Kazańskim, przebiegła obszerny plac, weszła na peron i odetchnęła z ulgą: pociągu jeszcze nie było. Spacerując po peronie przez cały czas myślała

tylko o spotkaniu z synem. Tak rzadko go widywała! Może lepiej byłoby przenieść się do Leningradu? Ale za rok ukończy uczelnię i nie wiadomo, gdzie będzie stacjonować jednostka, do której go pošlą...

Zielone wagony powoli zwalniały i wreszcie zatrzymały się. Zgrzytneły koła i na moment wszystko ucichło. Stojąc na palcach, Wołoszyna z wyciągniętą szyją usiłowała jak najszybciej dostrzec nachimowców. Oto jest, tam, z dziesięcioma młodziutkimi przyszłymi oficerami pod dowództwem starszego wiekiem miczmana. Drżąc z niecierpliwości Wołoszyna rzuciła się do syna.

On też dostrzegł matkę. Z miejsca opadł z niego cały ten wyćwiczony kadecki „fason”. Nawet śladu nie zostało z przyszłego oficera, zawsze spokojnego, zrównoważonego i powściągliwego. Roztrącając kolegów Tola pobiegł do matki.

W tym momencie dla Olgi nie istniało nic na świecie prócz jego twarzy. Jaka ona zmężniała i piękna! Na górnej wardze sypał się ledwo widoczny wąs, policzki wygolone, chociaż niewiele chyba było tam do golenia. Tola był bardzo podobny do ojca. Być może lżej umierałoby się czołgście Wołoszynowi, gdyby wiedział, że pozostawia na świecie taką wierną swoją kopię.

— No co tam u ciebie, mam? — nie unikając wzruszających pocałunków matki, spytał Tola.

— U mnie wszystko w porządku. Ty na długo?

— Na cztery dni.

— Czy możemy już jechać do domu?

— Zaraz się dowiem, chodźmy, mam.

Wziął matkę pod rękę i ostrożnie prowadził ją do dowódcy, wyrażając całą swą postawą i wyrazem twarzy dumę ze swej matki.

— Towarzyszu miczmanie, pozwólcie przedstawić sobie moją matkę.

Miczman zasalutował, stuknął obcasami i mocno się zmieszał — zbyt piękna była matka jego wychowanka. Na Wołoszynę gapili się teraz zresztą wszyscy nachimowcy. Wiele o niej wiedzieli, często rozmawiali o jej światowych rekordach, byli z nich dumni, wydawała im się jednak jakąś istotą nieosiągalną, o której można tylko marzyć. A tu masz ci: stoi na peronie bardzo piękna wysoka kobieta ze łzami szczęścia w oczach z powodu spotkania się z tym dryblasem Tolkiem Wołoszynem. Coś niewiarygodnego!

— Czy możemy już jechać do domu? — spytała aktorka, ściskając dłoń miczmana.

— Oczywiście, tylko muszę jeszcze wpaść do komendanta wojskowego zameldować przybycie i dowiedzieć się, gdzie jesteśmy zakwaterowani.

Jeszcze raz zasalutował i zniknął za drzwiami z napisem „Komendant wojskowy”. Nachimowcy otoczyli Olgę Borysowną, zasypując ją pytaniami. Tak dobrze czuła się wśród tej zielonej, ale dobrze wychowanej i sympatycznej młodzieży, że gdyby tylko mogła, zabrałaby do swego mieszkania wszystkich kolegów syna.

Miczman wrócił dopiero po czterdziestu minutach i kazał Toli przyjść jutro o dziesiątej do Domu Armii Radzieckiej, w którym będzie się odbywać zlot, zapisał jego domowy telefon „na wypadek nieprzewidzianych rozkazów dowództwa”, następnie poprowadził swych wychowanków do metra, oddawszy Wołoszynie na pożegnanie honory należne admirałom.

— No to jedźmy, bo w domu już się pewnie niecierpliwią.

— Kto?

— Gromow i Karcew.

— Świetnie, cieszę się, że będą, chyba sto lat ich nie widziałam. A ciebie całą wieczność...

A w jadalni Wołoszyny istotnie goście już czekali.

Gromow i Karcew przyszli punktualnie, obejrzeni nakryty stół, musieli wysłuchać żalów zaniepokojonej baby Nasti, zapewniającej, że to niemożliwe, by poiąg się spóźnił, bo takie rzeczy teraz się nie zdarzają, no i wreszcie usiedli.

Chociaż znali się od dawna, początkowo rozmowa jakoś się nie kleiła. Gromow oglądał albumy z fotografiami Wołoszyny z jej występów zagranicznych, a Karcew siedział zamyślony, nucąc pod nosem monotonną melodię, a właściwie powtarzając jej jedną frazę.

Gromow przewrócił kolejną kartkę albumu, uśmiechnął się z zadowoleniem i podsunął go Karcewowi.

— Widział pan to zdjęcie?

— Tak, to w Paryżu. Jeśli pan dobrze się przyjrzy, to gdzieś tam na drugim planie i ja jestem.

— Rzeczywiście, pan też jest... dopiero teraz zauważyłem...

— To normalne zjawisko — powiedział Karcew. — My, trenerzy, zawsze jesteśmy na drugim planie i kiedy nasi uczniowie odnoszą sukcesy, nikt nas nie dostrzega. Dopiero kiedy zaczynają przegrywać, znajdujemy się od razu w centrum uwagi.

— Trafił pan w dziesiątkę — zaśmiał się Gromow.

— Ale cóż to tak długo ich nie ma — kontynuował rozmowę Karcew. — A wie pan, Fiodorze Iwanowiczu, że Olga zaskoczyła mnie — zmienił nagle temat. — Zawsze sądziłem, że racjonalnie podejście do tego krytycznego dla każdego sportowca momentu, okazało się jednak, że moje przewidywania były pochopne.

— No więc myślałem o tym samym — wtrącił podpułkownik. — Wie pan dobrze, że zejść z godnością ze sceny to duża umiejętność i nie każdemu artyście, sportowcowi czy wojskowemu to się udaje. I chyba naszej Oldze gdzieś tu coś nie dopisało...

— Wołoszyna może jeszcze ustanowić kilka rekor-

dów — zauważył oschle Karcew — jej czas jeszcze nie minął. Mnie niepokoi tu co innego.

— Odmowa pracy z Korszunową?

— Tak. I właśnie tego nie potrafię rozgryźć, a muszę, bo inaczej jestem trenerem do chrzanu. To widocznie i moja wina, Iwanie Piotrowiczu, nie umiałem odpowiednio ukształtować jej charakteru. Oldze wydaje się teraz, że jeśli Korszunowa będzie pracowała sama, bez niej, to nie tak szybko pobije jej rekord. A to już pierwszy krok na równi pochyłej...

— Tu bym się z panem nie zgodził — próbował bronić swej przyjaciółki Gromow. — Nawet nie dopuszczam myśli, że byłaby zdolna do jakiejś podłości.

— A kto to mówi o podłości? Ostatecznie każdy ma prawo trenować wtedy, kiedy mu najwygodniej. Ma pan rację: to wszystko nie jest takie proste, muszę jednak dotrzeć do sedna sprawy, niezależnie od tego, jak byłaby skomplikowana.

— Może spróbuję z nią pomówić? — zaproponował bez przekonania Gromow.

— Nie, to nic nie da. Mogłaby się tylko obrazić.

— Dlaczego? Jeśli przygotuję się do rozmowy?

— Mam jednak nadzieję, że wykaże pan dość taktu, by nie wtrącać się do mojej pracy — wybuchnął nieoczekiwanie Karcew i odwrócił się od podpułkownika, nie mając zamiaru kontynuować rozmowy na ten temat.

— O, zdaje się, że nareszcie idą! — zawołał Gromow.

Po chwili Wołoszyna weszła z synem do pokoju.

— Zdrawija zielejaju, towarzyszu admirał!

Wołoszyna wieczorem nie grała, chciała więc jak najprędzej pozbyć się swoich gości, by zostać nareszcie z synem sama, bo jutro na pewno nie będzie miał czasu na rozmowy z matką. Jacyś dziwni są dziś ci

jej goście: piją, jedzą, wznoszą toasty, ale każdy myśli o jakichś swoich sprawach, ważniejszych od przyjazdu młodego Wołoszyna. Trudno ich dziś poznać. Może zdarzyło się coś, o czym ona nie wie? No, ale na inne sprawy będzie czas po wyjeździe Toli. A teraz żeby tylko już jak najprędzej poszli.

Goście wesoło pożegnali się i wreszcie wyszli. Ucichła już w kuchni baba Nastia. Słysząc tylko oddech Toli, który leży na wznak z głową na kolanach matki, pieszcząc delikatnie długie, wypielęgnowane palce jej dłoni. Dobrze jest tak leżeć ze świadomością, że jest się u siebie w domu, w którym zna się każdy drobiazg, gdzie każda rzecz przemawia do nas własnym, znanym z dzieciństwa głosem.

— Bardzo tęskniłem za tobą, mam — mówi cicho Tola, a słowa te brzmią w uszach Olgi Borysowny jak najcudowniejsza muzyka; w odpowiedzi zaciska tylko palce wokół dłoni syna.

Tola opowiada o swoim życiu, o kolegach i nauczycielach. W wyobraźni Wołoszyny przewijają się klasy, sypialnie i sale nachimowskiej uczelni. Była tam już kilka razy, nawet występowała kiedyś podczas październikowego święta. I teraz słuchając syna chodzi z nim przez długie korytarze z obrazami bitew morskich i portretami wybitnych marynarzy. Z miłością wsłuchuje się w dźwięk łamiącego się jeszcze po chłopięcemu basu; kocha syna w tej chwili z jakimś bolesnym wręcz zapamiętaniem.

— Wiesz, mam, dopiero wczoraj stamtąd wyjechaliśmy, a wydaje mi się, że nie byłem tam już dawno, dawno... Właśnie teraz w sali sportowej zaczynają się ćwiczenia. Muszę jutro pójść popatrzeć, jak trenujesz, u nas akurat w tym czasie będzie przerwa obiadowa... Tak dawno nie widziałem cię na treningu...



Olga Borysowna zmieszala się. Pierzchnął momentalnie cudowny nastrój.

— Nie wiem, czy jutro będzie to możliwe, bo zmieniły się teraz godziny treningu, jestem bardzo zajęta w teatrze.

— Tym się nie martw, jakoś znajdę czas, żeby wpaść do ciebie. Chyba miczman mnie zwolni. Oczywiście, że zwolni...

— Mów lepiej o sobie — Wołoszyna zmieniła temat. — Treningi widziałeś już dziesiątki razy i jeszcze nieraz będziesz je oglądał.

Nie potrafiłaby odpowiedzieć, dlaczego nie chce, by syn przyszedł do sali ćwiczeń.

— A wiesz — ożywił się nagle syn — kiedy padł w Berlinie twój rekord, miałem akurat wartę, więc przysłała do mnie cała delegacja z gratulacjami... Chyba nikt na świecie nie ma tak wspaniałej matki jak ja!

Słowa te wypowiada z dumą i przekonaniem, Wołoszyna poczuła się tak, jakby coś przed synem zataiła.

Rozmawiali do późnej nocy, w dole na szerokiej ulicy Gorkiego zaczęły już gasnąć światła. Pora iść spać, ale jak tu zasnąć, kiedy tyle jeszcze jest do powiedzenia i tyle jeszcze trzeba usłyszeć.

Ranek przyniósł normalne sprawy i kłopoty. Anatolij pospieszył na dziesiątą do Domu Armii Radzieckiej, Wołoszyna poszła do teatru, nie było czasu myśleć o wczorajszych przeżyciach. Na trening Olga Borysowna poszła dopiero, jak odprowadziła syna na popołudniową sesję zjazdu. Sama nie wiedziała, dlaczego tak zrobiła, ale inaczej nie mogła.

Karcew powitał ją uprzejmie i życzliwie. Pracowała jak zwykle bez wytchnienia, choć z przyjemnością, tylko teraz Olga nie odczuwała jak dawniej radości. Coś ją dręczyło, wpływając na rytm oddechu. W pewnym

momencie wydało się jej, że na galerii poruszyła się jakaś postać. Olga Borysowna przeszła nawet pod drugą ścianę, żeby dokładniej się rozejrzeć, nie zobaczyła jednak nikogo.

— Jest dziś pani zdenerwowana, Olgo Borysowno — zauważył trener. — Co panią niepokoi?

— Nic — zaśmiała się Wołoszyna. — Chciałabym już jak najszybciej być w domu.

— No cóż, rozumiem, będziemy więc kończyć.

— Jeśli pan pozwoli, to opuszczę jeden trening, pragnę być dłużej z synem.

— Dobrze.

Gdy Wołoszyna wróciła, syn był już w domu. Taki miły, kochany... Opowiedział jej o przebiegu zlotu, o przemówieniach, jutro chyba i on wystąpi. W jego głosie matka wyczuła jakby jakiś żal. I dziwne, że Tola więcej już nie wspominał o chęci obejrzenia treningu matki. A może to i lepiej, pewnie ten zlot tak go zafrapował, że zapomniał.

Ale Tola nie zapomniał. Był jednak w instytucie, oglądał z górnej łoży ćwiczącą matkę i zdziwił się, że pracuje sama. Dlaczego? Co się stało?

Nie pytał jednak, instyktownie czując, że jest to dla niej bolesna sprawa. Gorąco pragnął ochronić matkę przed wszelkimi przykrościami, nie wiedział jednak, co ma robić.

I tak minęły trzy dni i znowu znaleźli się na Dworcu Leningradzkim, milczący, smutni, chociaż przecież nie żegnali się na długo.

Dopiero kiedy podstawiono pociąg, Tola zapytał nagle ostrym tonem:

— Co się z tobą dzieje, mam?

— O co ci chodzi?

— Wiesz dobrze, o co pytam. Dlaczego teraz wokół ciebie jest pustka? Przez cały ten czas byli u nas

tylko moi koledzy, a z naszych dawnych znajomych nawet nikt nie zadzwonił. Dlaczego trenujesz sama? Co się stało, mam?

Wołoszyna zmusiła się do uśmiechu, chociaż serce jej zamarło od nagłego strachu.

— Nic się nie stało, po prostu prosiłam, żeby nam nikt nie przeszkadzał — odpowiedziała z pozornym spokojem i opanowaniem. — A trenuję sama, bo tak mi wygodniej z czasem. Nie martw się, wszystko w porządku.

Dobrze jednak wiedziała, że niczego nie potrafi ukryć przed synem. Tola nie jest już małym chłopcem, wierzącym każdemu jej słowu. Być może powiedziałałaby mu całą prawdę, gdyby sama ją знаła i gdyby zdobyła się na odwagę oceny własnego postępowania. Ale tego właśnie nie potrafiła.

Rozległy się dzwonki i gwizdki. Pociąg ruszył. Przed Wołoszyną przesunęły się oczy Toli, pytające i zaniepokojone, i zniknęły w migotaniu czerwonych, zielonych i białych świateł.

Olga Borysowna szła powoli do domu. Brzmiały jej jeszcze w uszach słowa syna, który pytał ją o rzecz najważniejszą: dlaczego wokół niej zrobiła się pustka? To prawda, ma przecież takiego przyjaciela jak Iwan Gromow, Karcew też nigdy jej nie porzuci, ma poza tym wielu przyjaciół w teatrze...

Po powrocie do domu usiadła przy lustrze, wsłuchując się w ciszę. Nie słyhać nawet oddechu baby Nasti w kuchni. Żeby tak ktoś zatelefonował... Nie, teraz już chyba nikt nie zadzwoni. Spojrzała na siebie w lustro. Dostrzegła w twarzy zmęczenie i niepokój. Czy w takim nastroju można grać Lubow Jarowaję? Powiodła palcami pod oczyma, gdzie rysowały się już wyraźnie zmarszczki...

Położyła się odczuwając przyjemny chłód pościeli.

Chyba zaraz zaśnie i skończy się ten podły nastrój, a jutro wszystko będzie dobrze.

Ale sen nie przychodził, płoszony przez wciąż powracające natrętne pytanie: „Dlaczego jestem sama?”

Właśnie w jeden z takich wieczorów zadzwonił Siwoczka Bąrkow, więc aktorkę nawet ucieszył jego telefon. Niech przychodzi, nie będzie musiała w samotności szukać tej przekłętej odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Henri Chartin mieszkał w Paryżu na cichej, niezbyt ludnej ulicy Grenelle, w pobliżu ambasady radzieckiej, w małym domu wśród gęstych grabów, ogrodzonym wysokim ozdobnym, żeliwnym parkanem. W Paryżu zachowało się jeszcze wiele takich zacisznych, odciętych od świata domów. Kiedy patrzy się na nie z ulicy, to odnosi się wrażenie, jakby nigdy nie było ani pierwszej, ani drugiej wojny światowej, ani niemieckiej okupacji, ani amerykańskiej inwazji. Te domki, przypominające połowę ubiegłego stulecia, zdają się mówić: patrzcie, jak kiedyś ludziom żyło się dobrze i spokojnie, nie tak jak w tych waszych zwariowanych czasach.

Mistrz Chartin wrócił tym razem do domu niezadowolony. Podróż do Berlina była niewątpliwie nieudana. Chodziło nie o premierę, o której nie chciało się teraz nawet wspominać, lecz o ostatnią rozmowę z generałem Stanleyem. Po pierwsze, nie zwykł pisywać na czyjeś polecenie; po drugie, był już niemal zupełnie przekonany, że Rosjanie nie chcą wojny; po trzecie, niech diabli wezmą wszystkie sztuki, nigdy nie wiadomo, jak je w teatrze przekreślą; po czwarte...

Zatrzasnął furtkę z taką pasją, że nawet hałaśliwa gospodyni Lili Boucher spojrzała na niego ze zdziwieniem. Tym razem wbrew zwyczajom nie wyraziła radości z powodu powrotu pana i nie powiedziała, jak zwykle, że Chartin po każdej podróży młodnieje.

Wziął kąpiel i już po pół godzinie siedział przy biurku. Jego gabinet wyglądał nieco staromodnie, pisarz nie zamierzał jednak go modernizować. Za tym starym biurkiem w stylu Ludwika XIV siedzieli jeszcze jego dziadek i jego ojciec, więc dlaczego miałyby je usuwać? Kanapa, co prawda, trochę za wąska, ale z nią też wiąże się wiele wspomnień, nie byłoby więc sensu jej zmieniać. No a książki, ułożone na długo jeszcze przed pierwszą wojną światową przez jego dziadka w starych szafach bibliotecznych, są ze względów oczywistych nietykalne. Na drzwiach tych antycznych szaf widniały płaskorzeźby najwybitniejszych pisarzy francuskich — od Corneille'a po tego uroczego Maupassanta, który zdaniem Chartina nigdy nie stałby się klasykiem, gdyby nie jego olbrzymia poczytność wśród kobiet. A czyż te fotele, w których tak wygodnie i siedzieć, i spać, ma wyrzucić tylko dlatego, że wyszły z mody? Nie, wszystko to zostało zrobione jeszcze wtedy, kiedy Francja była Francją, mocarstwem niezależnym ani od Niemców, ani od Amerykanów. Nie, niczego tu nie zamierza zmieniać. I doczeka się jeszcze czasów, kiedy Francja znowu stanie się mocarstwem, a wówczas wróci moda na takie właśnie gabinety. Nawet te kandelabry, których przyćmione światło nadaje gabinetowi nieco ponurego wyglądu, też pozostaną na swoim miejscu.

Chartin owinął się szczelniej szlafrokiem i zaczął przeglądać pocztę. Listów było bardzo dużo, więc może ich czytanie odłożyć do jutra. A co tam piszą w prasie? No cóż, generał Stanley miał rację: dzięki swej

ostatniej sztuce Chartin stał się sławny we Francji nie mniej niż w zachodnim Berlinie. Jego sztukę krytycy wychwalali tak, jakby im dobrze za to zapłacono. W każdej recenzji podawano jej treść oraz pisano w superlatywach o sile i zasługach wojsk angloamerykańskich, oczywiście z powołaniem się na mistrza Chartina i jego sztukę.

Pisarz przypomniał sobie kronikarskie zestawienie ze wschodnioberlińskiego dziennika i zadrżał — a co się stanie, jeśli „L'Humanite” lub jakaś inna gazeta to przedrukuje? Będzie wtedy ośmieszony, bo przecież Paryż to nie Berlin.

Do gabinetu wszedł Chartin, przebrany już w swój nowy mundur porucznika. Bardzo mu było w nim do twarzy. Chartin patrzył na syna z zachwytem. Może kiedyś dosłuży się stopnia generalskiego? Generał Chartin — to brzmi nieźle.

— Nie wiem, o której dziś wrócę — rzekł Charles, żegnając się z ojcem.

— Dobrze — odpowiedział ojciec. — I nie przesadzaj z tymi moimi sukcesami, kiedy będziesz opowiadał o Berlinie.

— To już moja sprawa — uśmiechnął się Charles. — Mam o czym opowiadać, jeśli chodzi o Berlin, no i rozumiałe, że w tych relacjach nie będziesz na ostatnim miejscu.

— Nie pij zbyt dużo za zdrowie ojca, jeszcze za wcześnie na pełny gaz.

— Tak jest — Charles zaśmiał się, zasalutował, stuknął obcasami i zniknął tak szybko, że ojciec nie miał już okazji do dalszych morałów. Przez chwilę z przyjemnością myślał o młodzieńczej sylwetce syna.

Ktoś zapukał do drzwi. Do gabinetu weszła gospodyni, otyła kobieta o mocnych rękach, potężnym biuście i niskim głose. Zrobiła trzy kroki i stanęła jak na

komendę „baczność”. Była w swoim wizytowym stroju — czarnej wełnianej sukni. Cały zresztą jej wygląd, bardzo oficjalny, zapowiadał ważną rozmowę. Chartin nigdy jeszcze takiej jej nie widział, dlatego spojrzał na nią z nie ukrywaną ciekawością.

— Przyszedł pana zawiadomić, monsieur Chartin, że chcę odejść — powiedziała niemal basem.

— Co się z panią dzieje, Lili? — krzyknął pisarz. — Co za bzdury i kiepskie dowcipy pani opowiada? Jaka mucha panią ugryzła? Za mąż się pani wybiera czy co?

— Kiepskie dowcipy to pan opowiada, nie ja, monsieur Chartin — odrzekła gospodyni, patrząc z uwagą na jego zdziwioną, przestraszoną twarz. — Właśnie przez te pańskie kiepskie dowcipy nie mogę dłużej pozostać z panem pod jednym dachem.

— Nic nie rozumiem. Czy mogłaby pani mówić jaśniej?

— Mogę — głos Lili brzmiał stanowczo. — I nie tylko mogę, ale muszę to zrobić. Otóż musi pan wiedzieć, monsieur Chartin, że od czasu jak pana zaczęli wychwalać w gazetach, stałam się pośmiewiskiem dla ludzi, którzy wiedzą, że prowadzę panu gospodarstwo.

Wyraz twarzy Chartina wskazywał, że nadal niczego nie rozumie.

— Napisał pan sztukę — ciągnęła dalej Lili — którą wystawili w Berlinie, tak? Ale w tej sztuce nie ma ani jednego słowa prawdy. Wszyscy moi znajomi nazywają pana teraz kłamcą i amerykańskim lizusem. I pytają mnie, czy przygotowaliśmy już sobie gwiazdzisty sztandar, żeby zawiesić go, jak Amerykanie ogłószą Francję swoim pięćdziesiątym pierwszym stanem i czy nauczył się pan już śpiewać „Yankee-Doodle”. Oto co o panu mówią, monsieur Chartin. I sądzi pan, że ja, porządna kobieta, mogłabym po tym wszystkim zostać w pańskim domu?

— Lili! — oburzył się Chartin. — Zapewniam panią, że to są insynuacje, ludzie zazdroszczą mi po prostu sukcesu...

— Nie, to nie insynuacje — odpowiedziała gospodyni, nie zmieniając tonu. — Przeczytałam uważnie artykuły w gazetach i wszystko zrozumiałam. Ludzie mówią prawdę, której nie ma w pańskiej sztuce. Pan napisał, że Amerykanie wyzwolili całą Europę. Przecież to zwykle kłamstwo! Jak panu nie było wstyd pisać coś takiego?! Gdyby nie Rosjanie, to Hitler potopiłby pańskich Amerykanów jak szczenięta w kanale La Manche.

— Pani nic nie rozumie — powiedział Chartin już spokojnym tonem. — Pani po prostu nic o tym nie wie.

— Ja nic nie wiem?! — Lili ujęła się pod boki. — Ja nic nie rozumiem? Niech pan popatrzy na mnie, monsieur Chartin, niech mi pan spojrzy w oczy. Kto mnie uwolnił z obozu w Sachsenhausen? Może pańscy Amerykanie? Byli wtedy bardzo daleko! Poznałam bardzo dobrze Rosjan, ich żołnierzy, i wiem leplej od pana...

— Co do tego nie mam żadnych wątpliwości — zauważył ironicznie Chartin. — Ale wstydziałaby się pani nawet wspominać o tym.

— Wcale tego nie chcę ukrywać! — odpowiedziała dumnie Lili. — Miałam wśród nich wspaniałego przyjaciela, a miesiąc spędzony z nim to najszczęśliwszy okres w moim życiu. Był prawdziwym mężczyzną, człowiekiem czystym i uczciwym. Niektórym Francuzom nie zaszkodziłoby brać z niego przykład — spojrzała groźnie na swego chlebobawcę. — Poszłabym za nim na koniec świata, ale niestety było to niemożliwe. Mam nadzieję, monsieur Chartin, że pan dobrze zrozumiał, iż moja godność uczciwej Francuzki nie pozwala mi



dłużej pozostawać w pańskim domu. Któż to może wiedzieć, jaką sztukę pan jeszcze napisze? Może o tym, jakie to wielkie szczęście, że Amerykanie chodzą po Polach Elizejskich? Wtedy nie mógłby pan nawet nosa wysunąć z domu! Przez długi czas sądziłam, że pan jest uczciwym człowiekiem, monsieur Chartin, przekonałam się jednak, że się pomyliłam. A u ludzi nieuczciwych pracować nie będę. Zostanę tu jeszcze przez dwa tygodnie, zanim pan znajdzie nową gospodynię, a potem moja noga nigdy już nie przestąpi progu pańskiego domu. Przepraszam, że pana niepokoiłam, monsieur Chartin.

Odwróciła się i z podniesioną głową wyszła z gabinetu. Przez kilka minut Chartin siedział bez ruchu w fotelu, analizując cały ten incydent i zastanawiając się, jak ma przekonać gosposię, by została. Nie wyobrażał sobie bez niej życia. Jeszcze jego żona przyjęła ją do pracy jako młodą dziewczynę, która przeżyła w tym domu całe życie z wyjątkiem okresu, kiedy przebywała w obozie koncentracyjnym, dokąd hitlerowcy wywieźli ją za ostry język. Lili prowadziła samodzielnie całe gospodarstwo, a po śmierci żony pisarza zajmowała się również wychowaniem jego syna. Jeśli ich opuści, wszystko tu zamrze.

Chartina ogarnęła złość. Ta przeklęta Lili Boucher mówiła chyba prawdę. A więc paryżanie wyśmiewają się z mistrza Chartina!

Zerwał się nagle z fotela, podbiegł do drzwi, wsunął w nie głowę i krzyknął:

— Kurwa! Ohydna rosyjska kurwa!

Lili Boucher patrzyła na niego z najwyższym zdziwieniem.

— Jak panu nie wstyd, monsieur Chartin? — powiedziała spokojnie. — Zawsze zdawało mi się, że jest pan człowiekiem dobrze wychowanym. Okazuje się

jednak, że przez te lata, kiedy przebywałam w pańskim domu, tak naprawdę to nic o panu nie wiedziałam.

W jej słowach wyczuwało się tyle pogardy, że Chartinowi nie pozostawało nic innego, jak zamknąć drzwi i wrócić do swego fotela. Potworne, coś potwornego! Świat przewrócił się do góry nogami. Co się tu dzieje, skoro nawet Lili Boucher przemówiła takim tonem!

Długo siedział nieruchomo, usiłując na chłodno wszystko przemyśleć i uspokoić się, nic jednak z tego nie wyszło. Zdawało mu się, że to jakiś koszmarny sen, jutro rano się obudzi i wszystko będzie po dawnemu. Do jego świadomości nie dotarły jeszcze w pełni słowa, które powiedziała Lili w tym ponurym pokoju.

Drzwi znowu otworzyły się, tym razem bez pukania. Chartin z nadzieją podniósł głowę: może to Lili przyszła go przeprosić? Ale zamiast gospodyni do gabinetu wszedł Charles silnie podniecony.

— Co z tobą, Charles? Czemu tak wcześniej?

— Ze mną? — syn próbował uśmiechnąć się po błazniewie. — Nic szczególnego. Po prostu przyszedł moment, który zawsze zjawia się w życiu każdego wojskowego: jedziemy na wojnę!

Ciężki fotel zachwiał się pod Chartinem jak kołyska. Nieszczęścia chodzą w parze! Spojrzał błagalnie na syna w nadziei, że to może żart i że za chwilę Charles ze śmiechem temu zaprzeczy. Ale jemu wcale nie było do śmiechu.

— Przyszedł czas, kiedy Amerykanie nie będą już mogli powiedzieć, że nie umiemy walczyć. Damy tym wietnamskim żółtym małpom takiego łupnia, że cały świat będzie o nas mówił. Może napiszesz wtedy sztukę nie o Amerykanach, ale o nas.

Sam o tym nie wiedząc, ugodził ojca w najboleśniej-

sze miejsce. Chartin skulił się, wyobrażając sobie wojenną drogę syna. Patrzył na niego i widział w jego oczach zafascynowanie tą perspektywą, widocznie wojna wydawała się chłopcu jakąś wesołą przygodą, która przynosi ordery, awanse i sławę. Musi to jakoś zmienić, wybić synowi z głowy, wytłumaczyć, że wojna, a szczególnie wojna w dżunglach wietnamskich, to nie wycieczka, lecz krwawy trud opłacany życiem.

Próbował coś powiedzieć w tym właśnie sensie, ale syn mu przerwał:

— Nie rozumiem cię, ojcze. Twoje słowa rozmijają się wyraźnie z tym, co piszesz. Wiesz dobrze, że czytałem wszystkie twoje utwory. Traktujesz w nich o wojnie zupełnie inaczej. A ja przywykłem ci wierzyć... Nie spodziewam się, by wojna z Wietnamem okazała się lekka, ale nie można było nawet marzyć o lepszej praktyce. Więc żeby ci nie przyszło do głowy coś zmieniać. Rozkazy zostały już wydane, pojutrze wyruszamy.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nina pisała swój pierwszy reportaż rzetelnie i bardzo długo. Przemyśliwała i szlifowała każde słowo, przerabiając i zmieniając tekst po kilka razy. Ciągłe powracała do notatek w notesie w obawie, czy czegoś nie opuściła. Przypominała sobie każde słowo brygadzysty i sprawdzała, czy wszystko jest w porządku.

No i nareszcie pierwszy reportaż gotowy. Wiele ich jeszcze będzie w życiu Niny, kiedy zostanie dziennikarką i zacznie pracować w redakcji, ale już pewno nigdy nie będzie pisała z takim napięciem i poczuciem odpowiedzialności.

No cóż, chyba wszystko w porządku. Można zawiadomić Kaszczuka o zakończeniu pracy. Na myśl o tym

robiło się jej gorąco: trzeba przecież odczytać tekst przed całą grupą, a to wcale nie to samo, co czytać w szkole wypracowanie domowe. To reportaż. I krytyka będzie bezwzględna. Nina wyobraziła sobie skupioną twarz Jaryny, roześmianą Wirę Kononenko, ciągle zafascynowaną jakimś sławnym aktorem, która też jednak niczego nie przepuści, poważną zawsze dziewczynę Lidę Uwarową, cieszącą się na swoim roku dużym autorytetem od czasu, gdy jej opowiadanie o szkole zostało wydrukowane w „Pionierskiej Prawdzie”; przed jej oczyma zjawiała się nieco zniekształcona i osmalona ogniem twarz byłego żołnierza frontowego, cieszącego się wśród kolegów dużym poważaniem Igora Skworczyka, który podczas słuchania podpierał ręką policzek, jakby bolały go zęby; i przypomniał się jej jeszcze Wala Wowk, rezolutny chłopak o ostrym języku, jego najbardziej się obawiała. No i oczywiście będzie sam towarzysz Kaszczuk, który chyba nie dopuści do niesprawiedliwej krytyki.

Wszystko odbyło się właśnie tak, jak Nina sobie wyobrażała. Studenci zebrali się w audytorium zaraz po wykładach. Były to pierwsze praktyczne zajęcia grupy, na których omawia się prace studentów, dlatego było tłoczno. Ninę ogarnął lęk, kiedy spojrzała na salę. Usiadła na skraju ławki i czekała w bezruchu. Wreszcie przyszedł Kaszczuk, wysoki, bardzo chudy, o którym złośliwie mówiono, że nie ma twarzy en face tylko sam profil.

Zebranie otworzył starosta grupy Ihor Skworczyk. Nina wstała i wydawało jej się, że idzie do katedry nie po twardym parkiecie, lecz po miękkiej, grząskiej glinie. Nawet przed pierwszym swoim startem sprinterskim mniej się denerwowała niż obecnie.

Zaczęła czytać tak słabym głosem, że Jaryna poważnie zaniepokoiła się o przyjaciółkę. Czy ona też będzie

tak czytać? Od jakiegoś czasu coraz bardziej odczuwała wzrastającą odpowiedzialność za każde swoje słowo i każdy uczynek. Przełomowym momentem był zupełnie nieoczekiwany wybór na sekretarza grupowej organizacji komsomolskiej. Nie mogła zrozumieć, dlaczego właśnie ją wybrano.

A teraz pragnęła, żeby reportaż Niny wypadł jak najlepiej, żeby wszyscy go chwalili, żeby to był prawdziwy sukces. Tak bardzo chciała pogratulować przyjaciółce i powiedzieć: „Spróbujmy posłać ten reportaż do gazety, chyba go wydrukują”. Ale Jaryna widziała, jak w miarę czytania twarze kolegów stają się coraz bardziej obojętne. Jej samej z dużym wysiłkiem udawało się śledzić myśl przewodnią reportażu; z niepokojem zauważyła, że Wira Kononenko ukradkiem ziewa. Skworczyk też nie miał zachwyconej miny.

Nina skończyła czytanie w absolutnej ciszy. Przerwał ją najbardziej złośliwy spośród studentów, Walka Wowk.

— Ten tekst trzeba przesłać do politechniki. Może się tam przydać jako podręcznik do nauki o dźwigach i koparkach.

— Kolego Wowk! — krzyknął Skworczyk. — Jak chcesz mówić, to proś o głos.

— Powiedziałem już wszystko.

Nina poczuła w tym momencie ostrą nienawiść do Walki. Wróciła na swoje miejsce i usiadła, nie patrząc w jego stronę. Zaraz oberwie się temu podłemu Wowkowi \*, koledzy go zmiążdżą.

— Kto prosi o głos? — spytał Skworczyk?

Wszyscy milczeli. Jaryna pomyślała z niepokojem, że właściwie nie ma tu nad czym dyskutować: słowa Walki wyczerpały całą sprawę.

---

\* „wowk” w jęz. ukraińskim znaczy „wilk” (przyp. tłum.)

— Koleżanko Sokił, z kim pani rozmawiała na Chreszczatyku? — spytał Kaszczuk.

— Z brygadzystą brygady montażowej, która montowała dźwig — odpowiedziała z trudem Nina, czując, że twarz jej płonie.

— A jak brzmi jego nazwisko?

Nina uprzytomniła sobie nagle, że nawet nie spytała o to rozmówcy, zwracając się do niego per „towarzyszu brygadzisto”. Zaczęła nerwowo przeglądać swoje notatki.

— Mogę dowiedzieć się, jak się nazywa.

— Nie, teraz to już niepotrzebne. A z kim spośród robotników jeszcze pani rozmawiała?

— Tam byli praktykanci z politechniki.

— To bardzo interesujące. Ich też nie spytała pani o nazwiska?

— Nie — odparła twardo Nina, za nic w świecie bowiem nie wymieniłaby nazwiska Rusanowa.

— No to teraz będziemy dochodzić, w czym tkwi podstawowy błąd koleżanki Sokił.

Kaszczuk zaczął analizować reportaż, a robił to tak zwyczajnie, jasno i przyjaźnie, że Nina przestała się dąsać, dziwiąc się, że sama wcześniej nie zrozumiała, iż w centrum każdego utworu ma stać nie maszyna, lecz człowiek z jego myślami, pragnieniami i marzeniami. Przypomniło jej się, jak brygadzista narzekał na brak części zamiennych. Gdyby ta rozmowa znalazła się w reportażu, od razu nabrałby on rumieńców życia. Jak mogła nie zwrócić uwagi na sprawy najważniejsze? Przypomniły jej się też słowa Rusanowa, który przestrzegał ją przecie przed popełnieniem zarzucanego jej teraz błędu. Jak on się tego domyślił? Może słyszał jej rozmowę z brygadzystą?

Gdy Kaszczuk skończył mówić, studenci zrozumieli,

że napisanie reportażu jest o wiele trudniejsze, niż im się dotąd wydawało.

— Na trening? — Jaryna zagadnęła Ninę, gdy po zebraniu wychodziły z audytorium.

— Tak.

Nina była wściekła na siebie: jak mogła wystąpić z takim reportażem!

— Pójdziemy razem? — zaproponowała Jaryna.

— Chętnie.

— Spójrz, jak pięknie! — zawołała Jaryna, zatrzymując się między kolumnami przy wyjściu z uniwersytetu.

— Tak, ładnie...

Nina od dziecka mieszkała w Kijowie, więc przywykła do jesiennych uroków miedzianoszkarłatnych ogrodów i parków, ale Jaryna oglądała kijowską jesień po raz pierwszy.

Ale rzeczywiście było się czym zachwycać. Wysokie kasztany o pożółkłych już zupełnie i zeschniętych liściach, wśród których stał pomnik Szewczenki, wyglądały tak, jakby też były wykute z brązu przez utalentowanego rzeźbiarza jako artystyczne komponenty.

Pierwszym człowiekiem, którego spotkały na stadionie, był Rostysław Kosenko. Nina zdziwiła się, bo wcale go tu nie zapraszała. Stosunki między nimi układały się jakoś dziwnie. Wówczas, kiedy otrzymała od niego list, poszła na to spotkanie. Nie znając prawdziwych motywów jej zgody na nie, sam był tym zaskoczony, osądzając krok Niny jako lekkomyślny. Gdyby dziewczyna długo zwlekała i zareagowała nie na pierwszy, ale dopiero na czwarty list, można by myśleć o niej inaczej, ale w tej sytuacji sprawa jest jasna, więc „gaz do deski”, z wiadomym końcowym rezultatem. Już ta Nina przed nim nie ucieknie.

Kosenko postanowił więc widywać się z dziewczyną

jak najczęściej, udawać strasznie zakochanego i — według jego słów — „nie pozwolić przeciwnikowi opamiętać się, aż nie skapituluje”. O swoich zabiegach nie powiedział Rusanowowi ani słowa, miał mu się zwierzyć dopiero wówczas, gdy dumne serce Niny podda się i triumf jego będzie niezaprzeczalny.

Zgodnie więc z przyjętą taktyką Kosenko zjawił się teraz na stadionie nie po to, by ćwiczyć, lecz by po jej treningu zaprosić Ninę do teatru lub restauracji.

Przywitał się z dziewczętami, powiedział, że po treningu będzie czekał na Ninę i poszedł na trybunę.

— Jakiś nieprzyjemny jest ten twój znajomy — zauważyła Jaryna w drodze do szatni.

— Dlaczego?

— Jakoś tak brzydko oblizuje wargi.

W szatni podeszła do nich Sofija Kartasz, która od pewnego czasu przychodziła na każdy trening prowadzony przez Maksymowa.

W trakcie ćwiczeń Nina od czasu do czasu zerkała w stronę trybuny, gdzie siedział Kosenko. Jego obecność była teraz dla niej nieprzyjemna, spojrzenie jego jakby paraliżowało jej ruchy. Ale oto Maksymow przeszedł do znanego już Ninie ćwiczenia — śmiesznego dla patrzących, ale bardzo trudnego dla ćwiczących pełzania po zimnej trawie, zwarzonej już pierwszym rannym przymrozkiem. Nina uświadomiła sobie, jak to będzie wyglądać z trybuny. Strach przed ośmieszeniem się kazał jej podnieść się z trawy.

— Mykoło Dmytrowiczu, nie będę tego ćwiczyć.

— Dlaczego?

— Nie chcę, nie odpowiada mi to.

— Nie, będziesz wykonywać to ćwiczenie. Właśnie tobie jest ono potrzebne bardziej niż innym. Patrz, jak Jarynka je wykonuje.

Nina była rozdrażniona jeszcze na uniwersytecie, a



słowa trenera dolaly tylko oliwy do ognia. Może gdyby Maksymow nie powiedział, iż ma brać przykład z Jarynki, nie zareagowałyby tak ostro.

— Nie będę wykonywać pańskich śmiesznych ćwiczeń!

— Co z tobą, Nino?

— Nie będę i już!

— Nawet gdybyś była mistrzynią świata — rzekł Maksymow po chwili namysłu — to i wtedy nie miałabyś prawa rozmawiać ze mną takim tonem.

— Nie będę wykonywać tych ćwiczeń.

— Zejdź z boiska i idź do szatni, porozmawiamy po treningu.

Maksymow czuł, że z dziewczyną dzieje się coś niedobrego, chciał dowiedzieć się, o co chodzi, nie mógł jednak teraz rozmawiać w obecności ponad dwudziestu sportsmenek.

Nina gwałtownie odwróciła się i nie spojrzawszy nawet na trenera poszła szybko do szatni.

— Nie doszłście z Maksymowem do porozumienia? — spytała ją z uśmiechem Kartasz.

Nina kipiła z gniewu. Za przykrości całego dnia obwiniała teraz Maksymowa.

— Sofijo Dmytrowno, przechodzę do pani grupy — oświadczyła.

Kartasz przyjęła to z pozornym spokojem, ale serce zabiło jej z radości.

— Wiedziałam, że sama poweźmiesz taką decyzję. Mykoła Dmytrowicz to bardzo dobry trener, nigdy jednak nie umiał dogadać się z czempionami i zrozumieć ich skomplikowanej psychiki. Mam nadzieję, że będziemy dobrze się rozumiały.

Objęła Ninę ramieniem i pocałowała w policzek, co miało jak gdyby przypieczętować ich umowę.

— Przyjdź jutro o trzeciej — powiedziała Kartasz

już tonem trenera. — Mam małą grupę i praca z nią będzie lekka.

Nina wyszła z szatni i przyspieszyła kroku, by nie spotkać się z Maksymowem. Dopiero teraz poczuła się winna wobec niego, ale za nic w świecie nie przyznałaby się nawet przed sobą, że jest nie w porządku.

Przy bramie czekał na nią Kosenko.

— To cudownie, że skończyła pani trening wcześniej — ucieszył się. — Pojedziemy teraz na obiad, porozmawiamy. Już tak dawno pani nie widziałem, tęskniłem za panią...

Widzieli się przedwczoraj, lecz Nina nie wyczuwała w słowach Kosenki jakiegoś fałszu. Poza tym chciała otrząsnąć się z tych wszystkich przykrości, jakie przyniósł dzisiejszy dzień, dlatego przyjęła zaproszenie.

Pojechali do restauracji „Zozula”, malowniczo położonej na dneprowej skarpie. Na dachu budynku o dość prymitywnej architekturze siedział wycięty z drzewa patron lokalu\*.

Kosenko zamówił obiad i wino. Nina na moment zawahała się, ale jednak wypła. W głowie jej się nieco zakręciło, od razu stało się weselej i jakoś lżej. Nina wypła drugi kieliszek.

Rostysław okazał się cudownym kompanem. Chyba nikt nie potrafił lepiej od niego opowiadać anegdot, w każdym razie Nina nigdy nie słyszała takich dowcipów i historyjek, śmiała się więc wesoło, hałaśliwie, niemal histerycznie.

Po obiedzie poszli szeroką, asfaltową drogą nad malowniczym urwiskiem. Zmierzchało. Nina przypomniała sobie o dzisiejszych przykrościach i zamyśliła się. Pod wielkim, złocistym klonem niedaleko mogiły As-

---

\* „zozula” to po ukraińsku „kukułka” (przyj. tłum.)

kolda \* Kosenko objął ją ostrożnie i pocałował; dziewczynie było w tej chwili tak ciężko na sercu i tak obojętne, co się wokół niej dzieje, że nie opierała się. Rostysław zrozumiał to fałszywie, jak zapowiedź bliskiego zwycięstwa. Ale kiedy czule, delikatnie, wibrującym tembrem głosu zaproponował, by poszła do niego, odmówiła. Chłopak nie nalegał: widocznie trzeba jeszcze poczekać.

Maksymow nie przypuszczał, że decyzja Niny o przejściu do innej grupy sprawi mu taki ból. Odtwarzał wielokrotnie i analizował ich ostatnią rozmowę na stadionie i karmił siebie za nietaktowne i niewłaściwe podejście do dziewczyny; powinien był znaleźć jakieś inne słowa, nie tak ostre i kategoryczne, może w ogóle nie należało zaczynać tej rozmowy w obecności jej koleżanek. Miał takie uczucie, jakby ten cios zadało mu jego rodzone dziecko. Nie potrafił postępować z nią tak, by jego marzenie stało się marzeniem Niny, dlatego teraz jest bezradny i tak ciężko ma na sercu.

Mykoła Dmytrowicz zaczął przeglądać plan treningów Niny, sporządzony jeszcze na początku roku. Przerzucił kilka kartek, skrzywił się boleśnie. Wszystko to tak dobrze przemyślane i opracowane, a teraz jest niepotrzebne... Nina będzie się uczyć u Sofiji Kartasz, od kilku dni studenci rozmawiają tylko o tym — nikt już nawet nie wspomni o tym szczegółowym planie ćwiczeń dla Niny Sokił, opracowanym przez niego. A jednak mimo wszystko odda go Sofiji Kartasz. Niezależnie od tego, jak układają się stosunki między nimi oraz jak on odnosi się teraz do Niny — nie można przerywać realizowanego już planu treningów i gwałtownie go zmieniać.

---

\* Askold — legendarny wódz pierwszej wyprawy Rusi na Bizancjum, zabity w 882 r. przez księcia nowogrodzkiego Olega (przyp. tłum.)

Maksymow spojrział jeszcze raz na zeszyt. Oto te przekłete ćwiczenia, przez które wszystko to się zaczęło. A może trzeba było skapitulować i zmienić je? Nie, nie wolno mu było tego zrobić: sportowiec musi wykonywać ćwiczenia rozwijające określoną grupę mięśni, a nie takie, jakie mu się podobają. A jednak w przypadku Niny Sokił popełniony został jakiś błąd; musi go wykryć, aby nic podobnego się nie powtórzyło.

Od okna pokoju, w którym mieściła się katedra wychowania fizycznego, nieoczekiwanie pociągnęło nieprzyjemnym chłodem. Maksymow podszedł do okna. Padał jesienny deszcz, harmonizujący z jego podłym nastrojem. Zdecydowanym ruchem zamknął okno, jakby odgradzając się tym od całego świata, ale nadal było mu ciężko na sercu.

Skrzypnęły drzwi. Maksymow odwrócił się. Do pokoju weszła Sofija Kartasz z plikiem jakichś papierów. Jej bujne loki skręcały się jakoś prowokująco — tak to w każdym razie odczuł Maksymow. Głupstwo, niech tylko jej się nie zdaje, że udało się jej zdobyć nad nim przewagę. To bezsprzecznie zdolny trener i być może potrafi ona znaleźć takie podejście do Niny, jakiego jemu zabrakło.

— Dobrze, że pani przysłała, mam do pani sprawę, nie zajmę wiele czasu.

Trenerka od razu się zjeżyła, jak gdyby każda sprawa, z którą zwraca się do niej Maksymow, musiała być nieprzyjemna lub podejrzana.

— Słucham pana.

Maksymow wziął zeszyt z harmonogramem treningów Niny i spojrział na niego z żalem. Nie, teraz już za późno się cofnąć, trzeba iść konsekwentnie do końca, jeśli chce się być uczciwym i przyznać się do popełnionego błędu.

— Mam tu plan treningów Niny Sokił, ona, zdaje się, przeszła do pani grupy.

— Tak, prosiła mnie o to, ale jeszcze nie podjęłam decyzji — odpowiedziała umyślnie beztróskim tonem, akcentując przez to swą przewagę.

— Więc nie rozpoczęła pani jeszcze z nią ćwiczeń?

— Jeszcze nie.

— To bardzo dobrze. Chciałem prosić, by pani wzięła ten zeszyt i dokładnie go przestudiowała. Będzie pani miała wówczas pełny obraz wykonanej już pracy oraz sugestie na dalsze treningi, które nie są, rzecz jasna, dla pani obowiązujące... Po prostu trzymaliśmy się tego rozkładu zajęć i zdawało mi się...

Maksymow zmieszał się i zamilkł. Kartasz patrzyła na niego tak kpiąco i zwycięsko, jakby mówiła: „Nie umiałeś podejść do dziewczyny, więc teraz stój zmieszany jak sztubak. I to ma być ten słynny trener!” Nie powiedziała jednak ani słowa, wzięła od Maksymowa plan, zaczęła go uważnie przeglądać, stwierdzając celowość każdego ćwiczenia i myśląc jednocześnie, że trzeba będzie zapomnieć na zawsze o tym tak znakomicie opracowanym planie, bo w przeciwnym razie Nina od niej ucieknie.

— Dziękuję, Mykoło Dmytrowiczu — rzekła po przejrzeniu ostatniej strony. — Plan ten na pewno mi się bardzo przyda, chociaż moim zdaniem trzeba będzie coś niecoś tu zmienić...

— To już pani sprawa — odpowiedział z goryczą Maksymow. — Teraz pani odpowiada za Ninę Sokił, za jej osiągnięcia...

— O, co do tego może pan nie mieć wątpliwości, osiągnięcia będą — oświadczyła wesoło Kartasz. — Przecież pan najlepiej zna jej wielkie zdolności i możliwości.

Umyślnie dotknęła najboleśniejszej struny Maksymo-

wa, jakby chcąc raz jeszcze podkreślić, jaki z niego niedołęga, skoro traci tak zdolną uczennicę...

— Ma pani rację, powinna uzyskać świetne wyniki. Życzę sukcesów. Czy te papiery to normy GPO? \* — Maksymow zmienił świadomie temat rozmowy.

— Tak, proszę...

Zabrali się do zwykłej pracy, ale oboje przez cały czas myśleli o niedawnej rozmowie: Kartasz ze złościwą satysfakcją, Maksymow z goryczą i niezadowoleniem z siebie.

Po pół godzinie Kartasz wyszła z pokoju Maksymowa z jego planem treningów dla Niny. Właśnie rozległ się dzwonek na przerwę i w szeroki korytarz wlał się burzliwy potok studentów. Kartasz przez chwilę przyglądała się setkom dobrze znanych twarzy.

— Nino! — zawołała, ujrawszy dziewczynę.

Nina ciągle nie miała pewności, czy wobec Maksymowa postąpiła wówczas słusznie, czuła się jednak jakoś winna, a jednocześnie próbowała bronić swojego stanowiska. Cokolwiek zresztą by się powiedziało, postąpiła wówczas zbyt pochopnie. Ale teraz nie ma już odwrotu.

— Weź to na pamiątkę po Maksymowskiej katordze — powiedziała wesoło Kartasz, wręczając jej zeszyt.

— Jak on trafił do pani?

— Przed chwilą dostałam go od Mykoły Dmytrowicza. Prosił, żeby korzystać z tego planu, ale my zapomnimy o nim raz na zawsze, bo to nie jest plan treningów, lecz program nieludzkiego znęcania się nad sportowcami. Nigdy bym nie przypuszczała, że on może czegoś podobnego wymagać od swoich wychowan-

---

\* zespół różnych ćwiczeń i dyscyplin sportowych „gotowy do pracy i obrony”, w skrócie GPO (przyp. tłum.)

ków. Rekordy trzeba ustanawiać na wesoło, jakby w trakcie zabawy, bo sport to przecież jednak zabawa, a nie ciężka fizyczna praca. I my te rekordy będziemy zdobywać, możesz być pewna.

Nina przewracała stronicę zeszytu. Tak bardzo pragnęła w tym momencie cofnąć swoje słowa, powiedzieć, że nie chce porzucać Maksymowa, bo wszystko, co dotąd razem robili, było słuszne, bezsprzecznie słuszne. To przecież Maksymowowi zawdzięcza swoje studenckie rekordy. To właśnie on ją odkrył i nauczył tak biegać. Spojrzała na zadowoloną twarz trenerki i Sofija Kartasz wydała jej się w tej chwili wręcz odpychająca. Z czego ona tak się cieszy, z czego?

Trenerka wyczuła rozdrażnienie Niny, które mogło wybuchnąć jakimś ostrym słowem lub nagłym postanowieniem.

— No, spieszę się, do widzenia — powiedziała szybko i zniknęła w tłumie studentów, pozostawiając Ninę z zeszytem pośrodku korytarza.

Z pokoju katedry wychowania fizycznego wyszedł Maksymow, spojrzał na Ninę, na zeszyt ze swoim planem, zwinięty w jej ręku, odwrócił się i poszedł korytarzem nie powiedziawszy ani słowa. I nagle całe rozdrażnienie Niny, spowodowane zachowaniem się Sofiji Kartasz, zwróciło się przeciw Maksymowowi. Widocznie niezbyt ją cenił, skoro z tak lekkim sercem zrezygnował ze swojej najlepszej uczennicy. No to ma teraz za swoje! Nina nie wróci do niego nigdy, nigdy! Nawet niech o tym nie marzy!

W głębi serca czuła, jak teraz ciężko musi być Maksymowowi, jak boleśnie przeżywa to nieoczekiwane zerwanie, ale to tylko wzmogło jej złośliwą radość: „Niech wie, jak na drugi raz postępować z wybitnymi sportsmenkami!”.

Spojrzała na plan, chciała podrzeć go na drobne kawałeczki, włożyła jednak zeszyt ostrożnie do teczki.

W tym samym dniu na stadionie miały się odbyć ćwiczenia grupy Maksymowa. Nad Kijowem wisiała już jesień — chłodna, dżdżysta, nieprzyjemna, od czasu do czasu zacinął deszcz ze śniegiem. Trzeba naprawdę kochać sport i mieć dużo silnej woli, by w taką pogodę przyjechać na trening. Mykoła Dmytrowicz obawiał się, że nikt się nie zjawi. Nie tylko z powodu złej pogody. Ostatnio popełnił mnóstwo błędów, obraził nie tylko Ninę Sokił, ale i wszystkich innych, jasne więc, że dziś nie przyjdą.

W podłym nastroju, jak zwykle na pięć minut przed wyznaczoną godziną, wyszedł na boisko. Ciepły dres chronił go przed chłodem i wiatrem. Na stadionie nie było nikogo. Stał skonsternowany, nie wiedząc, co robić, gdy nagle przy wyjściu ujrzał całą grupę roześmianych dziewcząt. Nie brakowało żadnej, zjawiły się wszystkie od zabawnej Jarynki Honty poczynając, a na wysokiej Marynie Gonczarowej kończąc.

Poczuł w sercu falę ciepła, miał ochotę ucałować każdą z tych kochanych dziewcząt.

Rozpoczął się trening. Niech przecinają niebo błyskawice, niech wałą gromy, niech siecze deszcz, niech mrozi mróz — one i tak będą pracować, a wiosną zobaczymy, kto na zawodach zwycięży.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jeszcze nigdy w swym życiu Wołoszyna nie znajdowała się w takiej sytuacji. Wszystko zaczęło się w tym nieszczęsnym dniu, kiedy odmówiła trenowania razem z Korszunową. Próbowiła przekonać siebie, że postąpiła słusznie, ale od tego czasu zniknęło poczucie pew-



ności, które nigdy dotąd jej nie opuszczało. Wierzyła zawsze, że zagra każdą postać, a teraz zupełnie rozłązi się jej praca nad rolą Lubow. Nie potrafi znaleźć klucza do prostego, czującego serca, do czystej, wzburzonej duszy zwykłej nauczycielki. Coś jakby przeszkadza zrozumieć wszystko do końca. Teraz, podczas prób czytanych, to jeszcze pół biedy, ale co będzie dalej, kiedy wyjdzie na scenę? Aż strach o tym pomyśleć!

Fiodor Iwanowicz Karcew pierwszy zauważył dziwny nastrój Wołoszyny. Żeby lepiej wszystko zrozumieć, wybrał się z żoną do teatru. Wiera Pietrowna Karcewa wykładała ekonomię polityczną w instytucie pedagogicznym. Często chodziła z mężem do teatru, dziś jednak wyczuła, że jemu nie o sam spektakl chodzi.

— Co ciebie tam ciągnie? — spytała wprost.

— Wołoszyna. Chcę ją teraz obejrzeć na scenie, może pewne sprawy lepiej zrozumiem.

Grali „Optymistyczną tragedię” Wiszniewskiego z Olgą Borysowną w głównej roli komisarza. W Moskwie dobrze ją znali i lubili. Kiedy wychodziła na scenę, na widowni rozlegały się tak drogie każdemu aktorowi szeptki.

Karcew już wiele razy widział tę sztukę, dziś jednak porwała go szczególnie siłą skłębionych namiętności, napiętą akcją, wyrazistością i bogactwem postaci. Ale jednocześnie Fiodor Iwanowicz jeszcze wyraźniej uświadomił sobie, że jakiś wewnętrzny niepokój, który już wcześniej u niej zaobserwował, nie opuszcza Olgi Borysowny nawet wtedy, kiedy gra tak heroiczną postać. Narodził się on chyba w tym momencie, kiedy Wołoszyna po raz pierwszy w życiu pomyślała o możliwości zwycięstwa Korszunowej. To ten niepokój spowodował jakieś pęknięcia w kreowanej przez nią postaci, aktorka nie emanuje już tą siłą prze-

konania co dawniej w tej samej roli, gra jakby niechętnie, sama nie wiedząc, czy robi to dobrze, czy źle.

Trzeba było znać bardzo dobrze Olę Borysowną, by zorientować się w tych wszystkich niuansach, ale Karcew znał ją chyba lepiej niż ona sama siebie. Od wielu przecież lat ciągle myślał o niej, śledził niemal każdy jej krok.

— Ona się zmieniła — powiedziała Wiera Pietrowna. — Nie wiem, co ją spotkało, ale odnoszę takie wrażenie, jakby czuła się winną wobec świata.

— A może nie wobec świata, ale wobec siebie — zauważył Karcew. — Ale mimo wszystko gra cudownie.

— Tak.

Karcew wrócił z teatru jeszcze bardziej zamysłony. Chyba trzeba będzie jednak porozmawiać z Wołoszyną. Ale o czym? Jak zacząć taką rozmowę? Nie, lepiej jeszcze poczekać. Gdy nękający ją konflikt wewnętrzny dojrzeje, sama wszystko mu powie.

Wołoszyna zauważyła Karcewa na widowni. Po co on przyszedł? Przecież widział już ten spektakl. Chce ją podpatrzeć? Ale cóż on może wiedzieć o jej myślach? A może powinna z nim natychmiast pomówić? Nigdy nie miała żadnych sekretów przed swoim trenerem. I pewnie dlatego tak się teraz męczy, że nie ma się komu zwierzyć.

Nękało ją wiele pytań, ale żeby odpowiedzieć na nie, musiałyby wyznać przed sobą, że była i jest nie w porządku, a tego zrobić nie mogła.

Zaraz po przedstawieniu wróciła do domu. Chciała być sama. Uprzedzi gosposię, żeby nikogo nie wpuszczała.

Kiedy otworzyła drzwi, usłyszała baryton Gromowa, który wyjaśniał babie Nasti, co to jest Benelux.

Olga zatrzymała się w progu i przez chwilę słuchała, ale Gromow zauważył ją, zaśmiał się i wykład zakończył. Baba Nastia podziękowała mu i poszła do kuchni. Olga Borysowna weszła do sypialni, szybko przebrała się w szlafrok i wróciła do jadalni.

Gromow patrzył na nią z zachwytem — taka była zgrabna, piękna i silna. Wołoszyna to wyczuła.

— Ładna?

— Bardzo! — zawołał Gromow ze szczerym podziwem. — Wiesz, Olgo, że dotąd nie spotkałem jeszcze kobiety piękniejszej od ciebie.

— Być może... A czy nie spotkałeś przypadkiem kobiety, która byłaby równocześnie i ładna, i szczęśliwa?

— Chcesz przez to powiedzieć, że nie jesteś teraz szczęśliwa?

Olga milczała.

— Oczywiście nie mam na myśli śmierci Piotra, bo to zostaje na zawsze. Ale ciebie gnębi chyba coś innego.

— Nie, nic się nie stało. Gosposiu, proszę podać kolację!

Kolacja już dawno była gotowa. Nastia przyniosła ją wraz z dużym elektrycznym czajnikiem. Wołoszyna usiadła do stołu i zaczęła nalewać herbatę, jej pełne, silne, a jednocześnie delikatne i białe ręce wysuwały się z szerokich rękawów szlafroka. Było zacisznie i spokojnie. Gromow pomyślał, że Olga Borysowna jest jakby stworzona do roli takiej właśnie gościnnej pani domu. Jaki szczęśliwy musiał być z nią Piotr Wołoszyn!

— Jak zwykle nie mylisz się, Iwanie — powiedziała aktorka po dłuższym milczeniu. — Żadne nieszczęście, co prawda, mnie nie spotkało, ale jakoś brakuje mi poczucia pewności. I w teatrze, i na stadionie.

— Pracujesz nadal z Karcewem?

— Tak.

— I z Korszunową?

— A co to ma wspólnego z Korszunową? Nie, nie trenujemy razem, wygodniej mi ćwiczyć w innych godzinach.

— Być może myślę się i to twoje samopoczucie nie ma nic wspólnego z Korszunową... Wiesz, często wspominam tę naszą rozmowę po twoim powrocie z Berlina.

— Nie przypominam sobie — powiedziała Olga, chociaż pamiętała każde słowo.

— To nie ma znaczenia. Tylko nie wiem, dlaczego drażni cię, kiedy mówi się o wynikach Korszunowej czy w ogóle o niej. O co chodzi? Boisz się jej?

— No wiesz, Iwanie...

— Przepraszam, pozwól mi skończyć. Może pojawienie się silnej przeciwniczki napędziło ci stracha i wywołało to poczucie niepewności?

Gromow mówił spokojnie i jak na jego tubalny głos nawet niezbyt głośno. Właściwie to nie tyle rozmawiał z Olgą, co jakby głośno myślał, próbując przede wszystkim sam zrozumieć, w czym rzecz. Tak właśnie zawsze zastanawiał się nad każdym z podległych mu oficerów czy żołnierzy, kiedy trzeba było udzielić pochwały lub nagany.

Olga spojrzała na portret męża, potem przeniosła wzrok na twarz Gromowa, na jego grube wargi, nad którymi rysowały się dwie pionowe fałdy, na energicznie zarysowany, dobrze wygolony podbródek i lekko już siwiejącą skroń. Myśli teraz o niej uważnie, czysto i rzetelnie, tak jak potrafi myśleć o swoich towarzyszach, pragnąc im pomóc. Takiemu mężczyźnie można bez wahania powierzyć swe życie. Gdyby w tej chwili powiedział: zrób tak i tak — nawet przez moment by się nie zastanawiała, głęboko przeświadczona o słuszności decyzji Gromowa.

— Tak, źródłem twoich niepokojów i konfliktów jest obawa, że na najbliższych zawodach Olga Korszunowa może zwyciężyć...

O czym on mówi? Mistrzyni świata nie mogła nawet takiej myśli dopuścić!

— ...i jeśli chcesz wiedzieć, to jedynie słusznym wyjściem w twojej sytuacji jest jej dopomóc.

Nie, on oszalał, on chyba zupełnie zgłupiał, ten Gromow! Jak śmie coś takiego mówić?! I to ma być przyjacieli! Olga poczuła, że brak jej tchu, niezdolna była teraz wykrztusić z siebie słowa.

— Ale to dopiero połowa problemu...

Czego on jeszcze chce od niej? Jeszcze mu mało?

— Tak, to tylko połowa problemu. Trzeba nie tylko jej pomóc w uzyskaniu twego rekordu, ale potem wygrać z nią.

Wołoszyna spojrzała na Gromowa, niczego nie rozumiejąc.

— Tak, wszystkimi siłami pomóc jej w osiągnięciu twego rekordu, lecz z nie mniejszą siłą dążyć do ustanawiania nowych własnych rekordów, żeby Korszunowej było coraz trudniej ciebie pokonywać. Tylko w ten sposób rozumiem zawody! Nie chcesz pracować w jednej grupie z Korszunową. Dlaczego? Obawiasz się, że mogłaby się czegoś od ciebie nauczyć? Co się z tobą stało, Olgo?

— Nasze stosunki z Korszunową to moja osobista sprawa.

— Mylisz się. Od nich właśnie zależą nowe rekordy świata. Czy to tylko twoja osobista sprawa?

W duszy Wołoszyny szalała burza. Iwan Gromow niewątpliwie trafnie zanalizował jej ostatnie porażki, rozterki i wahania. Nie wiadomo, jak doszedł do tego, lecz trudno temu zaprzeczyć. Ale czy równie słuszna jest

jego konkluzja? Nie, wszystko co chcecie, ale pomagać Korszunowej w tym, żeby ją pokonała — nie będzie!

— Teraz nic nie postanowisz i nie spiesz się z decyzją. Ona sama się zjawi. I albo będzie zgodna z tym, co powiedziałem, albo ja zupełnie cię nie znam.

Zapadła cisza. Olga nie miała ochoty przedłużać tej rozmowy. Wystarczy i tak! Jest nad czym pomyśleć! Gromow to zrozumiał, wstał, pocałował Olę w rękę. Pożegnali się, jak zwykle nie umawiając się na następne spotkanie.

Przez kilka dni po tej rozmowie Wołoszyna nie mogła zdobyć się na żadną decyzję, mimo iż przyznawała w duchu rację Gromowowi. Te wahania i rozterki odbijały się ujemnie i w domu, i w teatrze, i na stadionie. Gdyby można poradzić się Karcewa... Ale ona nie zdobędzie się na taką rozmowę.

Pozornie życie szło normalnym torem: po przedstawieniu przychodzili jak zwykle goście, Siewoczka wtrącał się, jak zwykle, we wszystkie jej sprawy. Pewnego wieczoru zatelefonował, pytając, czy może przyjść. Zgodziła się. Za pół godziny stał w drzwiach jej mieszkania w towarzystwie Sawy Pochitonowa. Obaj byli podpici, bardzo weseli, ale trzymali się mocno.

— Pani pozwoli, Olgo Borysowno — skłonił się z teatralnym gestem Siewoczka. — Mój najlepszy przyjaciel, Sawa Pochitonow.

— My się znamy — rzekła Olga.

Wiedziała o stosunkach łączących go z Korszunową, a wszystko, co dotyczyło Olgi, bardzo ją interesowało, więc i teraz z ciekawością przyglądała się chłopcu, nie rozumiejąc, po co Siewoczka go do niej przyprowadził.

A podchmielonemu Sawie wszystko w ten wieczór wydawało się cudowne. Spodobało mu się u Wołoszyny, podchodził do ścian oglądając obrazy i fotosy.

— To pani mąż? — zatrzymał się przed portretem Piotra Wołoszyna.

— Tak.

— A oto pańska żłoźnica — włączył się do rozmowy Siewoczka, pokazując fotos, na którym Wołoszyna i Korszunowa stały w grupie sportsmenek. — Nie rozumiem, jak można kochać taką złą i odpychającą istotę. To tak jakby się całowało kobrę...

Sawie podobało się to porównanie. Był teraz po prostu wściekły na Olgę, niewiele brakowało, a pozbawiłaby bo wspaniałego przyjaciela.

— Ale pan nie wszystko wziął pod uwagę...

— Czego na przykład?

— Tego, że ona jest znakomitą sportsmenką.

— No to co z tego? — podjudzał go Siewoczka.

— A czy sądzi pan, że takiego sportowca Moskwa by gdzieś wypuściła?

— Nie rozumiem. A co Moskwa ma z tym wspólnego?

— A to, że po ukończeniu instytutu razem z nią zostanę w Moskwie i ja!

— Genialne! — Siewoczka roześmiał się tak głośno, że słycać go było chyba na ulicy Gorkiego, i spojrzał obłudnie na Wołoszynę. — Nigdy by mi to nie przyszło do głowy! Pan jest genialny! Zdawało mi się, że tylko ze mnie kombinator, ale pan...

Wołoszyna gwałtownie wstała.

— Proszę wybaczyć — z trudem hamowała gniew i oburzenie — ale już późno, a mnie boli głowa.

— Olgo Borysowno! — zawołał błagalnie Siewoczka.

— Myślę, że powinien już pan wracać do domu, panie Pochitonow. Siewoczka, chciałam zamienić jeszcze z panem kilka słów.

Było coś takiego w głosie gospodyni, że goście posłusznie zastosowali się do jej życzenia. Sawa pożegnał

się i wyszedł w okropnym nastroju. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Wołoszyna zwróciła się do Siewoczki.

— Chciałam panu powiedzieć, że nie chcę nigdy więcej widzieć pana w moim domu. Jak mogłam wcześniej nie dostrzec, jaki pan podły. Specjalnie dla mnie zorganizował pan to przedstawienie, tak? Żeby pana noga tu więcej nie powstała. Precz!

Siewoczka wyskoczył jak z procy.

Wołoszyna ciężko opadła na fotel. I co teraz począć?

Tymczasem przerażony Siewoczka z płonąca twarzą zatrzymał się dopiero na ulicy Gorkiego. Nigdy jeszcze nie przydarzyło mu się coś podobnego! Olga Borysowna wyrzuciła go. Zabroniła przychodzić! Pierwszy raz zobaczył ją taką wzburzoną. A przecież chciał dla niej jak najlepiej, żeby miała złośliwą satysfakcję z poznania tego durnia Sawy, narzeczonego Korszunowej. Tak, wszystkiemu winna jest oczywiście Korszunowa! Jaka ważna! Nie przyjęła zaproszenia do restauracji. W głowie jej się przewróciło. Tak, to tylko jej wina. I cały gniew Siewoczki zwrócił się przeciw dziewczynie.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Shilling pozwolił Eryce przenieść się z tego obrzydliwego hotelu do pensjonatu. Tu, na Broadwayu, w centrum Nowego Jorku, nie mogła zupełnie oddychać. A najgorsze, że ani przyjaciół, ani żadnych znajomych, przez cały czas sama. Wygrała dwa kolejne spotkania. Pozostanie oczywiście tajemnicą, ile pieniędzy Shilling na tym zarobił. Sława jej istotnie bardzo wzrosła, ale ona tego jakoś nie odczuwała. Wszystko — i jej sławę, i pieniądze, i czas, i życie — zabierał dla siebie Shilling.



O oznaczonej godzinie Eryka była spakowana i gotowa do przeprowadzki. Shilling też przyjechał punktualnie. Potężny Murzyn z obsługi hotelowej chwycił jak piórko walizy Eryki i po chwili siedziała już w samochodzie, który powoli, z trudem przebijał się przez labirynty ulic Broadwayu.

Pensjonat wkomponowany w trybunę stadionu też należał do Shillinga, podobnie jak stadion i trybuny, nigdzie nie można było przed nim się schronić!

Po obu stronach długiego korytarza prowadziły drzwi do dziesięciu małych pokoików, przypominających białe tekturowe pudełka. Sufit w nich był spadzisty, mieściły się nad nim trybuny. Jadalnię i łazienkę urządzono na końcu korytarza. Pensjonatem zarządzała daleka krewna Shillinga, otyła starsza dama dyrygująca młodą Murzynką, pełniącą funkcje kucharki, pokojówki i praczki.

Eryka uśmiechnęła się, gdy weszła do swego pokoju. Nareszcie wyrwała się z Nowego Jorku. To miasto oplatało ją jak ośmiornica. Nie pożyłaby w nim długo! Tu, na „Czarnym smoku”, będzie jej chyba lżej.

W pensjonacie panowała zupełna cisza.

— Teraz wszyscy sportowcy porozjeżdżali się — wyjaśnił Shilling — ale wkrótce zrobi się rojno.

Lora Mikelaw, która mieszkała piętro niżej, pomogła Eryce urządzić się.

— Powierzam pani tę dziewczynę — ogłosił uroczyście Shilling i pogładziwszy Erykę po policzku znikł, by zjawić się dopiero na treningu.

I znowu ciągnęły się długie, monotonne dni. Oddychało się tu co prawda lżej, nie można jednak było zrobić kroku, by nie czuć na sobie wścibskiego, kłującego spojrzenia kierowniczkii pensjonatu. Nawet do ki-

na, mieszczącego się w pobliżu stadionu, zabroniono jej chodzić bez Lory.

Kiedy zastanawiała się nad swoim obecnym życiem i losem, ogarniało ją przerażenie. Ma spędzić w tym więzieniu dziesięć lat — bez ludzi, bez przyjaciół, bez ukochanego, bez rodziny?

— O, wnet wszystko się zmieni — mówił z naciskiem Shilling, kiedy próbowała go zagadywać na ten temat.

Jedyną pociechą była solidność Shillinga w sprawach finansowych. Wprawdzie dziewczynie potrącano za pokój, za pensjonat, za wyżywienie, ale i tak sporo jeszcze zostawało. Zgodnie z umową każdego pierwszego Shilling wręczał Eryce grubą kopertę z pieniędzmi, podkreślając swoją rzetelność w dotrzymywaniu jej warunków. Jeśli tak dalej pójdzie, to wróci do NRF bogata. Ale kiedy to nastąpi? Za dziesięć lat. Będzie miała wtedy trzydzieści lat! Połowę życia, najpiękniejszy jego okres, jej wiosnę, zagarnie dla siebie Shilling za swoje przekłete pieniądze..

Usiłowała nie myśleć o Tiborze. Każde wspomnienie o nim, o dniach spędzonych w Berlinie, raniło jej serce. Dziewczyna pokładała nadzieję w dobroczynnym działaniu czasu: miną tygodnie, potem miesiące i stopniowo zapomni o wszystkim. Ale czas płynął, a tęsknota nie mijała, postać Tibora stała ciągle przed jej oczami. Tylko żelazna niemiecka dyscyplina i wychowanie w którym posłuszeństwo uważane jest za największą cnotę, pomagały Eryce znosić takie życie.

Pewnego razu nie wytrzymała i napisała do Tibora. Donosiła mu o swoich osiągnięciach, o wysokich zarobkach, o nadziei zrobienia majątku. Po przeczytaniu zrozumiała, jaki smutny jest ten jej list. Nie wierzyła zresztą, że otrzyma odpowiedź. List poleciał jak jaskółka, a smutne dni, wypełnione trenowaniem, rozmowami

z Lorą lub z kierowniczką pensjonatu, panią Shilling, wlokły się dalej w zupełnym ośpieniu. Niekiedy Eryka wyjmowała dużą skórzaną teczkę, podarowaną jej przez menażera, i liczyła swoje pieniądze. Lubiła te błyszczące, maszywne, bladezielone papierki, które dawały złudzenie szczęścia. Ale papierków było coraz więcej, a szczęścia ani krzty.

W miarę upływu czasu Eryka z coraz większą nienawiścią myślała o sporcie, o swoim talencie, o sprawności i prężności swego młodego, pięknego ciała. Gdyby nie miała tego przekłętego talentu, mieszkałaby dotąd spokojnie na pęsnym Kaiserdammie razem z matką i przyjaciółkami i byłyby blisko — zaledwie o dwie granice — Tibora. Coraz częściej nawiedzała ją myśl o okaleczeniu siebie, skończeniu z tym ohydnyim życiem. Ale myśl ta przerażała ją, pamiętała bowiem o podpisanym kontrakcie i wynikających z niego obowiązkach, a niedotrzymanie warunków tej umowy uważała za nieuczciwe — tak już wychowała ją matka.

W końcu dowiedziała się z prasy, dlaczego Shilling tak ją ukrywa. Ze zdziwieniem przeczytała, że uczy się w jednej z ekskluzywnych wyższych uczelni, gdzie przyjmują tylko dzieci bardzo zamożnych rodziców. Gdy spytała Lorę, co znaczy ten nonsens, masażystka wzruszyła ramionami.

— Nie rozumie pani, o co chodzi? U nas sportowcy dzielą się na profesjonalistów i amatorów. Amatorzy mogą brać udział w zawodach międzynarodowych, a zawodowcy nie mają prawa, ich wyniki nie liczą się. Otóż uważa się, że u nas nikt nie uprawia sportu dla pieniędzy. A pani jest chyba potrzebna Shillingowi na olimpiadę lub zawody studenckie, raczej to drugie, skoro zrobił z pani studentkę — i Lora zaśmiała się, odsłaniając poźółkłe zęby.

Dziwna była ta Lora Mikelaw. Już wiele razy Eryka

próbowała określić jej wiek. Doszła wreszcie do wniosku, że masażystka ma przynajmniej czterdzieści pięć do pięćdziesięciu lat; wskazywały na to zmarszczki na twarzy oraz przygarbiona postać. Ale niekiedy Lora śmiała się dźwięcznie i wesoło jak młoda dziewczyna. Regularnie każdego wieczora upijała się, zamykając się w swoim pokoju. Początkowo Eryka nie mogła zrozumieć, dlaczego Lora znika, później dowiedziała się o jej nałogu i przestraszyła się. Wspomniała nawet o tym Shillingowi.

— Niech robi, co chce. Najważniejsze, że jest znakomitą masażystką.

Pewnego razu Lora wypila więcej niż zwykle i przyszła do Eryki. Nie pytając o pozwolenie usiadła i długo patrzyła w milczeniu na dziewczynę swymi ciemnymi, mętnymi oczami. Eryka leżała na tapczanie i czytała jakieś sportowe pismo. Rozmawiała po angielsku zupełnie swobodnie, uczyła się tego języka jeszcze w szkole, czytała jednak z trudem i chciała się w tym podciągnąć. Nieoczekiwane przybycie Lory przerwało jej czytanie. W pokoju było cicho i przytulnie. Przyćmione światło nocnej lampki padało na tapczan i części podłogi. Wiszące na ścianach fotosy słynnych aktorek i aktorów filmowych pozostawały w półcieniu. Na najbardziej widocznym miejscu nad biurkiem wisiał wycięty z czasopisma duży portret Eryki, fotosy stanowiły dla niego tylko tło. Lora przeniosła wzrok z Eryki na jej portret i długo wpatrywała się weń.

— Ładna jesteś — powiedziała wreszcie ochryłym głosem i na Erykę wionęło alkoholem. — Bardzo ładna. Ale wkrótce będziesz taka jak ja! Rozumiesz?!

Lora roześmiała się, ukazując ciemne zęby. Eryka zadrżała z przestachu. Czego chce od niej ta stara, straszna kobieta? Po co do niej przyszła? O czym ona mówi? Dlaczego śmieje się tak dziwnie?

Z tym okropnym śmiechem Lora wybiegła z pokoju. Po chwili wróciła.

— Patrz! — Lora rzuciła Eryce jakieś ilustrowane pismo. — Czytaj i zobacz, jaka była kiedyś Lora Mikelaw.

Na okładce pisma był fotos Lory. Tak, to był niewątpliwie jej portret, tylko Lora była tu młoda, bez zmarszczek, pełną twarz rozjaśniał radosny, zwycięski uśmiech, w którym odsłaniały się lśniąca białe zęby. Podpis pod fotosem informował, że jest to nowa mistrzyni Stanów Zjednoczonych.

Eryka oderwała oczy od gazety, spojrzała ze zdumieniem na Lorę, potem raz jeszcze na kolorowe zdjęcie, łudząc się, że to jakaś pomyłka — ale żadnej pomyłki nie było, a na okładce widniała data sprzed pięciu lat. Co się stało z Lorą Mikelaw, dlaczego w tak krótkim czasie przeobraziła się w starą, pomarszczoną jak pieczone jabłko babinę o zepsutych zębach? Obleciał ją strach.

— Przestraszyłaś się? — spytała Lora, zadowolona wywołanym wrażeniem. — Przestraszyłaś się, co? Patrz na mnie, przypatrz mi się uważnie! Ty też będziesz taka!

— Ile pani ma lat? — spytała lękliwie Eryka.

— Ja? Myślałaś pewnie, że pięćdziesiąt, tak? A ja mam dwadzieścia siedem.

To wprost niewiarygodne. Ale z fotosu patrzyła młoda dziewczyna wyglądająca na dwadzieścia dwa lata, a więc wszystko się zgadza, to wszystko prawda. Eryka z trudem opanowała się, by nie krzyknąć.

— Co się z panią stało?

— Ze mną? Nic. To, co stanie się z tobą. Doping. Shilling będzie ci go dawał przed każdymi zawodami, mimo że prawnie jest to zabronione. Zresztą ty sama będziesz go chętnie żarła, bo te przeklęte ampułki dają

siły i zwycięstwo. Za trzy lata już nie będziesz mogła biegać, a za pięć staniesz się taka jak ja, a wtedy wypędzą cię na ulicę, bo nie będziesz już mogła przynieść ani jednego dolara zysku. No to co, wypijemy?

Eryka milczała, dygocąc.

— Przestraszyłaś się? To ci i tak nic nie pomoże, i tak będziesz musiała dalej łykać doping, bo inaczej nie zwyciężysz i wypędzą cię. A mnie Shilling nie wypędził, bo za wiele o nim wiem... Czeka, aż sama wykituje...

— Pani kłamie! — krzyknęła Eryka.

— Popatrz na mnie... Przypatrz mi się, nie bój się! Shilling stosuje dopingi silne, a więc bardzo szkodliwe, bo musi mieć duże zyski, muszą wysoko procentować włożone w ciebie pieniądze, a czy doping ci szkodzi, czy też nie, to mu jest obojętne. Nie będziesz ty, to będzie inna!

Drzwi do pokoju otworzyły się, stanęła w nich pani Shilling.

— Co pani tu robi? — spytała Lorę surowym głosem.

Masażystka zerwała się, lekko się zachwiała, po czym już twardym i równym krokiem wyszła.

— Czy ona pani coś mówiła?

— Tak sobie rozmawiałyśmy...

Eryka nie mogła w nocy zmrużyć oka. Straszło ją widmo dopingu, w tym cichym pensjonacie wszystko wydawało jej się teraz straszne, jadowite, niebezpieczne. Ciągle miała wrażenie, że ktoś chodzi po korytarzu, słyszała jakby skradające się do jej pokoju kroki. Zniekształcona, stara, pomarszczona twarz Lory przez cały czas szczyrzyła w ciemności swe gnijące zęby. Dopiero o świcie przyszedł krótki, niespokojny sen.

Kiedy się zbudziła, słońce przeświecało przez opusz-

czone story. Otworzyła na oścież okno. „Chyba to wszystko mi się śniło — pomyślała. — I Lora, i to jej opowiadanie”.

Ale na tapczanie leżało kolorowe czasopismo, z którego patrzyły wesoło młode, pełne życia oczy Lory Mikelaw. Eryka ukryła twarz w dłoniach i długo siedziała w bezruchu. Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Lora.

— Zostawiłam tu wczoraj czasopismo — powiedziała spokojnie nie patrząc na Erykę. — I chyba naopowiadałam Bóg wie co, może nawet przestraszyłam panią. Ale niech pani w to nie wierzy. Kiedy wypiję, to fantazjuję i plotę różne brednie. A jeśli chodzi o mój wygląd, to sprawa nie dopingu, lecz różnych chorób. Przepraszam.

Odwróciła się i wyszła. Eryce zrobiło się trochę lżej na sercu. Ależ oczywiście, to były pijackie brednie, z nią nigdy coś takiego się nie stanie. Jak mogła w to uwierzyć, to śmieszne...

Przez otwarte okno świeciło jasne, promienne słońce i wpadały podmuchy orzeźwiającego wiatru, stadion był czysty i spokojny. Eryka wstydziła się teraz swoich nocnych myśli. Uniosła wysoko ręce, wyprężyła się i powoli ręce opuściła. Cudownie! Miała w tym momencie radosną świadomość młodości, siły, zdrowia. No to jeszcze raz: w górę... w dół...

..Zaczęła się gimnastyka. Potem pobiegły po całym ciele wesołe, łaskoczące strumyczki zimnej wody. Eryka poczuła przypływ niezrozumiałej radości, roześmiała się. Po śniadaniu zeszła na stadion. Trawa na boisku już wędlała, jakby ktoś w ziemi podciął jej korzenie. Eryka obesza cały stadion: wszystko po staremu, wszystko od dawna dobrze znane. I ciężkie spojrzenie pani Shilling, śledzącej każdy jej krok.

Artur Shilling przyszedł punktualnie o dwunastej.

— Pani jakoś dziwnie dziś wygląda.

— Być może. Złe spałam.

— O co chodzi? Pani musi dobrze sypiać, Eryko. No tak, nawet jej sen należał do Shillinga.

— Chciałam pana prosić, żeby mi pan opowiedział o dopingu i o Lorze Mikelaw. Czy to prawda?

Trener roześmiał się wesoło, głośno, przeciągle.

— A więc panią też na to nabrała? — śmiał się tak, że aż mu kark poczerwieniał.

Dziewczyna zmieszała się.

— Ona urządza te sztuczki z każdą nowicjuszka i nic nie mogę na to poradzić. Ale żeby pani nie miała żadnych wątpliwości, proszę popatrzeć.

Shilling wyjął z kieszeni małe pudełeczko, w którym ułożone były dobrze jej znane ampułki. Wziął jedną, włożył do ust, zacisnął zęby.

— Czy wierzy pani nadal w ich szkodliwość? — spytał, wypluwając pustą ampułkę jak łupinę nasienia.

Uspokoiło to Erykę. Widocznie Lora rzeczywiście tylko żartowała. Nieco okrutny żart...

Przed swym odjazdem Shilling wezwał Lorę do gabinetu. Nikt nie słyszał ich rozmowy, ale kiedy masażystka wyszła od niego, zgarbiona była bardziej niż zwykle.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Po niefortunnej wizycie Siewoczki i Pochitonowa Wołoszyna długo nie mogła zasnąć. Zdarza się niekiedy, że zupełnie nieoczekiwanie posiadziemy cudzą tajemnicę, znajdzie się w naszych rękach los drugiego człowieka, i musimy zdecydować, jak postąpić. I oto tak właśnie, wbrew własnym intencjom, aktorka dowiedziała się niespodzianie o obłudnym i pełnym wyracho-



wania stosunku Pochitonowa do Olgi Kurszunowej, i nie wiedziała, jak ma postąpić. Najprościej może zaprosić do siebie Olgę i opowiedzieć jej o wszystkim, ale mogłoby to wyglądać na plotkarską intrygę. Olgę Borysowną jakoś bardzo osobiście dotknęła ta sprawa, oburzył cynizm Pochitonowa, wiedziała bowiem, jaka silna i czysta jest miłość Olgi i że ta dziewczyna nie potrafi być w niczym połowiczna, że każde uczucie pochłania ją w zupełności; wiedziała to wszystko, ale może właśnie dlatego tak trudno było jej się na coś zdecydować. A może ten głupi Sawka tak tylko się zgrywał, a jutro będzie się kajać? A jeśli ożeni się z Olgą tylko po to, żeby zostać w Moskwie, a potem porzuci ją i zwichni jej życie? Czy więc Wołoszynie wolno milczeć?

Zasnęła późno i obudziła się znów z tą myślą: co robić? Bardzo nie w porę wynikła ta cała historia, ma dość własnych zmartwień i wątpliwości. Trzeba by się kogoś poradzić, sama nie zdecyduje. A gdyby zadzwonić do Gromowa, on jest w takich sprawach najlepszym powiernikiem i doradcą.

Nakręciła numer centrali jednostki Gromowa i poprosiła o połączenie z dowódcą. W odpowiedzi usłyszała uprzejmy głos adiutanta:

— Podpułkownik Gromow wyjechał służbowo i nie wiadomo, kiedy wróci.

Olga z żalem opuściła słuchawkę. Pozostaje jeszcze tylko Fiodor Iwanowicz. A może nie należy mu o tym mówić? Ale dlaczego?

Zadzwoniła do Karcewa. Odezwała się Wiera Pietrowna. Nie była zdziwiona telefonem, Olga często do nich dzwoniła. Oczywiście, przekaże to mężowi. On chyba będzie mógł wpaść wieczorem, o ile ten termin odpowiada. Odpowiada? To świetnie.

A zatem wieczorem porozmawia z Karcewem, we

dwójkę na pewno coś postanowią, można już nie myśleć o Sawie Pochitonowie, są na świecie ważniejsze sprawy. Przede wszystkim musi iść zaraz do teatru, o jedenastej próba. Jakie ciężkie są dla niej teraz te próby.

I wszystko odbyło się tak, jak przewidywała. Koledzy pracowali z pasją, pełną parą, tylko ona jedna nie grała, lecz wypowiadała słowa roli, odczuwając aż do bólu swoją niemoc.

Wracała do domu bardzo z siebie niezadowolona. Wszystko ją drażniło w ten pochmurny, jesienny wieczór. A tu jeszcze, jak na złość, zacinał deszcz z mokrym śniegiem. Jak chłodno! To już zima za pasem. Olga owinęła się szczelniej płaszczem.

Gdy wróciła do domu, zmierzchało. W ciepłe domowego zacisza ogrzała się i uspokoiła, jednak nie na długo. Po obiedzie natrętnie zaczęły wracać myśli o Korszunowej. Żeby ten Karcew przyszedł jak najprędzej!

Olga ani się spostrzegła, jak zdrzemnęła się na tapczanie. Obudził ją męski głos w przedpokoju. Karcew? Tak, to był Fiodor Iwanowicz, ciężki, masywny jak niedźwiedź, w ciepłym palcie, cały zaproszony mokrym śniegiem.

— Dobry wieczór, Olgo Borysowno. Czy się coś stało? Wiera przekazała mi pani zaproszenie w bardzo dramatycznym tonie. Pogoda pod psem, październik, a zimno jak w grudniu — zatarł duże, mocne dłonie.

— Zaraz będzie herbata, Fiodorze Iwanowiczu, za-grzeje się pan. To nic dramatycznego. Po prostu muszę porozmawiać z panem poważnie o Oldze.

— A co z nią jest?

Od pierwszego słowa rozmowa ta zaciekawała Karcewa. Oczekiwał jej, sądził jednak, że będzie to rozmowa o Wołoszynie.

Gospośnia podała herbatę. Karcew wziął szklanę w obie dłonie, by je rozgrzać, potem długo mieszał cukier, śledząc, jak ganiają się w przezroczystym brunatnym płynie dwa listki herbaty. A Olga Borysowna, nie spiesząc się, opowiedziała mu ze wszystkimi szczegółami wczorajszą historię.

— Co za podlec z tego Pochitonowa — powiedział, kiedy skończyła. — Gdyby taka dziewczyna jak Korszunowa mnie kochała, czułbym się w siódmym niebie. A on, patrzcie, co wykombinował. Kawal drania!

— A mnie się dotąd zdawało, że to porządny chłopak.

— Może i porządny, tylko brak mu woli i charakteru. No i co z tym fantem zrobić?

— Myślałam nad tym przez całą noc i nic nie wymyśliłam.

— Tak... — Karcew odsunął pustą szklanę. — Rzeczywiście trudno tu się na coś zdecydować. Powiedzieć jej: źle, nie powiedzieć: jeszcze gorzej.

Przez dłuższą chwilę siedzieli zamyśleni. Zadzwonił telefon. Wołoszyna podniosła słuchawkę.

— Słucham... Kto? Korszunowa? Tak, słucham...

Jej duże oczy nagle powiększyły się jeszcze bardziej, ręka ze słuchawką zadrżała. Wołoszyna spojrzała bezradnie na Karcewa.

— To nie jest rozmowa na telefon, Olgo. Niech pani przyjdzie do mnie, bardzo panią proszę... Dobrze. Czekam.

Karcew patrzył na nią z ciekawością i niepokojem. Wołoszyna przeszła się energicznym krokiem po pokoju. Była wzburzona, nie próbowała nawet tego ukryć.

— Czy pan wie, o co Olga mnie pytała? Czy to prawda, że wczoraj Sawa Pochitonow mówił, jakoby zamierzał ożenić się z nią dlatego, by pozostać w Moskwie.

— Kto mógł jej o tym powiedzieć?

— Nie wiem i nic nie rozumiem.

— To jakaś dziwna sprawa — Karcew wzruszył ramionami. — Skąd mogła się dowiedzieć?

— To nie jest takie ważne — Wołoszyna chodziła nadal zdenerwowana po pokoju. — Ważne jest to, co pańskim zdaniem mam jej powiedzieć?

— Prawdę.

Karcew wstał.

— Pan dokąd? — w pytaniu Wołoszyny wyczuwało się lęk, bała się teraz zostać sama.

— Lepiej, jeśli pójdę. Tylko bym wam przeszkadzał. Jak pani będzie z nią rozmawiać — dodał już w drzwiach Karcew — to proszę pomyśleć także i o sobie. Pani też ma nad czym się zastanowić.

Wołoszyna drgnęła.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Pani wie, Olgo Borysowno, co ja chcę powiedzieć. Pożegnali się chłodno. Wołoszyna wiedziała, o czym mówił Karcew.

Podeszła do okna. Różnokolorowe światła rozbijały jesienny mrok ulicy Gorkiego. O szyby uderzały mokre śnieżynki i spływały w dół przezroczystymi kropkami. Późna jesień, zimna i nieprzyjazna.

W przedpokoju ostro, niecierpliwie zadźwięczał dzwonek. W progu ukazała się Olga Korszunowa w lekkim, wytartym paletku, zaśnieżona i przemoknięta. Twarz miała zarumienioną, wielkie, szare oczy płonęły wzburzeniem. Bez słowa podeszła do Wołoszyny. I tak oto stały naprzeciw siebie „dwie wielkie Olgi” — jak nazywano je na stadionach i w prasie sportowej.

— Olgo Borysowno — przemówiła wreszcie Korszunowa drżącym głosem. — Czy on to powiedział? Niech mi pani odpowie na to pytanie. Tylko, błagam, prawdę!

Ostatnie trzy godziny były chyba najstraszniejsze

w jej życiu. Zaczęło się zwyczajnie: do jej pokoju w domu akademickim wszedł kolega, mówiąc, że ktoś wydzwania na wszystkie telefony instytutu i szuka jej. Zbiegła szybko na dół do sekretariatu. Właśnie zadzwonił telefon. Olga usłyszała bardzo przyjemny męski głos, który wydał się jej znajomy.

— Pani mnie nie zna, ale chcę panią ostrzec, z życzliwości dla pani, o grożącym jej niebezpieczeństwie. Otóż pani ukochany, Sawa Pochitonow, chce ożenić się z panią tylko dlatego, żeby po ukończeniu instytutu pozostać w Moskwie.

— To podłe kłamstwo! — krzyknęła Olga.

— Nie, to nie kłamstwo — głos w słuchawce stał się jeszcze miłszy. — Wczoraj wieczorem mówił to w obecności Wołoszyny i, mam nadzieję, że Olga Borysowna to potwierdzi.

— To kłamstwo! — wyszeptała dziewczyna.

— Pani oczywiście może się ustosunkować do tego, jak pani chce, uważałem jednak za swój obowiązek ostrzec panią właśnie w ten sposób, bo moja sytuacja wyklucza możliwość...

— Ale kto mówi?

— Życzliwy przyjaciel.

W słuchawce szcęknięło, po drugiej stronie zakończono rozmowę. W bolesnym oszołomieniu, nie wiedząc, co robić, jak dalej żyć, Korszunowa wróciła do swego pokoju. Na szczęście nie było nikogo. Rzuciła się na łóżko i przyciskając poduszkę do twarzy rozplakała się.

— To kłamstwo! — zawołała nagle siadając na łóżku. — Podłe kłamstwo! Żeby tylko się dowiedzieć, kto to był.. Kłamstwo! Tak, kłamstwo...

— Co ty, rozmawiasz sama ze sobą? — zdziwił się Sawa, wchodząc do pokoju. — Przyszedłem po ciebie, mam bilety do cyrku.

Olga wstała, wzięła go za ramiona i patrząc wnikliwie w oczy zapytała:

— Byłeś wczoraj u Wołoszyny?

Sawa zrozumiał: kłamać nie ma sensu. Trzeba to zbyć żartem.

— Tak, byłem. Właśnie zamierzam zostać jej gorącym adoratorem.

— Byłeś z tym Barkowem?

— Tak.

— Mimo że dałeś mi słowo honoru?

— Powiedziałem ci jeszcze wczoraj: nie traktuj mnie, jak stara, kłótniwa żona.

— Czy mówiłeś, że chcesz żenić się ze mną dlatego, żeby pozostać w Moskwie?

W oczach Sawy zamigotał łęk.

— Coś ty, Olgo! Słowo honoru, że nie mówiłem!

— Takie słowo jak wczoraj?

I nagle Oldze przypomniał się głos tego „życzliwego przyjaciela”. Ależ oczywiście, to był Siewoczka Barkow, tylko on, nikt inny. Ale teraz to nie miało już żadnego znaczenia.

— Co ty wygadujesz? Czy mógłbym coś podobnego powiedzieć? To jakaś bzdura, głupia plotka i nic więcej. Ktoś chce nas poróżnić, zazdrości nam naszej miłości — Sawa mówił szybko, nerwowo, przez cały czas uciekając spojrzeniem przed szarymi, płonącymi, atakującymi go oczami Olgi. — Przysięgam ci, że nic takiego nie powiedziałem...

Zrozumiał, że ma tylko jedno jedyne wyjście: wszystkiemu kategoriycznie zaprzeczać.

— Idź — powiedziała Olga, zdejmując ręce z jego ramion.

— A bilety, a cyrk?

Sawa znał Olgę na tyle, żeby zrozumieć, iż powinien natychmiast odejść. Będzie to tymczasowy odwrót tak-

tyczny. Dziewczyna go kocha, więc i tak do niego wróci, a o tym głupstwie, które mu się wczoraj wymknęło, wnet zapomni. Spojrzał na nią z wymownym wyrzutem i powoli, jakby mu było bardzo ciężko na sercu, ruszył do drzwi. Miał nadzieję, że dziewczyna zatrzyma go, że w ostatniej chwili skapitułuje.

Olga stała przy oknie z mocno zaciśniętymi ustami. Słyszała, jak kroki oddalały się, jak skrzypnęły drzwi, ale się nie poruszyła.

„Tak, oczywiście, to był Barkow. Chciał się zemścić za wczorajszy wieczór, a Sawa chyba mówił prawdę. Tak, na pewno mówił prawdę. Nie mógłby być przecież taki podły, taki dwulicowy! Nie, nie potrafiłby, za nic w świecie! Nie miałam prawa go wypędzać, ale teraz już nic się nie da zmienić. To straszne!”

Potem przypomniały się jej przestraszone oczy Sawy, kiedy usłyszał o rozmowie u Wołoszyny, i znowu zaczęły ją nękać wątpliwości. Musi znać całą prawdę, żeby się ich pozbyć.

Wołoszyna... Ona jedna zna prawdę. A więc trzeba zaraz do niej zatelefonować. Nawet gdyby prawda okazała się straszna, Olga musi ją znać, bo chodzi o całe jej życie, nie wolno więc tego lekceważyć.

Zbiegła do automatu. Włożyła rękę do kieszeni: ani kopiejki. Dopiero jutro stypendium. Co robić? Wyraz jej twarzy był tak rozpaczliwy, że stara portierka podała jej monetę.

— Weź, Olusza...

A teraz stała przed Wołoszyną, usiłując odczytać z jej oczu odpowiedź.

Nielekko było Wołoszynie zacząć tę rozmowę. Olga wyglądała na obłąkaną, nie wiadomo, do czego byłaby zdolna usłyszawszy prawdę.

— Proszę usiąść.

— Niech pani mówi! Proszę mi powiedzieć! Chcę znać prawdę!

Jak tu powiedzieć prawdę, która będzie dla dziewczyny jak uderzenie sztyletu. Dobrze było Karcewowi radzić...

— Olgo Borysowno! Niechże pani wreszcie coś powie! Czy on to mówił? Mówił?

I ujrawszy w oczach Wołoszyny odpowiedź, opadła bezsilnie na fotel.

— A więc to prawda.

Do pokoju weszła gosposia z puszystymi rannymi pantoflami.

— Daj no swoje buciki! Zupełnie przemokły. Włóż kaptcie.

— Nie, nie! Zaraz wychodzę... — protestowała załośnię Olga. — Muszę już iść, mam jeszcze... mam jeszcze...

Palił ją wstyd. Jak mogła się tak poniżyć przed Wołoszyną! Nie wolno było tego robić!

Zerwała się, ruszyła do drzwi.

— Siadaj! — krzyknęła Nastia tonem, którego bała się nawet Wołoszyna. — Siadaj, mówię ci! Dawaj nogi!

I włożyła jej stopy w ciepłe, miękkie pantofle.

Olga Borysowna podeszła do dziewczyny. Jakieś dziwne macierzyńskie uczucie owładnęło jej sercem. Pomyślała o swoim synu. Żeby nigdy w życiu nie musiał przeżywać takich chwil.

— Nie chcę ani wypytywać, ani pocieszać. Ale zdaje się, że pani nie powinna dziś nigdzie iść. Spędzimy ten wieczór razem.

— Nie, nie, ja pójdę! Muszę...

— Nic pani nie musi. Przenocuje pani u mnie. Tak będzie lepiej dla pani i dla mnie.

Głos Wołoszyny świadczył o tym, że dokonała się



w niej jakaś zmiana. Dziewczyna wyczuła to, więc się zgodziła. W pokoju było przytulnie. Cicho grało radio.

Korszunowa długo siedziała w milczeniu, wpatrzona w jeden punkt. Myśli jej tłukły się jak schwytany ptak. Nie widziała żadnego wyjścia, żadnego światełka w mroku. Wreszcie osunęła się na kanapę, kładąc głowę na dużej wyszywanej poduszce. Zdawało się jej, że podeszła do niej matka, droga, dawno utracona matka, i pogłaskała ją delikatnie po głowie, jak głaskała ją przed zaśnięciem w dalekim, słodkim dzieciństwie. Mama czy Olga Borysowna? Poczowała w gardle łyż. Spowija ją coś miękkiego i włochatego. Zasnęła.

Wołoszyna długo patrzyła na jej piękną, tak dziecięcą we śnie twarz i nowa fala ciepła zalała jej serce. Potem ostrożnie wstała i na palcach poszła do swej sypialni. „Więc tak: pomagać jej ze wszystkich sił w osiągnięciu twego rekordu i z nie mniejszą siłą dążyć do ustanawiania nowych, własnych rekordów, żeby Korszunowej było coraz trudniej cię pokonywać” — przypomniały się jej słowa Gromowa. A ona odeszła z grupy, nie chcąc pracować z Olgą. Musiała jej tym sprawić ból. I jeszcze ostatnie słowa syna podczas ich pożegnania na dworcu: „Dlaczego jesteś sama? Dlaczego wokół ciebie nikogo nie ma?” Nie można tych słów zapomnieć...

Nie można? Dlaczego? Czy nie jest jasne, że popełniła głupstwo odchodząc z grupy? Nie, nie jest jasne. Może Gromow ma rację z tą całą swoją dialektyką, ale ona nie będzie własnymi rękami grzebać własnej sławy! Nie będzie!

A Korszunowa? Co z nią się stanie? Olga zajrzała do pokoju, spojrzała na bladziutką twarzyczkę swej rywalki i znowu odczuła w sercu tę samą ciepłą falę. Korszunowa coś wymamrotała przez sen, poruszyła się. Wołoszyna poprawiła jej poduszkę pod głową i wró-

ciła do siebie. Rozebrała się, położyła, ale długo nie mogła zasnąć, staczając bezskutecznie w myślach walkę z własną dumą i próżnością. Nic nie postanowiła, ale zasypiając wiedziała już na pewno, że tak żyć dalej nie można.

Spała niespokojnie, śnił się jej zaciszny berliński stadion, na którym ustanowiła swój ostatni rekord, ale każdy obraz przesłaniała jej twarz Korszunowej.

Obudziły się wcześniej. Na Korszunową aż przykro było patrzeć: dziewczyna jakby postarzała się w ciągu tej nocy, czy miała podkrążone. Przy herbacie powiedziała:

— Dobrze jednak, że przyszedłam do pani, chociaż zawsze będę się rumienić na wspomnienie tej chwili. A o nim zapomnę.

— Może jeszcze da się coś naprawić, przebaczyć mu...

— Nie, Olgo Borysowno. Nie umiem przebaczać.

Pozegnały się bez słów. Korszunowa poszła do instytutu, Wołoszyna do teatru. Próba rozpoczęła się jak zwykle punktualnie. Wołoszyna mówiła tekst, myśląc o czym innym, cała ta jej praca nie miała żadnego sensu.

— Czy pani źle się czuje, Olgo Borysowno? — spytał reżyser, przyglądając się uważnie aktorce.

— Nie — odpowiedziała ostro, usiłując skoncentrować się na roli, ale do końca próby nie mogła sobie z nią poradzić.

Wyszła z teatru bardzo z siebie niezadowolona. Spojrzała na zegarek: za dwadzieścia druga. Dawniej w tym czasie spieszyła do instytutu na trening. Dokąd ma iść teraz?

„Pójdiesz do instytutu, do sali ćwiczeń, i zaczniesz znów trenować ze swoją grupą!” — nakazała sobie ze złością jak najgorszemu wrogowi i stanowczym kro-

kiem ruszyła do trolejbusu. Wyobraziła sobie miny dziewcząt, kiedy ją zobaczą, pomyślała o rozmowach w szatni, o różnych plotkach i domysłach.

W dużej sali zebrały się wszystkie sportsmenki, z którymi tak długo razem pracowała. Był również Karcew. Korszunowa stała w szeregu blada, skupiona, z jedynym gorącym pragnieniem, by się nie rozkleić, lecz skoncentrować i pracować na pełnych obrotach. Wołoszyna stanęła na prawym skrzydle na swoim dawnym miejscu, nie mówiąc do nikogo ani słowa, ale też swą postawą nie zachęcając do pytań — wysoka, piękna, pewna swej siły. Fiodor Iwanowicz spojrzał na nią bez zdziwienia, jak gdyby nigdy nie porzucała swych koleżanek.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

O siódmej rano w 143 pokoju akademika przeraźliwie dzwonił budzik. Siedem dziewcząt momentalnie otworzyło oczy i uniosło głowy. Dzwonienie było tak ostre, że mogło obudzić zmarłego. Ale nie Wira Kononenko, która nadal słodko spała, poświstując przez nos.

Jaryna zeskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok.

— Wstawaj, Wiro, już czas! — poruszyła koleżankę, ale ta przewróciła się tylko na drugi bok.

— Patrzcie ją — krzyknęła Jarynka. — Wstawaj, bo woda pójdzie w ruch!

W odpowiedzi Wira coś tam ze złością mruknęła.

— W porządku. Ale żebyś nie błagała o litość.

Jaryna nie zdążyła zmoczyć w wodzie ręcznika, kiedy Wira zerwała się i zaczęła się ubierać.

— A co, pomogło? — śmiały się dziewczęta.

Dyżurna otworzyła lufcik.

— Na ćwiczenia w szeregu zbiórka! — padła komenda Jaryny.

Jeszcze ciepłe i różowe, dziewczęta stawily się na gimnastykę. Sen jak ręką odjął, przez okno wpadało świeże powietrze. Pierwsze promienie słońca iskrzyły się wesoło na zamarzniętych w liściaste wzory szybach.

— Lewa noga w tył, ręce nad głową, wdech! — komenderowała Jarynka.

Szesnaście szczupłych dziewczęcych rąk, wyłaniając się z rękawów szlafroków i piżam, wzniosło się nad głowami.

— Ręce w dół, noga na miejsce, wydech!

Jarynka prowadziła gimnastykę z pasją, głęboko przekonana o korzyści płynącej z tych ćwiczeń, zarażając swym zapałem koleżanki. Oczywiście nie od razu. Początkowo dziewczęta zwlekały, leniły się. Lepiej pospać jeszcze przez te dziesięć minut, rano sen najbardziej smakuje! Ale teraz gimnastyka była dla nich czymś tak naturalnym jak mycie.

— Raz — dwa, raz — dwa, raz — dwa! Dość. A teraz do umywalni!

Po kilku minutach umyte, świeże, wesołe dziewczęta ścieliły już swoje łóżka, a dyżurna sprzątała pokój. Potem śniadanie i szybko na uniwersytet.

Jaryna zawsze chodziła piechotą, było to jakby przedłużenie porannej gimnastyki. Zjawiała się codziennie na dziesięć minut przed dzwonkiem, aby zdążyć jeszcze trochę poplotkować. A interesowało ją wszystko: i dlaczego Wala Wowk otrzymał z angielskiego tylko trójkę, i czemu Sania Semydub demonstruje swą niechęć do Ihora Skworczyka, żadna sprawa nie uszła jej uwagi. Szczególnie zaniepokoiła ją decyzja Niny Sokił.

— Dlaczego przeszedł do Sofiji Kartasz?

— To nie twoja rzecz — odpowiedziała Nina, która

wtrącanie się Jaryny do cudzych spraw uważała za nietaktowne. — Nie jestem małą dziewczynką i wiem dobrze, z kim będzie mi się lepiej pracować, u kogo będę miała lepsze wyniki i kto odnosi się do mnie tak, jak na to zasługuję.

— Ach, o to ci chodzi!

Tak więc Jaryna domyśliła się prawdziwej przyczyny przejścia koleżanki do Kartasz.

— Zdaje się — dodała rozzłoszczona Nina — że mam prawo wybierać sobie trenera, jakiego chcę.

— Tego ci nikt nie kwestionuje. Tylko że zwykle ryba szuka, gdzie głębiej, a człowiek, gdzie lżej.

— Sama doszłaś do tego czy gdzieś przeczytałaś?

— I sama doszłam, i przeczytałam — odpowiedziała spokojnie Honta.

Właściwie nic szczególnego nie było w tych słowach, ale Nina dobrze je zapamiętała. Co za maniery ma ta Jarynka: mówić w oczy najbardziej nieprzyjemne rzeczy... Zresztą sprawa już przesądzona i nie ma się nad czym więcej zastanawiać. Nie zrobi Maksymowowi tej przyjemności, żeby się przed nim kajać. Nawet jeśli postąpiła niewłaściwie, to nie ma już odwrotu. Ale przecież ona nic takiego nie zrobiła. No więc czas najwyższy o tym zapomnieć.

W tym czasie komitet grupowy komsomołu sporo uwagi poświęcał wychowaniu fizycznemu. Zbliżały się zimowe uniwersyteckie zawody lekkoatletyczne i wydział dziennikarski nie zamierzał pozostać w tyle.

— Jeśli uda nam się wciągnąć wszystkich kolegów naszej sekcji, to sukces murowany! — mówił na posiedzeniu komitetu Wala Wowk. — A jak będziemy liczyć tylko na Ninę i na ciebie — spojrzał na Jarynę — to się rozłożymy.

Jeszcze w tym dniu Jaryna poszła do Maksymowa.

— Przyszłam poradzić się w sprawie tych zawodów. Mamy wielką ochotę je wygrać.

— Wielką?

— Ogromną.

— No jeśli tak, to musimy wspólnie przebudować całą robotę sportową.

— Czy ona potrzebuje przebudowy?

— Dotąd też wydawało mi się, że nie, ale teraz widzę jasno, że tak dalej pracować nie można. Chodzi o to — Maksymow zaczął się zapalać — że na przykład prowadzone są ćwiczenia gimnastyczne w domach akademickich, ale studenci traktują je jako przykry obowiązek. A sportem pasjonują się tylko jednostki.

— No, nie jest aż tak źle — zaprzeczyła Jaryna. — Na naszym roku prawie połowa ma znaczki GPO.

— A trzeba, żeby mieli wszyscy. Wie pani, że niekiedy czuję się jak przestępca...

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Tak, tak, jak przestępca, kiedy myślę o tym, że być może tu, obok mnie, przechodzi jakiś student czy studentka, potencjalne talenty, a ja nic nie wiem o ich uzdolnieniach sportowych tylko dlatego, że nie zainteresowałem ich sportem. A sport to sprawa mego życia. Dlaczego radzieccy szachiści są najlepsi na świecie? Dlatego, że u nas grają w szachy dziesiątki milionów ludzi, więc łatwiej wyłowić spośród nich prawdziwe talenty. A dlaczego brak nam wybitnych lekkoatletów? Bo w niedostatecznym jeszcze stopniu potrafimy wciągać do sportu młodzież. Rozumie pani?

— Oczywiście.

— To bardzo dobrze, że już teraz pomyśleliście o tych zawodach. Trzeba, żeby wszyscy studenci, z licznymi wyjątkami, wzięli w nich udział. Sam nie

dam rady i dlatego proszę panią, jako sekretarza grupy, o pomoc.

— Co do tego nie może być żadnej wątpliwości — odpowiedziała wesoło Jarynka. — Zwołamy otwarte zebranie komsomołu i naradzimy się, jak najlepiej to przeprowadzić. I żeby pan zabrał głos — konkretyzowała Jaryna swój plan. — Najpierw porozmawiam z towarzyszami, z aktywem sportowym, a później przygotowujemy wspólnie to zebranie.

— Dziękuję — Maksymow wstał od biurka. — No więc może nie tracąc czasu przejdziemy od razu do komitetu wydziałowego. Trzeba się spieszyć, marzec już za pasem.

Jaryna też wstała.

— Ma pani wysokie obcasy czy pani tak urosła?

— No cóż, jeszcze rosnę — odpowiedziała dziewczyna nieco zmieszana, jakby się usprawiedliwiała. — Przez pół roku podrosłam o dwa centymetry. To okropne, dziewiętnaście lat, a ciągle jeszcze rosnę jak mała dziewczynka... Aha, mam jeszcze do pana dwa pytania — głos Jaryny znowu spowaźniał.

— Słucham.

— Dlaczego Nina Sokił odeszła z naszej grupy? Czuję się tak, jakbym i ja tu coś zawiniła.

Maksymow nie odpowiedział od razu. Myślał teraz o tym, że nie docenił w pełni tego małego sekretarza, Jarynki, która tak trafnie postawiła teraz pytanie i, co więcej, czuła się współwinna.

— Bo pod opieką Sofiji Kartasz spodziewa się osiągnąć lepsze wyniki — odpowiedział po chwili sucho. — Pani tu w niczym nie zawiniła, natomiast moja wina jest niewątpliwa. Ćwiczyłem jej mięśnie, uczyłem techniki, wyrabiałem refleks, a trzeba było przede wszystkim kształtować jej charakter, wolę, pasję do pracy. Kartasz to niewątpliwie dobry trener, wątpię

jednak, czy Nina osiągnie u niej sukcesy. Jest to dla nas przykra sprawa. Wyciągnąłem już z tego dla siebie odpowiednie wnioski.

— Ja też — rzekła Jaryna.

— A drugie pani pytanie? — Maksymow wyraźnie nie miał ochoty kontynuować tej rozmowy.

— Drugie? — Jaryna przez chwilę zamyśliła się. — Proszę mi powiedzieć, Mykoło Dmytrowiczu, dlaczego nie mam żadnych osiągnięć? Pracujemy z panem, pracujemy, a biegam gorzej niż przedtem. Pan to zauważył, prawda?

— Tak — oczy Maksymowa nabrały ciepła, życzliwie spojrzął na Jarynkę, lekko się uśmiechnął. — To prawda, teraz biega pani gorzej.

— Czy jestem taka niezdara?

— Nie, tylko zniszczyliśmy stary styl biegania, a nowego jeszcze nie wypracowaliśmy. Kiedy dojdziemy do prawidłowej pracy rąk, kiedy wyrobi się start, kiedy osiągniemy odpowiednie pochylenie tułowia, wówczas pobiegnie pani tak, jak nawet o tym nie marzyła. Widzi pani sama, ile tych „kiedy”, a za każdym z nich stoi olbrzymia praca.

— Tego się nie boję.

— Wiem. I dlatego przed panią jeszcze wiele rekordów.

— Wcale o nich nie myślę.

— Czasami nie szkodziłoby pomyśleć. No, chodźmy, Jaryno.

W tym dniu Nina Sokil przysłała po raz pierwszy na trening do Sofiji Kartasz.

— Mistrzyni sportu, przysłała mistrzyni świata — zarekomendowała ją trenerka swoim uczennicom. — Nino, stawaj na prawym skrzydle.

Według wzrostu powinna się znaleźć pośrodku niedługiego szeregu sportswomenek, Kartasz chciała ją jed-



nak tym wyróżnić, co bardzo dziewczynie pochlebiło. Zresztą uważała, że w jej słowach nie ma nawet odrobiny nieprawdy, bo tytuł mistrza sportu Nina otrzymała niedawno, a mistrzynią świata na pewno będzie.

Rozpoczął się trening. Kartasz trzymała się planu Maksymowa, jednak Nina nie odczuwała żadnego obciążenia. Nie było tego błęgiego uczucia lekkiego, przyjemnego zmęczenia, kiedy każdy miesiąc woła: „Tak, dobrze popracowałem, jestem silny, nie zawiodę”.

Zdziwiło to trochę dziewczynę i zaniepokoiło.

— Nie odczułam żadnego przeciążenia, Sofijo Dmytrowno.

Kartasz wzruszyła ramionami.

— Tak ci się tylko wydaje po Maksymowej katordze. Nie pozwolę nikomu na żadne przeciążenia, na przemęczenie organizmu, tracenie całej energii na trening, żeby potem stawać na zawodach wyczerpanym. U mnie tego nie ma. Odpowiadam teraz za ciebie. I nie denerwuj się, możesz być spokojna — dokończyła pewnym sobie tonem — twoje rekordy są mi potrzebne nie mniej niż tobie.

Ta odpowiedź przekonała Ninę. Dziewczyna uwierzyła swej nowej trenerce lub też wolała jej uwierzyć.

Pod koniec ćwiczeń zjawił się na sali fotoreporter w lśniącej, skórzanej kurtce.

— Cieszę się, że mogę panią poznać — powiedział, ściskając rękę Niny. — To bardzo dobrze, że towarzyszka Kartasz zaprosiła właśnie mnie. Jakie ma pani plany? Na jakie wyniki można liczyć? Proszę odwrócić głowę w stronę trenerki. Tak, cudownie!... Pod zdjęciem napiszemy: „Mistrz sportu Nina Sokił opracowuje z trenerem Sofiją Kartasz plan zaatakowania światowych rekordów”. Zgoda? Dziękuję. Wszystkiego najlepszego!

I zniknął, nie dopuszczając jej do słowa.

Na dużych arkuszach brystolu kończono projekty nowego stadionu. Wysokie trybuny, okrążające szerokim pierścieniem boisko piłkarskie i bieżnię, mogły pomieścić kilkadziesiąt tysięcy widzów. Szatnie, natryski, pokoje odpoczynku — architekt wszystko przewidział, o wszystkim pamiętał.

Richard Baum nie miał żadnych wątpliwości, że będzie to sukces w jego karierze. Prawdziwy twórca niemal zawsze zna rzeczywistą wartość swej pracy i rzadko jego ocena bywa fałszywa.

Tak, projekt zrobiony jest dobrze. Jutro będzie on omawiany u burmistrza Wielkiego Berlina. Baum wysłucha uwag, dokona pewnych poprawek (był pewny, że nie będzie ich wiele), i na Martianstrasse rozpoczną się roboty.

Stadion musi być gotowy przed międzynarodowymi sportowymi zawodami studentów, które mają odbyć się w lipcu. Teraz już koniec grudnia. Pozostaje więc pół roku. Zanim przestudiują i zatwierdzą projekt oraz budżet budowy, i wyasygnują pieniądze, zanim zwiozą materiały, minie półtora do dwóch miesięcy. Na realizację inwestycji — oczyszczenie wielkiego placu, zawałonego ruinami, oraz wybudowanie stadionu, trybun i wszystkich pomieszczeń — pozostały już tylko cztery miesiące, a więc sto dwadzieścia dni. Właśnie te sto dwadzieścia dni bardzo niepokoiły architekta. To niesłychanie krótki termin jak na budowę takiego obiektu. Magistrat zbyt późno zlecił mu opracowanie projektu. Richard Baum wprawdzie był młodym architektem, miał już jednak pewne doświadczenie i dlatego trudno mu było sobie wyobrazić, jak w tak krótkim czasie wykona się tę robotę. Samej

tylko ziemi trzeba przemieścić kilkaset tysięcy metrów sześciennych.

Richard ostrożnie i z miłością przewracał wielkie arkusze. Słońce szerokim strumieniem wlewało się w duże okno pracowni, jego silne promienie odczuwało się wszystkimi zmysłami. Baum spojrział w okno. Ze wschodu na zachód ciągnęła się szeroka aleja z wysokimi budynkami. W kilku miejscach strzelały w niebo potężne dźwigi. W tych domach jest również częśćka pracy Richarda Bauma. Kiedy widzi się dom, zbudowany według własnego projektu, myśli się o wieczności wszystkiego co ziemskie.

Ale praca nad stadionem daje Baumowi o wiele więcej radości niż projekty zwykłych domów. Stadion to piękna i wzniosła budowla. Zwać się będzie „Stadionem Pokoju” i właśnie z myślą o pokoju Baum tworzył swój projekt.

Walka o pokój nie była dla młodego architekta jakimś abstrakcyjnym pojęciem. Walczył o pokój swoimi budowlami, swymi rekordami sportowymi, każdym swym oddechem, swym całym życiem. Ustanawiał rekordy, budował, żył i tworzył w imię pokoju.

W Moskwie był dwukrotnie. Po raz pierwszy dane mu było przejść ulicami radzieckiej stolicy w pięćdziesięciotysięcznej kolumnie jeńców wojennych. Szedł wówczas z wlepionymi w ziemię oczami, żeby nie widzieć gniewnych spojrzeń owdowiałych kobiet i osieroconych dzieci, żeby ukryć pałacy go wstyd; szedł, oszukany przez Hitlera, wzięty do niewoli i zniesławiony. Richard Baum zapamiętał na całe życie ten dzień. Myślał wówczas o tragicznym losie niemieckiego narodu, który pozwolił się ogłupić Hitlerom i Kruppom, myślał o możliwościach odpokutowania tej winy. Przyszłość przedstawiała się dla niego jak czarna, nieodgadniona noc. Więc chociaż był w Moskwie, zapa-

miętał tylko nie kończąca się smugę asfaltu, zmieniającego się niekiedy w bruk. Nie śmiał wówczas patrzeć na miasto.

Po raz drugi był w Moskwie z delegacją młodzieży niemieckiej, przybyłej na zaproszenie studentów moskiewskiego uniwersytetu. I właśnie wtedy Baum miał możliwość zwiedzenia radzieckiej stolicy. Zachwyciła go architekturą Kremla i olbrzymich gmachów centrum, urodą swych parków i mostami wiszącymi nad rzeką. Wszędzie, w każdej budowlu, dostrzegał Baum precyzję i jasność myśli, podporządkowanej jednemu celowi: wszystko dla wygody i zaspokojenia potrzeb człowieka, wszystko po to, żeby człowiekowi żyło się w tym olbrzymim mieście dobrze i zdrowo.

Baum przywiózł z sobą wielki album ze zdjęciami Moskwy — miasta, z którym wiązały się najpiękniejsze marzenia o przyszłości i pokoju. Rozumiał, że nie chodzi o kopiowanie w Berlinie moskiewskiego budownictwa. Każde miasto ma swój narodowy, swoisty koloryt, którego nie można naruszyć bez przekreślenia tradycji estetycznej, nawarstwiającej się przez całe wieki. Warto jednak w budownictwie kierować się moskiewskimi kryteriami troski o człowieka, o jego potrzeby i zdrowie.

I oto leży teraz przed nim projekt nowego stadionu. Czy wszystko w nim przewidział, czy o wszystkich i wszystkim pomyślał? Trzeba zbudować stadion tak, żeby dobrze czuli się na nim sportwcy, widzowie, obsługa stadionu, żeby ludzie przychodzili tu odpoczywać.

Baum jeszcze raz przejrzał swą pracę. Chyba wszystko w porządku.

Zadzwoił telefon.

— Hallo, Baum! Pan oczywiście mnie nie poznaje. Mówi Meier, Erwin Meier.

— Szczerze mówiąc, nie poznałem i nie spodziewałem się, że usłyszę pański głos. Pan dawno wyszedł z więzienia?

— Cha, cha, cha! — śmiech Meiera brzmiał całkiem szczerze. — Pan nic się nie zmienił, żarty trzymają się pana jak zawsze.

— Ja wcale nie żartuję.

— Więc nie rozumiem pana. Nigdy nie byłem w więzieniu.

— To dziwne.

— No, dobra, niech mnie pan więcej nie rozśmiesza. Mam do omówienia ważną sprawę. Muszę się koniecznie z panem zobaczyć.

— Proszę przyjechać.

— Przyjechałbym, ale nie mam ochoty pokazywać się zbyt często w waszym sektorze.

— Tu jest całkiem bezpiecznie.

— Być może, ale są tam ludzie, których wolałbym nie spotykać.

— Rozumiem. Więc o co chodzi?

— Czy to prawda, że pan przebiegł sto metrów w czasie dziesięć i sześć dziesiątych?

— Prawda. Chce pan, żebym podzielił się doświadczeniem?

— Nie. Wystarcza mi własne. Chodzi o sprawę znacznie poważniejszą. Proszę przyjechać do mnie na Stadion Olimpijski.

— Nie mam zachodnioniemieckich marek. Nie mogę przecież człapać na piechotę od Potsdamer Platz do stadionu.

— Poślę po pana samochód.

— Dobrze.

— A nie zawiedzie mnie pan?

— Nie. Nie mam powodu obawiać się żadnego spotkania w jakimkolwiek sektorze Berlina.

— W porządku. Za pół godziny samochód będzie u pana.

Baum znów przechylił się na swym stołku i powiesił słuchawkę.

Jaki Meier ma interes w tym, żeby odnawiać starą znajomość? Poznali się podczas wojny, kiedy Meier dowodził kolumnami sportowymi na paradach führera. Maszerował kiedyś w tych kolumnach również i Baum, tego nie da się ukryć, nie ma zresztą potrzeby. Wtedy wszystkich studentów ubierano w sportowe mundury i giano po placu tak długo, aż nauczyli się maszerować według pruskiego drylu. Potem wypuszczali ich na defiladę. Ciekawe, na jakich defiladach parady Meier teraz? W każdym razie trzeba pojechać, rozejrzeć się, co szykuje się na Stadionie Olimpijskim.

Richard zdawał sobie sprawę, że jedzie do gniazda os i wątpliwe, czy w otoczeniu Meiera spotka jakichś przyjaciół.

Meier czekał, spacerując po szerokiej, asfaltowej alejce, wiodącej od bramy do trybun. Jasno świeciło zimowe chłodne słońce, szczypał lekki mróz, posrebrzając wszystko błękitnobiałym szronem.

Meier, chcąc zademonstrować młodość i zahartowanie, mimo mrozu wyszedł na spotkanie gościa w samym swetrze i bez kapelusza. Wyglądał bardzo sympatycznie i ujmująco. Na jego szczery, przymilny uśmiech nie można było nie odpowiedzieć uśmiechem.

— Bardzo się cieszę, że pana widzę, Baum — powiedział go Meier swym przyjemnym głosem. — A kiedy dowie się pan, po co pana tu zaprosiłem, to na pewno nie będzie pan żałował straconego czasu.

Wypowiedział to z intrygującym naciskiem, jak kuglarz, który pokazał już publiczności swoją czarodziejską skrzynkę, ale nikt jeszcze nie wie, co z niej wyjmie.

— Dzień dobry, panie Meier. Bardzo mnie pan za-intrygował. Ale zanim zaczniemy rozmowę, chciałbym obejrzeć stadion. Już dawno tu nie byłem.

— Chyba jeszcze na defiladzie przed führerem — uśmiechnął się obłudnie Meier.

— Tak, chyba od tego dnia — odparł spokojnie Baum, nie rozumiejąc aluzji czy też może ignorując ją.

Olbrzymi stadion „Olimpia” został zbudowany w 1936 roku specjalnie na odbywającą się w stolicy Trzeciej Rzeszy olimpiadę. Hitlerowcy nie żalowali pieniędzy i wzniesli nie tylko stadion, ale całe miasto na zachód od Berlina, zwane Olympischesdorf. Przybyli z całego świata sportowcy mieszkali w komfortowych jednopiętrowych domach, które po zakończeniu zawodów zajęły natychmiast jednostki SS, stadion zaś stał się placem ćwiczeń dla żołnierzy. Baum nieraz na nim maszerował. Teraz szedł za Meierem pełen łagodnego smutku, który towarzyszy nam zawsze, kiedy odwiedzamy stare, dawno nie widziane miejsca, wywołujące wspomnienia z młodości.

Baum porównywał tego olbrzyma z własnym projektem. „Olimpia” była niewątpliwie znacznie większą budowlą od jego stadionu, nie znaczy to jednak, by Stadion Pokoju miał być brzydszy. Myślał o zasadniczej różnicy między obu stadionami. Stadion olimpijski był przedsięwzięciem komercyjnym i za główny cel architekt postawił sobie uzyskanie z każdego metra jak najwięcej pieniędzy. Widoczne to było zwłaszcza w usytuowaniu miejsc na trybunach. Pamiętał też dobrze szatnie i natryski na tym stadionie; najmniej myślano przy jego budowie o sportowcach. Co prawda można tu było otrzymać oddzielną, bardzo wygodną szatnię z łazienką i lustrami, ale za grube pieniądze. Kto nie chce zapłacić czy go nie stać, niech

rozbiera się w szatni ogólnej, gdzie czuć kreozotem i szarym mydłem. Za wszystko trzeba było płacić na stadionie „Olimpia”.

Na ławkach leżało mnóstwo drewnianych skrzyń. Pilnowali ich amerykańscy wartownicy. Stadion zamieniono teraz na wojskowy magazyn. Trudno było odgadnąć, co jest w tych skrzyniach, amunicja czy żywność, nie ulegało jednak żadnej wątpliwości, że są to zapasy wojenne.

Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy spojrzął na boisko futbolowe. Po wydeptanej, zwarzonej już grudniowym mrozem trawie maszerowali z wojskową dyscypliną mężczyźni. Byli co prawda po cywilnemu, ale dowodził nimi ktoś w na półwojskowym mundurze. Inni uprawiali ćwiczenia gimnastyczne, szermierkę i walkę na bagnety.

Nic nie zmieniło się tu od 1939 roku. Tak to Bauma zaskoczyło, że nie potrafił powstrzymać się od okrzyku zdziwienia.

— Co pana tak dziwi? — spytał wesoło Meier. — To moi chłopcy, członkowie klubu sportowego „Teuton”. Nie wątpię, że będziemy mieli piękne osiągnięcia.

— Pański klub jakoś bardzo mi przypomina pułkową szkołę. Uczyłem się w niej kiedyś, właśnie na tym stadionie.

— Każdy ma prawo wspominać to, co chce — odpowiedział Meier. — Tak, ma prawo wspominać, ale nie ma prawa zapomnieć.

W słowach tych Baum znów wyczuł wyraźnie jakąś aluzję, ale i tym razem nie zareagował.

— Kiedy cały Berlin stanie się demokratyczny, to trzeba będzie ten stadion nieco przebudować — powiedział.



Meier zaśmiał się głośno, hałaśliwie, jakby usłyszał mocny dowcip.

— Pan dziś wziął się od samego rana mnie rozśmieszać, panie Baum — rzekł, wycierając chustką oczy. — A w moim wieku śmiech szkodzi. Poza tym robią się od tego zmarszczki wokół oczu. No, ale chodźmy do mnie, pogadamy o interesach.

W gabinecie Meiera usiedli w głębokich fotelach i zapalili cygara.

— Chcę teraz z panem pogadać, panie Richardzie — po raz pierwszy powiedział mu po imieniu, chcąc zaakcentować tym przyjazną atmosferę rozmowy — jako przewodniczący rady klubu sportowego „Teuton”. Zorganizowaliśmy się już dość dawno, ale silni staliśmy się dopiero teraz. Do klubu należy olbrzymia liczba sportowców...

— Na dywizję już starczy?

Meier uśmiechnął się.

— Mamy dużo pieniędzy, więc jasne, że klub będzie się rozrastał i rozwijał. Zamierzamy utworzyć własną bazę, całe miasteczko sportowe, gdzie można by było wychowywać prawdziwych rekordzistów, godnie reprezentujących honor sportowy Niemiec.

— Jak będzie wyglądało to miasteczko?

— Stadion, budynki administracyjne i wielki pensjonat. Widzę, że nie czyta pan gazet, panie Baum. Prasa sporo już pisała i pisze o tym sportowym mieście.

— Rzeczywiście, waszą prasę czytam dość nieregularnie. Ale proszę powiedzieć, do czego jestem panu potrzebny?

— Jako architekt i jako sportowiec.

— Więc proponuje mi pan wybudowanie tego sportowego miasta i...

— ...i wstąpienie do klubu „Teuton”.

— I nie obawia się pan, że mogę napisać w prasie o wszystkim, co tu widziałem, oraz przekazać treść naszej rozmowy?

Meier znów się zaśmiał.

— Pan będzie łaskaw. „Teuton” to popularny klub sportowy. Fotografie moich chłopców pojawiają się w prasie niemal co dzień. Początkowo tu i ówdzie prześlakowano, że to paramilitarna organizacja, ale teraz już im się to znudziło i ucichli.

— Jednak to wcale nie znaczy, że klub przestał być organizacją paramilitarną.

Ton Bauma nie spodobał się Meierowi. Twarz jego jakby się wyciągnęła, uśmiech zniknął.

— No, dość tego, Baum — rzekł zupełnie innym tonem. — Powiedziałem, że jest mi pan potrzebny jako sportowiec. Pańskie wstąpienie do klubu zachęci tych, którzy dotąd się wahają. Wiadomość o przejściu Richarda Bauma do nas ogłosi cała nasza prasa. No i zrozumiałe, że dobrze zabezpieczę pańską przyszłość. Muszę udowodnić, że najlepsi sportowcy wschodniego Berlina uciekają do nas. To wszystko.

— A jeśli tego nie zrobię?

— Zrobi pan.

— Kto mnie zmusi?

— Ja.

— W jaki sposób? Czym?

— O, tym.

Meier, pewny zwycięstwa, podszedł spokojnie do biurka, wyjął jakąś fotografię, spojrzął na nią, potem na swego gościa i podał mu ją.

Była to fotokopia podania, które kiedyś Richard Baum jako szesnastoletni chłopiec napisał na rozkaz szkolnego organizatora „Hitlerjugend” z prośbą o przyjęcie do tej organizacji, nie zdążyli go jednak przyjąć,

bo wybuchła wojna. Ale podanie pozostało i Meierowi udało się je zdobyć.

— Jest pan teraz członkiem Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec SED — ironizował Meier, przekonany o swej przewadze — wątpię jednak, czy długo by pan tam pozostał, gdybym posłał do pańskiej partii tę kopię, a jeśli trzeba, to również oryginał.

Twarz Bauma zachowała kamienny spokój.

— Czy ma pan jakieś konkretne dane o tym przyszłym miasteczku sportowym?

— Lubię rzeczowych ludzi, Baum — na twarzy Meiera znów zjawił się uśmiech. — Zamiast melodramatycznych scen, konkretne pytanie fachowca. Bardzo słusznie. To mi się podoba. Nigdy nie myślę się w ocenie ludzi. Proszę, oto dane o sportowym mieście.

Baum uważnie przejrzał wręczony mu dokument i potarł policzek, jakby sprawdzając, czy dokładnie się ogolił.

— Orientacyjnie na jedną dywizję?

— Tak.

— Rozumiem. A teraz, panie Meier, pojedę już do domu. Porozmawiałbym jeszcze z panem, ale nie mam czasu, muszę budować nasz stadion. Wszystkiego najlepszego!

— Niech pan nie żartuje, Baum! Jest pan w moich rękach.

— Bzdura! Sądzi pan, że wstępując do partii, zataiłem ten fakt? I pan twierdzi, że zna się na ludziach. Wy przegracie dlatego, że mierzycie nas własną miarą. My wstępujemy do partii z czystym sumieniem.

W oczach Meiera zapaliła się wściekłość. Wiedział, że Baum nie kłamał.

— Pan tu zostanie! Rozumie pan?

— Byłoby naiwnością z mojej strony, gdybym nie uprzedził moich towarzyszy, dokąd i do kogo jadę.

Rozśmiesza mnie pan, panie Meier. Panu się zdaje, że Niemcy pozostali tacy sami jak byli, jednak wielu z nich bardzo się zmieniło. Uczciwi Niemcy nie chcą wojny, a jeśli tacy jak pan pomogą Amerykanom ją rozpętać, to stryczek, który raz pana ominął, zaciśnie się na pańskiej szyi. Niech pan o tym pomyśli.

I nie żegnając się Baum wyszedł.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Rusanow wyszedł z politechniki, wciągnął głęboko świeże, mroźne powietrze, zgarnął z bariery śnieg, ułoczył z niego kulę i cisnął ją w uginające się pod ciężarem śniegu gałązki drzew. Roześmiał się sam nie wiedząc dlaczego.

Ruszył przez park do tramwaju. Śnieg padał i skrzył pod nogami wybijającymi rytm wiersza Niekrasowa o Dziadku Mrozie:

Gdy zechcę — rzeki w lodowe okowy zakuję,  
zbuduję mosty lodowe, jakich nikt nie buduje...

Gdzieś z lewej strony, koło wytwórni filmowej, zadzwonił tramwaj. Nie można się zorientować, w którą stronę jedzie, gdyż śnieg przytłumił wszystkie dźwięki. To chyba do centrum. Szybciej!

Rusanow nieomal biegł, ścigany przez dalsze strofy wiersza:

Idzie, po drzewach stąpa, po śniegu i lodzie,  
a słońce igra w jego kasztanowej brodzie...

Tramwaj zatrzymał się na przystanku właśnie w momencie, kiedy Rusanow wyszedł z parku. Jednym susem wskoczył na stopnie.

Na ulicach ludno, w sklepach po prostu trudno się przepchnąć. Wszyscy myślą o Nowym Roku.

Dobry był ten ubiegły rok, Wołodymyr Rusanow ma co wspominać. Ale kiedy przebiega w myśli wszystkie wydarzenia, to najmocniej utkwіło mu w pamięci spotkanie z Niną Sokił. Na samo wspomnienie ich pierwszej rozmowy robi mu się ciepłej na sercu. Co prawda rozmowa ta nie była zbyt przyjemna i przyjazna, ale teraz wspominać przyjemnie. Potem spotkali się jeszcze raz, kiedy był na praktyce w „Chreszczytkbudzie”, ale i wtedy rozmowa jakoś im nie wyszła. Myśli o dziewczynie serdecznie, ale kiedy ją widzi, kusi go, by powiedzieć jej coś złośliwego. Dlaczego tak się dzieje?

Dziś spotkają się znowu, może obejdzie się bez scyjsi. W uniwersytecie wielki bal studencki; Rusanow i Kosenko też zostali zaproszeni.

Tramwaj dojeżdżał już do przystanku przy placu Zwycięstwa, na którym stała wysoka choinka, przybrana zabawkami i lampkami. Wreszcie stanął. Rusanow wyskoczył z wagonu i poszedł szybko w górę zaśnieżonym, szerokim bulwarem Szewczenki. Śnieg oblepiał topole, które jakby uginały się pod jego ciężarem. „Trzeba by go strząsnąć” — pomyślał Rusanow.

Oto już jego dom. Szybko wbiegł na trzecie piętro, otworzył drzwi... Cudownie, mama jest już w domu!

Wszedł do pokoju i krzyknął z zachwytu tak, jak kiedyś w szczęśliwym dzieciństwie, gdy żył jeszcze ojciec i zajmowali nie jeden pokój, lecz duże mieszkanie w domu, który został zburzony w czasie wojny. Małego Wowkę wyganiano wtedy do drugiego pokoju, a rodzice długo czymś szeleścili i dzwonili. Potem drzwi otwierały się na oścież i chłopak szalał z rado-

ści na widok choinki z zapalonymi lampkami i błyszczącą pięcioramienną gwiazdą na szczycie.

Teraz też stał przed oświetloną choinką, przybraną złotymi i srebrnymi łańcuchami i kolorowymi bańkami. Jak dobrze zna te wszystkie choinkowe ozdoby! Obecnie już chyba tylko one przypominają mu odległe dzieciństwo.

Matka, zawsze taki poważny i stateczny wykładowca matematyki, uśmiechała się, patrząc na syna promiennymi, szczęśliwymi oczami. A on chwycił ją na rękę i zaczął tańczyć wokół choinki.

— Puść, wariacie!

Rusanow ucałował matkę w oba policzki.

— Gdzie witasz dziś Nowy Rok?

— Oczywiście w szkole ze starszymi klasami.

— A ja na uniwersytecie. Hurra!

— Dlaczego tak cię to cieszy? — spytała podejrzliwie.

— Bo będzie wesoło.

— A to „wesoło” biega pewnie z warkoczykami po uniwersytecie? — uśmiechnęła się matka.

— Mam już przecież dwadzieścia lat. I jeśli ktoś biega po uniwersytecie z warkoczykami, to nie ma w tym żadnego nieszczęścia.

Usiedli do stołu. Potem matka położyła się, a Wołodia wyciągnął się na kanapie, wziął książkę i długo nad czymś myślał.. Oto minął jeszcze jeden rok. Do końca studiów pozostaje półtora. Czas zleci szybko i Wołodymyr Rusanow zostanie inżynierem. Jakież mosty wtedy zbuduje, jakie potężne konstrukcje! Leżał i marzył o przyszłej pracy, a twarz Niny to pojawiała się, to znikwała w stalowej płataninie jego przyszłych budów.

Antonina Pawłowna poruszyła się — znak, że minęło czterdzieści minut. Nigdy dłużej po obiedzie nie

spała. Wstała świeża, jakby w ogóle nie było męczących godzin w szkole.

— Spałeś?

— Nie.

— Szkoda. Mogłeś się zdrzemnąć. Na pewno wrócisz dziś późno.

— Albo rano — zaśmiał się syn.

— No właśnie. Na mnie już czas.

Krzętała się bezszelestnie po pokoju, coś tam przedstawiała, przebierała się. Syn wodził za nią zakochanymi oczami.

— Pieniądze masz? — Antonina Pawłowna nieczęsto zadawała to pytanie, bo żyli bardzo skromnie.

— Mam.

— Ile?

— Czterdzieści rubli.

— Weź, przydadzą ci się na balu.

Podeszła do syna, objęła go i pocałowała w czoło.

— Wszystkiego dobrego z Nowym Rokiem. Życzę ci sukcesów, zdrowia i szczęścia.

— Wszystkiego najlepszego, mamusiu. Zdrowia, szczęścia, powodzenia.

Przez chwilę milczeli, po czym matka raz jeszcze ucałowała syna i wyszła, a Wołodia znów wyciągnął się na kanapie, zaczął rozmyślać o dzisiejszym balu i — zasnął.

Obudził go Kosenko.

— Wstawaj! Prześpij Nowy Rok! Już dziesiąta! Kto to widział, żeby tak się wysypiać przed balem.

Wołodia od razu zerwał się na równe nogi. Włożył świąteczny granatowy garnitur, w którym wyglądał na jeszcze szczuplejszego i wyższego.

Wyszli na bulwar Szewczenki. Światło latarni mieszało się z poświatą księżycową; była właśnie pełnia.

Śnieg mienił się niebieskawymi odcieniami. Promienie światła drżały na każdej śnieżynce. W tę noc Kijów bardziej niż kiedykolwiek wyglądał jak z bajki.

W auli uniwersyteckiej już się rozpoczęło wesołe, noworoczne święto. Niedoświadczeni pierwszoroczniacy przyszedli wcześniej na bal i stali teraz pod ścianami, spoglądając na choinkę. Muzyka grzmiała całą mocą kilku wzmacniaczy, ale na błyszczącym parkiecie nie zjawiała się jeszcze żadna para.

Mieszkanki 143 pokoju przeżywały przed balem nie-małe emocje. Pokój zamienił się na prawdziwy salon mody. Żelazka elektrycznego nie wyłączano ani na chwilę; rozgrzało się tak, że zdawało się, iż syczy nawet od spojrzenia. Dziewczęta krzątały się, denerwowały, coś tam bez przerwy przyszywały, dopasowywały, prasowały.

Zapukano do drzwi.

— Nie można! — zawołały chórem.

Do pokoju weszła sprzątaczką Maria Sofronowna.

— Jarynko, do ciebie telegram!

Dziewczyna pokraśniała jak czerwona suknia Sani Semydub. Chwyciła telegram, otworzyła go. W pokoju zapanowała cisza.

„Szczęśliwego Nowego Roku, bardzo cię kocham i mocno całuję. Stepan”.

Stepan Krotow po raz pierwszy wyznał dziewczynie swą miłość. Jarynka czuła, jak ciepła fala zalewa jej serce i twarz.

— Co tam u ciebie w domu? — spytała Lida Uwarowa.

— To oczywiście telegram od mamy — dodała niewinnie Katia Morozowa.

— Nie przeszkadzajmy jej, dziewczęta — rzekła Sonia. — Chciałabym na dziesięć telegramów dostać chociaż jeden taki.



— Nic nie rozumiecie — z powagą oświadczyła Jaryna — bo chociaż jesteście studentkami, toście jeszcze bardzo smarkate.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

No, ale czas już na bal. Jaryna jakby na skrzydłach leciała ulicą Wołodymyrską. Z okien auli padało światło aż do pomnika Szewczenki. Grzmiała muzyka. Jaryna, czując jak zamiera jej serce, przyszła na swój pierwszy studencki bal.

W westybulu dopadła ją Nina.

— Jak to dobrze, żeś przyszła! Chodźmy razem, tam z naszych jeszcze nikogo nie ma.

Nina była wyraźnie podniecona, zarumieniona.

Gdy tylko przekroczyły próg sali, podeszli do nich Rusanow i Kosenko. Rostysław czuł się tu jak u siebie w domu, natomiast jego przyjaciel bardzo się denerwował, nie wiedząc, jakie będzie to jego trzecie spotkanie z Niną. Dziś jednak dziewczyna wołała nie pamiętać tamtych sprzeczek. Serce w niej zamarło, gdy Rusanow podszedł do niej.

— Nie spodziewałam się tu pana spotkać.

— Ale myśmy bardzo liczyli na panią — włączył się do rozmowy Kosenko.

— Może nas zapoznasz, Nino — uśmiechnęła się Jarynka.

— Przepraszam, co za gapa ze mnie!

Chłopcy przedstawili się, ale już po chwili Jarynka zorientowała się, że nie ma tu czego szukać, gdyż i Wołodymyr i Rostysław byli zajęci wyłącznie Niną. Było to jej zresztą obojętne, telegram grzał jej serce.

Orkiestra zagrała walca.

— Pani pozwoli — Kosenko z galanterią skłonił się przed Niną.

Dziewczyna rzuciła szybkie spojrzenie na Rusanowa

i położyła dłoń na ramieniu Kosenki. Honta i Rusanow siedzieli przez chwilę w milczeniu.

— Jak tam pańskie sukcesy w koszykówce?

— Oni bardzo dobrze tańczą...

Jaryna podniosła głowę do góry i spojrzała na niego jak na wieżę, Rusanow był wyższy od niej przynajmniej o dwie głowy.

Czując niezręczność sytuacji chłopak spojrzał w dół.

— Pani o coś pytała?

— Tak, o pańskie koszykarskie sukcesy.

— Jak dotąd nieźle. Podobno mają mnie wziąć do reprezentacji Związku Radzieckiego.

— O, byłyby to rzeczywiście sukcesy.

Rusanow nie odpowiedział, zajęty obserwowaniem tańczącej Niny.

— No to pójdę do swoich — powiedziała Jaryna. Rusanow nie protestował, dziewczyna przeszkadzała mu tylko.

Nina i Kosenko wrócili na miejsce, on ze spoconym czołem, ona zupełnie nie zmęczona.

— Ten walc to głupi taniec — rzekł Kosenko. — Kręcisz się bez przerwy jak fryga. Tango — to rozumem.

— Pani też się zmęczyła? — spytał Rusanow.

— Nie.

— To zatańczymy?

— Zatańczymy!

Objął dziewczynę i od razu dla obojga aula opustoszała, znikły audytorium i korytarze, byli tylko oni. Obok nich znaleźli się w pewnym momencie Jarynka i Walka Wowk, ale Nina nie zauważyła ich, nie słyszała też, jak Walka powiedział do niej głośno:

— A gdzieś ty poderwała taki maszt telewizyjny?

Nie zwracała na nic uwagi. Ogarnęło ją jakieś

dziwne uczucie i niosło ją w płynnym walcu. Wiele przedtem tańczyła, nigdy jednak dotąd nie doznawała czegoś podobnego. Czyżby tylko dlatego, że Rusanow tak delikatnie, a jednocześnie mocno trzyma ją w ramionach i prowadzi w tańcu?

Muzyka ucichła.

— Obawiałem się, że jak się dziś spotkamy, to znów się pokłócimy — powiedział Rusanow.

— Okazuje się, że to nie jest konieczne — na ustach Niny pojawił się szczęśliwy uśmiech. — Choć, przyznaję, też się tego bałam.

— A więc przyjaźń?

— Przyjaźń.

Nina swymi cienkimi palcami lekko uściśniła dużą dłoń Rusanowa. Chłopak odczuł ten uścisk w samym sercu.

Muzyka znów zagrała. Wokół stojącej w środku auli choinki znowu zawirowały niezmordowane pary. Czerwona jak kwiat nasturcji sukienka Sani Semydub wylaniała się to tu, to tam jak błędny ogień.

Kosenko stał ciągle w tym samym miejscu, ze złością spoglądając na Ninę i Rusanowa. Właściwie nie miał żadnych powodów do gniewu, ale odechciało mu się już tańczyć.

W sali przygasły światła. Główny organizator wieczoru Ihor Skworczyk wyszedł na scenę i oznajmił:

— Rozpoczynamy noworoczny koncert w wykonaniu studentów.

— Chodźmy do bufetu — zaproponował Kosenko.

— Nie mam ochoty — odpowiedziała Nina.

Pozostali więc na miejscu. Grymas na ustach Kosenki świadczył, że nie obiecuje sobie zbyt wiele po tym występie, kiedy jednak koncert się zaczął, musiał przyznać, że się mylił. Program był niezbyt bogaty, ale na długo zapisał się w pamięci.

Nikt się nawet nie spostrzegł, jak na progu pojawił się Nowy Rok. I z pierwszym uderzeniem kurantów na Spasskiej Wieży Kremla popłynęło z głośników na całą salę, na cały uniwersytet, na cały świat:

— Z Nowym Rokiem, Towarzysze!

To Moskwa składała noworoczne życzenia całemu Związkowi Radzieckiemu i wszystkim ludziom pracy na całym świecie.

— Wypijmy więc, przyjaciele, za Nowy Rok! Niech strzelają w sufity korki z szampana! Niech się wino pieni w wysokich kielichach! Za nowe szczęście! Za nową pracę! Za Nowy Rok! Za pokój!

Stali w trójkę przy bufecie. Kosenko nalewał wino, coś mówił, ale do Niny to nie docierało. Ciągle jeszcze miała uczucie, że na świecie istnieją tylko oni dwoje, ona i Rusanow.

— Za nasze szczęście! — Kosenko szybko oblizał wargi i spojrzał na Ninę.

— Za nasze szczęście — spojrzenie dziewczyny pobiegło gdzieś w dal.

— Za nasze szczęście — powtórzył Rusanow, również patrząc na Ninę.

Wypili.

— A teraz tańczmy! — zawołał Wołodia, chwycił Ninę za rękę i pobiegł z nią do auli.

Kosenko niezadowolony ruszył za nimi. Niech tam Rusanow tańczy. On, Kosenko, ma takie atuty, że nie obawia się długonogiego przyjaciela, Nina i tak od niego. Kosenki, nie ucieknie.

Tymczasem w sali balowej było jeszcze weselej. Wszyscy trochę już wypili, gwar się nasilał, tu i ówdzie zaczynało śpiewać, tańczono coraz ognściej.

Kiedy młodzież, zmęczona, ale szczęśliwa, zaczęła wychodzić z balu, była już piąta rano. Z okien auli ciągle jeszcze sływało na ulicę Wołodymyrską świa-

tło wraz z myzuką. Nad ranem chwycił silny mróz, który zapierał oddech, śnieg skrzypiał pod nogami. Wychodzący z uniwersytetu ze śmiechem i gwarem studenci zaczęli obrzucać się kulami śnieżnymi, robiąc wiele wesołego zamieszania. Ninę odprowadzali obaj. Kosenko miał początkowo nadzieję, że przyjaciel będzie respektował jego dawne prawa do Niny, ale Wołodi nawet przez myśl nie przeszło odstąpić od dziewczyny. Dziś wieczorem wydarzyło się coś bardzo dla niego ważnego, przesądzającego jego los, chociaż nie uświadamiał sobie tego jeszcze w pełni, nie padło przecież żadne słowo, żadne wyznanie. Niemal przez całą drogę Nina i Rusanow milczeli. Zbyt wiele uczuło się w ich sercach, by mogli zdobyć się na jakieś banalne słowa. Kosenko miał okazję do popisu, w pełni ją zresztą wykorzystał, prześcigając samego siebie w opowiadaniu anegdot.

Gdzieś około szóstej dotarli do ulicy Artema. Rostysław i tu chciał okazać przewagę nad swym przyjacielem, popisując się tym, że wie dobrze, gdzie Nina mieszka. Miał nadzieję, że chociaż w ostatniej chwili przyjaciel pozostawi go sam na sam z Niną, ale i tym razem zawiódł się, był więc wściekły.

Gdy pożegnali się z Niną, Kosenko zatrzymał tak-sówkę. Był zły na przyjaciela. No, ale opowie mu teraz coś niecoś, zobaczymy, czy będzie dalej taki pewny siebie.

Dziadek Mróz przyszedł również do Eryki Stahlberg. Nie była już teraz sama w „Czarnym Smoku”, bo zjechało tu już wielu sportowców i Eryka znalazła się przy śniadaniu w licznym i hałaśliwym towarzystwie. Wszyscy mówili do siebie po imieniu, ją też potraktowano jak starą znajomą.

— Bardzo się cieszę z poznania pani — mocno uściskał dłoń Eryki Tom Hurkness, młody chłopiec, dwumetrowego wzrostu, jeden z najlepszych koszykarzy w Ameryce. — Szczerze mówiąc, tak właśnie sobie panią wyobrażałem. Podczas ostatniej podróży ktoś mnie pytał o panią, ale niech mnie jasny piorun trzaśnie, jeśli pamiętam, kto to był.

Eryce zaschło w gardle.

— A skąd pan teraz przyjechał? — spytała cicho.

— Mieliliśmy trzy mecze w Szwecji i wszystkie trzy wygraliśmy, ale byli tam nie tylko koszykarze, w tym samym czasie odbywały się zawody lekkoatletyczne między Szwedami, Węgrami i chyba Czechosłowakami. Może właśnie wśród nich ma pani kogoś znajomego?

— Być może — wyszeptała Eryka. — Bardzo pana proszę, żeby pan sobie przypomniał. Koniecznie. To dla mnie bardzo ważne.

— Na pewno sobie przypomnę — zaśmiał się Tom Hurkness, odsłaniając wielkie zęby. — Natęzę wszystkie swoje zwoje mózgowie i przypomnę sobie. A wie pani, że takie natężenia mózgu nieczęsto mi się zdarzają. I tylko w nocy. Budzę się nagle i wszystko mi się przypomina, ale jeśli nie zapiszę, to do rana znów wszystko zapomnę.

— Niech pan koniecznie zapisze, bardzo pana proszę. Nie ma pan pojęcia, jakie to dla mnie ważne.

— O nie, teraz już mam pojęcie — odparł zupełnie poważnie Tom, z którego opadła nagle maska błazeńskiej wesołości, kryjąca poczciwą twarz chłopca, wrażliwego na kłopoty i przeżycia przyjaciół. — Mogę panią zapewnić, że wcześniej czy później sobie przypomnę. A dokąd wybiera się pani na sylwestra? Chyba nie zamierza pani spędzić go tu, w „Czarnym Smoku”?

— A gdzie?

— Pomyślimy o tym, może nawet tu coś zorganizu-

jemy, ale po swojemu. Jest pani przecież gościem w Ameryce. A gościnność, jak wiadomo, zobowiązuje.

Wypił jednym haustem duży kielich bardzo słodkiego syropu i wstał od stołu.

— Godzina odpoczynku, a potem na boisko.

Eryka przyglądała się teraz pozostałym nowym znajomym; wydali się jej bardzo mili i sympatyczni. Ten chłopak, który siedzi przy drugim końcu stołu, to na pewno John Heaviside, jeden z najlepszych sprinterów w dziejach amerykańskiej lekkoatletyki. Ma przyjemną twarz i uśmiech jak z reklamy pasty do zębów.

Eryka lustrowała wzrokiem wszystkich po kolei, a serce biło jej przyspieszonym rytmem ze szczęścia. Nie wątpiła, że to Tibor pytał o nią w Szwecji. A więc nie zapomniał o niej w ciągu tych długich miesięcy, nie zwiędła jego miłość.

Ale właściwie dlaczego jej tak radośnie? Nie ma przecież żadnych szans na spotkanie. Kiedyś mówiło się o zawodach studenckich, ale teraz już się o tym nie wspomina. A mimo to nadzieja jej nie opuszcza, bo nie potrafiłaby bez niej żyć. Przecież chłopcy i dziewczęta jeżdżą po całym świecie, dlaczego więc do niej nie miałyby się uśmiechnąć los?

Na trening poszła w doskonałym nastroju. Zbliżał się już Nowy Rok, ale mrozu ciągle jeszcze nie było. Nawet nie wiadomo, czy w Nowym Jorku w ogóle bywają mrozy? To wilgotna jesień, a nie zima.

Na boisku koszykówki dostrzegła Toma, który za-  
wzięcie trenował wraz ze swymi dwumetrowymi kolegami. Świetny chłopak!

Wyszedł Shilling, zawołał ją. Zaczęła się zwykła, przyjemna praca. Dobry nastrój nie opuszczał jej ani na chwilę, przejawiając się w każdym jej spojrzeniu, w każdym ruchu.

„Gdyby w takim nastroju startowała w wielkich za-

wodach, padłby niewątpliwie nowy światowy rekord — pomyślał trener, przyglądając się dziewczynie. — Ciekawe tylko, co na to wpłynęło? Czyżby już zdążyła zakochać się w którymś z jego chłopców? To nawet nieźle, miłość tak szybko nie mija, a korzyści byłoby z tego sporo. Kto może być bohaterem tego romansu?”

Shilling bacznie śledził Erykę i dostrzegł jej kilka ciepłych spojrzeń, skierowanych na chłopców trenujących koszykówkę. „Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Z czasem dowiemy się dokładnie, który to. Bardzo dobrze”.

Wieczorem w holu ujrzał ją w towarzystwie Hurknessa. Zmarszczył brwi, uznał, że był to wybór jak najgorszy. Tom był najlepszym koszykarzem, co dawało mu pewną niezależność wobec Shillinga. Niedobrze, jeśli Eryka ulegnie jego wpływowi. No, ale nie uprzedzajmy faktów, dziewczyna ma tak szczęśliwy wyraz twarzy, że na pewno nie zawiedzie na najbliższych zawodach.

Eryka nawet nie zauważyła Shillinga, pochłonięta całkowicie rozmową z Tomem i Johnem na temat sylwestrowych planów. To przecież nie jakieś zwykłe święto, lecz Nowy Rok, początek nowych nadziei, nowego szczęścia...

— Otóż postanowiliśmy powitać Nowy Rok w restauracji „Ostatni Rekord” — mówił Tom. — Panią to szczególnie powinno zainteresować, bo zbierają się tam najlepsi sportowcy Ameryki, na pewno będzie bardzo wesoło. Dobrze tam popijemy, a potem przyjdziemy tu się jeszcze bawić. Rano zjemy śniadanie z Shillingiem, w tym dniu nie ma on nad nami żadnej władzy, nie obchodzą nas żadne umowy i kontrakty, a więc zapowiada się zabawa na sto dwa.

— Zresztą Shilling jest w towarzystwie byczy chłop — zauważył Heaviside.



— Tak, słyszałem o tym. No to jak, Eryko, zgoda?

— Oczywiście zgoda — odpowiedziała wesoło.

Miała nadzieję, że w tym nowym pięćdziesiątym drugim roku wszystko się odmieni, życie będzie jaśniejsze i szczęśliwsze.

Do holu wtoczyła się pani Shilling.

— Zdaje mi się, że państwo powinni już iść spać — przypomniawszy monotonnym głosem.

— Święta prawda — potwierdził wesoło Hurkness. — Może pani uważać, że już śpimy.

Następnego dnia rano Eryka kilka razy spojrzała pytająco na Toma, ale on nie zareagował, jakby niczego nie rozumiał. Dla niego rozmowa o przypadkowym spotkaniu w Sztokholmie nie miała żadnego znaczenia. Gdyby wiedział, jak ważna była dla Eryki!

Minęły jeszcze dwa dni i w końcu dziewczyna nie wytrzymała i spytała Toma o to z pozorną obojętnością.

— Nie wiem, co się stało z moją głową, chyba początek sklerozy. Ale sobie przypomnę, na pewno, najpóźniej do Nowego Roku.

— Proszę nie zwlekać zbyt z odpowiedzią. — Eryka ciągle jeszcze udawała wesołość. — I niech się pan nie gniewa z powodu mojej natarczywości, ale to rzeczywiście dla mnie istotne.

Ale znów zapomniał o obietnicy, bo całą uwagę sportowców pochłonął zbliżający się Nowy Rok. Nawet Eryka poddała się powszechnemu uroczystemu nastrojowi; długo naradzała się z Lorą, w jakiej sukni wybrać się na sylwestra.

— Boże, jaka pani piękna! — zawołali Hurkness i Heaviside jednocześnie, jakby się umówili, wchodząc do pokoju Eryki. — Nasi już się zebrali i czekają na dole. Chodźmy!

Eryka czuła, że się rumieni. Jak to byłoby cudownie, gdyby zobaczył ją teraz Tibor.

Wrócili do domu o szóstej rano.

— No, Eryko, jak podobał się pani amerykański sylwester? — spytał Heaviside, opadając w holu na fotel i czując, że zaczyna razem z nim wirować. — A wie pani, że ja jestem chyba porządnie zalany. W porządku... Idę do siebie...

Eryka i Hurkness siedzieli zmęczeni i patrzyli na siebie. Od czasu do czasu przechodził holem jakiś sportowiec, w pensjonacie Shillinga nie zamierzano dziś spać.

— Musimy jeszcze wypić po kieliszku szampana — powiedział Tom rzeczowym tonem. — Wiem, gdzie jest schowany.

Podszedł do szafy, wyjął flaszkę i kieliszki.

— Za pani sukcesy w Ameryce, za pani szczęście, za pani światowy rekord. Hip hip hurra! — wypił jednym haustem. — Mam! — krzyknął nagle.

— Co?

— Przypomniałem sobie! Zwoje jednak pracują! Hurra!

Eryka zbladła. Tom przeraził się, gdy na nią spojrział. Może lepiej teraz o tym nie przypominać.

— Kto przekazał dla mnie pozdrowienia?

— Niemiec. Richard Baum. Oni tam występowali poza konkursem. Zupełnie zapomniałem o tym. Świetny facet. Zaprzyjaźniliśmy się. Ale co się z panią stało? Nie jest pani zadowolona?

— Nic podobnego... Bardzo panu dziękuję — wyszeptła Eryka.

Przed oczyma stanęła jej jasna berlińska noc i ostatni długi spacer z Richardem Baumem. To bardzo miły chłopak, dzięki niemu jej pożegnanie z Berlinem stało się niezapomniane.

Jednocześnie odczuła głębokie rozczarowanie. Tak

bardzo czekała na pozdrowienia od Tibora i nagle wszystkie jej nadzieje rozwiały się.

— Proszę wypić, Eryko — zaproponował Tom, dolewając szampana. — Jest pani w dziwnym nastroju, ale ja to rozumiem. Ten Richard Baum to świetny facet. Wie pani, kiedy człowiek pozna tych chłopców ze wschodnich krajów, to okazuje się, że oni absolutnie nie są tacy, jak piszą nasze gazety. Zresztą przekonałem się, że nie można wierzyć prasie. Trzeba z ludźmi najpierw pogadać przy jednym stole i dopiero wtedy się okaże, gdzie żyje się dobrze, a gdzie parszywie. Pani zdrowie!...

Wypił, spojrzął na Erykę i znów zaskoczył go wyraz jej twarzy. Potem nalał ponownie w kieliszki.

— Wiele rozmawialiśmy z Baumem. Mądry chłopak. Buduje teraz nowy stadion w Berlinie. Jakby to było dobrze, gdyby tak zebrać tysiąc, dziesięć tysięcy takich chłopaków jak ja i Heaviside, i w ogóle naszą amerykańską młodzież, i posadzić ich przy wspólnym stole z takimi jak Baum, oczywiście z różnych krajów. Po takiej rozmowie nikt by już nie myślał o wojnie. Mój ojciec jest farmerem w Kansas. Farma duża, żyje mu się nieźle. A ja studiowałem w koledżu. I nie mam najmniejszej ochoty wojować. Rozumie pani?

— Mówi pan trochę niebezpieczne rzeczy — zauważyła Eryka. — Shilling byłby chyba bardzo niezadowolony, gdyby to słyszał.

— Wiem, ale mówię to przecież do pani, a nie do niego. A pani wierzę, bo inaczej Baum nie przekazywałby pani pozdrowień. No i Shillinga znów tak bardzo się nie boję. No, ale pójdę już, trochę się prześpię.

— Niech pan chwilę zaczeka. Czy tam w Sztokholmie, nie spotkał pan Węgra Tibora Szabo?

— Skacze? — spytał, unosząc w górę palec wskazujący, jakby chciał określić wysokość skoku.

— Tak.

— Spotkałem. Zajął drugie miejsce. Skoczył dwa metry. Żadna rewelacja, ale chłopak przyjemny.

— A rozmawiał z nim pan?

— Nie. Ale obiecuję, że jeśli go kiedyś spotkam, na pewno porozmawiam.

Do holu znów weszła pani Shilling.

— Zdaje się, że czas już spać.

— Dziś nie podlegamy nikomu, dyscyplina obowiązuje dopiero od rana drugiego stycznia — odparował Tom i wykonując palcem nad głową jakieś esy-floresy, poszedł jednak do swego pokoju.

— Pani też nie szkodziłoby pójść spać — gderала pani Shilling.

— Tak, tak, zaraz się kładę — odpowiedziała pokornie dziewczyna.

Ale sen nie przychodził. Pograżona w ciężkich myślach Eryka nie zauważyła, jak do pokoju zaczęło się wkradać blade światło dnia. Z wieczornego przyjemnego podniecenia nie pozostało ani śladu. Nic dobrego w jej życiu już się nie zdarzy, po co więc ustanawiać rekordy, tracić tyle sił na treningi, na tę obrzydliwą pracę? Czy tylko po to, żeby Shilling bogacił się coraz bardziej i żeby coraz więcej zielonych papierków zbierało się w jej skórzanej teczce? Wszystkie te pieniądze nie są warte cierpień, które tu znosi daleko od ukochanego i najbliższych... Nie, nie wytrzyma tu dłużej! Niech diabli wezmą Shillinga z jego wymaganiami! Nie będzie dla niego ustanawiać rekordów! Niech wybije to sobie z głowy! A kiedy się przekona, że nie może już mieć z niej żadnego zysku, sam ją przepędzi.

Przyszłość wydała się jej tak straszna i beznadziejna, że rozplakała się, chowając twarz w poduszkę.

Z dołu doleciał gong. To Shilling zwoływał swoich

wychowanków na noworoczne, świąteczne śniadanie. Eryka Stahlberg nawet nie drgnęła. Niech uczują bez niej. I tak jest jej ciężko, a teraz nie zniosłaby widoku Shillinga. Nie pozostanie tu dłużej, nie może...

Wspomniała Toma. Zdziwiłby się Shilling, gdyby słyszał ich wczorajszą rozmowę. Okazuje się, że Tom nie jest wcale taki prostak. Można się z nim zaprzyjaźnić. A co z Tiborem? Wyrzec się na zawsze nawet nadziei spotkania z nim? Nie, to niemożliwe. Wróci do domu chociażby za cenę zerwania kontraktu, za cenę więzienia... Wróci.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Petro Pawłowicz Sokił nie miał szczęścia w tę noworoczną noc: wypadła mu praca. Zamiast usiąść z przyjaciółmi przy stole, musi ganiać z jednego końca miasta na drugi z pasażerami.

O północy taksówki zebrały się na postojach, kierowcy składali sobie noworoczne życzenia. Właśnie w tej chwili przy wszystkich stołach ludzie wznosili pierwsze toasty.

Przerwa w nocy Petra Pawłowicza trwała może pół godziny. Potem znowu zjawili się pasażerowie. Byli już bardzo rozmowni, podnieceni, wylewni, składali sobie wzajemnie i kierowcom życzenia noworoczne. Taksówka Petra Pawłowicza była tej nocy niemal w ciągłym ruchu, który wzmógł się szczególnie po drugiej, kiedy niektórzy wracali już do domu, inni zaś „zmieniali lokal”. Sokił dobrze wiedział, ile wypadków jest co roku w tę noc, dlatego też jeździł niesłychanie ostrożnie i ze szczególnie napiętą uwagą. Czujnie wsłuchiwał się w pracę silnika i jazdę samochodu, zwracał uwagę na sygnały innych samochodów,

no i musiał jeszcze odpowiadać na pytania i uwagi pasażerów. Ciepłe swetry okazały się teraz zbyt ciężkie, było mu cały czas gorąco.

Kijów witał Nowy Rok hucznie, z rozmachem. Śpiewano na wszystkich ulicach. Na Chreszczatyku było tłumnie jak w dzień. Nawet silny mróz nikogo nie odstraszał — po skrzypiącym śniegu najprzyjemniej się spaceruje.

Sokił zawiózł na Łukianówkę trzech wojskowych i wracał ulicą Artema do śródmieścia, kiedy blisko jego domu zatrzymali go dwaj młodzi ludzie.

„Ciekawe, czy Nina jest już w domu? — pomyślał, spoglądając na swoje okna, w których w tym momencie zabłysło światło. — Zdaje się, że właśnie wróciła. Pewnie porządnie zmęczona po tym swoim studenckim balu”.

Początkowo nie interesował się rozmową pasażerów, zaciekawiała go ona dopiero, gdy usłyszał imię i nazwisko swej córki.

— Idę o zakład — mówił jeden z nich — że Nina Sokił będzie moja, nie ucieknie mi. Czempionka nie czempionka, one wszystkie jednakowe. Zgodziła się pójść od razu do restauracji, a więc połowę zachodów mam z głowy. Czy wiesz, jak my z nią się całowaliśmy?

— Coś ty powiedział? — spytał ostro ten wyższy.

— Powiedziałem: czy wiesz, jak ona się całuje? Nie wiesz? A ja wiem!

Przez chwilę w taksówce trwała cisza. Petro Pawłowicz czuł, jak ulica nagle zaczęła przed nim płynąć. Nie powiedział ani słowa, mógł tylko słuchać, chciał zresztą dowiedzieć się wszystkiego do końca. Oto, jaki noworoczny prezent przyniosła mu córka...

Nagle Sokił usłyszał za sobą odgłos uderzeń w twarz i głos tego wyższego:

— Ja cię nauczę, jak należy mówić o naszych dziew-

czętach! Wynoś się z taksówki! Panie kierowco, proszę zatrzymać!

— Coś ty zgłupiał! — oponował ten drugi.

— Zjeżdżaj!

Drzwi samochodu otworzyły się. Z jaką rozkoszą kierowca Sokił pomógłby wyrzucić tego bezczelnego łobuza na śnieg.

— Zakochany idiota! — krzyknął ten niższy, padając na śnieg. — Ja i tak ją...

Ostatnich słów ani Sokił, ani Rusanow już nie słyszeli. Zahuczał silnik, samochód ruszył.

— Dokąd? — spytał Sokił.

Powściągliwego zwykle i nieskłonno do rozmów Rusanowa teraz poniosło. Nie zważał na to, że mówi do zupełnie obcego człowieka, którego może cała ta sprawa w ogóle nie interesuje, ale musiał przecież przed kimś wyładować swoje wzburzenie.

— Chodzi o to, wie pan — mówił gorączkowo — że jest pewna dziewczyna... Słońce nie dziewczyna... I ja ją... — zawiesił na chwilę głos. — Tak, kocham ją. A ten niby „przyjaciel” — wskazał pogardliwie na puste obok siebie miejsce — przechwala się, że się z nią całował i włóczył po restauracjach... Bezczelnie kłamie! To zresztą nie byłoby nic strasznego, ale jeśli taka dziewczyna, jak ona, poszła już z tobą, to nie chwal się tym i mów o niej z szacunkiem! A taki bydlak wszystko zaraz zbruka... On nie jest godzien chodzić jej śladami... No ale dostał za swoje po gębie... Może nie trzeba było brudzić sobie rąk — zakończył Rusanow, jakby się tłumacząc — ale nie wytrzymałem.

— Trzeba było! — powiedział kierowca. — Za coś takiego należy bić w gębę.

W sercu Petra Pawłowicza rozpętała się burza. Nawet przez myśl by mu nie przeszło, że ktoś mógłby o Ninie mówić takim tonem jak ten pasażer, wyrzuc-

ny na zaśnieżoną ulicę Artema. Zdawało mu się, że spadło na niego jakieś wielkie nieszczęście. Jego kochana, sławna córka była w tej chwili dla niego odrażająca. Ale trwało to moment. Nie, ona nie zrobiła nic złego, ten szczeniak tak się tylko przechwala, brawuruje...

— A przede wszystkim łże jak pies! — gorączkował się dalej Rusanow. — Ja mu...

— A jeśli nie łże?

— Nieprawda, kłamie, bezczelnie kłamie! — stwierdził kategorycznie, starając się przekonać przede wszystkim siebie.

Sokił nie odpowiedział. W tej chwili bał się przyznać temu sympatycznemu i, jak widać, porządnemu chłopcu, że Nina jest jego córką. Stary kierowca wzruszony był i tym, że chłopak tak energicznie stanął w jej obronie, i tym, że z taką prostotą mówił o swojej miłości. Chciał być jak najszybciej w domu, porozmawiać z Niną. Kiedy Rusanow, wychodząc z taksówki, wręczał mu pieniądze, Sokił mocno i szczerze uścisnął jego silną dłoń.

— Szczęśliwego Nowego Roku! — głos Sokiła lekko zadrżał. — Życzę panu wiele szczęścia!

— Wszystkiego najlepszego! — odpowiedział wzruszony Rusanow.

Rusanow patrzył przez chwilę za oddalającą się taksówką, potem szybko wbiegł na górę. Gdyby nie ten podły Kosenko, szczęście jego byłoby pełne. Rostysław kłamał, to oczywiste, a jednak wspomnienie o tym jest bolesne. Głupstwo, przecież się spotkają z Niną, porozmawiają... Na samą myśl o tym odczuł w sercu przypływ ciepła i zapomniał o przykrym incydencie. Cicho, żeby nie obudzić matki, wszedł do ciepłego, na pół ciemnego jeszcze pokoju.

Sokił pędził do garażu. Jakieś wesołe towarzystwo



machało rękami próbując go zatrzymać, ale nie zwracał na to uwagi. Jak najszybciej odstawić samochód i — do domu. Miał takie uczucie, jakby Ninie groziło jakieś niebezpieczeństwo, musi więc spieszyć, by ją przed nim ochronić.

Chyba był bardzo zmieniony, bo dyspozytor dyżurny przyjrzał się uważnie, czy też stary kierowca nie golnął sobie z okazji Nowego Roku. Jednak samochód, licznik, pieniądze — wszystko w porządku.

Do miasta ruszyła dzienna zmiana. Kolega podrzucił go do domu i kiedy rodził się pierwszy dzień nowego roku, Sokił był już u siebie. W domu panowała senna cisza. Z kąta, gdzie stało łóżko Niny, dolatywał równy oddech, spała też Stepanida Pawłowna. Ale teraz ta cisza wydała się Sokiłowi jakby ciszą przed burzą. Usiadł koło łóżka Niny i wstrzymując oddech wpatrywał się w zaróżowioną twarzyczkę córki. Westchnęła głębiej i uśmiechnęła się we śnie szczęśliwie, bez trosko... Co robić, żeby żadne zmartwienie, żadne zło nie dotknęło jej serca?

W pokoju było ciepło i dopiero teraz Sokił odczuł zmęczenie, pełna nerwowego napięcia noc dała mu się porządnie we znaki, sen coraz większym ciężarem zwał się na jego barki, siwa głowa pochylała się coraz niżej.

Obudził go łagodny dotyk córki. Otrząsnął się i niespokojnie rozejrzał po pokoju, nie rozumiejąc, dlaczego zasnął na krześle. Przez okna, do połowy ozdobione wymyślnymi liśćmi paproci, wlewało się jasne zimowe słońce.

Nina leżała w łóżku i patrzyła na ojca. Szczęście, które zjawiało się tam, na balu uniwersyteckim, jeszcze nie minęło i chyba już nigdy nie przeminie. A ojciec tak jakoś dziwnie wygląda na tym krześle. Dlaczego nie

położył się spać do łóżka? Skąd w nim ten niepokój i zakłopotanie? Co się stało?

Było to właśnie pierwsze pytanie Niny.

— Nic szczególnego — odburknął ojciec.

Poszedł do łazienki ogolić się i umyć, a gdy wrócił do pokoju, śniadanie czekało już na stole. Wkrótce zjawiała się też Nina, świeża, promienna. I jak tu z nią rozmawiać o takiej podłości? A przecież trzeba.

Po śniadaniu, zapaliwszy papierosa, Sokił opowiedział córce wszystko, nic nie ukrywając i starając się być rzeczowy i dokładny. Gdy powtarzał słowa Kosenki, głos jego na chwilę zachrypł.

— No więc takie rzeczy mówią o tobie, córko — kończył. — Myślę, że nie ma cię za co karcić, nic złego jeszcze się nie stało, ale może się stać. I w tym właśnie dopatruję się twojej winy. Musisz z większą uwagą dobierać sobie przyjaciół.

Szczęśliwa, radosna twarz Niny zmieniła się tak bardzo, że Sokił, spojrzawszy na nią, zamilkł, przepęnliony nagle tkliwym współczuciem.

Nina nie wierzyła własnym uszom. Słowa ojca były tak nieoczekiwane i straszne, i tak bardzo ją wzburzyły, a przecież nie mogła im zaprzeczyć. Gdyby nie ojciec to mówił, po prostu nie uwierzyłyaby. Najbardziej zabolęła ją, kiedy padło słowo „wina”, nie zareagowała jednak na to, bo istotnie czuła się winna. Przecież jedynie na złość Rusanowowi, nie kochając Kosenki, pozwoliła mu na zalecanki. No i teraz trzeba za to płacić... Ale ojciec się myli, nic złego nie mogło się stać. A może mogło?

Jaki wspaniały chłopak z tego Rusanowa! Stanął w jej obronie; już tylko za to można go pokochać. Ale nie, nie, nie będzie żadnych rozmów ani myśli o miłości, nawet wspominać o niej nie wolno. Została splugawiona, oszkalowana.

Nina padła twarzą na poduszkę i gorzko zapłakała. Przez cały dzień siedziała w domu, cicha, zamyślona, zaś przed obiadem powiedziała do ojca:

— Zawiniłam wobec ciebie, ojcze, wiem o tym. Ale możesz być pewny: nigdy więcej...

Sokił zaśmiał się.

— O, w tych sprawach nigdy nie można mieć pewności.

— Nie, możesz być spokojny — Nina dumnie potrząsnęła głową.

Rusanow wytrzymał z trudem trzy dni, a potem poszedł jednak na uniwersytet. Chciał porozmawiać z Maksymowem o zbliżających się zawodach, ale przede wszystkim musiał zobaczyć Ninę, bo bez niej nawet najprostsza formułka fizyczna nie wchodziła do głowy.

Spotkali się w korytarzu w pobliżu dziekanatu wydziału filologicznego. To nagłe spotkanie wzburzyło Ninę, kiedy jednak przypomniała sobie rozmowę z ojcem, zmieszanie ustąpiło miejsca chłodnej stanowczości.

— Dzień dobry! — zawołał Rusanow, uśmiechając się radośnie. — Tak się cieszę, że panią spotkałem!

— Nie rozumiem powodu pańskiej radości — powiedziała oschle Nina. — Czyżby pan mnie szukał?

— Tak... to jest nie... tylko... — plątał się zmieszany chłopiec. — Mam tu do załatwienia pewną sprawę... chodzi o mecz koszykówki.

Nina dobrze wiedziała, że w tej chwili żadna koszykówka Rusanowa nie obchodzi i że przyszedł tu tylko dla niej, a jednak...

— A nie chciałaby pani ze mną się spotkać? — spytał nieoczekiwanie.

Ninie krew uderzyła do twarzy. A więc z tego Rusanowa taki sam pyszałek jak ten przekłety Kosenko.

Przez jeden wieczór tańczyli, a jemu już się zdaje, że podbił ją na całe życie. Głupi zarozumialec!

— Proszę zapamiętać, że nie są mi potrzebne żadne spotkania z panem! Do widzenia.

Nina poszła do wyjścia, zostawiając oszołomionego Rusanowa. Wiedziała, że jej słowa są niesprawiedliwe. Chłopak w niczym nie zawinił. Ale nie mogła inaczej z nim rozmawiać. Wszystko, co było związane z imieniem tego oblizującego się ciągle Kosenki, wywoływało w niej wściekłość.

Nie oglądając się, skierowała się do szatni.

#### ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Od tej pamiętnej nocy sylwestrowej nastąpił jakiś przełom w życiu Eryki Stahlberg. Przestała rozumieć, po co właściwie przebywa w Ameryce. Musi za wszelką cenę wrócić do domu, nawet gdyby przyszło się okaleczyć i rozstać na zawsze ze stadionem. Niekiedy przeklinała siebie za to, że związała swój los ze sportem. Gdyby nie ten przekłety sport, żyłaby spokojnie na swojej rodzinnej ulicy Kaiserdamm. Coraz częściej przychodziły chwile, w których nienawidziła sportu. Wydawało jej się, że wszystkie jej nieszczęścia rozpoczęły się w momencie wstąpienia na bieżnię. A jeśli tak, to musi wykazać Shillingowi swoją pełną niezdolność do dalszego uprawiania sportu. Ale trzeba to robić stopniowo, żeby nikomu nawet na myśl nie przyszło, iż dziewczyna przegrywa umyślnie. Zgodzi się nawet na dopingi, by nie budzić podejrzeń Shillinga.

Erykę znali teraz dobrze nie tylko widzowie z Yankee-Stadionu, ale kibice sportowi w całej Ameryce. Każde jej zwycięstwo przyjmowano owacjami, a sukcesów miała sporo. „Dobra kobyłka”, jak określił ją

Shilling, ani razu nie zawiodła swych zwolenników, którzy zdecydowali się postawić na nią pieniądze. A że Shilling otoczył prywatne życie Eryki tajemnicą, tym większe budziła zainteresowanie. Eryka czytała w prasie takie nonsensy o sobie, że ogarniało ją zdumienie, jak coś podobnego można drukować. Rewelacje prasowe o tym, jakoby jadała na śniadanie i kolację tylko jednodniowe kurczęta, sypiała po szesnaście godzin na dobę i wybierała się za mąż za siedemdziesięcioletniego staruszka, początkowo nawet ją bawiły, ale niedługo. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do takich bzdur, więc dziewczyna przestała zwracać uwagę na te prasowe „rewelacje”. Na jej nastrój nie wpłynęły też prezenty, którymi ostatnio obsypywał ją Shilling. Kiedy ją pytano, czego pragnie, Eryka odpowiadała zawsze to samo:

— Pojechać do domu.

Ale właśnie na to Shilling nie mógł jej pozwolić. Eryka tęskniła za swoją daleką, zieloną ojczyzną, z jej rzadkimi, czystymi, jakby podmiecionymi lasami o drzewach rosnących równo i symetrycznie, z jej płytkimi, wąskimi rzeczkami, po których kursują tak duże barki, że dziw bierze, jak one na nich się mieszczą. Tęskniła za małymi, zacisznymi miasteczkami, w których nawet na przedmieściach słychać tykanie ratuszowego zegara. Tęskniła za ludźmi, którzy mówią jej ojczystym, niemieckim językiem, nie kalecząc go tak jak Shilling.

Złe samopoczucie Eryki nie odbijało się jednak jak dotąd na dochodach Shillinga, nie przejmował się więc zbyt jej nastrojami. Menażer wierzył w niezawodność solidnego niemieckiego wychowania, które nie pozwoli Eryce naruszyć kontraktu. Spokojnie więc wdawał się w różne sportowo-finansowe spekulacje, wciągając w nie również Erykę.

Ale po sylwestrze coś zmieniło się w Eryce i Shilling pierwszy to zauważył. Jakby ją ktoś odmienił. Nie była już tą wesołą dziewczyną świadomą swych sukcesów. Shilling nie mógł jej nic zarzucić, była nadal pracowita, wykonywała dokładnie, posłusznie wszystkie polecenia trenera, ale nie dawało to żadnych rezultatów.

Początkowo Shilling podejrzewał, że to Tom Hurness wyrządził jej jakąś przykrość, ale bardzo szybko przekonał się, że jest w błędzie. Tom miał swoją dziewczynę, zamierzał się z nią ożenić, Eryka nie mogła więc liczyć na jakiś trwalszy związek, a zresztą było jej obojętne, z kim Tom spędza wieczory. Ale zdawał też sobie sprawę, że zła forma psychiczna Eryki musi odbić się na jej wynikach, bo w sporcie sukcesy są tylko przy absolutnej fascynacji, kiedy każde wyjście na boisko jest prawdziwą rozkoszą. A Erykę trzeba było ostatnio wyganiać na stadion niemal na siłę, a więc jak tu myśleć o nowych rekordach...

Wściekał się więc Shilling, kiedy myślał o Eryce. Trzeba znaleźć dla niej jakieś dodatkowe bodźce, żeby wróciła jej pasja sportowa. Wiedział, że takie załamania zdarzają się sportowcom dość często, był jednak wobec nich bezsilny.

W jedną tylko niezawodną potęgę wierzył święcie; odziedziczył to po ojcu, przejął z bajek opowiadanych w dzieciństwie przez matkę. Tą potęgą były pieniądze, Shilling nie znał przypadku, żeby kiedykolwiek one zawiodły. Trzeba więc i tu ich użyć. Dotychczas Eryka nie była finansowo zainteresowana w swych wynikach sportowych, trzeba więc wciągnąć ją do jego kombinacji finansowych, a wówczas będzie jej bardziej zależało na tym, by zwyciężać. To na pewno odniesie skutek, bo Shilling wiedział, iż Eryka lubi te bladezielone papierki, które z lubością chowa do swej torebki. Trzeba

więc bez zwłoki ułożyć ich wzajemne stosunki na nowej podstawie, aż przykro patrzeć, jak ta dziewczyna wędnie z dnia na dzień i wygląda na stadionie jak śnięta ryba.

Po treningu Shilling zaprosił raz Erykę do swego gabinetu. Kiedy weszła, rozmawiał właśnie z jakimś nieznanym.

— Przepraszam, Eryko, zaraz skończymy, proszę usiąść.

Dziewczyna posłusznie usiadła.

— Otóż jeśli pański klub, panie Kortner — kontynuował Shilling — zapłaci mi moją cenę za korzystanie z mego stadionu, to zapewniam pana, że nikogo obcego nie wpuszczę na bieżnię.

— Właśnie chcieliśmy pana prosić o obniżenie tej ceny — odpowiedział Kortner. — Proszę wziąć pod uwagę sytuację, w jakiej znajduje się nasz klub. Należą do niego przeważnie robotnicy okolicznych fabryk, którzy nie mogą płacić zbyt wysokich składek członkowskich.

— Jak nie mogą płacić, to nie powinni zajmować się sportem. Jeśli ktoś chce uprawiać sport, powinien mieć pieniądze. Czy nie mam racji, mister Kortner?

Kortner milczał. Nie zamierzał wdawać się w teoretyczne dyskusje. Jego klubowi potrzebny był stadion i jako przewodniczący musiał to załatwić.

— A czy nie pomyślał pan, że możemy znaleźć inny stadion?

— Pan wie doskonale, że to niemożliwe — odpowiedział spokojnie Shilling. — Wszystkie stadiony w okolicy albo należą do mnie, albo ich właściciele są ze mną tak czy inaczej związani. A jeździć przez cały nowy rok, to wam i tak wypadnie drożej, niż przystać na moją cenę.

Było jasne: Shilling raczej pogodzi się z tym, żeby

stadion stał pusty, niż miałyby obniżyć opłatę. Nie może sobie na to pozwolić, nawet gdyby chciał, bo wiąże go żelazne umowy z takimi kombinatorami sportowymi jak on. A przewodniczący klubu myślał o dziewczętach i chłopcach, pracujących w fabrykach i biurach w pobliżu „Czarnego Smoka”. Właśnie ten stadion był dla nich najdogodniejszym miejscem, gdzie mogli dwa razy w tygodniu spotkać się, pograć, potrenować.

Na nieustępliwość Shillinga wpływał też niewątpliwie fakt, iż klub miał charakter robotniczy. Kortner jednak nie rezygnował.

— Może zgodzi się pan na rozłożenie tego na raty?

— Mnie to nie urządza. Albo pieniądze z góry, albo koniec umowy.

Kortner czuł, jak ogarnia go wściekłość. Bał się, że rzuci się na Shillinga, więc szybko wstał, spojrzął na Erykę, która nie uroniła z tej rozmowy żadnego słowa, ukłonił się sztywno i wyszedł.

Shilling odprowadził go wesołym spojrzeniem.

— Tego Kortnera z jego klubem już dawno mam na wątrobie — powiedział, gdy drzwi zamknęły się za gościem. — Sport jest dla ludzi zamożnych. Jak komuś na chleb nie starcza, to nie powinien myśleć o sporcie.

— Ależ oni zostaną teraz bez stadionu! — w głosie Eryki zabrzmiała dezaprobata, a może tylko zdziwienie.

Shilling spojrzął na nią badawczo.

— No i niech zostają. Jak tacy ludzie zaczynają się organizować, choćby w kluby sportowe, to nawet to jest niebezpieczne. Dziś grają razem w piłkę nożną, jutro zorganizują wiec, a pojutrze wyjdą z czerwonymi sztandarami na ulicę. Znam te robotnicze kluby, zysku żadnego, a kłopotów cały worek.

Shilling był zły na siebie: niedobrze, że Eryka sły-



szała tę rozmowę. Zresztą, jakie to może mieć znaczenie...

— No, to mamy z głowy. Przejdziemy teraz do ciekawszych spraw. Pamięta pani Mary Garden?

— Oczywiście.

— Jakie wrażenie zrobiła na pani?

— Biega bardzo dobrze.

Shilling na chwilę zamyślił się, jakby coś obliczając w pamięci.

— Będzie pani musiała spotkać się z nią jeszcze raz.

— Chętnie. Ostatni raz przyszyliśmy łeb w łeb, ale tym razem ja wygram.

W głosie Eryki brzmiała pewność siebie, wiedziała że może wygrać z Mary Garden. Wtedy miała trochę nieudany start i straciła jakieś dziesiątki sekundy. Teraz to się nie powtórzy.

Ale sportowy zapał dziewczyny nie podobał się Shillingowi.

— Tym razem, Eryko — Shilling starał się nadać głosowi miękkie brzmienie — będzie wprost przeciwnie: trzeba, żebyś ty przegrała.

Nie, to niemożliwe. Chyba źle zrozumiała. Dlaczego ma przegrać?

— W imię czego? Po co?

— Pani nie orientuje się jeszcze w prawdziwym sporcie — wyjaśniał Shilling. — Tu nie można bez przerwy zwyciężać, należy być bardzo giętkim, kombinować, wygrywać różne warianty. Ludzie przywykli do pani zwycięstw i stawiają na panią na sto dwa, bo wierzą, że pani nie zawiedzie. A co będzie, jeśli ktoś postawi na Mary Garden w tym biegu, który pani przegra? Wyobraża pani sobie, jaki będzie efekt? Jak to dźwignie interesy sportowe i pani sławę?

Eryka wzburzona zerwała się z fotela.

— Może pan kombinować, jak pan chce, panie Shil-

ling, ale ja przegrywać nie będę. Pańska tykowata Mary nigdy mnie nie prześcignie!

— Nie trzeba się gorączkować, dziewczynko — Shilling mówił nadal w tym samym tonie. — Rozumiem, że pani się złości. Ale przecież to nie olimpiada, tylko zwykłe amatorskie spotkanie dwóch klubów. Tu nic pani nie traci, a zyskać może wiele.

Eryka nadal nic nie rozumiała, spojrzała więc pytająco na pełną, zadowoloną z siebie twarz Shillinga.

— Trzy procent — powiedział.

— Co trzy procent?

— Otrzyma pani trzy procent od mojej wygranej. To nie jest wcale mało.

Eryka nie odczuwała teraz nic prócz głębokiej odrazy.

Od dawna obraca się w kołach sportowych, spotkała się z wielu ciemnymi sprawami w sporcie, ale o takim łajdactwie dotąd nie słyszała. To haniebnie! To podważa samą istotę zawodów i w ogóle sportu, plugawi go! I po co tu myśleć, przejmować się, denerwować, skoro menażer wie dokładnie, kto przyjdzie pierwszy, a dziesiątki tysięcy oszukanych idiotów klaszczą na trybunach, wrzeszczą i denerwują się o swoje pieniądze. Ludzie, tu nie na sportowców trzeba skierować swoją uwagę, nie ich bieg śledzić! Oto tam na trybunie siedzi w szarym garniturze dobroduszny, okrągłutki Artur Shilling. Na niego patrzcie, bo on wszystko już przedtem wie. I robi na tym pieniądze!

Tylko czy z twarzy Shillinga można coś wyczytać? Wygląda tak świątobliwie, że tylko żywcem brać go do nieba. Pracują za niego podstawione osoby, dla niego stawiają i dla niego wygrywają, same nic nie wiedząc i nie rozumiejąc. Tajemnica jest bardzo strzeżona, bo chodzi o duże pieniądze.

— To hańba! — krzyknęła Eryka.

— Nie, to forsa — uśmiechnął się Shilling. — A pieniądze będą pani potrzebne, kiedy wróci pani do NRF. Z dużymi pakietami zielonych, miłych sercu dolarów. Amerykańskich. Rozumie pani?

— Nie wszystko można za nie kupić!

— Tak, ale prawie wszystko. I lepiej jeśli one są, niż gdy ich nie ma.

Erykę ogarnęło uczucie głębokiej pogardy dla siebie, dla Shillinga, dla całego świata. Czuli się tak, jakby szła się sprzedawać na ulicę. Nigdy przedtem czegoś podobnego nie doznawała, zdawało się jej bowiem, że służy prawdziwemu, szlachetnemu sportowi. Teraz znikły ostatnie iluzje. No cóż, jeśli nie ma sportu, jeśli wszystko podporządkowane jest pieniądзом, jeśli pieniądz tu tylko decyduje, to niech będzie pieniądz!

— Dziesięć procent.

Dostrzegła w oczach Shillinga z trudem tajoną wściekłość.

— Za dużo! — zaśmiał się nieszczerze.

— Sam mnie pan tak wychował, mister Shilling, więc proszę teraz płacić! Myślałam dotąd, że sport to uczciwe zmagania, sądziłam, że to uosobienie szlachetności, czystości, siły. A teraz pan wszystko we mnie zabił. Mam pustkę w sercu. Zapłaci więc pan za wszystko, mister Shilling! Taniej nie przegrywam.

— Pięć procent.

— Dziesięć, do diabła!

— Siedem.

— Dość tego, Shilling!

— W porządku, dziesięć.

Menażer nigdy jeszcze nie widział Eryki w takim stanie i nie spodziewał się takiego wybuchu wściekłości. Trzeba będzie postępować z dziewczyną oględniej.

— Otóż zawody są w niedzielę na Yankee-Stadionie. Przyjadę po panią.

Eryka skinęła w milczeniu głową i wyszła. Nie była w takiej rozpaczy nawet wówczas, gdy porzucała Berlin. Miała wtedy przed sobą Amerykę i wierzyła w jej bogactwo, piękno, uczciwość. Teraz nie widziała w swej przyszłości nic prócz długich lat wysługiwania się temu przekłętemu Shillingowi. I nie wiadomo, co wymyśli on jutro, w jakich brudnych machinacjach będzie musiała uczestniczyć.

A pieniądze weźmie. Niech Shillingowi się nie wydaje, że już do końca życia każdy jej oddech należy do niego. Potrafi go zmusić, żeby płacił jej dwa i trzy razy tyle. Ona mu jeszcze pokaże!

W niedzielę wyszła na Yankee-Stadion z takim uczuciem, jakby miała przejść nago przed zebranymi tu dziesiątkami tysięcy widzów. Mary Garden przywitała się z nią jak zwykle: wyniośle i lekceważąco. Może ona też wie, że zdecydowano już wcześniej o jej dzisiejszym zwycięstwie.

Przebiegły sto metrów wśród szalonego ryku stadionu. Eryka wiedziała: zamachnie trochę mocniej rękami, silniej odbije się od twardego, czarnego toru — i zwycięstwo należy do niej. Nie zrobiła tego. Przebyła cały dystans lekko, bez żadnego napięcia, przepuszczając Mary Garden na krok przed sobą. Ale po finiszu stadion tak się rozszalał, że Eryka pospiesznie skryła się do szatni. Wszyscy, którzy postawili na nią pieniądze, przeklinali ją teraz i wymyślali jej, że zawiodła ich oczekiwania. Więc Eryka niemal biegła, jakby ją kto ścigał. Zdawało się jej, że olbrzymie żelbetonowe trybuny zmieniły się w jakąś wściekłą bestię, która ryczy i wyje, śmieje się i stęka — i zaraz dopadnie i udusi. Było jej tak wstyd, że nie śmiała podnieść oczu. Przecież oszukała tych wszystkich ludzi, oszukała nędznie i podle. Może są wśród nich tacy, którzy tak jak kiedyś ona wierzą jeszcze w uczciwość

zawodów, w rzetelność sportu? Głowa pękała jej od tych myśli, miała ochotę krzyczeć.

Do szatni wszedł Shilling, poważny, jakby nieco zaniepokojony. Zamknął dokładnie drzwi za sobą i dopiero teraz, kiedy był pewny, że nikt go nie widzi, zdjął maskę powagi i troski.

— Zrobiła to pani na medal, Eryko! Nie wiem jeszcze, ile wygraliśmy, ale wnet się dowiem. Pojedzie pani z Lorą do domu, a ja wrócę wieczorem z pieniędzmi i nowinami.

Znów przybrał maskę powagi i zmartwienia i wyszedł z szatni. Eryka nie powiedziała ani słowa, nie miała w tej chwili siły do jakiegokolwiek rozmowy. Chciała być już jak najdalej od tego ryczącego stadionu, na którym niemal wszyscy ją przeklinali. Gdy szła z Lorą do samochodu, ryki na trybunach wzmogły się, ale kto inny już je wywołał, kogo innego już wychwalano i przeklinano, o czym dziewczyna nie wiedziała.

— Szybciej, szybciej! — popędzała masażystkę.

Uspokoiła się dopiero w samochodzie, gdy od stadionu dzieliły ją dziesiątki zielonych i czerwonych sygnalizatorów.

Gdy wróciła do siebie, padła na łóżko twarzą do poduszki i długo, chyba całą wieczność leżała bojąc się poruszyć. Ciągle miała w uszach ryk stadionu, który napawał ją przerażeniem.

Shilling przyjechał wieczorem — zadowolony, wesoły, hałaśliwy. Wszedł do pokoju bez pukania, nie musiał już udawać wobec niej dżentelmena, gdyż była teraz bardziej niż kiedykolwiek jego własnością, jego rzeczą. Bezceremonialnie odwrócił jej twarz.

— Co z panią? Zdaje się, że pani ma jakieś tam wyrzuty sumienia. To śmieszne, to nie dla pani, nie dla nas. Jeśli pani chce, kupię pani odpust papieski za

grzechy całego życia. Oto pani pieniądze, trzysta dolarów.

Eryka wiedziała, że Shilling bezczelnie kłamie. Zarobił na tej dzisiejszej machinacji znacznie więcej niż trzy tysiące. Nie mogła jednak teraz w ogóle rozmawiać z tym odrażającym typem. Pragnęła tylko jednego: żeby jak najszybciej wyszedł z jej pokoju. Shilling jednak nie spieszył się. Uśmiechnął się chytrze, potem włożył rękę do kieszeni marynarki, czymś zaszeleścił.

— A co dostanę za świeżutki, nie podrobiony, dawno oczekiwany list z Europy? — spytał.

— Do mnie? — Eryka drgnęła.

— Tak, do pani.

— A dlaczego ten list jest u pana? Przecież listy od mamy przynoszą mi do pokoju.

— Przyszedł na adres stadionu i dlatego trafił do mnie. A ja wziąłem tylko na siebie przyjemny obowiązek wręczenia go pani. Proszę!

Z ukłonem wręczył Eryce kopertę z ostemplowanymi znaczkami. Dziewczyna chwyciła ją tak, jakby wewnątrz niej znajdował się ratunek. Poznała pismo Tibora. A więc nie zapomniał o niej, pamięta ją!

— Widzę, że ten list bardziej panią uradował niż pieniądze.

Co on tam mówi, ten Shilling? Niech wynosi się stąd jak najprędzej.

— Chyba przyniosłem pani prawdziwe szczęście — zaśmiał się Shilling. — Zostawiam więc panią samą z listem. Życzę dobrego samopoczucia i jeszcze raz dziękuję. Nasza dzisiejsza operacja udała się na medal! Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedziała machinalnie Eryka.

Drżącymi palcami rozerwała kopertę, wyjęła list. Ten arkusik papieru przed kilku dniami był w rękach Tibora, jej ukochany chłopiec patrzył na niego, doty-

kał go. Mogą spadać teraz bomby, może zawalić się „Czarny Smok”, może przyjść trzęsienie ziemi — nic nie zdoła oderwać Eryki od drogich, nieco ukośnych liter.

„Gdzie jesteś, kochana? Dlaczego jesteś tak daleko i czemu nie mogę cię ujrzeć? Kiedy się zobaczymy? Czekam na ciebie! Kocham cię! Pokochałem na całe życie i nigdy cię nie zapomnę!”

Czytała słowa, pisane ręką Tibora, i nawet nie uświadamiała sobie w pełni ich treści. Już samo spoglądanie na list, którego tak niedawno dotykał ukochany, było rozkoszą. Potem, gdy minął pierwszy szok, Eryka opanowała się i przeczytała list spokojnie, zastanawiając się nad każdym zdaniem kilka razy pod rząd, uczyła się go na pamięć. Tibor pisał o swojej nauce w instytucie, o treningach, o przyszłych igrzyskach studenckich w Berlinie. Nie wszystkie decyzje w sprawie tych zawodów już zapadły, ale — zdaje się — studenci amerykańscy też mają w nich uczestniczyć. A więc znowu będą mogli się spotkać... Dlatego dużo pracuje, żeby móc wystąpić w reprezentacji węgierskiej. Co prawda nie jest to pewne na sto procent, bo ostatnio pojawiło się w Budapeszcie kilku dobrych skoczków, on jednak nie traci nadziei na zwycięstwo w eliminacjach przedberlińskich...

„A o ciebie nie muszę się chyba obawiać, bo przecież w Ameryce nikt nie biega na sto metrów lepiej od ciebie. Przez cały czas śledzę twoje sukcesy, których echa docierają również do nas...”

Erykę ogarnął lęk. A jeśli ona w ostatnich miesiącach utraciła formę i zdolna jest już tylko do zaplanowanych przez Shillinga przegranych z Mary Garden lub inną sprinterką? Trzeba zabrać się od jutra ostro do pracy. Nie pozwoli się prześcignąć, jeszcze pokaże, co potrafi Eryka Stahlberg i nikomu nawet przez

myśl nie przejdzie, aby kwestionować jej prawo do wyjazdu na międzynarodowe zawody lekkoatletyczne studentów.

Wstała z łóżka i przeszła się po pokoju. Chciała natychmiast rozpocząć trening, by sprawdzić swą formę i odrobić zaległości.

I nagle przypomniała sobie wszystko, co zdarzyło się na Yankee-Stadionie, ogarnęło ją przerażenie i odraza do samej siebie. Odłożyła list. Nie ma prawa czytać tych kryształowo czystych słów, nie ma prawa nawet marzyć o miłości. Tibor kochał ją jako dziewczynę uczciwą, szlachetną, a ona zarabia oszukując dziesiątki tysięcy ludzi, pozwoliła się wciągnąć w brudne machinacje Shillinga.

Znowu chwyciła list i zapomniała o całym świecie. Chociaż nie do niej odnoszą się słowa listu, chociaż kradzione jest to szczęście, jest ono dla niej jedyne w życiu i innego już nie będzie. Znała list niemal na pamięć, wyobrażała sobie, jak Tibor wymawia poszczególne słowa, widziała jego usta, oczy, uśmiech. A potem uprzytomniła sobie, jak zmieniłaby się ta piękna, energiczna, kochana twarz, gdyby Tibor znał całą prawdę o dzisiejszym wydarzeniu na stadionie i o tym, że jest ona krewną Bertę Loch. Nie, nie ma i nie może być dla niej szczęścia.

Nieprawda! Wszyscy ludzie na całym świecie mają prawo do szczęścia, ona też! Nie jest przecież winna, że Berta Loch wypaliła na ręce Tibora swoje imię. Kocha go i chętnie podstawiłaby pod rozpalone żelazo własną dłoń, by tylko uchronić ukochanego od bólu, od cierpienia. I ona dowiedzie mu swego oddania i swej miłości, ale musi najpierw spotkać się z nim. Musi!

„A jednak nie ma na świecie większej siły od pieniędzy — myślał z zadowoleniem Shilling, obserwując



Erykę następnego dnia. — Chodziła ospała, przygnębiona, a teraz nie można jej poznać: siła, zawziętość, energia. Nie, myślą się ci prostaczkowie, którzy sądzą, że za pieniądze nie można kupić wszystkiego na świecie”.

Menażer był zadowolony: coraz lepsi sportowcy gromadzą się na „Czarnym Smoku”. Oto i Mary Garden, z którą Eryka już tyle razy walczyła, zjawiła się na jego stadionie i zamieszkała w pensjonacie. Jacyś niewidzialni, nieznani ludzie kierowali jej losem i wreszcie skierowali ją tu, do pokoju z ukośnym sufitem, do całkowitej dyspozycji menażera Artura Shillinga. Mary nie dopatrywała się w tym niczego niezwykłego. Trzeba się cieszyć, że ma siły i możliwości realizowania kontraktu i że przedstawia sobą taką wartość dla Shillinga. Poza tym nic szczególnego się nie zdarzyło.

Eryka omal nie krzyknęła ze zdziwienia, kiedy po raz pierwszy ujrzała ją w jadalni. Co to znaczy? Wkrótce wszyscy najlepsi sportowcy amerykańscy zostaną podporządkowani Shillingowi, który będzie rozporządzał nimi i ich wynikami tak, jak zechce — każe im wygrywać lub przegrywać i nikt nie ośmieli się sprzeciwić. I to ma być sport!? I to mają być uczciwe zawody?! Jak w teatrze lalkowym: na scenie rozgrywa się jakaś napięta akcja, kukły udają miłość lub nienawiść, a gdzieś za kulisami siedzi w wygodnym fotelu Artur Shilling i pociąga za niewidoczne nici. Będzie tak, jak on zechce. Ona sama też jest kukłą, niczym więcej jak tylko kukłą w olbrzymim i dobrze zorganizowanym teatrze sławetnego menażera. Oszaleć można z pogardy do samej siebie, od samej tylko świadomości własnej roli. Ale wyrwie się od Shillinga, wcześniej czy później, ale się wyrwie!

— Dzień dobry! — powiedziała Eryka siadając do stołu.

Mary uśmiechnęła się w odpowiedzi i coś niezrozumiale mruknęła.

— Pani będzie teraz mieszkać u nas?

Mary skinęła głową. Z twarzy jej nie można było niczego wyczytać. Do jadalni weszła Lora Mikelaw. Z radością rzuciła się Mary na szyję, objęła ją i wycałowała.

— Już dawno słyszałam, że pani ma do nas przejść — mówiła Lora, wycierając łzy. — Shilling kompletuje, jak widać, mocną drużynę, nawet pensjonat ma być rozbudowany. Z Eryką oczywiście się znacie?

Mary znów skinęła głową, nie była widocznie rozmowna.

— Będziecie teraz pracowały razem — ciągnęła dalej Lora. — Wkrótce też zjawią się tu dziewczęta ze sztafety. Mówię wam, że Shilling przygotowuje się do czegoś, zobaczycie.

Eryce serce na chwilę zamarło. Może chodzi właśnie o ekipę do przyszłych igrzysk studenckich? Teraz przed nią tylko jeden cel: znaleźć się w jej składzie.

— Chodźcie, dziewczęta, do mnie — zaprosiła Lora po śniadaniu — bo tu nie można spokojnie porozmawiać...

Mary w odpowiedzi uśmiechnęła się blado. Erykę zaproszenie to mocno zaintrygowało, w głosie Lory wyczuła bowiem jakąś nową nutę.

Ściany pokoju Lory ozdobione były jej fotosami, zrobionymi tak przecież niedawno, kiedy była piękna i wyglądała bardzo młodo. Eryka nie miała odwagi patrzeć na te portrety, zbyt przykre było porównanie ich z oryginałem.

— Siadajcie — zaprosiła Lora. — Chcę przeprowadzić z wami ważną i poufną rozmowę — Lora podeszła do drzwi, przez chwilę nasłuchiwała, potem gwałtownie je otworzyła, ale za drzwiami nie było nikogo.

— Chciałam sprawdzić, czy ta tłusta małpa nas nie podsłuchuje — wyjaśniła i też usiadła na tapczanie. — Zaraz odkryję przed wami wielką tajemnicę — rozpoczęła uroczystym głosem. — Ale musicie przysiąc, że mnie nie zdradzicie.

Mary w milczeniu podniosła w górę dwa palce.

— Przysięgam! — zawołała mocno zaintrygowana Eryka.

Lora z uśmiechem spojrzała na sportsmenki, z góry rozkoszując się wrażeniem, jakie wywołują jej słowa.

— Proszę słuchać mnie uważnie — powiedziała cicho. — Zapadła już ostateczna decyzja: nasza amerykańska drużyna pojedzie na światowe igrzyska studenckie do Berlina.

— Kiedy? — spytała zdławionym głosem Eryka.

— W końcu lata. Shilling ma więc jeszcze dość czasu, by doprowadzić was do jak najlepszej formy.

— I my na pewno będziemy w tej reprezentacji? — Eryka ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu.

— Tak, chyba tak, bo lepszych przecież nie znajdzie. Ale zaprosiłam was nie tylko po to, żeby wam o tym powiedzieć. Mam jeszcze coś na sercu i chciałabym bardzo, żebyście nie odmówiły mojej prośbie.

— Ależ oczywiście, Loro — zapewniła wesoło Eryka. — Czy może pani w to wątpić?

— Pewnie to, co usłyszycie, wyda wam się dziwne, pragnę jednak, byście powiedziały na tych igrzyskach całą prawdę.

Eryka spojrzała na postarzałą twarz Lory, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

— Jeśli mnie tam zabiorą — mówiła dalej masażystka — to spróbuję powiedzieć sama, ale niewiele jest na to nadziei. Spójrzcie na mnie, dziewczęta, i popatrzcie na moje fotosy... Przecież one zrobione

były zaledwie pięć lat temu! Podobny los czeka większość naszych sportowców. Teraz możecie jeszcze odmawiać dopingów, ale kiedy opuszczą was siły, kiedy zwiotczą mięśnie, same będziecie połykać tę truciznę, aby utrzymać się w siodle, aby nie upaść pod nogi tłumowi żądnych sławy sportowców, którzy pragną zająć wasze miejsce. Otóż chcę was prosić, żebyście tam na igrzyskach studenckich, przypomniały sobie o mnie i opowiedziały wszystkim o losie Lory Mikelaw, o tym, czym jest u nas sport, o Arturze Shillingu, który siedząc w swym gabinecie decyduje, która z was ma przyjść pierwsza, a która ostatnia. Jeśli puszcza mnie do Berlina, to zrobię to sama, jeśli jednak nie pojedę, to przyrzeknijcie mi, że zrobicie to za mnie.

Dziewczęta milczały. Było im trochę głupio, przecież same dobrze wiedziały, kto i jak decyduje o ich zwycięstwach. Ale teraz myślały nie o tym. Słowa Lory Mikelaw wydały się im niezwykle i niebezpieczne. Przecież to wyglądało na jawny bunt przeciw Shillingowi. Nie wiadomo, czy wystarczy im odwagi w Berlinie.

— Celowo mówię wam o tym na wiele miesięcy przed igrzyskami — ciągnęła dalej Lora — żebyście miały czas przyzwyczaić się do tej myśli i nabrać odwagi. Teraz wydaje się to wam czymś niemożliwym, ale nie zapominajcie o własnym losie, nie zapominajcie o zmarszczkach, które i u was zjawią się o wiele wcześniej niż u waszych rówieśnic, nie zapominajcie o zyskach Artura Shillinga, zdobywanych za cenę waszych zmarszczek, zgarbionych pleców, przedwczesnej starości...

Twarcz Lory odmłodziła, była jakby natchniona. Mówiła z zapałem, z siłą. Słowa jej płynęły z serca,

przemyśliwała je przez wiele nocy, ważyła każde z nich.

— Czy pani jest komunistką? — spytała cicho Mary.

Eryka po raz pierwszy usłyszała jej głos. Spokojny głos, z którego przebijał głęboko ukryty, dawno przeżyty smutek. Zdawało się, że nic już nie może jej zdziwić ani poruszyć. I teraz również postawiła to krótkie pytanie obojętnie, bez żadnych emocji.

— Nie, nie jestem komunistką! — zaprzeczyła zdecydowanie Lora. — Nie jestem komunistką, ale myślę o losie naszych sportowców i chcę być już ostatnią w długim szeregu maszkar, jakie sfabrykował Shilling swoimi dopingami. Kiedy to słowo zabrzmiało tam, na igrzyskach, to na pewno menażerowie krwio pijcy nie będą mogli tak bezkarnie pasożytować na sporcie i robić majątków na swoich ciemnych kombinacjach.

— To już jest polityka — powiedziała Mary — a ja nigdy do polityki się nie wtrącam.

Eryka patrzyła na Lorę i całe jej jestestwo oburzało się i pomstowało. O jakiej polityce mówi ta Mary Gardën? Oczywiście boi się o miejsce w pensjonacie Shillinga, w amerykańskiej reprezentacji. Ale Eryka nie boi się tego. Im szybciej wróci do Berlina, im szybciej wyleci z amerykańskiej drużyny, tym lepiej. Dobrze by było, gdyby ją wyrzucili zaraz po przyjeździe do Berlina, gdzie władza Shillinga skończy się na zawsze. Eryka nie boi się niczego, nawet więzienia. Postanowione!

Po słowach Mary Lora nagle przygasła. Widok jej był tak przykry, że miało się ochotę krzyknąć! Eryka przeniosła spojrzenie na Mary i postanowiła, że nic już nie powie. Nie wiadomo, czy ona nie doniesie o tej rozmowie Shillingowi, a wówczas trzeba by się pożegnać z myślą o wyjeździe do Berlina. Ale tak czy

inaczej — spełni prośbę Lory. Cały świat musi się dowiedzieć o straszliwym losie znakomitej sportsmenki. Tylko nie wolno teraz o tym mówić. Mary zadała to pytanie nie bez powodu: jeśli Lora nawet nie jest komunistką, to na pewno myśli tak jak oni.

Lora przeniosła wzrok z Mary na Erykę, oczekując od niej odpowiedzi. Dziewczyna milczała.

— Więc jak? Nie chcecie mi pomóc? — Lora gorzko się uśmiechnęła. — A ja, głupia, tak na was liczyłam! No cóż, trudno... Może ktoś inny spełni moją prośbę. A wy przypomnicie sobie o niej wówczas, gdy będzie już za późno.

Wstała z tapczanu, przeszła się po pokoju, na twarzy jej znów zjawiał się gorzki uśmiech.

— W każdym razie muszę was przestrzec: o naszej rozmowie nikt nie może się dowiedzieć. A jeśli któraś z was z nadgorliwości miałaby ochotę poinformować o tym Shillinga, to nie dałabym za jej życie nawet dziesięciu centów. Nie mam nic do stracenia...

— Loro, jak pani może mówić coś takiego?! — oburzyła się Eryka.

— Mogę. Różne rzeczy już w życiu widziałam. No więc przemyślcie sobie to wszystko i pamiętajcie o mojej prośbie.

— Czy mogę już odejść? — spytała Mary.

— Oczywiście.

Góra kości poruszyła się. Kości jakby znowu się zrosły i uformowały się w wysoką, trochę niezgrabną, ale smukłą dziewczęcą postać. Wyglądało to na jakąś cyrkową sztuczkę.

Mary skierowała się do drzwi, na progu zatrzymała się, obejrzała, uśmiechnęła się swym nijakim, smutnym uśmiechem i wyszła bez słowa.

— Ona poszła... do Shillinga! — zawołała Eryka.

— Nigdy — uśmiechnęła się Lora. — Znam ją

o wiele lepiej niż panią, ona mnie nigdy nie zawiedzie. Mary zawsze milczy, ale kiedy mówi, to warto jej słuchać. Ale o tym, żeby zdradzić koleżankę, nie może być mowy.

— Loro — Eryka szepcząc przysunęła się bliżej masażystki. — Bałam się przy niej mówić, ale teraz powiem. Zrobię wszystko, o co pani prosiła. Mnie tu już nic nie trzyma. Nie chcę wracać do Ameryki. Nienawidzę takiego sportu. To morderstwo, to brud, pieniądze, kombinacje, wszystko, tylko nie to, co u nas zwykło nazywać się sportem.

Drzwi znowu otworzyły się. Na progu stała Mary, zarumieniona, wzburzona.

— Kiedy stąd wyszłam, ktoś szybko zniknął za rogiem korytarza. Ktoś nas podsłuchiwał.

Lora zbladła, ale szybko się opanowała.

— Głupstwo. Teraz to nie ma już takiego wielkiego znaczenia.

I spojrzała na Erykę, jakby chciała przypomnieć o danej przed chwilą obietnicy. Dziewczyna odpowiedziała gorącym spojrzeniem. Żeby jak najszybciej znaleźć się w Berlinie i zwierzyć się z wszystkiego Tiborowi! On będzie wiedział, co z tym zrobić.

— Już nigdy więcej nie wrócimy do tej rozmowy — powiedziała Lora. — To jest niebezpieczne dla nas wszystkich. Ale nikt nie może nam zabronić o tym myśleć.

— Dobrze — odpowiedziały jednocześnie.

Wychodząc z pensjonatu Eryka spotkała na stadionie Shillinga. Powitała go szczególnie wesoło. Teraz знаła już drogę do zemsty, teraz nie ujdą już bezkarne Shillingowi jego zbrodnie. Może w Ameryce nie poniesie żadnej kary, ale cały świat dowie się, jakim jest potworem.

— Jest pani w świetnym nastroju, Eryko, bardzo

mnie to cieszy — powiedział menażer, zdejmując kapelusz.

— Mnie także — odpowiedziała wesoło Eryka i pobięła na bieżnię.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Profesor Bułakow siedział w dużym, pustym audytorium wraz ze swym asystentem. Na stole leżały przed nimi kartki z pytaniami. Zaraz wejść studenci i zaczęła się zimowa sesja egzaminacyjna pierwszego roku.

Zza drzwi dochodziły stłumione głosy, jakieś szurania, niekiedy ktoś ostrożnie uchylał drzwi, zaglądał przez szparę nie szerszą od palca, i równie ostrożnie zaraz zamykał. Bułakow obserwował to i uśmiechał się: dobrze wiedział, ile młodych serc bije za tymi drzwiami przyspieszonym rytmem.

— No cóż, prosić! — zlecił asystentowi.

Do audytorium weszło troje studentów: najodważniejsza z nich, ale błada ze zdenerwowania, z płonącymi oczami — Jaryna Honta, za nią spokojnie i pewnym krokiem Nina Sokił, a zamykał ten pochód Wala Wowk z oczyma wlepionymi w sufit, jakby szukał tam odpowiedzi na oczekujące go pytania. Cała trójka położyła na stole swoje indeksy.

Profesor przywitał ich uśmiechem. Miał ochotę powiedzieć: „Nie denerwujcie się, moi drodzy, nie jestem wcale taki straszny i oschły, jak wam się zdaje, i bardzo wam współczuję. Tylko wyświadczcie mi tę uprzejmość i odpowiadajcie dobrze, bardzo dobrze, bo jest mi tak samo przyjemnie piątkę stawiać, jak wam otrzymywać”. Niczego podobnego oczywiście nie powiedział. Zamiast tego studenci usłyszeli:



— Proszę, wybierajcie.

Jaryna wzięła kartkę tak, jakby brała jeża; Nina uczyniła to spokojnie, jakimś niedbałym gestem; Wala zaś przez chwilę zastanawiał się, wreszcie zdecydowanym ruchem wziął leżącą na skraju.

Jaryna spojrzała na kartkę i zdenerwowanie znikło. Obawiała się jakichś niezwykłych pytań dotyczących nie znanych jej spraw, tymczasem okazało się, że jest bardzo dobrze przygotowana do odpowiedzi właśnie na te pytania. Zanim jednak zdołała przemyśleć je do końca, usłyszała głos Niny:

— Czy mogę odpowiadać?

— Proszę — odparł Bułakow, nieco zdziwiony tą natychmiastową gotowością do odpowiadania.

Nina mówiła krótko, rzeczowo, powściągliwie.

— A czy nie zechciałaby pani odpowiedzieć na pierwsze pytanie obszerniej? — spytał profesor.

Nina trochę innymi słowami powtórzyła swoją pierwszą odpowiedź. Profesor od razu zorientował się: studentka korzystała tylko z konspektu i nic więcej nie czytała. Zaraz będzie można to sprawdzić. Jedno pytanie, opierające się na materiale konspektu — krótka, dokładna odpowiedź. Drugie, dotyczące spraw, o których mało mówiło się na wykładach — i już Nina zaczęła się plątać. Wszystko jasne.

— Dziękuję, jest pani wolna — powiedział Bułakow.

Coś zanotował, podpisał się w indeksie i zwrócił oczy na Walę Wowka. Nina, zupełnie pewna, że zdała na piątkę, wyszła z audytorium.

Wowk zaczął odpowiadać, ale Jaryna nie słuchała go. Jej uwagę całkowicie pochłonęły trzy pytania. Są jasne i proste, a odpowiadać na nie można by przez cały dzień. Jaki materiał wykorzystać, żeby odpowiadać krótko i zwięźle tak jak Nina?

W audytorium zrobiło się cicho. Jaryna wyczuła na sobie wzrok profesora. Zaczerwieniony, ale zadowolony Wala Wowk otwierał już drzwi, za którymi czekali na niego koledzy. Czy ma już odpowiadać? Rozejrzała się, jakby szukała pomocy.

— Proszę — powiedział profesor.

Jaryna zaczęła mówić. Zdawało się jej, że zdążyła powiedzieć zaledwie kilka słów, gdy profesor ją powstrzymał.

— Wystarczy. Drugie pytanie.

— Kiedy jeszcze chciałam... — próbowała ratować się Jaryna.

— Drugie pytanie — powtórzył profesor.

I znowu to samo. Jarynę ogarnęła rozpacz. Na trzecie pytanie zaczęła odpowiadać tak szybko, że profesor zwrócił jej uwagę:

— Proszę wolniej.

— Kiedy nie zdążę powiedzieć wszystkiego — w oczach dziewczyny zjawily się łzy.

— Zdąży pani — uśmiechnął się profesor.

Dlaczego znęca się nad nią? Znowu nie pozwolił jej skończyć!

Kiedy Jaryna wyszła z audytorium, koledzy o nic jej nie pytali — odpowiedź była na jej zrozpaczonej twarzy. Po chwili zajrzała jednak do indeksu i nie wierząc własnym oczom odczytała: bardzo dobrze. Westchnęła z ulgą i wstrzymując radość poszła dowiedzieć się o wyniki kolegów. Tak, Wala Wowk dostał czwórkę. Nina Sokił... co takiego? Nina — trójka? Przecież to niesprawiedliwie, czysta niesprawiedliwość! Za taką dobrą odpowiedź tylko trójka? To chyba jakaś pomyłka.

Nikt nie wiedział, dokąd Nina poszła, wkrótce jednak w gabinecie dziekana zjawila się podniecona i wściekła Sofija Kartasz. Było to akurat w momen-

cie, gdy Bułakow po zakończeniu egzaminów też zajrzał do dziekanatu.

— Wasylu Stepanowiczu, u pana na pierwszym roku zdawała dziś egzamin z językoznawstwa Nina Sokił..

— Wiem, taka z ostrym noskiem — Bułakow znał już swoich studentów z twarzy i nazwiska.

— I otrzymała u pana trójkę.

— Bardzo mi przykro, ale więcej nie mogłem jej postawić.

— A czy pan wie, że ona jest już prawie mistrzynią świata?

— No to co z tego? Kiedy mistrzowie świata chcą studiować na uniwersytecie, to muszą uczyć się językoznawstwa. Z wychowania fizycznego może jej pani postawić piątkę.

— Ale chyba sam pan rozumie, że to jakoś nie w porządku: mistrzyni i trójka.

— Nie rozumiem — Bułakow próbował wydostać się zza szafy, ale Kartasz zagrażała mu drogę.

— Ciągłe powtarzamy, że mistrzowie sportu we wszystkim przodują, no i nagle masz ci: trójka.

— To niech pani postara się, żeby mistrzowie sportu lepiej się uczyli. Wstępu do językoznawstwa nie można zdawać nogami — rozzłościł się już na dobre Bułakow.

— Sądzę, że pan powinien zmienić tę ocenę. To jakoś głupio, rozumie pan chyba, jakoś niezręcznie.

— Nie, droga mateczko — określenie to oznaczało w ustach Bułakowa najwyższy stopień rozdrażnienia.

— Nie zmienię swojej oceny, choćby nakazał mi sam minister. Pani pupilka wykuła tylko konspekt i nawet nie zajrzała do polecanej literatury. Więc mam jej za to postawić piątkę? A pani, droga mateczko, nie ra-

dzę wtrącać się w takie sprawy, bo nie wygląda to zbyt przyzwoicie.

Bułakow spojrzał na Kartasz przez grube szkła okularów z taką złością, że musiała skapitulować. Mamrocząc coś, wyszła wściekła z gabinetu dziekana.

W indeksie trójka została nie zmieniona. Nina przez kilka dni chodziła nadąsana na Bułakowa za jego rzekomą niesprawiedliwość. Ale następny egzamin też przyniósł trójkę. Na trzecim otrzymała czwórkę, na czwartym — znów trójkę. Nic z tego nie mogła zrozumieć. Przywykła do tego, że jest zawsze pierwsza, niepokonana, a na swoim roku znalazła się niemal na końcu; prawdopodobnie profesorów drażni jej sława, więc świadomie wymagają od niej więcej niż od innych. Tu jest źródło jej rzekomych porażek! I jak tu pokazać ojcu taki indeks? Aż strach pomyśleć!

Najpierw jednak nie stary Sokił, lecz Jaryna Honta zaczęła niepokoić się wynikami egzaminów Niny. Postanowiła z nią szczerze pomówić. Nie mogła to być rozmowa przyjemna, ale to Jarynki nie odstraszyło. Kiedyś po powrocie ze stadionu spotkała Ninę w sali gimnastycznej. Nina ukończyła właśnie ćwiczenia zlecone jej przez trenerkę i odpoczywała na długiej, niskiej ławce. Pod sufitem paliły się jasno lampy. Jakiś muskularny gimnastyk kręcił na drążku „olbrzyma”. Gdy stopy jego osiągały punkt szczytowy, wyprężone ciało na chwilę zamierało, potem gwałtownie opadało w dół, opisując pełne koło, unosiło się do góry, znów zamierało w bezruchu w martwym punkcie i znów opadało.

— Gdzieś była? — spytała Nina, patrząc na gimnastyka.

— Na stadionie.

— Na takie zimno? Poprzeziębiacie się wszystkie przez tego Maksymowa.

— Nie ma obawy. Za to porządnie przygotujemy się do sezonu letniego.

Maksymow pracował przez całą zimę ze swoją grupą nie tylko w sali, ale również na stadionie, uważając, że treningi można prowadzić przez cały rok, niezależnie od sezonu.

— On się po prostu znęca nad wami!

— Nie sędzę... Czy wiesz, że w marcu są uniwersyteckie zawody?

Gimnastyk energicznym ruchem oderwał się od poprzeczki, dotknął nogami podłogi i znieruchomiał.

— Bardzo ładnie zeskoczył — powiedziała Nina. — Mam nadzieję, że te zawody nie odbędą się na stadionie?

— Nie, w ujeżdżalni. Powinnaś też wziąć udział.

— Nie sędzę, żeby to było interesujące — uśmiechnęła się Nina.

— Nie masz racji, zapowiadają się bardzo ciekawie. Mamy wszelkie podstawy, by zająć pierwsze miejsce.

— Beze mnie nie zajmiecie.

— Może zajęlibyśmy i bez ciebie, ale nie widzę powodu, dlaczego nie miałybyś...

— To nie dla mnie.

— Ależ dlaczego? Będziesz miała silne przeciwniczki.

— Może ciebie?

— Nie, nie jestem jeszcze gotowa.

Jaryna powiedziała to takim tonem, że Nina zrozumiała, iż dziewczyna myśli już o zwycięstwie, przygotowuje się do niego. Ale Jarynka nie czuła się dotknięta kpiącym z lekka tonem pytania, patrząc na Ninę nadal poważnie.

— Ta rozmowa nie ma sensu — przecięła Nina. — Przygotowuję się teraz do sezonu letniego, do nowych

rekordów i nie mam ochoty tracić sił na te wasze zawody.

Słowa Niny oburzyły Jarynę, opanowała się jednak.

— Słuchaj, Nino, dla mnie ta rozmowa nie jest przyjemna, ale kiedy już ją zaczęliśmy, to trzeba powiedzieć wszystko.

— Mów! — powaga dziewczyny śmieszyła Ninę.

— Powiem. Wiele o tobie ostatnio myślałam i ciągle nie mogę cię zrozumieć. Patrz, nie masz żadnych przyjaciółek. Jedziesz na samych trójkach, czasem wyskoczy jakaś czwórka. Traktujesz wszystkich z góry, jakbyś rzeczywiście osiągnęła już nie wiadomo jakie sukcesy. A teraz odmawiasz udziału w naszych zawodach...

— Jeden mój rekord i ty sama będziesz mnie wychwalała na wszystkich zebraniach.

— Za rekord pochwałę, ale o tym też nie zapomnę powiedzieć. Nie można mówić o patriotyzmie, o miłości do swego kraju, jeśli nie kocha się swojego roku, swojego uniwersytetu, swojego miasta. A tobie obojętne jest wszystko prócz własnych rekordów.

— To znaczy, że nie jestem patriotką, że nie kocham swojej ojczyzny, że nie walczyłam i nie walczę o jej sławę? — w głosie Niny wyczuwało się obrażę.

— Poczekaj, pozwól mi skończyć — teraz Jaryna wiedziała już, że potrafi się opanować. — Tak, zajmowałaś pierwsze miejsca, zdobywałaś rekordy i doszłaś do przekonania, że nie ma już mocniejszych od ciebie, i dlatego przestałaś pracować, przeszłaś do Kartasz...

— Bo Maksymow nie umie ze mną postępować.

— Nieprawda! Przeszłaś tylko dlatego, że Maksymow wymaga pracy i nie prawi komplementów, a u Kartasz wszystkim dyrygujesz ty. Podobają ci się ćwiczenia, to je wykonujesz, a nie podobają się, to ich

nie robisz. I sądzisz, że przy takim treningu będziesz mieć rekordy? Bardzo wątpię!

Nina kipiała ze złości. Czują, więcej: rozumiała, że Jaryna ma rację.

— A o patriotyzmie wspomniałam nieprzypadkowo — mówiła dalej Jaryna. — Zdobywając rekordy myślisz nie o ojczyźnie, lecz o własnej sławie. Na przykład teraz będą zawody, wszyscy studenci wyjdą na start, a towarzyska Sokił nie przyjdzie. I studenci pomyślą o tobie: „Nie chciała nam pomóc w wywalczeniu tego małego zwycięstwa, więc czy możemy na nią liczyć, że nam pomoże, kiedy trzeba będzie stoczyć prawdziwy bój?”

— Rozmawiasz ze mną jak prokurator z oskarżonym.

— Chcę, żebyś zrozumiała, jaką drogą teraz kroczysz. Nie jesteśmy już dziećmi i czas o tym pomyśleć — mówiła Jaryna z przekonaniem.

— Tu nie ma nad czym myśleć — odgryzła się Nina. — Po prostu chcesz mnie obrazić. Teraz już na pewno nie będę brała udziału w tych zawodach. Nie i koniec!

— A ty się nie gorączkuj i zastanów się — Jaryna przemawiała do niej jak starsza koleżanka, poczuwając się do odpowiedzialności za nią. — A poza tym nie zapominaj, że jesteś komsomołką. Towarzysze na pewno spytają cię kiedyś: „Dlaczego jesteś taka?” Co im odpowiesz?

— Odpowiem moimi osiągnięciami, nowym rekordem.

— Ale czy to wystarczy?

— Tak. I proszę cię, przestań mnie wychowywać. Obrzydły mi już te twoje pouczenia!

— W porządku. To znaczy, że nie pomożesz nam

w tych zawodach? No cóż, będziemy liczyć tylko na własne siły.

— Na własne słabe siły — kpila Nina.

— Przekonamy się, czy słabe.

Nina wstała z ławki, podszła do szwedzkiej ścianki, zawisła na wysokim szczeblu, wygięła się w łuk, potem wyprostowała. Wykonywała ćwiczenia dokładnie, precyzyjnie, lekko, widać było szkołę Maksymowa. Jaryna przez chwilę patrzyła na nią, potem w milczeniu poszła do drzwi.

— Życzę ci światowego rekordu na waszych zawodach — krzyknęła za nią Nina.

Jaryna nie zareagowała. Poszła do czytelnicy, usiadła przy stole i długo rozpamiętywała całą rozmowę. Może nie trzeba było jej zaczynać? Może powiedziała coś niewłaściwego? Nie, musiała tak mówić, bo tak rozumie te sprawy i wierzy w to, co mówiła. Jednak jako sekretarz komsomołu nie potrafiła Niny przekonać. No i teraz mistrzyni sportu nie będzie brać udziału w ich zawodach. Chyba czegoś nie przewidziała, nie znalazła klucza do tej rozmowy. Musi koniecznie odszukać Maksymowa i poradzić się go. I nie można z tym zwlekać.

Znalazła go w katedrze wychowania fizycznego.

— Co się stało, Jaryno?

— Przyszłam do was po poradę. Jako komsomołka do komunisty. Sprawa poważna. Chodzi o Ninę Sokił.

I przekazała dokładnie całą rozmowę. W miarę jak mówiła, twarz Maksymowa poważniała coraz bardziej. Jaryna Honta powiedziała Ninie prosto, jasno i stanowczo to wszystko, co niezręcznie byłoby powiedzieć jemu, bo dziewczyna pomyślałaby, że przemawia przez niego obrażona godność.

— Jaki popełniłam błąd, Mykoło Dmytrowiczu? Dlaczego mnie nie zrozumiała, czy nie chciała zrozu-



mieć? Powiedzcie mi! Jesteście członkiem partii, więc musicie wiedzieć.

— Wszystko powiedziane było dobrze i słusznie. Ale bieda w tym, że dla Niny słowa nic nie znaczą. Mogą ją przekonać tylko fakty. A te niewątpliwie wkrótce będą na zawodach już podczas pierwszych konkurencji. A jeśli nie będzie chciała biec, to nie trzeba nalegać ani prosić, bo to nic nie pomoże. Możemy być pewni, że sami studenci wygarną jej całą prawdę, niczego nie przepuszczą.

Maksymow chciał jeszcze coś powiedzieć o wpływie trenerki Kartasz na Ninę, ale się rozmyślił.

— Jeśli Nina sama nie uświadomi sobie swych błędów, to trzeba będzie zebrać komsomolców, zaprosić ją i porozmawiać z nią otwarcie. Chodzi o to, żeby usłyszała słowa prawdy nie tylko od sekretarza komsomołu, ale od własnych kolegów i towarzyszy, żeby odczuła, że niepokoi się o nią kolektyw. A teraz nie warto jej ani podganiać, ani nakłaniać do podejmowania jakichś decyzji. Niech sama do tego dojdzie. Bo jeśli na nią nacisnąć, powiedzmy na zebraniu komsomolskim, to pozornie być może ulegnie, ale w głębi duszy będzie protestować, czuć się jeszcze bardziej obrażoną i niedocenioną. Trzeba to wszystko robić ostrożnie. Wychowywanie ludzi to skomplikowana rzecz, towarzyszeko sekretarzu komsomołu — uśmiechnął się Maksymow. — A za rozmowę jestem wam bardzo wdzięczny.

Jaryna idąc do domu ciągle myślała o Ninie, ale powróciło utracone poczucie pewności. W 143 pokoju nie było nikogo. Na zielonej serwecie leżał biały prostokąt. Telegram? Do niej?

„Przelatuję przez Kijów piętnastego o czwartej. Spotkanie na lotnisku, całuję mocno. Stepan”.

Serce zabiło jej silniej. Początkowo zdawało się jej,

że w depeszy jest „przylatuję”, ale zamiast „y” była litera „e”. Dokąd on leci przez Kijów? Dziwne. Ale do czwartej już niewiele czasu. Żeby się tylko nie spóźnić. Szybko, szybko na lotnisko. A może Stepan zatrzyma się w Kijowie chociaż na jeden dzień?

Wybiegła z akademika, a teraz szybko do trolejbusu lub taksówki...

Ze styczniowego pochmurnego nieba sypał nieprzyjemny śnieg, smagał chłodny, porywisty wiatr. Krótki zimowy dzień kończył się.

„Jak oni będą lądować w taką pogodę? — pomyślała z niepokojem. — Żeby tylko szczęśliwie”.

Trolejbus pełznął tak wolno, jakby ciągnął za sobą jakiś niewiarygodny ciężar. Za szerokimi oknami domy przesuwwały się powoli, jakby sfilmowano je w zwolnionym tempie i pokazywano w kinie. Jaryna z trudem powstrzymywała się, by nie krzyknąć do kierowcy: „Szybciej, bo się spóźnię! Zaraz ma przylecieć mój kochany! Szybciej!”

Wreszcie trolejbus zatoczył koło: kijowskie lotnisko. Jaryna wyskoczyła z trolejbusu i wpadła do holu dworca lotniczego w momencie, gdy spiker ogłaszał przylot samolotu. Wyszła na peron, oparła się o ogrodzenie i wpatrywała się w śnieżną dal. Wiatr ciągnął za sobą chmury śniegu, ciskał je na beton lotniska i znowu unosił do góry. Znosi się na silny mróz i zamieć. Jak ten samolot wyląduje?

Doleciał warkot motorów. Nad lotniskiem przeleciał nisko ciężki, srebrny samolot, zatoczył krąg, potem koła podwozia dotknęły betonu. Samolot przejechał jeszcze kawałek, miękko huśtając się na grubych oponach, i stanął.

Stepan zszedł po schodkach, rozejrzał się, spostrzegł czerwoną czapkę Jaryny i pobiegł do niej jak szalony. Tak bardzo za nią tęsknił, tak czekał na tę

chwile! Całując jej wilgotne, chłodne usta nie widział nic prócz tej drogiej, wzruszonej twarzyczki.

— Dokąd lecisz?

— Do NRD. Zbudowali tam nową hutę i lecimy we trzech, by zapoznać ich z nową metodą szybkiego wytopu stali.

— A jak polecicie w taką zamieć?

— Polecimy. A może nie wypuszczą?

W jego głosie była jakaś gorąca nadzieja, która jednak nie miała się ziścić.

Przytuleni, trzymając się za ręce, chodzili po dworcu lotniczym. W ciągu pół godziny trzeba było opowiedzieć o wszystkim: o pierwszej sesji i treningach, i o Maksymowie, i o uniwersytecie, i o kolegach i koleżankach. Tylko o miłości nie było ani słowa.

Mróz tężał, wiatr siekł w twarz śniegiem, ale oni nic nie czuli. Poza nimi nic nie istniało dla nich w tej chwili w zaśnieżonym, mroźnym świecie.

Ostatni pocałunek, roztopiający śnieżynkę na wargach — i koniec. Minęło pół godziny. Samolot powoli rusza z miejsca. Bierze rozpęd, unosi się w niebo, potężne śmigła rozbijają chmury śniegu. Jeszcze chwilka — i szerokie skrzydła znikają w śnieżnej bieli.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Wiera Pietrowna Karcewa słuchała uważnie odpowiedzi Olgi Korszunowej i jednocześnie bacznie przyglądała się jej. Nie miała żadnych wątpliwości co do dobrego przygotowania studentki, niepokoił ją natomiast jej wyraz twarzy: była surowa, bez cienia uśmiechu, jakby nie świeciła już dla niej żadna gwiazda.

Nauka i sport pochłaniały jej cały czas. Pełniła

w instytucie liczne funkcje: redagowała gazetkę ścienną swojego roku, pomagała Karcewowi, prowadząc grupę młodych lekkoatletów, do późna siedziała w czytelni nad książkami, sama sporo trenowała, nie marnując podczas zajęć z Fiodorem Iwanowiczem ani jednej minuty, a mimo to przychodził moment, kiedy po powrocie do akademika i położeniu się do łóżka pozostawała sam na sam ze swoimi myślami. To było najgorsze.

Wiera Pietrowna już na początku egzaminu wiedziała, że należy się Oldze najwyższa ocena. Jej też trudno było sobie wyobrazić, że mogłaby nie otrzymać piątki, bo przygotowywała się do egzaminów bardzo sumiennie.

— Wystarczy. Piątka.

Olga podziękowała bez uśmiechu i wyszła z audytorium. Karcewa odprowadziła ją oczami do drzwi i pokiwała głową. Korszunowa zeszła na dół do automatu i zadzwoniła do Wołoszyny.

— Jestem gotowa — usłyszała w słuchawce. — Spotkamy się za pół godziny na stacji „Majakowski”.

— Dobrze, zdążę — odpowiedziała Korszunowa i wyszła z instytutu.

Punktualność Olgi Borysowny podobała się jej. Jest teraz druga. To znaczy, że aktorka dopiero co skończyła próbę i czekała na jej telefon.

Dziewczyna szybko doszła do Czerwonych Wrót, zjechała ruchomymi schodami i po chwili była na peronie. Właśnie w tym momencie zjeżdżała schodami w dół Wołoszyna. Uśmiechnęła się z daleka do Olgi, która przyjaźnie pomachała ręką.

Jeszcze tylko kilka minut do stacji „Sokół”, tam przesiąść się na autobus, potem pół godziny po zasnieszonym drodze — i oto wyłania się już z za wzgórza zabytkowy zespół pałacowo-leśny Archangielskoje. Tu,

w malowniczym parku, należącym kiedyś do kniazia Jusypa, mieściło się sanatorium, a przy nim baza narciarska.

— Wie pani — zaczęła rozmowę Wołoszyna — że nie przypominam sobie, by Karcew dawał komuś podobne obciążenie. Cztery razy w tygodniu w sali, dwa razy narty, raz łyżwy. Czy to nie za dużo?

— Nie, nie za dużo. Chce nas dobrze przygotować do sezonu letniego.

— Rozumiem. Tylko że za ostro wziął się za nas. Nawet manikiuru nie ma kiedy zrobić...

— Stop. Przyjechałyśmy! — Korszunowa lekko wyskoczyła z autobusu.

Weszły do małego, dobrze ogrzanego pokoju. Stróż, który doskonale znał obie sportsmenki, przyniósł im narciarskie buty. Po kilku minutach obie Olgi w czerwonych kostiumach wyszły z szatni i przypięły narty. Na kostiumach, szalikach i czapczkach narciarek osiadał szron. Płuca z rozkoszą wdychały mroźne, pachnące powietrze. Podmoskiewskie lasy, zamarłe w niezmaconej bezwietrznej ciszy, oddychały samym tlenem.

— Ho-ho-ho! — krzyknęła nagle Wołoszyna i echo poniosło ten okrzyk daleko, daleko ponad lasami, odbiło się gdzieś od pól i powróciło nad lasy. Oldze przypomniała się nagle dzisiejsza próba. Sama nie wiedziała, kiedy zrozumiała wreszcie bohaterkę sztuki „Lubow Jarowaja”. Chyba po tej jesiennej nocy, kiedy została u niej Olga Korszunowa. A może później? Ale jakie to ma znaczenie? Teraz jest jej w teatrze radośnie i lekko, nie może być nic wspanialszego ponad to uczucie.

Zza lasu wyłonił się sznur narciarzy. Zjeżdżali szybko z góry i śledzenie tego żywiołu ruchu sprawiało prawdziwą radość.

— Olga Borysowno! Widzi pani? Sawa! — zdziwiła się Korszunowa.

Wołoszyna popatrzyła uważniej. Rzeczywiście wśród narciarzy był Sawa Pochitonow.

— On teraz dużo trenuje — odpowiedziała aktorka. — Karcew wspominał mi kiedyś o tym.

Wołoszyna śledziła, jakie wrażenie wywrą na Oldze te słowa, nie dostrzegła jednak na jej twarzy nawet cienia wątpliwości czy wahań.

— Idziemy — rzekła Korszunowa i odbijając się mocno kijkami ruszyła.

Ich kostiumy zamigotały wśród grubych pni drzew jak barwne kwiaty. Zagłębiały się coraz bardziej w las, gdzie było mało śladów narciarskich, a powietrze przesycone mocną wonią żywicznych sosen. Nagle las się skończył. Przed narciarkami odsłoniły się ośnieżone pola i zamarznęta rzeka. Wołoszyna gwizdnęła, złożyła kijki, żeby nie przeszkadzały przy szybkim zjeździe, trochę przysiadła i poleciała z góry na zamarznęta rzekę — jakby płomień przekreślił białą, śnieżną przestrzeń.

Korszunowa ruszyła za nią. Lubiła ponad wszystko taki bieg, niemal lot, kiedy powietrze staje się jędrne i prawie dotykalne, śnieg śpiewa pod nartami, a każdy mięsień jest napięty dla utrzymania równowagi. Zatrzymała się na lodzie obok Wołoszyny.

Olga Borysowna przypatrywała się dwom ciągnącym się szerokim karbowanym śladom na śniegu jakby po olbrzymich gąsienicach.

— Tędy przeszły czołgi.

— Musi być teraz w nich zimno — dodała Korszunowa.

Pobiegły dalej, trzymając się śladów gąsienic, do odległego lasu. Słońce skłaniało się już ku horyzontowi, na śnieg kładły się dziwaczne, błękitne cienie.

Zrobiły już sporo kilometrów. Zaczęły odczuwać przyjemne zmęczenie. Chyba trzeba będzie wnet wracać.

Stały na wysokim brzegu rzeki, oświetlone jaskrawym słońcem, i naradzały się, jak najszybciej dostać się do bazy.

— Spojrzę z tego pagórka — powiedziała Korszunowa, ruszając z miejsca.

Ledwie zdążyła zbliżyć się do niego, gdy ten ośnieżony pagórek odwrócił się lufą działka czołgowego, skierowaną prosto na Olgę. Okazał się on dobrze zamaskowanym czołgiem. Nawet sterząca antena radiostacji wyglądała na cienką gałązkę młodej osiki. Otworzył się luk, a za chwilę wyskoczył na śnieg Iwan Gromow w ciepłym, futrzanym kombinezonie i hełmie.

— Jak się jeździ? — spytał Gromow.

— Nie jestem tu sama.

— Wiem. Śledzimy was chyba już pół godziny.

— Iwanie! — zawołała Wołoszyna podchodząc. — Skąd się tu wzięłeś? Boże mój, przecież tu szykuje się wojna.

— Uczę swoich chłopców.

— A gdzie oni są?

— Jednego jeszcze widać, inni są już za horyzontem.

— Taki czołg to straszna maszyna — powiedziała Wołoszyna.

— Straszna dla wrogów — wyjaśnił Gromow.

— Nie, to w ogóle potwór — upierała się Olga Borysowna. — Patrzcie, jaka wokół cisza i piękno, i nagle ten czołg, absurdalny w samej swej istocie, maszyna służąca do niszczenia. Wszystko, co na ziemi, ma rodzić, a ta maszyna...

— Nie wiem... Mnie osobiście ten czołg nie przeszkadza...

Słońce opuściło się jeszcze niżej, błękitny śnieg zaczął różowieć jakby niewidzialny artysta położył nowe farby na mroźną panoramę podmoskiewskiej zimy.

— Gdyby tak można zniszczyć wszystkie czołgi, karabiny, działa — powiedziała Korszunowa. — Ile ludzkiej energii by się zwolniło!

— To byłoby wspaniale, Olgo — Gromow próbował się uśmiechnąć, ale mróz ściągnął mu twarz. — Ale żylibyśmy sobie jak ślimak bez pancerza: kto by tylko miał ochotę, mógłby nas zagarnąć. Słowo pokój wydaje mi się pewniejsze, kiedy obok na wszelki wypadek stoi taka oto maszyna.

Sportsmenki milczały, myśląc o tym, co powiedział Gromow. I dziwna rzecz: tu, przy zamaskowanym czołgu z jego działkiem, wojna nie wydawała się tak straszna. Jakby ten czołg bronił ich swoimi stalowymi pierściami, jakby cały kraj osłonięty był przez takie czołgi i takich ludzi jak Iwan Gromow.

Gromow spojrział na zegarek.

— Proszę wybaczyć, ale na mnie już czas.

Uścisnął dłoń Korszunowej, a żegnając się z Wołoszyną powiedział:

— Bardzo się cieszę, że widzę was razem.

I nie czekając na odpowiedź wskoczył na czołg.

— Olgo! — zawołał, chowając się w luk. — Zaraz do sanatorium w Archangielskoje przyślę po was samochód. Kierowcę potem zwolnijcie. Wszystkiego dobrego!

I zniknął w luku.

Zawarczało i śnieżny pagórek rozpadł się jak od trzęsienia ziemi. Potężny czołg wydostał się spod śniegu i nabierając szybkości w chmurze drobnego



pyłu pomknął w dół, do rzeki, przejechał ostrożnie przez lód.

Gdy Sawa Pochitonow zobaczył czołg na drugim brzegu rzeki, ruszył, by się z nim ścigać, ale utonął w śnieżnej kurzawie wznieconej przez maszynę. Chłopak odwrócił się i dostrzegł daleko koło lasu dwie narciarki. Chciał zawołać, ale się wstrzymał. Nie ma sensu, Olga nie odpowie na jego wołanie. Trzeba wracać.

Za godzinę był w domu.

— Dlaczego ta twoja narzeczona już się więcej u nas nie pokazała? — spytała Neonila Grigoriewna, stawiając przed synem talerz z parującą zupą.

Chłopak udał, że nie słyszy, pochłonięty obserwowaniem w talerzu kilku pięknie wyciętych w gwiazdkę plasterków marchwi. Matka nie przywykła jednak do ignorowania jej pytań. Spojrzała krytycznie i nieco kpiąco na syna.

— Jeśli jesteś taki uprzejmy dla swojej narzeczonej jak dla matki, to rozumiem, że ona nie ma ochoty cię widzieć, bo kto chciałby zadawać się z gburami?

Sawa zrozumiał, że nie uda mu się wykpić milczeniem.

— Widzisz, mamó — powiedział łagodnie — dość często tak się zdarza... Człowiekowi się wydaje, że ma przed sobą nie dziewczynę, lecz prawdziwego anioła, a kiedy dobrze mu się przyjrzy, to okazuje się, że to nie anioł, lecz wprost przeciwnie...

— Diabeł?

— Nie, nie chciałem tego tak określić, ale to zupełnie coś innego niż to, czego się oczekiwało, o czym przez całe życie się marzyło...

Sawa był pewny, że matka się ucieszy i stanie po jego stronie. Przecież tak się zawsze bała, żeby nagle

nie przyprowadził do domu jakiejś tam dziewczyny, która zabierze jej jedynaka pieszczołka. Ale twarz jej zamiast rozjaśnić się — spochmurniała. Przez kilka minut przyglądała się synowi w milczeniu, jak je, potem przyniosła drugie danie i dopiero wtedy przemówiła.

— To znaczy, że twoja narzeczona, kiedy dobrze cię poznała, dała ci po prostu kosza.

— Żadnego kosza mi nie dała.

— To oczywiście figura retoryczna. Powiedziała ci po prostu „adieu”, co w waszym języku znaczy „spływaj”, a w języku potocznym „mam cię dość”.

Mama miała wyjątkową umiejętność poruszania najboleśniejszych strun serca. Trzeba jak najszybciej skończyć obiad i uciec do swego pokoju, bo nie ma siły prowadzić z nią dalej takiej rozmowy. I tak przez wszystkie te tygodnie bez Olgi nie może sobie znaleźć miejsca, a tu jeszcze te uwagi...

— Nieźle opanowałaś żargon moskiewskich chuliganów — powiedział, żeby jakoś urazić matkę — przypisując go studentom. A co do Olgi, to oczywiście nie będę się z nią więcej spotykać. Bardzo się pomyliłem co do niej i głęboko rozczarowałem. Więc bardzo cię proszę, skończmy tę rozmowę i nigdy już do niej nie wracajmy.

— Coś ty jej zrobił? Dlaczego ona nie chce cię widzieć?

— Tu nie chodzi wcale o nią. Po prostu to ja się rozczarowałem. Miałaś wówczas rację, ona nie dla mnie...

— Muszę ci jedno powiedzieć: spośród wszystkich twoich znajomych dziewcząt ta była najładniejsza, najsympatyczniejsza i najrozumniejsza. Najbardziej rozumna chociażby dlatego, że przepędziła cię...

— Nikt mnie nie przepędzał! — krzyknął Sawa.

— Dobrze, nie przepędziła, tylko powiedziała, że nie chce cię więcej widzieć. Coś ty jej zrobił?

— Dlaczego uważasz, że do złego zdolny jestem tylko ja?

— Ona w każdym razie na pewno nie. Jestem o tym przekonana.

— No to możecie się całować ze swoją Olgą Korzunową, kiedy tak przypadłyście sobie do serca! — zawołał Sawa, zatkał usta ostatnim kęsem kotleta i poderwał się od stołu. Na progu swego pokoju zatrzymał się i powiedział:

— Ciesz się, bo udało ci się dopiąć swego. Ona nigdy już do nas nie przyjdzie. No bo jaka dziewczyna będzie odnosić się z szacunkiem do rodziny, w której pokazują jej wszystko jak w antykwariacie, a do tego podają jeszcze ceny? To ty jesteś wszystkiemu winna, ty, tylko ty i nikt więcej!

— Czy ona ci to powiedziała?

— Ona niczego nie mówiła. Wszystko było jasne.

— Mnie się wydaje, że myśmy dobrze się z nią porozumiały. Nie marzyłam nawet o lepszej synowej. No i pamiętaj: za dwa lata zostanie bez wątplenia mistrzynią świata.

Został ugodzony własną bronią. Wzburzony wpadł do swego pokoju, zamknął drzwi i rzucił się na tapczan. Z trudem oddychał ze złości i doświadczał jakiegoś niezrozumiałego uczucia. Jakby coś chwyciło go za gardło, a on nie potrafił się uwolnić z tego uścisku. I wiedział, że nie spowodowała tego rozmowa z mamą.

Tam, u Wołoszyny, powiedział do Siewoczki Barkowa to, co wydawało mu się bardzo ważne, chyba nawet decydujące w jego stosunku do Olgi. Tak, niewątpliwie ona zostanie mistrzynią świata, a ktoś śmiałyby męża mistrzyni świata wysłać z Moskwy

gdzieś na prowincję? No ale potem był ten nieszczęsny anonimowy telefon do Wołoszyny. Barkow okazał się zdrajcą, plotkarzem i prowokatorem (trzeba będzie przy okazji spuścić mu manto) — no i teraz wszystko wzięło w łeb: posłają go gdzieś do powiatu.

Ale kiedy znikła, rozsypała się w proch ta nędzna myśl, niespodziewanie dla samego Sawy okazało się, że nie potrafi nie wspominać Olgi niemal bez przerwy, przypominać z bolesną rozkoszą jej głos, jej uśmiech, jej pocałunki... Wszystko to należało do niego, mógł być najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, a zamiast tego stał się jakimś fircykiem i żulikiem, podobnym do Siewoczki. A najstraszniejsze jest to, że utracił Olgę chyba na zawsze. Ona nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, przechodzi obok niego, jakby był powietrzem... Niedawno spotkał ją na uniwersytecie w mrocznym korytarzu koło szatni; przycisnął do ściany, by nie mogła uciec, i zaczął mówić rwącym się, namiętym głosem:

— Olgo, zlituj się nade mną! Nie mogę żyć bez ciebie. Nie masz w ogóle serca, czy masz serce z kamienia? A mozesz mnie nigdy nie kochała? Bawiłaś się mną tylko?

Dziewczyna milczała i jedynym jej pragnieniem było jak najszybciej wydostać się stąd i przerwać te wyznania. Na jej twarzy pojawił się brzydki grymas. Sawa nie wzbudzał w niej teraz nic oprócz odrazy. Kochała go kiedyś, może jeszcze go kocha teraz, ale nie zdradzi się z tym, zdusi to uczucie, bo tak chce i dopnie tego. I nie wpłyną na jej decyzję żadne obłudne słowa Sawy. Życie już dało jej nauczkę. Była to jeszcze jedna pamiętna lekcja, o której Olga nigdy nie zapomni.

— Jeśli chcesz, to ustanowię dla ciebie rekord świata — mówił Sawa ochrypłym, rozpaczliwym głó-

sem. — Ustanowię rekord i zadedykuję go tobie, żeby cały świat o tym wiedziało... Kocham cię! Rozumiesz? Kocham... Bardzo zawiniłem wobec ciebie, wiem o tym. Ale zrozum, że szczerze cię kocham. Czy nie możesz pojąć nawet tak zwykłego słowa?

Olga wiedziała: Sawa nie grał teraz żadnej komedii, być może nawet w tej chwili czuł do niej prawdziwą, szczerą miłość, jednak zbyt wiele jej zadał bólu swymi słowami i postępowaniem, żeby mogła łatwo uwierzyć w taki nagły przełom. Dlatego odpowiedziała spokojnie, bez wahania, chociaż wzmianka o minionej miłości kleszczami ścisnęła jej serce.

— Puść mnie, Sawo. Miłość to nie jest przedmiot, który można skleić jak porcelanową figurkę, kiedy się ją rozbije. A w szczerą twoich uczuć nie wierzę i nie uwierzę nigdy. I chyba słowom w ogóle nigdy już nie będę wierzyła. To wszystko. A teraz przepuść mnie.

Sawa pozwolił jej odejść. Olga szybko poszła nie obejrzawszy się nawet, jakby nigdy w życiu nie słyszała imienia Sawy. A on stał i patrzył za nią i może właśnie w tej chwili kochał ją z taką siłą, że byłby zdolny na jej życzenie dokonać heroicznego czynu, żeby tylko zwróciła na niego uwagę... Wrócił do domu, zamknął się w swoim pokoju i nie odpowiadając na pytania zaniepokojonej matki cały wieczór spędził samotnie, myśląc o swoim życiu. Pomyślał nawet o samobójstwie, ale tylko takim na pokaz, żeby Olga mogła się przekonać, do jakich rozpaczliwych kroków zdolny jest pod wpływem miłości, i żeby mu przebaczyła. Odrzucił jednak szybko tę myśl, która go tylko jeszcze bardziej rozdrażniła. Nie, nie uratują go takie teatralne gesty. Trzeba przemyśleć całe swoje życie. Ale jak, kiedy nigdy dotąd tego nie robił? Zawsze do tej pory myśleli za niego inni, wszystko miał podane

jak na talerzu... A teraz musi sam zdecydować, jak żyć dalej, jak zasłużyć na miłość Olgi, bo bez niej nie może istnieć.

Kogo się poradzić w tak skomplikowanej sprawie? Matki? Nie, ona na pewno niewłaściwie wszystko zrozumie, może nawet będzie się cieszyć z jego porażek, przecież zawsze obawiała się synowej w swoim domu. Więc z kim porozmawiać? Dlaczego nie ma przyjaciela, przed którym mógłby się zwierzyć ze swoich najtajniejszych myśli i marzeń? Znalazł się w takiej ciężkiej sytuacji i nie ma się kogo poradzić. No nic, sam znajdzie jakieś wyjście i drogę do Olgi Korzunowej. Kochała go przecież i miłość ta nie mogła zniknąć bez śladu. Nie mogła...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Ponuro upływały zimowe miesiące w małym domku przy ulicy Grenelle. Odeszła Lili Boucher, która była duszą tego domu. Na jej miejsce zjawiła się madame Jorjette, daleka krewna Chartina, ale ona w najmniejszej nawet mierze nie mogła zastąpić Lili.

Pisarz przeżył tę zimę samotnie. Prawie nikt go nie odwiedzał, Chartin ograniczał się do kontaktów telefonicznych. Odmawiał wszelkich wystąpień w prasie, na zebraniach, chociaż często go zapraszano.

— Pracuję — odpowiadał na wszelkie propozycje.  
— Nie mogę odrywać się od ważnej pracy.

Rozmówcy taktownie żegnali się, życząc mistrzowi zdrowia i sukcesów.

Ale mistrz Chartin bezwstydnie kłamał. Nic nie robił i przez całe dni, wieczory, a niekiedy i noce przeżywał w swoim gabinecie w fotelu w półleżącej pozycji i myślał. Może nawet nie tyle odjazd Char-

lesa wywołał taki głęboki kryzys, co jedno zdanie, wypowiedziane przez niego w ten wieczór: „Twoje słowa rozmijają się z tym, co piszesz”.

Chartin odprowadził syna na dworzec. Pociąg z żołnierzami odjeżdżał z jakiegoś zapasowego peronu, daleko od miasta, jego pasażerowie byli pochmurni. Chartin zauważył, że oprócz niego nie było nikogo. Podzielił się tym spostrzeżeniem z synem.

— A cóż byś ty chciał, żeby tu była cała demonstracja z czerwonymi sztandarami? Pozwól tylko wpuścić tu kobiety, to położą się na szyny przed pociągiem i nie pozwolą nam odjechać. Już były takie rzeczy. Tu jeszcze pół biedy, ale jeden Bóg tylko wie, co nas czeka w Marsylii.

Blisko pociągu zatrzymał się zielony willys. Wsiadł z niego amerykański oficer, podszedł do komendanta transportu i coś mu powiedział. Tamten natychmiast wydał rozkaz do odjazdu, zaganiając wszystkich do wagonów.

— Do widzenia, ojczule! — Charles objął go serdecznie.

— Uważaj na siebie... — Chartin tylko tyle mógł wykrztusić.

Pociąg ruszył. Pisarz w ponurym nastroju poszedł do samochodu. Jego gabinet, oświetlony przyćmionym światłem, stał się teraz jeszcze bardziej smutny i pusty. Spokój diabli wzięli. Wszystko go drażniło. Nawet to, że drzwi otwiera mu nie Lili, lecz madame Jorjette, że razem z nią zjawił się w domu zapach jakichś okropnych perfum, że nic nie leży na swoim miejscu i panuje bezład.

Po powrocie z dworca Chartin zamknął się w swoim gabinecie. Ciągle jeszcze miał przed oczyma brudny peron, oficera amerykańskiego, którego zbytnia

pewność siebie bardzo go zirytowała, oraz pożegnanie z synem.

Od tego wieczoru popłynęły jednostajne i pełne niepokoju dni, spędzane na rozmyślaniach, oczekiwaniu listów od syna i całkowitym nieróbstwie. Wydawało mu się, że jest chory. Tym usprawiedliwiał sam przed sobą niechęć do pracy. „Twoje słowa rozmijają się z tym, co piszesz” — dźwięczało mu ciągle w uszach.

Wreszcie przyszedł pierwszy list od Charlesa — krótki, wesoły. Ciągłe płynęli przez morza i cieśniny do dalekiego Wietnamu, walk jeszcze nie było. List ten jednak nie uspokoił Chartina. Najwięcej myślał o przyszłych utworach. Nie, to nie Amerykanie będą bohaterami jego sztuk. Trzeba przeciwstawić im Francję, jej bohaterów, jej naród. Ale jakich? Tych, co walczyli w czasie okupacji z Hitlerem, a teraz siedzą w więzieniach, czy tych, co nadali Paryżowi amerykańskie oblicze? Jednych nie rozumiał, drudzy budzili w nim odrazę. Więc o kim pisać?

Pozostała tylko historia. Chartin coraz częściej myślał o wielkiej powieści historycznej, w której będzie się mógł schronić przed pospolitą i odrażającą codziennością.

Sylwestra spędził w towarzystwie kilku przyjaciół. Dom przy ulicy Grenelle był jasno oświetlony, rozbrzmiewał wesołymi głosami i dawno tu nie słyszonym śmiechem. Chartin wziął się w karby, z wytworną kurtuazją czynił honory domu. Nad ranem goście rozeszli się i znowu cisza zaległa w domu pisarza, który żył teraz od listu do listu.

Pewnej niedzieli wpadł do niego stary przyjaciel Jacques Barni. Kiedyś karmili razem wszy w okopach nad Marną. Nie widywali się później i po kilka



lat, przyjaźń ich jednak przetrwała. Spotykali się znowu tak, jakby rozstali się poprzedniego dnia.

Gdy potężnej tuszy gość o czerwonej twarzy wszedł do gabinetu Chartina, od razu stało się tam ciasno.

— Co tu u ciebie jakąś pleśnią zalatuje?

Chartin wiedział, że to nie pleśń, tylko perfumy madame Jorjette. — Skąd się tu wzięłeś, Jacques? — zawołał serdecznie.

— Z więzienia.

— Nie żartuj! Jakoś mi nie wyglądasz na więźnia.

— Wcale nie żartuję. Rzeczywiście przesiedziałem miesiąc. Nawet mieli mi zrobić proces, ale zrezygnowali i wypuścili, bo zrozumieli, że przekształciłby się on w prawdziwą demonstrację.

— Ale za co? — Chartin przez całe życie czuł respekt przed prokuratorami, sądami i prawem.

— Za artykuł w „L'Humanité”.

— Nie czytuję tej gazety.

— Szkoda. Drukują tam materiały, jakich nie znajdziesz nigdzie.

Chartin przypomniał sobie kronikarskie zestawienie w berlińskiej gazecie, nic jednak nie powiedział. Jego gość podszedł do okna i próbował je otworzyć. Od ramy odskoczył suchy lakier.

— Co ty robisz?! — krzyknął gospodarz.

— Patrz, jakie słońce za oknami! Aż trudno uwierzyć, że to koniec lutego! Wiesz co, po co będziemy tu gnuśnieć, lepiej pochodzimy trochę po bulwarach, bo całkiem tu spleśniejesz.

Poeiął nosem i skrzywił się: perfumy madame Jorjette wyraźnie mu nie odpowiadały.

— Za pięć minut będę gotów — zgodził się Chartin.

Kiedy przyczesany, w palcie i swym nieśmiertelnym gaskońskim berecie wrócił do gabinetu, Jacques prze-

glądał jakąś książeczkę. Była to ostatnia sztuka Chartina w oddzielnym wydaniu.

— Kiedy ją wystawia?

— Nie wiem — odparł Chartin z wyraźnym niezadowoleniem, wyrwał książkę z rąk przyjaciela i wrzucił ją do szuflady biurka.

Gość spojrział na niego zdziwiony. Nie znał tej sztuki, słyszał jednak, że Chartin chwaliła w niej armię amerykańską.

— Myślałem, że mi ją podarujesz.

— Nie. Chodźmy.

Zaskoczyła go taka nieuprzejmość ze strony przyjaciela i gospodarza, nie zareagował jednak na to.

Kiedy wyszli na zalaną słońcem ulicę Grenelle, Chartin przywykły do półmroku swego gabinetu musiał zmrużyć oczy; zdawało się, że i ściany domów, i nagie gałęzie drzew, i powietrze nasycone wiosennym ciepłem wypromieniowują to osłepiające światło.

— Wiosna — powiedział Chartin.

— Tak. Dokąd pójdziemy?

— Dokąd chcesz. Idziemy bez żadnego planu.

Długo chodzili ulicami Paryża, aż wreszcie zawędrowali nad Sekwanę. Olbrzymie granitowe płyty i asfalt nabrzeża wysmarowane były dziegciem na przestrzeni kilkudziesięciu metrów.

— Co za dureń kazał to zrobić?! — rozzłościł się Chartin. — I bez tego Paryż jest dostatecznie brudny.

— Policja — poinformował lakonicznie Barni.

— Po co?

— Kiedy aresztowali Jacquesa Duclos, nasi chłopcy zaczęli wszędzie wypisywać dziegciem napisy, żądające jego zwolnienia. Policja ciągle je zeskrobywała, aż wreszcie, kiedy już nie dawała sobie z tym rady,

zmuszona była zasmarować te hasła oczywiście też dziegciem. Miała sporo roboty!

Chartin roześmiał się. Cała ta historia wydała mu się bardzo zabawna.

— A tego Duclos chyba zwolnili?

— Niechby spróbowali go nie zwolnić!

Na nabrzeżu zatrzymało się kilka autokarów z tabliczkami „München — Paris”. Wysypało się z nich chyba z półtorej setki niemieckich turystów, Bawarczyków w zielonych kapelusikach z kogucimi piórami, w krótkich, powyżej kolan, zamszowych spodniach na szelkach, z amerykańskimi cygarami w zębach. Zakręcone w górę wąsy i pewne siebie miny oraz hałaśliwe zachowanie się rozdrażniły przyjaciół, skrzyknęli więc w pierwszą uliczkę.

— Napijmy się piwa — zaproponował Chartin.

Weszli do małej piwiarni. Przy nie otwartej jeszcze beczce czekało kilku mężczyzn. Barni i Chartin przez chwilę przypatrywali się, jak właściciel piwiarni przystawia do pękatej beczułki miedzianą pipę.

Do środka wszedł żołnierz amerykański, spokojnie odsunął od beczułki oczekujących Francuzów. W tym momencie z pipy popłynęło bursztynowe piwo. Pierwszy kufel gospodarz podał żołnierzowi, który wypił piwo na stojąco, rzucił na szynkwias monetę i wyszedł.

Był to w Paryżu obrazek tak zwykły, że nikt nie zwrócił na to uwagi, ale Barni nie mógł się do tego przyzwyczaić.

— Widziałeś? — spytał.

Chartin dostrzegł oczywiście wszystko. Ten Amerykanin z kuflem piwa i pokorna postawa Francuzów wydały mu się symboliczne. W milczeniu dopili pienisty napój.

— Że też nikt nie da takiemu po gębie — prze-  
rwał ciszę Chartin.

— Co ja słyszę?...

— Ludzie bezczelni trafiają się wszędzie, niezależ-  
nie od narodowości. Gdy spotykam takiego faceta,  
mam ochotę dać mu po gębie. No, ale na szczęście  
są to wyjątki.

— Obawiam się, że będziesz miał sporo roboty...

Wyszli z piwiarni.

— Pojedziemy teraz na hipodrom w Vincennes —  
zapropnował Barni.

— Są tam dziś biegi?

— Jest cross imienia „L'Humanité”. Pojedziemy?

Słońce tak przyjemnie świeciło na jasnym bez-  
chmurnym niebie, wietrzyk tak pieśczośliwie mu-  
skał twarz, że wspomnienie o perfumach madame  
Jorjette było teraz nie do zniesienia.

Kiedyś Château-de-Vincennes z jego zamkiem i dziel-  
nicą mieszkalną było samodzielnym miastem, odgro-  
dzonym od Paryża drzemającym, ciemnym lasem. We-  
dług starych podań tu właśnie odbywały się wspa-  
niałe polowania z udziałem samego króla, który po-  
trafił jednak uszanować suwerenność właścicieli zam-  
ku. Ale od tamtych czasów upłynęło w Sekwanie  
sporo wody, Paryż rozrósł się i wchłonął małe Vin-  
cennes, las zaś został przekształcony w gęsty park.  
Właśnie na jego skraju zbudowano hipodrom, odwie-  
dzany chętnie przez Paryżan w dniach wyścigów  
konnych.

Chartin i Barni przyjechali przed decydującym  
biegiem. Pisarz uważnie przyglądał się tłumom wy-  
pełniającym trybuny. Byli to robotnicy zakładów sa-  
mochodowych „Renault”, midinetki z salonów mody,  
księgowi wielkich firm i subiekci małych sklepików,  
kelnerzy z kawiarni i uczennice szkół technicznych.

Publiczność prezentowała się dość skromnie, nie to jednak stanowiło przedmiot jego refleksji. Wiedział, że zawody o puchar „L'Humanité” nie mogą przyciągnąć uwagi zwolenników burżuazyjnego sportu. Tym bardziej uderzyła go strona organizacyjna zawodów. Ludzie przyszli tu nie tyle popatrzeć na biegi, co zamanifestować swoje sympatie dla komunistycznej gazety, a więc i dla Komunistycznej Partii Francji. Chartin nie podjąłby się nawet w przybliżeniu określić liczby widzów, w każdym razie stanowili poważną siłę. Każdy z tych widzów oddzielnie nie odważyłby się zmierzyć z Amerykaninem, w masie jednak ludzie ci potrafiliby wypędzić z Francji nie tylko „ami”, ale jeszcze tego i owego, poczynając od własnego rządu.

Refleksje te zaniepokoiły Chartina. Nigdy nie przypuszczał nawet, że partia komunistyczna ma tak znaczne wpływy.

— Czy to wszystko komuniści?

Barni zaśmiał się.

— To za wiele i za mało powiedziane.

Na starcie szykowało się do biegu dwadzieścia kobiet, wśród nich sześć w jaskrawoczerwonych koszulkach.

— A to co takiego? — zaniepokoił się Chartin.

— To nasi goście ze Związku Radzieckiego.

— Mają prawo brać udział w tych zawodach?

— Oczywiście. Gdyby Amerykanie mieli ochotę, też byśmy ich dopuścili. Przyjrzyj się dobrze, są tu sportowcy z wielu krajów.

Sygnał startera. Dziewczęta ruszyły szybko z miejsca wielobarwną grupą i wnet znalazły się po drugiej stronie bieżni. Prowadziły dwie zawodniczki w czerwonych koszulkach z godłem Związku Radzieckiego na piersiach, tocząc między sobą walkę o pier-

wsze miejsce. Wyższa i szczuplejsza silnym zrywem przerwała taśmę mety. Za nią runęły pozostałe, ostatnim wysiłkiem walcząc o kolejne miejsca.

Na trybunach rozległy się oklaski i okrzyki. Chartin przyłapał się na tym, że przyłączył się do tego ogólnego aplauzu. Trzy zwyciężczynie, dwie sprinterki radzieckie i jedna francuska, zajęły miejsca na podwyższeniu. Stadion zaległa cisza, w której rozległy się uroczyste dźwięki.

— Co to takiego? — spytał Chartin.

— Hymn Związku Radzieckiego.

Pisarz był wyraźnie skonfundowany, czuł, że ogaśnia go gniew na przyjaciela. Wygląda na to, że on, Chartin, uczestniczy w jakiejś komunistycznej manifestacji. Ale uciekać było jakoś niezręcznie.

Na starcie stanęli do decydującego biegu mężczyźni. „Może chociaż tu Francja zwycięży” — pomyślał Chartin, ale jego nadzieje nie spełniły się. Znowu czerwona koszulka ze złotym godłem rozerwała taśmę i znowu hymn Związku Radzieckiego popłynął nad lasami Vincennes.

— Głos ma redaktor dziennika „L’Humanité” — rozległo się z głośnika, kiedy ucichły ostatecznie dźwięki hymnu oraz okrzyki i oklaski.

— Przyszedłem tu na zawody, a nie na wiec komunistyczny — powiedział Chartin. — Nie mam ochoty nikogo słuchać. Idziesz ze mną?

— Oczywiście.

Gdy byli już w samochodzie, Chartin powiedział po dłuższym milczeniu:

— Tam Amerykanie, tu Rosjanie, tylko dla Francuzów nie ma miejsca we Francji.

— Z tą różnicą, że Rosjan zaprosiliśmy my sami i jutro wrócą do domu, zaś Amerykanów nikt nie zapraszał i wcale nie mają zamiaru wracać do siebie.

— Nie jesteś patriotą — zrzędził Chartin. — Nie mogliście znaleźć lepszych sportowców? Nad Vincennes powinna rozbrzmiewać Marsylianka!

— To już inna sprawa — zaśmiał się Barni. — Też bym tego chciał. Ale rekordzistom francuskim zabroniono udziału w naszych zawodach, a własnych jeszcześmy się nie dorobili. I taka to oto demokracja!

Nie, z tym Barnim w ogóle nie można rozmawiać, zaraz wszystko sprowadza do polityki!

— Czyś ty widział, że ludzie nie ukrywają swojej sympatii do Związku Radzieckiego?

— Tego jeszcze brakowało, by w prasie napisali, że brałem udział w tej demonstracji.

— Nie obawiaj się, nie napiszą.

Taksówka zatrzymała się przy ulicy Grenelle.

— Dziękuję za towarzystwo! — zawołał na pożegnanie Barni.

W odpowiedzi Chartin pomachał ręką i otworzył furtkę.

W gabinecie panował półmrok. „Jak w grobowcu” — pomyślał pisarz. Tam, na ulicach, kipiało życie niezrozumiałe, niekiedy odrażające i nieprzyjemne, ale jednak życie...

Zadzwonił telefon.

— Hallo, Chartin — rozległ się w słuchawce znajomy spokojny głos, w którym wyczuwało się władczą nutę. — Mówi Stanley. Nie poznał pan?

— Nie poznałem. Dzień dobry.

— Jak idzie praca nad sztuką, o której mówiliśmy?

— Nijak.

— Tak nie można, Chartin — w głosie Stanleya było nie ukrywane niezadowolenie. — Musimy mieć taką sztukę do jesieni i właśnie pan ją powinien napisać. I żeby rozruszać pańską leniwą muzę, zapraszam pana do Berlina na defiladę i zawody sportowe.

Jedziemy za tydzień, w niedzielę. Przyślę po pana samochód. I proszę myśleć o sztuce. Wszystkiego dobrego!

Chartin z oburzeniem rzucił słuchawkę na widełki. Co za bezczelność! Rozmawia ze sławnym pisarzem jak z kierowcą taksówki... A najgorsze, że mistrz Chartin nie śmie odmówić tak „zaszczytnego” zaproszenia. Niech to wszyscy diabli wezmą, ma już tego powyżej uszu!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Gdyby Ninę ktoś poprosił, zgodziłaby się na pewno wystąpić na zawodach uniwersyteckich. Ale mijał dzień za dniem i nikt nie zwracał się do niej z taką prośbą. Jak gdyby wszyscy o niej zapomnieli i jakby jej uczestnictwo nie było potrzebne do osiągnięcia zwycięstwa. To oczywiście Jaryna Honta. To jej robota!

Nawet na myśl jej nie przyszło, żeby pójść do Jaryny i zaproponować włączenie jej do drużyny ich wydziału. Cóż to, może ma wpraszać się do rozgrywek, o których nawet w gazetach nie będzie?

Nina, śmiejąc się, podzieliła się tymi refleksjami z Sofiją Kartasz, która krytycznie oceniła postawę dziewczyny, ale zamiast powiedzieć jej prawdę, dołała jeszcze oliwy do ognia:

— Tak, to śmieszne... Oczywiście, te zawody nie dla ciebie, nie ma sensu tracić na nie czasu i sił. Bądź pewna: kiedy dojdzie do ważnych spotkań, niewątpliwie cię zaproszą.

Nina wreszcie usłyszała to, co chciała usłyszeć, i uspokoiła się. Teraz mogła już obojętnie przypatry-



wać się, jak jej wydział przygotowuje się do zawodów i słuchać prognoz dotyczących przyszłych osiągnięć. Była nieco zdziwiona, że Jarynie i Maksymowowi udało się zainteresować zawodami wszystkich studentów. Znalazły się co prawda wyjątki, ale nieliczne.

Jednym z takich była właśnie Nina. Rozumiała to, pycha nie pozwalała jej jednak zawrócić z tej drogi. Wyobraźnia podsuwała zaś obrazy podsycające tę pychę. Oto podczas zawodów wydział dziennikarski pozostaje coraz bardziej w tyle, a wystarczyłby jakiś jeden rekord, żeby zajął pierwsze miejsce. Wtedy wszyscy, z Maksymowem i Jaryną na czele, przychodzą do niej i proszą, by uratowała honor wydziału. Ona wspaniałomyślnie zgadza się, ustanawia nowy rekord i wywalcza swojemu fakultetowi pierwsze miejsce. I wówczas wszyscy wreszcie rozumieją, z kim mają do czynienia i kogo tak lekceważyli przez cały czas. Tak, właśnie lekceważyli...

Zawody miały odbyć się w obszernej ujeżdżalni, gdzie przygotowano już sześćdziesięciometrową bieżnię, piaskownice dla skoczków i pole do pchnięcia kulą. Ujeżdżalnia mieściła się na Peczersku, w obrębie suworowskiej uczelni, dość daleko od śródmieścia, co zresztą nie zniechęcało młodych sportowców.

Jaryna nie szczędziła sił, by jej wydział znalazł się na pierwszym miejscu, wiele też wymagała od swoich kolegów. Razem z Maksymowem rozważyli wszystkie możliwe warianty. O ostatecznych wynikach zawodów decydują jednak nie wcześniejsze obliczenia i martwe cyfry, lecz żywi ludzie ze swoimi temperamentami i nastrojami. Wszystko rozstrzyga się na stadionie.

Nadeszły wreszcie dni igrzysk uniwersyteckich. Rozpoczęła je w sobotę defilada uczestników. Ujeżdżalnię zdobiły białe z błękitnym pasem flagi towarzystwa

sportowego „Nauka”. Na ścianach widniały hasła i plakaty. Grała orkiestra. Zawody stały się wielkim studenckim świętem.

Nina postanowiła w ogóle nie pokazywać się w ujeżdżalni, ale w miarę, jak wskazówki zegara zbliżały się do siódmej — godziny rozpoczęcia igrzysk — coraz bardziej chwiała się w swej decyzji. Przecież tam, na trybunach, zasiądzie wielu studentów, dlatego więc nie miałyby znaleźć się wśród nich? To będzie nawet interesujące: wszyscy zauważą, że ona nie uczestniczy w zawodach i będą niewątpliwie dziwić się. Nie ma sensu siedzieć w domu. Szybko płaszcz na ramiona, czapkę na głowę — i w drogę.

Zdażyła na czas, właśnie rozpoczęła się defilada. Zgromadzonych w ujeżdżalni sportowców wszystkich wydziałów powitał rektor uniwersytetu oraz sekretarz miejskiej organizacji komsomołu. Popłynęły uroczyste dźwięki hymnu Związku Radzieckiego i Radzieckiej Ukrainy. Atmosfera była tak podniosła, że Nina zapomniała o nikłej w skali światowej wadze tych zawodów. Nikt do niej nie podchodził, nikt jej nie zapraszał, było jej więc przykro i ciężko na sercu. Zrodziła się świadomość, że niesłusznie postępuje, nie chciała jednak przyznać się do tego. Jeszcze tliła się w sercu nadzieja na chwilę, kiedy do zwycięstwa jej wydziałowi będzie potrzebna pomoc Niny.

Nieduże trybuny ujeżdżalni mieściły się u góry jak balkony w teatrze, widać z nich było bardzo dobrze wszystko, co dzieje się na dole. Nina nie odrywała oczu od bieżni, gdzie przygotowywali się do pierwszych startów jej koledzy. Zauważyła Jarynę i Walę, i jeszcze wielu innych studentów, znajomych i bliskich, a tak teraz dalekich. Coraz silniej odczuwała niezadowolone z siebie.

Do Niny podszedł wysoki, szczupły, bardzo symp-

tyczny chłopak, wyglądający na trzynaście lat, w czarnym mundurze suworowca, z szerokimi lampasami na spodniach i czerwonymi naramiennikami na bluzie. Spojrzał na nią nieco zdziwiony i zapytał, czy może usiąść obok. Dziewczyna popatrzyła na niego z roz-targnieniem, potem jednak zaczęła uważnie mu się przyglądać.

— Zdaje się, że przypominam pani kogoś? Tak przypatrują mi się ludzie, którzy znają moją siostrę.

W tym młodziutkim przyszłym oficerze uderzało po-czucie własnej godności i szacunku dla innych.

— A kim jest twoja siostra? — spytała Nina i od razu poprawiła się. — Kto jest pańską siostrą?

— Olga Korszunowa, sportsmenka, chyba ją pani zna? A ja jestem Leonid Korszunow.

Nina wyczuła w jego słowach dumę z siostry. Przy-pomniały się jej słowa Jarynki: „Patriotyzm zaczyna się z miłości do swego fakultetu, uniwersytetu, mia-sta...” Chyba też od miłości do swoich towarzyszy, do siostry. I na pewno ludzie, niezdolni kochać innych, nie potrafią kochać swojej ojczyzny...

Tymczasem rozpoczął się bieg na sześćdziesiąt me-trów. Na dużych tablicach prowadzono punktację wy-ników poszczególnych wydziałów. Jak dotąd dzienni-karze szli nieźle, trudno było jednak przewidzieć, ja-kie ostatecznie zajmą miejsce.

Na starcie stała teraz Jaryna Honta. Z miejsca wy-przedziła swoje konkurentki. Po zakończeniu biegu liczba punktów wydziału dziennikarskiego skoczyła zdecydowanie w górę.

— Szkoda, że nie może pani brać udziału w tych zawodach — powiedział Leonid.

— Pan mnie zna?

— Oczywiście. Panią znają wszyscy, którzy intere-

sują się sportem. A wasza Honta jest świetna! Gdyby nie ona, wasz wydział słabo by wypadł.

W jego słowach brzmiało przekonanie, że tylko poważne przyczyny nie pozwoliły Ninie na uczestniczenie w zawodach, uważał jednak za niewłaściwe wypytywanie o powody. Bo to istotnie dziwne: odbywają się igrzyska uniwersyteckie, a najlepsza sportsmenka na trybunie.

Nina poczuła nagle potrzebę wytłumaczenia się przed tym delikatnym, grzecznym i taktownym chłopcem, zwierzenia się mu ze swoich przeżyć ostatnich miesięcy, opanowała się jednak w porę. Chybaby jej nie zrozumiał i zbyt pochopnie osądził. Dobrze mu tak siedzieć i rozmawiać o sytuacji wydziału dziennikarskiego, kiedy pewno nie ma nic na sumieniu. I nikomu przez myśl by nie przyszło, że mógłby czegoś nie zrobić dla swoich kolegów, dla siostry czy dla całej uczelni. Gdyby się zaplątał tak jak Nina, nie mówiłby takim tonem.

Do Niny podeszła Sofija Kartasz.

— Trening przekładamy na poniedziałek, jutro tu wszyscy zajęci.

— Dobrze — Nina skinęła głową.

Pojawienie się w tej właśnie chwili Sofiji Dmytrowny wydało jej się jakimś absurdem. Powinna zniknąć stąd natychmiast!

— Przyniosłam ci prezent...

Nina spojrzała pytająco na trenerkę.

— Patrz — Kartasz wyciągnęła rękę z gazetą.

Na dużym zdjęciu były razem z trenerką, pod spodem zaś widniał napis: „Nina Sokił, studentka uniwersytetu, przodownica nauki i mistrzyni sportu, omawia ze swoim trenerem Sofiją Kartasz plan zaatakowania światowych rekordów”.

— Przodownica nauki... — powtórzyła Nina zmie-

szana, czując, że czarne litery zaczynają skakać jej przed oczami.

— Znakomicie, co? — Kartasz była bardzo zadowolona.

— Przodownica nauki... — raz jeszcze powtórzyła Nina. — Kto zrobił ten podpis?

— Oczywiście ja.

Nina pomyślała, jak koledzy będą się z niej śmiać, i omal się nie rozplakała. Jak teraz pokaże się na wykładach, kiedy wszyscy wiedzą, że jedzie na trójkach? Jak trenerka śmiała coś takiego napisać?! Dlaczego we wszystkim chce za nią decydować?

— Pójdzie pani jutro do redakcji — powiedziała Nina, z trudem hamując wściekłość — i powie, że zdarzyła się pomyłka. Słyszysz pani?

Kartasz zaśmiała się.

— Bzdura! U nas tak już jest, że jeśli ktoś jest mistrzem sportu to i przodownikiem.

— Ale to nieprawda!

— Sesję wiosenną zdasz na celująco i przestanie to być nieprawdą.

Nina czuła, że krew uderza jej do głowy, nie widziała nic, ani ujeżdźalni, ani sportowców, tylko przestraszoną twarz trenerki.

— Pójdę jutro sama do redakcji — głos drżał jej wzburzeniem i Kartasz zrozumiała, że to nie żarty.

— Nie spodziewałam się tego po tobie. Ładnie mi dziękujesz. Możesz iść do redakcji! Nikt nie umieści ci żadnego sprostowania, rozumiesz? Bo to niepoważne i śmieszne. Bardzo mi przykro, że tak rozczarowałam się do ciebie.

— Mnie też — odcięła się Nina. — I bardzo proszę więcej mnie nie reklamować. Rozumie pani?

— A ja sądziłam — Kartasz rozłożyła ręce — że mi podziękujesz...

Oczy Niny zabłysnęły tak groźnie, że Sofija Dmytrowna przestraszyła się. Przeciągnęła chyba strunę. Głupstwo, wszystko to minie.

— Bez ciebie te zawody są całkiem nieciekawe — powiedziała.

Dziewczyna demonstracyjnie odwróciła się, nie chcąc kontynuować rozmowy.

— Zostajesz do końca?

Nina milczała.

— Pojedziemy razem do domu?

Ponieważ Nina znów nie odpowiedziała, więc Kartasz odeszła.

Nina wróciła na swoje miejsce.

— To pani trener? — spytał Lonia Korszunow.

— Tak.

— A ja czytałem w „Radzieckim Sporcie”, że pani trenerem jest Maksymow. Czy to była pomyłka?

— Jak się czuje Olga? — Nina zmieniła temat rozmowy.

— Dobrze. Latem przyjedzie do mnie.

— Proszę ją ode mnie pozdrowić.

— Bardzo dziękuję. Na pewno się tym ucieszy.

Na twarzy chłopca pojawił się uśmiech, jak zawsze, kiedy mówił o siostrze.

Przez chwilę milczeli. Ten chłopak z jego twarzym, niezachwianym przekonaniem o słuszności i prawości wszystkiego, co robi, był dla niej jakby żywym wyrzutem.

— Czy pani jutro będzie biegać?

— Nie, nie biorę w ogóle udziału w tych zawodach. To nie dla mnie.

Korszunow milczał, próbując zrozumieć znaczenie tych słów. Trwało to dość długo, tymczasem tam w dole odbyły się dwa kolejne biegi. Nina nagle pojęła,

że ten chłopak wszystkiego się domyśla i że przez to swoje milczenie manifestuje niechęć wobec niej.

A niech tam! Dziewczyna zezłościła się na swój wydział i na te zawody, i na Lonię, ale przede wszystkim — na siebie samą.

Już do końca Korszunow nie powiedział ani słowa i na pożegnanie tylko grzecznie się uklonił. I w tym uklonie, i w wyrazie jego twarzy Nina wyczuła dezaprobatę dla własnej postawy.

Mimo różnych przykrych refleksji i rozmyślań Nina przez cały czas obserwowała przebieg zawodów. Oto właśnie odbywają się skoki w dal, zawodnicy wyglądają jak koniki. Pierwsze miejsce wydziału dziennikarskiego stało się znów bardzo problematyczne. Ciągłe zagrożali mu matematycy i biologowie, to pozostając nieco w tyle, to wyprzedzając dziennikarzy o jeden lub dwa punkty. Nina przyłapała się na tym, że wcale nie jest jej obojętne, czy wydział jej zwycięży, czy nie. Musi zwyciężyć!

Ale ona przecież nic nie zrobiła dla tego zwycięstwa, przygląda się beczynnianie z boku. Musi coś zrobić dla swojej drużyny.

Wreszcie pierwszy dzień zawodów zakończył się. Dziennikarze i matematycy zdobyli jednakową ilość punktów. O wszystkim miał zadecydować następny dzień.

Hałaśliwy tłum sportowców i widzów popłynął do szatni. Nina poczekała na trybunie, nie chcąc się z nikim spotkać, ale i tak kiedy zeszła, natknęła się na Walę Wowka, stojącego w korytarzu w grupie kolegów. Był w doskonałym nastroju. Skoczył wzwyż sto sześćdziesiąt centymetrów — wynik niezbyt wysoki w skali Związku Radzieckiego, ale dla niego rekordowy. No, ale najważniejsze, że ten skok przyniósł dziennikarzom cenny punkt.

— O, ty tutaj, Nino?! — zawołał. — A myślałem, żeś zachorowała.

— Nie, nie zachorowałam — odpowiedziała oschle Nina.

— Ta choroba nazywa się „morbus czempionalis” — doleciało do jej uszu; dałaby głowę, że powiedział to Ihor Skworczyk, który był na zawodach sędzią.

— To nasza przodownica nauki — znów usłyszała z tyłu jakiś głos. Wiele wysiłku kosztowało ją, by się nie obejrzeć.

Kiedy weszła do szatni, wydawało się jej, że uwaga wszystkich skoncentrowana jest na niej: o niej rozmawiali, z niej się śmiali, a nawet jeśli milczeli, to na pewno w myślach ją osądzali. A w rzeczywistości mówili o niej tylko wtedy, gdy wpadała im w oczy. Tylko Jaryna i Maksymow nie tracili jej z pola widzenia.

Uciec stąd jak najszybciej, bo znowu posypią się jakieś uszczypliwe uwagi i złośliwości, a ona nie ręczy za siebie.

W tramwaju było wielu studentów. Zauważyła blisko siebie Rusanowa. A więc on też był na zawodach, wszystko widział i chyba wszystko zrozumiał. Aż do ostatniego przystanku nie miała odwagi podnieść oczu. Wyskoczywszy z tramwaju pobięła szybko do trolejbusu, jakby ją ktoś gonił lub chciał zatrzymać.

Marzec przyniósł wilgotne wiatry, brudny śnieg niemal zupełnie roztopił się na ulicach. Każdy podmuchi wiatru był zapowiedzią zbliżającej się wiosny. Nina zbyt jednak była pogrążona w matni własnych gorzkich spraw, by to dostrzegać.

W domu czekał na nią list od Ilony Szabo. Pisała do Niny po węgiersku na adres Ukraińskiego Towarzystwa Przyjaźni i Łączności Kulturalnej z Zagranicą, gdzie przekładali listy na ukraiński i przesyłali



wraz z oryginałem adresatce. Tą samą drogą były wysyłane odpowiedzi, nieznajomość języków nie stanowiła więc przeszkody w utrzymywaniu korespondencji z zagranicznymi przyjaciółmi.

„Chciałabym bardzo zobaczyć się z tobą — pisała Ilona. — Spotkamy się chyba w lecie na Światowych Igrzyskach Studenckich. Muszę porozmawiać z tobą, bo w życiu dziewcząt naszego kraju jest wiele pytań, na które możecie odpowiedzieć tylko wy, dziewczęta radzieckie. Wybieram się teraz za mąż za Sandora Kerekesa, musisz go chyba pamiętać z Berlina, taki wysoki brunet, biega na osiemset metrów”.

Światowe Igrzyska Studenckie! Jak ona marzyła o nich! A teraz, kiedy nawet Jaryna Honta biega nie gorzej od niej, to ona chyba nie pojedzie. Będą jeszcze co prawda zawody na wiosnę, ale czy uda się jej pokonać Jarynę? Honta już teraz jest doskonale przygotowana, a ona przez całą zimę grała w sali w piłkę i słuchała komplementów Sofiji Kartasz, bojąc się wyjść na mróz, na stadion, na narty. Jesienią wszystko znów wróci do normy i wówczas, rzecz jasna, Jaryna nie będzie dla niej groźna, ale do jesieni...

Gwałtownie wyjęła z teczki stary plan treningów Maksymowa. To prawdziwa robota! Ale nic straconego, będzie teraz pracować według niego, jeszcze wszystko potrafi nadrobić!

Chciała już zaraz, natychmiast sprawdzić, wypróbować swoje siły, przekonać się, że nie wszystko jeszcze stracone. Zerwała się i znowu usiadła. Co się z nią dzieje? Skąd ta panika? Teraz jest już wieczór, późno, wokół cisza, na stole pali się pod zielonym abażurem mała lampa, a w sąsiedniej izbie ziewa Stepanida Pawłowna. Nie ma sensu nigdzie iść, okazji do sprawdzenia własnych sił będzie jeszcze wiele.

Dziewczyna spojrzała na list Ilony i myśli jej po-

płynęły w innym kierunku. Daleka przyjaciółka widziała w niej wzór do naśladowania, prosiła ją o rady, chciała budować własne życie tak, jak buduje Nina swoje. Ale czy ona ma prawo radzić coś Ilonie, czy ona sama żyje tak, żeby być przykładem dla innych? Nina poczuła nie znaną dotąd odpowiedzialność. Okazuje się, że nawet jej życie osobiste nie jest tylko jej prywatną sprawą, jeśli Ilona chce się na nim wzorować. Jak więc powinna żyć, żeby przy spotkaniu z Iloną uczciwie jej radzić i odpowiadać na pytania z podniesionym czołem?

Nie, nie można tak dalej żyć. Miała w pamięci słowa ojca: „Dlaczego nie masz przyjaciółek?”. Rzeczywiście, dlaczego? Jak do tego doszło? Sama zniechęciła do siebie te wszystkie dziewczęta, które na początku roku chciały zaprzyjaźnić się z nią. Pozostała tylko Sofija Kartasz, o której myślała teraz z obrzydzeniem!

Żeby ojciec przyszedł jak najprędzej! Trzeba z nim porozmawiać, bo to chyba jedyny człowiek na świecie, który ją zrozumie.

Rozpamiętywała krok po kroku ostatni rok swego życia i nie znalazła w nim nic prócz błędów. Może wyolbrzymiała w ten wieczór swoje wady, ale to właśnie pomogło jej uświadomić sobie, jak ciężko jest człowiekowi samotnemu, bez przyjaciół.

Petro Pawłowicz Sokił wrócił zmęczony, z poczerwieniałą od nocnego mrozu twarzą i zdziwił się bardzo, że nie zastał córki w łóżku. Była pierwsza w nocy, o tej porze Nina zwykle już spała. Spojrzał pytająco na córkę — czekała go chyba bardzo ważna, nie cierpiąca zwłoki rozmowa. Umył się w milczeniu, Nina drżącymi rękami podała mu kolację. Jak mówić ojcu o sobie takie brzydkie rzeczy? Opanowała się jednak i kiedy ojciec zjadł kolację, opowiedziała mu

o wszystkim, nie tając najdrobniejszych nawet szczegółów.

Stary Sokił słuchał córki uważnie, nie przerywając jej ani jednym słowem czy spojrzeniem.

— Powiedziała ci wszystko, ojciec — zakończyła Nina swą spowiedź. — Co mam teraz robić?

— To bardzo dobrze, że sama doszłaś do tego — przemówił wreszcie ojciec po długim namyśle. — A wyjście masz tylko jedno: pójść i uczciwie się pokajać.

— Do kogo? Na zebranie?

— Nie, tylko do Maksymowa. Innym nie trzeba nic mówić, bo to i tak nie pomoże. Tu nie słowa są potrzebne, lecz czyny. Ludzie słowom nie wierzą. Nie wiem, czy dasz radę wziąć udział w jutrzejszych zawodach, może to zresztą nie będzie konieczne, musisz natomiast pomagać Jarynie w sporcie, to twój komso-molski obowiązek. No, ale przede wszystkim porozmawiaj z Maksymowem.

Właśnie rozmowa z Maksymowem wydawała jej się wręcz straszna.

— Ojciec, a może... ty byś z nim pomówił? — spytała niemal płacząco.

— Nie, to byłoby nie na miejscu. Musisz wziąć pod uwagę, że jeśli sama nie powiesz mu całej prawdy, wszystko zacznie się od początku.

Tej nocy Nina nie mogła zasnąć. Jak pójdzie jutro do Maksymowa? Przecież można spalić się ze wstydu! Nie, raczej umrzeć!

Zdrzemnęła się dopiero nad ranem i obudziła się jak po ciężkiej chorobie. Chciała zostać w domu, ale się rozmyśliła. Nie wspominając ni słowem o wczorajszej rozmowie, pożegnała się z ojcem i poszła do ujeżdżalni z takim uczuciem, jakby miała wykonać niezwykle ciężkie i niebezpieczne zadanie.

Na trybunie wyczuła na sobie spojrzenie Loni Korzunowa. Odpowiedziała na jego uprzejmy ukłon. Na dole, przy barierze, siedział Rusanow, nie miała jednak odwagi spoglądać w tę stronę. Gdyby znał jej myśli!

W ujeżdżalni decydowały się losy igrzysk. Trzy wydziały — dziennikarstwa, matematyki i biologii — szły łeb w łeb i niemal do ostatniej chwili nie wiadomo było, kto zwycięży. I kiedy po pchnięciu kulą — ostatniej konkurencji zawodów — wydział dziennikarski wyprzedził o kilka punktów pozostałe, Nina głośno zaklaskała w dłonie. Była dumna ze swego fakultetu, zapominając w tym momencie, że przecież nie zrobiła nic dla jego zwycięstwa.

Następnego dnia nie poszła na trening do Sofiji Kartasz, ale też nie poszła i do Maksymowa. I dopiero na trzeci dzień po długich wahaniach i rozterkach zdecydowała się zatrzymać Mykołę Dmytrowicza w korytarzu uniwersyteckim. Trener spojrzał na dziewczynę ze zdziwieniem i niezbyt przyjaźnie, kiedy jednak zobaczył, jak drżą jej usta, powiedział:

— Wejdźmy do mego gabinetu.

Drżąc na całym ciele Nina dokładnie zamknęła za sobą drzwi, podeszła do Maksymowa i nie wycierając łez, jakie płynęły jej po policzkach, powiedziała:

— Mykoło Dmytrowiczu, ja już więcej nie będę...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nad Moskwą przeszła wczesna kwietniowa burza. Umyta wiosennym ciepłym deszczem i burzliwie płynącymi strumieniami wody stolica od razu zazieleniła się na wszystkich bulwarach, parkach i stadionach. Kiedy ziemia trochę podeschła, Fiodor Iwanowicz

Karcew nie tracąc ani dnia wyprowadził swoich sportowców na stadion. Co innego trening w sali albo nawet na stadionie, kiedy boisko pokryte jest śniegiem, a zimny dysk przymarza do rąk, a zupełnie co innego, gdy przebija się i pnie do słońca trawa, a wszystko wokół — drzewa, ptaki, ludzie — nabrzmiewa wiosenną prężnością i siłą.

Karcew stwierdził, że praca w sali, na zaśnieżonym stadionie i za miastem na nartach nie poszła na marne. Tak, w tym roku można oczekiwać rekordów i od Wołoszyny, i od Korszunowej. Oto stoją naprzeciw siebie i lekko, jakby się bawiąc, przerzucają się dyskiem. Wołoszyna nieco pochyliła się, dokonała nagle obrotu i dysk leci jak ptak na środek boiska. Ponad pięćdziesiąt metrów. Olga Korszunowa podnosi krążek i dokładnie, może tylko zbyt gwałtownie, odrzuca go — też chyba więcej niż pięćdziesiąt metrów.

„Gdyby przy obrotach nie podnosiła tak wysoko ręki, dysk upadłby znacznie dalej” — pomyślał Karcew, śledząc uważnie każdy ruch sportsmenek. Wiedział, jak wiele jeszcze drobnych usterek przeszkadza Oldze Korszunowej w zbliżeniu się do rekordu, a może nawet w pobiciu go. Trudno nawet sobie wyobrazić, jak daleko poleciałby dysk, gdyby zostały usunięte wszystkie mankamenty techniczne. Żeby jednak je usunąć, trzeba je dobrze poznać. Niektóre z nich trudno nawet dostrzec okiem, ruchy dyskobolki są bowiem błyskawiczne. „Trzeba je zarejestrować na taśmie filmowej” — pomyślał Karcew.

I na następny trening razem ze sportsmenkami wszedł na stadion operator, postawił swój aparat na mocnym trójnogu w pobliżu koła rzutów.

— Gotowe, proszę zaczynać.

Wołoszyna zdjęła dres i weszła do koła. Korszunowa patrzyła na nią z zachwytem. W szortach i czer-

wonej koszulce czempionki Olga Borysowna wyglądała prześlicznie. Każdy mięsień jej ciała, silny i harmonijnie rozwinięty, gotów był do zmagania. Nad szerokimi, silnymi ramionami dumnie uniesiona głowa o pysznych, czarnych włosach. Piękne, wypięłgnowane ręce jeszcze luźno trzymają dysk, jednak zgrabne nogi są już nieco napięte, mięśnie nabrzmiewają siłą.

— Proszę rzucić z całej siły — zawołał Karcew.

Daleko w polu dostrzegła czerwoną chorągiewkę wyznaczającą jej dotychczasowy rekord. Dlaczego Karcew wetknął ten proporczyk właśnie dziś? Czyżby sądził, że operator będzie miał szczęście sfilmować jej nowy rekord?

Czując całkowitą równowagę i wewnętrzny spokój Wołoszyna na moment zastygła, jak zawsze koncentrując wszystkie swe siły na małym, ciężkim dysku, którego zimny metal chłodził jej dłoń. Potem zrobiła krok do przodu, zamach w obrocie tak dokładny, że wydawał się aż powolny — i już leci w powietrzu mały krążek.

— Jeszcze raz — poprosił operator.

Nie interesowało go, gdzie dysk upadł, Karcew spojrział jednak i stwierdził, że do rekordu brakowało metra.

— Proszę rzucić ponownie z całej siły. Tylko niech się pani rozluźni, bo napięcie powoduje błędy techniczne i gorszy wynik.

Wołoszyna raz jeszcze posłała w pole dysk, potem jeszcze raz — teraz krążek upadł za chorągiewką. Olga Korszunowa pomknęła do niego, chwyciła dysk i powróciła z nim do koła.

— Olgo Borysowno, jakieś pięćdziesiąt centymetrów za chorągiewką! — zawołała z emfazą.

Wołoszyna uśmiechnęła się. Dobrze знаła swoje

możliwości i wiedziała, że nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. W milczeniu włożyła miękki dres, odczuwając przyjemne ciepło w całym ciele.

— A teraz pani — powiedziała.

Korszunowa drgnęła. Właściwie po co się denerwować? Chyba dlatego, że w oddali sterczy w zieleni ten czerwony porporczyk, który chciałoby się przeskoczyć.

— Proszę rzucać — usłyszała komendę Karcewa, a zaraz potem szum kamery filmowej.

Rzucała trzy razy, ale za każdym razem dysk upadł przed chorągiewką.

— Robi pani za niski przysiad — zauważyła Wołoszyna.

Korszunowa rzuciła raz jeszcze, biorąc pod uwagę wskazówkę koleżanki, i tym razem dysk upadł bardzo blisko chorągiewki. Dziewczyna spojrzała z wdzięcznością na Wołoszynę. Tak może doradzić tylko prawdziwa przyjaciółka. A kiedyś jej się wydawało, że Wołoszyna nie jest jej przychylna. Może się wówczas myliła, a może teraz coś się zmieniło?

— Dziękuję — powiedział operator, składając statyw. — Ten film przyniesie korzyść nie tylko wam...

— No, dziewczęta, zobaczymy, czy rzeczywiście jesteście takimi mistrzyniami — powiedział na drugi dzień Karcew, sadowiac się w głębokim fotelu.

To, że nazwał Wołoszynę i Korszunową „dziewczętami” świadczyło, iż stary trener jest w bardzo dobrym nastroju. Siedziały w salce projekcyjnej czekając, aż technik założy taśmę.

Wreszcie zgasło światło, ekran rozjaśnił się. Olga Borysowna stała w kole, potem w zwolnionym tempie widać było jej ruchy. Operator kręcił film z przyspieszoną szybkością, obecnie był on odtwarzany normal-

nie, każdy ruch był rozłożony na kadry, w zwolnionym tempie można było zauważyć każdy szczegół.

Fiodor Iwanowicz chciał najpierw obejrzeć cały film. Bardzo uważnie śledził wszystkie trzy rzuty Wołoszyny i nie znalazł żadnych błędów, nie licząc drobnych usterek, wynikłych z podniecenia.

— Jaka pani piękna! — zawołała Korszunowa z zachwytem.

— Przyszliśmy tu popracować, a nie prawić sobie komplementy — upomniał surowo Karcew.

Teraz Korszunowa zobaczyła siebie. Olga na ekranie zrobiła pierwszy ruch i Olga w sali projekcyjnej zrozumiała, że nie musi się tego wstydzić. Wołoszyna śledziła z napięciem każdy zwolniony ruch przyjaciółki, dostrzegając jej błędy. Musi doprowadzić jej technikę do absolutnej perfekcji.

— Jeszcze raz — powiedział Karcew, kiedy króciutki film się skończył. — Będziemy teraz zatrzymywać taśmę... Stop! — zawołał i Wołoszyna zastygła na ekranie ze wzniesioną ręką. — Widzi pani błąd?

Znacznie częściej zatrzymywał film z Korszunową. „Jeśli ona z tak niedoskonałą jeszcze techniką posyła dysk niemal na rekordową odległość — myślał Karcew — to jak będzie rzucać, gdy uda się wyeliminować chociaż połowę błędów?”

Kiedy po przeglądzie wyszli we troje na stadion, wiele rzeczy przedtem niedostrzegalnych dotarło jasno do ich świadomości. Co prawda niełatwo pozbyć się błędnych nawyków, bo ciało przyzwyczaja się do pewnych ruchów, wyrabia się tak zwany dynamiczny stereotyp, który bardzo trudno potem zmienić. Ale Karcew bez pośpiechu, trening za treningiem, dzień po dniu, przełamywał u obu Olg ten stereotyp i karczował ich błędy techniczne. Praca jego dawała coraz



lepsze wyniki, widoczne na razie tylko dla niego, sportsmenkom wydawało się bowiem, że zupełnie nie posuwają się naprzód.

Pewnego razu zamigotały na stadionie złote naramienniki podpułkownika Gromowa. Uważnie przyglądał się pracy przyjaciółek, a po skończonym treningu powiedział im:

— Wasz Karcew to prawdziwy czarodziej. Nie wiem, która z was to sprawi, ale dotychczasowy rekord zostanie obalony na najbliższych zawodach.

— Czy bardzo zmieniała się technika? — spytała Wołoszyna.

— Nie zmieniała się, tylko otrzymała optymalny szlif i maksymalną precyzję.

Tak, praca Karcewa doprowadziła do niezwyklej precyzji ruchów obu sportsmenek. Trener usuwał zbędne ruchy tak, jak doświadczony rzeźbiarz usuwa z posągu zbędne części marmuru, by nadać mu idealny kształt.

— Ten Karcew to wspaniały chłop! — mówił dalej Gromow. — Muszę go zaprosić do naszego pułku, żeby wygłosił dla chłopców kilka wykładów. Sportowców mam wielu, ale wciąż jeszcze za mało doświadczonych trenerów.

Myślał o swoim pułku tak, jak myśli się o własnej rodzinie: po gospodarsku i z troską. Olgę Korszunową zawsze uderzała w Gromowie nierozdzielość spraw zawodowych i osobistych. Może właśnie dlatego odczuwało się w jego towarzystwie taką pewność i spokój.

— No, moje drogie przyjaciółki — powiedział wesoło Iwan Piotrowicz — jeśli nie zaplanowałyście na dzisiejszy wieczór nic specjalnego, to może pojedziemy gdzieś za miasto, nad rzekę? W Moskwie nie ma już czym oddychać przez te autokary. No to jak? To jedziemy?

— Ja, niestety, nie mogę — odpowiedziała Wołoszyna — bo dziś w teatrze przydzieleno kostiumów do nowej premiery...

— Rzecz istotnie niezwykle ważna — zaśmiał się Gromow.

— Żebyś wiedział — rozgniewała się Wołoszyna. — Spróbuj wyjść na scenę w sukni źle uszytej, a przekonasz się, ile oczu zaraz to zauważy. To nie mundury wojskowe szyte na jedno kopyto.

— Poddaję się — Gromow z uśmiechem podniósł ręce do góry. — A czy pani, Olgo, nie zechciałaby dotrzymać mi towarzystwa? — zwrócił się do Korszunowej.

— Nie wiem, co panu odpowiedzieć... Właściwie wieczór mam wolny, więc chyba pojedziemy.

— To bardzo dobrze — ucieszyła się Wołoszyna.

— Poczekajcie tu na mnie, zaraz wrócę — powiedziała Korszunowa, znikając za drzwiami szatni.

— Wspaniała dziewczyna — rzekła Wołoszyna, patrząc za nią.

— Tak, wspaniała, tylko nigdy się nie śmieje.

— Ma powody.

— Wiem.

Stali w milczeniu, myśląc o Oldze. Obok przeszedł Sawa Pochitonow z kolcami w rękach. Już przedtem spotykał Olgę w towarzystwie Wołoszyny i Gromowa i za każdym razem odczuwał piekącą zazdrość. Dlatego przechodząc teraz obok Gromowa spuścił oczy, by się z tym nie zdradzić. Wziął prysznic, przebrał się i wyszedł na korytarz. Sam nie wiedział, co zrobić, pragnął jednak za wszelką cenę zobaczyć Olgę.

I ujrzał ją. Wyszła właśnie z damskiej przebieralni — zaróżowiona, jasna, trochę zmęczona treningiem i prysznicem. Sawa wyobraził ją sobie w towarzystwie

Gromowa i znów serce jego zalała zazdrość. Zdawał sobie sprawę, że nie ma do tego żadnego prawa, nie potrafił jednak opanować swego wzburzenia. I tak jak kiedyś zagroził jej drogę.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry — odpowiedziała obojętnie Olga.

— Chwileczkę, mam powiedzieć ci coś bardzo ważnego! — rzekł zduszonym głosem, gdy próbowała go wyminąć.

— Mów!

— Olgo! — zawołał, chwytając dziewczynę za rękę, by mu się nie wymknęła, i coraz mocniej je ścisnął. — Błagam cię o przebaczenie. Nie mogę żyć bez ciebie! Czyż nie widzisz, jak się ostatnio zmieniłem?

— Jeśli uważasz, że się zmieniłeś, to musisz poczekać, aż inni to dostrzegą — odpowiedziała obojętnie Olga. — Według mnie nie zmieniłeś się wcale, chociaż może się mylę... Ale za późno już o tym mówić i bardzo cię proszę, nie rozpoczynaj już więcej takich rozmów. Nie przynoszą mi nic prócz bólu.

— Oczywiście, za to rozmowy z Gromowem przynoszą ci prawdziwą rozkosz — wychrypiał Sawa. — Pamiętaj, że jeśli jeszcze raz zobaczę cię z nim...

— To co?

— Nie wiem co, ale ktoś z nas pożegna się z tym światem.

Olga była już wyraźnie zniecierpliwiona, westchnęła i próbowała wyzwolić swoją rękę, ale Sawa trzymał ją mocno. Cała ta scena była dla dziewczyny bardzo nieprzyjemna. W ostatnich czasach Sawa istotnie jakby zmienił się na lepsze. No i teraz jeszcze jedno rozczarowanie. Nic się jednak nie zmienił, pozostał taki, jaki był, zarozumiały i pewny siebie. I nie prawdziwą miłość żywi w swym sercu, lecz obrażoną próżność, która nie może ścierpieć tego, że Olga po pro-

stu wykreśliła go ze swego życia, ponieważ okazał się człowiekiem mało ciekawym i niegodnym miłości.

Ostatnie słowa Sawy wywołały na jej twarzy pogardliwy grymas. Nie znosiła teatralnych gestów i słownego efekciarstwa, skrywających uczuciową pustkę.

— Za późno się urodziłeś przynajmniej o trzysta lat. I w ogóle skończ z tym błaznowaniem i przestań udawać zakochanego. I puść wreszcie moją rękę! Mnie można oszukać tylko raz.

— Ktoś z nas musi zginąć! — powtórzył z uporem Sawa, co znów wywołało na ustach Olgi pogardliwy grymas. — Zapamiętaj to sobie! Nie znasz jeszcze Sawy Pochitonowa! Tylko ci się wydaje, że mnie znasz...

— Dość tego! — Olga energicznym ruchem wyrwała dłoń. — Nic w tobie nie ma prócz tandentnego donżuana. I proszę nigdy więcej nie zbliżać się do mnie.

Odwróciła się i skierowała się szybko do wyjścia. Sawa zacisnął pięści, chciał biec za nią, ale powstrzymał się, bojąc się ośmieszyć. Wyszedł z szatni właśnie w tym momencie, kiedy Olga i Gromow żegnali się z Wołoszyną.

— Dokąd pojedziecie? — spytała aktorka.

— Gdzieś niedaleko. Może do Chimki?

— Może być Chimka — Olga skinęła głową, biorąc Gromowa pod rękę.

Albo nie zauważyła Sawy, albo też udała, że go nie widzi. To dostatecznie rozwścieczyło Sawę. A więc ona chce go publicznie ośmieszyć. W porządku. Ale jeszcze dziś pokaże jej, kim jest Sawa Pochitonow, do czego jest zdolny i kto urodził się o trzy wieki za późno.

Złote naramienniki Gromowa i zielony sweter Olgi zniknęły już za bramą stadionu, a Sawa ciągle stał na tym samym miejscu. Pojedzie za nimi do Chimki i... Sawa nie bardzo wiedział, co robi. Można oczywiście

wywołać skandal, który zakończy się interwencją milicji. Może rzucić się na Gromowa i go spoliczkować. Ale podpułkownik nie będzie czekał, aż go uderzą... Można napisać anonim do jego jednostki... Nie, to nie jest żadne wyjście. Nie w Gromowa powinien uderzać! Trzeba zemścić się na Oldze, zrobić coś takiego, żeby już nigdy więcej nie odważyła się zjawić na stadionie ani w instytucie, żeby w ogóle uciekła z Moskwy, nie mogąc pokazać się ludziom na oczy. Znajdzie jakiś sposób, żeby doprowadzić do tego. Na pewno znajdzie. Siewoczka Barkow... Tak, tylko on mu w tym pomoże! Ma dostateczne powody, by nienawidzić i Olgi, i Wołoszyny. Trzeba go szybko odszukać. We dwójkę coś wykombinują, jak zemścić się na Korszunowej, ale tak, żeby wstrząsnęło światem.

„No tak, ale wygląda na to, że po prostu boję się tego Gromowa — pomyślał nagle. — Trzeba natychmiast jechać do Chimki, żeby nie okazać się tchórzem. Ale kto mógłby go o to posądzić? Nikt o niczym przecież nie wie. Nie ma się więc czego obawiać. Olga powiedziała prawdę: spóźniłem się o trzy wieki, w naszych czasach nikt nie potrafi zrozumieć moich uczuć. Tak, minęły stulecia i zmieniała się broń. Moją bronią jest dziś Siewoczka Barkow! Zobaczymy, kto wygra!”

I nie tracąc czasu Sawa wybrał się na poszukiwanie Siewoczki. Kiedyś, w czasie ich krótkotrwałej przyjaźni, Barkow pokazał mu swoje mieszkanie, mały pokój w jednym z domów Kwietnego Bulwaru. Kiedy Sawa tam dotarł, zapadł już wieczór. Jadąc trolejbussem przez cały czas widział w wyobraźni chimkowską restaurację i żagle jachtów, mknących bezszelestnie po zalewie, i czajki przelatujące nad nieruchomą taflą wody, i gdzieś w kącie przy stoliku Olę obok Gromo-

wa. Można oszaleć! Żeby jak najszybciej odnaleźć Siewoczkę i zemścić się póki nie jest za późno.

Sawa wszedł do długiego, zalatującego stęchlizną korytarza wspólnego mieszkania, odnalazł pokój z numerem czwartym i zapukał.

— Proszę wejść! — usłyszał pewny siebie, basowy głos.

Ma szczęście! Siewoczka jest w domu, nie musiał go długo szukać, więc będzie można szybko zrealizować wszystkie plany.

Sawa pchnął ciężkie drzwi, jakby zrobione ze świeżych desek dębowych, wszedł do niskiej, brudnej izby i stanął jak wryty. W pokoju wszystko było poprzewracane do góry nogami. Na łóżku i na krzesłach leżały sterty jakichś różnych rzeczy, bielizny, pończoch, bluzek. Barkow siedział na środku pokoju z pokornie złożonymi na kolanach rękami. Na jego bladej twarzy malował się strach i rozpacz. W pokoju krzatali się dwaj milicjanci i jeszcze jacyś nieznanymi cywile, wydobywając z tapczana ciągle nowe paczki z galanterią.

— Kim jesteście? Dokumenty! — zawołał lejtnant milicji, nie dając Sawie ani chwili na otrząśnięcie się z zaskoczenia

— Ja? — spytał Sawa, cofając się.

— Stać! Wasze dokumenty, obywatelu!

Sawa czuł, że zęby mu szcękają. Jak pech, to pech!

— Proszę — wymówił z trudem posiniałymi wargami, wyciągając legitymację studencką.

— Tak — powiedział lejtnant spojrzawszy na legitymację i przekazał ją swemu zastępcy. — Kondakow, włącz do sprawy.

— Ale ja nie mam nic wspólnego z żadną sprawą! — wykrzyknął dyszkantem przestraszony Sawa.

— Zajdziecie jutro do nas na Pietrowkę, a my już sprawdzimy, czy macie coś z tym wspólnego — odpo-

wiedział lejtnant — a do tego czasu musicie się obejść bez legitymacji. Jeśli byłaby komuś potrzebna, to powiedzcie, że jest u nas w śledczym wydziale karnym. A teraz proszę usiąść i nie przeszkadzać nam w pracy.

— Ale nie jestem przecież zamieszany w żadne karne sprawy — wyszeptał Sawa. — Wypuście mnie.

— Nie mogę. Nie mam prawa. Jeśli braliście udział w spekulacyjnych machinacjach obywatela Barkowa, to moglibyście uprzedzić jego współników. No, a jeśli jest tak, jak mówicie, to jutro lub pojutrze przeprosimy was. A teraz proszę siedzieć cicho i nie przeszkadzać nam.

Przeklinając swoją zazdrość i swoje plany, i podpułkownika Gromowa, i cały świat, ale przede wszystkim Olgę Korszunową Sawa usiadł na krześle, przypatrując się, jak milicjanci sporządzali protokół i wykazy ukradzionego czy też przeznaczonego do spekulacji towaru. Sawa nie bał się o siebie, nie uczestniczył przecież ani w kradzieży, ani w żadnej spekulacji, jutro wszystko się wyjaśni. Ale siedzenie tu nie było przyjemne, po całym ciele przebiegały mu mrówki. Nie miał odwagi spojrzeć na Siewoczkę Barkowa. Tak, niewątpliwie rycerz Sawa Pochitonow bardzo się spóźnił ze swoim urodzeniem!

— A to co takiego? — lejtnant wziął ze stołu dużą torbę, w której znajdowała się wspaniała kolekcja brzytew, przedmiot dumy Barkowa. Było ich już trzysta sześćdziesiąt pięć, po jednej na każdy dzień roku.

— To moja kolekcja! — zawołał. — Nie macie prawa tego zabierać!

— W porządku — odpowiedział spokojnie milicjant. — Nie zabierzemy, ale spisać trzeba. Normalnemu człowiekowi nie trzeba przecież tylu brzytew. To jakaś wyraźna spekulacja i nic więcej.

— Co za brak wrażliwości — westchnął Siewoczka, szukając spojrzeniem współczucia u Sawy, ale Pochitonow odwrócił głowę.

W ten sposób nawet wspaniała kolekcja stała się jednym z punktów oskarżenia obywatela Barkowa o spekulacje na dużą skalę. Jak pech, to pech.

Sawa wrócił do domu dopiero późnym wieczorem, przestraszony, rozklekotany. Matka poważnie zaniepokoiła się jego wyglądem.

— Nic szczególnego się nie stało — uprzedził Sawa, nie chcąc dopuścić jej do głosu. — Po prostu za dużo dziś pracowałem i jestem trochę zmęczony.

Kiedy Sawa jadł kolację, matka przez cały czas milczała. Dopiero gdy dopijał herbatę, powiedziała:

— Podobno wkrótce mają odbyć się w Berlinie międzynarodowe igrzyska studenckie. Mówili już o tym w radio. A ty pojedziesz?

— Oczywiście — odpowiedział Sawa, chociaż nie miał pewności.

— A czy Olga... Olga Korszunowa też?

— Nie wiem! — odparł ze złością.

— O, ona na pewno pojedzie — Sawa wyczuł wyrzut w słowach matki.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, spojrzał na obraz Budryckiego, wiszący ciągle jeszcze do góry nogami, i pomyślał złośliwie: „Znawczyni się znalazła. Jest przekonana, że obraz wisi prawidłowo”. Ale ta mściwa myśl nie przyniosła mu ulgi. Poszedł do swego pokoju. Lecz gdy tylko położył się na łóżko, z pamięci wyłonił się obraz splądrowanego pokoiku Siewoczki Barkowa, i w uszach zabrzmiał głos milicjanta. To było nie do zniesienia. Nie, jemu, Sawie Pochitonowowi, nic podobnego nigdy nie może się przydarzyć. No tak, ale jak to się stało, że jedynym jego przyjacielem w tej trudnej sytuacji, na którego liczył, był Siewoczka



Barkow? Myśl ta była szczególnie przykra, więc Sawa próbował jakoś wybić ją sobie z głowy, żeby się uspokoić i zasnąć.

Ale kiedy już usnął, męczyły go przestraszone oczy Barkowa, a trzysta sześćdziesiąt pięć brzytew wyciągało do niego swoje ostrza, jakby chciały się dostać do samego serca.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Nad stadionem „Olimpia” rozbrzmiewały z głośników ostre dźwięki dziarskiego marsza wojskowego, przypominającego hymn hitlerowski „Horst Wessel”. Trybuny puste, na zielonej murawie boiska też nie było nikogo. Niebieskie wiosenne niebo — bez jednej chmurki. W tej ciszy i spokoju tym bardziej drażnią dźwięki bojowego marsza, miedziany łoskot czyneli, grzmot metalowych trąb, wwiercające się w mózg wysokie tony fanfar.

Na tym pustym i znieruchomiałym stadionie ludzie w centralnej łoży zaskakiwali swą zbędną obecnością. Na co czekają w tej pustce?

Generał Stanley w jasnoszarym garniturze rozmawiał leniwie z mistrzem Chartin.

Eryk Meier siedział trochę dalej, przy mikrofonie. W łoży byli poza tym dwaj adiutanci generała.

— Zaraz zobaczy pan widowisko — zwrócił się Stanley do Chartina — jakiego nie oglądano tu od wielu lat. Ujrzy pan prawdziwe ostrze noża, klingę szpady, uderzeniową siłę przyszłości. I nie wątpię, że odnajdzie pan tu swoje utracone natchnienie. A prośbę, w Ameryce idzie już pańska sztuka, wkrótce zostanie też wystawiona w teatrach kilku krajów za-

chodniej Europy, natomiast pańską przyszłą sztukę obejrzy cały świat.

Chartin milczał, patrząc na pusty stadion. Cała ta podróż do Berlina wydawała mu się poniżająca, nie ukrywał więc swego złego humoru. Złe samopoczucie pogłębiał jeszcze irytujący sposób bycia Stanleya, który uważał go za swego popiecznika i zwierzał mu niemal tajemnice państwowe. No cóż, miał prawo traktować go jako ideologa „amerykanizmu”, swą sztuką Chartin uprawnił go do tego, trudno temu zaprzeczyć. Ale to nie znaczy jeszcze, że jego następna sztuka, jeśli w ogóle ją napisze, będzie taka, jakiej sobie życzy generał.

Chartin drgnął: jakaś elegancko ubrana kobieta wyciągnęła rękę do generała Stanleya. Jej twarz o ostrych rysach uderzała nieprzyjemnym wyrazem, z którym kontrastował przesłodzony uśmiech, jakby przylepiony, odsłaniający drobne ostre zęby. Twarz kobiety, przypominająca mordkę tchórza, wydała się Chartinowi dziwnie znajoma, nie mógł jednak przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach ją widział.

— Poznajcie się państwo — przedstawiał Stanley. — Mistrz Chartin, a to pani Berta Loch.

Pisarz czuł, że oblewa go zimny pot. Więc to ona! Komendantka obozu Ravensbrück. Widział ją na ławie oskarżonych podczas procesu przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze, który skazał ją na karę śmierci. I oto siedzi tu teraz naprzeciw, jakby nigdy nie było Ravensbrück i Norymbergi. Nie ma co, w dobrym towarzystwie znalazłeś się, mistrzu Chartin!

Berta Loch zauważyła, jakie wrażenie wywarło na pisarzu jej nazwisko, nie ośmieliła się więc podać mu ręki, tylko skłoniła się z tym swoim cukierkowym uśmiechem.

— Dzień dobry — burknął Chartin i odszedł nieco dalej, nie mając ochoty przysłuchiwać się rozmowie Berty Loch ze Stanleyem.

— No, jak tam pani sprawy, Berto? — spytał generał, nie zwracając uwagi na demonstracyjne odejście Chartina.

— Bardzo dobrze, mister Stanley. Byłoby dla mnie wielkim zaszczytem goszczenie pana na Kastanienstrasse, żeby pan generał naocznie mógł się o tym przekonać.

— Dobrze. Proszę tu na mnie poczekać. Pojedziemy tam prosto stąd.

— Rozkaz! — odpowiedziała już po wojskowemu Berta.

Ktoś w kabinie wzmocnił jeszcze siłę głośników i dźwięki marsza zagłuszyły wszystko.

Do Stanleya podszedł Meier.

— Czy można już zaczynać, panie generale?

Zwracał się do Stanleya po niemiecku, co miało dla Chartina szczególnie nieprzyjemny posmak.

— Tak, zaczynajcie — Stanley niedbale skinął głową.

Meier nacisnął guzik przy mikrofonie i zastygł, wpatrując się w szerokie przejście między trybunami po lewej stronie. Chartin mimo woli też tam spojrział.

Przejściem tym maszerowali ósemkami w takt marsza członkowie klubu sportowego „Teuton” w jednokowych szarych półwojskowych mundurach. Wchodzili na stadion szereg za szeregiem i cała kolumna, podzielona na plutony i kompanie, pruskim krokiem defilowała przed generałem Stanleyem. Szły kolumny za kolumnami i zdawało się, że ta defilada nigdy się nie skończy, nigdy nie zamilkną ciężkie kroki podkutych niemieckich „sportowych” butów.

Chartina ogarnął paniczny strach. Dobrze pamiętał tysiąc dziewięćset czterdziesty rok, oniemiały i skamieniały Paryż, i głuchy odgłos tak samo wybijanych kroków na bulwarach. Tylko wówczas ci „sportowcy” mieli w rękach automaty. Chartin zapamiętał ten przekłety dzień na całe życie. „To się już nigdy nie może powtórzyć” — myślał, kiedy zakończyła się wojna i żołnierze radzieccy zatknęli na Reichstagu sztandar zwycięstwa. Wspomnienie tych podkutych butów dudniących na ulicach Paryża w takt hitlerowskich marszów męczyło go długo.

I oto teraz przed oczami pisarza, nie we śnie, lecz na jawie, znów ten koszmar, który męczył go niemal od dzieciństwa. Przechodziły przed nim pruskim krokiem wymusztrowane oddziały żołnierzy, a on spokojnie stał na trybunie, jakby przyjmował defiladę. Jeszcze wczoraj przez myśl by mu to nawet nie przeszło. Wstrząs był tak silny, że Chartin wczepił się starczymi palcami w poręcz łoży i zdrętwiały patrzył, jak pełnie przed nim po stadionie olbrzymia szaroczarna gąsienica.

— To więcej jak pułk? — spytał Stanley.

— Tak jest, panie generale — odpowiedział Meier.

— Nieźle, ale jeszcze za mało.

— Będzie ich więcej, panie generale.

Marsz się urwał. Ostatnie szeregi podchodziły do wyjścia. To już nie gąsienica, lecz żmija przepelzła przed trybuną.

Wokół łoży Stanleya zebrało się teraz ze trzy tysiące „sportowców”. Wszyscy dobrze wiedzieli, kim jest ten mężczyzna w lekkim, szarym garniturze.

— Oni chcą usłyszeć od pana kilka słów, panie generale — Meier w uniżonych ukłonach zwrócił się do Stanleya.

— Dobrze — uśmiechnął się generał.

Meier rozpromienił się, nacisnął guziczek i po chwili nad stadionem rozległ się jego silny głos:

— Przemówi teraz do was nasz szanowny gość i protektor.

Nie wymienił taktownie nazwiska „protektora”, co Stanley potrafił ocenić.

— Witam... — Stanley zawahał się, jak nazwać tych, do których się zwracał, bo określenie ich sportowcami byłoby śmieszne, a żołnierzami niezręczne. — Witam członków klubu „Teuton”. Życzę wam sukcesów w pracy i w nauce i mam nadzieję, że członkowie klubu staną się groźną zaporą przeciw komunistycznemu niebezpieczeństwu. Teutonowcy powinni być i będą propagatorami amerykańskiego sposobu życia w Europie. Życzę wam, byście rozwijali się i umacniali dla chwały... — tu generał znów się zawahał: chciał powiedzieć „dla chwały Stanów Zjednoczonych”, ale jakoś nie wypadało, „na chwałę NRF” mogłoby zabrzmieć dwuznacznie. — W imię zwycięstwa nad komunizmem! — znalazł wreszcie wyjście.

„Sportowcy” na trybunach powstali z okrzykami „hoch!” i „heil!” tak, jak odpowiadali na tym samym stadionie przed kilku laty Hitlerowi. Wówczas führer mówił dokładnie takie same słowa. Stanley powtórzył je chyba świadomie w dosłownym brzmieniu.

Po nim przemówił Meier. Podziękował dowództwu amerykańskiemu za opiekę i zapewnił, że „Teuton” nie zawiedzie nawet najśmielszych jego oczekowań. Jemu też wołali „hoch!”, tylko trochę ciszej.

— No i co, panie Chartin, widział pan? — spytał generał, gdy znaleźli się w pokoju przy łoży. — Czyż to nie może natchnąć tak wspaniałego bojownika jak pan?

— Szczerze mówiąc, to widowisko przypomniało mi tylko wejście Niemców do Paryża.

Stanley roześmiał się hałaśliwie i bezceremonialnie, jak tylko potrafią śmiać się Amerykanie.

— Trzymamy ich mocno — powiedział — i teraz na Paryż już nie pójdą. Pójdą na wschód, czort z nimi, poleżą w samo piekło i diabli ich tam wezmą, bo taki los wyznaczył im nie kto inny, tylko sam Pan Bóg. A my ruszamy w ślad za nimi wolną już drogą, aż do... — generał urwał, sam nie wiedząc, gdzie kres jego apetytów — ... do granic możliwości.

— Też tak myślę, że do granic możliwości. Ale te granice mogą okazać się bardzo blisko. Hitler już do nich doszedł.

— Hitler był głupcem. Trzeba mu jednak przyznać, że jego kierunek uderzenia był słuszny: na wschód. Tylko że nie chcemy powtarzać jego błędów.

— Mam nadzieję.

— Ale pana zupełnie ta defilada nie wzięła, mistrzu!

— Myślę o Paryżu.

— Pańskie myśli biegną w niewłaściwym kierunku, mój drogi mistrzu. Musi się pan przejąć amerykańskim sposobem życia w Europie, a wtedy i Paryż stanie się prawdziwym Paryżem.

Chartin nic nie odpowiedział, przypomniał sobie bowiem żołnierza amerykańskiego z piwiarni nad Sekwaną. Żelazny krok „sportowców” ciągle jeszcze brzmiał mu w uszach. Teraz miał tylko jedno pragnienie: znaleźć się jak najszybciej w samotności, przemyśleć wszystko i starać się zrozumieć sens tego, co tu widział. Zdawało mu się, że odkrył jakieś straszne niebezpieczeństwo i że może uratować przed nim cały świat. Bzdura, nikogo nie może uratować...

— Jest pan zmęczony, mistrzu?

— Tak.

— Zaraz każę odwieźć pana do hotelu. Muszę jeszcze

wpaść w pewnej sprawie na Kastanienstrasse i nie chciałbym pana trudzić.

Nastrój Chartina nie podobał się Stanleyowi, dlatego wolał nie pokazywać mu zakładu Berty Loch.

— Wolę wrócić piechotą — odpowiedział Chartin. — Pogoda taka piękna, że szkoda siedzieć w samochodzie.

— Jak pan chce. No i niech pan pomyśli nad tą defiladą. Było to widowisko historyczne. Dziękuję za towarzystwo i życzę sukcesów w pracy.

Po kilku minutach generał siedział już w samochodzie obok Berty Loch. Gdy zęgnął się z Meierem, zapytał:

— Skąd pan wziął tylu chłopców?

— Trzeba było niektórych, niesprawiedliwie skazanych, uwolnić z więzienia — odpowiedział Meier wymijająco.

Stanley zaśmiał się głośno: ci „sportowcy” to byli żołnierze hitlerowscy, przeważnie z oddziałów SS, skazani zaraz po wojnie, a teraz wypuszczeni z więzień. No cóż, materiał sprawdzony i pewny.

Wkrótce byli na miejscu. Na pierwszy rzut oka na Kastanienstrasse nic się przez zimę nie zmieniło. Kasztany i klony tak samo spletały się nad ulicą swymi koronami, w siedzibie doktora Schitke panowała taka sama cisza. Ale było to złudzenie. Z przyjściem Berty Loch wszystko uległo przeobrażeniu. Wraz z nią zjawiły się pieniądze, zostały rozbudowane laboratoria i doktor Schitke miał teraz cały sztab współpracowników. Przeważnie swoich starych znajomych — zbrodniczych lekarzy z hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Na nich mógł polegać w zupełności.

Schitke zarzucił teraz swoje doświadczenia z dopin-gami. Pole jego działalności bardzo się poszerzyło. Nigdy nawet o tym nie marzył.

A ta Berta Loch jest nadzwyczajna. Przywiozła sa-

mego amerykańskiego generała, dokładnie poinformowała go o wszystkim, nie zapomniała też wspomnieć o zasługach doktora Schitke, widocznie zna jego cenę. Schitke słucha z przyjemnością, jak Berta mówi:

— W razie potrzeby, panie generale, nasze laboratorium może wyprodukować w ciągu tygodnia tyle trucizny, że starczyłoby jej do zatrucia całej sieci wodociągów w Berlinie. Niestety, nie mamy możliwości sprawdzenia naszej produkcji na materiale ludzkim, a próby na zwierzętach nie zawsze dają pełny obraz. Więc moja prośba sprowadza się do tego, żeby dostarczać nam z Korei jeńców wojennych lub, co byłoby dużo prostsze, wydelegować do Korei kilku naszych współpracowników w celu sprawdzenia naszych materiałów na jeńcach wojennych i ludności cywilnej.

— Nie wiem, czy to będzie możliwe, ale pomyślimy o tym — powiedział Stanley. — No a teraz obejrzymy wasze laboratorium.

Kiedy po pół godzinie generał opuszczał Kastanienstrasse, był we wspaniałym nastroju. Dobrą robotę odwała ta Berta Loch, trzeba będzie wysłać ją do Korei...

W pokoju przyjęć generała czekał niski, okrągłutki mężczyzna w tak jaskrawym, kraciatym garniturze, że od razu można było rozpoznać w nim Amerykanina. Na jego widok Stanley skrzywił się. Zjawienie się Artura Shillinga, którego sam wezwał, przypomniało mu sprawę, o której nie miał ochoty teraz myśleć.

— Niech pan siada, Shilling. Czy pan wie, po co pana wezwałem?

— Domyślam się.

— Nie sądzę.

— Niepokoją pana, generale, igrzyska studenckie. Jakie decyzje podjęło dowództwo?

— Jesteśmy niestety zmuszeni wziąć udział w tych parszywych igrzyskach, bo w przeciwnym wypadku



ludzie mogliby pomyśleć, że się boimy. No, a jeśli weźmiemy udział, to musimy oczywiście zwyciężyć. Niech więc angażuje pan sportowców, jakich pan chce, byleby ich rekordy oszołomiły wszystkich. Musimy odnieść zwycięstwo na całej linii i za wszelką cenę. Rozumie mnie pan, Shilling?

— Za koszykówkę ręczną, za boks też, nie mam natomiast stuprocentowej pewności co do innych dyscyplin.

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że nie mamy sportowców najlepszych na świecie? To skandal, Shilling! Zdaje się, że niepotrzebnie pana wzywałem.

— Na zawodach różnie bywa.

— No więc proszę wszystko obmyśleć i przygotować tak, żeby nasze zwycięstwo było pełne i pewne.

— Dobrze. Ale na to potrzeba dużo pieniędzy.

— Pieniądze są. I jeszcze jedno: Rosjanie i w ogóle państwa wschodnie zamierzają zorganizować te zawody pod hasłem walki o pokój, my zaś musimy przekształcić je na demonstrację amerykańskiego sposobu życia. Rozumie pan?

— Ta sprawa będzie wymagała jeszcze więcej pieniędzy. Trzeba przekupić wielu sportowców z różnych krajów.

— Pieniądze na to się znajdują.

W tym samym czasie Chartin jechał spokojnie taksówką ze stadionu „Olimpia” szeroką ulicą na osi Wschód—Zachód, która przedziela Berlin na pół i na różnych kolejnych odcinkach nosi różne nazwy. Pisarz dojechał już do miejsca, w którym był dawniej Tiergarten, najpiękniejszy i najgęstszy z parków Berlina, mieszczący się w pobliżu Reichstagu. Nazwa pochodziła stąd, że stały tu wśród drzew rzeźby różnych zwierząt. Podczas wojny odłamki amerykańskich bomb zupełnie zburzyły park, ocalał jedynie jelen z odtraconym rogiem i ogonem. Chartin bywał tu przed wojną, szkoda

mu więc było tego oryginalnego parku. Wsiadł z taksówki i podszedł do pomnika żołnierzy radzieckich, poległych w walce o Berlin. Potężna postać żołnierza radzieckiego z wyciągniętą ręką wywarła na nim duże wrażenie. Pisarz przejeżdżał tędy już nieraz, ale dopiero teraz przyjrzał się pomnikowi z bliska. Stała przy nim bez przerwy radziecka warta honorowa, strzegąca czci i sławy poległych towarzyszy.

Przy Bramie Brandenburskiej napis poinformował go, że opuszcza sektor angielski; zrobił to bez żalu. Przez dłuższy czas szedł ulicą Unter den Linden, mijając jakieś pałacyki, przechodził mostami przez Szprewę i kanały, zagłębiając się coraz bardziej w sektor wschodni. Wiele uwagi poświęcił hałaśliwemu i ruchliwemu Alexanderplatz. Wszędzie tu coś budowano, handlowano, krzątano się; już dawno nie widział tak burzliwego życia. Z trudem przedarł się przez zgietkliwy tłum i ruszył dalej bulwarem, skręcając od czasu do czasu w boczne uliczki i przyglądając się ludziom i domom. Wiedział już dawno, że we wschodnim sektorze nie ma bezrobotnych, ale naoczne przekonanie się o tym było jednocześnie i przyjemne, i przykre. Przyjemne, że ci ludzie raz na zawsze pozbyli się widma bezrobocia, przykre, kiedy pomyślało się o bezrobotnych w Paryżu.

Dobiegł go warkot dużych maszyn i po chwili znalazł się na Martianstrasse. Przed jego oczyma rozciągała się panorama wielkiego budownictwa. „Tu buduje się Stadion Pokoju! Budujemy go na Światowe Igrzyska Studenckie!” „Niech żyje pokój na całym świecie!” krzyczały afisze. Na placu pracowały tysiące ludzi. Sprawiał on wrażenie wielkiego mrowiska, ruchliwego, pracowitego, wypełnionego bezustanną krzątaniem. Koparki i zgarniarki pomagały przemieszczać olbrzymie masy ziemi. Przed oczami Chartina rysowała się już wyraźnie czasza stadionu.

Z Martianstrasse wyszła długa kolumna dziewcząt i chłopców, na czele której niesiono transparent z napisem: „Uniwersytet im. Humboldta idzie budować Stadion Pokoju”. Chartin patrzył na wesołe twarze studentów, a w uszach brzmiały jeszcze dźwięki marsza wojskowego na motywach „Horst Wessel” oraz ciężkie kroki podkutych butów.

Studenci przeszli z pieśnią i postawili swój transparent obok dziesiątków innych. Zbliżył się do nich jakiś mężczyzna, chyba inżynier, i wydał polecenia; kolumna rozsypała się i po chwili studenci już pracowali. A Chartin wciąż myślał o tym pułku, który oglądał na stadionie „Olimpia”, i te trzy tysiące „sportowców” wydały mu się żałośnie słabe w porównaniu z siłą emanującą z tej budowy. Ciągłe jeszcze męczył go tamten marsz, męczyły dudniące kroki. Zbliżył się, by przyjrzeć się budowie. Stał teraz koło przyszłej trybuny. Potężna koparka wysypała kolejną porcję ziemi. Chartin z przyjemnością śledził jej pracę.

— A pan czemu stoi beczynnienie? — usłyszał nagle nad uchem wesoły głos.

Był to Richard Baum. Nie znał pisarza, a widok nie pracującego mężczyzny na budowie wydał się architektowi wręcz absurdalny.

— Nie wiem — odpowiedział Chartin, nie zdradzając się kim jest.

— Jaką by tu panu dać robotę? — Baum obejrzał krytycznie starego grubasa w berecie i zrozumiał, że praca łopata będzie dla niego za ciężka. — Aha, coś dla pana wymyśliłem. Proszę pomóc koledze w pomiarach.

Kolegą okazał się młody student z taśmą mierniczą i kilku kołkami w rękach. Nie czekając na zgodę Chartina zaczął już nim dyrygować. Pisarz chętnie poddał się temu i zabrał do pracy. Już dawno nie czuł się tak

dobrze. W ciągu dwóch godzin dokonali obaj wszystkich pomiarów i Chartin dopiero teraz miał pojęcie o wielkości tej budowy.

— Skończyliśmy — powiedział student. — Jeśli pan jeszcze się nie zmęczył, to niech pan poprosi o inną pracę, ja muszę teraz robić obliczenia.

Usiadł na jakiejś pustej skrzynce i zabrał się do obliczeń, zapominając zupełnie o istnieniu Chartina, który dopiero teraz odczuł zmęczenie. Trzeba wracać do hotelu i odpocząć. Były to dwie wspaniałe godziny w jego życiu.

— A wy skąd jesteście, towarzyszu? — usłyszał za plecami znajomy głos Richarda Bauma.

Chartin obejrzał się i chytrze się uśmiechnął.

— Z Paryża.

Spojrzał na zaskoczonego tą odpowiedzią Bauma i poszedł powoli do Martianstrasse, ocierając z pewną satysfakcją pot z czoła.

W drodze do hotelu znowu zaczęły go nękać odgłosy marsza wojskowego i wybijanych kroków.

W hotelu portier wręczył mu telegram. Nie czytając go Chartin poszedł do swego pokoju. Odczuwał w całym ciele przyjemne zmęczenie. Usiadł na kanapie i dopiero wtedy rozerwał depeszę:

„Syn pański, Charles Chartin... śmiercią walecznych...”

Chartin krzyknął i nieprzytomny zsunął się z kanapy na wytarty dywan.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Nad Dnieprem stało wysoko słońce. Rzeka była jakby wykuta z pociemniałego srebra. Czerwiec był niezwykle ciepły, na plażach Truchanowej Wyspy pano-

wał więc tłok. Podobnie jak w rzece, przypominającej ludną, ruchliwą ulicę. We wszystkich kierunkach płynęły łodzie i łódki, kajaki pontonówki, motorówki i skify wyścigowe. Do Słobodki i Truchanowej Wyspy jeździły często tramwaje wodne, ciągnąc za sobą spienioną śrubami ciemnozieloną wodę. Od portu rzeczno-go odbijał duży statek „Walerij Czkałow”, uderzając z powagą o wodę łopatkami kół. Szlak jego prowadził w dół Dniepru przez śluzy Dnieprogesu i Kachowki aż do źródła rzeki, do Chersonia.

Na zakotwiczonych łodziach stali milicjanci w białych czapkach i bluzach, z trudem regulując ruch i przywołując do porządku lekkomyślnych pływaków, którzy usiłowali przepłynąć Dniepr pomiędzy tymi wszystkimi motorówkami, łodziami i statkami.

Na przystankach rzecznych, rozmieszczonych wzdłuż piaszczystego masywu truchanowskiego, odbywała się tej niedzieli inauguracja sezonu. Po długiej zimowej przerwie, wykorzystanej na treningi w krytych basenach, kluby sportowe wyprowadziły swoich zawodników na Dniepr. Wioślarze zajęli miejsca w długich skifach przypominających ostre noże. Łódki te były tak wąskie i tak głęboko zanurzone, że odnosiło się wrażenie, jakby wioślarze siedzieli wprost na wodzie, utrzymując się na niej za pomocą wiosel.

W ten ciepły poranek czerwcowej niedzieli Nina prowadziła na przystani wodnej „Nauka” zajęcia z dużą grupą studentów swojego roku. Przyszli tu zdawać dość trudny dla niedoświadczonych pływaków egzamin na znaczek „Gotowy do pracy i obrony”. Niewiele czasu upłynęło od zimowych zawodów uniwersyteckich i od trudnych, pamiętnych rozmów z ojcem i Maksymowem, ale w życiu Niny wiele się zmieniło. Wtedy po rozmowie z Maksymowem podeszła do Jaryny Hon-ty i nie podnosząc oczu powiedziała:

— Wiesz co, Jaryno, zamiast gniewać się na mnie, lepiej przekaż mi wychowanie fizyczne na naszym roku.

— Dobrze. Przygotuj plan pracy, zatwierdzimy go i będziesz mogła zaczynać — odpowiedziała rzeczowo dziewczyna.

Nina rozpoczęła od tego, na czym zasadza się sport w Związku Radzieckim — od zdobywania odznak GPO. Zabrała się do tego z takim zapałem, że Jaryna obawiała się, by nie był to przysłowiowy słomiany ogień. Nina jednak z uporem, dzień po dniu, przygotowywała swoich kolegów do tego przez całą zimę i oto dziś na przystani wodnej studenci pierwszego roku zdają egzamin. Skaczą po troje z pomostów startowych do wody, wzniesając całe jej skrzące się w słońcu fontanny i szybko zdążają do mety, zmęczeni, ale szczęśliwi, a stopery dokładnie mierzą czas.

Wala Wowk stoi na zaporze i przedrzeźniając radiowych sprawozdawców sportowych przeprowadza „reportaż”:

— W tej chwili stanęła na starcie przyszła dziennikarka Wira Kononenko.

— Walka, przestań! — złości się Nina. — Widzisz, że ona i tak jest zdenerwowana.

— Widzę — odpowiada buńczucznie Wowk, ale milnie: Wira rzeczywiście denerwuje się i nieładnie byłoby jej przeszkadzać.

Krótką komenda — i Wira leci w dół. Robi to trochę niezgrabnie. Słysząc takie pluśnięcie, jakby na wodę upadła deska, ale dziewczyna płynie szybko, wymachując energicznie rękami.

— Po wspaniałym starcie nie tyle pod względem technicznym, co akustycznym — komentuje znów głośno Walka — zawodniczka demonstruje przepięknego

kraula. Niestety zbyt wielka ilość piany i rozpryskiwanej wody nie pozwala nam dostrzec wszystkich szczególnych cech tego wspaniałego stylu. Ale jedno można powiedzieć na pewno: przy takiej niewiarygodnej szybkości koleżanka Kononenko nie zmieści się w czasie.

— Zamknij się wreszcie, Walka! — krzyczy groźnie Nina, która denerwuje się, iż istotnie tak może się stać.

Ale jej obawy są płonne. W momencie, kiedy ręce Wiry dotykają mokrej poręczy, Maksymow naciska stoper: miała jeszcze w zapasie całe pięć sekund.

Walka Wowk jest zmieszany — Wira wychodząc z wody gra mu na nosie. Ale na krótko, bo na starcie staje nowa trójka, więc „komentator” kontynuuje swą pracę.

A słońce nad Dnieprem świeci tak ostro, że oślepia nawet jego odblask na drobnych, mieniących się falach. Gdzieś od górnego biegu rzeki wieje lekki wiatr, niosąc zapach dalekich drzemiących lasów, słodkawą woń wikliny i orzeźwiającą świeżość wody.

Maksymow siedzi na poręczy ze stoperem w ręku, pluszcze się w ciepłej wodzie bosymi stopami i patrzy, jak Nina komenderuje swoimi wychowanekami. W czerwonym kostiumie kąpielowym, szczupła i wysoka, jest silna i giętka jak łożyna. Denerwuje się każdym studentem, składającym egzamin, chciałaby z całego serca pomóc każdemu w zdobyciu znaczka GPO. Jest tak pochłonięta swoją pracą, że niczego wokół nie dostrzega.

Maksymow spojrzął na start i uśmiechnął się: Jaryna Honta. Wychowała się w Donbasie, gdzie mało jest rzek, i dopiero tu nauczyła się pływać, w basenie, ale stanęła odważnie na starcie. Twarz trochę pobladła, usta mocno zaciśnięte. Sekretarz komsomołu nie może zawieść swoich towarzyszy!

— Na starcie... — zaczął znowu Walka, ale Nina poszła do niego i energicznie mu przerwała:

— Przestań!

Wala Wowk ostrożnie się oddalił. Takiego wyrazu oczu nigdy u Niny nie widział.

A Jaryna skoczyła już. Płynęła na boku, z wody wystawał łokieć lewej ręki. Potem cała ręka wyciągnęła się do przodu, jakby chcąc zagarnąć jak największą przestrzeń. Nogi mocnymi uderzeniami odpychały ciało. „Zdąży, czy nie zdąży?” — zaniepokoił się Maksymow, wpatrując się w stoper. Wiedział, że Jaryna pływa najgorzej w całej grupie, jego niepokój był więc uzasadniony.

Ale Jaryna zdążyła. Wyszła na barierę z taką szczęśliwą twarzą, jakby ustanowiła światowy rekord.

Nina podbiegła do niej, objęła ją.

— Tak bałam się o ciebie.

Jaryna spojrzała na nią z wdzięcznością i uśmiechnęła się. Maksymow dobrze słyszał te słowa; powiedziały mu więcej niż dziesiątki poprzednich rozmów.

— To wszystko — stwierdził Maksymow, stawiając znak przed ostatnim nazwiskiem i przekazując listę pełnomocnikowi klubu sportowego. — Na tym roku egzamin na odznakę GPO zdali wszyscy.

Obydwaj podpisali protokół. Teraz na przystani każdy już mógł robić to, na co miał ochotę. Nad wodą zjawiała się piłka, tu i tam migwały czerwone i niebieskie czapeczki pływaków. Po rzece poniósł się gwar i śmiech, wesoły, głośny, potoczny śmiech, jaki słychać tylko na plażach podczas kąpieli. A wysoko w górze powiewała flaga klubu sportowego „Nauka”, jakby chciała ulecieć w dal, przyjmując defiladę żaglówek o napiętych żaglach.

Do przystani dobiła duża łódź, w której siedziała jakaś dziewczyna w kostiumie kąpielowym oraz kilku-



nastoletni chłopczyk w kąpielówkach. Twarze obojga były Ninie dobrze znajome.

— Olgo! — zawołała, rzucając się do łodzi, od razu poznała też chłopczyka: to młodziutki kadet, brat Korzunowej, którego poznała kiedyś w ujeżdżalni.

Wspomnienie to nie było przyjemne, ale znikło od razu jak ślad łódki na wodzie.

— Skąd się tu wzięłaś?

— Przyjechałam do brata. Poznajcie się, to mój przysły generał i dowódca.

— My się już znamy — ukłonił się Lonia, który nawet w samych kąpielówkach zachowywał się tak, jakby był w suworowskim mundurze.

— Tak, znamy się — odpowiedziała Nina, lekko się rumieniając.

— Siadaj z nami — zaprosiła Olga. — Popływamy trochę.

— Bardzo chętnie — Nina wskoczyła do łódki, która zachybotała się na moment.

— Chce pani usiąść przy sterze? — spytał Lonia.

— Nie, dziękuję.

Chłopiec westchnął z ulgą, bał się bowiem, że Nina będzie chciała sterować.

— Muszę tu jeszcze zabrać znajomego po drodze, a potem już popłyniemy w górę — powiedziała Olga. — Ładnie tu u was na Dnieprze.

— Bardzo ładnie — przytaknęła Nina, nie zwracając uwagi na to, co Olga mówiła o jakimś znajomym. — Opowiadaj, co słyhać w Moskwie.

— W lipcu odbędą się w Berlinie światowe igrzyska studentów. Chyba wszyscy pojedziemy.

Serce Niny ścisnął niepokój, nie była bowiem pewna, czy pojedzie, ale nic nie powiedziała. Spojrzała tylko z uwagą na Olgę.

— Zmieniłaś się... Postarzałaś się czy co?

— Nie — uśmiechnęła się Olga. — Mówmy lepiej o tobie. Jak twoje osiągnięcia?

— Nie wiem — szczerze odpowiedziała Nina. — Wnet odbędą się zawody, to zobaczymy. W zimie dużo opuściłam...

— Byłaś chora?

— Nie... — dziewczyna spojrzała na Lonie, który czując się wilkiem morskim z przejęciem sterował łodzią. — Nie chorowałam. Ale mówmy lepiej o czymś innym.

— Olga! Olga! — doleciał z brzegu znajomy głos. Nina drgnęła. Na pomoście stał Rusanow.

— Ster w lewo! — wydał rozkaz Lonia i sam go wykonał.

— Czy to jest ten twój znajomy? — głos Niny drżał, nie wiedziała, jak się zachować.

— Tak, znamy się już od dawna.

Łódka, popychana dokładnymi uderzeniami wiosel w silnych rękach Olgi Korszunowej, podpływała do brzegu. Rusanow stał w wąskich kąpielówkach i białej czapce. Na jego opalonym już trochę ciele odznaczał się wyraźnie każdy mięsień. Początkowo nie poznał, kto siedzi obok Olgi, a kiedy się zorientował, cofnął się odruchowo, ale na odejście było już za późno i niezręcznie. Chwycił więc łódkę za dziób, by nie uderzyła o pomost, i wskoczył do niej.

— Poznajcie się — powiedziała Olga, nic nie wiedząc o skomplikowanych stosunkach łączących jej przyjaciół.

— My się znamy — wyjaśniła Nina, patrząc gdzieś na Wołodymirską Górę.

— Tak, znamy się. Dzień dobry.

— Dzień dobry.

Zachowanie się obojga było tak niezwykle, że Olga spojrzała na nich kolejno ze zdziwieniem. Oboje byli

zmieszani, ale jednocześnie gdzieś w głębi serca rado-  
wało ich to nieoczekiwane spotkanie.

— Co nowego w Moskwie? — spytał Rusanow po  
dłuższym milczeniu, żeby tylko je przerwać.

— Mówiłam już Ninie: w lecie światowe igrzyska  
studenckie. Ciebie włączyli do reprezentacji koszyków-  
ki.

— Wiem. Ty też pojedziesz?

Ninę oburzyła jego pewność siebie.

— Chyba tak — odpowiedziała Olga. — Jeśli oczy-  
wiście nie znajdą lepszych.

— Nie sędzę, bo kogo?

— Nie wiem. Na zawodach się okaże.

— Jasne.

Przez jakiś czas znowu milczeli.

— Uważaj, Lonia, ślizgacz — zawołała Nina.

— To motorówka — zauważył Rusanow.

— Nie, to ślizgacz.

— Ależ nie, motorówka.

— A ja mówię, że ślizgacz!

— Najzwyczajniejsza w świecie motorówka.

Oczy Olgi rozszerzyły się ze zdziwienia. Nie rozu-  
miała, o co chodzi.

— Ostrożnie, Lonia, ślizgacz!

Wiadomo już było, że problem urósł do absurdał-  
nych rozmiarów.

— Ależ to motorówka — upierał się Rusanow.

— To ślizgacz — przesądził spór Lonia — Ślizgacz!

Minęła ich mała łódź o potężnym silniku z wysoko  
zadartym płaskim dziobem, obryzgując ich wodą. Ru-  
sanow nie mógł usiedzieć na miejscu.

— Lonia, zawróć do brzegu, zapomniałem przekazać  
kolegom niesłychanie ważną informację.

— To takie pilne? — spytała Olga, domyślając się  
już wszystkiego.

— Tak, bardzo pilne.

Rusanow wyskoczył na brzeg i pomachał ręką na pożegnanie. Odpowiedzieli mu tylko Lonia i Olga, Nina patrzyła w drugą stronę. Popłynęli w milczeniu w górę Dniepru, przybili do piaszczystego cypla i położyli się na piasku. Lonia wkrótce poszedł się kąpać. Dziewczęta odpoczywały obok siebie, przesypując przez palce suchy, biały piasek.

— Bardzo go kochasz? — spytała Olga.

— Kogo? — Nina miała taki wyraz oczu, jakby chciała rzucić się przyjaciółce do gardła. — Kogo mam kochać?

W tym rozjuszeniu wyglądała bardzo komicznie, ale dla Olgi nie było to wcale śmieszne. Ogarnął ją smutek, a jednocześnie zazdrość, że istnieje jednak na świecie taka miłość.

— Kogo mam kochać? — powtórzyła Nina.

— W porządku. Nikogo.

— Zadajesz jakieś niewiarygodne pytania — dziewczyna ciągle jeszcze gorączkowała się. — Nie mogę patrzeć na tego Rusanowa...

— On zdaje się na ciebie też.

— Nie wyobrażasz sobie nawet, jaki z niego... pyszałek!

— Nie zauważyłam tego.

— Szkoda.

Rozmowa urwała się. Patrzyły w milczeniu, jak Lonia uczy się pływać klasycznym kraulem. Ciepłe promienie pieściły ich ciała, skóra nabierała złotawosmąglego odcienia.

Jeden z największych statków świata, transatlantyk „Queen Mary” płynął z Nowego Jorku do Europy, rozcinając wysoką falę na dwa długie, białe wąsy. Błękitna wstęga, namalowana na dziobie statku nad kłuzami do przechowywania ciężkich kotwic — świadczyła, że żaden ze statków nie przepłynął Atlantyku szybciej od „Queen Mary”. Miał on wiele pokładów, wyporność jego wynosiła kilkadziesiąt tysięcy ton, ale nawet przy przy spokojnym morzu odczuwało się kołysanie. Wokół było tylko słońce, niebo i nieogarniony ocean.

Eryka Stahlberg siedziała w plecionym fotelu koło balustrady na pokładzie drugiej klasy, wpatrzona w spokojne, lekko falujące morze, z przyjemnością poddając się łagodnemu, usypiającemu kołysaniu. Przytknęła oczy, odczuwając kojący spokój. Wiele ostatnio przeżyła. Najpierw zniknął gdzieś na dłuższy czas Shilling i musiała trenować sama według opracowanego uprzednio programu. A kiedy wreszcie wrócił, wraz z nim zjawilo się w pensjonacie „Czarnego Smoka” wielu młodych sportowców. Eryka poznała wśród nich najwybitniejszych lekkoatletów amerykańskich. Shilling przygotowywał dużą grupę do jakichś bardzo odpowiedzialnych spotkań, ale tylko Eryka domyślała się, o jakie zawody chodzi. Pomógł jej w tym list Tibora, z nikiem jednak nie dzieliła się swoimi domysłami.

Wnet jednak wszystko było wiadome: przygotowuje się drużynę, która weźmie udział w światowych igrzyskach studentów. To, że ci sportowcy niewiele mieli wspólnego z collège'ami, Shillingowi absolutnie nie przeszkadzało. Był dostatecznie przewidujący, by zarówno Erykę, jak i innych zareklamować wcześniej w prasie jako studentów.

Artura Shillinga niepokoiło co innego: czy jego ekipa potrafi wykonać rozkaz generała Stanleya i zaćmić swoimi wynikami wszystkie inne kraje? Trener znał się na rzeczy i był pewny, że skompletował drużynę najlepszą z możliwych, nie miał jednak pewności, czy jego zawodnicy odniosą zwycięstwa we wszystkich konkurencjach.

Eryka omal nie zatańczyła z radości, kiedy zawiadomił ją oficjalnie o tych igrzyskach. Shilling patrzył na nią i z zadowoleniem się uśmiechał. Widział w niej sportsmenkę, która za dolary zrobi wszystko, co trzeba — przegra albo wygra, z przygnębienia przejdzie nagle w cudowny, słoneczny nastrój. Co prawda nie sprawdził jeszcze, czy zdolna jest za pieniądze do podłości, nie miał jednak żadnych wątpliwości co do tego. Był przekonany, że dziewczyna ma jego charakter, dlatego też Eryka podobała mu się coraz bardziej. Przyjemnie na nią patrzeć, kiedy się cieszy. Przecież ta podróż oznacza dla niej spotkanie z matką, z pochmurnym Kaiserdamm, z Berlinem, wreszcie po prostu z rodzinnym krajem. Pomieszka trochę w swym niezapomnianym, małym pokoiku, gdzie upłynęły jej dziewczęce lata. Zrozumiało więc, że się cieszy.

Ale Shilling nie znał i nie mógł znać prawdziwej przyczyny jej radości i jej niepokoju. Przecież to dla niej jedyna szansa zobaczenia się z Tiborem. Twardo postanowiła nie wracać więcej do Ameryki. Zabrała się do pracy tak gorliwie, że trener musiał niekiedy ją powściągać. Chciała być na tych igrzyskach studenckich pierwsza. Tam będą prawdziwe sportowe zmagania, a nie brudne machinacje Shillinga, tam można będzie pokazać najwyższą klasę i ona ją zademonstruje.

W ostatnich tygodniach wspólnych treningów zaprzyjaźniła się bardzo z Mary Garden. Amerykanka była nadal milcząca jak ryba, ale na widok Eryki za-

wsze przyjaźnie się uśmiechała. Pogorszył się natomiast gwałtownie stan zdrowia Lory Mikelaw. Wkrótce po tej pamiętnej rozmowie zachorowała i nie było już żadnych nadziei na jej podróż do Berlina. Kiedy Eryka powiadomiła Lorę o włączeniu jej do reprezentacji, masażystka cicho powiedziała:

— Chyba już się nie zobaczymy. Nie pociągnę do waszego powrotu. Obiecaj mi dwie rzeczy...

— Z radością! — zawołała Eryka.

— Opowiedz tam wszystkim o tym, o co cię prosilam...

Był to dla niej taki wysiłek, że opadła wyczerpana na poduszkę.

— A druga sprawa?

— Nigdy nie przyjmuj dopingów — wyszeptała Lora. — To nasza śmierć... Musisz mi to przyrzec...

Zakryła dłonią oczy i znieruchomiała. Być może zapadła w nagły sen.

Eryka wyszła z pokoju na palcach. A więc Shilling okłamał ją kiedyś, mówiąc o nieszkodliwości małych, żelatynowych kapsułek. A nie można przecież w takiej chwili nie wierzyć Lorze. Dziewczyźnie mróz przeszedł po kościach. Ale ona wykona oba zobowiązania. Znajdzie sposób, żeby opowiedzieć o tragicznym losie sportsmenki amerykańskiej Lory Mikelaw tak głośno, by cały świat usłyszał...

Po powrocie do swego pokoju przeliczyła pieniądze, zarobione w ciągu tych długich miesięcy. Wiedziała już: dolary nie mogą przynieść prawdziwego szczęścia.

No, a teraz trzeba zabrać się ostro do pracy, bo Shilling mógłby się jeszcze rozmyślić i posłać do Berlina kogo innego, a wówczas musiałaby się pożegnać z wszelką nadzieją. Wystarczyłaby tylko jakaś aluzja co do zamiarów Eryki i koniec z wyjazdem do Europy.

Teraz oczywiście nie ma się już czego obawiać:

„Queen Mary” płynie do Cherbourga i Eryka Stahlberg siedzi w plecionym fotelu na jednym z licznych pokładów transatlantyku.

Usłyszała w pobliżu czyjeś kroki. Obejrzała się leniwie, niemal nie otwierając oczu: podeszła do niej Mary Garden i usiadła obok. Po chwili skrzypnął fotel z prawej strony; John Heaviside też przysiadł się do Eryki.

— Śmiertelne nudy — powiedział. — Żeby już jak najszybciej przedostać się przez tę kałużę.

John był jednym z najlepszych krótkodystansowców, w biegu na sto metrów powtórzył raz światowy rekord, ale nie udało mu się go podwyższyć. W drużynie amerykańskiej wszyscy bardzo się z nim liczyli, nawet sam Shilling.

— Dawno nie byłem w Berlinie, jeszcze podczas wojny — znów zaczął, próbując wciągnąć do rozmowy dziewczęta. — Ciekawe, jak on teraz wygląda. Wtedy daliśmy mu takiego łupnia, że niewiele kamieni pozostało na swoich miejscach.

— Pan tam walczył? — spytała Eryka.

— Tak, walczyłem — John dotknął z dumą kilku baretek orderowych widniejących na jego obszernej brązowej marynarce. — Wspaniała wojenka! Zawsze wspominam ją z przyjemnością. To były najpiękniejsze miesiące mego życia!

— Dziwne — powiedziała Mary.

— Nie ma w tym nic dziwnego — zaśmiał się John. — Niestety, drugiej takiej wojny w moim życiu już chyba nie będzie. Zresztą jak na mnie wystarczy. Nieźle zarobiłem, więcej już nie chcę wojować. A jeśli koniec końców przyjdzie wojować z Rosjanami, to mi się już zupełnie nie uśmiecha.

Podszedł Jack Gilkes, stanął za fotelem Mary i przysłuchiwał się rozmowie. Wysoki, lekko przygarbiony,



z bardzo długimi rękami i niewyraźną twarzą sprawiał wrażenie prostego i ograniczonego chłopca.

— Proszę usiąść — zaprosiła Eryka.

— Dziękuję, postoję.

— Znam ich — ciągnął przerwana relację John. — Zetknąłem się z nimi w Berlinie.

— Z kim? — spytała Mary.

— Z Rosjanami. I więcej nie chcę się z nimi spotkać, chyba że przy kieliszku lub na stadionie. A wojować z nimi nie mam ochoty.

— Dlaczego? — zapytał Gilkes.

— Bo jak pobili na głowę Hitlera, to naszych załatwią tak, że tylko mokre miejsce po nas zostanie. Nie jestem przeciw wojnie, to niezły biznes, ale niech kto inny się z nimi bije. Skłonny jestem zapłacić, ale samemu walczyć? Takim frajerem nie jestem.

— Dobrze powiedziane! — zaśmiał się Gilkes. — A zwłaszcza patriotycznie.

— W każdym razie pod kule nie poleżę. W Europie można znaleźć za pieniądze dość idiotów, którzy będą za mnie wojować: Niemców, Francuzów, Hiszpanów...

Erykę oburzył ten cynizm, zdołała jednak się opanować. Heaviside stał się dla niej w tej chwili odrażający.

— A jeśli Niemcy nie będą chcieli wojować? — spytała po chwili.

— Za nasze pieniądze zrobią wszystko. Są do tego stworzeni — odpowiedział pewnym tonem Heaviside. — Chodź, Gilkes, zapraszam na drinka.

— Chętnie.

— Co w naszej drużynie robi Jack Gilkes? — spytała Eryka po odejściu mężczyzn.

— Nie wiem — głos Mary brzmiał spokojnie i leniwie.

— Czy to koszykarz?

— To majster we wszystkich dyscyplinach sporto-

wych. Kiedy trzeba kontuzjować jakiegoś gracza, to wypuszczają wtedy Gilkesa, widziałam to już. Robi to z taką wprawą, że żaden sędzia nie może się przyczepić. A pani radzę mniej mówić w jego obecności, to niebezpieczne.

Było to najdłuższe przemówienie Mary Garden przez cały czas ich podróży. O prawdziwości jej słów Eryka miała okazję przekonać się jeszcze tego wieczoru.

— Pani zadaje dziwne pytania, Eryko — powiedział Shilling. — Proszę zapomnieć, że jest pani Niemką, i im szybciej pani to zrobi, tym lepiej dla pani. Polityka to nie pani sprawa. Pani ma biegać i to wszystko...

Shilling wydawał się zaniepokojony, więc Eryka popieszczyła go uspokoiła, że zupełnie nie interesuje się polityką.

No, ale teraz nie miała już żadnych wątpliwości, kim jest Gilkes, oczywiście nie zdradzając się z tym przed Shillingiem.

Następnego dnia nad statkiem zjawiono się stado śnieżnobiałych mew. Podlatywały blisko do burty, siadały na wodzie.

— Zbliżamy się już do brzegu — zauważyła Mary Garden, oparta leniwie obok Eryki na poręczy.

— Tak, to już niedługo — odpowiedziała Eryka.

Jack Gilkes znowu do nich podszedł, ale tym razem Eryka nie powiedziała ani słowa. Dość długo dreptał koło dziewcząt, obserwował mewy kołyszące się na falach, próbował zagadywać, wreszcie westchnął i odszedł.

No i nareszcie Cherbourg. Stąd pociągiem do Paryża i prosto z pociągu na samolot — i oto pod skrzydłem widać już betonowe pole lotniska w Tempelhof.

— Chciałam pana prosić, żeby mi pan pozwolił mieszkać nie w hotelu, lecz u matki — powiedziała

Eryka do Shillinga ledwie tylko dotknęła berlińskiej ziemi.

— Nie mam nic przeciw temu — odparł menażer. — Byłoby po prostu niehumanitarnie pozbawiać panią tego prawa. W Berlinie będzie pracować z panią przez cały czas pani stary znajomy, Erwin Meier.

Eryka skinęła głową. Jest jej obojętne, kto ma jej pilnować. Najważniejsze, że zamieszka z mamą, a to prawdziwe szczęście.

Wysiadła z taksówki przy szarym domu na Kaiserdamm z zamierającym sercem. Nic tu się nie zmieniło w ciągu zimy, każdy kamień był jej bliski i drogi, chciało jej się płakać ze szczęścia. Wbiegła bardzo szybko po schodach, zadzwoniła. W drzwiach pojawiła się Berta Loch, o której tak długo usiłowała zapomnieć.

— Gdzie mama?

— W domu. Wchodź, Amerykanko — ucieszyła się Berta.

A w pokoju słyhać już było szybkie, znajome kroki. Matka i córka padły sobie w objęcia, zapominając o Ameryce, o sporcie i o Bercie Loch.

Ale komendantka z Ravensbrück nie mogła pozwolić, by o niej zapomniano. Czytywała prasę amerykańską i wiedziała, jaką znakomitością stała się Eryka Stahlberg, a w jej rozumieniu sława i bogactwo były tym samym. Ale ona też chciała pochwalić się przed siostrzenicą swoją ważną pozycją w państwie. A miałyby czym zadziwić tę sławną i chyba zhardziałą już dziewczynę.

Kiedy wreszcie skończyło się powitanie córki z matką, Berta powiedziała:

— Stałaś się prawdziwą Amerykanką, Eryko. Bardzo wyładniałaś. I jesteś teraz sławna. Do twarzy ci z tym. No to opowiadaj, jak ci się żyje w tej Ameryce? Masz dużo pieniędzy?

— Dużo.

— Tak przypuszczałam. To chyba wspaniała rzecz: Ameryka! Boże, jak bardzo chciałabym tam pojechać...

Pamiętając o incydencie z Gilkesem Eryka milczała.

— Nie, ty rzeczywiście stałaś się prawdziwą Amerykanką — zachwycała się dalej Berta. — Dumna, milcząca, a to przychodzi dopiero z bogactwem i sławą. Ale Shilling na pewno zmuszał cię do wyteżonej pracy?

— Tak, pracy jest sporo... Przywiozłam ci, mamó, upominki.

Marta Stahlberg rozplakała się. Niczego nie potrzebuje. Dla niej najpiękniejszym, najcenniejszym podarunkiem jest to, że ujrzała znów córkę.

Jadąc do Berlina Eryka kupiła prezenty dla matki, zapomniała natomiast o ciotce, musiała więc teraz coś dla niej znaleźć ze swoich rzeczy. Na szczęście w walizce był wiązany dżemper ostatniej amerykańskiej krzykliwej mody. Berta natychmiast go włożyła.

— Szalowy! — zawołała — Superluksus!

— Zbyt ekscentryczny — uśmiechnęła się Marta.

— Ty nic nie rozumiesz, Marto — odcięła się Berta.

— Możliwe — westchnęła siostra.

— Ci Amerykanie to wspaniali ludzie! — entuzjastowała się nadal Berta. — Nawet nie wyobrażasz sobie, jak znają się na ludziach i jak potrafią ich cenić.

— Pracujesz u nich?

— Cieszę się ich pełnym zaufaniem. Dali mi w te oto ręce taką siłę, że cały Berlin zadrżałby, gdyby się dowiedział — pyszniła się przed siostrzenicą. — Przed igrzyskami dostaniesz doping, żebyś przyniosła sławę Amerykanom, a pochodzi on właśnie z mojego laboratorium. Cóż oni są warci bez nas, Niemców? Nic! Teraz jesteśmy im potrzebni, ale przyjdzie czas... przyjdzie na pewno... i my... my sami...

Berta była tak podniecona, że mówiła z trudem.

— ...że my sami będziemy rządzić światem! — do-  
kończyła histerycznym krzykiem.

— Ciszej — zachnęła się Marta. — A więc to praw-  
da, że twoje laboratorium produkuje nie tylko dopingi?

— Co ci przyszło do głowy? — Berta już opamiętała  
się po wybuchu. — Laboratorium produkuje dopingi  
po to, żeby twoja córka mogła zwyciężyć. To mnie mo-  
żesz zawdzięczać swoją sławę. Mnie! — znów zawołała  
z pyszałkowatym patosem.

I znowu opamiętała się, karcąc siebie za gadulstwo,  
chciała jednak czymś urazić Erykę i chyba jej się to  
udało.

Rozległ się dzwonek. Do pokoju wszedł Erwin Meier.

— Witam cię, Eryko. Dzięki mnie zrobiłaś wspaniałą  
karierę. Po prostu zazdroszczę ci, stałaś się sławna na  
cały świat.

— Tak — obojętnie odpowiedziała dziewczyna, któ-  
ra teraz dopiero zrozumiała sens słów swojej ciotki.

— Jesteś z czegoś niezadowolona czy urażona?

— Nie, po prostu droga mnie zmęczyła.

— Więc odpoczywaj. Mister Shilling powierzył mi  
opiekę nad tobą. Jutro zabieramy się do pracy. Musi-  
my wręcz oszołomić wszystkich naszymi osiągnięciami.  
To rozkaz generała Stanleya.

— A z innych krajów już przybyli?

— Są Węgrzy i Czesi. Nie ma jeszcze ekipy ze  
Związku Radzieckiego. A tylko stamtąd grozi ci nie-  
bezpieczeństwo.

— Nie boję się.

— Rozumiem. Przeszedłszy szkołę Shillinga można  
nie obawiać się samego diabła.

— Przepraszam pana — powiedziała Eryka — ale  
muszę odpocząć.

Poszła do siebie, do jakże jej drogiego pokoiku, w  
którym знаła każdy kąt. Położyła się na wąskie łóżko

i długo leżała z otwartymi oczami. To, o czym dowiedziała się tu, w ojczyźnie, w Berlinie, wydało jej się jeszcze straszniejsze od wszystkiego, o czym zdążyła usłyszeć w Ameryce i o Ameryce.

Kiedy już wszyscy usnęli, wstała cicho i ostrożnie zeszła do automatu. Znała tę drogę dobrze, mogła iść z zamkniętymi oczami. Tak, ta sama budka, nawet to samo pęknięte szkło.

— Hotel „Adlon”? — spytała rwącym się głosem. — Można prosić Tibora Szabo?

I po chwili:

— Tibor?! To ja, Eryka! Muszę się z tobą zobaczyć! Nie mogę już dłużej... Jutro o siódmej... Dobrze, tam gdzie pierwszy raz, na stacji Friedrichstrasse... Nie, teraz nie mogę, wybiegłam z domu w rannych pantoflach. Do jutra, kochany!

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Pochitonow zadziwił wszystkich: w zawodach eliminacyjnych przed igrzyskami przebiegł sto metrów w dziesięć i sześć dziesiątych sekundy. Karcew oczom nie wierzył, wpatrując się w stoper. Może to jakaś pomyłka? Ale nie, na dwóch innych stoperach wskazówki zatrzymały się na tej samej cyfrze. Nie było już żadnych wątpliwości. Teraz już tylko trzy dziesiąte sekundy dzieliło go od rekordu radzieckiego i cztery od światowego.

Karcew pokiwał z zadowoleniem głową. Było przyjemnie pomyśleć, że Sawa potrafił wziąć się w karby, wytrzymał trudne i skomplikowane treningi. Bez tego wszystkiego uzyskanie takiego czasu byłoby niemożliwe, Karcew dobrze o tym wiedział.

Trenerowi nawet przez myśl nie przeszło, jak Sawie

było ciężko w ostatnich miesiącach. Jego ostatnie spotkanie z Siewoczką Barkowem nie minęło bez konsekwencji. Trzeba było chodzić do wydziału karno-sledczego na przesłuchania i udowodniać, że nie miał żadnych powiązań ze spekulacjami Siewoczki, nawet musiał powiedzieć o wszystkim matce.

Neoniła Grigoriewna przyjęła to spokojnie.

— Skończysz w więzieniu, jeśli nie będziesz miał takiej żony jak Olga Korszunowa. Ciebie zawsze ktoś musi trzymać w ryzach. Kiedyś ja to robiłam, ale mam już coraz mniej sił. W każdym razie cieszę się, że ta przygoda zmusiła cię do zastanowienia nad własnym życiem. Czy z powodu tego Barkowa nie grożą ci jakieś przykrości w instytucie?

— Chyba nie. Nie miałem z nim zresztą żadnych kontaktów.

— Tym lepiej. A o Oldze myśl ciągle, i myśl bardzo dobrze.

Sawa myślał o niej i bez zachęty matki. Nie mógł o niej zapomnieć. Teraz wszystkie te bezpodstawne podejrzenia wydawały się śmieszne. Jakim durniem się okazał! Ze wstydem wspominał, jak chciał zniszczyć Gromowa albo zniesławić Olgę. Gdyby dalej kroczył tą drogą, na pewno zaczęłyby pisać anonimy. Ale teraz zerwie już raz na zawsze z tą przeszłością. Będzie pracować, będzie pracować z uporem i dopracuje się sukcesów.

Zwycięstwo na eliminacjach przedigrzyzkowych wydało się Sawie zupełnym triumfem. Przyrzekł sobie, że nic Oldze o tym nie powie, nawet jej nie zaczepi, nie wytrzymał jednak.

— A wiesz, że nie biegłem pełną parą? — powiedział jej przy najbliższym spotkaniu. — Mam jeszcze w zapasie dwie dziesiąte. Ustanowię światowy rekord i tobie go poświęcę. Gdy dziennikarze będą mnie py-

tać, jak do tego doszedłem, odpowiem im: ten rekord zdobyłem dla Olgi Korszunowej i jej go dedykuję...

Usta dziewczyny skrzywił znany mu już grymas.

— I będziesz wtedy żałować i swoich słów, i swego postępowania ze mną...

— Gdybyś nawet ustanowił nie jeden, lecz dziesięć światowych rekordów, to nie będę niczego żałować — odpowiedziała Olga i pobiegła na boisko.

— Zobaczysz, że zwyciężę na igrzyskach studenckich! — zawołał za nią.

— Życzę powodzenia — dziewczyna odwróciła na chwilę głowę i pobiegła dalej.

Jeszcze zobaczymy, co powiesz, kiedy rzeczywiście zdobędę pierwsze miejsce — pomyślał Sawa. — Wtedy nie będziesz mogła tak obojętnie rzucić przez ramię: „Życzę powodzenia...”

Pochitonow patrzył przez chwilę za Olgą, potem szybko poszedł do szatni. Strasznie złościła go ta dziewczyna i jednocześnie kochał ją bez pamięci, nie umiał jednak znaleźć jakiejś nitki, która przywiódłaby go do serca Olgi. Nawet to, co udało mu się osiągnąć, zepsuł kilku niezręcznymi słowami. Ale to nic, jeszcze zdobędzie jej miłość... Mama ma rację: Olga musi zostać jego żoną.

Krażył po stadionie, zbierając gratulacje z powodu tego pierwszego sukcesu, i czuł coraz większą pewność siebie i wagę swego osiągnięcia. Na pewno odniesie zwycięstwo na tych igrzyskach, wszystko jeszcze będzie dobrze...

Niewielu jednak sportowców było tak pewnych zwycięstwa jak Sawa Pochitonow. Serce Jaryny Honty biło niespokojnie. Po raz pierwszy występowała w Moskwie na tak poważnych zawodach. Jeszcze przed rokiem nawet marzyć o tym nie mogła. Gdyby nie obecność Maksymowa z jego spokojnym, życzliwym



uśmiechem, Jaryna uciekłaby ze stadionu, żeby się nie ośmieszyć.

Rozejrzała się wokół. Na trybunach siedziały dziewczęta z uniwersytetów i instytutów całego Związku Radzieckiego. Dostrzegła też profil Niny Sokił. Jej to dobrze, ona na pewno nie denerwuje się. Dlatego miałyby się denerwować? Po występach zagranicznych takie zawody dla mistrzyni to drobiazg.

Jaryna myliła się jednak. Właśnie w tej chwili Nina wstała i podeszła do niej, usiadła obok. Przez chwilę obserwowały w milczeniu kolejny bieg sześciu dziewcząt.

— Tak się boję — powiedziała Nina — jakbym pierwszy raz znalazła się na stadionie.

— Ty?

— Tak, ja. Ta zima nie wyszła mi na dobre.

— Ja też się boję.

— Ty nie masz czego.

Spojrzały na siebie i roześmiały się.

— No, na mnie już czas — powiedziała Jaryna.

— Na mnie też. Chodźmy na rozgrzewkę.

Wzięły się za ręce i pobiegły na boisko.

A potem wszystko odbyło się jak we śnie: rozgrzewka, wezwanie na start, maksymalna koncentracja i wreszcie bieg, niesamowity bieg do białej taśmy naciągniętej mocno w poprzek bieżni. Kiedy Jaryna uderzyła piersiami o taśmę i poniosła ją w rozpędzie po minięciu mety, odległość stu metrów wydała jej się niesłychanie krótka — tyle energii nagromadziło się w jej mięśniach. Dwanaście sekund. Nieźle. Nikt jeszcze na tych zawodach nie miał lepszego czasu.

Jaryna wróciła na trybunę, usiadła na swoje miejsce, spojrzała na start. W tym właśnie momencie Nina przygotowywała się do biegu. Jaryna widziała wyraźnie jej subtelną, nerwową twarz i gwałtowne nieco ru-

chy. Teraz pochyliła się, czekając na wystrzał, nerwy jednak zawiodły: falstart i powtórzenie.

Kiedy rozległ się ponownie strzał i dziewczęta ruszyły, Jaryna odczuwała prawdziwą rozkosz, obserwując bieg Niny. Długi, mocny krok, bezbłędna praca rąk, rozsypane w biegu wspaniałe kasztanowe włosy.

— Nina Sokił — ogłosił spiker — uzyskała na sto metrów najlepszy czas: jedenaście i dziewięć dziesiątych sekundy.

„Wspaniała dziewczyna! — pomyślała Jarynka. — Na pewno zostanie mistrzynią świata”. I kiedy Nina wróciła na miejsce, Jaryna objęła ją i pocałowała tak szczerze, że „przyszła mistrzyni świata” poczuła w sercu falę ciepła.

— To było cudowne! — zachwycała się Jaryna. — Jeszcze nigdy nie widziałam takiego biegu.

— Czuję się tak — powiedziała Nina — jakbym przebiegła nie sto, lecz tysiąc metrów. Nigdy przedtem czegoś takiego nie było...

— A mnie ten dystans wydał się taki krótki! Ale jakoś nie cieszysz się?

— Zmęczyłam się.

— Nic dziwnego, uzyskać taki czas!

— Tak myślisz?

Nina nagle poweselała. To zmęczenie nieprzyjemnie ją zaskoczyło, ale czas rzeczywiście bliski rekordu.

Na stadionie rozpoczęły się już rzuty dyskiem. Wołoszyna nie brała jako zawodniczka udziału w igrzyskach, nie mogła jednak w takich chwilach pozostawić przyjaciółki samej. Kiedy Korszunowa stanęła w kole, Olga Borysowna wstała z miejsca i podeszła do bariery, jakby chcąc tym dopomóc przyjaciółce. Dysk załśnił w słońcu i upadł na ziemię w odległości jednego metra od chorągiewki wyznaczającej rekord.

Karcew, siedzący z Maksymowem na trybunie, chrząknął.

— Będą nowe rekordy.

— Być może — potwierdził ostrożnie Maksymow.

— Do Berlina pojedzie doskonała ekipa.

— Tak. Amerykanie niewiele zdobędą pierwszych miejsc.

— Będą i oni mieli zwycięstwa, i to niemało — zaproponował Karcew.

— Możliwe — westchnął Maksymow, przeciągając dłonią po włosach. — Na tych igrzyskach tak. Ale za dziesięć lat zobaczymy, kto będzie miał więcej rekordów.

W tym momencie Olga Korszunowa ponownie rzuciła dyskiem, który tym razem upadł bardzo blisko chorągiewki. Karcew wstał, by lepiej widzieć.

— Chcecie zobaczyć nowy rekord? — spytał Maksymow.

— Chcę.

— Nie trzeba było czekać aż dziesięć lat — zażartował Maksymow.

Spiker ogłosił wynik.

— Zabrakło jej dwunastu centymetrów — stwierdził Karcew.

Olga Korszunowa podeszła do Wołoszyny i poszły razem wzdłuż trybun.

— Kiedy skompletujemy ostateczny skład drużyny? — spytał Maksymow.

— Dziś wieczorem. Poproszę Wołoszynę, by też pojechała. Niech wprowadza młodzież na światowe stadiony, będą czuli się z nią pewniej.

— Macie rację.

Jaryna Honta zobaczyła wykaz radzieckiej drużyny następnego dnia rano. Czytała uważnie długi rząd

nazwisk: Awdiejew... Braźnik... Wawiłowa... Hozenko... Nagle drgnęła.

— Honta? Jaryna Honta? Ja?!

— Oczywiście, że ty — zaśmiała się Nina Sokił. — Nie ma u nas innej o takim nazwisku i imieniu.

— A może jest? — Jarynka ciągle jeszcze nie wierzyła swemu szczęściu.

Podszedł do nich Maksymow.

— Jazda, dziewczęta, do pokoju numer dwadzieścia wypełniać kwestionariusze paszportowe.

— Fotografije do paszportów wykonuje się przy ulicy Gorkiego — zawołał ktoś z tyłu.

A więc nie ma tu żadnej pomyłki: ona, Jaryna Honta, jedzie na światowe igrzyska bronić honoru sportu radzieckiego! Ale wszystko odbywa się inaczej, niż to sobie wyobrażała, jakoś zwyczajnie. Oto leży już przed nią formularz i dziewczyna zagryzając ostrymi zębami wargi wypełnia pierwszą rubrykę: Jaryna Mykołajewna Honta. Znany jest już program berlińskich zawodów, tak jakby miały odbyć się jutro tu, na stadionie „Dynamo”.

I wreszcie w dużym gabinecie urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych podaje Jarynie paszport. Jaryna bierze obu rękami sporą książeczkę, tak dużą, że nie wejdzie do żadnej kieszeni. Na okładce wytłoczony herb Związku Radzieckiego. A gdy otworzyła paszport, ujrzała swoją fotografię: ciemne oczy, krótki, nieco zadarty nosek i śmieszne, białe wstążki, którymi związała warkocze. Na rogu zdjęcia duża, okrągła pieczętka, stwierdzająca, że Jaryna Honta ma prawo wyjechać do Berlina.

Zawładnęło nią dziwne uczucie. Tak jakby stała na samej granicy, a za nią — partyzanckie lasy Białorusi, złote stepy Ukrainy, głębokie kopalnie Donbasu, wysokie wieżowce Moskwy, wspaniałe budowle Wołgi, dy-

miące huty Uralu, ciemne przestrzenie tajgi, błękitne wody Bajkału, ośnieżone wzgórza Kamczatki, szare, pokryte rybią łuską skały Wysp Kurylskich. To — Ojczyzna. Poleciała ona Jarynie pojechać za granicę, do Berlina, i wrócić ze zwycięstwem.

— Proszę się podpisać — urzędnik ministerstwa wskazuje ołówkiem odpowiednie miejsce.

Jaryna wykaligrafowała swoje nazwisko z takim uczuciem, jakby podpisywała uroczystą przysięgę, po czym odeszła, przyciskając do piersi swój paszport.

Przybyła na stadion niezmiernie tym wszystkim przejęta. Maksymow zaprosił sportsmenki do siebie.

— Będziecie bardzo przeciążone. Patrzcie, jak ułożony jest program. W pierwszym dniu zawodów lekkoatletycznych biegi na sto metrów. Dwie najlepsze sprinterki z każdego biegu wchodzi do półfinału, który zostanie rozegrany tego samego dnia. Sześć sprinterek z półfinału o najlepszych czasach biegnie następnego dnia w finale. Tego samego dnia sztafeta cztery razy sto. A więc w ciągu dwóch dni każda z was będzie musiała biegać cztery razy. Musicie uświadomić sobie, jakie to trudne, dlatego trzeba mądrze rozłożyć siły. Mamy wszelkie dane na to, żeby zająć nie tylko pierwsze, ale również drugie i trzecie miejsce.

— A czy nie dałoby się zmienić rozkładu tak, by biegać tylko raz dziennie? — wyrwała się Nina.

Maksymow spojrzał na nią.

— Nie my ten program układaliśmy, więc nie możemy go zmieniać. A poza tym nie ma w tym nic nadzwyczajnego; jest tak na wszystkich zawodach międzynarodowych i trudno tu domagać się jakichś zmian.

— No cóż, nie jest ostatecznie tak źle — odpowiedziała smutno Nina.

Maksymow znów na nią spojrzał, ale nic nie powie-

dział. Zabrał się teraz do studiowania regulaminu sztafety, wiedział bowiem, że najdrobniejsze nawet jego naruszenie pociąga za sobą wycofanie drużyny z zawodów. Sędziów nie obchodzi, czy zawodnicy znają międzynarodowe przepisy czy też ich nie znają. Na bieżni wszyscy zawodnicy są równi.

Podczas gdy trenerzy przygotowywali do igrzysk swoich wychowanków, Olga Wołoszyna oczekiwała swego najtrudniejszego egzaminu — premiery sztuki „Lubow Jarowaja”. Już dawno minęła trema i niepewność, przedstawienie dopięte było na ostatni guzik, a mimo to reżyser ciągle jeszcze nie wyznaczał daty premiery, chcąc wyszlifować każdą scenę.

No i nareszcie nadszedł dzień premiery. Na ulicach Moskwy pojawiły się duże niebieskie afisze i nic już nie można było zmienić. I właśnie wtedy opadły Wołoszynie wątpliwości. Nic jej się nie podobało — i własna gra, i scenografia, i zespół wykonawców.

— Wie pani co, Olgo Borysowno? Jest pani dziś stremowana, a inni — patrząc na panią — też się denerwują — powiedział reżyser. — Najlepiej będzie, jeśli pani pójdzie teraz do domu, na stadion, zresztą gdzie pani zechce. I proszę nie pokazywać mi się na oczy do siódmej. Życzę dobrego samopoczucia!

Wołoszyna poczuła się tym dotknięta.

— Ależ dwie sceny drugiego aktu jeszcze nie brzmią.

— Wszystko brzmi bardzo dobrze — odparł spokojnie reżyser. — Zresztą teraz nic już pani nie poprawi, a tylko pogorszy. Niech pani idzie z teatru! — powiedział niemal rozkazującym tonem, zauważywszy odruch zniecierpliwienia artystki, po czym zaczął omawiać ze scenografem sprawę oświetlenia.

Wołoszyna wyszła obrażona, trzaskając drzwiami.

Wracała do domu wzburzona, nie zwracając uwagi na nic i na nikogo. W domu też nie spotkała się ze zrozumieniem — baba Nastia już dawno przywykła do jej przedpremierowych nastrojów i wiedziała, że same szybko przechodzą. Artystka ostatecznie upewniła się, że tego dnia nikt jej nie zrozumie.

Zadzwoił telefon. To chyba z teatru, pewnie niepokoją się o nią i chcą się dowiedzieć, jak się czuje.

— Olgo Borysowno — usłyszała w słuchawce podniecony głos Korszunowej. — My tu wszyscy bardzo się przejmujemy pani dzisiejszym występem. Cała drużyna. Czy mogłaby pani zarezerwować nam bilety? Bardzo chcemy zobaczyć panią na premierze.

— Uważa pani, że potrzebna mi będzie klaka?

— Ależ nie, tylko że będziemy spokojniejsi, kiedy będziemy w teatrze razem z panią.

— Dobrze — wesoło już odpowiedziała Wołoszyna. — Zaraz zadzwonię do administracji. Przyjdźcie piętnaście przed ósmą. Ile was jest?

— Czterdzieści osób. Koszykarze też. Nie chcemy oczywiście za darmo, zapłacimy.

— Dobrze, jakoś to zorganizuję — zaśmiała się Wołoszyna.

Nastrój jej od razu się zmienił. Czeka ją premiera, która kosztowała tyle nerwów, przestała ją niepokoić. Teraz wstydziła się tej rozmowy z reżyserem. Zadzwoniła do administratora, załatwiła bilety. Jak to dobrze, że będą dziś w teatrze bliscy jej ludzie, że może liczyć na ich moralne oparcie. Ale aktorka miała również świadomość tego, że siedzący na widowni sportowcy wyłowią każdy fałsz na scenie, skrytykują każdy błąd tak, jak zwykli to robić na stadionie, ale równie szczerze i gorąco będą reagowali na każde osiągnięcie.

Gdy ubierała się do teatru, czuła jakiś chłód pod

sercem, a palce jej drżały, kiedy zapinała guziki letniego płaszcza.

Baba Nastia przeżegnała ją, mówiąc:

— Chociaż Boga nie ma, ale Pan Bóg niech cię ma w swojej opiece!

Wołoszyna zaśmiała się, ucałowała gosposię i wyszła.

Reżyser powitał ją tak, jakby rozstali się w największej przyjaźni.

— No, wszystko zapięte na ostatni guzik. Reszta zależy już tylko od pani. Mam do pani w związku z tym tylko jedną prośbę: proszę się nie denerwować. To jedyne, co może zmniejszyć pani sukces, innych powodów nie widzę.

Wołoszyna spojrzała na niego z wdzięcznością i poszła do swojej garderoby.

A na widowni było już gwarno. Sportowcy przyszli oczywiście wcześniej i w całym teatrze rozlegały się ich wesołe głosy. Wołoszyna była członkiem ich kolektywu, jej sukces był także ich sukcesem. Skwapliwie wsłuchiwali się w rozmowy publiczności na temat Wołoszyny, gotowi w każdej chwili stanąć w jej obronie.

I może właśnie dlatego, gdy Nina i Rusanow spotkali się w korytarzu, nie zawrócili w przeciwne strony, lecz spokojnie przywitani się i zaczęli rozmawiać o aktorce.

— Tak się denerwuję, jakbym to ja sam miał występować zamiast Wołoszyny — powiedział Rusanow z zakłopotanym uśmiechem.

— A wie pan, że ja też — odrzekła Nina. — Bardzo dobrze, że jedzie z nami do Berlina.

— Tak, to bardzo dobrze.

Nina przypomniała sobie w tej chwili noworoczną noc, spotkanie w uniwersytecie i kijowską plażę. Dla-



czego oni przy każdym spotkaniu muszą się posprzezczać? Rusanow też chyba myślał o tym samym, bo zarumienili się oboje, gdy spojrzeli na siebie.

— Chyba znów się posprzezcamy? — spytała wojowniczo Nina, starając się ukryć zmieszanie.

— Nie, nie trzeba — odpowiedział Rusanow, ale nie jego słowa, lecz ich ton wzruszył Ninę.

Wspominała teraz noworoczną noc, rozmowę z ojcem i historię z Kosenką... Jakież to wszystko nieważne wobec tego, że oto są znowu razem i przyjaźnie rozmawiają.

— Gdzie pani siedzi?

— Z Jaryną.

— A ze mną jest Suchanow. Przesadźmy go na pani miejsce. Zgoda?

Nina miała zamiar oburzyć się, ale zamiast tego powiedziała cicho:

— Zgoda.

Weszli na widownię. Wkrótce rozpoczęło się przedstawienie. Korszunowa z zapartym tchem patrzyła na scenę. Tak bardzo pragnęła, żeby Wołoszyna z miejsca, pierwszym wejściem i od pierwszego słowa, zawładnęła sercami i umysłami widzów. Ale aktorka osiągnęła więcej. Kiedy weszła na scenę, widzowie zapomnieli, że siedzą w teatrze. Przed nimi rozedrgał się kawał trudnego, zanurzonego w krwi rewolucji życia — i nie można było oderwać oczu od sceny. To już nie była Olga Wołoszyna, weszła na scenę autentyczna Lubow Jarowaja, żeby iść aż do końca trudną, krwawą, ale radosną drogą do swych prawdziwych towarzyszy.

Aktorka nie słyszała, czy były oklaski na widowni, to nie miało teraz żadnego znaczenia. Wiedziała, jaką siłą emanowała stworzona przez nią postać. To wyczuwa się od razu, po pierwszych słowach aktora, po pierwszych oddechach widowni.

Reżyser, patrząc z łoża na grę Wołoszyny, powiedział do dyrektora teatru:

— Nie wiem, co zmieniło się w życiu Olgi Borysony w czasie pracy nad tym przedstawieniem, ale gra po prostu cudownie.

Reżyser był mądrym i utalentowanym człowiekiem i wiedział, że ludzie z nieczystym sercem, ze zmałym sumieniem nie potrafią stworzyć prawdziwych postaci bohaterów, którzy walczyli, cierpieli i ginęli za idee komunizmu. I nawet dyrektor, stary już i doświadczony człowiek teatru, który często zapewniał, że wie o swoich aktorach wszystko, pokiwał tylko głową nie znajdując słów odpowiedzi.

Po przedstawieniu, gdy przebrzmiały oklaski i maszynista, który ze dwadzieścia razy podnosił i opuszczał kurtynę, mógł nareszcie otrzeć pot z czoła — sportowcy czekali w teatrze na Olgę. Odprowadzili ją pod sam dom, niosąc wszystkie ofiarowane jej tego wieczoru kwiaty.

Wołoszyna rozmawiała, żartowała, śmiała się, a jej serce przepelniała miłość do tych wzruszająco prostych dziewcząt i chłopców.

— Tak się na początku bałam... — szepnęła jej Olga Korszunowa.

— Ja też — odpowiedziała szeptem Wołoszyna, jakby zwierając jej wielką tajemnicę, i zaśmiała się dźwięcznym, szczęśliwym śmiechem. — No, a teraz wszyscy spać! — zawołała, kiedy kwiaty pojechały windą na górę. — Jutro Berlin!

Tibor Szabo siedział na trybunie i patrzył na boisko, gdzie zjawili się już pierwsi sportowcy. Na szarych ławkach w kilku miejscach ulokowały się grupy młodzieży; to drużyny poszczególnych krajów czekały na trening, przyglądając się przyszłym przeciwnikom.

Mary Garden usiadła w pobliżu Tibora. Obok niej zjawił się jakiś Hindus w złotym turbanie. Uprzejmy, powściągliwy Anglik przeprosił i usiadł przed Tiborem na niższej ławce. Z lewej strony zajęli miejsca dwaj Francuzi i Włoch, smagli, czarnoocy, szybko rozmawiając i żywo gestykując.

Przez chwilę sąsiedzi Tibora milczeli, spoglądając na boisko lub dyskretnie obserwując się wzajemnie. W pewnej chwili Mary Garden zwróciła się do Tibora.

— Czy może mi pan objaśnić, co to takiego jest? — spytała, podając mu arkusz papieru, zadrukowany w połowie jakimś tekstem.

Była to odezwa do młodzieży, wzywająca do walki o pokój — członkowie Związku Wolnej Młodzieży Niemieckiej rozdawali ją wszystkim sportowcom.

Pytanie Mary Garden wzbudziło zainteresowanie sąsiadów Tibora, którzy z ciekawością na niego spojrzeli.

— Co mam zrobić z tym papierem? — spytała znów Mary Garden.

— Jeśli pani chce, to proszę podpisać i wrzucić do skrzynki przy wejściu na stadion.

— Można przeczytać?

— Proszę bardzo — Mary podała odezwę Francuzom.

— „Nie chcemy wojować. Niech żyje przyjaźń i pokój!” — kończył Francuz. — Bardzo słusznie. Pozwoli pani, że podpiszę? — zwrócił się do Mary Garden.

— Proszę bardzo — wzruszyła ramionami.

Francuz złożył swój podpis pod odezwą, jego kolega też.

— Jakie to ma praktycznie znaczenie? — spytał Anglik.

— Gdy młodzież całego świata powie „Nie!”, wówczas wojny nie będzie — odpowiedział Tibor.

— To prawda — rzekł Hindus, wydobywając głos jakby z głębi gardła, i wzięwszy z rąk Francuza odezwę też ją podpisał.

— Pani pozwoli i mnie podpisać? — spytał Tibor.

— Zdaje mi się, że nie jestem uprawniona ani do tego, żeby pozwalać, ani też zabraniać — odpowiedziała dziewczyna zmieszana.

— Proszę się tym nie przejmować — Tibor wyraźnie napisał swoje nazwisko.

— Proszę dać i mnie — rzekł oschle Anglik; wziął odezwę, uważnie przeczytał i podpisał. — Wszystko się zgadza.

Wówczas Włoch zrozumiał, że został już tylko on, spojrzał więc na Mary jakby z pretensją i też podpisał odezwę.

Arkusze papieru z sześcioma nazwiskami leżał na pomalowanej na szaro ławce, Mary Garden nie mogła oderwać od niego oczu. Na jej bladej twarzy pojawiły się czerwone plamy. Nie miała odwagi spojrzeć na swoich sąsiadów. Jej dłoń powoli przesuwiała się do długopisu, ale nagle cofnęła się i zacisnęła w pięść.

— Jeśli to podpiszę, nie mam po co wracać do Ameryki — powiedziała, jakby prosząc o przebaczenie, potem wstała i odeszła.

Nikt nie odrzekł ani słowa, wszyscy dobrze ją rozumieli.

Stosunek do odezwy podzielił sportowców na dwa obozy.

— Młodzież nie powinna zajmować się polityką — mówili jedni.

— Dlaczego odmawia się nam prawa udziału w wyznaczaniu losów świata, skoro od tego zależy nasza przyszłość? — zapytywali inni.

Wśród rozmów i sprzeczek upłynęły ostatnie treningi. Sportowcy wzajemnie śledzili swoje wyniki, niekiedy z zazdrością lub zawiścią, to był wstępny etap igrzysk, każdy chciał, rzecz jasna, wygrać.

Związek Wolnej Młodzieży Niemieckiej zaproponował urządzenie na stadionie po zakończeniu igrzysk wiecu poświęconego obronie pokoju. Zaproszono do udziału wszystkich sportowców. Generał Stanley dowiedział się o tym jako jeden z pierwszych. Zaniepokojony wezwał Shillinga.

— Czy pan wie, że po zakończeniu igrzysk ma być zorganizowany wiec?

— Wiem.

— Mam nadzieję, że pan przedsięwziął już odpowiednie środki?

— Oczywiście. Wieczorem odbędzie się odprawa tych kierowników drużyn z poszczególnych krajów, na których możemy liczyć. Dostaną polecenie, by absolutnie zabronili członkom swoich drużyn udziału w tym wiecu.

— Dobrze, ale to jeszcze nie wszystko. Wiec odbędzie się, z nami czy bez nas. To jasne. Trzeba tylko spowodować, żeby z wiecu w obronie pokoju zamienił się w manifestację amerykańskiego sposobu życia.

— Tego zrobić nie mogę. Na sporcie się znam, ale w sprawach wyższej polityki jestem dyletantem.

— Wiem o tym — odpowiedział Stanley — i zajmę się tym sam. Ale pan powinien dostarczyć mi przekonujących argumentów: nasza drużyna musi odnieść całkowite zwycięstwo. Musi zaprezentować się tak, że-

by Rosjanie zupełnie zbledli przy naszych chłopcach i żeby przewaga amerykańskiego sportu była widoczna dla wszystkich, nawet dla komunistów.

Twarz Shillinga wydłużyła się. Po obejrzeniu dziś na stadionie trenujących sportowców radzieckich miał poważne wątpliwości co do amerykańskiej przewagi.

— Muszę stwierdzić, że oni, niestety, są bardzo silni.

— Mnie to nie obchodzi. Zwycięstwo być musi i basta! — powiedział Stanley podniesionym głosem. — Tam gdzie jesteśmy słabsi, trzeba puścić w ruch pieniądze. Może pan przekupić nawet wszystkich.

— Sportowców radzieckich nie da się kupić, pan wie o tym dobrze — westchnął Shilling.

Stanley zaklął, jakby potknął się o ostry kamień.

— A o innych metodach pan nie pomyślał?

— Pomyślałem. Zabrałem z sobą odpowiednich specjalistów, którzy pomogą nam zwyciężyć.

— A teraz może pan już iść. I proszę pamiętać, że za wszystko odpowiada pan!

Shilling opuścił gabinet Stanleya w bardzo kiepskim nastroju. Przeklinał teraz dzień, w którym podjął się tego zadania. Co prawda sporo na tym zarobił, ale w Ameryce wydawało się to o wiele łatwiejsze.

Wyjął notes i chyba po raz setny zaczął obliczać, w których konkurencjach Amerykanie mają szanse na zwycięstwo. Wynik tych obliczeń nie był pocieszający. Na wieczornej odprawie będzie można oczywiście przekonać niektórych kierowników drużyn o konieczności ustąpienia pierwszych miejsc Amerykanom. Ale co zrobić z Rosjanami? A przecież chodzi nie tylko o nich, bo przy ich boku stoją solidarnie i Chińczycy, i Czesi, i Węgrzy, i Rumuni, i Polacy, i Albańczycy, i nawet ci przekłeci Niemcy z NRD, którzy są po stronie tych, co ich zwyciężyli.

Zapomnieli już, jak ich Rosjanie prali. Zaprzyjaź-

nili się z nimi! To szczególnie złościło Shillinga. I każdy z tych krajów będzie się starał sprzątnąć Shillingowi jedno lub dwa pierwsze miejsca. Co jest, do cholery?! W ten sposób mogą rozdziobać po kawałku całe zaplanowane zwycięstwo Amerykanów! A najgorsze, że nawet dolary są tu bezsilne.

Shilling znów zaczął studiować swój notes. Na pierwszym miejscu w wykazie miał bieg na sto metrów kobiet. No, tu nie mogło być żadnej wątpliwości. Eryka i Mary nie oddadzą złotych medali nikomu! Ale co dalej?

W tym czasie generał Stanley chodził nerwowo po swoim gabinecie i intensywnie myślał, jakby zmienić charakter wiecu lub też w ogóle zerwać go. Trzeba przygotować takie wystąpienie, które zaćmiłoby wszystkie inne. Jego umysł, wykazujący dużą sprawność w organizowaniu różnych międzynarodowych intryg i kombinacji, tym razem go zawodził. Na jałowych rozmyślaniach upłynęło chyba pół godziny. Wreszcie Stanley nacisnął guzik, wezwał adiutanta.

— Proszę się dowiedzieć o zdrowie Henri Chartina.

— Rozkaz! — adiutant stuknął obcasami i zniknął.

Stanley wznowił swą wędrówkę po gabinecie.

— Henri Chartin już wyzdrowiał. Zamierza wracać w niedzielę do domu — zaraportował po chwili adiutant.

— Gdzie on teraz jest?

— Przeniósł się już ze szpitala do hotelu „Ritz”.

— Proszę przygotować samochód.

— Czy mam jechać z panem, panie generale?

— Nie, proszę zostać tu. Wrócę za pół godziny.

Stanley wyszedł.

Ostatnie miesiące były dla Chartina straszne.

Gdy Stanley dowiedział się o jego chorobie, spytał:

— Umrze?

- Jest nadzieja na uratowanie.
- Kiedy będzie mógł zacząć pracować?
- Nie wcześniej niż za pół roku.
- No i czort z nim.

Przez pół roku generał Stanley mógł nie zawracać sobie głowy Chartinem. Potrzebni mu są działacze aktywni, a nie znakomite półtrupcy.

Chartin odzyskał przytomność dopiero w szpitalu. Nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje. Ciemny, mały pokój przypominał raczej więzienie niż szpital.

Skrzypnęły drzwi. Weszła pielęgniarka, stara, siwa kobieta.

— Odzyskał pan przytomność? — spytała z profesjonalną obojętnością. — To dobrze. A myśmy już myśleli, że trzeba będzie zamawiać trumnę.

— Pani jest bardzo łaskawa — powiedział Chartin.

W tym momencie powróciła pamięć o wszystkich ostatnich wydarzeniach, poprzedzających jego chorobę, i to najstraszniejsze: śmierć Charlesa. Świadomość znów zaczęła się mącić.

Lekarz, który przyszedł następnego dnia rano, obmacał go bezceremonialnie, osłuchał, przepisał leki, nakazał leżeć nieruchomo. Drugiego dnia kazał powtórzyć leki, zabronił czytać gazety i znów poszedł. I tak w ciągu dwóch miesięcy Chartin oglądał tylko jego i starą pielęgniarkę. Ranek, dzień, wieczór i noc były tak monotonne jak codzienne stereotypowe pytania lekarza.

A tymczasem prasa paryska pisała o śmierci jego syna, wyrażając ojcu współczucie, oraz o chorobie pisarza, który oczywiście nic o tym nie wiedział. Leżał samotny i odnosił wrażenie, że świat zapomniał już o nim na zawsze.

W te długie, nieskończenie długie dni ciągle tylko myślał, myślał, myślał... W wyobraźni przewijały się



obrazy z niedawnej przeszłości. Cykanie zegara w korytarzu kojarzyło się z rytmem kroków „sportowców” na stadionie „Olimpia”. Po chwili zjawił się inny stadion, jeszcze nie zbudowany, gwarny, wesoły. Nigdy nie zapomni dwóch godzin tam spędzonych. No, a później przyszła wiadomość o śmierci Charlesa.

Silny organizm przemógł jednak wszystko. Z każdym dniem pisarz czuł się coraz lepiej i pewnego dnia lekarz pozwolił mu usiąść na łóżku. Następnego dnia przeszedł się już po pokoju, a później pozwolono mu wyjść na podwórze, gdzie rosło kilka zielonych kasztanów. Siedzieli pod nimi chorzy w jednakowych w całych Niemczech niebiesko-białych piżamach.

Ale powrót do zdrowia nie przyniósł pisarzowi radości. Byłoby lepiej, gdyby wtedy umarł, nie odzyskując przytomności. Zbyt bolesne były jego myśli, zbyt męczące rozterki. Po co powracać do życia, skoro zupełnie zagubił się w nim i nie wie, jaką kroczyć drogą, żeby żyć godnie i uczciwie.

Wreszcie wypisali go ze szpitala. W pokoju przyjęć włożył swój stary garnitur — musiał o trzy dziurki ściągnąć pasek u spodni. Ale dotyk znajomej odzieży był przyjemny. Poczuł zapach używanej przez siebie wody kolońskiej i pomyślał: „A może wszystko jeszcze powróci?” Nie, daremne nadzieje: nikt i nic już nie przywróci życia jego synowi Charlesowi Chartin...

Wrócił do hotelu, do tego samego numeru. Trzeba z tydzień odpocząć, a potem wracać do Paryża. Ale świadomie zwlekał z wyjazdem, obawiał się powrotu do domu, w którym każda deska w podłodze przypominać mu będzie syna. Poza tym miał tu spokój, tu, w Berlinie, wszyscy o nim zapomnieli.

Tym bardziej zdziwiło go przybycie generała Stanleya, który jak zwykle irytował swą hałaśliwą wesołością. Wypytywał pisarza o zdrowie, zapewniał, że na

jego polecenie szpital codziennie informował go o jego stanie i tylko nawał spraw wagi państwowej nie pozwolił mu na wcześniejsze odwiedzenie drogiego mistrza. Chartin nie od razu zorientował się, jaki jest cel tej wizyty, wiedział jednak na pewno, że generał nie przybył do niego po to, by wyrazić swą radość z powodu powrotu pisarza do zdrowia.

— U nas w Berlinie, we wschodnim sektorze, rozpoczynają się światowe igrzyska studenckie — powiedział Stanley obojętnie.

— To zapowiada się na interesującą imprezę.

— Chciałby pan może tam pojechać?

Pisarz przypomniał sobie swą pracę na stadionie i przecząco pokiwał głową.

— Takie emocje już chyba nie dla mnie. Więc zdążyli jednak zbudować ten stadion?

— Tak, zdążyli. Ale tam odbędą się nie tylko igrzyska sportowe. Na zakończenie ma być wielki wiec.

— To mnie zupełnie nie interesuje.

— Rozumiem pański stan i współczuję panu z całego serca. Ale mimo wszystko chciałbym pana poprosić o zabranie głosu na tym wiecu — powiedział generał uprzejmym, ale stanowczym tonem.

— A o czym miałbym tam mówić?

— Oni będą głądzić o pokoju, a pan powie dobre słowo o Amerykanach i Anglikach, którzy wyzwolili Europę. Po prostu przedstawi pan w popularnej formie ideę pańskiej sztuki, którą już teraz grają z dużym powodzeniem w całym cywilizowanym świecie.

Chartin zamyślił się, patrząc na rozumną, pełną twarz generała. Stanley milczał również, wiedząc, że sprawa jest zbyt poważna, by można było pisarza pognąść. Jeśli Chartin wystąpi, a na trybunach podtrzymają go dwa-trzy tysiące członków „Teutonu”, to wiec przybierze zupełnie inny charakter.

— Dobrze — nieoczekiwanie szybko zgodził się Chartin, co przeszło najśmielsze nawet oczekiwania generała. — Wystąpię na tym wiecu.

— Jeśli panu za ciężko przygotować przemówienie, chętnie pomożemy — powiedział ostrożnie generał, nie wiedząc, jak pisarz ustosunkuje się do takiej propozycji.

— Będę panu bardzo wdzięczny — odrzekł spokojnie Chartin, patrząc na ścianę. — Im szybciej otrzymam ten tekst, tym lepiej.

— Zawsze byłem głęboko przekonany o pańskim patriotyzmie, panie Chartin! — zawołał wesoło Stanley, który był nawet z lekką rozczarowany, że ta delikatna misja poszła tak gładko. Okazuje się, że tego Chartina można używać do różnych spraw, trzeba to w przyszłości wziąć pod uwagę. Tylko na drugi raz już sam nie będzie się trudził, wystarczy przekazać Chartinowi polecenie przez adiutanta.

— Kiedy wraca pan do Paryża? I kiedy będzie gotowa nowa pańska sztuka? — spytał jeszcze na pożegnanie.

— Zamierzałem jechać w niedzielę, ale teraz muszę oczywiście przełożyć termin wyjazdu o trzy dni. A sztukę ukończę chyba jesienią.

— Wspaniale! — generał klepnął Chartina po ramieniu. — Zuch z pana, Chartin, jestem szczęśliwy, że mogłem zobaczyć pana w takiej dobrej formie. Życzę powodzenia. A tekst przemówienia otrzyma pan jutro. Do widzenia!

I generał wyszedł, pozostawiając po sobie zamęt i woń mocnego tytoniu virginia. Chartin nie wstał z fotela, by go odprowadzić, tylko długo patrzył na zamknięte za nim drzwi.

Tego samego dnia odwiedzili go jeszcze inni goście. Przyszło do niego dwoje młodych ludzi, chłopiec i

dziewczyna, mieli chyba po osiemnaście lat. Chartin sądził początkowo, że to jakaś pomyłka, bo nie znał nikogo w Berlinie w tak młodym wieku. Ale oni przyszli właśnie do niego.

— Przynieśliśmy panu znaczek Budowniczego Stadionu Pokoju — zaczęła dziewczyna — i chcemy pana zaprosić na Światowe Igrzyska Studenckie.

Chartin był zaskoczony, wyglądał trochę zabawnie z opuszczoną dolną szczęką. Mógł spodziewać się wszystkiego — trzęsienia ziemi, Sądu Ostatecznego, wybuchu wojny — tylko nie tego zaproszenia.

— Ależ ja nie jestem żadnym budowniczym stadionu — rzekł po chwili zakłopotania.

— Na zaproszeniu pisze, kiedy pan tam pracował — powiedziała dziewczyna.

— Muszę panu wszystko wyjaśnić, panie Chartin — wtrącił się do rozmowy chłopak. — Kiedy poinformował pan towarzysza Richarda Bauma, że jest pan z Paryża, pańska twarz wydała mu się skądś znajoma. A potem, kiedy w prasie pojawiły się w związku z chorobą pańskie fotografie, Baum nie miał już wątpliwości. Jeśli to pomyłka, prosimy o przebaczenie, ale i w tym wypadku zapraszamy pana na igrzyska.

I co tu odpowiedzieć? Odmówić? Jakoś niezręcznie i nieuprzejmie. Przyznać się? Też niezręcznie. Ale dlaczego niezręcznie? Czy coś ukradł albo kogoś zabił?

— Dziękuję za zaproszenie. Rzeczywiście przestawiałem na stadionie kołki wbijane w ziemię, pomagając jakiemuś studentowi w pomiarach. Jeśli to nazywa się pracą, to istotnie pracowałem dość zawzięcie...

Uśmiechnął się z łagodnym smutkiem. Czuł się bardzo dobrze w towarzystwie tych młodych, naiwnych, trochę zmieszanych gości.

— Czy po igrzyskach odbędzie się wiec?

— Tak — odpowiedziała dziewczyna. — Wiec poświęcimy walce o pokój.

— Ile ma pani lat?

— Osiemnaście — dziewczyna zarumieniała się, bo dodała sobie jeden rok.

Chartin spojrział na nią z wyrozumiałym niedowierzaniem.

— To znaczy wnet ukończę osiemnaście — poprawiła się.

— Tak też myślałem — powiedział pisarz i długo patrzył na znaczek. Nad owalem stadionu powiewał sztandar, na którym na tle kuli ziemskiej umieszczono książkę i płonącą pochodnię; pod sztandarem widniała postać sprintera przerywającego taśmę na mecie. Znaczek z metalu i emalii zrobiony był z dużym smakiem.

Dziewczyna i chłopiec odczuwali coraz większe zmieszanie, ale pisarz wciąż nie przerywał milczenia, wpatrując się z pogodnym uśmiechem w znaczek.

— A więc chcecie pokoju? — przemówił wreszcie.

— My nie tylko chcemy — odpowiedziała zdecydowanie dziewczyna. — My żądamy pokoju i walczymy o niego. Na pańskim miejscu pomogłabym.

Chartin znów się uśmiechnął.

— Dobrze. Bardzo dziękuję za znaczek i zaproszenie. Jeśli zdrowie mi pozwoli, to przyjadę na pewno. I poproście pana Bauma, żeby do mnie zadzwonił, mam do niego pewną sprawę.

Twarze gości jaśniały radością, nie oczekiwali aż tak pozytywnego rezultatu swej wizyty. A kiedy wyszli, Chartin przypiął znaczek do klapy marynarki i spojrział w lustro. Stary, wychudły, siwy człowiek... Chyba już niedługo pociągnie... Ale ta myśl go nie przerażała. Spojrzął raz jeszcze na znaczek, uśmiechnął się smutno, zdjął go i położył ostrożnie na biurku.

Ale w Berlinie nie tylko Chartin myślał o zrujno-

wanym mieście, nowym stadionie i zbliżających się igrzyskach. Tom Hurkness wraz z Johnem Heavisidem i kapitanem amerykańskiej drużyny koszykówki Henry Shortem chodzili ulicami Berlina, oglądając jego ruiny. Niemal dla wszystkich Amerykanów wojna ciągle była jeszcze trudną do skonkretyzowania abstrakcją. Oczywiście oglądali w kinach walki i bombardowania, ale filmy te nie pozostawiały śladu, kiedy po ich obejrzeniu można było spokojnie wrócić do domu nie zaciemnioną ulicą i położyć się spać na czystym prześcieradle. Nawet nie wszyscy żołnierze amerykańscy znali prawdę o wojnie, przecież w walkach z wojskami hitlerowskimi armia amerykańska utraciła dokładnie tylu ludzi, ile ginie corocznie na autostradach Stanów Zjednoczonych w wypadkach samochodowych.

Niemal siedem lat upłynęło od tego dnia, kiedy Hitler w dusznych podziemiach opancerzonego bunkra, odgradzony od świata bryłami betonu czterometrowej grubości włożył do ust ampułkę z trucizną. Już dawno skończyła się wojna, dawno nie słyhać nad niemiecką stolicą wyjącego dudnienia ciężkich bombowców, nad szerokimi ulicami zalega cisza i spokój — a jednak nie sposób nie myśleć tu o wojnie. Wszędzie potworne ruiny porośnięte zieloną trawą. Wysokie ściany z oczodołami wypalonych okien wyciągają się w niebo w jakimś niemym, strasznym przekleństwie. Ruiny te rozciągają się na przestrzeni wielu kilometrów prawie we wszystkich dzielnicach. Wzrok nigdzie od nich nie może odpocząć, wszędzie szerniałe, zwisające kawałki betonu, zapyłona cegła, a nad tym wszystkim wybujały chwast i trawa, które wyglądają tu absurdalnie, jakby te ruiny zjawily się w Berlinie właśnie po to, by mogła porastać je bujnie ta zuchwała zieleń.

Początkowo Amerykanom dopisywał humor, śmiali się i żartowali, ale wraz z przemierzonymi kilometra-

mi coś zaczęło ich dręczyć, rozmowa nie kleiła się, a potem szli już w ponurym milczeniu, źli, nie wiadomo na co i na kogo. Starali się więc jak najszybciej wydostać z tego labiryntu ruin. Odetchnęli z ulgą dopiero na odbudowanej już Kurfürstendamm, gdzie tylko wysoka, spalona wieża Gedächtniskirche przypominała o wojnie. Ale myśli o straszliwych zniszczeniach i cierpieniach, które niesie ona ludzkości, nie opuszczały już teraz chłopców. Mimo woli przymierzali te obrazy do Ameryki, do Nowego Jorku, do jego wieżowców.

— Jak to dobrze, że Stany Zjednoczone są tak daleko — zauważył Henry Short. — Wiecie, że mnie zaczęło mdlić od tych widoków. I patrzcie, wojna już dawno się skończyła, a od ruin ciągle jeszcze zalatuje jakimś trupim odorem. Okropne!

— No, do nas to nigdy się nie dobiorą — powiedział Heaviside, jakby kontynuując myśl Shorta. — A my ich mamy na wyciągnięcie ręki.

— Od nas do nich jest taka sama odległość, jak od nich do nas — zauważył Hurkness.

— Nie zgadzam się z tobą — zaproponował Heaviside. — My siedzimy sobie spokojnie za Atlantykiem jak u Boga za piecem. A za nasze pieniądze znajdziemy wielu chętnych do wojowania.

— Jeśli już dojdzie do wojny, to cię żaden piec nie uchroni — powiedział Short w zamyśleniu.

Zamilkli. Zbyt wyraźnie rysowały im się przed oczyma obrazy ruin i strach było nawet pomyśleć, że coś podobnego mogłoby się stać w Ameryce. Nie, to niemożliwe, niedopuszczalne nawet w myśli.

— Mamy niepełny obraz Berlina — powiedział nagle Hurkness. — Proponuję wrócić do hotelu, zabrać kostiumy i pójść na stadion. Nie zaszkodzi wcześniej zapoznać się z boiskiem i przyszłymi przeciwnikami.

— Ale musielibyśmy iść przez radziecki sektor —

przeraził się Heaviside. — Shilling ostrzegał, żebyśmy się tam nie włóczyli. Po tych bolszewikach można różnych rzeczy się spodziewać, porwą cię jeszcze i potem szukaj wiatru w polu.

— Jakoś nie bardzo się boję — zaśmiał się Hurkness. — Nie wyobrażam sobie, żeby nas z Shortem mogli ukraść. A chociaż raz trzeba przecież przejść się przez cały Berlin. O czym będziemy opowiadać w domu, jeśli nie zobaczymy wszystkiego na własne oczy.

— Racja — poparł go Short.

— Zgoda, ale jestem przekonany, że nie zobaczymy nic ciekawego — odezwał się Heaviside — chociaż Shilling bardzo nalegał, żebyśmy tam nie chodzili. A więc chyba trzeba pójść. Tylko warto by wziąć jeszcze na wszelki wypadek kilku chłopców...

— Ciągle jeszcze się boisz, żeby cię bolszewicy nie porwali?

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — zauważył Heaviside i Hurkness pomyślał, że istotnie lepiej zabrać więcej chłopaków, po prostu dla dobrego samopoczucia.

Wyszli z hotelu już w dziesięciu. Długoreki, niezgrabny Gilkes też poczłapał za nimi, chociaż wyraźnie nie miał na to ochoty.

W sektorze wschodnim było ruin nie mniej niż w zachodnim. Tu też nowe domy sąsiadowały z rozbitymi, gładki asfalt — z dziurami i lejami po pociskach i bombach.

Szli w milczeniu, bojąc się rozpoczynać rozmowę, która nabrzmiwała już w nich jak burza w upalny dzień czerwcowy. Bardziej czy mniej świadomie każdy ze sportowców może po raz pierwszy w życiu zaczął zastanawiać się nad sprawami, o których w domu nigdy nie myślał. Tam, w Nowym Jorku, gdzie wrzynający się iglicą w niebo Empire State Building\* stoi taki sil-

\* najwyższy wieżowiec w USA (przyp. tłum.)



ny i niewzruszony, iż wydaje się, że żadna siła nie mogłaby go zachwiać, te myśli, które osaczyły ich tu, w Berlinie, wydawałyby się tam wręcz absurdalne. Tu jednak, gdzie obuwie szybko czerwienieje od ceglanego pyłu, a ubranie przyprószone jest wapnem wałących się ścian — mimo woli myśli się o Nowym Jorku, o własnym mieszkaniu, o pozostawionych tam bliskich... Przecież tu, gdzie są te ruiny, też żyli ludzie, śmiali się, kochali, snuli nadzieje i marzenia...

Każdy z nich chciałby usłyszeć teraz zapewnienie, że tam u nich, w Stanach Zjednoczonych, coś takiego byłoby niemożliwe. Ale takiej gwarancji nikt nie mógł im dać, więc szli w kierunku nowego stadionu w przygnębiającym milczeniu.

— Już nigdy więcej nie pojedę do Berlina — powiedział Henry Short. — Jestem tym wszystkim wstrząśnięty.

— Nie ma się czym przejmować — odparł Gilkes. — Podczas bombardowań nikt nie zginął, bo hitlerowcy zbudowali jeszcze przed wybuchem wojny wiele solidnych schronów przeciwlotniczych.

Tom Hurkness skrzywił się, tak głupio zabrzmiały słowa Gilkesa w obliczu tych ciągle tu jeszcze widocznych i obecnych śladów śmierci i zagłady.

— Kim ty właściwie jesteś? — spytał go.

— Nazywam się Gilkes.

— O tym to wiem. Ale po coś ty z nami przyjechał? W jakiej dyscyplinie sportu masz wystąpić?

— W zasadzie jestem bokserem, ale gram też niezłe w koszykówkę i możliwe, że poratuję również waszą drużynę.

— Chronź nas panie Boże przed takimi pomocnikami — rzekł Hurkness, mierząc z wysoka Gilkesa.

Doszli wreszcie do stadionu. Nad udekorowaną główną bramą powiewały w ciepłym wietrze flagi pięćdzie-

sięciu dwóch państw. Amerykańskie gwiazdy i pasy falowały obok skrzyżowanego sierpa i młota.

— Pokój! Pokój! Pokój! — krzyczały we wszystkich językach plakaty, którymi przyozdobiony był olbrzymi stadion.

— Bardzo mi się to nie podoba — powiedział Gilkes. — Czuję się tak, jakbyśmy przyjechali nie na zawody sportowe, ale na wiec.

— To prawda — zgodził się Short. — Ale kto chce wiecować, to niech sobie wiecuje. My mamy wrzucać celnie piłkę do kosza, a reszta mnie nie interesuje.

Tom Hurkness patrzył na piękny stadion, ale ciągle stawały mu w pamięci ruiny Berlina i nie mógł pozbyć się podsuwanych mu natrętnie przez wyobraźnię obrazów bomb spadających na jego rodzinne miasto i walących się powoli, jakby od niechcienia, ścian wieżowców.

— Co z tobą, Tom? — Short potrząsnął go za ramię. — Wyglądasz tak, jakbyś już kilka dni nie widział piłki.

— Dzień dobry, przyjaciele! — usłyszeli nagle wesoły głos Richarda Bauma. — No, jak wam się podoba nasz stadion?

Twarz Bauma promieniała nie skrywaną, szczerą radością. Po zakończeniu budowy stadionu, kiedy zaczęli przyjeżdżać już pierwsi zawodnicy, Baum nie mógł ani na chwilę rozstać się ze swoim dziełem, wypytując wszystkich o ich zdanie i wrażenia. Mało ludzi wiedziało, kto jest architektem tej wspaniałej budowli, a sam Baum też nie dekonspirował się, z tym większą więc satysfakcją słuchał zachwyków i pochwał pod adresem anonimowego projektanta.

— Co słyszać, Baum? Jak się żyje?

Hurkness, Short i kilku koszykarzy witało się z Bau-

mem, z którym spotkali się i zaprzyjaźnili jeszcze w Szwecji.

— Wszystko, jak dotąd, idzie wspaniale — promieniał radością Baum. — Pojutrze otwarcie igrzysk. Podobają się wam nasz stadion?

— Tak, bardzo.

— Zwłaszcza kiedy przedtem pochodzi się po Berlinie...

— Głupstwo — powiedział Baum, poważniejąc nagle. — Wkrótce wszystko odbudujemy. Przygotowywane są już projekty... No, ale pomówimy o tym jeszcze przy okazji. Chcę wam teraz pokazać szatnie, nowy system natrysków.

Pokazywał im wszystko z dumą. Nie miał jeszcze w swoim życiu tak szczęśliwych dni jak obecne.

Hurkness wracał do hotelu już nie pieszo, lecz autobusem. Teraz ruin było jakby mniej, bo autobus jechał zaludnionymi, niemal zupełnie odbudowanymi ulicami, ale obrazy ze spaceru ciągle jeszcze go nękały. Tom był w podłym nastroju. Co prawda ojciec żyje na farmie, daleko od wielkich miast, może więc być spokojny, bo nikt nie będzie zrzucał bomb na pojedynczą farmę. Ale kiedy ogląda się Berlin, myśli się przecież nie tylko o starym Edwardzie Hurknessie. Trzeba myśleć o wszystkich Amerykanach. A co Tom Hurkness może dla nich zrobić? Nic. Może tylko napytać sobie biedy. No więc nie ma sensu męczyć się nad tymi przekłętymi problemami, i tak nic się nie wymyśli. W Białym Domu siedzi po to prezydent, żeby je rozwiązywać, niech więc on suszy sobie nimi głowę...

Tom zjadł kolację, położył się, ale samotność zaczęła mu dokuczać. Zszedł do holu. Siedziała tam tylko jakby czymś zasmucona Mary Garden. Przez dłuższy czas milczeli, każdy myślał o swoich sprawach. Wresz-

cie Mary poruszyła się, co Tom odebrał jako zachętę do rozmowy.

— Jakaś pani dziś smutna. Co panią tak zmartwiło?

— Własna podłość.

— To niemożliwe — zaśmiał się Tom.

— Wcale nie żartuję. Dziś na stadionie wręczali mi odezwę młodzieży, wzywającą do walki o pokój. I zaproponowali, żebym ją podpisała.

— No i co z tego?

— Odmówiłam.

— Słusznie pani postąpiła. Shilling by panią wykończył.

— Właśnie dlatego nie podpisałam. No, a teraz siedzę i pluję sobie w twarz. Zabrakło mi odwagi, mimo że zgadzam się z każdym słowem tej odezwy.

— O czym tam była mowa?

— Nic nadzwyczajnego. Tylko żądanie utrzymania pokoju. Proszę spróbować wystąpić z czymś takim u nas... A dlaczego im wolno o tym głośno mówić? Czy oni rzeczywiście pragną pokoju? To nie o to chodzi! Sami Rosjanie chcą przecież na nas napaść... W całej naszej prasie pisze się o tym...

Mary mówiła gorączkowo, w napięciu. Chciała się jakoś sama przed sobą usprawiedliwić. Tom obserwował ją w zamyśleniu, rozumiejąc, co teraz dzieje się w sercu dziewczyny.

— Wie pani, zwiedzaliśmy dziś Berlin — zaczął mówić cicho. — I czułem się tak, jakbym szedł przez olbrzymi cmentarz. Ciągle mam przed oczyma przerażające obrazy. Wyobrażam sobie, że tak samo mogłyby być zrujnowane nasze amerykańskie domy... Przedtem nigdy o czymś podobnym nie myślałem. Oczywiście my z panią nic na to nie możemy poradzić...

— Nie możemy? A jeśli podpiszę jutro tę odezwę?

— To Shilling odeśle panią natychmiast do Stanów

Zjednoczonych, a tam już znajdują dla pani miejsce. W każdym razie nigdy już nie wyjedzie pani za granicę.

— Tak, to prawda — Mary tak samo szybko zgasła, jak się zapaliła. — Ma pan rację. Więc co robić?

— Jeszcze nie wiem, ale trzeba nad tym pomyśleć. Nie tylko my dwoje zastanawiamy się nad tymi sprawami. A jeśli bardzo dużo ludzi myśli jednakowo o tym samym, to muszą przecież znaleźć jakieś rozwiązanie.

— Zgadzam się z panem. I w związku z tym mam do pana prośbę: jeśli wpadnie coś panu do głowy, to proszę koniecznie mi o tym powiedzieć, bo czuję się tak, jakbym popełniła jakąś zbrodnię. Wiem przecież, że nie zrobiłam żadnego świństwa, a mimo to wstyd mi patrzeć ludziom w oczy.

— No, ale nie można przecież tak siedzieć z założonymi rękami. — Tom wstał z fotela i przeszedł się po holu. — My też nie chcemy, żeby na nasze domy padały bomby. Lepiej niech pani nie ogląda Berlina, ten ponury obraz zniszczeń będzie panią męczył przez całe życie...

Siedzieli obok siebie w milczeniu. Chyba po raz pierwszy z innej perspektywy popatrzyli na własne życie i własne pragnienia. Nie mieli jeszcze siły i odwagi wyłamać się z wpajanych przez całe lata pojęć, nie potrafili spojrzeć własnymi oczyma na wszystko, co dzieje się na świecie, nie umieli jeszcze określić swojej postawy. Ale zrodziły się już w nich wątpliwości co do prawidłowości i słuszności tego, co czytali w prasie, oglądali w telewizji, słyszeli w radio. A wraz z nimi narastał protest przeciw straszliwym, rujnującym wojnom. Chcieli coś zrobić, żeby już nigdy nie doszło do takich zniszczeń jak w Berlinie czy innych miastach, nie wiedzieli jednak, w co ma się przekształcić ich protest, jaki powinni mu nadać wyraz.

Kiedyś dowiedzą się, a teraz najważniejsze, że ludzie zaczynają odczuwać odpowiedzialność za to, co się dzieje na świecie.

Do holu wszedł Gilkes, spojrzął na siedzących nadal w milczeniu Toma i Mary. Gilkes posiedział przy nich trochę, ale widząc, że tamci nie są skłonni do rozmowy, odszedł powoli do swego pokoju.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Kiedy pociąg dojeżdżał do Berlina, Nina Sokił przez cały czas myślała o Ilonie Szabo. Jaka ona teraz jest? Czy wyszła za męża? O co chciała ją zapytać? Suche, powściągliwe listy tak niewiele mówią... Żeby już jak najszybciej zobaczyć się z nią! Byłoby wspaniale, gdyby zamieszkały w jednym hotelu.

Nina stoi w korytarzu. Obok Jaryna Honta zachłannie chłonie przepływający krajobraz. Po raz pierwszy jest za granicą i stara się wszystko zapamiętać, niczego nie przeoczyć. Może później, w zimie, napisze reportaż z tej podróży.

Jaryna i Nina bardzo się zaprzyjaźniły. W Moskwie przez cały czas trzymały się razem, razem chodziły, razem trenowały, spały na sąsiednich łózkach. Jaryna wiedziała już wszystko o Ilonie Szabo, też pragnęła ją zobaczyć, by się przekonać, czy rzeczywiście jest taka ładna. I chciałyby także bardzo wiedzieć, gdzie w NRD znajduje się to miasto, w którym Stepan Krotow zaznają niemieckich hutników z najnowsza metodą szybkiego wytopu stali. Ale o tym Jaryna nie powie nikomu, nawet Ninie. Wysłała już tam telegram. Nie bardzo liczyła na spotkanie, ale iskierka nadziei tli się w sercu.

Do okna podchodzi Sawa Pochitonow, staje obok dziewcząt.

— Bardzo schludnie prezentuje się to NRD — próbował zagać rozmowę.

Ale dziewczęta nie miały ochoty rozmawiać; tak przyjemnie marzy się pod rytmiczny stukot kół...

Do toalety przeszedł Wołodymyr Rusanow z nesese-rem w rękę i ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Nina nawet nie drgnęła, tak jakby go w ogóle nie dostrzegła. Wyszły też ze swojego przedziału Wołoszyna i Korszunowa, stanęły przy oknie i rozmawiały. Sawa chciał podejść do nich, ale Korszunowa spojrzała na niego jak na puste miejsce i chłopak zniknął w przedziale, zatraskując za sobą drzwi.

Pociąg zwalniał, już blisko Berlin. Zadudnił pod kołami pociągu most Karlhorsta i pojawiły się po obu stronach szyn ulice i domy przedmieść Berlina. Jeszcze kilka minut i pociąg wjechał na peron Dworca Śląskiego, okazałej budowli ze szkła i stali. Przyjechali!

Nina od razu dostrzegła na peronie niebieskie, pełne podnieconego oczekiwania oczy Ilony Szabo. Obok niej stał jakiś wysoki brunet. Nina wyskoczyła z wagonu, padły sobie z Iloną w objęcia. Nareszcie znowu się spotkały!

— To Sandor Kerekes — powiedziała nieco zmieszana Ilona po pierwszych słowach powitania.

— My się znamy — uśmiechnął się Kerekes, błyskając białymi zębami. — Spotkaliśmy się na poprzednich zawodach.

— Mieszkaliśmy w hotelu „Adlon”.

Nina odciągnęła przyjaciółkę na bok i spytała cicho:

— To twój narzeczony?

— Podoba ci się? — Ilona spojrzała na Ninę tak,

jakby od jej odpowiedzi zależało, czy wyjdzie za mąż za Kerekesa, czy też nie.

— Podoba — powiedziała Nina i chwyciła Jarynkę za rękę. — Poznajcie się. Jarynko, to właśnie Ilona!

W imieniu gospodarzy gości powitał Richard Baum, życząc im powodzenia. Karcew krótko odpowiedział na powitanie.

A teraz do hotelu odpocząć!

Ale ledwie Nina i Jaryna zdążyły ulokować się w małym pokoju, zjawiała się Ilona.

Początkowo krępowała ją obecność Jaryny, wnet jednak nabrała do niej zaufania i rozmawiała już całkiem szczerze.

— A jak tam na uniwersytecie? — spytała Ilona, zwracając się do Niny. — Pewnie same piątki?

Dziewczyna zmieszana się.

— W pierwszym półroczu nie bardzo mi szło, ale w drugim nadrobiłam zaległości. Miałam wiele różnych przykrości — powiedziała szybko, żeby zakończyć ten temat. — A co chciałaś nam powiedzieć? — spytała przyjaciółkę.

— Chodzi o to, dziewczęta — traktowała już Jarynę jak przyjaciółkę, chociaż ta nie odezwała się dotąd ani słowem — że Sandor chce, żebyśmy jak najszybciej wzięli ślub, ale ja nie mogę się w żaden sposób zdecydować.

— A dlaczego? — spytała Jaryna i zarumieniła się.

Nina spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

— Właśnie, dlaczego? Nie rozumiem, czego tu się bać. Jeśli się kochacie, to siężeńcie.

— A jeśli małżeństwo będzie mi przeszkadzać w nauce?

— Nie będzie.

Wszystkie trzy roześmiały się.



— Nie ma sensu czekać. Jeśli kochasz, wychodź za mąż i już — oświadczyła kategorycznie Jaryna. — Miłość ułatwia pokonywanie przeszkód. No i nie te czasy teraz na Węgrzech, żeby obawiać się trudności.

Ilona miała wiele pytań, wątpliwości i na wszystkie Nina z Jaryną znalazły odpowiedź. Długo prowadziły tę rozmowę, długo błąkał się po korytarzach „Adlonu” Sandor Kerekes, nie mogąc znaleźć sobie miejsca: Ilona znikła!

— Gdzie twoja siostra? — spytał groźnie Tibora, którego spotkał w korytarzu.

— Siedzi u Niny Sokił. Naradzają się, czy ma wyjść za mąż za takiego matoła jak ty, czy też dać ci kosza, jak zasługuje na to facet z taką głupią miną.

Tibor mówił to tonem pozornie niedbałym, wyczuwało się w nim jednak jakieś rozdrażnienie. To zrozumiałe: do siódmej pozostała jeszcze cała godzina, a minuty ciągną się, jakby były z gumy. A o siódmej... O siódmej na stacji Friedrichstrasse zjawi się Eryka!

O pół do siódmej był już na peronie. Przyszedł jeden pociąg, drugi — nie ma. Już siódma. A więc spóźnia się. A jeśli w ogóle nie przyjedzie? Mogło jej coś przeszkodzić.

— Tibor! — doleciał go nagle głos Eryki. — Tibor!

Odwrócił się, zniknęły wszystkie wątpliwości, zniknęło zdenerwowanie: trzymał już Erykę w objęciach! Była niesłychanie piękna, jeszcze piękniejsza niż w jego marzeniach.

— Co robisz, Tibor, ludzie patrzą! — próbowała wyrwać się z jego objęć.

— No to co z tego? — opamiętał się szybko. — Chodźmy stąd.

Chwycił dziewczynę za rękę, zbiegli schodami w dół do taksówki.

— Hotel „Adlon”. — rzucił kierowcy, zatrzasnąwszy drzwi.

Gdy usiedli za palmą w kącie holu, Tibor rzekł tonem ni to prośby, ni rozkazu. — A teraz opowiadaj o swoim życiu, o Ameryce, o wszystkim...

— Chcę mówić tylko o tobie. Do Ameryki już nie wrócę. Tak, nie wrócę, nawet gdybym zrywając kontrakt miała za to odsiedzieć w więzieniu. Przynajmniej wiedziałabym, na ile lat mnie posadzili, a tam gorzej niż w więzieniu, bo nie wie się, jak długo to potrwa.

— Dopóki będziesz mogła ustanawiać rekordy.

— Tak. Widziałam już sportowców, którzy wyszli z obiegu. Jak wyciśnięte cytryny, głodni, nieszczęśliwi, bez pracy! Nie, nie powrócę tam! To nie sport, to zbrodnia...

Nagle przypomniała sobie swój udział w machinacjach Shillinga, zarumieniła się i urwała.

— Dlaczego zamilkłaś?

— To nic, głupstwo... Tęskniłeś za mną?

— Strasznie. A już tam, na peronie, to myślałem, że się ciebie nie doczekam.

— Ja też bardzo tęskniłam, bardzo...

Pocałowali się ukradkiem. Przez hol przeszedł Sandor Kerekes, nie zauważył ich jednak.

— Chodźmy do mnie — powiedział Tibor. — Tu nawet porozmawiać spokojnie nie można.

— Chodźmy — Eryka nie bała się już teraz niczego i nikogo na świecie.

Tibor mieszkał w jednym pokoju z Iloną, ale wiedział, że siostry teraz nie ma. Niewiele już teraz mówili. Eryka pierwsza się opamiętała.

— Siadaj, już dość pieśzcot. Chcę ci powiedzieć coś bardzo ważnego, ale musisz przysiąc, że mnie nie zdradzisz.

Tibor, żartując, ukląkł na jedno kolano i podniósł w górę rękę.

— Przysięgam!

— Zaraz odechce ci się żartów.

— Niepokoisz mnie...

— Nie zamierzam cię niepokoić, ale sprawa jest bardzo poważna. Muszę się cię poradzić. Tam, w hołu, nie mogłam wszystkiego mówić, za wiele ludzi się kręci...

— Jeszcze nigdy tak ze mną nie rozmawiałaś...

— To prawda. Otóż stoję teraz przed wielką próbą, muszę zdecydować o dalszym moim życiu, bo niemożliwe żyć tak jak dotychczas. Poweźmę decyzję wprowadzie nie natychmiast, ale na pewno tu, w Berlinie. Pomożesz mi?

— Z radością.

— Najpierw pozornie drobne, ale bardzo ważne ostrzeżenie. Otóż w drużynie koszykówki, jaką przywiózł tu Shilling, przeważają wprowadzie studenci, reszta jednak nie bardzo nawet wie, co to takiego collège. Ale jest sprawa poważniejsza. Shilling nie jest pewny ich zwycięstwa i dlatego przywiózł z sobą Gilkesa...

— Kto to jest?

— Pełni w naszej drużynie podwójną funkcję. To na pewno agent Federalnego Biura Śledczego, ale agent głupi, wszyscy od razu go rozszyfrowali. A druga jego specjalność to zawodowe łamanie kości. Wiem o tym z całą pewnością. Jest odpowiednio przeszkolony. Złatwia najgroźniejszych przeciwników tak, że żaden sędzia nie może się przyczepić. Proszę cię, żebyś uprzedził o tym Rosjan. Już mi stanął kością w gardle ten sport, w którym wszystko oparte jest na oszustwie. Napatrzyłam się na to dość w tym amerykańskim eldorado, nie chcę więcej...

— Jakoś nie mogę uwierzyć w to łamanie kości.

— Też nie wierzyłam, ale teraz mam do tego wszelkie podstawy. Wy tu w Europie jesteście żalonymi karzełkami w porównaniu z tymi rekinami, którzy działają w Ameryce. I jeśli nie ostrzeżesz radzieckich sportowców, to na meczu ZSRR — USA będą ofiary. Shillingowi kazano wygrać za wszelką cenę. On przed niczym się nie cofnie.

— A sami koszykarze? Przecież to nie są gapy.

— A co oni będą mogli działać? Trener wymieni zawodnika, wprowadzi na jego miejsce łamignata, który szybko zrobi swoje, i mecz potoczy się dalej.

— Jak ja cię strasznie kocham! — Tibor nieoczekiwanie objął Erykę.

— Zaczekaj, kochany. Muszę ci wszystko powiedzieć, dopóki nam nie przeszkadzają. Mam tam, w Ameryce, przyjaciółkę. Masażystka Lora Mikelaw. Jest teraz ciężko chora. Dawali jej za dużo dopingu... Chcę, żeby o losie Lory Mikelaw dowiedzieli się sportowcy na całym świecie. Przysięgłam jej, że to zrobię. Pomożesz mi?

— Oczywiście. Zamierzasz napisać artykuł na ten temat czy też może wystąpisz z tym na wiecu?

— Na stadionie?

— Tak, po igrzyskach odbędzie się wielki wiec.

— O tym wiecu jeszcze porozmawiamy. Wiem na pewno: będą próbowali go zerwać. Tu już nie Shilling decyduje, bo to płotka, ale sam Stanley.

Eryka na chwilę zamilkła. O planowanym zerwaniu wiecu powiedziała jej Berta Loch. Strach było myśleć o niej teraz, gdy patrzyła na ręce Tibora.

— Zaprosili pisarza Chartina, żeby wygłosił przemówienie, i on się zgodził. Będzie wychwalał Amerykanów, a potem na dany znak chłopcy z „Teutonu” zerwą wiec. Oni już wszystko dokładnie przygotowali.

Nie jestem pewna, czy zdążę wystąpić na wiecu i opowiedzieć wszystko o Lorze Mikelaw.

— Dlaczego ty mi to mówisz? Czy wiesz, jakie to dla ciebie niebezpieczne?

— Wiem. Ale nie mogę już dłużej milczeć. Nie mogę! Sport był dla mnie zawsze świątynią, a teraz stał się jakimś brudnym biznesem. Niekiedy sama sobą się brzydzę. A tak bardzo chciałabym być uczciwa i wychodzić na start z czystym sumieniem!

Tibor delikatnie objął dziewczynę i zamyślił się. Rozumiał ją doskonale i cieszył się, że Eryka ma takie poglądy i myśli, że chce walczyć, a nie siedzieć z założonymi rękami.

— Tak... — powiedział po chwili milczenia. — Myśmy to przewidzieli i potrafimy osadzić tych „Teutonów”. To sprawa pierwsza. A co do drugiej, to na wiecu udzieli ci głosu. Mogę cię o tym zapewnić. Tylko musisz się dobrze zastanowić, co powiedzieć, bo dadzą ci na to najwyżej trzy do pięciu minut; to nie zebranie, to wiec, na którym każde słowo musi ugodzić jak pocisk. I bądź pewna, że nikt ci nie przeszkodzi, gdy będziesz mówić. Natomiast trzecia wiadomość mnie zaskoczyła. Czyżby istotnie tak się bali Rosjan?

— A kto ich w Ameryce się nie boi? Gdyby ci sto gazet trąbiło codziennie przez wiele lat, że Rosjanie chcą zetrzeć Amerykę z powierzchni ziemi, to w końcu też zacząłbyś się bać.

— Masz rację, ale trudno wymyślić większą bzdurę.

— W Stanach Zjednoczonych nikt nie ma pewności, czy to bzdura. Ja tu nie wszystko rozumiem, ale ta cała wrzawa w prasie również i mnie działa na nerwy. Nie chcę tam już wracać!

— Jakoś cię urządzimy. Po prostu pojedziesz do Budapesztu, weźmiemy ślub i to wszystko... Nikt przecież nie ma prawa zabronić ci wyjść za mąż.

— To byłoby cudowne, ale szczerze mówiąc, nie wierzę w swoje szczęście. Lecz będę o nie walczyć.

Pocałowali się.

— Wiesz — powiedziała Eryka, gdy ochłonęła — kiedy tak siedzę przy tobie, to nie boję się nikogo na świecie. Nie można żyć dłużej tak, jak żyłam dotąd. Generał Stanley nakazał nam zaćmić naszymi osiągnięciami sportowymi wszystkie kraje tak, żeby te igrzyska stały się prawdziwym triumfem amerykańskiego sportu. Mdzi mnie, gdy słyszę takie rozkazy. Chcę się zмагаć, chcę zwyciężać uczciwie. A propos, czy Nina Sokił też tu jest? Mam się z nią zmierzyć. Nie dam się jej pokonać, ale zwycięstwo będzie uczciwe.

— Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Ale zmierzysz się nie tylko z nią.

— Z kim jeszcze?

— Z Jaryną Hontą. Widziałem ją na treningu. W zawodach międzynarodowych wystąpi po raz pierwszy.

— Nina Sokił to wspaniały przeciwnik. Chciałabym, Tiborze, żebyś dobrze mnie zrozumiał: niekiedy nie nawidzę sportu, ale zawsze wymagam od niego, by był uczciwy. I wiem już, dlaczego Shilling przez cały czas straszy nas Rosjanami i mówi, że trzeba ich zdusić, bo zagrażają Ameryce. Czy oni rzeczywiście chcą wojny?

— Jedyne, czego pragną, to pokój.

— Więc skąd ta wrzawa w Ameryce?

— To polityka, Eryko.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

— Przeczytaj to — wręczył jej odezwę do młodzieży całego świata, pod którą widniało już wiele podpisów.

— Zgadzam się z tym wszystkim — powiedziała po zapoznaniu się z treścią.

— Wydrukujemy ten apel w prasie. Czy nie chciałabyś też go podpisać?

— Daj pióro — odpowiedziała stanowczo.

— Poczekaj, chcę, żebyś uświadomiła sobie, jak odpowiedzialny jest ten podpis i że podpisujesz apel nie tylko dlatego, że mnie kochasz...

— Wszystko bardzo dobrze rozumiem.

Eryka wstała podniecona, przeszła się po pokoju. Takiej pięknej Tibor nigdy jeszcze jej nie widział. Już karcił siebie, że zaczął tę rozmowę o odezwie. Dziewczyna będzie musiała wiele wycierpieć, jeśli ją podpisze. Ale nie omylił się co do ukochanej i to jest chyba największe szczęście.

Dziewczyna dalej chodziła w milczeniu po pokoju. Widziała ciągle, jak na ekranie wiersze odezwy, w której każde słowo odpowiadało jej myślom, jej przeżyciom, jej nadziejom.

„Pokój i przyjaźń” — wołało całe jej jestestwo, a właśnie do tego sprowadzał się przeczytany przed chwilą tekst odezwy. Tak, Tibor uczciwie ją uprzedził o niebezpiecznych dla niej następstwach podpisania odezwy, i za to kocha go jeszcze goręcej. Mógł to przemilczeć, wykorzystać jej pierwszy poryw, nie zrobił jednak tego. Może teraz spokojnie wszystko przemyśleć. Ale właściwie po co, kiedy zgadza się ze wszystkim do ostatniej kropki, kiedy całe jej życie zależy od tego, czy będzie na świecie pokój, czy też wojna znowu przetoczy się krwawą falą po gładkich, asfaltowych drogach jej ojczyzny?

— Daj pióro.

— Może jutro?

Drogi, kochany Tibor. Boi się o nią, chce jej dać czas do namysłu.

— Nie, podpiszę zaraz. Pozwól mi chociaż raz w życiu być uczciwą.

Tibor spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Do mnie przylgnęło tyle brudu — powiedziała z rozpaczą — że trzeba chyba będzie przez całe życie go zmywać.

— Ty, oczywiście, przesadzasz.

Eryka nie odpowiedziała. Wzięła pióro i energicznie podpisała odezwę.

— To wszystko. Jakby mi ciężki kamień spadł z serca. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, Tiborze, jak bardzo cię kocham...

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Wokół Stadionu Pokoju powiewały na wysokich cienkich masztach flagi pięćdziesięciu dwóch państw. Wysoko w zenicie stoi słońce, jasne, gorące. Bieżnia i boiska są jeszcze puste, tylko na zapełnionych trybunach niecierpliwą się kibice, czekają na rozpoczęcie igrzysk. Ciepły wietrzyk przelatuje falami przez stadion, targając flagami.

Orkiestra gra uroczystego marsza. Na stadion wychodzą chorążowie, ustawiając się w długi szereg. Na trybunach wzmaga się gwar — to na stadion wchodzi kolumna sportowców radzieckich. Prowadzi ją Olga Wołoszyna, dobrze znana chyba wszystkim obecnym, bo nieraz występowała już w Berlinie, dostarczając kibicom sportowym wielu emocji.

Wnet cały stadion zakwita różnokolorowymi kostiumami sportowców poszczególnych reprezentacji narodowych, jak gdyby nieznany artysta wyszył na nim wielobarwne, kunsztowne wzory. Jako ostatni wchodzi gospodarze — sportowcy Niemieckiej Republiki Demokratycznej, zatrzymując się w wyznaczonym miejscu przy swoim czarno-czerwono-złotym sztandarze. Muzyka milknie. Stadion, zalega całkowita cisza.



Przewodniczący Międzynarodowego Związku Studentów ogłasza otwarcie Światowych Studenckich Igrzysk Sportowych, życząc zawodnikom sukcesów i nowych rekordów. Potem wchodzi na mównicę jeden z gospodarzy, student Uniwersytetu im. Humboldta, podnosi do góry rękę i wygłasza słowa przysięgi, powtarzane w różnych językach przez wszystkich zawodników. W panującej na stadionie ciszy słychać nawet łopot flag na wietrze.

— Przysięgam uczciwie walczyć o zwycięstwo... — płyną nad stadionem słowa przysięgi.

Wszystko to było takie piękne i czyste, że Jarynie nie przyszłoby nigdy do głowy myśl o jakichś machiacjach. Wymawiała z przejęciem słowa przysięgi o uczciwej walce i nie uwierzyłaby, gdyby jej opowiedziano o knowaniach meierów i shillingów. Mierzyła wszystkich ludzi własną miarą.

Ale Fiodor Iwanowicz Karcew, stary doświadczony trener i komunista, dobrze wiedział, jak mało znaczy taka przysięga dla zawodowego menażera. Nie zdziwił się też, gdy dowiedział się od Tibora o roli Jacka Gilkesa. Można było spodziewać się czegoś takiego. Musi uprzedzić kapitana drużyny koszykówki Rusanowa. Jeśli wie się o grożącym niebezpieczeństwie, o wiele łatwiej mu zapobiec.

Jednak Rusanow przyjął to ostrzeżenie nie tak, jak spodziewał się Karcew.

— To niemożliwe, Fiodorze Iwanowiczu. To jakaś plotka. Nie wierzę w istnienie takich „specjalistów”. Nie wierzę i już.

— Gdyby to była sprawa tylko twojej wygranej czy przegranej, mógłbyś wierzyć lub nie. Kiedy jednak od tego zależy zwycięstwo drużyny, nie masz prawa lekceważyć takiego ostrzeżenia.

— Racja — zamyślił się Rusanow. — A jednak trudno uwierzyć w taką podłość.

— Ja też wolałbym, żeby to była nieprawda. To Jack Gilkes, z dziewięcym numerem.

— Dobrze, zapamiętam i uprzedzę kolegów — odpowiedział Rusanow, który ciągle jeszcze nie potrafił wyzbyć się wątpliwości.

Rozmawiali w szatni bezpośrednio przed meczem koszykówki ZSRR—USA. Dzisiejsza rozgrywka nie decydowała wprawdzie o ostatecznym mistrzostwie, obie drużyny czekała jeszcze długa i trudna droga, ale spotkanie to było ważne.

Program pierwszego dnia igrzysk przewidywał poza tym bieg na sto metrów dziewcząt i chłopców o wejście do ćwierćfinału, a następnie do półfinału. Jutro rzut dyskiem, skok wzwyż, finał stumetrówki oraz bieg na półtora tysiąca metrów.

— Proszę do mnie, towarzysze! — zawołał Karcew do koszykarzy. — Chciałem wam powiedzieć kilka słów. Amerykanie mówią o sobie, że są niezwyciężeni, ale pokonać ich nie tylko można, lecz trzeba. Życzę wam zwycięstwa i chyba wszyscy studenci w całym Związku Radzieckim życzą wam w tej chwili tego samego. Powodzenia!

Na trybunach rozmawiano oczywiście o tym pierwszym spotkaniu, a kiedy obie drużyny wybiegły na boisko, powitano je oklaskami.

— Drużynie koszykówki studentów Stanów Zjednoczonych sportowe pozdrowienie! — rozległo się nad stadionem.

Amerykanie wesoło odpowiedzieli na powitanie. Po chwilowej ciszy kapitanowie obu drużyn podeszli do sędziów. Rusanow z ciekawością spojrział na kapitana drużyny amerykańskiej, dorównującego mu wzrostem chłopca o dobrodusznym wyglądem. Przywitali się, wy-

losowali boiska. Jeszcze kilka sekund na zajęcie miejsc, potem gwizdek sędziego i gra się rozpoczęła.

Spotkanie z początku cechowały ostrożność i zrozumiałe napięcie. Drużyny jakby obmacywały się wzajemnie, chcąc odkryć słabe miejsca przeciwnika czy luki w obronie, przez które można by przedrzeć się do kosza. Ale oto Rusanow pewnym rzutem ułożył piłkę w koszu — i na tablicy Związku Radzieckiego zjawily się pierwsze dwa punkty. Amerykanie odpowiedzieli gwałtownym atakiem i za chwilę piłka znalazła się w koszu drużyny radzieckiej. Wynik się wyrównał.

Nina Sokił siedziała w pierwszym rzędzie przeznaczonym dla zawodników i uważnie śledziła grę. Nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo denerwuje się o Rusanowa i jak szczerze życzy mu sukcesów.

A na boisku tempo stawało się coraz szybsze, a przebieg meczu coraz bardziej dramatyczny. Pierwsza połowa zakończyła się wynikiem remisowym 18:18. Na początku drugiej Amerykanie nieco osłabli, wkrótce koszykarze radzieccy prowadzili różnicą czterech punktów. Zgodnie z regulaminem podczas meczu koszykówki można wymieniać graczy i Karcew często z tego korzystał, wprowadzając na boisko wciąż nowe siły; nie zmieniał tylko kapitana drużyny. Rusanow grał tak wspaniale, że szkoda było się go pozbywać. Bardzo szybko cały stadion zorientował się, kto jest duszą radzieckiej drużyny. Za każdym razem, kiedy Rusanow wrzucał piłkę do kosza, na trybunach rozlegały się oklaski. Różnica wynosiła już sześć punktów. Artur Shilling, który siedział obok Erwina Meiera, wstał i poszedł do rezerwowych graczy, zdawał sobie bowiem sprawę, że jeśli tak dalej pójdzie, to drużyna

amerykańska przegra. Ten Rusanow to koszykarz światowej klasy.

Po chwili na boisku zjawił się Jack Gilkes. Rusanow ujrzał przed sobą dziewiątkę i przypomniał sobie ostrzeżenie Karcewa, które w tej chwili wydawało mu się bezpodstawne, bo gra przebiegała fair. Do końca meczu brakowało tylko czterech minut.

Ani sędziowie, ani widzowie, ani Nina nie zauważyli, jak to się stało: Rusanow podniósł rękę, by przechwycić piłkę, i nagle ręka bezwładnie opadła, przy czym dał się słyszeć taki trzask jak przy złamaniu ołówka.

— Och! — jęknął Rusanow. Pociemniało mu w oczach z bólu, ugiął się w kolanach i upadł. Bezwładna ręka była złamana powyżej łokcia. Grę przerwano. Do Rusanowa podbiegł lekarz, ale jeszcze szybciej rzuciła się do niego Nina, zapominając o stadionie, o ludziach na trybunie, o całym świecie. Nie miała świadomości tego, co robi, wiedziała tylko jedno: zabili jej jedyne-go, jej ukochanego. Podbiegła do niego, zajrzała mu w oczy: żyje!

Koledzy wynieśli z boiska swego kapitana i położyli na ławie. Sędzia zagwizdał, wybiegł nowy koszykarz radziecki, gra toczyła się dalej.

Erwin Meier spojrzął na długie, wyciągnięte ciało Rusanowa oraz na Ninę i powiedział do Shillinga, który właśnie wrócił na swoje miejsce:

— Zrobiliśmy więcej, niż można było się spodziewać.

— Co pan ma na myśli?

— Proszę spojrzeć na tę dziewczynę. To Nina Sokół.

A stadion ryczał z oburzenia. Wszyscy zorientowali się w czym rzecz. Kibice berlińscy mieli wiele doświadczenia. Incydent ten dotknął boleśnie honoru

gospodarzy. Teraz cały stadion pragnął zwycięstwa drużyny radzieckiej. Ale oto Amerykanie mają już trzydzieści punktów, trzydzieści dwa, zaraz wynik się wyrówna.

Tymczasem Rusanowa przenieśli na punkt sanitarny, przyszedł zaraz radziecki lekarz, Nina nie odstępowała kontuzjowanego na krok. Ręka Rusanowa leżała nieruchomo jak gliniana, widok jej był żałosny.

— Nic strasznego — pocieszał lekarz. — Ręka zrośnie się i będzie jeszcze wspaniale grał. Zaraz wydam polecenie, żeby założyli mu łubki.

Lekarz wyszedł i w tym momencie z małego głośnika na ścianie doleciało:

— Amerykanie wyrównali: 34:34.

Rusanow otworzył oczy, chciał się podnieść, ale tylko trochę uniósł się i jęknął, opadając z powrotem na stół. Ujrzał przed sobą wielkie, przesłonięte łzami oczy Niny, ale jego serce, serce kapitana drużyny, było teraz tam, gdzie towarzysze toczyli decydującą walkę.

— Amerykanie prowadzą 36:34 — rozległ się znów głos spikera.

Po chwili stadion wybuchnął okrzykami, gwizdami i wrzawą. Mecz skończył się. Amerykanie wygrali.

Rusanow zamknął oczy. Jak to się stało? Dlaczego ma złamaną rękę?

— Boli? Bardzo boli? — usłyszał nad sobą głos Niny.

— Nie, nie boli — chłopiec próbował się uśmiechnąć. — Cóż to za dranie! Zrobili to umyślnie, wiem.

— Lekarz mówił, że wszystko będzie dobrze.

— Musisz już iść, Nino, masz teraz bieg.

— Nie gniewaj się, że tu przyszłam. Ja... bardzo... bardzo cię kocham. Dopiero teraz zrozumiałam, że... że nie mogę... że bez ciebie...

Rusanow objął Ninę zdrową prawą ręką, przechylił jej głowę i delikatnie dotknął ustami jej chłodnych warg. Każdy ruch sprawiał mu piekielny ból. Zbladł teraz jeszcze bardziej.

— Idź już — wymówił cichym, słabym głosem. — Zaraz twój bieg.

Nina wstała. Była napięta jak struna.

— Kochasz mnie? — spytała cicho.

— Bardziej niż własne życie... Jeszcze od tego pierwszego spotkania... w parku politechniki.

Wszedł lekarz.

— Wszystko w porządku. Zaraz zaczniemy pana remontować. Jakiś miesiąc, dwa pochodzi pan z laleczką i po wszystkim.

Ale do Rusanowa słowa te nie dotarły, nie widział teraz nic prócz ogromnych oczu Niny i nie słyszał nic prócz jej oddalających się kroków.

— Zabroniłem tu wpuszczać kogokolwiek, ale ta dziewczyna wdarła się za panem. Pańskich kolegów wpuścimy, jak nałożymy łubki.

— Dobrze — zgodził się Rusanow i aż zgrzytnął zębami, kiedy lekarz wziął go za lewą rękę.

Przyszli zdenerwowani Maksymow i Karcew.

— Co za dureń wydał nakaz, żeby nas nie wpuszczać — krzyknął Fiodor Iwanowicz.

— Ja — odpowiedział uprzejmie lekarz. — Proszę zaraz wyjść i nie przeszkadzać mi.

— Czy to niebezpieczne złamanie?

— Za cztery miesiące będzie grał. A teraz wyjdźcie.

Trenerzy posłusznie opuścili pokój. Mimo bólu Rusanow uśmiechnął się.

Do szatni, w której zebrali się po meczu koszykarze amerykańscy, Shilling wszedł trochę niepewnie. Z tymi dryblasami nigdy nic nie wiadomo, a trzeba się z nimi liczyć, bo wiedzą, że nie tak łatwo ich zastąpić.

Nikt jednak nie mógł zauważyć lęku trenera, potrafił zachować spokój w o wiele trudniejszych sytuacjach.

— Byliście, chłopcy, wspaniali! — zawołał, zamykając drzwi. — Daliście Roskom porządnego łupnia, nie zapomną tego do końca życia.

Nikt jednak nie odpowiedział ani słowa.

— Cóż to, nie jesteście zadowoleni ze swego zwycięstwa?

— Może pan podziękować za to Gilkesowi — doszedł czyjś głos z kąta szatni.

Shilling nie zorientował się, kto to powiedział, wyczuł jednak rozdrażnienie całej drużyny.

Istotnie koszykarze byli w fatalnych nastrojach. Przygniatała ich świadomość, czemu zawdzięczają zwycięstwo. Każdy z nich czuł się jak szuler, którego chwycono za rękę ze znaczną kartą. I chociaż oficjalnie nie można nikogo oskarżać, wszyscy na stadionie domyślali się prawdy, jak więc spojrzą teraz w oczy ludziom, z którymi jeszcze wczoraj można było się zaprzyjaźnić.

Shilling bezbłędnie to wyczuł, nie przejmował się jednak. Musiał wygrać za wszelką cenę i wygrał; nie obchodziło go, co tam się mówi na stadionie. Rozkaz został wykonany, to najważniejsze. Gilkesa mogą teraz zdyskwalifikować, przepędzić na zawsze ze wszystkich stadionów na całym świecie lub wsadzić do więzienia — to mu też obojętne. A z tymi długonogimi sportowcami jakoś sobie poradzi, różnie już nieraz bywał...

Nieoczekiwanie podszedł do Shillinga kapitan drużyny Henry Short, jeden z najlepszych graczy amerykańskiej koszykówki, spojrzął na niego z góry i powiedział:

— Panie Shilling! Zabieraj się pan stąd do stu diabłów, bo jak nie pójdzie pan dobrowolnie, to będę mu-

siał panu pomóc! I nie radzę zwlekać, bo po tej pańskiej łajdackiej sztuczce zdolni jesteśmy do różnych rzeczy...

Menażer zadarł do góry głowę i patrzył na Shorta jak na dzwonnice, a w jego małych oczkach malowało się zdziwienie.

— Co się z panem dzieje, Henry? — spytał i uniósł się na palcach, zamierzając poklepać go po ramieniu.

— Chce pan wiedzieć co? — Short chwycił Shillinga za sweter i potrząsnął nim, jakby chciał wytrząsnąć z niego duszę. — Zaraz panu powiem: takie numery nie ze mną! Kiedy ten Gilkes — wskazał na stojącego samotnie w kącie „specjalistę” — jeszcze raz zjawi się na boisku, to ja wysiadam! I żadne kontrakty nie zmuszą mnie dotknąć piłki. Kiedy przegrywamy, to trzeba mieć odwagę przyznać się do tego, a nie wypuszczać na boisko łamignatów.

— Jeszcze pan tego pożałuje, Short — powiedział Gilkes.

— Zobaczymy, kto pożałuje — odparł Short. — W każdym razie zabraniam panu wychodzić na boisko. Będzie pan musiał zmienić pole swej działalności, jasne?

Shilling czuł, że atmosfera w szatni staje się coraz gorętsza, postanowił więc przerwać tę rozmowę.

— Sądzę, że cała ta historia funta kłaków niewarta. Jack Gilkes to byczy facet i jestem przekonany, że do następnego meczu pogodzicie się.

— Proszę na to nie liczyć, Shilling — wtrącił Tom Hurkness nie wstając z krzesła. — Ja też zejść z boiska, jeśli zjawi się na nim Gilkes.

— Ach, tak?! — krzyknął Shilling. — Zrobiłem wszystko, byście wygrali, a wy macie czelność pyskować?! Ofermy! Nie koszykarze z was, ale słupy telegraficzne, niezdolne wrzucić głupiej piłki do kosza!



Omiał nie przegrali z Rosjanami, omiał nie zhańbili Ameryki i jeszcze z pretensjami do mnie o to, że was uratowałem? Wstyd! Hańba!

— Tak, mamy pretensje. Nie chcemy więcej tak wygrywać jak dziś — odparował Hurkness. — I w ogóle dlaczego nie pozwala nam pan rozmawiać z Rosjanami. To fajne chłopaki i świetnie grają w koszykówkę. Dla nas to teraz jasne. Jeśli jeszcze raz zdarzy się coś takiego, powiem o wszystkim dziennikarzom. Pan mnie zna: nie boję się pana!

— Co pan wygaduje, Hurkness! — oburzył się Shilling. — To przecież komuniści, nasi najwięksi wrogowie i przeciwnicy, zagrażają naszemu amerykańskiemu sposobowi życia! Jak pan śmie mówić coś takiego?!

— Bzdura! Teraz już wiem, jak i komu oni zagrażają. Chcę pana uspokoić, Shilling: komunistą nie zostanę, uprzedzam jednak wszystkich, że nie pozwolę łamać im kości na boisku!

— Niech pan pamięta — krzyczał histerycznie Shilling — że przyjaźń z Rosjanami graniczy ze zdradą!

— Dureń! — rzucił przez zęby Short, siadając na krześle tyłem do menażera. — Niech pan stąd zmiata, Shilling, bo może pana spotkać jakaś przykróść.

Powiedział to całkiem spokojnie, ale trener zrozumiał, że to nie przelewki, lepiej więc się stąd ulotnić. Ranek mądrzejszy od wieczora, do rana wszystko się uspokoi.

— Chodźmy, Gilkes, będzie mi pan potrzebny.

Wyszli obaj w zupełnej ciszy. Nikt się nie odezwał. Sportowcy nie mieli ochoty do rozmów, uczucie wstydu nie znikало. Nikt nawet nie pomyślał o tym, żeby wyjść na stadion, jakby na wszystkich legł cień postępu Gilkesa. Najlepiej pojechać teraz do hotelu i skryć

się w nim, a na stadionie pokazywać się tylko na meczach. Szkoda gadać, przyjemna perspektywa.

— Wiesz, Henry — zaczął Tom Hurkness, kiedy już się ubrali. — Mam wielką ochotę pójść do niego. Nie po to oczywiście, żeby się usprawiedliwić, bo to nie nasza wina, chciałbym jednak, żeby wiedzieli, że nie wszyscy jesteśmy tacy jak ten łobuz Gilkes.

I chociaż Tom nie powiedział, do kogo zamierza pójść, Short zrozumiał go i w pierwszej chwili przestraszył się.

— Shilling nas wsadzi do więzienia!

— Za co? Myślę, że on tylko tak brawuruje. Ale jeśli nie chcesz, to na pewno znajdę wśród chłopców chętnych.

— Nie, pójdę z tobą. Ale chłopaków trzeba też zabrać, w kupie będzie raźniej.

— Słusznie. No to co, pójdziemy? — zwrócił się do pozostałych koszykarzy.

Shilling nie przejął się gadaniną Shorta uważając, że jutro znów wszystko będzie po staremu, a mecz wygrany, to najważniejsze. Jeszcze w starożytności mówiono: „Zwycięzców się nie sędzi”. Ta dewiza aktualna jest i obecnie. Nic nie zmieniło się pod tym względem na bożym świecie. A w jaki sposób odniesiono zwycięstwo — to też nikogo nie powinno obchodzić. Ważne, że zostało wpisane do protokołu igrzysk, gdzie nie odnotowuje się żadnych emocji i osobistych przeżyć, nie ma więc czym się martwić.

Shilling usiadł za biurkiem i spojrzął z uśmiechem na Gilkesa.

— To był majstersztyk, Gilkes! Jestem z pana zadowolony.

— Nie sędzę, by mister Stanley miał też powody do radości.

— Dlaczego?

— Nie mówię wcale o koszykówce. To pan widział?

Podał zaskoczonemu Shillingowi wieczorny dziennik. Menażer spojrział i jego oczy zaczęły trwożnie latać. Na pierwszej stronie wydrukowano odezwę wzywającą młodzież do walki o pokój, a w długiej kolumnie podpisów widniało nazwisko Eryki Stahlberg.

Do pokoju wszedł Meier.

— Co się stało, Shilling?

— Niech pan patrzy! To pańska wina! To tak ją pan pilnował? Na nikim nie można polegać! Szubienica to jeszcze za mało dla pana!

Shilling histerycznie załamywał swe pulchne dłonie.

Twarz Meiera pociemniała z gniewu, opanował się jednak.

— Jutro — powiedział — Eryka napisze do gazety list, w którym oświadczy, że podpis pod odezwą został umieszczony bez jej zgody i wbrew jej woli. Wywoła to jeszcze większą sensację i postawi pod znakiem zapytania uczciwość organizatorów tej hecy. Z każdej sytuacji trzeba umieć znaleźć wyjście, Shilling.

— Proszę ją tu natychmiast wezwać!

— Co pan?! Zaraz bieg na sto metrów. Porozmawia pan z nią potem. Nie wolno jej teraz denerwować. Chodźmy.

Wrócili na swoje miejsca na trybunę w chwili, gdy Jaryna Honta przygotowywała się do pierwszego w swoim życiu startu w międzynarodowych zawodach. Cały stadion wirował przed jej oczyma. Czuła drżenie rąk. Czy w takim stanie można w ogóle myśleć o wygraniu tego biegu? Jest zdana tylko na siebie. Maksymowa nie ma w pobliżu, bo podczas zawodów trenerzy nie mają prawa wstępu na boisko, a tak chciałoby się z kimś porozmawiać, oprzeć na czyimś życzliwym ra-

mieniu. Porozmawiałyby z Niną, ale ona też jest bardzo zdenerwowana.

Do dziewcząt, które ukończyły już rozgrzewkę i siedziały teraz na ławce czekając na start, podeszła Wołoszyna.

— Z Rusanowem wszystko w porządku — odpowiedziała na pytające spojrzenie Niny. — Zaraz zaczynacie?

— Tak — rzekła Nina przez ściśnięte gardło.

— Olgo Borysowno — zwróciła się do niej Jaryna — Amerykanie tak mało rozgrzewają się...

— Oni zastępują rozgrzewkę masażem. Tylko, moim zdaniem, przeciąża to mięśnie i powoduje ich przedwczesne starzenie się.

Ta krótka rzeczowa odpowiedź bardzo Jarynę uspokoiła i kiedy wywołano ją na start, nie było w niej już nawet cienia zdenerwowania. Nie trzeba myśleć o półfinałach i finałach, tylko o tym, że w tym biegu Jaryna Honta, dziewczyna z Donbasu, której studenci Związku Radzieckiego powierzyli obronę ich honoru sportowego, musi być pierwsza; cały świat patrzy teraz na nią.

Spojrzała na ławki zajęte przez sportowców radzieckich. Jaryna wiedziała, jak bardzo towarzysze pragną jej zwycięstwa. Nie można ich zawieść. Świadomość tego korzystnie wpływała na precyzję jej każdego ruchu.

Komenda startera — i nogi mocno wpierają się w startowe bloki, ręce dotykają białej linii. Potem dwie sekundy maksymalnej koncentracji sił psychicznych i fizycznych, głuchy strzał w tyle i — bieg.

— Nic szczególnego — powiedział Shilling, spojrzawszy na swój stoper.

— A mnie ta dziewczyna się podobała — rzekł

Meier patrząc, jak na mecie Jaryna zdejmuje z piersi białą taśmę. — Jaki czas?

— Dwanaście.

Meier pokiwał głową, nie wiadomo jednak było, czy zgadza się z Shillingiem, czy też nie.

Bieg następny lekko wygrała Eryka Stahlberg.

— Jedenaście i dziesięć — oznajmił Shilling. — Popsuła mi cały nastrój.

— Jutro wszystko sama naprawi — uspokoił go Meier.

Sledził teraz bieg Niny Sokił; mknęła z rozwianymi kasztanowymi włosami jak wichur i nikt nie miał wątpliwości co do jej zwycięstwa.

— Ho, ho! — Shilling spojrział na stoper — jedenaście osiem. Gilkes nie pomógł.

— Może właśnie tylko ją rozjuszył.

Zaczął się bieg na sto metrów chłopców.

— Dziesięć i pięć — ogłosił spiker.

— Kto to? — spytał Shilling.

Meier zajrzał do programu.

— Numer dwieście dziewięćdziesiąt sześć. Sawa Pochitonow.

— Nieźle — zauważył z niezadowoleniem Shilling. — Ale ten o wiele lepiej.

Ostatnie słowa dotyczyły Heaviside'a, który właśnie finiszował.

— Dziesięć i pięć — monotonnie ogłosił spiker.

Potem było jeszcze wiele biegów, nikt jednak nie uzyskał takiego czasu.

Po krótkiej przerwie rozpoczęły się półfinały biegu kobiet.

— No, obejrzymy sobie teraz pańską pupilkę — powiedział Shilling, ujrzawszy na starcie Ninę Sokił.

Nina czuła się jak po ciężkiej całodziennej pracy. Sofija Kartasz nie wdroyła jej do poważniejszych obcią-

zeń, a Maksymow już nie zdążył odrobić zimowych strat. Nikt nie wiedział, jak dziewczynie było teraz ciężko. Zmobilizowała wszystkie siły i wygrała półfinał, wyprzedzając zaledwie o kilka centymetrów drugą sprinterkę, trudno więc mówić o jakimś olśniewającym wyniku.

— Teraz ma już tylko jedenście i dziewięć — zauważył Shilling. — To w półfinale. Czy pan jej nie przecenia?

— Nie sędzę — w głosie Meiera wyczuwało się jednak wątpliwości. — A ten diabełek jednak mi się podoba — ostatnie słowa dotyczyły brawurowego finiszu Jaryny Honty.

Dziewczyna sama się dziwiła, skąd biorą się w niej siły. Wydawałoby się, że półfinał o wiele trudniej wygrać niż przedbieg, a miała czas lepszy — jedenście i dziewięć.

Mary Garden też wygrała, również Eryka weszła bez trudu do półfinału ze sporą jeszcze rezerwą sił. W finale znalazły się więc Nina Sokił, Mary Garden, Jaryna Honta, Eryka Stahlberg, Francuzka Delané i Holenderka Kwaren. Jutro spotkają się na decydującym biegu finałowym i jedna z nich zdobędzie tytuł studenckiej mistrzyni świata w biegu na sto metrów. Jutro zmierzą się też w finale o tytuł mistrza świata Sawa Pochitonow i John Heaviside.

Zaraz po zakończeniu pierwszego dnia zawodów Maksymow wezwał do siebie wszystkich sportowców radzieckich.

— Uzyskaliśmy dziś sukcesy, ale zadecyduje dzień jutrzejszy. A teraz wszyscy powinni odpocząć. Zwłaszcza ty, Nino. Przed wami, Pochitonow, zadanie najcięższe...

— Nic nadzwyczajnego — odpowiedział Sawa. —

Jutro ten Amerykanin będzie oglądał tylko moje plecy.

Maksymow spojrzął na chłopca z niezadowoleniem.

— Nie wolno lekceważyć takiego przeciwnika jak Heaviside.

Jaryna odniosła wrażenie, że Maksymow zupełnie nie bierze jej pod uwagę i myśli tylko o Ninie i Sawie. Myliła się jednak.

— U ciebie, Jaryno, wszystko w porządku, tylko za słaba jeszcze praca rąk. Jeśli będziesz silniej pracować rękami, to możesz jeszcze uzyskać dwie dziesiąte. A teraz odpoczywać, nie denerwować się, zwłaszcza ty, Nino, i nie bać się jutrzejszych spotkań. Możemy i powinniśmy wygrać.

A w pokoju amerykańskiego trenera Eryka Stahlberg stała przed rozwścieczonym menażerem.

— Jutro napisze pani sprostowanie! — krzyczał Shilling. — Nie, pani napisze je jeszcze dziś, żeby jutro pojawiło się w prasie.

— Nie, nie napiszę — głos Eryki brzmiał zdecydowanie.

— Podpisze pani albo panią zniszczę!

— Niech pan robi ze mną, co pan chce.

— Chwileczkę, Shilling — wtrącił się Meier. — Jak sądzisz, Eryko, co będzie, jeśli wszyscy obecni na igrzyskach studenci dowiedzą się, że Eryka Stahlberg to bliska krewna komendantki z Ravensbrück, której nazwisko wytatuowane jest na ręce tego twojego Węgura, którego mi przedstawiłaś w ubiegłym roku... jak mu tam... Tibor?

— Albo jeśli dowiedzą się, jakimi metodami zdobywała pani pieniądze w Stanach Zjednoczonych — dodał Shilling, patrząc na Erykę ze złośliwym zadowoleniem.

— Więc możesz nie pisać tego sprostowania — cią-

gnął Meier. — Ale my poinformujemy studentów całego świata, kto ukrywa się za frazesami o pokoju. Wyobrażasz sobie, jak studenci ustosunkują się do ciebie?

Eryka ciężko westchnęła. Kołnierz lekkiego dresu ścisnął gardło jak pętla. Rozpięła go, ale uczucie zaciskania nie zniknęło.

A więc szczęście nie dla niej. A więc znowu Ameryka, Yankee-Stadion, Lora Mikelaw i przekłety doping. A w perspektywie okaleczone życie bez miłości, bez Tibora Szabo. Eryka głęboko wciągnęła powietrze, jakby wynurzyła się z wody, i ruszyła ku drzwiom.

— Dokąd?

— Napiszę, co chcecie. Proszę przyjść wieczorem — powiedziała i wyszła.

— A co, nie mówiłem? — triumfował Meier.

Eryka pojechała do domu. Teraz nie ma już po co żyć. Shillingi i meiery nie pozwolą jej połączyć się z Tiborem, na zawsze będą ją mieli w rękach i nigdy nie będzie mogła swobodnie odetchnąć i wyrwać się z macek niewolniczego kontraktu. A więc lepiej umrzeć zaraz, niż czekać, aż spotka ją los Lory Mikelaw...

Myśl o śmierci wcale jej nie przerażała. To jedyne wyjście, innego nie ma.

— I co, wygrałaś, Eryko? — spytała Berta Loch, gdy dziewczyna wróciła do domu.

— Tak — odpowiedziała obojętnie.

— Gratuluję.

— Dziękuję. Boli mnie trochę głowa. Czy ciocia ma może weronal?

— Mam — Berta bardzo lubiła wszelkie lekarstwa. — Weźmiesz jedną tabletkę, wystarczy.

— Dziękuję.



Eryka poszła do swego pokoju. W małym mieszkaniu na Kaiserdamm panowała zupełna cisza.

Gdy po dwóch godzinach Erwin Meier zadzwonił do drzwi ich mieszkania, Eryka nie mogła już tego słyszeć. Na krześle przy łóżku leżała pusta szklana fiolka po weronalu. Posiniałe wargi dziewczyny pokrywała żółtawa piana.

— Otruła się! — krzyknęła Berta nieswoim głosem. — Weronal!

Ale Meier nie wpadł w panikę, był przecież lekarzem. Zabrał się do roboty i po godzinie Eryka otworzyła oczy. Metody Meiera były ryzykowne, ale skuteczne.

— A teraz śpij, gadzino! — krzyknął i zamknął drzwi jej pokoju.

— Jak ona jutro będzie mogła biec? — zaniepokoiła się Berta.

— Pobiegnie, niech ją piekło pochłonie! Proszę jej pilnować, żeby znowu nie narozrabiała, bo Stanley nam głowy pourywa.

Wyszedł bez pożegnania i za pół godziny zjawił się na Kastanienstrasse.

— Potrzebuję podwójną porcję pańskiego dopingu, Schitke.

— Dlaczego podwójną?

— Nie traćmy czasu, jestem piekielnie zmęczony.

Schitke w milczeniu wyjął z szuflady dwie ampułki napełnione gęstą, maślaną ciecżą.

— To kosztuje dwieście dolarów — powiedział triumfująco.

— Dobrze — Meier machnął ręką i cicho zaklął.

Wieczorem złamana ręka porządnie rozboleła. Zakuta w gipsowy pancerz wydawała się niezwykle ciężka i jakby obca. Rusanow nosił ją ostrożnie jak małe, ciężko chore dziecko. Zmęczyło go już powolne chodzenie po dużym hotelowym pokoju, nie mógł jednak ani usiąść, ani się położyć, bo ból wzrastał się nie do wytrzymania. Na noc lekarz obiecał mu zastrzyk z morfiny, aby mógł zasnąć. Zestawiano kości i nakładano gips pod narkozą, więc w głowie ciągle jeszcze szum i wszystko wokół kołysze się, jakby cały świat był pijany. Lekarz kazał leżeć, ale Rusanowi trudno do tego się zastosować. No, ale wytrzyma wszystko i ręka wnet się zrośnie. I będzie jeszcze grać w koszykówkę, na pewno będzie grać!

Do pokoju weszła Nina, spojrzała na Rusanowa dużymi, ciągle jeszcze zapłakanymi oczyma, usiadła przy stole.

— Powinieneś się położyć — powiedziała. — Tak byłoby lepiej.

— Masz rację, trzeba by tak zrobić, ale nie można tak wytrzymać — rzekł chłopak, próbując się uśmiechnąć.

— Bardzo boli?

— Właśnie tak, jak musi boleć złamana ręka. Lepiej nie mówmy już o tym. Czy nie powinnaś już iść spać?

Nina poczuła się tym dotknięta. Można by sądzić, że jej obecność jest dla niego nieprzyjemna.

— Mogę pójść, jeśli ci przeszkadzam.

— Coś ty?! Tak strasznie się cieszę, że jesteś!

W jego uśmiechu i spojrzeniu było tyle miłości, że dziewczynie zrobiło się wstyd swoich dąsów; znalazła czas na obrażanie się...

Ktoś zapukał do drzwi. Ujrzeni zaniepokojon. i współczującą twarz Tibora, za nim — niebieskie oczy Ilony.

— No jak tam? — spytał szeptem Tibor.

— W porządku, wszystko w porządku. Wchodźcie, przyjaciele! — zaprosił Rusanow.

— Nie będziemy przeszkadzać?

— Wprost przeciwnie, mniej boli, kiedy nie jestem sam. Siadajcie.

Ledwie zdążyli usiąść, gdy znów rozległo się pukanie. Do pokoju weszły razem, jak zwykle, dwie wielkie Olgi. Też rozmawiały szeptem, co Rusanowa rozśmieszyło. Śmiech spowodował jednak drgnięcie ręki i ból wzmógł się, więc Rusanowi odechciało się śmiać, ale nikt już nie mówił szeptem.

— Idziesz jutro na stadion? — spytała Korszunowa.

— Oczywiście. Na złość wszystkim wrogom i draniom.

— Bardzo słusznie — zauważyła Wołoszyna. — Tylko czy to nie będzie zbyt bolało?

— Jutro powinno już mniej boleć — odpowiedział z przekonaniem Rusanow. — Byłoby zbrodnią nie zobaczyć tych zawodów.

Z korytarza doleciały kroki ciężkie, pewne, mocne.

— Kto to może być? — spytała ze zdziwieniem Nina.

Rozległo się ciche pukanie, dziwnie kontrastujące z tymi krokami.

— Proszę! — zawołał Rusanow.

Na progu zjawił się Richard Baum, za nim tłoczyli się jacyś wysocy, nieznajomi mężczyźni. Było to sześciu koszykarzy amerykańskich, którzy z zakłopotaniem patrzyli na Rusanowa.

— Przyszliśmy się dowiedzieć, jak się pan czuje — powiedział Richard Baum. — Co mówią lekarze?

— Że za trzy miesiące będę mógł znów spotkać się z wami na boisku — Rusanow czuł nieznośny ból, przed oczami latały czarne koła, ale się uśmiechał. — Bardzo się cieszę, żeście przyszli. Olgo Borysowno, musi pani teraz zostać, pani jedyna zna dobrze język.

— Chętnie — uśmiechnęła się Wołoszyna.

— Bardzo się cieszymy — zwróciła się do Amerykanów — z waszego przyjścia.

— My też cieszymy się z tego, że możemy się z wami spotkać — odpowiedział Tom Hurkness. — Tylko bardzo nam przykro, że to spotkanie odbywa się w takich okolicznościach.

— To prawda — rzekł Baum — mam jednak nadzieję, że pozostawi dobre wspomnienie.

— Przepraszam panów — wtrącił się Henry Short — ale zaraz na wstępie pragnę poruszyć tę przykrą sprawę. Żałujemy szczerze, że takie nieszczęście zdarzyło się podczas meczu z naszą drużyną, chcieliśmy więc przede wszystkim wyrazić panu, panie Rusanow, nasze głębokie współczucie oraz serdeczne życzenia jak najszybszego powrotu do zdrowia.

— O, tu nie ma co współczuć, koszykówka to ostra gra, wszystko podczas meczu może się zdarzyć — rzekł Rusanow.

Patrzył Shortowi prosto w oczy i obaj mieli świadomość, że wypowiedziane słowa nie zawierają tego wszystkiego, o czym myślą. „Amerykanie bardzo dobrze wiedzą, jak to się stało, potępiają takie metody i mają nadzieję, że coś podobnego nigdy już się nie powtórzy” — mówiło spojrzenie Shorta. „Jesteście świetnymi chłopcami i cieszę się, że zdecydowaliście się mnie odwiedzić. Wiem, kogo Shilling wypuścił pod dziewiątym numerem na boisko. Zlekceważyłem ostrzeżenie i zostałem za to ukarany” — odpowiedział spojrzeniem Rusanow.

— Radzi jesteśmy, że możemy was u siebie gościć — przerwała to wymowne milczenie Wołoszyna, która przyjęła na siebie rolę gospodyni. — Zaraz przyniosę kolację i mam nadzieję, że miło spędzimy tę godzinę, która pozostała nam do snu.

— Nie zamierzaliśmy tak długo niepokoić chorego — odpowiedział Hurkness, nie ruszając się z miejsca.

— Zaraz wszystko zorganizuję — rzekła Olga wychodząc z pokoju.

— Pomogę ci — zaproponowała Ilona.

— Myśmy po prostu skorzystali z okazji, żeby spotkać się z wami — powiedział Short. — Na stadionie jakos niezręcznie rozmawiać. Ciągłe ktoś się kręci, a chciałoby się po prostu pogadać, nie myśląc o polityce. Nic nie wiemy o waszym kraju, w nas wmawia się, że żyją tam nie ludzie, lecz jacyś troglodyci. Wszystko to oczywiście bzdura i dezinformacja, dlatego nie warto o tym mówić, bo i tak wiadomo, gdzie kłamstwo, a gdzie prawda...

— A ty już wlałeś w politykę — przerwał Hurkness. — Proponuję wprowadzić jakiś ład do naszej rozmowy: jedno pytanie zadajemy my, jedno wy. To będzie ciekawsze.

— W waszej reprezentacji występowała dziś Eryka Stahlberg. Czy nie wiecie, gdzie ona teraz jest? — spytał nieoczekiwanie Tibor zdenerwowanym i zaniepokojonym głosem.

— Nie wiem — odpowiedział Short. — Mieszka w swoim domu, a nie w hotelu. A teraz na nas kolej. Kto jest najładniejszą dziewczyną Moskwy i w ogóle Związku Radzieckiego?

— Osobiście jestem przekonany — powiedział Rusanow, spoglądając na Ninę — że najbardziej urodziwą kobietą naszej ojczyzny jest Olga Borysowna Wołoszyna, nasza mistrzyni i tłumaczka.

— A kto zdobył oficjalny tytuł miss piękności?

— U nas tego nie ma.

— Szkoda — powiedział Hurkness. — A teraz wazsa kolej.

— Gdzie pan się uczy?

— W collège'u filadelfijskim, ukończę go za dwa lub trzy lata, oczywiście jeśli ojciec będzie mógł dalej za mnie płacić. Chcę zostać lekarzem i dziennikarzem sportowym.

— Ja też studiuje na wydziale dziennikarskim — powiedziała Nina.

— A więc jesteśmy kolegami. Zapijemy swoje adresy, a kiedy zaczniemy pracować w prasie, będziemy wymieniać informacje.

— Chwileczkę, towarzysze, bo zgubiliśmy kolejność pytań.

Do pokoju weszły Olga Korszunowa i Ilona, a z nimi kelner. Zaczęli nakrywać do stołu. Przy kolacji rozmowa ożywiła się.

— Jakie stypendia otrzymują u was studenci? — spytał Rusanow.

— Nie rozumiem. O jakie stypendia chodzi?

— U nas państwo płaci studentom pieniądze za to, że się uczą.

Henry Short był wyraźnie zaskoczony. Widać było z jakim napięciem pracuje jego mózg, żeby zrozumieć sens tego, co usłyszał.

— U nas tego nie ma — powiedział. — A u was państwo płaci studentom za dobrą naukę?

— Tak.

— Wydaje mi się to fantastyczne, ale dziś skłonny już jestem wierzyć wszystkiemu — powiedział Hurkness, uważając rozmowę o stypendium za jakiś żart.

W pewnej chwili odwiódł na bok Rusanowa i poprosił Wołoszynę.

— Chciałem powiedzieć, że przyszliśmy nie po to, by wyrazić nasze współczucie, bo ono nie jest panu potrzebne, wiem o tym. Zależało nam jednak, by pan nie myślał, że w Ameryce mieszkają tylko tacy dranie jak ten Gilkes. Są u nas również ludzie porządni i uczciwi... To właśnie chciałem panu powiedzieć. A prócz tego pragnąłem pana zobaczyć, poznać bliżej...

— Proszę przyjechać do nas w gości — zaproponował Rusanow.

Twarz Hurknessa na chwilę spochmurniała.

— Takie podróże nie są u nas dobrze widziane. A miałbym na to wielką ochotę. Może nam się uda.

— Będziemy na was czekać — zapewnił Rusanow.

A przy stole toczyła się rozmowa o ostatnich fantastycznych rekordach Emila Zatopka i nie wiadomo kiedy skończyłaby się ta kolacja, gdyby do pokoju nie wszedł lekarz.

— To karygodne! — zawołał i od razu wszyscy zamilkli. — Przecież on powinien leżeć, sumienia nie macie! Ma złamaną rękę! Ano, zabierać się stąd natychmiast!

Surowego tonu lekarza przestraszyli się wszyscy: i gospodarze, i goście. Nie trzeba było przekładać jego słów, wszyscy dobrze zrozumieli. Za chwilę w pokoju było już pusto.

— Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy i porozmawiamy. I że się zaprzyjaźnimy — powiedział na pożegnanie Tom Hurkness.

Gdy wszyscy wyszli, Rusanow położył się, czując, jak latają mu przed oczami czarne płatki. Złamana ręka bolała go teraz niesamowicie.

— Proszę dać rękę — nakazał lekarz, przygotowując zastrzyk z morfiny. — Wiedzieli, kiedy i do kogo wybrać się z wizytą!

— Sprawili mi dużą radość, mieliśmy bardzo ciekawą rozmowę.

— Czekają pana jeszcze tysiące rozmów — rozgniewał się lekarz — ale kiedy pan pozbędzie się ręki, druga nie odrośnie. No, a teraz spać.

A rozpoczęta w pokoju hotelowym rozmowa przeniosła się na stadion, intrygując coraz więcej sportowców. Zawiązywały się przyjaźnie, rozmawiano swobodnie, bez żadnych obaw.

— Dlaczego wy tak bardzo chcecie wojować? — spytała Mary Garden Olgę Korszunową. — Po co wam potrzebna wojna?

— My? — oczy Olgi rozszerzyły się ze zdziwienia. — Ktoś panią okłamał, Mary! Nam wszystkim wojna mocno stała kością w gardle.

— A dlaczego u nas, w Stanach Zjednoczonych, wszędzie krzyczą, że Związek Radziecki pragnie podbić Amerykę?

— Kiedy Hitler napadł na nas, też krzyczał, że Związek Radziecki zagraża Trzeciej Rzeszy. Potencjalny agresor zawsze straszy swój naród takimi kłamstwami, bo inaczej żadna wojna nie byłaby możliwa.

— Tak, to prawda — Mary zamyśliła się na chwilę. — W jakim instytucie pani studiuje?

— W pedagogicznym.

— Ma pani bogatych rodziców?

— Nie mam rodziców.

— To kto płaci za naukę?

— Dostaję stypendium.

— Od kogo?

— Od państwa.

— A czy po ukończeniu instytutu otrzyma pani pracę?

— Oczywiście.

— Opowiada pani niewiarygodne historie!



— Dlaczego niewiarygodne? U nas praca znalazłaby się dla wszystkich nawet wtedy, gdyby było trzykrotnie więcej ludności, niż jest. Budujemy komunizm. To olbrzymi trud, i jedyne czego pragniemy to to, żeby nam nie przeszkadzano.

— A gdy już zbudujecie u siebie ten komunizm, to na pewno napadniecie wtedy na Amerykę?

— Gdy zbudujemy komunizm, będziemy bardzo silni i wówczas na pewno nie pozwolimy nikomu prowadzić wojny. Czy ja z panią możemy żyć w zgodzie i pokoju?

— Oczywiście.

— Więc dlaczego nie mogą tak żyć nasze państwa? My nie wtrącamy się do waszych spraw, nie wtrącajcie się do naszych.

— A ja byłam przekonana, że wy bardzo chcecie wojny.

— Naród amerykański jest okłamywany.

— Przez kogo?

— Przez tych, którym wojna jest potrzebna, bo bogacą się na niej.

— Tak, chyba ma pani rację — przytaknęła. — Shilling zabronił nam kontaktować się ze sportowcami radzieckimi — powiedziała po dłuższym milczeniu. — Właśnie patrzy teraz na nas. Muszę iść, bo będę miała przykrości. Bardzo się cieszę, że panią poznałam i że mogłyśmy porozmawiać. Życzę powodzenia.

— Ja pani również.

Korszunowa odprowadziła ją spojrzeniem i też po chwili poszła do szatni; za pół godziny jej kolej. Czy uda się jej wreszcie przekroczyć tę zaklętą granicę i posłać dysk poza rekordową chorągiewkę?

Trybuny stadionu były wypełnione po brzegi. Rozstrzygające rozgrywki finałowe, na których pojawią

się nowi studenci mistrzowie świata, ściągnęły olbrzymie tłumy.

Olga wyszła na stadion, rozluźniła się. Dziwne, ale zupełnie się teraz nie denerwuje. Chyba dlatego, że Olga Wołoszyna jest z nią.

Wśród wywołanych przez sędziów nazwisk usłyszała również swoje.

— Życzę wielkiego sukcesu, Olu! — Wołoszyna mocno uścisnęła jej dłoń. — Idź!

Korszunowa czuła energiczny uścisk dłoni przyjaciółki nawet wówczas, gdy sędzia wymienił jej numer. Popatrzyła w stronę Wołoszyny i weszła do koła.

Olga Borysowna zacisnęła pięści, aż paznokcie wpiły się w skórę dłoni.

A Korszunowa spojrzała na daleką, czerwoną chorągiewkę, i skoncentrowawszy wszystkie siły swego młodego, silnego ciała w jednym potężnym zrywie posłała połykający dysk w wysokie, jasne niebo.

Już po samym zamachu ręki Korszunowej Wołoszyna wiedziała, że rezultat będzie nieprzeciętny — taki wykończony, harmonijny i precyzyjny był każdy ruch zawodniczki. Dysk płynnie poleciał w górę, na moment jakby zawisł w powietrzu, potem linia jego lotu załamała się, opadając uderzył o wierzchołek chorągiewki, przewrócił ją i wbił się w ziemię kilka centymetrów dalej.

Rekord Olgi Wołoszyny przestał istnieć. Aktorka westchnęła, zaciśnięte w pięść dłonie rozluźniły się. Ogarnęło ją uczucie głębokiego zadowolenia ze swej pracy, z przyjaciółki, z życia — trudnego i twórczego. A jednocześnie w sercu narodziło się już pragnienie ustanowienia nowego rekordu. Może to zrobić i zrobi to!

Burza oklasków na stadionie. Spiker ogłosił wynik. Olga Korszunowa wraz z dwiema zawodniczkami, któ-

re zajęły drugie i trzecie miejsce, weszła na podwyższenie. Poszybowała w górę zwycięska flaga Związku Radzieckiego, a z głośników rozległy się uroczyste dźwięki hymnu. Widzowie na trybunach wstali.

Była to najszczęśliwsza chwila w życiu Olgi Korszunowej.

Hymn skończył się. Nowa mistrzyni świata pobiegła do szatni, chwyciła w objęcia Wołoszynę.

— To pani, tylko pani zasługa!

— I trochę jeszcze twoja — uśmiechnęła się aktorka.

Idąc na start finałowego biegu na sto metrów Sawa Pochitonow na chwilę zatrzymał się, spojrzał na roześmianą, szczęśliwą twarz Olgi i ruszył szybko dalej. Zbliżał się moment wielkiego egzaminu, moment, o którym marzył przez całą długą zimę i wiosnę. Teraz, przed tym finałowym biegiem, Sawa szczególnie ostro odczuł swoją winę wobec Olgi. Tu już nic nie da się zmienić, dziewczyna na pewno nie wróci do niego. Zdawało mu się, że może zmyć tę plamę tylko jego wielkie zwycięstwo. Sawa wiedział, że Heaviside to wspaniały sprinter i będzie bardzo trudno wyprzedzić go chociażby o kilka centymetrów. Był jednak pewny, że to mu się uda. W jego uszach brzmiały jeszcze dźwięki hymnu Związku Radzieckiego, którym uczczono zwycięstwo Olgi, jego serce przepełniło uczucie dumy ze swych towarzyszy, z drużyny, z ojczyzny.

Obok niego przygotowywał się do startu Heaviside, który szybko i dyskretnie spojrzał Sawie w twarz. „Denerwuje się” — pomyślał Pochitonow i wzmogło się w nim poczucie pewności siebie i siły. Nie dopuszczał myśli o porażce. Po rozgrzewce mięśnie pulsowały siłą. Noga wparła się mocno w startowy blok. W tyle padło już głucho pierwsze słowo komendy, dru-

gie... Całe ciało Sawy uniosło się nieco, był jak ściśnięta sprężyna.

Pauza między ostatnim słowem startera a wystrzałem wydawała się nieznośnie długa, chociaż w rzeczywistości trwała zaledwie dwie sekundy. W te krótkie, pełne napięcia chwile chciałoby się już runąć do przodu, wyzwolić nagromadzoną w mięśniach energię, zyskać od razu chociażby jedną setną sekundy. A jednocześnie trzeba mocno trzymać nerwy na wodzy, żeby nie wyrwać się przedwcześnie.

Huknął strzał. Sawa rzucił się przed siebie, zdając sobie sprawę, że miał stratę na starcie, ale w tym momencie usłyszał drugi strzał. Oznaczało to, że któryś z zawodników nie wytrzymał nerwowo i wyskoczył przed czasem. Starter wymienił numer i John Heaviside podniósł rękę.

„Nerwy go zawiodły” — pomyślał Sawa.

Po fałstarcie bieg powtórzono. Sawa miał nadzieję, że Heaviside tym razem nie wyrwie się pierwszy. I kiedy wreszcie huknął strzał, pomknął jak strzała wyrzucona napiętą cięciwą. Biegł z całych sił, odczuwając obok obecność Heaviside'a, który go ani nie wyprzedzał, ani nie pozostawał w tyle nawet o centymetr. A Sawa musiał go wyprzedzić chociaż o kilka centymetrów i wiedział, że może tego dokonać. Sprinterzy szli tak równo, że mogło się wydawać, iż biegną tak umyślnie, krok w krok, pierś w pierś. Ze stadionu dolatywał szum jak z potężnego wodospadu.

Sawa wygrał bieg, wyprzedzając przeciwnika o kilka centymetrów w samej końcówce, ostatnim wysiłkiem wszystkich mięśni. Po prostu upadł na białą taśmę — on, a nie Heaviside.

Już nie szum wodospadu, ale gromy oklasków wzniosły się nad stadionem. Sawa wszedł na podwyższenie, Heaviside stanął obok niego na niższym stop-

niu. I znów uroczyste dźwięki popłynęły nad Berlinem. Sawa patrzył na ławy radzieckich sportowców, czując, jak cała ekipa cieszy się z jego zwycięstwa.

— Bardzo się cieszę i gratuluję ci — powiedziała Olga Korszunowa ściskając Sawie dłoń, kiedy wrócił na trybunę.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem, mając nadzieję, że oto nadeszła ta upragniona chwila przebaczenia. Ale Olga zachowała spokój i Sawa zrozumiał, że ona szczerze cieszy się jego sukcesem, ale już go nie kocha. Westchnął i spuścił wzrok.

W tym czasie Tibor Szabo przez cały czas wpatrywał się w wyjście z szatni amerykańskiej, ale Eryka ciągle się nie zjawiała. Dziewczyna siedziała z opuszczoną głową w szatni. Była zrozpaczona. Tak bardzo chciała umrzeć i nie widzieć już nikogo — ani Shillinga, ani Meiera, ani Bertę Loch. Innego wyjścia nie widziała. Miłość do Tibora paliła ogniem jej serce, ale była to miłość beznadziejna i jeszcze głębiej pogrążająca ją w rozpacz.

Po wczorajszym weronalu głowa była jakby wypełniona ołowiem, ciało ociężałe, oczy miała podkrążone. Jak ona pobiegnie? Ale nie miała już więcej siły się opierać, niech robią z nią, co chcą.

Podeszła masażystka. Eryka z lękiem podniosła głowę, potem z uległością położyła się na ławce. Gdy skończył się masaż, wszedł Meier.

— Musisz dziś wygrać, rozumiesz?!

— Dobrze, wygram.

Meier wyjął z kieszeni blaszane pudełko z wygotowaną strzykawką. Potem wziął dwie ampułki. Eryka śledziła jego ruchy z absolutną obojętnością.

— Daj rękę.

Wyciągnęła ją posłusznie, zawinęła powyżej łokcia rękaw kostiumu. Ukłucie było bezbolesne, Meier zro-

bił to z zawodową wprawą. Na skórze utworzył się mały bąbel z ciemną cieczą, ale po chwili znikł.

— To wszystko — powiedział Meier. — Teraz zwycięstwo na pewno od nas nie ucieknie.

Eryka poczuła się lepiej. Poczula przypływ nowych sił, znikła dotychczasowa apatia, zaczęła ją ogarniać jakaś napięta, histeryczna wesołość. Doping doktora Shitke działał niezawodnie.

Zapagnęła koniecznie zobaczyć Tibora i chciała wyjść z szatni, ale Meier jej nie puścił. Pozwolił jej wyjść dopiero wówczas, gdy wywołali ją na start. Serce jej biło teraz w szalonym rytmie, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Meier odprowadził ją do bieżni i stanął w pobliżu, nie spuszczając dziewczyny z oka.

Nina Sokił miała miejsce startowe obok Eryki. Napięcie wczorajszego dnia dało jej się we znaki. Nie przywykła do wielkich obciążeń czuła się dziś zmęczona. A poza tym przeżycia osobiste wstrząsnęły jej systemem nerwowym. Wczoraj zostało powiedziane wszystko: ona kocha Rusanowa i on kocha ją. Jakie to dziwne, że słowa te nie padły wcześniej. Dalsze milczenie byłoby po prostu zbrodnią. A teraz wszystko stało się jasne i proste: powrócą do Kijowa i wezmą ślub...

Rozmyślenia te i wspomnienie wczorajszego wieczoru wywołały uśmiech na jej twarzy. Spojrzała na swoje przeciwniczki. Jaryna Honta schyliwszy się ściągnęła sznurowadło. Twarz jej była surowa, skupiona.

Rozległa się komenda. Eryka czuła niewiarygodny przypływ sił, chyba ich kulminację; Meier trafnie obliczył czas działania dopingu. Teraz uderzenia serca zlały się w jeden huczący łomot.

Zawodniczki pochyliły się nad białą linią startu, czekając na strzał. Jaryna wparła się rękami w ziemię,

spojrzała na nie i uśmiechnęła się: między wielkim i wskazującym palcem wypisane było ołówkiem chemicznym: „Pracować rękami”. Była to ostatnia wskazówka Maksymowa.

Rozległ się strzał. Sześć zawodniczek jednocześnie ruszyło z miejsca. Serce Eryki waliło jak dzwon alarmowy. Spostrzegła, że Honta zrównała się z nią, jednym więc zrywem ją wyprzedziła. Do mety pozostało dwadzieścia metrów. No, jeszcze jeden, ostatni wysiłek...

I nagle trybuny zachwiały się, przed oczami zaczęły szybko przesuwac się czerwono-czarne smugi i Eryka w największym pędzie upadła twarzą na żużel. Ciało jej z rozpędu przesunęło się jeszcze trochę do przodu i znieruchomiło. Stadion westchnął, ale jego uwagę pochłonął w zupełności brawurowy finisz Jaryny Honty. Wyprzedzając o cały krok Mary Garden jak wichher przebiegła ostatnie metry. Znakomita końcówka, z której znana była Mary Garden, nie dopisała jej dziś.

Erykę zanieśli do punktu sanitarnego. Tibor Szabo trzymał ją za ramię i czuł, jak nierówno bije jej serce, to waląc jak młot, to zatrzymując się nagle.

A zmieszana, zakłopotana Jaryna, sama jeszcze nie wierząc w swe zwycięstwo, już stała na podwyższeniu. Na niższych stopniach zajęły miejsca Mary Garden i Nina Sokił. Nad stadionem popłynął dziś po raz trzeci hymn Związku Radzieckiego. Szczęście Jaryny było tak nieoczekiwane i wielkie, że na razie nie mogła jeszcze ogarnąć jego rozmiarów. Pomyślała o Stepanie, wyobraziła sobie, jak on się ucieszy z jej zwycięstwa, potem spojrzała w dół i znieruchomiła z wrażenia: marzenie się spełniło — zbliżał się do niej uśmiechnięty Stepan Krotow. A więc telegram doszedł na czas.

— Stepan! — krzyknęła, rzucając się mu na spotkanie i białe wstążki, wplecione w warkocze, zabawnie podskoczyły.

Kiedy na punkcie sanitarnym Eryka otworzyła oczy, ujrzała strwożoną twarz Tibora.

— Wyjdźcie wszyscy. Tibor, zostań... — szepnęła.

Gdy zostali sami, chciała uśmiechnąć się do ukochanego, uspokoić go, ale skrwawione wargi odmówiły posłuszeństwa.

— Bardzo cię kocham, Tiborze — z trudem wymówiła chrypliwym, cichym głosem.

W oczach Tibora zjawily się łzy.

Do pokoju wszedł lekarz.

— To szaleństwo! — zawołał, wysłuchawszy serca. — Jaki doping pani wzięła?

— Nie wiem.

— Kto go pani dał?

— Erwin Meier.

Lekarz wybiegł poszukać Meiera, który powinien chyba wiedzieć, jak zneutralizować działanie dopingu.

— Bardzo cię kocham, Tiborze... — znów wyszeptała, czując, jak serce rozrywa jej piersi. — Nie dla nas szczęście, żegnaj, kochany...

— Ty będziesz żyć, Eryko! — krzyknął Tibor.

W tym samym momencie serce Eryki uderzyło po raz ostatni. Zmieniona przerażeniem i bólem twarz Tibora zaczęła rozpływać się i utonęła w gęstej mgle. Na wargach Eryki pojawiła się różowa piana, ciało wyprężyło się, jakby chciało się dźwignąć, i zamarło.

Tibor nie widząc ani lekarza, ani ludzi, którzy się tu zbiegli, wyszedł na stadion. Słońce na niebie było czarne.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Generał Stanley miał wszelkie podstawy do niezadowolenia z powodu tych przeklętych igrzysk. Meier i Shilling zawiedli jego oczekiwania. Amerykańskim sportowcom nie udało się zaćmić pozostałych zawodni-



ków. Zdobyli, co prawda, wiele pierwszych miejsc, trudno jednak dopatrzeć się w tym ich zdecydowanej przewagi. Poza tym nie można już ufać wielu sportowcom amerykańskim, ponieważ zaprzyjaźnili się z radzieckimi i nie tylko radzieckimi zawodnikami.

I jeszcze ta śmierć Eryki Stahlberg. Wschodnie gazety podniosły wrzask, iż spowodowała ją zbyt duża dawka dopingu, bez którego jakoby zawodnicy amerykańscy nie mogli w ogóle występować. I tak oto zakończyła się ta „miażdżąca przewaga” amerykańskiego sportu na światowych igrzyskach studenckich. Sytuację może uratować tylko odpowiednie pokierowanie wiecem. Przemówienie dla Chartina już dawno zostało napisane i przesłane. Musi podzielać piorunująco. Autorytet pisarza i jego sława zrobią swoje, a „teutonowie” postarają się o odpowiednią reakcję. Zatrze to zupełnie wrażenie, jakie na Niemcach i w ogóle na całej Europie wywarły sukcesy radzieckich sportowców.

Generał spojrział na zegarek i włączył radio. Za dziesięć minut miał się rozpocząć wiec, tymczasem lektor wolno, monotonicznie odczytywał wyniki zawodów. Wymieniał nazwiska zawodników radzieckich, amerykańskich, francuskich, węgierskich i innych studenckich mistrzów świata, a Stanleyowi zdawało się, że słyszy ciągle tylko „radziecki, radziecki, radziecki...” I jeszcze jakaś Węgierka, Ilona Szabo, wygrała bieg przez płotki na osiemdziesiąt metrów, a Francuz Barthier zwyciężył w biegu na czterysta metrów.

Następnie spiker przeczytał odezwę studentów w sprawie obrony pokoju oraz nazwiska sportowców, którzy ją podpisali. Wśród nich jako jedno z pierwszych generał usłyszał nazwisko Eryki Stahlberg. Był wściekły. Teraz nic już nie da się zmienić, dziewczyna nie żyje, a jej podpis pozostał i wzywa do walki o pokój jeszcze donośniej i z większą siłą.

Potem popłynęła z głośnika muzyka. I wreszcie na stadionie zaczął się wiec. Trybuny wypełnione młodzieżą zakwitły flagami, transparentami, hasłami. Na mównicę wszedł przewodniczący Międzynarodowego Związku Studentów i w zupełnej ciszy ogłosił otwarcie wiecu, odczytując tekst apelu i wzywając studentów na całym świecie do walki o pokój, o wolność i szczęście. A gdy po jego krótkim zagajeniu ucichły oklaski, przewodniczący ogłosił:

— Głos ma pisarz Henri Chartin.

Meier porozumiał się umówionym znakiem z grupkami „teutonów”, którzy siedzieli w różnych miejscach trybun, by przygotowali się do owacji. Trawił go niepokój. „Teutonów” miało być dwa tysiące, a na stadion zdołało się przedostać tylko trzystu — pozostałych po prostu nie wpuszczono, widocznie organizatorzy wiecu przeprowadzali bardzo ścisłą kontrolę jego uczestników. No cóż, trzystu rozrabiaczy to też siła.

Chartin wszedł na podwyższenie, stanął przed mikrofonem. Przez trybuny przeszedł głuchy pomruk. Wielu uczestników wiecu wiedziało, że mówca jest autorem sztuki wychwalającej Amerykanów, byli też i tacy, którzy wprawdzie o tej sztuce nie słyszeli, znali jednak inne utwory pisarza. Wszyscy więc z jednakowym zaciekawieniem czekali na to wystąpienie. „Teutoni” zaczęli klaskać i wznosić rytmiczne okrzyki: „Chartin! Chartin!” A on stał ciągle w milczeniu, jakby zbierając siły, aż wreszcie donośnym i pewnym głosem powiedział:

— Przyjaciele! Nigdy nie występowałem na takich wiecach i wielu spośród zebranych może dziwi, że przemawiam właśnie tu. Jeśli ktoś myśli, że zamierzam wysławiać Związek Radziecki i komunistów, to bardzo się myli: nie jestem zwolennikiem Związku Radzieckiego i nie lubię komunistów. Ale jeśli ktoś oczekuje,

że będę wysławiać Amerykę, też jest w błędzie: ani Stany Zjednoczone, ani Amerykanie nie budzą we mnie miłości.

Te nieoczekiwane słowa wywołały gwar na stadionie.

— Co on plecie? — burczał generał Stanley, wpatrując się z niepokojem w odbiornik radiowy.

— Jest tylko jeden kraj — mówił dalej Chartin — i jeden naród, do którego należy cała moja miłość, całe życie, wszystkie pragnienia: to moja ojczyzna, Francja. I mówię o tym z dumą. Występuję tu, bo chcę, żeby kobiety i dzieci nigdy już nie musiały chować się po schronach i piwnicach przed bombami; bo nie chcę, żeby ulicami Paryża przewalały się niemieckie, amerykańskie czy jakieś inne czołgi. Bo chcę, żeby parki i skwery Paryża należały nie do żołnierzy, lecz do dzieci. Jestem przekonany, że każdy kraj, każdy naród ma prawo do urządzania po swojemu własnego życia i że żadne państwo nie ma prawa wywierać nacisku na inne państwo. Kobiety w Ameryce męczą we śnie atomowe koszmary. Kobiety i dzieci Korei dobrze znają swąd napalmu. W dżunglach Wietnamu dokonuje się bezsensowny przelew krwi. Zginął tam mój syn, za śmierć którego jestem odpowiedzialny. Tak, obwiniam siebie za tę śmierć, bo nic nie zrobiłem, żeby ta wojna się skończyła. Gorzej: niekiedy wydawało mi się nawet, że jest ona potrzebna...

Nad stadionem stała martwa cisza. Głos Chartina płynął nad trybunami, nad boiskami, nad Berlinem. „Teutoni” nie wiedzieli, jak mają reagować, siedzieli więc na razie cicho.

— Nas wszystkich straszą dziś wojną. A ja chcę, żeby na całej kuli ziemskiej panował pokój — mówił dalej Chartin. — I żeby żaden ojciec nie musiał przeżywać tego, co ja przeżyłem. Napisałem sztukę, w któ-

rej wychwalałem armię amerykańską. To zbrodnia. Bo wychwalać armię, to wychwalać wojnę. I dziś pragnę odkupić moją winę. Niewiele mi już życia pozostało, ale wszystkie te lata chcę poświęcić nie wojnie, lecz pokojowi.

— On zwariował! — generał Stanley uderzył pięścią w aparat radiowy z taką siłą, że zadzwoniły wszystkie lampy, ale nie mogło to zagłuszyć dalszych słów Chartina.

— Niedawno widziałem na stadionie „Olimpia” oddziały żołnierzy, których przygotowuje się do nowej wojny. Są jeszcze bez broni, ale w hutach Zagłębia Ruhry i Pittsburgha wytapia się na nią stal. Pamiętajcie o tym, moi młodzi przyjaciele! Wszyscy uczciwi ludzie na całym świecie — w Ameryce, w Rosji, w Anglii i Niemczech, we wszystkich krajach, muszą powiedzieć: „Nie!”, a wówczas wojna stanie się niemożliwa. Ja, pisarz Henri Chartin, mówię wam: na ziemi musi zapanować pokój. Powinniśmy się bić o niego i jestem przekonany, że zwyciężymy.

Cały stadion słuchał Chartina jak zaczarowany. Podmuch wiatru rozwał jego siwe włosy, zafalowały flagi pięćdziesięciu dwóch państw płynąc w jego stronę.

— Co robi ten przeklęty Meier? — złościł się generał.

A Meier znalazł się w bardzo trudnej i kłopotliwej sytuacji. Jego „teutoni” nie byli przygotowani na taki obrót sprawy i należało szybko zmienić instrukcje, kiedy jednak do nich dotarły, Chartin już kończył przemówienie. Z różnych stron, gdzie byli rozmieszczeni „teutoni”, rozległy się gwizdy, okrzyki „Hańba!”, jakies zwierzęce ryki. „Nareszcie — westchnął z ulgą Stanley. — Nareszcie Meier działa”.

A stadion ryczał, wył, gwizdał — Meier mógł być zadowolony ze swoich chłopców.

Nie trwało to jednak długo. Prości ludzie, którzy przybyli na igrzyska niemal z wszystkich stron NRD, szczelnym pierścieniem otoczyli „teutonów”. Stało się jakby ciasniej, widzowie zwarli się, w kilku miejscach wszczęły się już bójki. Ale co może zrobić kilka grupek rozrabiaczy przeciw dziesiątkom tysięcy świadomie działających ludzi?

Zanim udało się zaprowadzić porządek, minęło chyba dziesięć minut i przez te dziesięć minut generał miał wszelkie powody do zadowolenia. Jednak nieopisana wrzawa, wydobywająca się z głośnika radiowego, która brzmiała dla generała jak najpiękniejsza muzyka, zaczęła rozpadać się na poszczególne okrzyki i wreszcie ucichła. Wśród tej ciszy znów rozległ się głos Chartina:

— Byłoby dziwne, gdyby wrogowie pokoju nie próbowali zerwać naszego wiecu. Ale tak samo, jak my teraz załatwiliśmy się z nimi i zmusiliśmy ich do milczenia, prości ludzie na całym świecie mogą i powinni poskromić podpalaczy wojennych. Zapamiętajcie ten dzień, przyjaciele. Dziś odnieśliśmy pierwsze zwycięstwo... Życzę młodzieży całego świata radosnych, szczęśliwych, spokojnych dni i wielkich sukcesów w walce o pokój!

Nie mogło być żadnego porównania między wrzawą, wywołaną przez „teutonów”, a burzą oklasków, która zerwała się teraz nad stadionem. Generał Stanley zatkanął uszy, myśląc z wściekłą nienawiścią o tym przekłętym Chartinie. Ten stary pismak może się już teraz pożegnać ze sławą! Stanley nie pozwoli nikomu kpić z siebie! Jutro wszystkie zachodnie gazety obleją Chartina pomyjami i dowiodą, że ten przekupny krętacz, który jeszcze wczoraj pisał sztuki antyradzieckie, a dziś występuje w obronie pokoju... No tak, ale cały świat zrozumiałby to jednoznacznie: wielki pisarz prze-

szedł do obozu pokoju. Nie wiadomo, co zrobi większe wrażenie na czytelnikach: oczernienie pisarza czy też wiadomość o zmianie jego poglądów. Nie, na razie chyba lepiej milczeć. Przecież wschodnie dzienniki wydrukują każde słowo wypowiedziane przez Chartina na wiecu, więc wyjdzie i tak szydło z worka.

A na Stadionie Pokoju wiec trwał dalej.

— Urodziłam się i wychowywałam w Donbasie, gdzie wydobywają węgiel i wytapiają stal — dźwięczał nad trybunami drżący głos Jaryny Honty — i w imieniu młodego Donbasu, młodzieży Radzieckiej Ukrainy i całego Związku Radzieckiego żądam pokoju. Budujemy nowe życie i będziemy go bronili, będziemy bronili pokoju, bo tylko pokój może zapewnić ludzkości prawdziwe szczęście...

Zmieniający się szybko mówcy przemawiali w różnych językach, ale dobrze się rozumieli. I chociaż niejednemu z nich groziły po powrocie do kraju przykre konsekwencje, nie mogli teraz milczeć.

Wiec zakończył się odczytaniem odezwy do wszystkich studentów, do młodzieży całego świata oraz uroczystą przysięgą oddania wszystkich sił sprawie pokoju. Zamilkli przytłoczeni „teutoni”. Niejeden z nich zamyślił się w tej chwili, niejednemu przyszłość wydała się straszna i beznadziejna. Nawet ich wódz, Erwin Meier, z pochmurną twarzą rozglądał się na wszystkie strony jak zaszczute zwierzę. Niekiedy uśmiechał się próbując stworzyć pozory lekceważącego stosunku do wiecu, ale „teutoni” wiedzieli, że doznał dziś ciężkiej porażki, która może skończyć się dla niego zupełną klęską. Generał Stanley niczego nie przebaczy.

„Teutoni” w pojedynek lub po dwóch znikali chyłkiem ze stadionu. Meier też poszedł w ich ślady, lecz u Stanleya zamierzał zameldować się później, kiedy

generał ochłonie nieco z wściekłości. Trzeba przecze-  
kać burzę.

Do mikrofonu podszedł Richard Baum, spojrzął na  
wypełnione trybuny i pomyślał, że jeszcze pół roku te-  
mu ten stadion istniał tylko na dużych arkuszach bry-  
stolu.

— Dziękuję, towarzysze — rozpoczął swe przemó-  
wienie.

Jego wystąpienie było ostatnie. Pieśń o pokoju na-  
rodziła się gdzieś w tłumie, najpierw cicha, nieśmiała,  
rozrastała się i potężniała, ogarniając wszystkich  
i wszystko popłynęła nad Berlinem jak radosne bojo-  
we wezwanie. A gdy ucichła, wystrzeliły nagle tane-  
czne rytmy i już pierwsi tancerze w lekkich podsko-  
kach zmierzali ku estradzie, a przy mikrofonie zjawili  
się artyści. A gdy się ściemniło, wystrzeliły w górę  
czerwone, zielone, niebieskie i białe ognie rakiet, spa-  
dając w rozpryskach na aksamitną berlińską noc. Na  
niebie w różnych językach zapłonęło słowo „Pokój”.

Pogasły rakiety, opuszczono flagi. Pusty stadion za-  
legła cisza.

Następnego ranka na Dworcu Śląskim zegnali się  
przyjaciele; wielu ich tłoczyło się przy wagonach za-  
jętych przez sportowców radzieckich.

Ilona Szabo, Nina Sokił i Jaryna Honta już marzyły  
o następnym spotkaniu na zawodach w Moskwie. Ilona  
miała takie uczucie, jakby zapomniała zapytać o coś  
bardzo ważnego. Z roztargnieniem spoglądała co pe-  
wien czas na stojącą w pobliżu grupę studentów. Tibor  
o zmienionej, wymizerowanej twarzy słuchał z zaci-  
śniętymi ustami Rusanowa. Ilona przeniosła wzrok na  
zagipsowaną rękę chłopca, westchnęła i odwróciła się.  
Potem, jakby coś sobie przypomniawszy, podbiegła do  
Korszunowej i podała jej jakąś kopertę.

— Przepraszam, proszono mnie jeszcze wczoraj, żeby to pani wręczyć.

Olga rozerwała kopertę. Na kawałku papieru było kilka słów po angielsku.

— Co tam jest? — spytała Wołoszyna.

— Nie wiem, nie rozumiem.

Wołoszyna wzięła od niej kartkę i przeczytała głośno: „Dziękuję Bogu za to, że pozwolił mi panią poznać i porozmawiać z panią. Wiele myślę o naszej rozmowie. Może uda nam się spotkać jeszcze raz, będę mogła wtedy opowiedzieć więcej. Życzę sukcesów i szczęścia w życiu. Oddana Pani Mary Garden”.

Przed oczami Olgi pojawiła się zamyślona twarz Mary Garden, jaką widziała ostatnio. Przypomniała sobie jej chude, szerokie ramiona, opuszczone jak skrzydła postrzelonego ptaka.

Na peron przyszli niemieccy sportowcy z olbrzymimi bukietami róż. Richard Baum wręczył wszystkim pamiątkowe znaczki.

Czas wsiadać. Niebieskie oczy Ilony Szabo przesłaniają łzy. Jednak nie spytała Niny o coś bardzo ważnego, najważniejszego, coś bardzo intymnego.

— Będę pisać, będę do ciebie pisać — mówi drżącym głosem do Niny, której serce ściska rozłąka z przyjaciółką.

Pociąg rusza. Odprowadzający idą machając rękami.

— No cóż, trzeba chyba dokonać wstępnego podsumowania, Mykoło Dmytrowiczu — rzekł Karcew, siadając w przedziale naprzeciw Maksymowa.

— Wracam z Berlina z uczuciem niezadowolenia z siebie — odpowiedział Maksymow. — Zdobyliśmy połowę medali, a mogliśmy przecież więcej. Trzeba zastanowić się, co dalej. Szczególnie koszykówka mocno zbliła mnie z tropu.

— Ma pan na myśli sprawę Rusanowa?



— Nie, siebie. Zabrakło na boisku Rusanowa i drużyna jakby przestała istnieć. Obaj tu zawiniliśmy, wychowaliśmy za mało dobrych koszykarzy. Ale czy tylko nad tym trzeba się zastanowić? A Pochitonow? A Nina Sokił?

— Tak, jest nad czym pomyśleć — odpowiedział Karcew, patrząc w jakimś rozmarzeniu przez okno.

A w korytarzu rozbrzmiewał śmiech, sypały się żarty, jak zawsze bywa, kiedy jedzie razem większa grupa przyjaciół. Tylko Rusanow i Nina stali na uboczu przy oknie i milczeli, nie odpowiadając nawet na pytania kolegów. Patrzyli na niemieckie lasy i myśleli o tym, jak dobrze będzie im teraz w rodzinnym Kijowie i jak cudowne stanie się życie, kiedy pójdą dalej już razem, na zawsze razem.

Pociąg przyjechał do Moskwy rano. Pierwszą osobą, którą Olga Wołoszyna zobaczyła na peronie, była krępa postać Iwana Gromowa.

— Jakiś ty miły — powiedziała, schodząc po stopniach wagonu. — Nie zapomniałeś, przyszedłeś...

— Nie mógłbym zapomnieć... No, moje drogie Olgi, witam was z całego serca. A pani serdecznie gratuluje rekordu — zwrócił się do Korszunowej.

W tym momencie z nową siłą Olga Borysowna zapragnęła zdobycia utraconego rekordu. Zdobędzie go, musi go zdobyć!

Ostatnie chwile pożegnania — i już odchodzą pociągi do Kijowa, Leningradu, Tbilisi, Swierdłowska, odwożąc mistrzów świata i zwykłych, teraz jeszcze światu nie znanych sportowców. Nieraz jeszcze spotkają się na zielonych boiskach stadionów.

Do zobaczenia, przyjaciele!

---

Cena zł 40,-